



maja Lidia ✦
Kossakowska
Zarna
Niebios

Ilustracje
Grzegorz Krysiński



BESTSELLERY
POLSKIEJ
FANTASTYKI

Lublin 2008

ŚWIATŁO W TUNELU

Nie pamiętał uderzenia ani wstrząsu. Ostatnią rzeczą, jaką zauważył, był zbliżający się z szaloną prędkością samochód, który po prostu nie miał prawa znaleźć się nagle na prawym pasie, jadąc w przeciwnym kierunku. Eryk zdążył tylko pomyśleć, że to naprawdę nie w porządku. Wydawało się, że nadjeżdżająca maszyna zdaje sobie z tego sprawę, bo w wytrzeszczonych ślepiach reflektorów zobaczył strach. A może tak mu się zdawało. Samochód sunął prosto na niego, a potem zapadła ciemność, jakby ktoś przekreślił kontakt.

Ocknął się na poboczu, w rowie. Karetka migiała wściekłym błękitem, jakby sugerowała, że jest ekspresem prosto do nieba. W powietrzu unosiła się przykra, listopadowa mżawka. Sanitariusze ostrożnie ładowali na nosze ciało. Wokół stała grupka gapiów. W polu, niczym martwe zwierzęta, leżały dwie kupy zgniecionej blachy. W jednej z nich Eryk rozpoznał swój samochód.

Z jękiem zajechał wóz policyjny, zahamował ostro. Mundurowi wyskoczyli z wnętrza jak diabełki z pudełka.

Sanitariusze pakowali nosze do karetki. Dziwny niepokój kazał Erykowi spojrzeć w twarz rannego. Przysunął się bliżej, zajrzał przez ramię lekarza i poczuł lodowaty dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Na noszach, zakrwawiony i umazany błotem, leżał on sam. Niemożliwe, jęknął w duchu. Kuli się przecież w porywach jesiennego wiatru, mżawka tnie go w policzki i nos. Spojrzał na swoje buty. Były przemoczone i oblepione ziemią. Stał w końcu po kostki w błocie. To jakieś szaleństwo!

Wyciągnął rękę, dotknął ramienia lekarza.

– Panie doktorze – powiedział. – Ja jestem tutaj.

Brzmiało głupio, ale niczego lepszego nie wymyślił. Lekarz nie zareagował. Eryk zacisnął palce, szarpnął mocno.

– Hej, czy pan mnie słyszy?

Nic na to nie wskazywało. Lekarz pozostał niewzruszony. Majstrował coś przy masce z tlenem, nałożonej na twarz Eryka. Sanitariusze wладowali nosze. Wszyscy wskoczyli do środka i zatrzasnęli drzwi, zanim Eryk zdążył zareagować. Chciał wsiąść do karetki, ale nie zdążył. Furgonetka zawyła, przeraźliwie i pomknęła w listopadowy zmierzch.

Eryk został na poboczu w mokrych butach, z uczuciem zawodu w duszy. Ogarnęła go całkowita bezradność. No dobra, umarłem, pomyślał. I co dalej? Przypomniał sobie mgliście zasłyszane kiedyś opowieści o doznaniach z pogranicza śmierci, ale nic tam nie było o ciałach odjeżdżających w dal karetką. Czuł się zawiedziony i w jakiś sposób oszukany. Nie miał pojęcia, co robić.

Rozejrzał się bezradnie. Na szosie zdążył już powstać spory korek. Policjanci starali się regulować ruch, ale zdaniem Eryka tylko potęgowali zamieszanie. Mrugając żółtymi światłami, podobny do wielkiej ryby głębinowej, podjechał samochód pomocy drogowej. Kiedy pracownicy zabrali się do wywożenia resztek jego peugeota, Eryk, nie wiedząc czemu, poczuł się naraz strasznie samotny. Ogarnęła go fala złości. Stał w rowie, na deszczu, zmarznięty i przemoczony, a przecież umarł, do cholery! Ktoś tam, z góry, powinien się nim zająć, a przynajmniej pokazać mu drogę. Wcisnął ręce do kieszeni i ruszył przed siebie poboczem, bo za nic na świecie nie chciał zostać sam na miejscu wypadku, gdy policja odjedzie, a gapie się rozejdą. W ten sposób miał przynajmniej wrażenie, że podejmuje jakąś decyzję.

Szedł, z każdą chwilą bardziej rozgoryczony i wściekły, a wiatr zawodził paskudnie. Wył i świstał nie do wytrzymania głośno. Dźwięk narastał. Hałas ogłuszył Eryka, zmusił do zatkania uszu dłońmi. Zatrzymał się, a potem poczuł, jak przemożna siła wyrzuca go w górę. Świst ucichł, zmienił się w ciche mruczenie. Wokół Eryka utworzył się obszerny tunel z gęstej mgły, mieniającej się kolorami tęczy. Niewidzialna ręka pchała go do góry, ku światłu. Było olśniewająco białe, kojące, cudowne. Eryk wyciągnął do niego ramiona. Poczł gwałtowną falę radości i spokoju. Płynął do światła.

Powoli, w cudownej jasności, zaczęły majaczyć postaci. Z początku małe i niewyraźne, przybliżały się. Na spotkanie Eryka kroczył anioł, sylwetka z wyciągniętymi rękami i rozpostartymi skrzydłami. Był coraz bliżej. Eryk poczuł, jak ogarnia go głębokie, mistyczne wzruszenie. Zrozumiał, że zapewne widzi swego anioła stróża.

– Jaki piękny! – wyszeptał.

Postać skąpana w blasku zbliżyła się znacznie. Eryk był w stanie rozpoznać krótką, burą tunikę, jaką miała na sobie, i dostrzec twarz, szczerze mówiąc, całkiem przeciętną. Lekkie rozczarowanie wynagrodził za to widok drugiej postaci, drobnej staruszki z trójkątną twarzą okoloną chmurą białych loczków, które upodobniały ją do kalafiora.

– Babcia! – krzyknął radośnie.

Starsza pani z uśmiechem pomachała ręką.

– Witaj, zbłąkana duszo! – zawołał anioł, cokolwiek namaszczonym głosem. – Oto przybyłeś do Królestwa Światła... auuu!

Ostatni okrzyk nie należał do przemowy. Anioł wydał go mimowolnie, zgiął się wpół i upadł, kopnięty w brzuch, a następnie grzmotnięty w kark przez trzecią postać, której gwałtowne pojawienie przerwało ceremonię powitania. Eryk zobaczył jeszcze, jak babcia małymi piąstkami tłucze napastnika w plecy, gdy nagle ktoś przyskoczył do niego z boku, narzucił na głowę ciężką, cuchnącą kurzem tkaninę. Szarpnął się rozpaczliwie, próbując wyrwać. O Boże, pomyślał w panice. Porwały mnie diabły! To koniec! Trafię do piekła! Młócił rękami na prawo i lewo, ale strach sparaliżował go, zamiast motywować. Poczł silne uderzenie w głowę i zapadł w ciemność.

* * *

Ocknął się z paskudnym bólem głowy. W ustach czuł nieprzyjemny, słony posmak. Ktoś klepał go po twarzy, niezbyt łagodnie, ale z pewnością nie po to, żeby zrobić krzywdę. Przez zmrużone powieki widział tylko rozmazane cienie. Przezornie nie otworzył oczu, udając, że wciąż jest nieprzytomny.

– Po coś go tak grzmotnął w łeb? – usłyszał zirytowany głos. – Z tobą tak zawsze! Niczego nie zrobisz porządnie.

– Wyrwał się, co niby miałem wymyślić innego? – odpowiedział drugi, a klepanie w twarz ustało.

– Właśnie – sarknął pierwszy. – Myślenie to coś, co ci zdecydowanie nie idzie. Teraz się na pewno nie zgodzi. I wiesz co, braciszku? Mamy przechłapane.

– Czekaj! A może oblać go wodą? – doznał olśnienia drugi głos.

Eryk uznał, że warto już otworzyć oczy. Przekonał się, że siedzi oparty o ścianę w jakimś brudnym zaułku. W pierwszej chwili pomyślał, że znalazł się w zapuszczonym skansenie, bo budynki były krzywe, zbite z grubych bali uszczelnionych słomą. Uniósł wzrok i jęknął. No pięknie, wstrząs mózgu jak nic! Widział podwójnie. Dwie pochylone nad nim postaci były identyczne. Zobaczył takie same rozczochrane czupryny grubych, jasnych włosów, dwie pary szarych oczu osadzonych trochę za blisko nosa, wydatne, kwadratowe szczęki. Obie twarze różnił tylko jeden szczegół. Na policzku tej z lewej widniała długa, brzydka blizna.

To bliźniacy, pomyślał Eryk. Oczywiście, jeśli bliźniakami mogą być anioły. A obaj panowie z całą pewnością byli aniołami. Świadczyły o tym niezbitcie duże, trochę brudnawe i przyżółcone skrzydła.

– Ocknął się – powiedział ten bez blizny.

– Co za światła uwaga, Uwabriel – warknął drugi. – Jestem pod wrażeniem.

Twarz ofukniętego anioła zasnęła się smutkiem, aż Erykowi zrobiło się go szkoda. Blondyn z blizną oblizwał wargi.

– No, tego – zaczął wyraźnie zmieszany. – Nie bój się, synu Adama, nie zrobimy ci krzywdy.

Eryk poczuł, że ogarnia go złość.

– Zbędne zapewnienia – wychrypiał przez wyschnięte gardło. – Już zrobiliście.

Odkasznął i splunął na ziemię. Po ubitym niedbale klepisku snuła się samotna kura.

– Co to za miejsce, do diabła? – spytał odruchowo.

– No, Limbo – powiedział anioł z blizną. – A co ma być?

Uwabriel wzruszył ramionami.

– Przecież on nie ma pojęcia, co to znaczy – rzucił.

– No tak – mruknął pierwszy – Nieważne. Później ci to wyjaśnimy, synu Adama. Teraz pójdziesz z nami.

Eryk z wysiłkiem dźwignął się na nogi, nie przyjmując wyciągniętej w pomocnym geście ręki Uwabriela. Zauważył, że prawa dłoń anioła jest owinięta brudnym bandażem. Otrzeptał pomięte ubranie.

– Nigdzie nie pójde – oświadczył ostro. – I nie jestem synem Adama, tylko Aleksandra.

– Ale człowiekiem, nie? – Anioł z blizną odsonił w uśmiechu duże, mocne zęby.

– A wy aniołami, jak sądzę! – rzucił ze złością. – Ładnie to porywać ludzi? Ruszajcie świadczyć dobre uczynki i śpiewać, a mnie odstawcie do raj, czy gdzie tam trzeba.

– Do jakiego raj, misiu? – Twarz anioła wykrzywił grymas politowania. – Nie rób z siebie durnia, dobra? No chodź, szkoda czasu. Załatwimy sprawę i będziesz wolny.

Złapał Eryka pod ramię i pociągnął za sobą jak worek. Był co najmniej o głowę wyższy od człowieka, szeroki w ramionach i zwalisty. Eryk mógł najwyżej wic się w uścisku skrzydlatego jak robak w dziobie wróbla.

– No i co ty robisz? – Uwabriel rozłożył ręce. – Będziesz go tak włókł przez pół Limbo? Trzeba człowiekowi coś wytłumaczyć, nie?

Anioł z blizną niechętnie poluzował uścisk.

– Ja się nazywam Uwabriel – powiedział drugi skrzydlaty. – A to mój brat Parmiel. Wybacz mu grubiańskie maniery. Jest zdenerwowany, bo wpadliśmy w poważne kłopoty...

– Nie zapomnij dodać, kto nas w nie wpakował – mruknął pod nosem Parmiel.

Uwabriel ciągnął niezrażony:

– ...i potrzebujemy fachowej pomocy. Niestety, możemy jej oczekiwać tylko od człowieka o pewnych szczególnych kwalifikacjach. Dlatego pozwoliliśmy sobie postąpić dość, eehmm, radykalnie.

– I po prostu mnie porwać, tak?

Uwabriel westchnął.

– Nie było innego wyjścia. Twój stróż nie pozwoliłby nawet z tobą pogadać. Stróże to straszni służbiści. Betony, prawdę mówiąc. A my mamy nóż na gardle. Musieliśmy tak postąpić.

Eryk spojrział w szczerze szare oczy anioła. Poczuł się mile połączony, że został wyróżniony jako ktoś szczególny. Co nie znaczyło, że zamierzał dać się bezwolnie prowadzić, cholera wie dokąd. Może bracia żywili złe zamiary? Czemu miałby im ufać? W końcu go porwali. Postanowił udawać, że się na wszystko zgadza, a w sposobnym momencie spróbować ucieczki.

– Czyli jestem kimś w rodzaju wybrańca? – spytał.

Uwabriel skinął głową.

– No, w pewnym sensie.

– To jak, idziesz po dobroci? – zagadnął milczący dotąd Parmiel. W szarych tęczęwkach czaiła się podejrzliwość.

– Tak.

– No to już, tylko spokojnie.

Wzięli Eryka między siebie i poprowadzili wąskimi uliczkami. Zaułki były brudne i wyludnione, budynki niskie, drewniane, często zapadnięte ze starości. Z wolna jednak okolica zaczęła się zmieniać. Uboga dzielnica nabierała miejskiego charakteru. Domy stawały się większe, bardziej zadbane, często trafiały się kamienne podmurowania czy podcienie. W dużych oknach lśniły szyby w miejsce szmat czy rybich pęcherzy, pojawiały się kolorowo malowane balkony i mansardy. Nawierzchnię ulicy pokrył bruk. Było coraz więcej przechodniów. Smagły dzinn o drapieźnych, pięknych rysach twarzy, prowadził na złotym łańcuszku małą chimere. Odziany w błękitną szatę i turban wydawał się cudowną fatamorganą. Wyzywająco ubrana skrzydlata kobieta mrugnęła do Eryka zalotnie. Miała złotą skórę i cudowne, wykrojone jak migdały oczy. Ciemne, skórzaste skrzydła wieńczyły matowo połyskujące haki, jak u nietoperza. Domyślił się, że widzi żeńskiego demona. Istota minęła ich, kołysząc biodrami.

W podcieniach kamienic mieściły się sklepy, na ulicach stały stragany, przechodniów kręciło się coraz więcej, ale żaden nie był człowiekiem. Eryk rozpoznawał dzinny, demony o skórzastych skrzydłach, anioły i chochliki, malutkie stworzenia o złośliwych pyszczkach buszujące w rynsztokach. Nie wiedział natomiast, kim byli pozostali. Niewysokie, ciemnonice istoty o bardzo chudych twarzach i wydatnych nosach, eteryczne piękności o bladej cerze i zielonych włosach, niscy, miedzianoskórzy łucznicy z kołczanami na plecach i grzebieniami płomiennych włosów, zdających się sypać iskry, ubrani w czerwienie i pomarańcze, oraz cała masa innych, dziwnych stworzeń. Uwabriel pochylił się ku niemu.

– Jesteśmy w Limbo. To rodzaj pasa ziemi niczyjej, okalającego równocześnie Królestwo i Głębię. Dlatego widzisz tu aniołów i Głębian spacerujących zgodnie. Głębianie to po waszemu, zdaje się, demony. Te zielonowłose ślicznotki to sylfy, duchy powietrza, a kolesie z

ognistymi czuprynymi to salamandry, duchy ognia. Przyjrzyj się dobrze, bo salamandry rzadko goszczą w Limbo. Odkąd archanioł Gabriel, Regent Królestwa, dał autonomię duchom żywiołów, dżinnom i geniuszom, salamandry siedzą na pustynnym skrawku ziemi, głęboko w Strefach Poza Czasem, i udają, że są okropnie niezależni. Aha, popatrz, ci ciemni, ubrani w brązowe szaty, to geniusze. Są cwani. Często zajmują się medycyną, magią, edukacją albo finansami. Zadzierają nosa, chociaż jak wszyscy nieskrzydłaci podlegają skrzydlatym i Głębianom.

– Zaraz. – Eryk się pogubił. – Co to znaczy skrzydłaci?

– No, aniołowie – wyjaśnił Uwabriel. – Wszystkie duchy żywiołów, dżinny, geniusze i stworzenia ze Stref Poza Czasem nazywają się nieskrzydlatymi i stoją w hierarchii niżej od nas. I powyżej Głębian, czyli demonów, oczywiście. Widzisz, hierarchia u nas to ważna rzecz. Aniołowie też się dzielą na klasy. I chóry. Wszystko zależy od urodzenia. Są aniołowie służebni, którzy stoją najniżej, aniołowie stróże, aniołowie służący w Zastępach, to znaczy w regularnej armii, urzędnicy, zarządcy Domów i tak dalej. Wszystko w granicach pierwszego chóru, właściwych aniołów. Potem są archaniołowie i kupa innych, aż do cherubinów i serafinów. Arystokraci Królestwa nazywają się Świetlistymi, a głębiańscy Mrocznymi. Rozumiesz?

– Tak, chyba tak – wymamrotał Eryk.

Od nazw, kast, widoków i zdumiewających stworzeń, które mijał, zakreśliło mu się w głowie.

– Nie czaruj tak, Uwabriel – odezwał się Parmiel. – Wytłumaczysz człowiekowi w kilku zdaniach całą strukturę Królestwa i Głębi? Daruj sobie.

Uwaga anioła przywołała Eryka do rzeczywistości. Zamiast gawędzić i podziwiać otoczenie, powinien szukać sposobności do ucieczki. Wyszli na rozległe kamienne nabrzeże. Widok dosłownie zapierał dech w piersi. Szeroką, połyskującą srebrem rzeka znajdowała ujście w ogromnej zatoce, której zielone i błękitne wody wyzłacało złotą smugą niskie, chylące się ku zachodowi słońce. Dalej rozpościerał się bezkres granatowej, oszronionej pianami fal wody. Na przeciwległym krańcu zatoki leżał port. Smukłe żaglowce o dziwacznych kształtach kołysały się w objęciach wiatru. Wyglądały tak pięknie, że aż chciało się rozplakać z zachwytu. Na bulwarze wzdłuż brzegu kłębił się kolorowy tłum.

– Piękne, co? – zagadnął Parmiel. – To Zatoka Zmierzchu. Za nią rozciąga się już tylko Praocean. A rzeka, która do niej wpada, to Strumień Czasu. Powiadają, że każdy, kto wrzuci monetę do wody, kiedyś tu wróci.

Eryk, nie odrywając wzroku od horyzontu, nerwowo przeszukiwał kieszenie.

– Masz jakieś drobne? – spytał z nadzieją.

Anioł roześmiał się i wyciągnął dłoń z małą miedzianą monetą. Napisy i rysunki były wpół zatarte, ale ledwo widoczne litery nic Erykowi nie mówiły. Cisnął pieniążek w wodę. Topiel pochłonęła go natychmiast.

Parmiel położył człowiekowi rękę na ramieniu.

– Jeśli chcesz zobaczyć coś jeszcze ciekawszego, spójrz za siebie.

Eryk odwrócił się. Daleko za kręgiem zabudowań Limbo, na otwartej przestrzeni, ciągnął się pierścień olbrzymich, oślepiająco białych murów. Załoczone trakty, niczym kolorowe krajki, wiodły do szeroko rozwartych, zdobionych bram. Mury otaczały gigantyczną, jakby utkaną z błękitnej mgły górę, wysoką na pół nieba. Erykowi zdawało się, że widzi miasta wyczarowane ze światła, unoszące się w przestworzach, złote wieże lśniące w promieniach słońca, pałace kruche jak ozdoby z cukru, ażurowe konstrukcje mostów, wiszące w powietrzu ogrody. Wokół leniwie płynęły obłoki. Widok nie mógł być rzeczywisty. Pochodził wprost ze snów, miraży i marzeń. Erykowi omal serce nie pękło z tęsknoty. Mógłby spędzić wieczność, patrząc na ten żywy cud.

– Co to? – wyszeptał wstrząśnięty.

– Królestwo, synu Adama – powiedział Parmiel. W głosie anioła dźwięczała duma.

Eryk stał wpatrzony, a obłoki leniwie przesuwały się po błękicie.

– No chodź już – szturchnął go Parmiel. – Nie możemy tu sterczeć w nieskończoność.

– Nie chcę – wymamrotał Eryk.

Anioł bezceremonialnie wpakował mu łapę pod ramię.

– Idziemy, i to już! Mamy niedaleko.

Powlókł Eryka przez bulwar. Niedaleko, uświadomił sobie więziń z niepokojem. Jeśli miał spróbować ucieczki, to teraz. Mijali rozstawione wzdłuż nabrzeża stragany.

– Zobacz, jaki piękny sztylet! – zawołał naraz Uwabriel, zatrzymując się przy stoisku płatnerza.

– Daj spokój! – stęknął Parmiel. – Spieszmy się.

Ale brat nie miał zamiaru stracić okazji.

– Ile to kosztuje? – spytał, wymachując sztyletem.

Parmiel zaczął go odciągać od straganu. Kupiec wykrzykiwał cenę, anioł się targował. Eryk, korzystając z zamieszania, postanowił dać nogę. Rzucił się w tłum.

– Oż, ty bydlę! – usłyszał ryk Parmiela.

Biegł, roztrącając przechodniów. Nie myślał na razie, co zrobi, jeśli ucieczka się uda. Zagadnie jakiegoś anioła i już. Ale nie udało się. Poczul nagle silne szarpnięcie za ramię, zobaczył wykrzywioną ze złości twarz z blizną na policzku.

– Co ty wyrabiasz, misiu? – warknął wściekle anioł.

Eryk spróbował się wyrwać i omal nie wyłamał sobie ręki. Chwył Parmiela był silny jak imadło. Za chwilę dołączył Uwabriel.

– Puszczajcie mnie! – krzyknął na cały głos Eryk. – Bandyci! Cholerni porywacze! Na pomoc!

Kilku przechodniów odwróciło głowy, ktoś się zatrzymał.

– Ratunku! – ryknął Eryk.

– Zamknij się, idioto! – Parmiel próbował zatkać usta szarpiącemu się mężczyźnie.

Eryk ugryzł go w rękę.

– Auuu! – rozdarł się skrzydlaty.

– Co tu się dzieje? – odezwał się z tyłu władczy głos.

Trójka walczących zamarła. Wysoki anioł o surowym wejrzeniu i ciemnoniebieskich włosach wyglądał na kogoś ważnego.

– Porwali mnie! – Eryk nic więcej nie zdążył krzyknąć, bo Uwabriel wykręcił mu palec.

– To zbiegła dusza, panie! – zawołał szybko Parmiel. – Właśnie udało nam się ją schwytać.

Wysoki anioł zmarszczył czoło.

– Nie słuchaj ich! – wrzasnął więzień, ale tym razem Uwabriel skutecznie zatkał mu usta.

– Zawsze tak mówią. – Parmiel pokręcił głową. – Zaraza z tymi duszami.

Niebieskowłosy anioł machnął ręką.

– Dobrze już. Zabierzcie go, dość tego zamieszania.

Odwrócił się, żeby odejść, Eryk wydał okropny ryk, lecz aniołowie szybko odwiekli go w stronę najbliższej przecznicy.

– No co ty wyrabiasz, misiu? – sarknął Parmiel. – Niezłego stracha nam napędziłeś.

Trzymali teraz Eryka pod ręce, w ciasnym uścisku między sobą. Obrażony, nie odpowiedział. Minęli kilka uliczek, domki znów zrobiły się nędzne i małe, choć murowane. Zatrzymali się przed kamienną komórką z solidnymi drzwiami. Parmiel wyciągnął zza pazuchy klucz, obrócił w zamku. Aniołowie wepchnęli Eryka do środka. Pomieszczenie było wielkości sporego pokoju, z małymi okienkami pod sufitem. W środku stał długi, drewniany stół, ława i kilka zydli. Pod ścianami prycze i prowizoryczne półki. Całość wyglądała jak karcer lub tymczasowy areszt. Uwabriel zaryglował drzwi. Parmiel wskazał Erykowi ławę.

– Siadaj. Musimy pogadać.

– Chyba tak – mruknął więzień cierpko, ale posłusznie usiadł.

– Naprawdę nie chcemy zrobić ci krzywdy. Rozpaczliwie potrzebujemy pomocy, to wszystko.

Anioł spojrzał na brata.

– Uwabriel, dawaj szkło. Ja tego na trzeźwo nie zniosę.

Na stole znalazły się szybko trzy szklanice z grubego, zielonkawego szkła i pękata flaszka. Parmiel rozlał do naczyń ciemny, czerwonawy płyn, który pachniał korzennie.

– Golnij sobie – mruknął anioł. – Nie bój się. Jest mocne, ale dobre. Nazywa się Łzy Jednorożca. W sam raz na stypę. No to, za Królestwo!

Bracia wychylili po pół szklanki jednym haustem. Eryk spróbował ostrożnie. Skrzydlaty miał rację. Trunek był przedni.

– Który zacznie? – spytał Uwabriel.

Parmiel machnął ręką.

– Dobra, mogę ja. – Zmierzył Eryka uważnym wzrokiem. – Posłuchaj teraz spokojnie, bo musimy ci parę rzeczy wyjaśnić. Jak wiesz, jesteśmy bliźniakami. Aniołami, oczywiście. Może nie bardzo dobrze urodzonymi, ale czystej krwi. Uwabriel służy pod Sarkamiszem, przy trzeciej godzinie nocy, a ja pod Wegnaniem, przy trzeciej godzinie dnia. Parszywa fucha, co tu gadać, ale taki los. Dwie doby temu wracaliśmy obaj z szynku, bladym świtem. To nie był nasz szczęśliwy dzień, synu Adama.

Szare oczy anioła patrzyły ze smutkiem i jakąś straceńczą desperacją. Wspomnienie niedawnych zdarzeń powróciło z niezwykłą wyrazistością.

* * *

Było zimno. Niebo szarzało, lecz nie strząsnęło jeszcze okruchów bladych gwiazd. Bracia wracali na kwaterę podchmieleni, ale nie pijani. Chłodne powietrze otrzeźwiło ich niemal zupełnie. Parmiel narzekał, że spóźni się na wachtę, a Uwabriel miał już dyżur za sobą.

Limbo o tej porze było puste i uszione. Szynki właśnie zamknięto, bywalcy rozeszli się do domów. Mieszkańcy, kupcy i rzemieślnicy, smacznie chrapali w łózkach. Kroki aniołów niosły się cichym echem między kamiennymi murami. Czarne strzępy cieni zalegały w bramach i zaułkach.

– Hej, co to za szmer? – spytał naraz Uwabriel.

– We łbie ci szumi i tyle. – Jego brat się zaśmiał.

Uwabriel zatrzymał się, nasłuchiwał.

– Nie, czekaj! Nic nie słyszysz?

Stali przez chwilę w milczeniu i do Parmiela także doszedł nikły chrobot. Anioła przeszedł dreszcz.

– Lepiej stąd chodźmy. Cholera wie, co się włóczy po Limbo o takiej godzinie.

– Aleś wymyślił! – fuknął oburzony Uwabriel. – Przez takich jak ty panuje ogólna znieczulica, a bandyci czują się bezkarni. Może ktoś potrzebuje pomocy?

Parmiel wzruszył ramionami.

– Pewnie się okaże, że my – burknął.

Uwabriel nie słuchał. Wolnym krokiem ruszył w stronę pobliskiego zaułka.

– Gdzie leziesz? – syknął brat.

Anioł uspokajająco machnął ręką.

– Dźwięk dochodzi stamtąd. Tylko sprawdź.

Parmiel wzniosł oczy do nieba, ale podążył za bratem. Uliczka wybrukowana była kocimi łbami. W słabym świetle przedświtu migotały niewielkie, ciemne kałuże. Uwabriel przypadkiem wdepnął w jedną z nich i szybko cofnął nogę. Parmiel przełknął ślinę. Przyklęknął ostrożnie. Ciecz była gęsta, lepka i cuchnęła krwią. Podniósł wzrok na brata.

– Spadamy stąd, stary.

Twarz Uwabriela pokryła się bladością, ale anioł potrząsnął głową.

– Nie. Tam może być ktoś ranny.

– Oszalałeś?! To paskudna sprawa. Nie mam zamiaru się w to mieszać!

W oczach Uwabriela zalśniła niezłomność.

– A ja tak! W końcu jestem skrzydlatym, poddanym Jasności. Zachowam się jak anioł. A ty, jak chcesz! Idę, Parmiel. Muszę sprawdzić, czy nie ma tam rannych potrzebujących pomocy.

– Czekaj! – jęknął Parmiel, ale brat wkroczył już w zaułek. Nie zostało mu nic innego, jak pójść za nim.

Za rogiem istotnie byli ranni, ale nic prócz cudu nie mogłoby im pomóc. Obaj leżeli w kałużach krwi, a obok, jak małe księżycy, lśniły dwa noże. Ciemnowłosa, barczysty Głębianin pólśiedział oparty o mur. Głęboka czerwień barwiła mu ubranie, twarz i ręce. Przypatrywał się aniołom spod zmrużonych powiek, a wielki, pokraczny pistolet w jego dłoni wlepił w braci cyklopie ślepie. Pod murem, w zasięgu ręki Głębianina, leżał elegancki, srebrzysty neseser.

Gdyby Parmiel ośmielił się poruszyć, skulby bratu gębę aż miło. A nie mówiłem! – był wewnętrzny głos w głowie.

Aniołowie zamarli, ze ściśniętymi gardłami i pobladłymi twarzami, a ranny mierzył ich wzrokiem. Cisza się przedłużała. Uwabriel spróbował zrobić pół dyskretnego kroczka w tył.

– Ani drgnij! – wykrakał chrapliwie Głębianin.

Pistolet w jego ręce podskoczył lekko. Zabije nas, pomyślał z niedowierzaniem Parmiel. Zabije, jak nic. Z trudem przełknął ślinę.

– Posłuchaj – wymamrotał. – Jesteś ciężko ranny. Potrzebna ci pomoc. Zostanę z tobą, a mój brat pójdzie...

– Nie! – Palec na spuście osunął się niebezpiecznie.

– Nie ruszam się! – krzyknął rozpaczliwie Parmiel. – Stoję w miejscu!

Głębianin ze świstem wciągał powietrze.

– Ciszej – wychrypiał.

Boi się, że przyprowadzimy żandarmów, pomyślał anioł. Nie pozwoli nam odejść. Załatwi nas. Popatrzył z wściekłością na brata. Zaraza na twoje miłosierdzie, Uwabriel! Oblizwał suche wargi.

– Pozwól się chociaż opatrzyć...

– Precz! – warknął ranny. – Nie zbliżać się, bo zabiję!

Cwaniak, przeszło przez myśl aniołowi. Wie, że jeśli dopuści nas do siebie, rzucimy się i spróbujemy zabrać mu broń. Rozejrzał się ostrożnie wokoło. Nie załatwi nas bez koniecznej potrzeby. Boi się, że przypadkowy patrol usłyszy huk wystrzału. Dlatego walczył na noże. Jest już prawie rano, zaraz zacznie się ruch. Na co liczy? Może na kogoś czeka? Parmielem wstrząsnął dreszcz. Tak czy inaczej, żywych nas nie wypuści.

Czas sączył się jak krew z rany. Aniołowie stali nieporuszeni, niczym osobiwe, identyczne posągi, niemi strażnicy Głębianina i walizki. Świt powoli różowił niebo. Z zimna i strachu szczękały zęby. O Jasności, Jasności, błagam, wyciągnij nas z tego, bezgłośnie modlił się Parmiel. W końcu był tylko zwykłym skrzydlatym. Nie znał się na broni, ciemnych interesach i sposobach wybrnięcia z gardłowych sytuacji. Całe jego doświadczenie bojowe ograniczało się do kilku, niewinnych w sumie, bójek w knajpach. Uwabriel stał obok, błąd i jakiś dziwnie obcy. Czas płynął, a Parmielowi powoli zbierało się na płacz. Przecież mogli sterczeć w tym zaułku do skończenia świata.

O Panie, szeptał do siebie, błagam, niech coś się stanie! Niech nas zabije albo wypuści, byle zaraz. Nie zniosę dłużej czekania!

Czas płynął. Niebo pokryło się błękitem, ciepłe palce słońca ślizgały się po dachach. Parmiel słyszał trzask podnoszonych w sklepach żaluzji, zgrzyt odsuwanych rygli. Po ulicy przejechał wóz.

W ciemnym zaułku panowały półmrok i groza.

Oczy demona wpatrywały się w aniołów nieruchomo, jak ślepiec gada. Lśniły szkliscie, zimno.

– On chyba umarł – szepnął Parmiel.

Uwabriel rozdziawił usta. Parmiel zrobił maleńki kroczek naprzód. Głębianin nie drgnął. Jeszcze jeden kroczek. Nic. Skoczył gwałtownie i wyrwał rannemu pistolet. Głębianin osunął się na bok.

– Chodu! – krzyknął Parmiel i rzucił się do ucieczki, nie czekając na brata. Za sobą słyszał kroki galopującego Uwabriela. Brat dopadł go, szturchnął w plecy.

– Schowaj to! – wysapał, nie zwalniając biegu.

Parmiel nie bez zdziwienia zauważył, że wymachuje zabranym demonowi pistoletem. Biegając, upchnął broń za pazuchę.

Przez najbliższą bramę bracia dostali się do Pierwszego Nieba. Roztrącając spieszących do pracy aniołów służebnych, wpadli do Domu Siedemdziesiątego Szóstego przy Bramie Krogulców. Zaryglowali drzwi swojej kwatery i dysząc, osunęli się na podłogę. Dopiero wtedy Parmiel zauważył, że Uwabriel zaciska palce na rączce srebrnego neseseru.

– Na Otchłań! – wrzasnął. – Po coś to zabrał?!

Uwabriel rozgarniał mokre od potu włosy.

– Ktoś oddał za nią życie. Może być ważna.

– Natychmiast odnieś walizkę! – zażądał Parmiel.

Brat popatrzył na niego krzywo.

– Pewnie już go znaleźli. Zaułek roi się do żandarmów. Odniosę, jeśli pójdziesz ze mną i wytłumaczysz, skąd ją mamy.

Parmiel zaklął.

– No dobra – mruknął. – Pora zobaczyć, co jest w środku.

Położył walizkę na kolanach. Była ciężka. Uwabriel pochylił się ciekawie.

– Magiczny zamek!

Parmiel parsknął z pogardą.

– Nie widziałem jeszcze takiego magicznego zamknięcia, na które nie pomógłby dobry scyzoryk.

Wyciągnął nożyk z kieszeni, majstrował chwilę. Wieko odskoczyło z trzaskiem.

– O dupa! – powiedział i gwizdnął przez zęby.

Uwabriel poszarzał na twarzy.

– Pięknie, co? – warknął wściekle Parmiel. – Ważne rzeczy. Ano pewnie. Koniec z nami, braciszku. Czas odśpiewać rekiem. Bo o te twoje ważne rzeczy z pewnością ktoś się upomni.

Nesesor wypełniały fiolki z brązowym lub przezroczystym płynem i paczuski z czymś, co wyglądało jak siano.

* * *

– Co było w walizce? – Eryk nie potrafił ukryć podekscytowania.

Parmiel popatrzył ponuro.

– Prochy, misiu.

Eryk się zachnął.

– Co ty, robisz ze mnie głupka? Jakie prochy? Przecież aniołowie nie ćpają!

– Jeszcze jak! – mruknął skrzydlaty. – Od dobrych paru wieków. Coś złego stało się ze światem, synu Adama. Kiedyś wszystko opromieniała chwała Jasności. Każdy mógł z niej czerpać do woli. Od pewnego czasu coś się jednak popsuło. Światłość przygasła, przestała przenikać każdy zakątek wszechświata. Wielu skrzydlatych cierpi z tego powodu. Stracili kontakt z Jasnością, źródłem życia, siły i wiary. Szukają sobie namiastek. Zwracają się przede wszystkim w stronę Królowej, ale i jej błogosławione, słodkie światło zanika. Zostają miejsca i rzeczy, które nasyciła swą mocą na Ziemi. Wiesz, miejsca objawień, święte źródła, obrazy. Góra potępia to w czambuł. Za handel lub używanie zakazanych substancji można przez wieki gnić w lochu. Za przemyt grozi nawet czapa. Łapę na zbycie i zyskach trzymają głównie Głębianie. Widzisz, w co się wpakowaliśmy? Jakbyśmy zadarli u was z mafią kolumbijską, rozumiesz?

Eryk pokręcił głową.

– Czym wy się, u diabła, możecie naćpać? Przecież nie koką.

– Pewnie, że nie. Ale wodą z Lourdes już śpiewająco. Albo krwawymi łzami płaczących figur. Są podobno najmocniejsze i cholernie drogie. Popalić ususzoną trawkę z Fatimy też ponoć można z dobrym skutkiem.

Anioł uśmiechnął się krzywo.

– Fajnie, co?

– No dobra, macie problem. Ale to jeszcze nie katastrofa. Jeśli ktoś przyjdzie po towar, oddajcie walizkę i po strachu. Wątpię, żeby was od razu zabili. Trupy to zawsze dochodzenie, kłopoty, węszący policjanci. U was pewnie wszystko też tak wygląda.

Parmiel w milczeniu skinął głową.

– Nie macie się co bać. Oddacie walizkę i po sprawie. Filmów nie oglądacie? Nie załatwią was.

– Załatwią – powiedział anioł ponuro. – Bo nie mamy już walizki. W każdym razie nie mamy zawartości. Nie sędzę, żeby Głębianie zadowolili się samym neserem, chociaż jest naprawdę elegancki.

– Zaraz – szepnął Eryk z niedowierzaniem. – Sprzedaliście towar? A forsa? Przehulaliście całą w dwa dni?

Parmiel westchnął. Rzucił mordercze spojrzenie w kąt, gdzie drugi anioł udawał, że wyciera szklanki.

– Mylisz się, misiu. Nic nie sprzedaliśmy. Mój brat, Uwabriel, dzielny samarytanin, wszystko rozdał.

– Co?! – krzyknął Eryk. – O rany!

Parmiel potarł kwadratową szczękę.

– I ja nie mogłem uwierzyć. Ale zrobił to. – Twarz anioła wykrzywił szyderczy grymas. – „Bo ci biedacy tak cierpieli bez Jasności”. A teraz nam przyjdzie pocierpieć, kiedy właściciele upomną się o swoje dobro.

– Może zrozumieją – mruknął z powątpiewaniem Eryk.

– Nie, misiu. Nie zrozumieją. To Głębianie. Po twojemu, demony. Na nich nie działają podobne subtelności. Zresztą, już raz nas dorwali. Wiedzą, że mamy walizkę, i bardzo chcą się dowiedzieć, gdzie ją trzymamy. Dopadli nas nocą, następnego dnia, kiedy Uwabriel szedł na dyżur. Odprowadzałem go, dla bezpieczeństwa, ale nie pomogło. Skopali mnie tak, że chyba mam pęknięte zebro, a bratu złamali dwa palce. Uratował nas patrol żandarmerii przechodzący obok. Rzadko się cieszę na widok glin, ale o mało ich nie wyściskałem. Głębianie zwiali, a my od tego czasu ukrywamy się. Wynajęliśmy tę kanciapę i boimy się nosa wyściubić.

– Skąd wiedzieli, że macie towar?

Anioł wzruszył ramionami.

– Cholera ich wie. Wiedzieli i już. Pewnie ktoś im podkapował.

Eryk podrapał się w ciemność.

– Może powinienem was obejrzeć? Jestem w końcu chirurgiem.

Bracia wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Nie teraz, misiu. Potem naoglądasz się nas do woli. Zaraz robi się ciemno. Wtedy wyjdziemy.

– Dokąd?

Anioł znów wzruszył ramionami.

– Na umówione miejsce. Zobaczysz.

Eryk pojął, że niczego więcej się nie dowie. Mimo protestów trzeźwej strony natury musiał przyznać, że polubił braci.

– Długo będziemy czekać?

– Dopóki noc nie zapadnie na dobre – odezwał się nieśmiało Uwabriel.

Parmiel wciąż patrzył na niego jak na glistę.

– To może wypijemy po szklaneczce i opowiecie mi trochę o zaświatach. Mam mnóstwo pytań. Ludziom nie zdarzają się takie okazje. W każdym razie, nie wszystkim.

– Racja. Polej, Uwabriel. Na trzeźwo tracę wyrozumiałość.

Skrzydlaty, z miną zbitego psa, napełnił szklanki. Eryk pociągnął łyk.

– Jak to możliwe, że jesteście bliźniakami?

Uwabriel z wdzięcznością przyjął zmianę tematu.

– Czasem w nieustannej pieśni wszechaniola Wretila Metatrona, której dźwięki powołują do życia nowe anioły, trafi się podwójna nuta. Wtedy rodzą się bliźnięta.

– Pogubiłem się trochę, kiedy tłumaczyłeś. Jak wygląda ten zaświat? No, niebo, piekło i reszta?

Uwabriel przysunął sobie zydeł, upił łyk gorzałki.

– Widzisz, Królestwo przypomina ogromny tort. Składa się z siedmiu wznoszących się kręgów, nazywanych Niebami. Zwykli skrzydlaci mają dostęp tylko do Czwartego Nieba, gdzie mieszczą się wszystkie ważne gmachy państwowe i urzędy. Wyżej mogą wchodzić wyłącznie dobrze urodzeni. Świetliści. Królestwem rządzi regent, archanioł Gabriel i rada siedmiu archaniołów, którzy dostępują zaszczytu wstępowania przed Tron Pański. W Siódmym Niebie rezyduje sama Jasność, ale mało który skrzydlaty Ją widział. Głębia mieści się bezpośrednio pod Królestwem i wygląda podobnie, ale odwrotnie, niczym odbicie w wodzie. Składa się z siedmiu Piekieł, a w najniższym stoi Pandemonium, reprezentacyjny pałac Lucyfera. Najwyższy krąg Głębi nazywa się Przedpiekle. Limbo to rodzaj podgrodzia, równocześnie dla Otchłani i Królestwa. Mieszkańcy trudnią się handlem i rzemiosłem, są neutralni i żyją z obu państw, które zaopatrują się tu w niezbędne towary. Limbo otacza z jednej strony Rzeka Czasu, która wpada do Praoceanu. Z drugiej ciągną się Lasy Cieni, a za nimi są Strefy Poza Czasem ze swoimi dziwnymi mieszkańcami. Aha, w różnych niebach Królestwa bywają jeszcze prowincje, którymi władają możni skrzydlaci. Jest ich stu dziewięćdziesięciu sześciu czy stu sześćdziesięciu dziewięciu, nie pamiętam. Królestwo ma ponadto w posiadaniu Księżyc, Słońce i planety. Chór Potęg opiekuje się porządkiem w kosmosie.

Parmiel wstał, zadarł głowę i wyjrzał przez małe okienko.

– Ściemniło się – powiedział. – Wystarczy tej geografii. Musimy iść dalej.

* * *

Wyszli w noc. Eryk nigdy nie widział tak rozgwieżdżonego nieba. Zdawało mu się, że poznaje niektóre konstelacje, ale nie był pewien. Ogromne gwiazdozbiory sprawiały wrażenie, jak gdyby miały lada chwila spaść. Przez głęboką czerń firmamentu przepływały wielokolorowe mgły. Przez moment Eryk gotów był przysiąc, że widzi srebrzystego jeźdźca, galopującego wysoko po niebie, ale szybko doszedł do wniosku, iż to tylko spadająca gwiazda. Ogromny, złotawy księżyc świecił bardzo jasno. Sylwetki człowieka i aniołów rzucały wyraźny cień na bruk ulicy.

– No chodź, misiu. Nie gap się – powiedział Parmiel.

Eryk z westchnieniem usłuchał. Zagłębili się w mroku między domami. Skrzydlaci milczeli, więc Eryk też się nie odzywał. Zaciągnął po szyję suwak kurtki, bo zrobiło się chłodno. Kroki odbijały się głuchym echem wśród murów.

Czasami przemknął samotny przechodzień, najczęściej geniusz lub opatulony szczelnie peleryną Głębianin.

W oknach mijanych domów panował mrok, bardzo rzadko dawał się zauważyć nikły poblask lampy. Chyba nie mają elektryczności, pomyślał Eryk.

Aniołowie skręcili w szeroką przecznicę, zabudowaną wysokimi, jak na Limbo, kamienicami. Była oświetlona latarniami przypominającymi okrętowe. W szklanych kloszach migotały mdłe płomyki podobne do uwięzionych ciem. Dawały jednak równe, mocne światło i Eryk domyślił się, że muszą mieć magiczne pochodzenie.

Bracia rozglądali się nerwowo, wyraźnie obawiając się jasnej, otwartej przestrzeni. Z ulgą skręcili w pogrążoną w mroku ulicę. Pędzili tak szybko, że chirurg został nieco z tyłu. Przyspieszył, żeby ich nie zgubić. Zza rogu nagle wyłoniła się drepcząca szybkim krokiem postać, która omal nie wpadła na Eryka. Był to anioł w burej tunice.

– Przepraszam – wymamrotał, podniósłszy głowę.

Na niezbyt urodziwej twarzy odbiło się zaskoczenie, szybko zastąpione przez gniew. Skrzydlaty wczepił palce w rękaw kurtki mężczyzny.

– Ha! – krzyknął. – Mam cię wreszcie! Natychmiast pójdziesz ze mną!

Dopiero wtedy Eryk rozpoznał swego anioła stróża.

– Zaczekaj – powiedział. – Ktoś mnie prosił o przysługę. Załatwię sprawę i będę do twojej dyspozycji.

Z głębi ulicy ciężkim truchtem nadbiegali bracia.

– Chodź natychmiast! – wrzasnął stróż piskliwie, szarpiąc rękaw kurtki.

– Powiedziałem, że za chwilę. – Eryk poczuł narastającą irytację.

– Puść go! – zawołał Parmiel.

Kanciastą twarz, widoczną pod szopą jasnych włosów, wykrzywiła wściekłość.

– Bandyci! – wydarł się stróż. – Mordercy! Szubienicy na was mało!

– Zamknij się – syknął Uwabriel. – Ściągniesz patrol!

Parmiel próbował wyszarpać Eryka z uścisku skrzydlatego, ale stróż wpił się jak pijawka.

– Właśnie! Patrol! – wrzasnął. – Żandarmeria! Na pomoc! W oknie naprzeciw zapłonęło światło.

– Ciszej! – jęknął zdesperowany Uwabriel, próbując zatkać wykręcającemu się aniołowi usta.

– Żandarm...

Sierpowy Parmiel był szybki i krótki. Skrzydlaty zwiądnął w objęciach Eryką.

– No, nie wiem... – zaczął Uwabriel, ale urwał, bo w szarych oczach brata płonęła żądza, mord.

– Nie miałem wyjścia – warknął Parmiel, wzruszając ramionami.

Eryk ostrożnie położył stróża na bruku. Anioł wydał mu się mały i chuderlawy, zwłaszcza w porównaniu z masywnymi postaciami braci. Poczuł lekkie wyrzuty sumienia. W końcu to był jego anioł stróż, a potraktował go w sumie dość podle. Może powinien okazać więcej lojalności?

– Co z nim zrobimy? – spytał.

– Zostawimy, misiu. Nie martw się, nic mu się nie stanie. A teraz chodu, bo żandarmeria zaraz tu będzie.

Parmiel chwycił Eryka za rękę i zmusił do biegu. Chirurg pędził opustoszałymi ulicami Limbo, oblewając się potem i gorzko żalując, że trzy lata temu zaprzestał gry w tenisa. Aniołowie nie dostali nawet zadyszki.

– Czekaście – wysapał. – Już nie mogę...

Zwolnili.

– Jeszcze dwie przecznice – powiedział uspokajająco Uwabriel. – Niedaleko.

Mówił prawdę. Dwie ulice dalej aniołowie zatrzymali się na niewielkim placu, pod fontanną z figurą trytona. Parmiel nerwowo rozglądał się dokoła. Wtem z głębokiego cienia pod ścianą domu wyłoniła się zakapturzona postać. Przybysz zbliżył się do skrzydlatych.

– Spóźniliście się – mruknął.

Pod kapturem Eryk rozpoznał pociągłą, chudą twarz geniusza.

– Drobne problemy – powiedział Parmiel.

Geniusz skinął ręką.

– Chodźcie za mną.

Zagłębili się w ciemny zaułek, który kończył się ślepią ścianą z masywnymi drzwiami. Szczelin kamiennego muru czepiał się bluszcz.

Geniusz wy dobył z fałdów peleryny wielki, ozdobny klucz. Zamek zazgrzytał.

– Wchodźcie. Tylko skończcie do świtu.

Parmiel skinął głową. Geniusz dał mu klucz i oddalił się spiesznie. Uwabriel wszedł pierwszy, Eryk za nim. Znalazł się z obszernej komnacie, oświetlonej zawieszonymi u sufitu lampionami. Pośrodku stał duży stół z przymocowanymi do blatu grubymi skórzanymi pasami, zapinanymi na klamry. Pod ścianami ciągnęły się półki zapchane dziwnymi gratami. Stały tam słoje kolorowych płynów i brunatnych mazideł, smukłe fiołki napełnione kryształkami różnych soli, wyschłe szczątki małych zwierząt i owadów, węzowe skórki, naczynia dziwnych kształtów i mnóstwo przedmiotów, których przeznaczenia nie dało się na pierwszy rzut oka odgadnąć. Eryk zwrócił uwagę na imponującą kolekcję noży i metalowych, lśniących złowrogo narzędzi. Z powały zwisały wypchana jaszczurka i zasuszony nietoperz. Eryk odwrócił się ze zdziwieniem ku braciom.

– Co to ma być? – spytał.

– Pracownia czarnego maga i medyka – rzekł Parmiel. – Wynajęta do rana.

Wydawał się zdenerwowany. Uwabriel uciekał wzrokiem w bok.

– Ciekawe – ocenił Eryk. – Nigdy nie widziałem podobnego miejsca. Tylko co mam tu robić? Przebrać się na Halloween?

– Nie, misiu – powiedział Parmiel poważnie. – Przeprowadzić operację.

– CO?!

Anioł wcale nie żartował. Wyglądało, że mówi poważnie.

– Jesteś chirurgiem plastycznym, prawda? Zmienisz nam pyski, żebyśmy mogli zaszyć się spokojnie gdzieś w Limbo, a potem wyemigrować do Stref Poza Czasem.

Eryk obrzucił wzrokiem pracownię.

– Poszaleliście! Tutaj? Operację?! Ja bym tu nie opatrzył skaleczonego palca! A poza wszystkim, to nierealne! Musiałbym mieć narzędzia, całkowicie wyposażoną salę, wykwalifikowaną pomoc, wyniki badań! Przecież nawet nie znam waszej fizjologii, anatomii, cholera wie czego! A gdzie anestezjolog? Miałbym was kolejno tłuc młotkiem po łbach? Nie ma mowy! Odmawiam. W życiu nie spotkałem podobnego idiotyzmu. – Spojrzał prosto w oczy anioła. – I podobnych idiotów.

Parmiel rozłożył ręce.

– To nasza jedyna szansa! Człowieku, oni nas zabiją! Chcesz mieć dwóch uczciwych aniołów na sumieniu?

– Właśnie nie chcę! – wrzasnął Eryk. – Dlatego mówię NIE! Są tu jacyś czarodzieje, idźcie do nich. Zrobią hokus-pokus i zmienią was w abażur albo w Sophie Loren.

– Zapomnij o tym – szepnął Uwabriel. – Nie istnieją takie zaklęcia. Czar przemiany działa przez dobę od założenia, a już po kilku godzinach zaczarowany zaczyna z wolna powracać do własnej postaci. Traci charakterystyczne cechy iluzorycznej twarzy na rzecz własnych. Poza tym podobne zaklęcia umieją rzucać tylko wysoko wykwalifikowani magowie. I słono każą za to płacić.

– Jak myślisz, misiu – wtrącił Parmiel – po co byśmy cię porywali?

– Jeśli chcieliście rzeźnika, który by wam poharatał pyski tak, żeby was własny Metatron, czy inna matka, nie poznał, trzeba, było iść do tej, jak jej tam, Głębi, albo do pierwszej lepszej speluny, a nie do chirurga! – krzyknął rozwścieczony Eryk. – Myślałem, że macie więcej rozumu! Kiepskie to całe niebo, jeśli aniołowie potrafią być tacy głupi! Cholera, siano zamiast mózgu! Idioci.

Uwabriel spuścił oczy, odruchowo przestępował z nogi na nogę. Parmiel przeciągnął ręką po twarzy.

– No to mamy przesrane. Koniec z nami. Czapa.

Drzwi otworzyły się tak cicho, że nie usłyszeli nawet skrzypnięcia. Eryk pierwszy zobaczył Głębianina z pistoletem. Przestał się pieklić i rozdziawił ze zdziwienia usta.

– Doskonale ujęte – odezwał się Głębianin cichym, uprzejmym głosem. – Wizjonersko, rzekłbym.

Bracia drgnęli. W jednej chwili pobledli jak papier. Do komnaty wsunęło się jeszcze dwóch Głębian.

– Odwróćcie się i przyjmijcie do wiadomości, że w miejscach równie podejrzanych jak to nie staje się plecami do drzwi – ciągnął demon tonem uprzejmej konwersacji. – To pierwsza zasada. Druga brzmi: nie zabiera się cudzej własności, jeśli nie chce się popaść potem w kłopoty. A wyście właśnie popadli, panowie.

Eryk przypatrywał się stojącemu w niedbałej pozie Głębianinowi i doszedł do wniosku, że rozumie, co oznacza termin Mroczny. Demon z pistoletem z całą pewnością należał do tej kategorii. Kosztowny, doskonale skrojony surdut z czarnego aksamitu znamionował istotę zamożną, a suchy, ostry profil i oszczędne gesty – arystokratę, ale nie to różniło go od dwóch pozostałych Głębian. Demon emanował ciężką, ciemną energią, jakby dziwnym rodzajem mrocznego światła. Miał smagłą cerę i srebrne włosy. Wcale nie siwe, tylko srebrzyste jak rtęć. Takiej samej barwy były też tęczówki oczu, a Eryk wcale się nie zdziwił, stwierdziwszy, że kolory są naturalne.

Aniołowie stali ponurzy, nieporuszeni. Milczeli. Mroczny uśmiechnął się paskudnie.

– Zaczniemy od tego, że oddacie grzecznie broń nieodżałowanego Bretora. Ale ostrożnie i powoli, bo moi przyjaciele są trochę nerwowi.

Dwaj zwaliści, tęponosi Głębianie wyglądali, jakby słowo nerwy nie figurowało w ich słowniku. W garściach wielkich jak bochny trzymali broń. Przypominali gangsterów z filmów sensacyjnych.

Parmiel dwoma palcami wyciągnął spod tuniki pistolet i położył na stole.

– Pchnij go do mnie – zakomenderował Mroczny.

Anioł wykonał polecenie.

– Doskonale – mruknął demon. – Nie mogłem przecież pozwolić, żeby znajdował się w niefachowych rękach. Jeszcze stałaby się komuś krzywda, a tego nie chcemy, prawda?

W uśmiechu błysnęły krótkie białe kły.

– Zasada trzecia: Kto mieczem wojuje, ten zna się na rzeczy albo idzie do piachu.
Przejdźmy do meritum: gdzie jest walizka, panowie?

Parmiel przełknął ślinę.

– Nie mamy jej.

– Doprawdy? – Mroczny uniósł brwi. – W takim razie gdzie forsa ze sprzedaży?

– Niczego nie sprzedaliśmy – wyjaśnił ponuro anioł. – Mój brat rozdał towar za darmo.
Już wam tłumaczyłem.

Głębianin pochylił głowę.

– Ach tak? – spytał przeciągle. – Po prostu rozdał? Tak zwyczajnie? Co to musiała być za uroczą sceną! Wzruszająca. Słodki aniołek rozdaje potrzebującym wsparcie i pociechę. Aż się wierzyć nie chce. I wiecie co? Nie wierzę.

– Parmiel mówi prawdę! – krzyknął rozpaczliwie Uwabriel. – Rozdałem! Rozwalcie mnie! On nic nie wiedział.

Oczy Mrocznego zaświeciły.

– Jesteśmy sprawiedliwi – odparł z uśmiechem. – Rozwalimy wszystkich.

– Człowieka zostaw! – zawołał Parmiel. – Nie ma z tą sprawą nic wspólnego. Przecież nie zabijesz syna Adama!

Srebrne, przenikliwe spojrzenie spoczęło na twarzy Eryka. Chirurg mimowolnie zadrżał. Chciał powiedzieć, że nie ma się o co spierać, bo on już od pewnego czasu nie żyje, ale nie mógł wydobyć głosu ze ściśniętego gardła.

– Zabijałem już ludzi, zrobię to i teraz – rzekł demon prawie łagodnie. – Chyba że powiecie, gdzie jest towar?

– Przecież mówię, że nie ma! – krzyknął Parmiel z rozpaczą. – Rozdaliśmy!

– Rozdaliście? No dobrze. – Mroczny skinął głową dwóm ponurym Głębianom. – Związać ich!

Demony wyciągnęły z kątów pracowni dwa kulawe krzesła, zmusiły braci, żeby usiedli, i przywiązały obu do mebli. Erykiem nikt się nie zajmował.

– Pogadamy inaczej – warknął Mroczny. – Gdzie walizka?

Aniołowie milczeli. Srebrnooki wskazał palcem Parmiela i wypowiedział zaklęcie w języku, którego Eryk nie rozpoznał. Aniołem targnął ból. Szarpnął się do przodu, aż napięte więzy wpiły się głęboko w ciało. Zacisnął szczęki, na czole zaśniły krople potu. Widać było, że z trudem powstrzymuje krzyk.

– Zostaw go! – krzyknął Uwabriel. W jego głosie brzmiało cierpienie. – Jest niewinny! To ja rozdałem towar!

– Chcesz dołączyć? – syknął demon. – Proszę bardzo!

Uwabriel wygiął się w łuk, zagryzł wargi.

Eryk spostrzegł z przerażeniem, że skóra Parmiela wokół głęboko wrzynających się sznurów zaczyna się tlić. Zaśmierdziało przypalonym mięsem.

– Oni naprawdę rozdali towar! – zawołał z rozpaczą. – Przysięgam! Widziałem pusty neseser.

Srebrne oczy, zimne jak mróz, obróciły się na Eryka.

– Ach, więc jednak coś wiesz, synu Adama. Gadaj!

Świszczący oddech Parmieła z wolna przechodził w jęk. Eryk zebrał się na odwagę.

– To przestań torturować moich przyjaciół! – warknął.

– Bardzo proszę. – Mroczny machnął w powietrzu ręką, jakby jednym ruchem chciał zakończyć cierpienie aniołów.

Uwabriel z trudem chwycił powietrze, z nosa Parmieła płynęła strużka krwi.

Smągła twarz demona wydawała się obojętna jak maska.

– Mów, synu Adama – powiedział cichym głosem. – Chyba że też chcesz się posmażyć.

– Człowiek nic nie wie – wychrypiął Parmiel. Szare oczy pociemniały z bólu. – Wypuść go.

Mroczny przysunął się do Eryka. Był bardzo wysoki. Chwycił chirurga pod brodę, siłą zadarł mu głowę. Srebrne oczy lśniły jak laser.

– Co widziałeś, synku? Mów.

– Pusty neseser – skłamał Eryk.

– Ach tak! – warknął Mroczny. Skinął głową czekającym w milczeniu kumpłom. – Jego też związać.

Demony powlokły chirurga do krzesła. Zabrały się do krępowania rąk wyrywającego się Eryka, gdy nagle drzwi do pracowni rozwarły się z trzaskiem. Huknęły dwa wystrzały. Obaj Głębianie padli na podłogę niczym kukły, którym przecięto sznurki. Wszystko trwało ułamek sekundy.

– Rzuć broń, Dantalion! – rozkazał Mrocznemu stojący w progu Głębianin.

Srebrnooki odsłonił kły we wściekłym grymasie, ale upuścił pistolet.

– Kopnij go w moją stronę! O, tak. Doskonale.

Przybysz wszedł do pracowni i podniósł broń z podłogi, nie spuszczać przy tym wzroku z Dantaliona. Cały czas patrząc na przeciwnika, cofnął się, zatraskując drzwi. Potem podszedł do leżących ciał i dla pewności strzelił każdemu w głowę.

– Dantalion, przyjacielu – powiedział niskim, gardłowym głosem. – Co za spotkanie! Miło, że tak usilnie starasz się odzyskać walizkę, którą pożyczyłeś...

Splunął przez zęby na podłogę.

– ...bez mojej wiedzy i zgody.

Dantalion milczał. Nowo przybyły pokręcił głową. Z całą pewnością także należał do Mrocznych, a jego energia emanowała wielką mocą. Był wysoki i krzepki. Połyskujące granatowo włosy nosił związane w węzeł. Surowa twarz przypominała rzeźbę z granitu. Policzki i brodę pokrywał kilkudniowy zarost. Oczy lśniły turkusowo. Mieszkały w nich chłód i niezłomność.

– Brzydko okradać przyjaciół – odezwał się do milczącego Dantaliona. – Przedkładać parę groszy nad wypróbowaną przyjaźń. Smutne. Świat schodzi na psy.

– Sukinsynu – wysyczał srebrnowłosey Mroczny. – Skąd wiedziałeś?

Demon o turkusowych oczach odsłonił w uśmiechu olśniewająco białe zęby, ostre jak kły drapieżcy.

– Przecież mówiłem wam, że nigdy nie należy ufać kapusiom. Pewien geniusz trochę dzisiaj zarobił. Widzisz, jak się robi interesy? Aniołom wynajął lokal, tobie sprzedał ich głowy, a mnie twoją. To się nazywa zmysł do handlu, co?

Dantalion stał tyłem do stołu, oparty o blat. Oczy aniołów śledziły z napięciem obu rozmówców, ale tylko Eryk był w stanie dostrzec ze swego krzesła, że srebrnowłosey Mroczny zasłania sobą leżący na stole pistolet, który zabiał przedtem Parmielowi.

Palce Dantaliona skurczyły się lekko. Demon szykował się porwać broń. Powodowany nagłym impulsem Eryk krzyknął do drugiego Mrocznego:

– Uważaj! On ma broń!

Granatowowłosey uskoczył w bok, pociągnął za cyngiel. Dwa wystrzały huknęły jednocześnie. Dantalion upadł ciężko na podłogę. Pistolet drugiego Mrocznego ponownie plunął ogniem. Ciało srebrnookiego drgnęło i znieruchomiało. Ocalały demon zatoczył się na drzwi i osunął na posadzkę. Obie ręce przyciskał do rosnącej czerwonej plamy na boku. Po palcach płynęła krew. Pistolet upadł, leżał obok uda Mrocznego. Demon przymknął powieki. Chyba stracił przytomność.

Eryk gorączkowo wysupływał się z więzów, których Głębianie nie zdążyli dobrze zacisnąć.

– Nic wam nie jest? – zawołał z niepokojem do aniołów.

– W porządku, misiu. Przeżyjemy – odpowiedział nieco chrapliwie Parmiel.

Eryk chwycił nóż z półki, porozcinał więzy. Oparzenia na nadgarstkach anioła wyglądały paskudnie. Skrzydlaty wstał sztywno, ostrożnie rozcierał ręce. Chirurg uwolnił Uwabriela.

– Co za chryja! – mruknął Parmiel. Oczy anioła spojrzały na Eryka z wdzięcznością. – Dzięki, stary. Uratowałeś nam życie. Gdyby nie ty... Ech! Zachowałeś się jak prawdziwy skrzydlaty!

Chirurg poczuł, że się czerwieni.

– Przyjaciołom trzeba pomagać, nie? Chodź, opatrzę ci ręce.

Parmiel klepnął go w plecy.

– Bez pośpiechu. Nie umrę od tego.

Uwabriel ostrożnie zbliżył się do granatowowłosego Mrocznego. Kopniakiem odrzucił pistolet daleko w kąt pracowni. Przyklęknął.

– Żyje – powiedział. – Ale strasznie krwawi.

Parmiel podszedł do brata, spojrzał na twarz nieprzytomnego Głębianina i gwizdnął przez zęby.

– To Adramelech. Prawdziwa szycha. Bardzo potężny Mroczny. Kumpel Lucyfera i Asmodeusza. Wielki kanclerz Otchłani. Kawaler Orderu Muchy. Arystokrata. Jest znanym rusznikarzem. Robi doskonałą broń. Niezłe hobby dla Głębianina, co? Nie wiedziałem, że zajmuje się prochami. Faktycznie, krwawi jak zarzynana świnia.

Eryk przemierzył salę. Schylił się po odrzucony pistolet. Broń miała nietypowy kształt, nie przypominała żadnego znanego mu ziemskiego modelu. Długą lufę pokrywały dziwne, wygrawerowane znaki. Eryk obracał pistolet w rękach.

– Lepiej go odłóż – powiedział Uwabriel. – To magiczny przedmiot. Jest pewnie zaklęty specjalnym urokiem i opatrzony formułami przekleństw.

Parmiel wzruszył ramionami.

– Właścicielowi jakoś nie pomógł. To tylko zwykły kawał gnata.

– Ale głębiański – upierał się Uwabriel.

– To są i anielskie? – zdziwił się Eryk, odkładając broń na najbliższą półkę.

– Pewnie – parsknął Parmiel. – Wcale nie gorsze.

Uwabriel wciąż klęczał przy rannym.

– Co z nim zrobimy? – spytał.

Brat rozłożył ręce.

– Chyba zostawimy, nie?

– To umrze. Wykrwawi się. Będzie tak, jak gdybyśmy go zabili. Jakbyśmy stali się tacy sami jak Głębianie. A nie chcemy tego, prawda?

Aniołowie wymienili spojrzenia. Erykowi też zrobiło się nieswojo. W końcu był lekarzem. Co prawda przysięgał ratować ludzi, a nie demony, ale... Popatrzył na kredowobiałą twarz Adramelecha, dłonie przyciśnięte do rany.

– Dawajcie go na stół! – powiedział stanowczo. Ściągnął kurtkę, podwinął rękawy.

Bracia jakby odetchnęli z ulgą. Podźwignęli ciało Głębianina i ułożyli na blacie. Eryk rozciął ubranie Mrocznego, odsłonił ranę. Kula przeszła na wylot, zostawiając na plecach paskudny, poszarpany otwór. Pocisk musiał poharatać wątrobę, pomyślał Eryk. Jeśli ma jakąś. Postanowił na razie zatamować krwotok. Nie podejmie się przecież operacji. Potem zawołają fachową pomoc, maga albo medyka, albo innego specjalistę od demonów.

– Potrzebne mi tampony, bandaże. Znajdźcie coś. Musimy zatamować krew. Prędko.

Aniołowie buszowali wśród półek. Parmiel przyniósł kłęb czystych z pozoru, lnianych taśm. Uwabriel otwierał słoiki z maściami, wąchał.

– Znalazłem środek zatrzymujący krwawienie! Magiczny! – zawołał triumfalnie.

Eryk popatrzył na bure mazidło podejrzliwie.

– Jesteś pewien, że to nie pasta z tłuczonych nietoperzy?

– Jasne. Sarkamisz trzyma w apteczce takie samo lekarstwo, na wypadek gdyby ktoś się skaleczył. Zresztą, tu jest napisane. – Pokazał ręcznie wypełnioną etykietkę, zapisaną znakami przypominającymi zestaw kółek i kresek.

– Dobra, dawaj – zdecydował Eryk, bo prowizoryczny tampon szybko nasiąkał krwią. Wsadził palce do słoika, posmarował ranę maścią.

Głębianin zawył, jego ciało wyprężyło się jak struna. Skóra wokół rany pokryła się momentalnie pękającymi bąblami. Eryk rozpaczliwie ścierał maść. Parmiel przyskoczył i z całej siły przytrzymał rzucającego się Adramelecha.

– Wody! – krzyknął do Uwabriela. – Byle nie święconej! Idioto, przyniosłeś błogosławiony środek! Na Głębian działa jak kwas! Trzeba było znaleźć przeklęty!

Uwabriel, z przerażoną miną, przygalopował z dzbanem wody. Eryk gorączkowo przemywał ranę. Ból otrzeźwił Głębianina. Poderwał się z rykiem, spróbował strząsnąć z siebie ramiona Parmiela, lecz był za słaby.

– Nie miotaj się! – zawołał Eryk. – Próbuję ci pomóc.

Oczy rannego spojrzwały przytomniej.

– Ładna pomoc – wychrypiął z wysiłkiem, ale przestał się wrywać. Starał się leżeć spokojnie, choć musiał bardzo cierpieć. Turkusowe oczy z bólu zrobiły się niemal czarne, ściągnięte wargi odsłaniały kurczowo zaciśnięte zęby, skóra nabrała odcienia popiołu, oddech rwał się i świszczał.

Na szczęście maść Uwabriela jednak zadziałała i krew przestała płynąć. Eryk zajął się delikatnie oczyszczaniem i bandażowaniem ran. Adramelech leżał bez ruchu. Nawet nie jęknął.

Chirurg spoglądał w głęboką zieleń oczu demona.

– Powinieneś z tego wyjść. Ale musisz szybko trafić do lekarza. Ja nic więcej nie potrafię zrobić. Leczę ludzi. Na istotach nadprzyrodzonych się nie znam. Mógłbym ci zaszkodzić, rozumiesz?

Głębianin leciutko skinął głową. Wydawał się bardzo słaby. Stracił mnóstwo krwi.

– Oko – szepnął. – Dajcie oko nocy.

Eryk pochylił się nad rannym. Chyba majaczy, pomyślał. Parmiel przysunął się bliżej.

– Gdzie masz? – spytał.

Dłoń Adramelecha gmerała w fałdach płaszcza.

– W kieszeni – wymamrotał.

Anioł sięgnął do zakrwawionej poły, wyciągnął płaski kryształ oprawiony w srebro.

– To komunikator – wyjaśnił, widząc zdziwioną minę Eryka. – Rodzaj telefonu na magię.

Podał klejnot Głębianinowi.

– Masz, zawołaj swoich.

Adramelech zacisnął palce na kryształach. Z wysiłkiem uniósł głowę, uważnie przyglądając się braciom.

– Czemu to robicie? Mogłem was zabić.

Parmiel wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem. Pewnie dlatego, że nie chcemy mieć nikogo na sumieniu.

Turkusowe oczy spoglądały z napięciem. Demon dźwignął się na łokciach.

– Nie boicie się? Znam was, wasze twarze. Ukradliście mi walizkę. Mogę się mścić.

Uwabriel westchnął.

– Wcale nie ukradliśmy. Znaleźliśmy obok martwego Bretora. A potem wszystko rozdałem uzależnionym aniołom, którzy poprosili. Za darmo. Jedni przekazywali wiadomość drugim i towar szybko się skończył. Przez naszą kwaterę przewinał się istny tłum. Wiem, że nie powinienem, ale to taka ciężka choroba. Nikt im nie pomoże, najwyżej mogą trafić do kicia. Żal mi się zrobiło.

Adramelech opadł ciężko na blat, przymknął oczy.

– Na Mrok – wyszeptał. – Rozdał towar za darmo. W porządku. Wierzę. Naprawdę wierzę. Teraz na rogach ulic stoi pełno małych cwaniaczków, którzy sprzedają moje prochy za promocyjne ceny. A zastanawiałem się, jak to możliwe.

Uwabrielowi wyciągnęła się mina.

– Naprawdę?

Na ustach demona pojawił się cień uśmiechu.

– Aha. Trzeba bardzo uważać na dobre uczynki.

Eryk poczuł chłód w okolicy karku.

– Słuchaj – powiedział. – Opuść im tę walizkę. W końcu uratowaliśmy ci życie. Chyba jest więcej warte niż neseser pełen prochów.

Blade wargi demona wykrzywił gorzki grymas.

– Mały człowieczku – powiedział. – Gdybym chciał was zabić, nic by mnie nie powstrzymało.

Zwrócił twarz w stronę aniołów.

– Boicie się, skrzydlaci?

Parmiel machnął ręką.

– I tak mamy przesrane. Nawet gdybyś się wykrwawił i umarł, nie byłibyśmy bezpieczni. Nie ma się co łudzić. Nie ty jeden wiedziałeś, że zabraliśmy walizkę. W końcu ktoś znów nas podkapuje. Nie tobie, to komuś innemu. Twoja śmierć nic nam nie daje, Wasza Mroczność.

Adramelech zaśmiał się krótko, chrapliwie.

– Co za przenikliwość! – wyszeptał. – Syn prochu ma rację. Cenię swoje życie wyżej niż walizkę krwawych łez. Honor Głębianina lśni jaśniej i czystiej niż gwiazdy. I jest bezcenny. Nie bójcie się, skrzydlaci. Nic złego was nie spotka. Dopóki ja żyję, będziecie bezpieczni.

– Dzięki – mruknął Parmiel. – Uważaj na siebie, dobrze?

Głębianin uniósł kryształ.

– A teraz spadajcie. Za chwilę zaroi się tu od demonów.

– Powinniśmy poczekać z tobą – powiedział ostrożnie Uwabriel. – Jesteś ciężko ranny. Potrzebujesz opieki.

W turkusowych oczach Adramalecha pojawił się cień rozbawienia.

– Wiem, co mówię, słodkie anielskie serduszko. Nie chcę, żeby was zobaczyli. Jeszcze któremuś strzeli do głowy jakieś głupstwo i postanowi zadziałać na własną rękę. A przecież zaręczyłem honorem za wasze niebiańskie głowy.

Parmiel oblizwał wargi.

– Zdrowiej szybko, panie Mroczny. I produkuj swoje rusznice długo i szczęśliwie. Mam nadzieję, że prędko się nie zobaczymy.

Adramelech pocierał kryształ. Powierzchnia kamienia zrobiła się matowoczarna.

– Idźcie – powiedział.

W kryształach pojawiła się twarz Głębianina.

– Chodź, synu Adama – ponaglił Eryka Parmiel. – Uwabriel, zamknij drzwi.

Gdy znaleźli się w cichym zaułku ze ścianami oplecionymi bluszczem, wszyscy trzej odetchnęli z ulgą.

– I co teraz? – spytał Eryk.

– Odprowadzimy cię do Trzeciego Nieba – powiedział Parmiel. – Tam będą wiedzieli, co z tobą zrobić.

Świtało, kiedy opuszczali teren Limbo. Niebo zaróżowiło się i rozbłysło złotem. Zmieszali się z kolorowym tłumem zmierzającym do Królestwa. Obok przedreptała stara demonica z koszem nabiału, przejechał wóz wyładowany towarem na sprzedaż. Popielaty bok wołu otarł się o kurtkę Eryka.

Pierścień białych murów przybliżał się, a chirurg poczuł nagłą falę wzruszenia. Za chwilę miał wstąpić do nieba. Ściana białych kamieni sięgała wysoko w górę. Wieńczące ją blanki zdawały się maleńkie jak w papierowym modelu zamku. Krążyły nad nimi czarne przecinki ptaków.

Zniknęli w czeluści Bramy Krogulców. Wykute w kamieniu drapieżne ptaki zimno przpatrywały się wchodzącym.

Pierwsze Niebo rozczarowało chirurga. Przypominało trochę Limbo. Szeregi małych, ubogich domków tłoczyły się po obu stronach ciasnych uliczek. Czasem trafiał się duży, surowy gmach, przywodzący na myśl klasztor o ostrej regule.

Bracia szybko przemierzali ulice. Pociągnęli Eryka w czeluść kolejnej bramy, znacznie mniej monumentalnej. Za murem, który w porównaniu z zewnętrznymi obwarowaniami Królestwa wydawał się niski, zaczynało się Drugie Niebo. Było tu nieco więcej przestrzeni, ulice poszerzyły się, na skrzyżowaniach zdarzały się małe placyki. Nad wszystkim górowały krępe, kwadratowe wieże wieńczące naroża długich, prostokątnych budowli o małych oknach. Drzew było niewiele. Wychylały gałęzie zza wysokich kamiennych ogrodzeń, przylegających do budynków.

– Ale tu ponuro – mruknął Eryk.

– Bo mijamy kwatery stróży – wyjaśnił Parmiel. – Trudno się dziwić, że ze stróży najczęściej wyrastają sukinsyny. Idziemy na skróty. W rzeczywistości w Drugim Niebie jest bardzo ładnie. Kiedyś może sam zobaczysz.

W perspektywie ulicy zamajaczył mur z kolejną bramą.

Trzecie Niebo wyglądało przyjemnie. Przy spokojnych, wysadzanych drzewami alejach stały eleganckie, niewielkie wille, małe pałacyki albo zadbane kamienice. Śpiewały ptaki. Słońce rzucało złote plamy na bruk ulicy. Pachniało latem, spokojem i ogrodowymi kwiatami. Po kutych prętach ogrodzeń i ścianach domów pięły się róże lub wistarie. Było ciepło. Eryk ściągnął sweter. Kurtkę zapomniał w pracowni czarnego maga.

– W Trzecim Niebie mieści się raj – odezwał się Uwabriel. – I biuro obsługi zmarłych. O widzisz, to tam!

Eryk wyteżył wzrok. Zobaczył daleko w perspektywie ulicy wielki, biały budynek, przypominający elegancki urząd. Wyglądał bardzo klasycznie. Stał na wysokim podmurowaniu, do wejścia wiodły szerokie marmurowe schody, cztery smukłe kolumny podtrzymywały tympanon, zwieńczony figurami aniołów.

Na podeście schodów siedziała starsza pani.

– Babcia! – zawołał Eryk i puścił się biegiem.

Starsza pani drobnymi kroczkami dreptała w jego stronę. Padli sobie w objęcia.

– Ach, wnusiu kochany, nareszcie! Wiedziałam, że w końcu tu trafisz! No, puść już, skarbie. Nie wypada tak, na ulicy.

Eryk rozluźnił uścisk. Babcia poprawiła fryzurę.

– A kim są ci mili skrzydlaci? – spytała, obrzucając braci surowym spojrzeniem.

– To moi przyjaciele, babciu. Parmiel i Uwabriel.

Babcia zerknęła podejrzliwie.

– A czy oni przypadkiem cię nie porwali, wnusiu?

Eryk zrobił niewinną minę. Bracia odchrząknęli nerwowo.

– Ależ skąd, babciu! Prosili mnie tylko o drobną przysługę.

Starsza pani uśmiechnęła się i mrugnęła porozumiewawczo.

– Ach, rozumiem. Widzisz, wnusiu, czekam tu, bo koniecznie chciałam z tobą porozmawiać, zanim wrócisz do domu.

– Do domu? – zdumiał się Eryk. – Przecież umarłem!

Babcia rzuciła aniołom pełne wyrzutu spojrzenie.

– Jak to? Nie powiedzieli ci? Byłeś w stanie śmierci klinicznej, a teraz leżysz w szpitalu, w śpiączce. Meliel, twój anioł stróż, miał cię odesłać od razu z tunelu, ale... – zawahała, się – zniknąłeś.

Parmiel i Uwabriel, zmieszani, gapili się na własne buty.

– Eee, hmm – zaczął Parmiel. – Baliśmy się, że będziesz chciał zaraz wracać. Wybacz, stary.

– Wracać?! – zawołał Eryk. – I nic nie zobaczyć? Nie, cieszę się, że was spotkałem, naprawdę. Dzięki wam przeżyłem coś niesamowitego.

Babcia klasnęła z zachwytem.

– Moje dziecko! Zawsze taki sam urwis! Masz to po mnie! Widzisz. – Spoważniała. – Dziadek też bardzo by chciał się z tobą zobaczyć, ale pojechał na ryby.

– Łowi ryby w raję? – zdumiał się Eryk, który miał standardowe pojęcie na temat zaświatów. Łąki pełne kwiatów, białe szatki, aureolki i brzdąkanie na harfie.

Babcia obciągnęła schludny, granatowy kostiumik, poprawiła żabot. Wydawała się Erykowi stara i młoda równocześnie. Oczy jej lśniły, ruchy były sprężyste, energiczne. Nigdy nie wyglądała ładniej.

– Nie w raję. – Machnęła ręką. – W Praoceanie. Popłynął na wyspę, daleko od lądu, z kilkoma zmarłymi kumplami i aniołami do towarzystwa. Wiesz, taka męska wyprawa. Pamiętasz, jak dziadek uwielbiał wędkować.

Eryk pochylił się do ucha starszej pani, zniżył głos.

– Babciu, jak tu jest? Powiedz!

W oczach lśniących pod chmurą białych loczków zapalił się dziwny błysk.

– Tak jak zawsze marzyliśmy, wnusiu. Mamy niewielki domek z ogrodem, w którym zawsze kwitną kwiaty. Zbieramy czereśnie i jabłka na przetwory. Wieczorami siadamy przy kominku, chociaż tu nigdy nie jest zimno. Ale i ogień nie parzy. Gawędzimy, dziadek czyta albo skleja modele okrętów. Są inne niż wasze. Pływają kierowane siłą woli. A ja robię na drutach, czasem wyszywam, czytam. Czekamy na was.

– I możesz mi tak o wszystkim opowiadać?

Babcia westchnęła.

– Pewnie, wnusiu. I tak nic nie będziesz pamiętał, kiedy wrócisz na ziemię.

Wyciągnęła dłoń, schwyciła Eryka za rękę.

– Kochanie, ja muszę ci coś powiedzieć. To bardzo ważne. Nie pomyśl tylko, że się wtrącam. Po prostu muszę cię ostrzec. – Oczy starszej pani pełne były niepokoju. – Skarbie, nie żęń się z tą twoją Kasią. Ona do ciebie nie pasuje. Taka ciągle oschła, surowa. Wszystko musi być na swoim miejscu, najważniejsze są obowiązki, dobra praca, pieniądze. Eryczku, ona nie umie marzyć! Zadusicie się ze sobą. Oboje będziecie nieszczęśliwi, udając ludzi, którymi nie jesteście. Proszę cię, nie żęń się, kochanie. Ten związek się nie uda. A już za rok spotkasz dziewczynę swojego życia. Przysięgam, wnusiu. Zostaniecie razem na zawsze, szczęśliwi. Będziecie się rozumieć bez słów, kochać i szanować. Urodzi ci śliczne dzieci. Zobaczysz.

– Ależ babciu – protestował słabo – Kasia to wspaniała dziewczyna. Zaradna, nowoczesna.

– Ale nie dla ciebie! Zagryziecie się! Dam ci przykład. Wszyscy siedzą przy tobie w szpitalu, modlą się i rozpaczają. A ona! Chodzi z kwaśną miną i powtarza w kółko: „Jak mógł

być taki nieodpowiedzialny! Z pewnością jechał za szybko! Zawsze mu powtarzam, żeby uważał, ale oczywiście nie posłuchał! Wieczny dzieciak. No i dograł się. A mówiłam. Samochód na złom, on w szpitalu. Oczywiście. Zachciało się wyścigów na szosie. Boże, skąd wziąć na te wszystkie wydatki!”.

Eryk stał zasepiony. Babcia doskonale odegrała jego narzeczoną. Zupełnie jakby słyszał Kaśkę.

– Wnusi, ona nawet nie jest jeszcze twoją żoną! Co będzie później? Zastanów się, dobrze? Proszę, tylko się zastanów.

Przełknął z trudem ślinę. Skinął głową. Babcia puściła jego rękę. Bracia, którzy stali dyskretnie z boku, zbliżyli się.

– Musimy wejść. Czas odesłać cię do domu, synu Adama – powiedział Parmiel.

Wkroczyli po marmurowych stopniach do budynku. Wewnątrz panował nieprawdopodobny tłok. W wielkiej, wysoko sklepionej sali ludzie i aniołowie darli się jeden przez drugiego. Najgorsze zamieszanie panowało pod licznymi, zamkniętymi drzwiami. Migały bure tuniki stróży, białe szaty urzędników. Do uszu przyjaciół dobiegały strzępy rozmów.

Jakiś stróż ciągnął za rękaw urzędnika z dużym notesem.

– Jest buddystą, a wy wpakowaliście go do rajy Koptów! To niedopuszczalne.

Skrzydlaty obojętnie gryzmołił w notesie.

– Nie zajmuję się sekcją reklamacji. Trzecie drzwi na lewo.

– Niech żyje biurokracja! – mruknął Parmiel.

Uwabriel szturchnął chirurga w bok.

– Spójrz, idzie Azrael, Pan Dobrej Śmierci, szef całego interesu.

Ogromny anioł o błękitnych włosach sunął przez salę. Skrzydlaci i ludzie rozstępowali się przed nim z szacunkiem. Emanował intensywną energią, niby niewidzialnym światłem. Eryk domyślił się, że musi być Świetlistym, anielskim arystokratą. Azrael bazgrał w ogromnej, oprawnej w czerwoną skórę księdze. Jego skrzydła miały barwę sierpniowego nieba. Przemierzył salę i zniknął za drzwiami po przeciwnej stronie, nie oderwawszy nosa od zapisków.

– Azrael wiecznie coś notuje, poprawia i wymazuje – szepnął Uwabriel. – Robi straszny bałagan w papierach. Dlatego tak tu wygląda.

Do Eryka zbliżył się, przepychając przez ciżbę, Azjata, w kolorowej czapeczce. Wskazał najbliższe drzwi.

– Przepraszam, to nie jest mdłe światło z dziedziny prętów, prawda?

Chirurg rozdziawił usta.

– Z pewnością nie – powiedział Uwabriel.

Azjata, podziękował i zniknął w tłumie. Obok jakiś stróż podniesionym głosem tłumaczył coś rozszalczonemu mężczyźnie wyglądającemu na kwakra.

– Nic na to nie poradzę! MacDonnel jest irlandzkim katolikiem, ale ma prawo do pobytu w raju!

Purpurowy na twarzy mężczyzna krzyczał coś, czego Eryk nie usłyszał.

– Jak to skandal? – pieklił się anioł. – Wyrok samej Jasności! Nie będzie żadnych odwołań! Proszę bardzo, idź do Głębi, jeśli sobie życzysz!

– Hare Kriszna! Hare Kriszna! – śpiewał ktoś w kącie.

– Co robimy? – spytał skołowany Eryk.

– Czy ktoś wie, gdzie jest sekcja śmierci klinicznej?! – wrzasnął na całe gardło Parmiel.

– Tam są! – usłyszeli nagły okrzyk.

Przez tłum, wlokąc za sobą opierającego się urzędnika, przebijał się Meliel, anioł stróż Eryka. Twarz wykrzywiła mu wściekłość.

– To oni! Napadli mnie i pobili! Uprawdzili duszę! Proszę ich natychmiast aresztować!

– Tu nie żandarmeria – burknął urzędnik. Zerknął niechętnie na Eryka. – O co chodzi? Gdzie twój przydział?

– Nie wiem – wymamrotał chirurg.

Skrzydlaty wzniosł oczy do nieba.

– No pewnie! Najłatwiej zgubić papier, a potem niech się inni martwią, co?

Meliel wskazywał braci drżącym palcem.

– Zamknijcie ich! To bandyci! – wrzeszczał piskliwie.

Skrzydlaty w białych szatach wydobył zza pazuchy notes.

– Cisza ma być! – warknął na stróża. – To jest budynek urzędowy. Przepisy zabraniają hałasów. Kiedy umarłeś? Data i godzina!

– Wcale nie umarł! – oburzyła się babcia. – Jest w śpiączce i ma wracać na ziemię.

Urzędnik pobałdł ze złości.

– To czego mi głowę zawracacie! Tu się pracuje! Nie widzicie, co się tu wyrabia? Oszaleć można! Pan Azrael, Anioł Dobrej Śmierci, oby Jasność nad nim czuwała, znów pomylił rejestr zmarłych. I trudno się dziwić! Sam się wszystkim zajmuje! No, dość głupich żartów! Niech stróż zabiera duszę i odsyła do ciała. Nie mam czasu na pogaduszki!

– A ci kryminaliści?! – szczebkał Meliel. – Pobili mnie! Złożę skargę!

Urzędnik spiorunował stróża wzrokiem.

– To ja złożę skargę na ciebie! Za niewypełnianie obowiązków i utrudnianie pracy innym! – syknął.

Parmiel zacisnął łapę na wątłym ramieniu stróża.

– Chodź, misiu. Człowiekowi spieszy się do domu.

Wyciągnął Meliela z budynku. Eryk z ulgą odetchnął świeżym powietrzem. Stróż z kwaśną miną rozcierał ramię. – Jesteś gotów? – spytał Eryka.

– Tylko się pożegnam.

Mocno przytulił do siebie babcie.

– Do widzenia, trzymaj się dzielnie. Ucałuj dziadka, dobrze?

Starsza pani otarła łzę.

– Czekamy tu na ciebie, mamę i tatę. Pamiętaj. Tęsknimy za wami.

– A my za wami, babciu. – Eryk się uśmiechnął.

Uściskał obu braci.

– Fajny z ciebie gość, synu Adama – powiedział Parmiel. – Nie daj się, tam, na ziemi. Będziemy z tobą!

– Kiedy tu wrócisz, koniecznie nas odwiedź – wtrącił Uwabriel. – Pamiętaj, Pierwsze Niebo, Dom Siedemdziesiąty Szósty przy Bramie Krogulców.

– Pewnie. Dobrze mieć przyjaciół wśród aniołów.

– Chodź już! – ponaglił Meliel, chwytając Eryka za rękę.

– Pa, kochanie! – Babcia machała chusteczką.

– Trzymaj się! Do następnego! – zawołał Parmiel.

Meliel splótł palce w dziwny znak i tupnął. Wokół człowieka i stróża zawirował tęczowy korytarz. Popłynęli w dół.

* * *

Eryk z trudem odemknął powieki. Bolała go głowa, czuł się dziwnie ciężki i bezwładny. Biel i zieleń ścian nieprzyjemnie raziła w oczy. Przypominał sobie mgliście tęczowe tunele, miasta wiszące w powietrzu, skrzydlate istoty i twarz zmarłej babci.

– Syneczku, kochanie! – usłyszał łamiący się głos matki. – Jesteśmy przy tobie! Wszystko będzie dobrze!

Zobaczył pochylone nad sobą twarze rodziców. Oboje wyglądali mizernie. Matka płakała.

– Cześć, synku – powiedział ojciec, który też z trudem powstrzymywał łzy. – Nie martw się, wyjdiesz z tego. Wyzdrowiejesz.

Matka rzuciła się ojcu w ramiona.

– Ocknął się! Nareszcie! Chwała Bogu! Chwała Bogu!

– Mamo? – wyszeptał Eryk. – Nie płacz. Wróciłem. Zamajaczyła nad nim nieznajoma twarz, ciemna plama na tle oślepiającej jasności sufitu. Na szyi, nad czernią ubrania biały pasek koloratki. Ksiądz.

– Synu, czy chcesz przyjąć sakrament namaszczenia chorych? – usłyszał.

Obliznął wargi.

– Nie... czuję się lepiej.

Twarz księdza pochyliła się bliżej, w oczach płonęła ciekawość.

– Synu – zniżył głos. – Podobno byłeś w stanie śmierci klinicznej. Widziałeś coś? Powiedz, jak tam jest?

Eryk milczał przez chwilę.

– Ciekawie, proszę księdza.

Na twarzy kapłana odbiło się rozczarowanie.

– Co to znaczy, ciekawie? Spotkałeś jakieś istoty? Aniołów?

Eryk skinął głową. Czuł się zmęczony i osłabiony.

– Jacy oni są, synu? – usłyszał natarczywe, gorączkowe pytanie.

Uśmiechnął się blado.

– W sumie, tacy sami jak my – powiedział i zamknął oczy.

* * *

Otworzył szeroko okno. Noc była wysoka, granatowa. Gwiazdy mrugały blado. Księżyc toczył się po niebie jak srebrna moneta. Powiew wiatru łagodnie poruszał firanką. Od wypadku minął prawie rok. Eryk oparł ręce na parapecie, odetchnął głęboko. Z początku wszystko wyglądało groźnie, ale na szczęście całkowicie wrócił do zdrowia. Podczas rekonwalescencji miał czas na długie rozmowy z Kasią, w wyniku których oboje doszli do wniosku, że do siebie nie pasują. Eryk nie czuł się przygnębiony rozstaniem. Wiedział, że niedługo w jego życie wkroczy odpowiednia dziewczyna, ta prawdziwa. Wiedział, bo wczorajszego wieczoru spotkał ją u znajomych. Babcia widocznie też tak uważała. Kiedy szykował się do wyjścia, spadł ze ściany obrazek, który po niej odziedziczył. Mała akwarelka, przedstawiająca ułana flirtującego z pasterką. Gwoździak tkwił mocno w ścianie, a uszko się nie urwało.

Eryk był rozsądny i ostrożny z natury. Dlatego milczał. Ale czasami, kiedy zostawał sam, mógł sobie pozwolić, żeby otworzyć okno, uśmiechnąć się i pomachać ręką granatowemu niebu. Zaczynała się trzecia, godzina nocy i Eryk miał nadzieję, że Uwabriel przyszedł już na dyżur. Nie wiedział, czy anioł go widzi, lecz lubił sobie wyobrazać, że tak.

Uśmiechnął się znów. Warto podtrzymywać przyjaźnię, pomyślał. Zwłaszcza te w zaświatach.

DOPUSZCZALNE STRATY

Archanioł Gabriel, Regent Królestwa, Pan Objawień, zatrzasnął za sobą drzwi Sali Tronowej i z wolna osunął się na posadzkę. Dygotał. Przed oczami widział wirujące plamy, czerwone i czarne, podobne do liści miecionych kurzawą. Sam czuł się podobnie, niby strzęp rzucony na pastwę huraganu. Fale lodowatego potu zlepiły w mokre kosmyki jego włosy barwy antracytu, starannie przycięte do wysokości szczęki. Zimne strużki spływały po czole, skroniach i policzkach anioła. Uniósł do twarzy dłonie, które podrygiwały w konwulsyjnych drgawkach. Nie potrafił opanować drżących palców nawet na tyle, żeby wyciągnąć z kieszeni chustkę i otrzeć pot. Usiadł na korytarzu, pod drzwiami Sali Tronowej, przekonany, że oszalał lub padł ofiarą spisku.

Pomyślał przelotnie, że mógłby odemknąć odrobinę wielkie wierzeje sali, spojrzeć i przekonać się ponownie, ale ledwie ten zamiar zaświtał mu w głowie, serce ruszyło do panicznego galopu, a gardło zdławił skurcz strachu. Gdyby Gabriel mógł zmusić ciało do jakiegokolwiek wysiłku, zerwałby się z miejsca i uciekł. Nieważne dokąd. Daleko. Bardzo daleko. Siedział jednak na podłodze, bliski zemdlenia, pocąc się i drżąc. Żałował, że przybył przed Oblicze Pańskie. Żałował, że stanął przed Białym Tronem bez specjalnego powodu, niewzywany. Miałby przed sobą jeszcze trochę czasu. Ba, dużo, dużo czasu, zanimby się zorientował. Przeklinał butę, która pozwoliła mu skorzystać z przywileju wkraczania bez rozkazu przed Tron Pański. Przeklinał urząd regenta, karierę, jaką zrobił z własnej głupoty i pychy, przeklinał wreszcie całe Królestwo.

Powinien rozpaczać, płakać, tłuc łbem o ścianę, ale nie potrafił. Pewnie łyzy przyniosłyby ulgę, lecz Gabriel nie umiał oplakiwać straty, która powinna złamać serce każdego anioła. Gorzki grymas wykrzywił usta regenta. To nie tragedia wywołała u niego atak paniki, ale proste pytanie: co dalej?

Archanioł, czepiając się kurczowo klamki, zdołał wstać. Plamy przed oczami wirowały nadal, kolana drżały, lecz Gabriel usilnie starał się wziąć w garść. Królestwo nie może się zachwiać. Nawet jeśli regent żałuje, że nie przemienił się nagle w proste, bezmózgie stworzonko, jak choćby chrząszcz. Nawet jeśli żałuje, że w ogóle się urodził.

Pan Objawień wziął kilka głębokich wdechów, drżącymi palcami przecesał włosy i tak szybko, jak pozwoliły miękkie ze strachu nogi, oddalił się od strasznej komnaty. Sprawy wymagały natychmiastowego omówienia z zaufanymi przyjaciółmi.

* * *

Rafał płakał. Wielkie łzy płynęły po wykrzywionej smutkiem twarzy Archanioła Uzdrawień. Nawet nie próbował ich otrzeć. Skulony na fotelu, w prywatnym gabinecie Gabriela, ubrany w prostą, brązową szatę bez ozdób, wyglądał żałośnie i jakoś nie na miejscu, w otoczeniu kosztownych mebli i cennych bibelotów.

Zielone niczym butelkowe szkło oczy Regenta Królestwa przypatrywały się przyjacielowi z irytacją. Na litość, to nie był czas na łzy! Dobrze, że chociaż Michał zdaje sobie z tego sprawę. Gabriel obrócił głowę, spojrzał na Pana Zastępów, wodza regularnej armii anielskiej. Archanioł nerwowo miętosił w palcach kosmyk szafranowych loków. Jego szczerą, przystojną twarz miała barwę popiołu. W niebieskich tęczęwkach mieszkała udreka. Otworzył usta, jakby chciał o coś spytać, czemuś się zdziwić, ale nie odezwał się.

W gabinecie dawał się słyszeć tylko stłumiony szloch Rafała i odgłos nerwowych kroków Gabriela. Pan Objawień krążył wokół stołu, bezwiednie obracając na palcu pierścień, oznakę władzy regenta.

Zatrzymał się, potarł skronie, znów zmierzył lodowym wzrokiem płaczącego Archanioła Uzdrawień.

– Rafał, na Jasność! Przystań się mazać! – syknął. – Myśli nie można zebrać!

Łagodnie orzechowe oczy Rafała szklily się od łez.

– Nie wierzę – wyszeptał z rozpaczą. – Nie mogę uwierzyć!

Gabriel rozłożył ręce.

– Widziałeś, prawda? Byłeś tam! Więc przestań negować fakty, tylko rusz głową. Stoimy nad przepaścią, Rafał. Właściwie nie jestem pewien, czy nie spadamy na łeb na szyję z rozłożonymi skrzydłami i przerażeniem w oczach. Musimy coś wymyślić! Musimy działać! Natychmiast.

– Nie krzycz na niego, Gabrysiu – odezwał się Michał grobowym głosem. – Jest w szoku.

– Ja też! – warknął Gabriel.

Michał westchnął, przeciągnął ręką po twarzy.

– Dżibril – powiedział łagodnie, używając imienia, którym ochrzciły Gabriela dzinny, a Michał stosował w charakterze poufalego zdrobnienia. – Zaczekajmy. Może to czasowe, może minie...

– Nie wiem – szepnął Pan Objawień. – Nie liczyłbym na taki obrót sprawy, zwłaszcza w świetle słów Serafiela.

Michał zadrzał, przypomniawszy sobie ogromnego serafina spoczywającego u stóp Białego Tronu.

– Wszyscy wiedzą, że Serafiel jest stuknięty – mruknął niepewnie. – Wierysz w gadaninę wariata?

Gabriel pokręcił głową.

– Misiu, Jasność rzadko pozwala sobie na żarty. A nigdy na kiepskie. To, co się zdarzyło, z pewnością jest poważne. Bardzo poważne.

Rafał skulił się jeszcze mocniej.

– Co zrobimy? – jęknął. – Jak będziemy teraz żyć? Co się stanie z nami wszystkimi, z Królestwem?

Michał milczał ponuro. Gabriel zacisnął ręce w pięści, targnął głową. Zielone oczy płonęły.

– Jedno jest pewne – powiedział dobitnie. – Królestwo musi trwać!

Michael westchnął głęboko.

– To nie zależy do nas, Dżibril.

Regent zacisnął dłonie na oparciu krzesła, pochylił się, przybliżając twarz do twarzy przyjaciela.

– Mylisz się, Michasiu. – W jego głosie drgało napięcie. – Wystarczy, jeśli nie dopuścimy, by tajemnica wyszła na jaw.

Pan Zastępów pobladł gwałtownie.

– To się nie uda – szepnął. – Wszyscy się dowiedzą. Natychmiast poczują...

Gabriel się zachnął.

– A myśmy poczuli, Misiu, zanim poszedłem do Sali Tronowej?

Michael w zamyśleniu pocierał brodę.

Pan Objawień znów podjął nerwową wędrówkę wokół stołu.

– Zastanówcie się – ciągnął. – Kto w ogóle widuje Jasność? Kto? Którzy aniołowie?

– No – mruknął Michał – Metatron...

Gabriel machnął ręką.

– Jego możesz nie liczyć. Pozostałych ulubieńców Pana też nie. Kto zostaje?

– My – powiedział Michał. – Siedmiu archaniołów, którzy mają przywilej stawania przed Białym Tronem.

– Właśnie! – wykrzyknął triumfalnie Gabriel.

– Gabrysiu, to byłoby oszustwo – wtrącił oszołomiony Rafał.

– Nie! Oczywiście, że nie! Naszym podstawowym obowiązkiem jest służenie Królestwu i ratowanie go za wszelką cenę!

– Może i racja – zgodził się Michał. – Ale jak chcesz zachować tajemnicę? Do Sali Tronowej może wchodzić siedmiu archaniołów, w tym pokoju znajduje się trzech. Co z pozostałymi?

Gabriel bawił się pierścieniem.

– Razjel nie stanowi chyba problemu. Zawsze stał po naszej stronie. Właściwie, uważam go za przyjaciela. Jest samotnikiem, ma swoje sprawy, ale nigdy nas nie zawiódł.

Michael skinął głową.

– W porządku. Razjel pewnie nas poprze. A Sariel?

Pan Objawień zamyślił się. Przed oczami stanęła mu zwalista postać Archanioła Zrównania Dnia z Nocą.

– Nie wiem. Wydaje się rozsądny. Trzeba będzie z nim porozmawiać.

– Zgoda – mruknął Pan Zastępów. – Zostaje Fanuel. Trudna sztuka.

Prawda, pomyślał Gabriel. Fanuel, Archanioł Pokuty, Cichy Młodzieniec, jak nieco pogardliwie nazywał go Michał, stanowił w tym równaniu zagadkę. Dżibril nie znał Fanuela za dobrze, wiedział tylko, że archanioł ma skłonność do ascezy, jest trochę naiwny i niezwykle praworządny. Nie będzie łatwo namówić go do współpracy. Z drugiej strony Fanuel nie był fanatykiem ani idiotą. Jeśli dobrze dobiorą argumenty, może się zgodzi.

Rozłożył ręce.

– Spróbujemy go przekonać. Nie mamy nic do stracenia. Michał potrząsnął szafranowymi lokami.

– Nie wolno zapominać o Urielu. Jeśli mam być szczery, uważam, że na nim spisek się wykopyrtnie. Uriel nie pójdzie na coś podobnego.

Dumny, złotowłosy archanioł, Regent Słońca, rzeczywiście stanowił problem. Właściwie Gabriel nigdy go nie lubił. Zachowanie i wygląd Uriela najbardziej pasowały do obiegowego wizerunku archanioła, chociaż błękitnooki atleta, obiegający prowincje Słońca na złotym rydwanie zaprzężonym w dorodne siwki, snobował się raczej na tradycje antyczne, aspirując do rangi solarnego bóstwa.

Michael nerwowo pocierał szczękę.

– Zobaczysz, najwięcej zachodu będzie z naszym pieprzonym Heliosem.

Gabriel westchnął.

– Misiu, Uriel jest lojalny i odpowiedzialny aż do bólu. Wmówimy mu, że to jedyne wyjście. Zresztą, naprawdę tak sądzę.

Michał wzruszył ramionami.

– Dobra, zobaczymy. W końcu mało wie o mechanizmach rządzenia Królestwem. Większość czasu zajmuje mu odstawianie prowincjonalnego Apolla.

Rafał ukrył twarz w dłoniach.

– Na Jasność! To wszystko bez sensu! Nie uda się. Nawet nie warto próbować. Nie rozumiem was! Ponieśliśmy straszliwą stratę, zawiedliśmy! Doprowadziliśmy do tragedii. A wy opowiadacie o jakichś spiskach! Próbujecie utrzymać tajemnicę. Po co, na litość Pańską?

– Uspokój się, Rafałku – burknął Michał. – Nie histeryzuj. Myślisz, że coś się zmieni, jeśli posypimy głowy popiołem i zaczniemy zawodzić? Gabriel ma rację. Trzeba działać. Weź to na spokojnie. Może to próba, której zostaliśmy poddani?

Rafał jęknął.

W Michała wstąpił duch czynu. Niebieskie oczy załśniły, skóra straciła odcień popiołu, nabrała naturalnego koloru bladego karmelu, na policzki wystąpiły rumieńce. Istniała tylko jedna rzecz, której bał się Pan Zastępów. Bezradność. Teraz, kiedy powstał już pomysł, lepszy czy gorszy, kontrowersyjny czy ryzykowny, pozostawało go realizować. A w tym Michael czuł się dobry.

– Od czego zaczynamy, Dżibril? Gabriel daleki był od zapału przyjaciela.

– Chyba pogadam z Razjelem – powiedział. – Na razie nie mam siły na trudne negocjacje.

* * *

Pan Tajemnic, zamknięty w swej sekretnej pracowni, eksperymentował z fluidem iluminacji. Nie był zadowolony z wyników prac. Substancja wciąż wykazywała cechy skażenia pragnieniami badacza. W konkluzji nie otrzymywał wzorca czystego oświecenia, tylko esencję tego, co chciał uzyskać. Różnica zasadnicza i wielce irytująca.

W skupieniu, długimi srebrnymi szczypcami wydobyl z fiołki trzy drobiny gwiazdowego pyłu i dodał do roztworu. Pstryknął palcami i pod tygłem zapłonął fioletowy ogień oczyszczenia. Oczekał, aż płyn się wzburzy, po czym ruchem dłoni nakazał płomieniom zgasnąć. Delikatnie unióśł pokrywę tygla, spod której zaczęła się sączyć blada poświata. Błękitna, nie biała. Oczywiście, skażenie nie znikło. Sądząc po barwie światła, tym razem było nawet silniejsze. Rozczarowany Razjel westchnął.

Robotę trzeba będzie zaczynać od nowa, od żmudnej czynności mycia i rytualnego oczyszczania tygla. Pan Tajemnic podwijał właśnie rękawy błękitnej szaty, gdy odezwało się oko dnia. Sięgnął po klejnot. Gładka powierzchnia kryształu przez chwilę pozostawała ciemna, a potem pojawiło się w niej zasepione oblicze Gabriela.

– Razjel? Muszę natychmiast z tobą pogadać.

– Dobrze – zgodził się Książę Magów. – Gdzie teraz jesteś?

– W twojej głównej pracowni – padła odpowiedź. – Po prostu wyjdź.

Razjela zdziwiła trochę bezceremonialność przyjaciela, ale tylko skinął głową.

– W porządku. Wychodzę.

Zaintonował zaklęcie, prędkimi ruchami dłoni skreślił w powietrzu znaki usuwające magiczne blokady, wreszcie wyrysował pulsującymi, świetlnymi liniami framugę czarodziejskich drzwi. Począł, aż się zmaterializują, i przeszedł do pracowni zwanej dzienną, dostępnej dla gości i służby, gdzie dokonywał prostych, niegroźnych czarów. Gabriel rzeczywiście czekał. Twarz miał ściągniętą, w zielonych oczach powagę.

– Razjelu, stało się coś niepojętego. Wazą się losy całego Królestwa.

Pan Tajemnic położył palec na ustach.

– Nie tutaj. Przejdźmy do gabinetu. Tam gwarantuję spokój i dyskrecję.

W zacisznym, urządzonym z prostotą gabinecie Razjela Gabriel ciężko opadł na fotel. Księżę Magów milczał, ale jego błękitne niczym akwamaryn oczy patrzyły pytająco. Pan Objawień wziął głęboki oddech i zaczął mówić. Prosto, rzeczowo, bez owijania w bawełnę. Gdy skończył, Razjel stał błydy jak ściana, miętosząc w chudych palcach koniec długiego, czarnego warkocza.

– Domyślałem się, że może nastąpić jakieś radykalne wydarzenie – wyjąkał. – Ale nie takie! Na Jasność, nie takie!

Oczy Gabriela zwięzły się.

– Domyślałeś się? Na litość Pańską, Razjelu, dlaczego więc milczałeś?!

Czarnowłosa archanioł nerwowo potarł czoło.

– To były tylko przypuszczenia, niejasne przepowiednie, znaki. Nic konkretnego.

– Nic konkretnego? – jęknął regent. – Powinieneś dzielić się z nami każdym przecuciem. Obowiązuje cię, do cholery, lojalność!

– Obowiązuje mnie milczenie! Gabrysiu, zrozumże! Jestem Panem Tajemnic. U zarania dziejów Jasność powierzyła mi część sekretnej wiedzy i zabroniła z niej korzystać bez pozwolenia. Zresztą niczego nie ukrywałem. Powtarzam, widziałem tylko znaki.

– Jakże?

Ciałem chudego, kostycznego archanioła wstrząsnął dreszcz.

– Paskudne. Krew. Ognisty deszcz. Rozkładające się mięso. Bezgłowe trupy. Zagładę całych miast i krain. Podstawowe omnia zapowiadające niemiłe rzeczy. Pewnie każdy co lepszy czarodziej Królestwa też widział podobne znaki.

Gabriel przypatrywał się Razjelowi spod przymrużonych powiek.

– Co ty właściwie wiesz, bracie? – syknął.

Księżę Magów drgnął, w jego głosie zabrzmiało cierpienie.

– Nie dręcz mnie! Nie mogę zdradzić! Przecież musisz to pojąć!

– W porządku – mruknął Gabriel, wytrącony z równowagi wybuchem zawsze chłodnego i opanowanego Razjela. – Nie napadam na ciebie. Jestem roztrzęsiony i zdruzgotany.

Pan Tajemnic potrząsnął głową.

– Nie spodziewałem się czegoś podobnego. Przysięgam.

– Wierzę – westchnął Archanioł Objawień.

Błękitne oczy Razjela patrzyły z niepokojem i napięciem.

– Co zamierzasz? Decyzja należy do ciebie. Jesteś przecież Regentem Królestwa. Zastępcą Jasności. Zwłaszcza teraz.

Gabriel uśmiechnął się z goryczą.

– Coś w sam raz dla ciebie – powiedział i położył palec na ustach. – Cisza. Tajemnica. Nikt w Królestwie nie może wiedzieć.

– Nikt? – zdziwił się Razjel.

– Poza wybranymi. Doborową siódmką spod Tronu.

Pan Tajemnic w zamyśleniu skubał koniec warkocza.

– To już ma więcej sensu. Pozostali się zgodzili?

Gabriel potrząsnął głową.

– Nie wiem, najpierw chciałem pogadać z tobą.

Razjel pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– Dzięki za zaufanie. Zatem jestem włączony do bractwa, tak?

– Od zawsze, Razjelu – powiedział Gabriel z powagą.

Książę Magów rozłożył ręce.

– W porządku. Kogo mam ugadać? Uriela? Fanuela?

– Uriela. – W głosie regenta dało się słyszeć wdzięczność. – Sam wiesz, że nie przepadamy za sobą. Michał też się nie nadaje. Przepada za Urielem jak kot za psem. Zajmie się Sarielem. Dla mnie zostanie Fanuel.

– A Rafał? – zainteresował się Razjel.

Na ustach Pana Objawień pojawił się cierpki grymas.

– Szlocha.

– No cóż – mruknął Archanioł Tajemnic. – Byłem tego pewien.

– Dzięki, Razjelu – powiedział Gabriel szczerze. – Wiedziałem, że na ciebie można liczyć.

– Zrobię, co w mojej mocy. – Książę Magów pochylił lekko głowę. – Aha, chciałbym porozmawiać z Serafiem. Chyba nigdzie nie pójdzie, mam nadzieję?

Gabriel wzdrygnął się na myśl o olbrzymim, szalonym wodzu chóru serafinów, krążącym nad siedmioma niebami Królestwa i wieszczącym nieszczęście wszystkim skrzydlatym. Pozostawało mu tylko liczyć, że Serafiel okaże się wierny własnym słowom.

– Twierdzi, że nie ruszy się poza próg, bo sama Jasność mu zabroniła.

– To pocieszające – skwitował Razjel z wyraźnie wyczuwalną ironią. Błękitne oczy przenikliwie wpatrywały się w twarz regenta. – Gabrysiu, pozostaje jedna kwestia. Obawiam się, że nie poradzimy sobie sami. Mam na myśli, hmm, konieczność ewentualnego porozumienia z Mrocznymi. To znaczy z Lucyferem i jego najbliższymi współnikami. Może to zabrzmie absurdalnie, ale im też prawda nie jest na rękę. Przemyśl to, dobrze?

Pan Objawień odchylił się na krzesło.

- Przemyślałem – powiedział spokojnie.
 - I co? – Brwi Razjela uniosły się lekko.
- Gabriel splótł palce i westchnął.
- Doszedłem do takiego samego wniosku – rzekł cicho.

* * *

Sariel oglądał właśnie dorodną chimere do polowań, którą dopiero co kupił, gdy doniesiono mu, że przybył Michał. Archanioł zdziwił się trochę, ale nakazał podjąć gościa winem i przekąskami, zanim sam się umyje i przebierze, aby godnie przyjąć skrzydlatego tej klasy. Zdziwienie przerodziło się w prawdziwe zdumienie, gdy ujrzał Pana Zastępów, zwawo przemierzającego dziedziniec, a za nim dwóch własnych służących i majordoma, rozpaczliwie starających się skłonić gościa do zachowania etykiety.

Michał zbliżył się do klatek ze zwierzętami i wyciągnął do Sariela dłoń.

– Witaj i wybacz najście – powiedział – ale musimy natychmiast pogadać o sprawach dotyczących bezpieczeństwa Królestwa.

Zaskoczony Sariel potrząsał ręką Pana Zastępów.

– Aaa, tak – wymamrotał. – Oczywiście. Niezwłocznie.

Zwykle pogodne oblicze Michała było poważne jak dusza kwakra, w niebieskich oczach lśniła determinacja.

– Przejdźmy gdzieś w spokojne miejsce – zniżył głos. – Chodzi o sprawy najwyższej wagi państwowej.

Sariel skinął głową.

– Dobrze, porozmawiamy w bibliotece. Tędy, Michale.

Archaniołowie odeszli, a rozzłoszczona zamieszaniem chimera miotała się po klatce, bijąc o boki ogonem i sycząc wściekle.

* * *

Uriel właśnie wypręgał ukochane siwki, gdy ujrzał wysoką, chudą sylwetkę anioła, którego długie czarne włosy były starannie splecione w warkocz. Skrzydlaty miał na sobie krótko skrojony kaftan maga w kolorze lodowego błękitu. Zbliżał się szybkim krokiem. Zdziwiony Uriel otworzył usta, żeby spytać, czego Razjel sobie życzy, lecz Pan Tajemnic położył palec na wargach i pokręcił głową.

– Nie tutaj, Urielu – szepnął. – Stało się coś, o czym powinieneś wiedzieć, ale musimy porozmawiać w bezpiecznym miejscu. Dyskrecja może teraz zaważyć na istnieniu państwa, Regencie Słońca.

* * *

Fanuel podniósł wzrok znad książki, którą właśnie studiował, i napotkał zielone, płonące jak u kota oczy Gabriela.

– Czy coś się stało? – spytał zaniepokojony.

– Tak – powiedział Regent Królestwa. – Z całą pewnością tak.

* * *

Słońce zachodziło czerwono nad dachami prywatnej rezydencji Gabriela na Księżycu. Regent Królestwa nerwowymi krokami przemierzał pokój. Doba, którą zostawił do namysłu trzem pozostałym archaniołom, ciągnęła się w nieskończoność.

Rafał siedział nieruchomo w głębokim fotelu. Powieki miał zamknięte, ręce splecione. Gabriel przypuszczał, że się modli. Razjel zajmował krzesło w przeciwległym końcu pokoju. Próbował czytać, ale nie mógł się skupić na treści książki. Przebiegał wzrokiem wciąż te same wersy, a litery rozmazywały się w ciąg nieczytelnych znaków. Michael nie udawał spokoju. Siedział na parapecie, nerwowo nawijał na palec szafranowy kosmyk i bez przerwy wyglądał przez okno.

– Jest Sariel – powiedział z napięciem w głosie. – Właśnie wchodzi.

– Dobrze – szepnął Gabriel.

– Zaraz, widzę na drodze rydwan Uriela. Punktualny, drań.

– Dobrze – powtórzył Regent Królestwa.

– Mamy i Fanuela. – Michał klepnął dłonią o parapet. – Właśnie ląduje jego dywan.

– Przynajmniej wszyscy przybyli – mruknął Razjel. – To już coś.

Po chwili, dłużej jak kolejna doba, drzwi się otworzyły i służący wpuścił trzech archaniołów. Czterej zgromadzeni w pomieszczeniu wstali.

Gabriel obliznął wyschnięte wargi.

– Jaka jest wasza decyzja? – spytał, modląc się do Jasności, żeby głos mu nie drżał.

Przybyli popatrywali po sobie w milczeniu. W końcu Sariel wystąpił krok do przodu.

– Zgadzam się – rzekł dobitnie.

– Ja także – odezwał się Fanuel.

Uriel zmierzył zebranych uważnym spojrzeniem.

– I ja – powiedział wreszcie.

Gabriel usłyszał wyraźnie łoskot głazu spadającego mu z serca. Archaniołowie bez słowa uścisnęli dłonie towarzyszy. Sprzysiężenie zostało zawiązane.

* * *

Wysoki, biały mur niczym delikatna mgiełka zasnuwały świeże, zieleniejące pędy winorośli. Cicho szemrała fontanna. Smukłe kolumny rozkwitały kamiennym akantem. Ptaki uwijały się wśród gałązek krzewów. Kolorowe kielichy kwiatów sennie pochylały głowy.

Asi, młody anioł, sługa Omaela, naczelnego farmaceuty Królestwa, krążył po ogrodzie z niepewną miną. Nigdy nie został wysłany tak daleko od pracowni pana, w całkowicie nieznane rejony Królestwa. Wiedział mgliście o istnieniu prowincji olimpijskich, przylegających do poszczególnych nieb, ale nie podejrzewał, że kiedykolwiek będzie błąkał się po rozległym, niepokojąco dzikim ogrodzie, w czterdziestej trzeciej prowincji Drugiego Nieba.

Czuł się nieswojo pośród kolczastej gęstwy krzewów nieznanymi roślinami o wąskich, srebrzystych liściach, między portykami z białego niczym kość marmuru, obrosłymi splątaniem bluszczem, w cienistych alejach, ciągnących się w głąb i w głąb, bez końca. Białe kamienne statuy o pustych oczach i surowych twarzach wyglądały jak widma. Zimne ręce płaskorzeźb wyciągały się z murów, bezgłośnie krzyczały otwarte usta. Anioła raz po raz przechodził dreszcz. Bał się przyznać przed sobą, że dawno już zgubił drogę. Serce szybko biło mu w piersi, lęk chuchał zimnym oddechem w kark. Ogród był dziwny, nawiedzony. Asi słyszał w gęstwinie za plecami błagania, szepty i chichoty, wśród tańczących plam światła i cienia coś się poruszało, prześlizgiwało na granicy wzroku. Anioła z wolna ogarniała panika. Bezwiednie przyspieszał kroku, w końcu zaczął biec. Zdawało mu się, że stare, pokręcone drzewa oliwne wyciągają konary, aby schwytać go za skrzydła, za ubranie, za włosy. Ciemne, złowrogie cyprysy pochylały się nad ścieżką, gotowe przygnieść nieszczęśliwego wędrowca. Ciernie kaleczyły ręce, wyrwały pióra. Pod stopami roilo się od podstępnych korzeni i niewidocznych wykrotów. A posągi! Na Jasność, poruszały się! Widzi przecież wyraźnie, że go ścigają, przemykając bezszelestnie wśród zieleni. Asi zacząłby krzyczeć, ale głos uwiązł mu w gardle. Bał się wydać dźwięk, przekonany, że straszliwe posągi rzucą się wtedy na niego i zgniotą. Chciał wzywać na pomoc imienia Symei, anielicy, do której został wysłany, lecz krzyk zdławił mu w piersi okropny lęk, że ona także okaże się potworem. Asi biegł przed siebie, przez zdziczały, pusty, niekończący się ogród, dysząc i z trudem powstrzymując szloch. Sforsował barierę kolczastych zarośli, wypadł na małą polanę, porośniętą gęstym dywanem kwitnącej werbeny. Wtem zaczepił stopą o wystający korzeń i runął jak długi. Poderwał się z piskiem przestrawienia, bo wprost w niego wpatrywało się martwe, zasnutym bielmem oko leżącego olbrzyma. Dopiero po chwili do anioła dotarło, że spogląda na wielki, zwalony posąg. Odetchnął z ulgą. Panika powoli zaczynała mijać. Pajęczki tamaryszki, z gałązkami ozdobionymi kiściami różowych kwiatów, kołysały się lekko na słabym wietrze. Podłużne, srebrne liście rokitników drżały. Gdzieś w pobliżu, niewidoczna w gęstwinie zieleni, szemrała fontanna. Asi stał bez ruchu, czekając, aż uspokoi się bijące serce. Na dźwięk głosu poderwał się jak zacięty biczem.

– Ogród upomniał się o ciebie, chłopcze? Jest zachłanny. Tu rzadko ktoś przychodzi.

Przez jedną straszną chwilę Asi myślał, że przemawia do niego posąg, ale szybko doszedł do wniosku, iż niemłody mężczyzna, siedzący na kamiennej ławce ukrytej w cieniu oleandrów, jest człowiekiem.

– Wybacz, panie – wyjąkał. – Nie miałem zamiaru zakłócać twego spokoju.

– Spokoju? – Mężczyzna zaśmiał się zgrzytliwie. – Na bogów, w których straciłem wiarę, jeszcze zanim się tu znalazłem, chłopcze, ty mówisz o spokoju?

Asi nerwowo przełknął ślinę. Coś niepokojącego czaiło się w oczach tego człowieka o suchej, orlej twarzy i gorzkim grymasie ust. Anioł zrozumiał z przestachem, że to nie Symea jest potworem z ogrodu. I nie ogród wpływa na swego dziwnego mieszkańca, lecz on, przez samą obecność, czyni to miejsce nawiedzonym.

Asi zadrżał.

– Pozwól, że pójde już, panie – wyszeptał. – Mam posłanie do Świetlistej Symei od mistrza Omaela, maga, twórcy specyfików leczniczych.

Mężczyzna znów się zaśmiał, lecz jego oczy pozostały chłodne.

– Ach, więc to twemu mistrzowi zawdzięczam cudowne kordiały, które pozwalają mi zasnąć w noc pełne wirujących gwiazd i umierających komet! Przekaz mu wdzięczność i ukłony.

Zęby Asiego poczęły dzwonić ze strachu, choć przecież nic niepokojącego nie dało się odczytać w słowach starszego, krótko ostrzyżonego mężczyzny w czystej, białej tunice.

– Żegnaj, panie.

– Nie! – Żylasta ręka błyskawicznie zacisnęła się na przedramieniu anioła. Nieznajomy poderwał się z ławki ze zwinnością pantery. Wielkie, płonące źrenice patrzyły bez mrugnienia w oczy anioła. Asi spróbował wyrwać rękę z uścisku, ale nie zdołał. Mężczyzna ścisnął ramię skrzydlatego niby kleszcze.

– On odszedł, wiesz, słodki aniołku? – wyszeptał świszczącym, niskim głosem. – Odszedł, a wy nic nie poczuliście. Ale ja tak. O, tak! Ja... spotkałem Go, rozmawiałem z Nim i zabiłem Go! Rozumiesz? Jestem naznaczony, jak każdy, kto Go spotkał, kto stanął na Jego drodze. Jako przyjaciel czy wróg, nieważne. On nie ma wrogów. Nie zna przeszkód. Nic Mu się nie oprze. Napiętnował mnie. Odcisnął... swoje... światło. Aż oślepiłem, umarłem, wypaliłem się. I jestem tu. Sam, ale nie sam. Nigdy. Zostałem z Nim związany na wieczność. Wiesz, co to wieczność, aniołku? A teraz odszedł. Odsunął się od was. Zabrał swoich ulubieńców. Tak jak dziecko zabawki. Jak kobieta pachnidła, szminki i ozdoby. Są z Nim, tam. I nie ma ich, bo odszedł. Rozumiesz?

Potrząsnął ramieniem anioła. Wystraszony Asi nie zdołał nic wyjąkać. Szalenciec patrzył na niego, ale rozszerzone, puste źrenice widziały odległe światy.

– To było wygnanie. Niełaska – szeptał gorączkowo. – Ten upał, smród, krzyczący na każdym rogu prorocy. Wciąż o wieczności, gniewie, zbrodniczych postępkach. Nie rozumiałem ich. Gardziłem nimi. O, jakże pragnąłem wrócić do domu. Gniew, krew,

zbrodnie, rozwichrzone brody, brudne, podarte szaty, cuchnące kozy na ulicach miast. Ulicach! Udeptanych klepiskach! I wciąż to samo. Zbrodnicze uczynki, kara. Tak jakby był wiecznie niezadowolony. On nie zna takich uczuć. Jest... światłem, które oślepia. Oślepił mnie i odszedł. Bo go zabiłem. Bo pozwoliłem zabić. Nic nie rozumiesz. Te krzyki, wrzaski, absurdalne argumenty. I upał. I pył. I muchy. A ja chciałem po prostu spokoju. Był dla mnie kolejnym szaleńcem. Innym, bo cichym. Żał mi Go było, ale tak się darli, wrzeszczeli, grozili. Zrozum, nie mogłem sobie pozwolić na zamieszki. A tam tliło się nieustanne zarzewie. Nie mogłem sobie pozwolić, aniołku, bo tak bardzo chciałem wrócić do domu. Gdybym ściągnął na siebie kolejną niełaskę, straciłbym szansę. Musiałem utrzymać spokój. Nie rozumiałem ich. Bezsensownych nakazów, zakazów, praktyk. Byli tacy bezkompromisowi. Zaciekli. Nienawidzili mnie, a ja nienawidziłem ich. Pragnąłem, żeby wyflukły ich pioruny z niebios, zalało morze, sam nie wiem. Czasem nawet nie widziałem w nich ludzi. Obce istoty, gorsze od barbarzyńców. Nie dało się z nimi porozumieć. Wszystko było źle! Te wieczne historie! Absolut, mistycyzm i brudne łachmany. Pot, smród, lepianki z błota. Gnijąca na ulicach krew, z tych ich zarzynanych owiec. Czy wiesz, co znaczy żyć w kraju, gdzie oszczędza się wodę? Mógłbym się bezustannie kąpać. Zmywać ten upał, duchotę, zmęczenie. Tęskniłem. Chciałem znów ujrzeć ogromne, jaśniejące budynki, brukowane ulice, wodociągi, wille zaszyte wśród cichych ogrodów. Śnieg. Ośnieżone szczyty pod niebem ciemnym jak szafir. I dumną, ciągnącą się po horyzont linię akweduktu. Znak cywilizacji. Chciałem zobaczyć potęgę i majestat mojego miasta. Czytać książki. Dyskutować. Spierać się. Wynajdować argumenty. Żartować. Wymieniać plotki. O czym miałem z nimi rozmawiać? O absolicie? O baranach? Zrozum, musiałem wrócić. Z wygnania. Z więzienia. Za cenę jednego życia. To nie tak, jak myślisz. Wtedy życie było tanie. Nie skazałem Go przecież! Nie znalazłem winy. Skąd mogłem wiedzieć? Co robić? Wyprowadzać armię? Bić się? O jednego cichego, dziwnego szaleńca, którego mieli fantazję przestać lubić? Pragnąłem tylko spokoju!

Zaśmiał się krótko, jakby szczekał czy szlochał.

– Spokoju! Co za szaleństwo! Ale teraz zostawił i was. Zobacz, nie ma Go. Poszedł. Odsunął się. Możesz sprawdzić, przysięgam. Zabrał niewiastę, którą zwiecie Królową. I starców, patriarchów, wybranych, oślepionych jak ja. I świętych, którym odebrał wzrok i duszę jeszcze za ich życia. I niektórych z was. Cherubów, serafów, Książąt Sarim, eonów. Możesz ich szukać, lecz nie znajdziesz. I Jego możesz szukać. Próżny trud.

Oddychał płytko, szybko.

– Odszedł – powtórzył bezradnie.

Nagle odskoczył, puścił ramię Asiego.

– Mam brudne ręce – powiedział ze zdumieniem. – Brudne...

Rzucił się w krzaki, znikając aniołowi z oczu. Asi, choć rozum podpowiadał, że czas uciekać, wiedziony dziwną siłą powoli rozgarnął zarośla.

Szaleniec klęczał nad ocembrowaniem fontanny i nerwowymi ruchami pocierał zanurzone w wodzie dłonie.

Z drugiej strony na polanę wkroczyła wysoka, kosztownie odziana anielica. Zmarszczyła idealnie wykrojone brwi.

– Co tu się dzieje? – spytała ostro.

Mężczyzna przy fontannie poderwał głowę. Ale anielica patrzyła prosto na Asiego.

– Przyniosłem posłanie od Omaela, pani – wymamrotał anioł. – I nowe leki.

– Rozmawiałaś z nim? – Ruchem głowy wskazała klęczącego.

– Niiee – wyjąkał Asi. – Nie, pani.

Właściwie nie kłamał, bo sam zdążył powiedzieć zaledwie kilka słów, a czuł przez skórę, że przyznanie się oznaczałoby poważne kłopoty.

Surowa Świetlista skinęła ręką.

– Chodź, nie życzę sobie, żeby obcy kręcili się po ogrodzie i niepokoiili chorego.

Odchodząc, Asi ujrzał, jak twarz mężczyzny w tunice wykrzywia się w drwiącym uśmiechu.

* * *

W tawernie Pod Utopionym Egipcjaninem w Zatoce Rahaba było tłoczno i gwarno. Daimon Frey, Anioł Zagłady, Tańczący na Zgliszczach, nie poddawał się ogólnemu nastrojowi beztroski i zabawy. Siedział w kącie, z wyrazem twarzy, który odstraszał każdego potencjalnego amatora pogawędek lub zaczepek, a dałby zapewne do myślenia nawet rozwścieczonemu gryfowi. Czarne, bezdenne źrenice, okolone fosforycznymi pierścieniami zieleni, lśniły złowrogo. Daimon pił. Ściślej, upijał się konsekwentnie, choć na razie bez skutku. Wrócił właśnie z misji w dalekich krainach Sfer Poza Czasem, więc przed oczami wciąż widział płomień. Liczył, że wino je zgasi. Jak zwykle, nadaremnie.

Na widok Gabriela twarz Daimona przybrała jeszcze bardziej ponury wyraz. Regent Królestwa usadowił się przy stole i zamówił puchar wina.

– Długo cię szukałem – powiedział.

Frey wpatrywał się w zalany alkoholem blat stołu.

– Szkoda, że nie dłużej – mruknął. – Chcę być sam.

Gabriel pochylił się nisko.

– Kiedy wróciłeś?

Daimon podniósł na niego pełne złości spojrzenie.

– Dopiero co. Spadaj. Chcę być sam.

Pan Objawień obliznął wargi.

– Dopiero co, mówisz? To już coś. Zalewasz robaka?

Daimon uderzył dłonią w stół.

– Do cholery, Gabrysiu! Wywaliłem w powietrze cztery rozległe krainy wraz z rzekami, górami, miastami i pechowcami, którzy podpadli Jasności! Jeszcze nie ostygły. To nie czas na pogawędki!

Gabriel wyszczerzył w uśmiechu zęby.

– Mylisz się. Czas zaiste doskonały.

Daimon westchnął, zrezygnowany. Przesunął ręką po twarzy.

– Czego chcesz? Streszczaj się i spadaj. Mam życzenie upić się w samotności.

Archanioł Objawień pociągnął łyk wina.

– Ale sikacz – powiedział radośnie.

Daimon jęknął w duchu. Gabriel przez chwilę bawił się ściągniętym z palca pierścieniem.

– Słuchaj – zaczął. – W jaki sposób dowiadujesz się o misjach?

Frey popatrzył na Gabriela pytającym wzrokiem.

– Podobnie jak ty. W nagłym momencie olśnienia. Czuję, co jest wolą Jasności, i wypełniam ją.

Gabriel stukał kciukiem w brzeg kielicha.

– Nie może ci się zdawać, co?

– Rany! Oczywiście, że nie! Co z tobą, Dżibril? To ja miałem się upić!

Pan Objawień machnął ręką.

– Zaraz, poczekaj. A moc destruktora? Kiedy się budzi?

– Kiedy Pan tchnie siłę w miecz, Gwiazdę Zagłady – wyjaśnił cierpliwie Daimon, z trudem hamując irytację. – Dlaczego każesz mi powtarzać rzeczy tak oczywiste?

– Pan osobiście? – zagadnął Gabriel z dziwnym błyskiem w oku.

– Cholera, Gabrysiu, tak, osobiście! Aktem woli. To, rzecz jasna, nie znaczy, że oblewa miecz naftą i podpala – dodał Anioł Zagłady z przekąsem.

Archanioł nie przejął się ironią. Wyglądał na szczęśliwego jak żaba, która podczas suszy znalazła przytulną kałużę.

– Bez bezpośredniego rozkazu Pana nic nie zadziała, tak? Możesz machać mieczem do upadłego i będziesz tylko doskonałym szermierzem? Żadnym tam Burzycielem Światów. Przemiana nie nastąpi?

– Nie nastąpi. A teraz idź i weź lekarstwa, których zapomniałeś zażyć. Przy chorobach psychicznych nie ma żartów.

– Doskonale – mruknął Gabriel. – Coś już wiemy. Znaleźliśmy szczęśliwą wyspę w morzu kloaki. Chodź, Daimon. Chcę ci coś pokazać.

– O nie! – zaprotestował Frey. – Mowy nie ma! Siedzę tu i piję, a ty znikasz.

Gabriel wyszczerzył w uśmiechu zęby.

– Rozkaz regenta – zachichotał radośnie.

– Ty sukinsynu – powiedział Daimon z niedowierzaniem.

Pan Objawień już zmierzał ku wyjściu.

* * *

– Gabriel, ty naprawdę zwariowałeś – powiedział Frey poważnie. Patrzył na przyjaciela oczami rozszerzonymi z niepokoju.

– Wcale nie. Okaż trochę zaufania. Wchodź!

Daimon cofnął się o krok.

– Gabriel, to Sala Tronowa. Zastanów się.

Regent Królestwa wzruszył ramionami.

– Zastanowiłem się i chcę, żebyś wszedł.

– Nie mogę! Nie wolno mi! Oszalałeś?!

– Wolno – powiedział Gabriel ponuro. – Wolno każdemu. No, włącz.

– Nie!

Daimon czuł się zupełnie skołowany. Gapił się na Gabriela, w nadziei że przyjaciel pozwala sobie na głupi żart. Czekał na śmiech, klepięcie w ramię, słowo wyjaśnienia. Nic podobnego nie nastąpiło.

– Zaufaj mi – rzekł Gabriel i pchnął drzwi sali, pociągając jednocześnie Anioła Zagłady za rękę.

Jeden krok i Daimon znalazł się w Sali Tronowej, najświętszym miejscu Królestwa. Poczul zawrót głowy, nogi się pod nim ugięły. Przed oczami widział złote błyski, cztery wirujące, gładkie ściany i Tron. Lśniący, biały niczym śnieg. Pusty.

Na podwyższeniu, u stóp Tronu siedział Serafiel, wódz chóru serafinów. Owinął się jak kokonem trzema parami cienkich, pergaminowych skrzydeł. Obrócił obłą głowę i patrzył na przybyszów wielkimi, owadzimi oczami. Nie odezwał się. Wszyscy w Królestwie wiedzieli, że jest szalony, podobnie jak reszta serafinów, którzy nieustannie przebywali w blasku Chwały Pana. Inaczej nie mogliby tam wytrwać.

– Co?... – wyszeptał Daimon i głos mu się załamał.

– Pan odszedł – powiedział Gabriel. – Opuścił Królestwo. Dowiedziałem się o tym przypadkiem kilka dni temu. Zabrał Królową, większość świętych, patriarchów i proroków. Swoich ulubionych aniołów też. Metatrona, kilku eonów. Zniknęli wszyscy serafini. Pozostał tylko Serafiel. Twierdzi, że na rozkaz Pana. Tylko on może przekazywać nam Jego wolę. Jest szalony i bredzi od rzeczy. Śpiewa, mówi wierszem, śmieje się. A Pan odszedł. Pozostał tylko pusty Biały Tron.

Daimon próbował zebrać myśli.

– Dlaczego? – spytał rozpaczliwie.

Gabriel posmutniał.

– Nie wiem. Znalazł w nas błędy. Nieczystość, skazę. Zamiast w stronę doskonałości, dążymy ku zepsuciu. Prawo entropii. Być może nie On odsunął się od nas, lecz my od Niego.

– Zaraz – szepnął Daimon. – I co teraz zrobisz?

– Zawiązaliśmy przysiężenie. Siedmiu archaniołów, którzy są władni przebywać przed Tronem. Będziemy milczeć i ze wszystkich sił starać się, żeby prawda nie wyszła na jaw, póki zdołamy utrzymać tajemnicę lub póki Pan nie powróci. On oceni nasze czyny i intencje.

– Na Jasność! Nie mogę uwierzyć – jęknął Daimon.

Czuł się zdruzgotany, przybity.

Gabriel położył mu rękę na ramieniu.

– Postanowiłem ci powiedzieć, Daimon. Jesteś jednym z nas. Tylko do ciebie mam zaufanie. A musiałem się dowiedzieć, czy mimo odejścia Pana, Jego moc działa bezpośrednio. Skoro dokonał twojej przemiany w Burzyciela Światów, to nie opuścił nas całkowicie! Nie wiesz nawet, jaką poczułem radość. I ulgę. Stałeś się zwiastunem nadziei, Daimon.

– Bodajbym nie był – powiedział Frey gorzko.

– Stało się. Musimy sobie radzić. – Gabriel wzruszył ramionami – Postanowiłem włączyć w spisek Lucyfera.

Anioł Zagłady drgnął.

– Ryzykowne – mruknął.

Gabriel rozłożył ręce.

– Nie mamy niczego do stracenia w tej sytuacji. Władza Jasności sygnowała zarówno moją, jak i głębiańską władzę. Wolę nie myśleć, co się stanie, gdy okaże się, że Pan już za nami nie stoi. Zarówno w Królestwie, jak i w Głębi rozpęta się natychmiast szaleńcza wojna domowa. Wszyscy przeciw wszystkim, bo nie ma już wybrańców. Nowym władcą może być każdy, skoro Pan odstąpił swoich ulubieńców. Nastanie koniec czasów, chaos i śmierć na niewyobrażalną skalę. A ja do tego nie dopuszczę, bo przysięgałem bronić Królestwa do ostatniego tchu.

Daimon przesunął ręką po twarzy.

– Może i racja. W Głębi jest wielu dobrych magów. Któryś mógłby się domyślić. A tak Lucyfer szybko straci mu głowę z karku.

– Na przykład – skwitował Gabriel.

Daimona męczyły zawroty głowy i mdłości.

– Chodźmy stąd – powiedział. – Źle się czuję. Chcę wyjść.

– Dobrze – zgodził się Pan Objawień. – I tak zobaczyłeś już wszystko.

– A wiele jeszcze zobaczysz, upiorze – rozległ się suchy, szeleszczący głos Serafiela.

Olbrzymi anioł rozłożył górną parę skrzydeł, które drgały w powietrzu niczym dziwaczne firanki. Ciało serafina wydawało się stworzone z zakrzepłych płomieni. Ręce migąły, kreśląc na posadzce dziwaczne znaki.

– Rany! – jęknął Daimon. – To dla mnie za dużo!

– Nie! – szeleścił Serafiel. – Zobaczysz! Będziesz widział! WIDZISZ!

– Chodź. – Regent objął Freya i popchnął ku drzwiom. – To wariat. Mówiłem.

– Upiorze! – krzyczał za nimi serafin. – Będziesz widział!

Gabriel energicznie zatrzaskał drzwi, ucinając krzyk szalonego anioła. Daimon osunął się na kolana za progiem Sali Tronowej. Czuł się, jakby w ostatniej chwili uniknął stryczka.

– Mam dość! – stęknął.

Rozbolała go głowa, targały mdłości. Chciał wrócić do domu i przespać się trochę. Zobaczył pochyloną nad sobą twarz Gabriela.

– Skontaktuj mnie z Lucyferem, dobra? Przez Kamaela albo kogoś z Głębi. Tobie będzie łatwiej, rozumiesz. Jako Anioł Zagłady funkcjonujesz właściwie po trosze i w Otchłani.

Daimon pokiwał głową.

– Dobrze – wymamrotał. – Ale teraz idź już sobie i zostaw mnie, co?

– Jasne – powiedział Gabriel.

* * *

Omael był zły. Wiedział, że właśnie nadszedł jeden z tych dni, kiedy wszystko idzie jak po grudzie, naczynia wywracają się, zalewając pracownię żrącym kwasem, ktoś się mądrzy i kręci nosem, eksperymenty nie wychodzą, a on sam żałuje. Żałuje dotkliwie i boleśnie, że zabrakło mu odwagi, żeby postąpić zgodnie z własnymi ideami.

Z wściekłością walił tłuczkiem w mózdzierz. Naczelnny aptekarz Królestwa. Pigularz. Nędzny producent czopków przeciw wzdęciom. Światła persona, nie ma co! A – przecież jest magiem! Mógłby daleko zajść. Gdyby tylko nikt się nie wtrącał i nie machał mu przed nosem edyktami o zakazie używania czarnej magii. Na Mrok! Na Mrok! Gdyby tak zdobył się wtedy na odwagę! Gdyby opowiedział się po stronie Lucyfera! Budowałby teraz wspaniałą, nową, wolną Głębię, krainę mędrców i czarowników, zamiast kręcić piguły. Jedna chwila słabości kosztowała tak drogo. A mógł być kimś! Magiem Głębi, otoczonym szacunkiem i podziwem. Teraz go przecież nie przyjmą. Co za los! Skrzypnęły drzwi. Omael cisnął mózdzierz na stół.

– Asi! – wrzasnął wściekle. – Gdzie się podziewałeś?! Pół dnia cię nie było! Obijałeś się, co? A ja tu sam ze wszystkim! Bierz się do tłuczka! Czemu się spóźniłeś, co?

– Panie! – wyjąkał chłopak. – Wybacz! Zabłądziłem w przerażającym ogrodzie, a potem dopadł mnie jakiś szaleniec i opowiadał straszne rzeczy.

Omael wytarł ręce w brudny fartuch.

– Ale mimoza z ciebie, Asi. Kawał trzęsącej się galarety – fuknął.

– Błagam, panie! Nie wysyłaj mnie tam więcej! Posągi chciały mnie zabić, a ten człowiek, szaleniec, mówił, że Pan nas opuścił!

Farmaceuta ściągnął z głowy ciemną, wyświechtaną czapeczkę, podobną do rozpląszczonej kreciej skórki.

– Co powiedział, chłopcze? – spytał z nagłym zainteresowaniem.

Asi zaczął szlochać.

– Że nie ma... Pana nie ma... odszedł. Porzucił nas! I Królowa, i święci mężowie, i wielcy skrzydlaci! Biada! Biada! Opuścił Królestwo! Co teraz będzie?

– Ciekawe – mruknął Omael, drapiąc się w brodę porośniętą niechlujną szczecina. – Bardzo ciekawe.

* * *

Symea zdziwiła się lekko, widząc aptekarza.

– Co cię sprowadza, panie? – spytała. – Twój posłaniec dostarczył leki.

Omael, zdyszany, jak po szybkim marszu, skinął głową.

– Tak, pani. Lecz eksperymentuję właśnie z nowym specyfikiem, który może okazać się wielce pomocny.

Symea zmarszczyła brwi.

– Oby tak było. Chory zachowuje się ostatnio bardzo niespokojnie. Jest pobudzony, obawiam się pogorszenia.

– Chciałbym się z nim zobaczyć, porozmawiać.

– Oczywiście.

Omael spojrzał wprost w oczy anielicy.

– Sam na sam.

Cofnęła się, grymas wykrzywił jej usta.

– No, nie wiem... – zaczęła.

– W ten sposób będzie miał do mnie większe zaufanie. – Przerwał. – I dowiem się więcej. O objawach, lękach i męczących go obsesjach. Przy tobie, pani, może nie zechce się otworzyć. Dla dobra pacjenta wywiad powinien odbyć się bez świadków.

Symea nie zdawała się przekonana.

– Zobaczymy – powiedziała wymijająco.

* * *

Eriasz, strażnik rajskich kwater, ze zdziwieniem podniósł wzrok.

– Wzywano cię, panie?

Omael skinął głową.

– Z całą pewnością. Ponoć świątobliwy Roch niedomaga, a Cecylia skarży się na bóle w karku. Mam ze sobą potrzebne specyfiki.

Pokazał spore zawiniątko. Strażnik wzruszył ramionami.

– Zatem, wejdz – powiedział.

Rozległe, zielone łąki i białe pawilony ukryte wśród drzew sprawiały pogodne wrażenie. Ale parkowe alejki świeciły pustkami. Nikt nie siedział w altanach oplecionych różami i

wisterią ani na kamiennych ławkach opodal licznych fontann i basenów. Nikt nie spacerował ścieżkami wijącymi się między krzewami oleandrów i azalii.

Kwatera świątobliwego Rocha była pusta. Cecylii również. Podobnie jak wiele, wiele innych. Omael zawrócił ku wyjściu.

* * *

W komnacie paliły się setki czarnych świec. Za starannie zasłoniętym oknem przechadzała się noc, głucha, mroczna i głęboka. Omael stał w kręgu spryskanym krwią młodego gryfa. Drżąc z lęku, intonował zaklęcia. Prastare i zakazane. Straszne.

Wyrysowane posoką linie zaczęły świecić upiornym, fioletowym światłem. Głos maga załamał się, lecz nie przerwał zewu.

Pośrodku komnaty otworzyło się pojedyncze, czerwone ślepie. Pulsowało czerwienią. Żarzyło się niczym ogromny węgiel. Słabo. Bardzo słabo. Nie rozbłysło blaskiem. Drgało, aż zamarło. Wyczerpany aptekarz opadł na posadzkę. Pocił się. Ręce mu się trzęsły. Ale w duszy nieśmiało kiełkowała radość, jasna niczym słońce.

* * *

Omael, z sercem trzepoczącym niczym koliber, podążył do wielkiego, ciemnego budynku, leżącego na uboczu Drugiego Nieba. Z zachwytem wpatrywał się w smukłe, czarne wieżyce, groźne na tle niebieskiego nieba, podobne do drapieźnych ptaków czyhających na zdobycz. Napawał wzrok widokiem okien okolonych motywem czarnych płomieni, bramy zwieńczonej figurą ziejącego ogniem smoka. Szedł do siedziby grigori, czuwających, osobliwego przedstawicielstwa Głębi w Królestwie. Wiedział, że tym razem nie wyśmieją go ani nie wyrzucą. Niósł wielką, niesłychaną wieść, która pozwoli mu wkroczyć do Otchłani w aureoli bohatera. Na Mrok! Zostanie bohaterem Głębi!

Wszystko wskazywało na to, że Asi mówił prawdę. Omael wychodził z ogrodów Symei zaintrygowany, ale nieprzekonany. Wmówił wreszcie anielicy, że musi w samotności porozmawiać z chorym, żeby dobrać skuteczny lek na jego dolegliwości. Nie dowiedział się więcej niż przedtem Asi, ale nabrał nadziei, że usłyszał prawdę. Kilka dni strawił na poszukiwaniach. Nie było łatwo, bo nie dozwolono mu osiągnąć odpowiedniej pozycji, żeby jego imię otwierało wszystkie drzwi w Królestwie. Lecz wszędzie, gdzie dotarł, zbierał dowody. Od długiego czasu nie widziano Metatrona, wszechanioła zwanego Przyjacielem Pana. W rajskich kwaterach nie zastał wielu patriarchów i świętych. Nikt nie zwrócił na to uwagi, gdyż nie mieli obowiązku stale w nich przebywać ani meldować o swoich planach. Niektórzy lubili odwiedzać Ziemię, często pomieszkiwali w ulubionych, poświęconych im sanktuariach i kościołach. Jednak rzadko znikali w tak masowej skali. O Królowej,

oczywiście, nie mógł dowiedzieć się niczego pewnego, lecz o serafinach już tak. Od pewnego czasu nikt ich nie spotykał. Dosłownie nikt. Sprawa nie budziła podejrzeń, bo mało kto zadawał się z serafinami z własnej woli. Oni naprawdę byli nieprzewidywalnymi szaleńcami. Ale służyli Panu i nie ośmieliliby się opuścić tak licznie Królestwa bez konkretnego rozkazu.

W końcu zdobył ostatni, najbardziej przekonujący dowód. W ciemnościach nocy ośmielił się przeprowadzić zakazany, czarnomagiczny rytuał badania poziomu mocy. Oddziaływanie Jasności na Królestwo okazało się katastrofalnie małe. Żałosne. To mogło oznaczać jedno. Pan rzeczywiście odszedł, porzucił swoje dzieło albo zgoła umarł. Nieistotne. W każdym razie tu Go nie ma. Nie ma i już!

Omaela rozpieierała radość. Być może informacja okaże się fałszywa, lecz jeśli nie, otworzy przed Głębią niespotykane możliwości. Rozpoczną nową wojnę i wygrają! Na Mrok, tym razem zwyciężą! Błyskawicznie pochłoną bezbronne Królestwo i nastanie epoka światłego rozumu, wolności i swobód. A kto przyniesie tę zbawczą wieść? Omael. Mag, mędrzec, bohater Głębi!

Z lekkim sercem i duszą wznoszącą słodkie hymny do Mroku, Omael zaczął się dobijać do ciemnych wrót siedziby grigori.

* * *

Czuwający Gadriel sklejał z ości model latającego okrętu. Kakabel siedział rozwalony na krześle, nogi opierał na stole i bawił się rzucaniem nożem do celu, który stanowił rzeźbiony gzyms szafy bibliotecznej. Właśnie udało mu się wbić nóż prosto w otwarty dziób wieńczącego gzyms gryfa, gdy wparował z impetem Armaros.

– Chłopaki, co za numer! – wykrzyknął.

Gadriel obrócił się leniwie, nie wypuszczając modelu z rąk. Kakabel obojętnie gwizdnął na nóż, który natychmiast posłusznie powrócił do dłoni.

Armaros zatrzymał się na środku komnaty.

– Niech któryś skoczy po Salamieła. Szef musi to zobaczyć! Mamy jakiegoś dupka, który poprosił o azyl!

Nóż Kakabela upadł z trzaskiem na podłogę.

* * *

Lucyfer, wysoki, barczysty, z ostrzyżoną na krótko jasną czupryną, spojrział na Asmodeusza. Fiołkowych oczu przyjaciela nie mącił niepokój.

Pan Otchłani, nazywany czasem pogardliwie lub pieścizotliwie Lampką, westchnął głęboko. Chciałby podzielać opanowanie Asmodeusza.

– Co myślisz? – spytał po raz kolejny.

– Już mówiłem. Wchodzimy w to. Ale decyzja, należy do ciebie.

Lucyfer wyrzwał przez okno luksusowej willi Asmodeusza. Nad Jeziorem Płomieni krążyły stada harpii. Krzyczały przejmująco. Lampkę przygnębiał ich lament, ale Mod, oprócz tego, że trzymał rękę na większości kasyn i domów rozpusty w Głębi, był też doskonałym malarzem, a plenery z jeziorem i otaczającymi je Równinami Lodu uchodziły za najbardziej malownicze.

– Przyszli do nas, do Otchłani, nie proponując nawet spotkania na neutralnym terenie – powiedział Lampka. – Dużo ryzykowali.

Asmodeusz wzruszył ramionami.

– Są zdesperowani. Nie mają wyjścia. Podobnie jak my.

– My? Powinniśmy się cieszyć z odejścia Jasności.

Drobny demon o zielonych włosach wyszczerzył w uśmiechu zęby.

– A ty się cieszysz, Luciu?

– Nie – powiedział Lucyfer szczerze.

– Widzisz? – Asmodeusz wycelował w niego palec. – W sumie ja też nie. Wyobrażasz sobie szaleństwo, które ogarnęłyby Głębie, gdyby tajemnica się wydała? Tłumy oszołomów pragnących natychmiast uderzyć na Królestwo. Tłumy sukinsynów, próbujących, obawiam się, że skutecznie, wyrwać nam stołki spod tyłków. I tłumy cwaniaków, starających się coś na tym zyskać. Koszmar, co? Prawdziwe piekło.

Roześmiał się. Lampka pozwolił sobie na krzywy uśmieszek.

– Nie przejmuj się – powiedział Mod. – Przynajmniej zobaczyłeś starych kumpli po latach. Gabrysia, Michała, Razjela. Jak się wtedy czuleś?

– Dziwnie – przyznał Lucyfer. – Chyba nadal ich lubię.

– I dobrze, bo przyjdzie nam współpracować.

Asmodeusz sięgnął do miseczki stojącej na małym stoliku i włożył do ust dorodnego daktyla.

– Chcesz? – Podsunął naczynie przyjacielowi.

Lampka potrząsnął głową.

– Co z czynnikiem nieoznaczonym? – spytał.

– Spacyfikowany – wyjaśnił Asmodeusz, wypluwszy pestkę.

– Wyjawiał ci wielką tajemnicę?

Przystojna, młodzieńcza twarz demona rozjaśniła się.

– Jasne.

– Ta sama?

– Niestety, tak. Więcej niespodzianek na razie nie przewidziano.

– Skrzydlaci zaraz tu będą. Wpuścić czynnik w czasie ich obecności?

– Oczywiście! – zawołał Asmodeusz. – Niech wiedzą, kogo u siebie mają. Zagrywka psychologiczna, rozumiesz?

Ktoś zastukał do drzwi.

– Wejść! – zawołał Lampka.

Do salonu wsunął się służący.

– Panie, goście przybyli.

– Wprowadź – powiedział Asmodeusz i sięgnął po następnego daktyla.

Skrzydłaci weszli, w milczeniu uściśnęli dłonie demonów. Gabriel, Razjel, Michał i Daimon. Na ich twarzach malowało się napięcie.

– Postanowiliście? – spytał regent Królestwa ochrypłym z emocji głosem.

Lucyfer skinął głową.

– Zgadzamy się – powiedział spokojnie. Gabriel poczuł, że miękną mu kolana.

– Na Jasność! – szepnął. – To dobrze.

– Niezbędnie – dodał Asmodeusz chłodno.

– Czy pozostali archaniołowie wiedzą o naszym przymierzu? – zapytał Lucyfer.

Gabriel pokręcił głową.

– Jeszcze nie.

Lampka drgnął, niezadowolony.

– A jeśli się nie zgodzą? Mogą zagrozić przedsięwzięciu.

– Czy znasz termin: „dopuszczalne straty”? – wtrącił Razjel. – Jeżeli zawiodą, będą zmuszeni znaleźć się na tym marginesie.

– No nie! – zakrzyknął uradowany Asmodeusz. – Sprzątniecie ich? Aniołowie?! Chłopcy, zaczynam was lubić!

– Tylko w ostateczności – powiedział Gabriel sucho. – Jeśli zaczną stanowić realne zagrożenie dla Królestwa.

– To bardzo ryzykowne – mruknął Daimon. – Załatwić archanioła, który faktycznie jest jednym z siedmiu współrzędnych kosmosu. Zwraca uwagę, mnoży niepotrzebne pytania. Taka opcja to naprawdę ostateczność.

– Zastanawialiście się, co zrobić, jeśli dojdzie do przecieku na większą skalę? – zagadnął uprzejmie Asmodeusz.

– Na projekty awaryjne jeszcze za wcześnie. – Daimon pokręcił głową. – Koalicja dopiero się tworzy.

– Myśmy mieli jeden na względzie. Plan A.

– Co to takiego? – spytał podejrzliwie Michał.

– Sfingowana Apokalipsa – wyjaśnił Lucyfer osłupiałym aniołom. – No, rozumiecie. Armageddon. Koniec świata.

– Rany! – stęknął Razjel. – Co to nam niby da?

– Czynniki chaosu i zaskoczenia. Innymi słowy, trochę czasu. Potem rozprawiamy się z potencjalnymi wrogami i twierdzimy, że uratowaliśmy świat, nie dopuszczając do wojny. Proste, co?

– Szalone – skwitował Gabriel. – Ale pomyślmy nad tym później. Musimy opracować jakieś inne warianty.

– Ale co za wspaniałe teatrum! – westchnął Asmodeusz. – Michaś odgrywałby Pana.

– Ja?! – krzyknął przerażony archanioł. – Dlaczego?

– Jesteś trochę podobny. W końcu nosisz imię „Któż jak Bóg”.

– Bądź poważny, Mod – burknął Lampka.

– Jestem poważny. Śmiertelnie poważny – oburzył się zielonowłosy demon. – Daktyla? Lucyfer westchnął.

– Będziemy musieli wykrywać najmniejsze możliwe przecieki – powiedział Razjel. – Wszystko, co podejrzanę. I natychmiast likwidować.

– O, właśnie – wtrącił Asmodeusz. – Jednego podejrzanego już mamy. Zdziwiająca sprawność, prawda? Luciu?

– Zechciejcie ukryć się tam, za załomem salonu, przy fotelach klubowych, dobrze? – poprosił Lucyfer. – Musicie być świadkami pewnego wydarzenia.

Zaklaskał na służącego.

– Wprowadzić aptekarza – rozkazał.

W chwilę później do pokoju wparował Omael.

– Niech będzie pochwalona Głębia! – zakrzyknął z patosem. – Wolna i zwycięska!

– Tak, oczywiście – mruknął Lucyfer.

– O panie mój, cudowne narzędzie Mroku! – wrzasnął rozpromieniony farmaceuta. – Przynoszę ci zbawczą wiadomość! Jutrzenkę nadziei dla Otchłani!

– Jutrzenkę dla Otchłani? – burknął pod nosem Asmodeusz. – Co za grafomania.

Bał się, że Omael w poplamionym fartuchu i brudnej szacie popłami mu obicie kanapy.

Tymczasem aptekarz kontynuował porażającą przemowę, przeżąc pierś, jakby tam już dumnie połyskiwał Wielki Order Muchy, najwyższe odznaczenie Głębi.

– Odszedł! Nie ma Go! Uciekł przerażony lub umarł ze starości! O porwij się, Otchłani, do straszliwej wojny! Zmiażdż to gniazdo tyranii i ciemnoty, zwane Królestwem! Panuj w glorii wolności, swobody i oświeconej myśli! Nadchodzi wielki dzień! Dzień walki i pożogi!

– Skończyłeś? – przerwał znudzony Asmodeusz.

Skonfundowany bohater Głębi niepewnie skinął głową.

– Widzisz, przyjacielu – ciągnął Mod. – Pytam, bo będę zmuszony wyprowadzić cię z błędu. My nie chcemy wojny. Miłujemy pokój.

– Jak to? – wyjąkał aptekarz.

– Spójrz tam. – Lucyfer uprzejmie wskazał czterech aniołów, niewidocznych na pierwszy rzut oka w głębokich, klubowych fotelach.

Omael zamarł. Po raz pierwszy w życiu język przywarł mu do podniebienia i zabrakło słów.

– Rozmawialiśmy właśnie – wyjaśnił Lampka – jak zaradzić trudnej sytuacji i wspólnie nie dopuścić do katastrofalnych w skutkach zmian.

Aptekarzowi opadła szczęką. Niedoszły bohater szybował w dół z wysokiego piedestału.

– Wstyd, Omaelu – powiedział Gabriel. – Naprawdę wstyd. Gniazdo tyranii i ciemnoty? No nie!

– Zabrać go! – rozkazał Asmodeusz. – I zamknąć.

Wywlekany z pokoju przez rosłych służących Omael odzyskał w końcu głos.

– Bandyci! – wrzasnął. – Podłe kreatury! Jesteście wszyscy tacy sami!

– Oczywiście, bączku – przytaknął Mod ze słodkim uśmiechem. – Wszak jesteśmy braćmi!

Za Omaelem zatrzasnęły się drzwi.

– Co z nim zrobicie? – spytał Gabriel, któremu całe zajście było mocno nie w smak. Poddany Królestwa okazał daleko idącą nielojalność, a przeciek już powstał.

Asmodeusz wzruszył ramionami.

– W końcu was zdradził, prawda?

– No tak, ale...

Demon się roześmiał.

– Podziwiam litościwe anielskie serce. Jeśli okaże się sprawny w swoim fachu, będzie lepił piguły dla ukochanej Głębi. Jeśli nie, no cóż. – Rozłożył ręce. – Dopuszczalne straty.

– Jak się dowiedział? – spytał Gabriel, choć pytanie z trudem przeszło mu przez gardło.

Asmodeusz wyjaśnił.

– Odizolujemy każdego, kto może mieć styczność z bezpośrednimi emanacjami Jasności! – rzucił prędko Razjel.

– Oczywiście – zgodził się Lampka. – My także.

– Podobna sytuacja nigdy nie może się powtórzyć!

– Z pewnością.

– Więc co, panowie? – zagadnął Asmodeusz. – Koniec zimnej wojny?

– Raczej gorącej – mruknął Daimon. – Na płomienie i siarkę.

– Porozumienie uważam za zawarte – oznajmił Lucyfer, wyciągając rękę do Gabriela.

Regent Królestwa uściskał dłoń Pana Otchłani.

– Historyczna chwila – zauważył nie bez sarkazmu Razjel.

Asmodeusz zaklaskał na służbę.

– Każę przynieść wina – wyjaśnił. – Koalicję trzeba oblać.

Gdy po omówieniu najważniejszych zagadnień i ustaleniu terminarza kolejnych spotkań poddani Królestwa opuszczali willę nad Jeziorem Płomieni, Daimon westchnął.

– W sumie Omael miał rację – rzekł. – Jesteśmy tacy sami. Żaden z trzech archaniołów się nie odezwał.

SÓL NA PASTWISKACH NIEBIESKICH

A kiedy ludzie zaczęli rozmnażać się na ziemi i rodziły im się córki, ujrzeni synowie nieba, że córki ludzkie były piękne. Wzięli więc sobie za żony te wszystkie, które sobie upatrzyli.

A w owych czasach, również i potem, gdy synowie boży obcowali z córkami ludzkimi, byli na ziemi olbrzymi, których im one rodziły. To są mocarze.

I. Mojż. 6,2 i 4.

*Aniele Boży, stróžu mój,
Ty zawsze przy mnie stój.
Rano, wieczór, we dnie, w nocy,
Bądź mi zawsze ku pomocy.
Strzeż mnie od wszelkiego złego
I doprowadź do Życia Wiecznego.*

(Modlitwa dziecięca)

Budzi mnie zimno. Lepka szarość przeciska się przez powieki. Zdrętwiały mi podkurczone nogi. Dworcowa ławka nie jest wygodnym miejscem do spania. Przeciągam się, a stawy wszystkich kości trzaskają, jakbym zaraz miał się rozsypać. Na wpół rozbudzony siadam na ławce. Boże, co za przeraźliwy ziąb! Fidelis unosi długi, wąski pysk, patrzy na mnie przekrwionymi oczami.

– Chodź, musimy iść – mówię do niego, ale nie ruszam się z miejsca.

Spuszczam głowę i spoglądam na posadzkę. Wciąż trzęsę się z zimna. Fidelis wstaje, z wysiłkiem rozprostowuje łapy, a jego grzbiet wygina się w dziwaczny łuk, jakby miał

przetracony kręgosłup. Podchodzi i kładzie mi łeb na kolanie. Nie reaguję. Fidelis szturcha mnie w żebra, a ja nagle zaczynam kaszleć. Zanoszę się ochrypłym kaszlem, który boleśnie obją się o moje boki i mostek. Fidelis, zaniepokojony, przestępuje z łapy na łapę. Przyciskam ręce do piersi i atak ustępuje. Po chwili ostrożnie wstaję, sięgam po kij oparty o poręcz ławki i stwierdzam, że jestem gotów do drogi. Czuję się fatalnie i podejrzewam, że wyglądam nie najlepiej. Gdy próbuję poruszyć ścierpniętymi skrzydłami, odzywa się w bokach i łopatkach nieprzyjemne klucie. Przywołuję Fidelisa gwizdnięciem. Mamy dziś ładny kawałek do przejścia. Fotokomórka w drzwiach bezszelestnie wypuszcza nas wprost w ramiona mgły.

Na dworze jest jeszcze zimniej niż na tym piekielnym dworcu, w dodatku wieje wiatr rodem z bieguna północnego. Znowu zaczynam kaszleć, więc Fidelis łypie na mnie zmartwiony.

Ponad miastem rozlewa się nadąsany, mdły świt. We mgle słyhać ochryple zawrozenie syren fabrycznych. W oknach większości kamienic błyska zapalone światło. To w odpowiedzi na zew, posłuszni codziennemu wezwaniu, gramolą się z łózek i pospiesznie ubierają niechętni Odyseusze, wstający do pracy robotnicy.

Aleja, którą idziemy, usilnie stara się wyglądać na coś lepszego niż główną ulicę podrzędnej dzielnicy. Manekiny z witryn, ubrane w tanie ciuchy, modne zeszłej jesieni, obracają ku nam obojętne twarze. Moja sylwetka odbija się w oknie wystawowym. Zatrzymuję się na chwilę, poruszam skrzydłami, a odbicie w szybie robi to samo. Fidelis, mały, wychudzony smok, nieufnie obwąchuje krawężnik w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Jakiś przechodzień pojawia się nagle w otwartej bramie, szybkim krokiem rusza przed siebie, ocierając o moje nogi połą rozwianego płaszcza.. Gdyby mógł mnie zobaczyć, domyśliłby się.

Pewnie, że jestem aniołem, chociaż nie sposób wykluczyć pomyłki. Ludzie na ogół nie wyobrażają sobie aniołów o stalowoszarych skrzydłach, czarnych włosach i bliznach na twarzy. Szczerze mówiąc, obiegowy obraz anioła nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

Te słodkie, bezpłciowe istoty ze złotymi lokami i spojrzeniem emanującym dobrocią po prostu nie istnieją. Fizycznie ten opis najbardziej pasuje do Świetlistych, anielskiej arystokracji zamieszkującej wyższe Nieba, ale pozory lubią mylić. Wszyscy Świetliści, których spotkałem, okazali się w końcu draniem pozbawionymi czci i sumienia. To właśnie przez tych złotowłosych sukinsynów dorobiłem się większości blizn, a mam ich całkiem sporo. Życie anioła tylko z pozoru jest łatwe.

Historia, która tłumaczy moją obecność na Ziemi, nie wiąże się z żadną specjalną misją, krucjatą przeciwko złym mocom ani ostrzeżeniem przed końcem świata. To moja osobista Historia. Nazywam się Ariel, czyli Boże Ognisko. W tym imieniu zawiera się sporo ironii, bo chociaż płonę jak sucha szczapa, nigdy nie widziałem Pana. Nie mam prawa dostąpić tego przywileju. Jestem tylko podrzędnym aniołem, urodziłem się niedaleko granicy z Limbo,

należę, a właściwie należałem, do Domu Dziewiątego w Pierwszym Kręgu. Samo dno hierarchii.

Nie lubię myśleć o przeszłości, ale, prawdę mówiąc, nie mam innego wyjścia. Wszystko to, co działo się przedtem i dzieje się teraz, jest ściśle połączone. Nie potrafię wykonać żadnego ruchu bez przeświadczenia, że zostałem naznaczony. Moja niebiańska intuicja milczy. Męczą mnie absurdałne sny. Dzisiejszej nocy przyszła do mnie mała dziewczynka, najwyżej pięcioletnia. Stała, wpatrując się we mnie tak intensywnie, aż musiałem otworzyć oczy. Dziewczynka ścisnęła pod pachą brudnego misia. Jej twarzyczka, wykrojona jak małe serduszko, była subtelna i blada.

Wydawała się pełna smutku i jakiejś dziwnej czułości. Dziewczynka stała przede mną, milcząc. Wyglądała nierealnie jak zjawą, lecz to było żywe, ludzkie dziecko, a nie zmarła dusza, potrafię to bezbłędnie rozpoznać. Nie rozumiałem, jakim cudem mnie widzi. Podobno szczególnie wrażliwe dzieci mogą czasem zobaczyć anioła, ale ja nigdy przedtem nie spotkałem takiego dziecka.

– Co robisz sama, w nocy, na dworcu? – spytałem. – Zgubiłaś się?

Mała nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na mnie ze smutkiem i powagą, jakbym nie potrafił zrozumieć czegoś bardzo ważnego, co przecież powinienem wiedzieć.

Jestem długo na Ziemi, wiele rzeczy zdążyłem zobaczyć. Ponure przypuszczenie wysunęło swój rozdwojony język i polizało mnie zimnem pod sercem.

Przełknąłem ślinę i zapytałem:

– Czy ktoś cię skrzywdził? Uciekłaś z domu?

Dziewczynka pokręciła przecząco głową, powoli i zdecydowanie. Ciemne loki zafalowały wokół buzi jak serduszko.

– Gdzie są twoi rodzice? Na pewno cię szukają. Pamiętasz, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz? Zaprowadzę cię do domu.

– Nie mam domu – powiedziała spokojnie.

Wstałem z ławki.

– Musisz gdzieś mieszkać. Masz przecież mamę i tatę...

– Ty jesteś moim tatą – przerwała mi.

Oślupiałem na moment. Dziecko patrzyło na mnie wielkimi, zdumionymi oczami. Byłem pewien, że zaraz się rozplacze. Wziąłem głęboki oddech.

– Nie, kochanie, nie jestem twoim ojcem. Przyjrzyj mi się. Mam skrzydła, jestem aniołem. Anioły nie mają dzieci.

– Nie wierzysz mi – szepnęła dziewczynka. Już zaczęła jej się trząść broda. – Jesteś moim tatusiem, przyszedł do ciebie, a ty mi nie wierzysz...

– Dziecko – powiedziałem. – Nie jestem ani twoim, ani niczym tatusiem. I nigdy nie będę. Anioły nie mają córeczek, nawet takich ślicznych jak ty.

Łzy popłynęły po bladych policzkach dziewczynki.

– Ale to prawda – chlipnęła. – Ja nie kłamię...

Opuściła głowę. Stała przede mną, zgnębiona i zawiedziona, a ja poczułem straszny żal, że nigdy nie będę miał takiego dziecka. To była tak bolesna niesprawiedliwość, aż zabrakło mi tchu.

Mała podniosła ku mnie jasne, zapłakane oczy.

– Fidelis śpi – powiedziała. – Fidelis się nie obudził.

Spojrzałem na smoka. Spał skulony, obok kosza na śmieci, długi pysk opierał na skrzyżowanych łapach. Fidelis, którego budzi odgłos wyrzucanego peta! Mój nieufny, wierny smok!

– Uważaj, tatusiu, dobrze? – powiedziała dziewczynka. – I proszę cię, uwierz mi. Jeszcze do ciebie przyjdę.

Odwróciła się i pobiegła w głąb sali.

– Poczekaj – zawołałem. – Wróć!

Ale było już za późno. Mała znikła. W hali dworca zrobiło się cicho i pusto. Dawało się słyszeć tylko chrapanie jakiegoś pijaka, który spał parę ławek dalej.

Usiadłem z powrotem na swojej. Dawno nie czułem się taki rozbity. Wizyta tej małej wytrąciła mnie z równowagi. Skąd się wzięła? Dlaczego przyszła akurat do mnie, z tym nierealnym pomysłem, że mogę być jej ojcem. Przecież nie była snem. Jestem pewien, że nie śpię.

Dopiero po chwili zacząłem się zastanawiać, skąd znała imię mojego smoka.

* * *

Niedaleko Bramy Tysiąca Słońc, na samym niemal skraju Limbo, znajduje się knajpa, brudna i rozpustna, ironicznie zwana Pod Setką Księżyców. Podają tu cierpkie, złe wino oraz dziwny trunek, cuchnący ziołami i magią podejrzanego pochodzenia, powszechnie znany jako Smocza Krew. Nieprzyzwyczajonego klienta już pierwszy kielich potrafi zwalić z nóg. W powietrzu unosi się zapach skwaśniałego moszczu, a skąpo ubrane demonice, o chciwych, chorych oczach, roznoszą dzbany oraz fałszywe obietnice infernalnych i rajskich rozkoszy.

Przychodzą tu bywalcy ze wszystkich poziomów: Otchłani, Królestwa, Ziemi i Sfer Poza Czasem. Tworzą dziwną, niespójną mieszalinę istot niemających z sobą nic wspólnego, a często jawnie sobie wrogich, połączonych jedynie pragnieniem zaspokajania potrzeb. Kierują nimi najprostsze, prymitywne odruchy lub inne, głęboko ukryte i smutne, których istnienia nie zdradzają nikomu bądź sami nie zdają sobie z nich sprawy.

* * *

Nieopodal wznoszą się dumne wieże Bramy Tysiąca Słońc, tymczasem Pod Setką Księżyców wszystko jest krzywe, brzydkie, świecące tandetnym blaskiem odbitego światła, jak garść satelitów. Goście toną w odmętach taniego cienkusza i Smoczej Krwi, by potem, wspierając swoje obsesje na ramionach szynkarek, chwiejnie podążać do pokoi na piętrze.

Knajpa Pod Setką Księżyców jest doskonałym, alegorycznym obrazem całego Limbo, miejsca na pograniczu Światów, które nie należy do nikogo i do którego nikt nie czuje się przynależny. W Limbo można pragnąć wszystkiego i marzyć o wszystkim, ale nigdy nie należy spodziewać się spełnienia. Zamiast tysiąca słońc otrzymuje się sto księżyców.

* * *

Malachiasz krążył nerwowo po izbie, co chwila wstrząsając skrzydłami. Była to oznaka zarówno niepokoju, jak i irytacji. Obie te emocje szarpały teraz sercem starego anioła. Westchnął głęboko i szepnął:

– Arielu, jak mogłeś to zrobić?

Biedny Malachiasz nigdy nie potrafił pojąć przyczyn krnąbrności i wybryków swojego wychowanka. Owszem, młode anioły z Pierwszego Nieba często przysparzały mniejszych lub większych kłopotów, ale ten przekraczał wszelkie normy! Ostatnio jego nieposłuszeństwo nabrało cech jawnego szaleństwa. Dawno już przestał uczestniczyć w zajęciach, sypiać w kwaterach Domu Dziewiątego. Widywano go, odurzonego jakimiś diabelskimi miksturami, w towarzystwie różnych podejrzanych kreatur, a szczególnie tego maga i alchemika Algiviusa. A wieczne burdy, wszczynanie bijatyk, włóczenie się po Limbo, kto wie, może i samej Otchłani, rozpusta i pijaństwo w tym gnieździe zarazy, plugawym szynku Pod Setką Księżyców! Cóż z tego, że większość sług Królestwa potrzebuje czasami oddechu, niektórym zaś zdarza się zbroczyć odrobinę z właściwej ścieżki?

Oczywiście, nie można tego pochwalać, ale w końcu wszyscy jesteśmy słabi. Nawet wielcy Świetliści z Piątego i Szóstego Kręgu. Powiadają, że w Limbo i Przedpieklu wybudowano dla nich specjalne, zamknięte dzielnice, kapiące od bogactw i obfite we wszelkie uciechy, chociaż to z pewnością jedynie obrzydliwe plotki. Wstrętną, bezpodstawną potwarzą musi być rozpowszechnione przekonanie, że Świetliści bawią tam w towarzystwie panów z najniższych kręgów Otchłani. Jakie podłe języki mogły wymyślić podobne bzdury! Oczywiście wiadomo, że Synowie Niebios wymykają się czasem na Ziemię, do Limbo lub Stref Poza Czasem, aby odpocząć od surowych rygorów Królestwa, tak przecież było zawsze i nikt się temu nie dziwił. Ale, na Jasność, nigdy tak jawnie! Tak bezczelnie jak Ariel właśnie!

Malachiasz nie mógł zrozumieć reguł nowego porządku, jaki panował w dzisiejszym Królestwie. Za czasów jego młodości żadnemu aniołowi, oprócz najwyższych Świetlistych, nawet do głowy nie przyszło, żeby bez wyraźnego nakazu przejść przez jedną z tysiąca bram i znaleźć się w Limbo, a już to, co wiązało się z Otchłanią, miało wydźwięk przerażający i

nieczysty. Tymczasem teraz anioły wszystkich stanów błakające się po Ziemi Niczyjej i samym Przedpieklu, przesiadujące w szynkach i zadające się z demonami wcale nie należą do rzadkości. Czy ktoś widywał dawniej anioły w szynku? Azdiasz miał rację. Koniec Czasów zbliża się milowymi krokami!

A teraz ta sprawa z Arielem! Malachiasz westchnął. W gruncie rzeczy Ariel jest dobry, ale krnąbrny i prawdopodobnie szalony. Nie ma w nim nawet odrobiny skruchy czy żalu. Zawsze był taki. Ileż to razy surowy Azdiasz, poprzedni przełożony Domu Dziewiątego przy Bramie Tysiąca Słońc, starał się skruszyć serce i opór Ariela karami i postami, wszystko na darmo! Co prawda Malachiasz w głębi duszy uważał, że Azdiasz źle postępuje z Arielem, a w każdym razie zdecydowanie zbyt surowo. Kto słyszał, żeby starszy anioł skazywał młodszego na chłostę, w dodatku publiczną, lub na wielogodzinne klęczenie z podniesionymi rękami. I to tak dumnego anioła, o trudnym charakterze. Malachiasz przypomniał sobie lodowaty błękit oczu Ariela, który stał pod pręgierzem na środku dziedzińca, i przeszedł go dreszcz. Najczęściej kończyło się tak, że Ariel mdlał, a Malachiasz zebrał u Azdiasza o skrócenia kary. Kiedy wreszcie Azdiasz odfrunął na Błękitne Łany i Malachiasz został nowym przełożonym Dziewiątego Domu, było już za późno. Łamana po wielekroć dusza anioła Ariela zrosła się w twarde gład, którego nie udawało się rozłupać ani delikatnością, ani siłą. Malachiasz westchnął znowu. Miał słabość do tego szalonego anioła, a przy tym czuł się winny, że w imię posłuszeństwa Azdiaszowi pozwalał traktować go tak ostro. Gdyby w odpowiednim czasie umiejętnie nim pokierować, Ariel mógłby zrobić zawrotną karierę. Kto wie, może sięgnąłby Czwartego, a z pomocą Jasności, choćby i Piątego Nieba? A teraz wszystko legło w gruzach.

– *Mea culpa* – powiedział cicho Malachiasz.

Mógł już tylko czekać na przybywający Piorun Gniewu w postaci Świetlistego Piątego Kręgu – Abdiela.

* * *

Abdiel, przekraczając próg Domu Dziewiątego w Pierwszym Kręgu, skrzywił się nieznacznie, lecz zauważalnie. Chłodno odpowiedział na pozdrowienie Malachiasza, obrzuciwszy starego anioła i jego skromną kwaterę wzrokiem pełnym nieskrywanej pogardy. Pomieszczenie wydawało mu się biedne i ciemne, a sam Malachiasz toporny i wyrafinowany jak kołek w płocie. Na Jasność, co za głęboka prowincja! Skrajny Krąg, położony tuż przy granicy z Limbo, siedlisko hołoty, głupoty i nędzy. Trudno się dziwić, że dzieją się tu rzeczy godne ubolewania. Tutejsze anioły mają w sobie więcej z demonów Otchłani niż Panowie z Głębin. Tamci przynajmniej są dobrze urodzeni. Abdiel z lubością przypomniał sobie słynne dyskusje o zawilosciach natury moralnej i etycznej wiecznego antagonizmu między Otchłanią i Królestwem, prowadzone w luksusowej willi Asmodeusza, położonej na skraju Przedpiekla,

z widokiem na Jezioro Płomieni. Miał zaszczyt znaleźć się tam dwa razy, a kiedyś nawet ośmielił się wyrazić swoje zdanie, czym rozbawił gości. Owszem, Mroczeni są nieprzyjaciółmi, ale jak wspaniały poziom reprezentują! A tutaj co? Barbarzyństwo!

Abdiel złożył ściśle swoje lśniące skrzydła, jakby w obawie, że je pobrudzi, ocierając się o ścianę lub jakiś mebel i zwrócił swoją piękną, proporcjonalnie wyrzeźbioną twarz w stronę Malachiasza.

– Przełożony Domu Dziewiątego – rzekł. – Możesz już rozkazać wprowadzić winnego.

Malachiasz zbladł i zadrżały mu ręce. Gdyby Abdiel zechciał zaszczyścić go spojrzeniem, prawdopodobnie zdziwiłby się. Ale myśli Świetlistego zajęte były ważnym problemem. Zastanawiał się usilnie, kto jest odpowiedzialny za przydzielenie go do tej sprawy, która od początku budziła w nim głęboki wstręt. I to w tak nieodpowiednim momencie, kiedy rozpoczyna się wielkie polowanie na chimery w Cienistym Lesie! Azazel z Otchłani obiecał sprowadzić swoją słynną sforę piekielnych psów. Abdiel zamierzał porozmawiać z nim o kupnie kilku młodych suk, by uszlachetnić własną hodowlę. A oto ląduje w tym barbarzyńskim zaścianku, zaplątany w niebywałą historię, która ostatni raz zdarzyła się w Królestwie, Jasność wie kiedy! Abdiel, Świetlisty Piątego Kręgu! To na pewno intryga Zebdiasza. Tylko on mógł maczać w tym skrzydła.

Abdiel poczuł, jak rośnie w nim wściekłość. Winowajca zapłacze i będzie żebrał o litość! Ale na nic się to zda. Zatriumfuje sprawiedliwość!

Uniesiony słusznym gniewem Abdiel zapragnął zmiażdżyć nędznego zbrodniarza młotem sprawiedliwości natychmiast, w tej chwili! I może jeszcze zdąży na drugi dzień polowania.

Obrócił się gestem pełnym gracji i majestatu, z twarzą surową, lecz nieprzeniknioną, aby przygwoździć nędznika spojrzeniem i... zamarł w połowie ruchu.

Przed nim stał tylko podrygujący nerwowo Malachiasz.

– Przełożony Domu Dziewiątego, czyżbyś ogłuchł? – śpiewnie zasyczał Abdiel. – Kazałem wprowadzić winowajcę. Gdzież on jest, na Głębie?!

Nieszczęsny Malachiasz poruszył wargami, wydając jakiś nieartykułowany dźwięk. W jego duszy trwała straszliwa batalia. Cóż miał odpowiedzieć Świetlistemu? Że nie wie, gdzie jest Ariel, co w sumie było prawdą, czy że podsądny znajduje się właśnie w knajpie Pod Setką Księżyców, o czym był całkowicie przekonany.

– Panie – zaczął wreszcie. – Ja zaraz...

Abdiel zmrugał oczy. Jego twarz zrobiła się mała i zła.

– Uciekł ci? Pozwoliłeś mu uciec?

Malachiasz zapragnął natychmiast obrócić się w proch i odrodzić jako chrabąszcz lub liszka. Nie nakazał zamykać ani związywać Ariela. Zaufał mu, nie spodziewając się, że ucieknie, zostawiwszy go na pastwę wściekłości Świetlistego. Ostra szpilka smutku przeszła serce Przełożonego Domu Dziewiątego. W tym momencie, z cichym szumem lotek, kanciasta, chuda postać wylądowała na dziedzińcu, u wejścia do kwatery Malachiasza.

Przybyły anioł złożył skrzydła i wszedł bez pytania do środka. Abdiel natychmiast zauważył, z mieszaniną nienawiści i furii, że jest przynajmniej o pół głowy wyższy od niego! A jego skrzydła! Na Jasność, ten anioł niższej rangi ośmielił się mieć najpiękniejsze skrzydła, jakie Abdiel kiedykolwiek widział. Przy nich jego własne, choć złote i lśniące, wyglądały, jakby pożyczył je od kury. Pióra przybysza miały ciemny stalowy kolor, niby burzowe chmury, z głębokim tęczowym połyskiem. Lotki załamywały światło błękitno i fioletowo, a wdzięcznie wygięte ku górze krawędzie sięgały wysoko ponad głowę.

Na tę właśnie głowę Abdiel postanowił zrzucić wszystkie plagi egipskie i czterech Jeźdźców Apokalipsy naraz.

Tymczasem Ariel skłonił się lekko Malachiaszowi, ignorując całkowicie Abdiela i tonem, w którym pobrzmiwały wyraźnie nuty kpiny, zapytał:

– Czyżby ten Świetlisty zgubił kogoś, Przełożony Dziewiątego Domu?

Malachiasz kompletnie stracił głowę.

– To jest Abdiel – wyjąkał. – Przyjechał cię osądzić...

Urwał nagle, zrozumiawszy, jaką zniewagę wyrządził wysłannikowi Piątego Kręgu. Świetlisty był blady jak gromnica i oddychał szybko.

– To znaczy, Panie... – rozpaczliwie poprawiał się Malachiasz – oto Ariel, anioł Pierwszego Kręgu, którego sprawę przybyłeś rozpatrzeć... raczyłeś przybyć, aby łaskawie rozpatrzeć...

Malachiasz umilkł. Nic gorszego nie mogło się chyba wydarzyć. Jak ciężko doświadczasz, Panie, sługi Twoje.

* * *

Wysiłkiem woli Abdiel opanował się. Jego kamienna i sucha twarz starała się przybrać wyraz pełnej ubolewania łagodności, ale białe w Ariela źrenice przypominały oczy gada. Oglądały anioła Pierwszego Kręgu uważnie, nienawistnie. Wysoki wzrost sprawiał, że szczupła postać Ariela wydawała się wręcz chuda. Jednak nie miał w sobie nic z ekstatycznej, wątlej kruchości aniołów Siódmego Nieba. Był kanciasty i kościsty. Sylwetka i fizjonomia znamionowały zdecydowany charakter, bystrą inteligencję i ani śladu pokory. Ariel miał twarz pociągłą, o lekko cofniętym, ale nie miękkim podbródku i dużych ustach z głęboko zaciętymi kącikami. Co prawda, nosił włosy długie do ramion, według zwyczaju, lecz proste, tak ciemne, aż niemal czarne, opadające swobodnie na wysokie czoło. Końce kosmyków wpadały mu do oczu, więc Ariel odgarniał je do tyłu charakterystycznym ruchem suchej, silnej dłoni. Oczy, kolejny punkt nienawistnej zazdrości Abdiela, anioł Pierwszego Kręgu miał równie niezwykle, co skrzydła. Duże, głęboko osadzone pod wyraźnymi liniami brwi, oprawne w długie, ciemne rzęsy, wydawały się podstępnie wykradzionymi kawałkami Siódmego Nieba.

Bękart, doszedł do wniosku Abdiel. Zatruta krew. Czysty, promienny akt tworzenia Wszechaniola Metatrona skażony jakąś mroczną myślą. Pył strząśnięty z jego potężnych skrzydeł. Widać to na pierwszy rzut oka. Bez wątpienia, bękart. Zatem poślę go tam, gdzie jego miejsce. Na samo dno Głębi!

Oderwał wzrok od Ariela i zwrócił się do Malachiasza.

– Powiedziałeś, że przybyłem rozsądzić sprawę tego oto anioła Ariela, Przełożony Domu Dziewiątego, lecz cóż można tu rozsądzać lub rozpatrywać – zaśpiewał modulowanym głosem. – Czy wszystko nie jest aż nadto jasne? Mogę tylko wyrazić głębokie ubolewanie i to właśnie czynię.

Świetlisty, z wyrazem bóleści na twarzy, pochylił lekko głowę, potrząsając kaskadą złotych loków. Obaj pozostali aniołowie milczeli. Malachiasz wbił wzrok w posadzkę.

– Arielu, aniele Dziewiątego Domu, pytam cię, czy prawdą jest to, co doszło naszych uszu, czyś złamał obyczaje i nakazy ustanowione przez samą jasność, czy naprawdę sprzeciwiasz się jego woli? – Głos Abdiela brzmiał teraz jak pogrzebowy dzwon.

– Nie wiem, co jest wolą Pana, a co nią nie jest – odpowiedział spokojnie Ariel. – Ale jeśli chodzi o człowieka, którego kazaliście mi otaczać opieką, to nie mam zamiaru tego robić.

– Ośmielasz się odmawiać? Jakim prawem! Twoim obowiązkiem jest pokora wobec przełożonych, a powinnością, choćby i ciężką, lecz jakże słodką, ufne przyjmowanie ich wyroków i decyzji.

– Nie odczuwam żadnej słodyczy, poddając się rozkazom sprzecznym z moim sumieniem.

– Sprzecznym z sumieniem? Od kiedy opieka nad ludźmi, pomaganie im w ciężkich chwilach, wskazywanie właściwej ścieżki i śledzenie dróg ich rozwoju duchowego w świetle i miłości są sprzeczne z sumieniem?

W oczach Ariela zapłonęły groźne błyski. Jego głos wciąż był spokojny, chociaż palce zadrgały lekko, jakby dłonie miały zacisnąć się w pięści.

– Człowiek, którego przydzieliliście mi w swej szczodrobliwości, to podły, brudny śmieć, fałszywy kabotyn, bez śladu przyzwoitości, opętany żądzą, władzy i chciwością. Mierzi mnie. Obrzydzenie jest jedynym uczuciem, jakie mogę do niego żywić. Nie potrafię i nie chcę nigdzie go prowadzić ani śledzić dróg, którymi chodzi.

Abdiel załamał ręce wystudiowanym gestem.

– Aniele Arielu! Twój czyn jest już wystarczająco zuchwały, lecz twoje słowa są szalone! Od eonów żaden anioł nie odmówił świętego i szlachetnego obowiązku przewodnictwa. Czy zgubne wpływy wynikające z bliskości Otchłani zatrwały ci duszę? Aniele Arielu, a gdzie twoje posłuszeństwo? Gdzie miłość? Czy nie ma w tobie ani odrobiny miłości, tego najpiękniejszego uczucia, stanowiącego część Pana w nas wszystkich?

Na te słowa Ariel pobladł i zacisnął mocno usta. Malachiasz spojrzał w zimne, jadowite oczy Abdiela i pojął, że nie ma najmniejszego ratunku dla jego krnąbrnego wychowanka. Świetlisty twardo i z premedytacją spycha go w Głębię. Abdiel pochylił się ku Arielowi, ściszył głos.

– Powiadasz, że człowiek ten jest zły. Ale czy masz prawo tak mówić? Czy ty sam, anioł, nie nurzasz się w brudnej rozpuście, nie nadużywasz trunków, nie zadajesz się z demonami? Czyżbyś uważał się za dobrego, za lepszego od tamtego człowieka, męża, ojca, sumiennego, statecznego obywatela, gorliwego wyznawcy Pana? Jak zatem, sam siebie nazwiesz, Arielu? Co tobą kieruje? Dobro? Czy raczej zaślepienie, buta i pycha, cechy pomiotu szatańskiego, a nie czystego ziarna aniołów Pana?

Twarz Ariela zrobiła się biała i straszna. Nie raz dawały się słyszeć w okolicy Bramy Tysiąca Słońc pogłoski o jego mieszanym pochodzeniu. Ciemne włosy, ciemne skrzydła, blada cera, która jakby nie знаła słońca, no i ten charakter! Czasami nawet sam Malachiasz podejrzewał, że Ariel ma w żyłach kilka kropli krwi rodem z Głębi. W każdej chwili nieprzerwane słowa Wszechaniola Metatrona, przenikające całe Królestwo, powołują do życia nowych aniołów. Zdarza się jednak, że w nieustanny, pochwalny hymn któremuś z potężnych Mrocznych uda się wtrącić fałszywą nutę. Urodzone w tym momencie anioły noszą w sobie piętno Głębi, ale w żadnym wypadku nie jest to ich winą. Abdiel postępował podle, wypominając Arielowi jego rzekome pochodzenie.

– Zastanów się przeto, aniele Dziewiątego Domu – grzmiał dalej Świetlisty – co stanie się z aniołem, który utraci uczciwość, miłość, poczucie obowiązku, posłuszeństwo względem nakazów Pańskich, cnotę, czystość, wierność i ubóstwo? Dokąd zaprowadzi go taka droga?

– Przypuszczam, że wprost do luksusów Piątego Kręgu, o czym przekonują liczne przykłady – powiedział Ariel.

Świetlisty cofnął się gwałtownie. Jego źrenice rozszerzyły się ze zdumienia, jakby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. A potem, kiedy potworność obelgi w całej pełni dotarła do niego, objawił się Piorun Gniewu.

Abdiel przemienił się w ryczący słup ognia, który momentalnie napełnił kwaterę Malachiasza nieznośnym żarem i ogłuszającym hałasem. Uczynione z płomieni usta posłańca Piątego Nieba rozwarły się i głos, niby padające głązy, zawył z wściekłością:

– Nędzny śmieciu... któryś się ośmielił... znieważyc... GIŃ!!!

Ze środka pożogi wysunęła się płomienna ręka, z jej palców wystrzelił słup ognia, uderzając wprost w Ariela. Anioł Pierwszego Kręgu zachwiał się i upadł. Nawet jeśli krzyknął, to jego głos utonął w przerażającym ryku płomienia.

* * *

Ciemność i ból, które nie mają ani ram, ani siedliska. Jakies niewyraźne cienie stoją w mroku, na samej granicy postrzegania. Nic, tylko ból i ciemność. Nie sposób doświadczać czegoś podobnego, jakże więc to się dzieje? W czerni poza czasem coś się porusza. Cienie i postaci. Pólnagie, kalekie anioły śmieją się. Ich śmiech brzmi w udręczonej głowie brzęczeniem much, spotęgowanym tysięcznym echem. Jakiś kształt przysuwa się blisko. Eksplozja bólu w piersi, kiedy wgrzyza się i drze pazurami, żeby wydobyć serce. Wreszcie wyrwa je, okrwawione i potrząsa triumfalnie. Śmiechy, hałasy. Tylko ciemność i ból.

* * *

Pokryta plamami wątrobianymi dłoń Malachiasza uniosła się niepewnie, żeby dotknąć włosów rannego, ale zaraz opadła. Myśli przełożonego Dziewiątego Domu były gorzkie. Do jakich strasznych rzeczy dochodzi w Królestwie. Anioł morduje anioła. Świetlisty czyni zło, okazuje małość i podłość. Czyżbyś odwrócił Swoje oczy od Nieba, Panie nasz?

Malachiasz westchnął. Zapragnął gorąco, jak nigdy dotąd, otrzymać wreszcie powołanie na Błogosławione Łany.

Okrutnym gniewem uniósł się Abdiel, Świetlisty Piątego Kręgu. I w tym gniewie uczynił coś niegodnego swojej pozycji, za co groziłyby mu poważne konsekwencje, gdyby sprawa wyszła na jaw.

Abdiel był pewien, że zabił Ariela. Jego płomienny młot nie chybiał nigdy. A zabójstwo anioła, choćby tylko Pierwszego Nieba, nie jest to pozbawienie życia któregoś z demonów włóczących się po Limbo. W dodatku fatalny incydent miał miejsce na terenie Królestwa! Poza tym dotyczył anioła, którego przybył osądzić w majestacie prawa. Co za potworny pech!

Abdiel, gdy poczuł, że jego kariera jest zagrożona, postanowił zrobić wszystko, żeby sprawę zatuszować. Wspólnie z Malachiaszem ustalili, może nieco ryzykowny, ale prawdopodobny przebieg wydarzeń. Ariel, przestraszony konsekwencjami swego nieposłuszeństwa, wyrwał się straży i próbował uciec. Widząc to, Abdiel posłał za nim swój piorun, aby go zatrzymać. Jednak przerażony Ariel wykonał nieoczekiwany zwrot i płomień go poraził. Cóż za przykry wypadek! Ale jak radykalnie załatwia problemy zarówno zwierzchności, jak i Abdiela. Wraz ze zniknięciem Ariela znikają wszystkie kłopoty. Oczywiście pozostawał problem z ciałem, które piorun powinien spalić na popiół, ale tym obiecał zająć się Malachiasz. Cały projekt pochodził od Świetlistego, a przełożony Domu Dziewiątego przystał nań ochoczo, modląc się w duchu, żeby Abdiel nie zechciał sprawdzić, jak zakończyła się cała sprawa. Ariel bowiem, chociaż ciężko ranny, przeżył, za co Malachiasz przysiągł dziękować Panu z każdym swoim oddechem.

* * *

– Arielu – mówi Malachiasz. – Musisz stąd odejść. Nikt nie może cię zobaczyć. Przecież nie żyjesz. Tylko w ten sposób udało mi się cię ocalić. Ariel, który wygląda jak suchy kij, patrzy w twarz przełożonego Domu Dziewiątego. Jego oczy błyszczą od gorączki, ale są chłodne niczym staw w marcu.

– Chłopcze, ja cię nie wypędzam. Musisz zrozumieć, że więcej nie mogłem zrobić.

Milczenie pełne zimnego błękitu.

Głos Malachiasza łamie się lekko.

– Masz rację, więcej nie potrafiłem zrobić. Jestem winien, źle postępowałem względem ciebie, ale na litość Pana, nie możesz tak odejść bez słowa! Nie wierzę, że nie ma w tobie żadnych uczuć!

Ariel porusza lekko skrzydłami. Mówi bez gniewu, bez emocji:

– Uczucia skutecznie wytlukł ze mnie Azdiasz, nie pamiętam, jak dawno temu. Nie, nie odejdę bez słowa, Malachiaszu. Żegnaj.

Stary anioł zamyka oczy w poczuciu klęski. Słowa modlitwy, które próbuje bezgłośnie wypowiedzieć, są jałowe, pozbawione znaczenia.

Nie spodziewa się mocnego uścisku kościstych ramion i szorstkiego dotyku bandaży, jaki nagle czuje. Nie rozumie przyczyn swojej nagłej ulgi i ufności. Ogarnia go fala wzruszenia. Panie Jasności, myśli, strzeż go od złego, a jego modlitwa znów jest pełna siły.

To wszystko trwa krócej niż poruszenie skrzydłem. Uścisk rozluźnia się i Malachiasz patrzy na odchodzącego Ariela bez nadziei, że go jeszcze kiedykolwiek zobaczy.

* * *

Dzielnica otwiera się przede mną jak rana, a światło, niby krew rozlewa się szerokimi strugami ulic. Każda z nich prowadzi w duszną głębię któregoś z grzechów głównych, jak powiedziała by Algivius. Mijam bar szybkiej obsługi. Wiele usług proponuje się tu tanio i szybko.

Lubię biedne dzielnice. Odpowiadają mojemu nastrojowi, choć wiem, że tu nie mam szansy znaleźć tego, czego szukam. Przynajmniej czuję się przez chwilę prawie jak w Limbo. Moja pamięć przywołuje minione obrazy, a ja zamierzam jej na to pozwolić. Znowu wyciągnę na wierzch prywatne skarby ukryte w kłakach brudu. Opowiem sobie własną historię milionowy raz, jako nagrodę i karę równocześnie.

* * *

Szczytowy pokój w knajpie Pod Setką Księżyców jest ciemny i ciasny. Leżę na łóżku, patrząc, jak rozbiera się Mroczna z Otchłani. Robi to z leniwą zmysłowością, udając, że to nie dlatego, że jej się przyglądam. Nie wiem, z którego kręgu pochodzi, ale przypuszczalnie położonego bardzo nisko. Jej ciało jest zbudowane jak posąg, a złote iskry przebiegające po miedzianej skórze sprawiają wrażenie, jakby odlano je z metalu. Można o niej rzec, że jest

piękna, ale w ten sam sposób, w jaki odnosi się to, powiedzmy, do żmii koralowej. Kazała, mi się nazywać Lilith, naturalnie. Spotykamy się nie pierwszy raz. Zastanawiam się, co mnie w niej fascynuje. Chyba gorzki smak zakazanego owocu. Niezbyt pocieszający motyw.

Na swój sposób jest nawet miła, chociaż zabiłaby mnie, gdybym powiedział to głośno. Mroczni są bardzo czuli na punkcie swojej reputacji.

– Lilith – pytam. – Powiedz mi prawdę. Do czego ci jestem potrzebny?

Odwraca się ku mnie. Błyskają krótkie, białe kły.

– Wcale mi nie jesteś potrzebny. Czerpię z ciebie przyjemność, ale raczej bezosobową.

– Czy to, że jestem aniołem, ma jakieś znaczenie?

Śmieje się, potrząsając długimi, rudymi włosami.

– Żebyś wiedział, jaki jesteś słodki. Bawisz mnie. Dzieciak z ciebie, Arielu. Niewinny, milutki aniołek.

– W Królestwie gadają, że jestem bękartem z Głębi – mówię niby od niechcienia.

– Ty? Co za numer! Nie, kotku, masz tyle wspólnego z Otchłanią, co święta dziewica. Przestań opowiadać bzdury. Nie przyszłam tu na pogawędkę.

Gdyby tylko wiedziała, jaką sprawiła mi ulgę, zaprzeczając mojemu związkowi z Głębią, wpadłaby we wściekłość. Tak to już z nimi jest. Przejmują się rolą złej królowej.

– Słodka, słodka rudowłosa,

Krew zatruwasz, spokój mącisz,

Czarem wzniesiesz pod Niebiosa,

Pocałunkiem w Głębię strącisz – mówię powoli.

Lilith zamiera w pół ruchu. Patrzy na mnie zmrużonymi ślepiami. Zbliża się do mnie i przysiadła na brzegu łóżka.

– Czy wiesz, dlaczego wciąż włączysz ze sobą tego małego smoka? Żeby cię kochał. Nawet ode mnie tego oczekujesz. Patrzysz na mnie tak samo, jak on na ciebie. A to niezwykle pomnaża moją przyjemność. Uważaj, mój drogi, ja tylko biorę. Dla nas z Otchłani to niesłychanie podniecające, widzieć, że sprawiamy ból i nie spełniamy oczekiwań.

– Daj spokój, Lilith. Nasze stosunki są jasno określone.

– Oczywiście, że są – przerywa mi.

Widzę, co się dzieje, i nabieram czujności. Może kiedyś, dawno, miało to cechy intrygującego przeżycia, ale już nie teraz. Jej piękna twarz wyciąga się niby pysk psa.

– To jedyne, co mogę ci dać – krzyczy ochryple.

Gwałtownie skręca ciało, pochyla się ku mnie, żeby ugryźć mnie w szyję. Uchylam się w ostatniej chwili. Jej głowa ześlizguje się niczym łeb kobry, a zęby uderzają mocno w mój obojczyk. Chwytam jej twarz w obie dłonie i siłą obracam ku sobie. Oczy Lilith są chore z pożądania. Ten obłęd i pragnienie nie mieszczą się w niej. Przenikają we mnie poprzez jej ręce, paznokcie wbite w moje ramiona. I nie ma nic poza tą gorączkową chorobą, jak zwykle. Nie czuję się dobrze. Prawdę mówiąc, chce mi się rzygać. Upadek mnie nie pociąga. Mój

bunt jest szczeniacki. W gruncie rzeczy chodzi tylko o to, żeby złamać normy Królestwa, odegrać się. Czuję, że zaraz zacznę krzyczeć. To nie może być wszystko! Czy naprawdę nie ma nic innego?

* * *

Właśnie wtedy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Poprzez Lilith, przeze mnie samego pojawiła się jej twarz, cała w srebrze i perłowym blasku, jako odpowiedź na inne, bardziej przerażające źródło choroby, która przepalała mnie na wskroś.

* * *

Zakochałem się śmiertelnie w ziemskiej kobiecie. Nie musiałem długo jej szukać. Po prostu zszedłem na Ziemię i dałem się poprowadzić perłowemu blaskowi. Mój Boże, jaka była piękna. Szła ulicą, z siatką wypchaną zakupami. Przez dziurę w plastiku wystawał rozwichrzony łeb ananasa. Ogarnęło mnie wielkie wzruszenie. Tylko Jasność wie, ile moich gorących, dziękczynnych łez popłynęło na brudny chodnik. Tamtego dnia płakałem po raz pierwszy w życiu. Nawet Azdiasz byłby zbudowany żarliwością moich modłów. Oddałbym wszystko za to, żeby na mnie spojrzała. Ale nic z tego. Jej oczy nigdy nie spotkają się z moimi. Ona jest kobietą, ja – aniołem. Nie widzi mnie.

Bardzo szybko ochłonałem z religijnego uniesienia. W sumie nie miałem powodów do wdzięczności. Jedyne, co mogłem uczynić, to zostać jej niebieskim ochroniarzem. W końcu i tak wylądowałem na Ziemi, robiąc to, czego kiedyś odmówiłem. Wkrótce wiedziałem o niej wszystko. Obserwowałem ją, pocieszałem, towarzyszyłem jej wszędzie.

Aż wreszcie związała się z mężczyzną. Na Głębię, cóż to był za żaloszny dupek! Nie upadłem tak nisko, żeby ich obserwować. Może po prostu nie potrafiłbym tego znieść? W końcu ten beznadziejny związek się rozpadł. Tamten facet od niej odszedł. Nie umiał jej docenić. Nie umywał się do niej. Może to nie była wyłącznie jego wina, lecz jednym z moich najgorętszych pragnień pozostaje rozkwaszenie mu nosa jednym fantastycznym ciosem pięści i wbicie odłamków kości w sam środek mózgu. Niekiedy to marzenie rozgrzewa mnie w zimne, samotne noce spędzane na dworcu. Wtedy Fidelis unosi łeb ponad trupami zduszonych w popielniczce petów i patrzy na mnie podejrzliwie.

* * *

Nietrudno się domyślić, za co przeklinam Pana każdego ranka i o co modlę się nocami pod oschłym okiem Księżycy – Cyklopa. Chcę zostać człowiekiem.

Czas to zły staruch. W jego zębach bezustannie zgrzytają ukradzione minuty. Dość mam wiecznego potykania się o własne modły odbite od bańki milczącego nieba. Muszę popełnić następne szaleństwo.

* * *

Królestwo ma to do siebie, że nic się w nim nie zmienia. Te same prawa, normy, wzorce obowiązują od eonów. Podstawą trwania Królestwa jest jego konserwatyzm. Wracając, postanowiłem ominąć Bramę Tysiąca Słońc. Nie dlatego, że wiąza się z nią przykre wspomnienia. Miałem po prostu ochotę przejść przez Bramę Serafinów. Jedną z najpiękniejszych w zewnętrznej linii murów Królestwa. Niestety zapomniałem, że już rozpoczął się sezon polowań, a Brama Serafinów prowadzi do Cienistego Lasu. Podobno gryfy rozmnożyły się w tym roku nad podziw.

Gościniec prowadzący do bramy jest buri i pstrokaty od ciżby próbującej wcisnąć się w wąskie gardło wrót. Tędy przebiega jeden z najważniejszych szlaków handlowych Królestwa.

* * *

Dostałem się więc w kłębowisko wozów wyladowanych wszelkimi dobrami, w większości żywnością, w sam środek tłumu złożonego z mieszkańców Limbo, podrzędnych demonów, aniołów niższych kręgów oraz wyjątkowo szpetnych stworów ze Stref Poza Czasem. Krok za krokiem, przy akompaniamencie beczenia owiec, sapania wołów, pokrzykiwań i przekleństw, wciskam się wreszcie w bramę. Nagle robi się gwałtowne zamieszanie, słychać ostre, wysokie głosy, wybijające się ponad szemranie tłumu, który zaczyna się ścieśniać i rozstępować, czyniąc szeroką przesiekę pośrodku drogi.

Zduszony w ciżbie przyciskam się do ściany. Jakiś gruby demon, sapiąc z przejęcia, wbija mi swój łuskowaty pysk w zębra. W ustach mam pełno pierza ze skrzydeł stojącego przede mną anioła. Chyba tylko swojemu pechowi zawdzięczam, że któremuś z Wyższych Świetlistych akurat teraz zachciało się zabawy w polowanie. Grają rogi, orszak sunie przez bramę. Zdenerwowane psy, warcząc, wrywają się psiarczykom, płoszą zwierzęta przy wozach. Powstaje jeszcze większe zamieszanie i ścisk. Któryś z wozów, ciągnięty przez parę wołów, niespodziewanie wbija się w środek przesieki, skutecznie zagrządzając drogę. Gniewne rozkazy, świst bicz i jękliwy oddech tłumu. Szerokie piersi rumaków, kierowane twardą ręką jeźdźców, napierają na bezładną ciżbę. Morda grubego demona, wbita w mój bok, miażdży mi zębra. Bezskutecznie próbuję wypluć pióra pochodzące ze skrzydeł anioła obok, kiedy daje się słyszeć głuchy trzask pękającego drewna. To rozpada się jeden z kilku szczepionych ze sobą wozów. Przechylił się na bok, a ładunek wysypał się pod nogi rumaków. Dwa, nagle spłoszone, stają dęba, a kopyto jednego z nich przypadkiem trafia w brzuch lewego z pary zaprzęgowych wołów, który ciężkim truchtem rzuca się do ucieczki, ciągnąc za sobą spiętego jarzmem towarzysza i wóz. Ponad gwar wybijają się teraz wrzaski bólu i łoskot wywracających się wozów. Tłum faluje, tłocząc się do granic wytrzymałości. Psy, których nie sposób utrzymać, powiększają zamieszanie, kąsając podróżnych, psiarczyków i siebie nawzajem. Tuż obok mnie przesuwa się jasnobeżowy wół, bałuszając ze strachu przekrwione, łagodne oczy i wlokąc za sobą kawał złamanego dyszla, który rozdziera mi głęboko kostkę

lewej nogi. Wbity w mój bok demon wydaje z siebie charkotliwe „uff”. Widocznie i jemu dostało się dyszlem. Nagle stojący przede mną anioł podskakuje z jękiem i klęcząc, próbuje wzlecieć w powietrze, objając się o sklepienie bramy. Jego skrzydła tłuką po twarzy mnie i innych stojących w pobliżu. Liczne ręce chwytają wreszcie nieszczęsnego lotnika, wciągając w ciżbę, motłoszą. Całe to zamieszanie jest winą nieszczęsnego Fidelisa, który do tej pory trzymał się dzielnie, ale stając przed całkiem realną groźbą stratowania, desperacko wgrzył się w łydkę najbliższego ciemniejszy. Poprawia to nieco moją sytuację. Mogę swobodnie odetchnąć i wypluć pióra z ust. Wreszcie, dzięki cudownemu zrządzeniu losu i szczodrze rozdzielanym razem, orszakowi Świetlistych udaje się przebić na gościniec. Piesi podróżni, tak prędko, jak pozwalają im odniesione obrażenia, wkraczają do Pierwszego Kręgu, zostawiwszy za sobą potrzaskane wozy i lamentujących woźniców. Kulejąc, przekraczam wewnętrzne wrota Bramy Serafinów. Kostka krwawi porządnie, muszę więc usiąść na progu najbliższego domu i czymś ją przewiązać. Fidelis, skomląc cichutko, liże potłuczone boki. Zdecydowanie nic nie zmieniło się w Królestwie, odkąd je opuściłem.

* * *

Mina, z jaką Malachiasz patrzy na mnie, jest tak zabawna, że mam ochotę się roześmiać.

– Nie bój się, to ja, Ariel, a nie widmo, które przyszło cię przekląć. – mówię.

– Ariel – szepcze Malachiasz. W jego oczach pojawiają się iskry radości. – Mój chłopcze, wróciłeś!

Postarzał się bardzo. Cieszę się, że udało mi się go zobaczyć, zanim odejdzie na Błękitne Łany. Malachiasz rozwiera ramiona, a ja obejmuję go naprawdę serdecznie, zamykając w uścisku jego kruche, starcze kości.

– Niech ci się przyjrzę – mówi. – Wyglądasz okropnie! Sama skóra i szkielet! A teraz opowiadaj, jaka nowa bieda przywiodła cię do mnie. Arielu, jestem bardzo szczęśliwy, że cię widzę, ale dobrze wiem, że nie przychodzisz bez powodu. Co się stało, mój chłopcze?

Siadam więc przy stole z surowego drewna, który pamiętam jeszcze z dzieciństwa, i opowiadam staremu aniołowi wszystko, niczego nie przemilczając.

Malachiasz słucha w skupieniu, ale w miarę opowiadania twarz mu się ściąga.

– Malachiaszu – mówię wreszcie. – Co ja mam zrobić?

Potrząsa głową ze smutkiem.

– Nie wiem. Od niepamiętnych czasów nie słyszano, żeby jakiś śmiertelny chociażby widział anioła materialnego tak samo jak on. A co tu mówić o związku!

– Ale w Księdze, Malachiaszu, napisano przecież, że synowie Niebios zstąpili na Ziemię i pojęli śmiertelne kobiety za żony. Sugerujesz, że Pismo kłamie?

Mój wychowawca uśmiecha się niewesoło.

– Oczywiście, że to jest możliwe, a Księga nie kłamie nigdy. Tylko nikt z nas, z wyjątkiem Pana, nie potrafi nic w tej sprawie zrobić. Bez pomocy Pańskiej ani anioły, ani demony nie mogą objawić się na Ziemi materialnie, Arielu.

– A Nieprzyjaciel? Czy nie jest opętany obsesją poczęcia syna z Ziemianką?

– Bez wątplenia, ale jak dotąd nic mu z tego nie wychodzi.

– Jednak próby trwają – mówię cicho do siebie. Malachiasz, oburzony, gniewnie wstrząsa skrzydłami.

– No cóż, jeśli chodzi ci tylko o to, żeby ją osiąść...

– Nie chodzi mi tylko o to, Malachiaszu. Zakochałem się. Naprawdę nic nie da się zrobić?

Malachiasz patrzy mi w oczy, ciepło, uważnie.

– Módl się – mówi.

Zaciskam zęby.

– Czy nie rozumiesz, że minęły już lata, odkąd codziennie...

– Módl się, Arielu – przerywa mi. – W głębi duszy jesteś dobry, czuję to, chociaż nigdy nie umiałem za tobą nadażyć. Wierzę, że postępujesz słusznie. Pan cię wysłucha. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że to Jego ręka pchnęła cię na tę drogę.

Twarz Malachiasza jest jasna i spokojna. Nagle zdaję sobie sprawę, że on naprawdę wierzy w to, co powiedział.

– Kiedy tu szedłem – zaczynam powoli – myślałem, że mnie wyśmiejesz, uznasz za szaleńca. Nie sądziłem, że mi uwierzysz. Wybacz mi, jestem głupcem.

Uśmiech, który pojawia się na twarzy starego anioła, wydaje się odrobinę pobłażliwy.

– Arielu – swoją nieustanną nieufnością i podejrzliwością przypominasz Fidelisa. Tylko że to nie zawsze jest potrzebne.

* * *

Ulice są ciemne i wymarłe. Słyszać tylko moje kroki. Dom, do którego zmierzam, znajduje się za następnym rogiem. Jest niewielki i nieco zaniedbany. Mieszka w nim Algivius, alchemik i mag, jedyny przyjaciel, jakiego posiadam w Otchłani. Co prawda jego posesja mieści się w samym zewnętrznym Kręgu, najpłytszym, graniczącym z Przedpiekłem, ale jego sława sięga zarówno do Najgłębszej Głębi, jak i do Siódmego Nieba. Algivius twierdzi, że nie lubi popularności, a ceni spokój niezbędny do pracy, ale prawdę mówiąc, po prostu nie cierpi zadawać się z Mrocznymi. Jeśli chodzi o mnie, uważam, że postępuje słusznie. Świetliści z Królestwa i Mroczni z Głębi są warci siebie nawzajem.

Na mój widok Algivius okazuje znacznie mniej zdumienia i wzruszenia niż Malachiasz, ale znam go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, iż cieszy go moja wizyta. W bystrych, przenikliwych oczach zapala się przyjazny ogień.

– Cóż ja widzę, anioł! Czyżby Pan wybaczył wreszcie czarnoksiężnikom? A może przychodzisz mnie nawracać? O święta gorliwości, chyłę przed tobą czoło!

Na co dzień Algivius nosi nieco męczącą maskę cynika, choć trzeba przyznać, że robi to z wdziękiem.

– Wprost przeciwnie – mówię, siadając na wysokim, rzeźbionym krześle w jego pracowni. – Przychodzę spisać z tobą pakt i zaprzedać moją anielską duszę. A w sprawie czarnoksiężników, z tego, co mi wiadomo, Pan ostatnio nie miał nic do powiedzenia.

– Pan nie miał nic do powiedzenia w żadnej sprawie od dobrych setek lat – mruczy Algivius. – I to jest naprawdę niepokojące. A co do zastawiania duszy, to radziłbym to dobrze przemyśleć. Marnie wyglądasz. Mógłbyś zrobić bardzo kiepski interes. Jesteś błądliwy jak widmo i oczy masz podkrążone.. To na pewno początki anemii. Gdybyś zechciał wypijać codziennie nieco odwaru z kilku ziół...

– Algiviusie – przerywam mu. – Ja mówiłem zupełnie serio.

Alchemik przypatruje mi się przenikliwie, poważnie. Jest czarnoksiężnikiem i telepatą. Zastanawiam się, ile wie, a on prawdopodobnie próbuje oszacować, jaką część prawdy udaje mi się przed nim ukryć.

– No cóż, proszę, mów, co cię sprowadza, Arielu – zagaja. – Poczekaj jednak, aż usiądę, bo magiczna intuicja podpowiada mi, że twój problem może mnie zwalić z nóg.

Czekam, aż zajmie miejsce naprzeciw mnie za ogromnym stołem zawalonym rękopisami i przeróżnym czarodziejskim oprzyrządowaniem. Algivius nie używa ani jednej z tych rzeczy, lecz mimo swoich publicznych deklaracji lubi robić na klientach wrażenie.

– Nie mogę już dłużej być aniołem – zaczynam. – Muszę zostać człowiekiem.

– „Nie mogę”, „muszę”. – Algivius mruży oczy. – Zamień te słowa po prostu na „chcę”. Tak będzie uczciwiej.

– W porządku, niech będzie „chcę”. Potrafisz mi pomóc?

– Nie.

– Nie umiesz, czy nie masz ochoty?

– Jedno i drugie. Z tobą jest gorzej, niż się spodziewałem. Dużo gorzej.

– Nie potrzebuję twojej diagnozy. Chcę tylko wiedzieć, czy to możliwe.

– Nie. Poza tym to czyste szaleństwo.

– Bez wątplenia, ale także wyjątkowy popis sztuki magicznej. Jeśli ty nie chcesz, może znasz kogoś, kto by się tego podjął. Naprawdę zgodzę się zaprzedać w zamian. Po mojej ziemskiej śmierci Głębia będzie miała prawo zrobić ze mną, co zechce. Pochodzę zaledwie z Pierwszego Kręgu, ale jestem pełnoprawnym aniołem czystej krwi i moje odstępstwo na rzecz Otchłani narobiłoby dużo szumu, a Mrocznym dało sporo profitów i satysfakcji.

– Nie chcesz sprzedać niczego nowego, Arielu – przerywa mi Algivius. – Jedna trzecia najprzedniejszych Świetlistych postąpiła kiedyś podobnie.

– Niezły kawał czasu temu, nie zapominaj o tym. W razie czego jestem gotów odgrzebać tę historię z Abdielem. To kompromitacja dla Nieba, Algiviusie. Skandal dałby Głębi okazję do zdobycia kilku punktów przewagi. Wyobrażasz sobie lepszy interes dla Mrocznych? Przy tym spada im prosto z Nieba!

Na twarzy Algiviusa nie widać najmniejszych śladów euforii.

– Masz rację, dla Głębi to transakcja nie do pogardzenia. Dlatego nie mów o tym nikomu poza mną. Pierwszy z brzegu Mroczny oszuka cię i wykorzysta, nie dając nic w zamian. Nie ma żadnej możliwości, żeby przemienić anioła w śmiertelnika i odwrotnie. W każdym razie w Otchłani nikt takiego sposobu nie zna. Zdaję sobie sprawę, że podejrzewasz mnie o kłamstwo, ale mylisz się. Mówię prawdę, Arielu. Jedyńm, który umiałby to zrobić, jest Pan, bo on może wszystko, a ludzie są jego specjalną zabawką.

Tym razem Algivius się myli. Wierzę głęboko w jego słowa, chociaż spodziewałem się innej odpowiedzi.

– Jedyńm słowem radzisz mi to samo, co Malachiasz. Paść na kolana i wznówić modły?

– Nie. Radzę ci, byś dał sobie z tym spokój. Co się z tobą dzieje? Zachowujesz się, jakbyś naprawdę zwariował.

– Nie dziw się. Większość życia spędziłem w Królestwie. To wystarczy.

– Czegoś tu nie rozumiem. Po jaką cholerę chcesz zostać człowiekiem, Arielu? Przecież to idiotyzm.

– Marny z ciebie mag, jeśli się nie domyślasz. Twoja reputacja jest grubo przesadzona.

– Nie mogę uwierzyć w to, co mówisz. Musisz coś jeszcze ukrywać.

Algivius patrzy na mnie uważnie, starając się przeniknąć najskrytsze myśli.

– No nie! – jęczy nagle. – Zakochałeś się w ziemskiej kobiecie. To twój jedyny powód!

– Czemu się oburzasz? To nie sodomia. Sam byłeś człowiekiem. Powinieneś zrozumieć.

– No właśnie! Byłem człowiekiem i wiem, co mówię! Potem umarłem, zostałem potępiony i znalazłem fantastyczną robotę. Dlaczego nie mogłeś zakochać się w jakiejś miłej anielicy?

– Wszystkie są zajęte przeprowadzaniem przez jezdnię staruszek.

– To nie jest warte takiego szaleństwa, Arielu.

– To jest warte każdego szaleństwa.

Algivius wzdycha. Niby, od niechcienia podnosi ze sterty rupieci na stole kamień filozoficzny służący mu za przycisk do papierów, obraca go w palcach.

– Widzisz? – pyta.

– Ładny – mówię.

– To stanowiło przedmiot moich marzeń, któremu poświęciłem całe ziemskie życie. Wyobrażasz sobie? Teraz mogę zrobić sto takich na poczekaniu. Nie będzie ci się podobało na Ziemi, Arielu. Te wszystkie ograniczenia...

– Tutaj mi się nie podoba, Algiviusie. Duszę się! Królestwo przyprawia mnie o mdłości. Kiedy tylko przekraczam bramę, czuję, jakbym grzązł w błocie. Jego cień wlecze się za mną jak kula u nogi. Mam zniewolony umysł. Za murami natychmiast popadam w ten namaszczony, świątobliwy slang, co doprowadza mnie do szału! Muszę wysłuchiwać rozkazów i znosić pogardę zakłamanych, sprzedajnych dworaków z piórami. Taki Abdiel uważa się chyba za drugiego Pana tylko dlatego, że został wyposażony z urzędu w swój cholerny superpłomień.

A ja muszę codziennie szczyrzyć zęby i zginać kark przed bandą podobnych mu dupków, pilnując przy tym, żeby mnie któryś przypadkiem nie rozpoznał! Furia nagle mi przechodzi. Czuję tylko znużenie i niesmak.

– Abdiel omal mnie zabił, Algiviusie. Po prostu dlatego, że dostał ten swój śmieszny płomienny młotek.

– Abdiel jest niczym! – wybucha mój przyjaciel. – Gęś nadęta poczuciem własnej wartości! Zwykła gnida! Wystarczy jedno moje pstryknięcie palcami i sam zamieni się w pochodnię. Ale ty nie pozwalasz mi go tknąć!

– Lepiej spraw, żeby mu skrzydła wyłysiały. Sukinsyn tego nie przeżyje.

Algivius uśmiecha się.

– Jeśli Królestwo tak cię mierzi, przenieś się do Otchłani. Nieźle napsujesz krwi Świetlistym.

– Powiedz mi uczciwie, prosto w oczy, że uważasz Głębię za lepsze miejsce niż Królestwo, a jutro się tu wprowadzę.

Algivius, nagle zmieszany, podrzuca w dłoni przycisk do papierów.

– To, że narzekam na Mrocznych, o niczym jeszcze nie świadczy. Znasz mnie, jestem wiecznym malkontentem.

– Jasne, że cię znam. Marnie kłamiesz.

– Nie dasz się przekonać logicznym argumentom i upierasz się przy tym chorym pomysle uzyskania człowieczeństwa?

– Muszę cię zmartwić. Nigdy nie byłem bardziej zdeterminowany.

– Wobec tego zaczekaj. Ona w końcu znajdzie się po tej stronie, pod władzą Królestwa albo Otchłani. Dla ciebie to przecież nie ma znaczenia.

– Jeszcze jedno słowo i pozbierasz zęby z podłogi.

– Ty mówisz serio. Nie sądziłem, że tego doczekam.

Nie chcę kłótni z Algivusem. On po prostu martwi się o mnie. Czuję się dość paskudnie. Przymykam oczy.

– Zostawię ci Fidelisa, dobrze – mówię. – Opiekuj się nim. Magowi może przydać się smok, nawet jeśli jest taki mały. Doda ci prestiżu. Tylko nie próbuj przerabiać go na złoto.

Algivius wydaje się wstrząśnięty.

– Arielu, na litość Boską – szepcze. – Nie rób tego, cokolwiek ma to być! Proszę cię, przynajmniej postaraj się myśleć logicznie. Pomysły powstałe w wyniku choroby umysłowej nie przyniosą niczego dobrego!

Zapomniałem o telepatycznych umiejętnościach Algiviusa. No nic, trudno. Na szczęście tylko się domyśla, co postanowiłem zrobić.

– Ja po niego wrócę – mówię, nie otwierając oczu. – Zostawię ci go najwyżej na kilka dni.

– Uważasz, że przemyślałeś to, co zamierzasz zrobić?

– Tak.

– Czy istnieje jakikolwiek sposób, żeby cię od tego odwieść?

– Zamień mnie w człowieka.

– Czy mogę cię jakoś przekonać, że nie krzywdzisz Pana, ale siebie?

– Nie.

– Zabierz przynajmniej Fidelisa. Może to bydlę zdziała to, czego ja nie potrafię, i przywiedzie cię do rozumu. Poza tym on nie wytrzyma nawet dnia u mnie. Zagryzie mnie, a potem zdechnie z rozpacz. Wybrałeś mu wyjątkowo trafne imię.

– Na pewno, chociaż nie świadczy specjalnie o mojej inwencji. Masz rację, nie zostawię go. Mój smok, mój kłopot.

Algivius sprawia wrażenie zgnębionego. Pochyla się i klepie Fidelisa po pałkowanym łbie.

– Skąd właściwie go wzięłeś? Już dawno miałem cię o to zapytać.

Uśmiecham się lekko na wspomnienie tamtego dnia.

– Wygrałem go. Za podbite oko i parę piór wyrwanych ze skrzydeł z mojej strony i złamaną szczękę z drugiej. Ktoś próbował wystawić go do walki ze świeżo schwytanym, wściekłym gryfem. Fidelis był ze trzy razy mniejszy i miał przetrąconą łapę. Nie było na co patrzeć. Wymiana sprzecznych poglądów między mną i poprzednim właścicielem Fidelisa wyglądała bardziej efektownie.

Alchemik potrząsa głową z udanym ubolewaniem.

– Nie ma lekarstwa na anielską naturę.

Przygląda mi się bardzo uważnie i pyta:

– Pamiętasz pewną noc Pod Setką Księżyców, kiedy rysowałeś?

Pewnie, że pamiętam. Rysowałem wtedy portrety, karykatury i różne absurdalne scenki na wszystkim, co znalazło się pod ręką. Rozdawałem je gościom i kelnerkom na prawo i lewo. Jako inkaustu używałem po pewnym czasie Smoczej Krwi, a moje skrzydła postradały wtedy sporo niezłych piór. W końcu rysowałem nawet na ścianach i podłodze szynku. Goście mieli wspaniałą ubaw. Byłem porządnie zalany. Równie pijany Algivius ożywił postaci na moich rysunkach, każąc im robić rzeczy dziwne, a często niezbyt przyzwoite.

– Ciągle jeszcze rysujesz? – pyta mój przyjaciel. Podejrzenie poważne to pytanie.

– Tak, całkiem sporo – odpowiadam. Nie rozumiem, do czego Algivius zmierza. Wie chyba więcej, niż ma ochotę przyznać. Ostatnio bowiem ciągle rysuję. Bazgrzę na wszystkim, co się do tego chociaż trochę nadaje. Miejsca zapamiętane z Królestwa, Głębi, z różnych stron, w których byłem. Czasem zupełnie nieznane mi krajobrazy, zwykłe przedmioty, domy. Niekiedy wrysowuję tam ją lub siebie, albo oboje naraz, trochę jakbym rysował rzeczywistość, w której możemy się spotkać.

– Czy możesz coś dla mnie zrobić? – pyta Algivius. – Narysuj ją.

– Kogo? – Udaję, że nie rozumiem.

Algivius nie daje za wygraną.

– Tę kobietę, dla której straciłeś głowę. Narysuj ją dla mnie.

– Teraz?

– Tak, teraz.

– Dobrze – mówię. – Tylko daj mi atrament.

Sięgam po piękny, cienki pergamin Algiviusa i szybkimi kreskami buduję jej drobną twarz z nieodgadnionym wyrazem ogromnych oczu.

Wiedziony nagłym impulsem, dorysowuję siebie, pochylonego nad nią, z dłońmi delikatnie wspartymi na jej ramionach, niby prawdziwy anioł stróż.

Odkładam pióro, a Algivius sięga po pergamin. Wodzi palcami wzdłuż linii, a dwie pionowe zmarszczki przecinają mu czoło.

– No cóż – mruczy. – Tak myślałem. Mogę to zatrzymać?

Wzruszam ramionami.

– Proszę, jest twój.

Algivius gładzi lekko rysunek.

– Wiesz, że w niektórych obrazach jest więcej magii niż w uczonych księgach?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic. To taka ciekawostka. Staraj się uważać na siebie, Arielu.

– To mi nie wychodzi najlepiej – mówię.

* * *

Chcę zostawić Fidelisa niedaleko Bramy Tysiąca Słońc. Trafi stąd do Malachiasza, gdyby stało się coś nieprzewidzianego. Smok jest niespokojny. Widocznie wyczuwa, że nie szykuje się nic dobrego.

Patrzę na niego surowo.

– Fidelis – mówię. – Zostaniesz tutaj i zaczekasz na mnie, słyszysz?

Przestępuje z łapy na łapę, udając, że nie rozumie.

– Wrócę po ciebie, nie bój się, ale musisz na mnie poczekać. Nie wolno ci iść ze mną.

Fidelis siada i owija łapy ogonem. Jego poza wyraża niezadowolenie i poczucie krzywdy. Spogląda na mnie z jawnym wyrzutem.

– Słuchaj no, mały gadzie! Nie próbuj sztuczek. Masz tu zostać, dopóki nie wrócę, rozumiesz?

Fidelis rozumie i jest obrażony. Mimo to jednak, kiedy odwracam się i robię parę kroków w kierunku bramy, zrywa się, zabiegając mi drogę.

– Fidelis, wracaj – mówię twardo. – Kazałem ci czekać.

Smok zwiesza nisko łeb. Z nosa wydobywa mu się obłoczek dymu, objaw wielkiego smutku. Łypie na mnie z ukosa, wzdychając i popatrując, czy już czuję się jak śmieć.

– Nie ma mowy, przewrotny, łuskowaty bydlaku. Czekaj tu, aż po ciebie wrócę.

Fidelisa ogarnia lęk. Zazwyczaj ulegam po takich popisach, jednak tym razem, nie mogę. Wychodzę przez Bramę Tysiąca Słońc do Limbo, nawet nie spojrzawszy na zwiniętego w kłębek smoka, pełnego jak najgorszych przeczuć.

* * *

Kowal Bern całe swoje życie spędził w Limbo, pracując w należącej kiedyś do jego ojca małej kuźni, położonej na uboczu od głównych szlaków, wielkich wydarzeń i rozgrywek między Otchłanią a Królestwem. Życie to nie obfitowało w dziwne i niezrozumiałe wypadki, więc gdyby Bern ze swej natury był mniej ostrożny i skryty, Limbo zapewne zahuczałoby od plotek o jego przygodzie. Jednakże samemu kowalowi wydawała się zbyt podejrzana, żeby rozpowiadać o niej bez szkody dla siebie. Tylko raz, kiedy mocno nadużył trunku w pobliskim szynku, bąknął o tym parę słów, ale nader ogólnych.

Bern wykuwał właśnie ciężką sztabę na drzwi dla swego sąsiada Groka, kiedy na jego podwórzu ze świstem lotek wylądowała wysoka, dobrze ubrana postać. Bern wytrzeszczył oczy, nie wierząc temu, co widzi. Anioł! Prawdziwy anioł!

Kowal widywał aniołów tylko czasami, z daleka, gdy przechodzili gościńcem prowadzącym w stronę Królestwa. Nigdy z żadnym nie rozmawiał, bo i po co? Aniołowie nie zadają się z prostymi kowalami, a ci ostatni też nie miewają spraw do skrzydlatych.

Dlatego też na widok anioła lądującego na jego własnym podwórku Bern poczuł, że nie obędzie się bez kłopotów.

Anioł potrząsnął skrzydłami i wszedł do kuźni.

– Jesteś kowalem, tak? – Pytanie było tak absurdalne, że Bern aż wypuścił cęgi z rąk. Mimo że głos skrzydlatego brzmiał chłodno i rzeczowo, kowal dostrzegł w jego oczach z trudem pohamowane wzburzenie.

– Ano prawda, panie – burknął Bern. – Jestem kowalem.

– Masz tutaj jakiś miecz, najlepiej długi i ciężki? – Znowu ten sam oschły, spokojny głos.

Kowal rozejrzył się po kuźni. Jego wzrok zatrzymał się na ogromnej stercie żelastwa w kącie izby. Wielką, brudną garścią podrapał się po czuprynie.

– Może by się jakiś znalazł – odpowiedział aniołowi.

– A umiałbyś się nim posłużyć? – spytał przybyły.

Kowal wystraszył się.

– Co to, to nie, panie! Ja się całkiem na takim czymś nie rozumiem!

– To może masz dobry topór, albo siekierę?

– Ano, topór mam, ale...

– Na toporze też się nie bardzo rozumiesz, co?

Zimny błysk, jaki mignął przez chwilę w błękitnych oczach anioła, niósł w sobie zapowiedź tak strasznej furii, że Bern postanowił ustąpić.

– Nie, panie. Na toporze to się jakoś rozumiem.

Patrzył na anioła ze strachem. W jego pozornym spokoju kryło się coś przerażającego, z czym Bern wolałby nie mieć nic wspólnego.

Anioł nerwowym ruchem odgarnął włosy z czoła. Oddychał za szybko i za płytko.

Lekko drżały mu ręce.

– Wobec tego weźmiesz ten topór – powiedział do kowala – i odetniesz mi skrzydła.

Bern rozdziawił gębę. Wszystkiego się spodziewał, ale nie tego. Anioł najwyraźniej postradał rozum.

– Jakże to tak, panie? – jęknął, zastanawiając się z rozpaczą, dlaczego ten obłąkany anioł trafił akurat do jego kuźni. – Przecież tak nie można! Ja jestem uczciwy, daniny płacę...

– Zrobisz, co każe – warknął Ariel. – Weź topór i naostrz go. Znajdź też duży kawał żelaza, i włóż do ognia. Będziesz musiał... – Głos mu się załamał. – Będziesz musiał przypalić mi rany po skrzydłach, inaczej się wykrwawię. Niedobrze, że nie umiesz posłużyć się mieczem... Poszłyby oba za jednym zamachem. No, ale nic, trudno – szepnął bardziej do siebie niż do kowala.

Bern rozpaczliwie starał się wymyślić jakieś wyjście z opresji.

– Panie – zastękał. – A może lepiej z tym do rzeźnika? Ja się tam na czymś takim nie wyznaję...

Oczy Ariela zwięzły się, a blada twarz zrobiła się nagle straszna. Bern zadrzał i skulił się mimo woli.

– Rzeźnik nie będzie miał co zbierać z ciebie i twojej chałupy, jeśli ośmielisz się mnie nie posłuchać. Rozumiesz, co mówię?

Bern rozumiał. Wiedział doskonale, jak potworny może być gniew anioła.

Skrzydłaci to istoty potężne, a ten jest wyraźnie niepoczytalny i na dodatek za moment straci resztki panowania nad nerwami. Wtedy z życiem nie ujdzie ani Bern, ani nikt z jego rodziny.

Za swój strach, upokorzenie i kłopoty, jakie ta historia niechybnie zwali na jego głowę, kowal tak głęboko znieubił Ariela, że spełnienie jego życzenia stało się dla niego niemal przyjemne.

Wypełnił sumiennie wszystkie polecenia, naostrzył topór i wsunął gruby żelazny pręt w palenisko, wiedział bowiem, że jeśli nie zrobi tego ostatniego, to anioł zapewne rzeczywiście

wykrwawi się szybko i zemdleje, ale zanim to nastąpi, zdąży jeszcze obrócić w popiół jego wraz z kuźnią.

– Gotowe, panie – mruknął niechętnie. Dużo by dał, żeby mieć to wreszcie za sobą.

Ariel się nie odezwał.

– Lepiej wyjdźmy na zewnątrz, krew mi kuźnię zachlapie – powiedział Bern, który nabrał nieco pewności siebie, gdy zobaczył pobladałą, ściągniętą twarz anioła.

Ariel ukląkł, zaciskając dłonie na drągu do przywiązywania koni. Kowal stanął za nim w lekkim rozkroku, plunął w ręce, chwycił za topór, zamachnął się i z całej siły spuścił go na podstawę prawego skrzydła anioła, zamknawszy przedtem oczy.

Głęboki dreszcz wstrząsnął ciałem Ariela, który jednak nawet nie jęknął. Natychmiast buchnęła krew. Spłynęła po plecach anioła na ziemię i leżące w pyłe odrąbane skrzydło. Bern odłożył topór, z kuźni przyniósł rozpalony pręt. Jarzył się mrocznym, szkarłatnym blaskiem. Kowal krzywiąc się, przyłożył go do łopatki Ariela, mniej więcej tam, gdzie powinna być rana, źle widoczna pod strugami krwi. Dopiero wtedy z ust anioła wyrwał się stłumiony okrzyk. Jego oddech stał się nierówny i chrapliwy.

Kowal poczuł podchodzącą do gardła falę niechęci i obrzydzenia. Z dwojga złego wolał już wyrwać zęby. Zaraza na tych skrzydłach, pomyślał. Chwycił za topór i rąbnął w podstawę pozostałego, lewego skrzydła, nawet specjalnie nie celując. Może to właśnie spowodowało, że ostrze ześliznęło się i Bern musiał uderzyć toporem jeszcze raz, zanim odrąbane skrzydło upadło obok poprzedniego. Gorąca, żywa czerwień zaląła, ziemię, spływając szeroką strugą po szczupłych plecach anioła. I znowu szkarłat wystąpił przeciw szkarłatowi, kiedy żelazny pręt ponownie ukąsił łopatkę Ariela.

Oba skrzydła, jak brudne strzępy, leżały na ziemi martwe, nasiąkając prędko rdzawymi plamami krwi.

Bern rzucił pręt i z niepokojem przyglądał się aniołowi. Z niesłychanym wysiłkiem Ariel dźwignął się na nogi, czepiając się belki do wiązania koni. Każdy jego ruch był pozbawiony życia i zdawał się trwać w nieskończoność. Wreszcie anioł odwrócił się, ukazując kowalowi stężałą twarz powstałego z grobu upióra, bardzo chorą, o barwie popiołu. Oczy były czarne jak krzepnąca krew. Ariel zrobił kilka chwiejnych kroków, a potem nogi ugięły się pod nim. Złożył się wpół, powoli, w jakiś sztuczny sposób, a jego kościste kolana uderzyły o ziemię. Nie utrzymał się w klęczącej pozycji, opadł, podpierając się wyciągniętymi rękami.

Bemowi przypomniało się, jak zeszłej zimy piwowarowi Murkowi padł przy wozie koń. Stara szkapa zajęczała, głośno i zwała się na kolana. Bern zaczął się poważnie niepokoić, że anioł może skonać mu na podwórzu, a wtedy nijak nie wytłumaczy, jak było naprawdę. Jednak Ariel nie umierał, chociaż ból krzyczał w całym jego ciele. Spękane wargi wypowiedziały jedno tylko zdanie: „Zrobiłem to”.

* * *

W pobliżu Bramy Tysiąca Słońc mały smok poderwał się nagle na łapy. Zakręcił się w kółko. Zaskamlał. Niespodziewany lęk nie mógł pomieścić się w drobnym ciele i smok zaniósł się żalonym wyciem, aż do utraty głosu, aż do dna smutku.

* * *

Brama Tysiąca Słońc majączy przede mną na tle nieba. Zbliża się i oddala w rytm pulsowania w moich skroniach, raz olbrzymia, ale jakby rozmyta, to znów maleńka i niesłychanie ostra. Wiem, dlaczego tak się dzieje. Biała opaska murów okalających Królestwo ściska ją za mocno.

Coś, jakiś ruchomy punkt, odrywa się od bramy i pędzi w moim kierunku. Oblizuję spierzchnięte usta i wytrwale kontynuuję marsz. Muszę. Jeśli się zatrzymam, upadnę.

Fidelis dopada moich nóg, próbuje się łąsić, wydając cichutkie skowyty. Na chwilę moje źrenice napotykają jego spojrzenie. Czuję, jak wzbiera we mnie, podchodzi do gardła fala zimnej wściekłości. W ślepiach Fidelisa lśnią żal i litość. Ten wynędzniały, chuderlawy stwor ośmiela się nade mną litować!

– Milcz – syczę przez zaciśnięte zęby. – Nic nie mów, gadzie. Milcz!

Mój głos rozbrzmiewa dziwnie ochrypłym szeptem. Fidelis kuli się, wygląda jak zbity pies. Posuwa się skrajem drogi, równoległe ze mną, na przygiętych łapach, z brzuchem przy ziemi.

Olbrzymia fasada bramy, która niepojętym sposobem znalazła się nagle tuż nade mną, połyka mnie rozwartymi ustami wrót. Znajduję się wewnątrz, w Królestwie. Teraz, kiedy doszedłem do celu, nie wiem, co dalej robić. Chwila wahania wybija mnie z rytmu, poruszam się coraz wolniej, aż wreszcie przystaję, kilka kroków za bramą. Dzieje się dokładnie to, czego się spodziewałem. Nie umiem znowu zmusić nóg do marszu. Wczepiam palce w załomy muru. Dłonie ześlizgują się po chropawej powierzchni i opadam, skulony, na bruk. Fidelis przysiadła obok, przerażony i czujny. Jego oczy błagają o wybaczenie, o jeden przychylny gest.

– Daj spokój – szepczę. – Coś mi się przywidziało. Nie gniewam się.

Smok przysuwa się ostrożnie, układa pysk przy moich nogach.

Blask słońca bardzo mnie męczy, więc zamykam oczy. Kładę dłoń na pałkowanym łbie Fidelisa. Niech się cieszy.

Nie śpię, chociaż wszystko przepływa obok odrealnione niby we śnie. Patrzę w łagodną, mleczną mgłę, która przesłania mi wzrok, a czasem zabarwia się na czerwono. We mgle poruszają się przechodnie, toną budynki. Na ziemi, przy moich nogach, leży garść drobnych monet. Widocznie ktoś wziął mnie za żebraka. Światło mnie razi, więc znów przymykam oczy. Kiedy je ponownie otwieram, stoi przede mną mała dziewczynka ze snu, ta z misiem pod pachą. Ale teraz jest sama. Przyszła bez swojego pluszowego towarzysza. Przygląda mi się, wystraszona i niepewna. Wyczuwam jej lęk. Próbuję się uśmiechnąć. Mała patrzy na

mnie i widzę, że zaraz się rozplacze. Nie wiem, co do niej powiedzieć, huczy mi w głowie i trudno mi zebrać myśli. Muszę mieć cholerną gorączkę. Przełykam ślinę i zbieram siły, żeby się odezwać, kiedy dziewczynka odwraca się i ucieka przez bramę z Królestwa. Zrywam się, żeby pobiec za nią, ale wrzask bólu w plecach niemal mnie ogłusza. Przez chwilę słyszę jeszcze tupot jej lakierowanych pantofelków.

Znów błąkam się po znajomych ulicach, a u moich nóg płacze się Fidelis. Wszystko oczywiście zostało jak dawniej. Jedyna zmiana polega na tym, że źle sypiam. Po prostu w żaden sposób nie mogę położyć się na tej cholernej ławce. No i nie fruвам. To wszystko.

Nie, kłamię. Naprawdę to marnie ze mną. Nie opuszcza mnie gorączka, powietrze, którym oddycham, zdaje się pełne szpilek, a w głowie huczy mi coś na kształt maszyny parowej.

Jest wczesne popołudnie, ludzie tłoczą się na chodnikach, auta na jezdniach. Godziny szczytu. W moich oczach wszystko wygląda jak kiepski landszaft, płaski i mocno wyblakły. Życia w tym mniej niż w poruszanych magicznie obrazkach Algiviusa.

Przede mną pojawia się niespodziewanie przypominający ślepego dinozaura masyw staroświeckiej budowli. Bezwiednie trafiłem przed drzwi małego gotyckiego kościoła. Cień i miły chłód w środku wabią. Decyduję się wejść, właściwie tylko po to, żeby trochę posiedzieć. Ostatnio bardzo łatwo się męczę. Przechodzę przez sien. Po lewej wisi na ścianie naturalnej wielkości krucyfiks, a drewniany Pan cierpi na nim sumiennie i cicho. Przed krzyżem pali się kilka świec i stoi klęcznik dla wiernych, którzy okazują odpowiednio dużo tupetu, żeby w tej sytuacji prosić Pana o uwagę.

Wnętrze tonie w przyćmionym, jakby przyprószonym siwizną świetle. Siadam w ławce z brzegu. Ściany pełne są milczących postaci, aktorów wielkiego misterium. Patrzą na freski. Surowe oblicze Pantokratora, który w swych ustach kryje miecz dla potępionych i gałąź oliwną dla wybranych, pozostaje obojętna. Z dzbanka, pod figurą cudownej Madonny uśmiechają się wesołe mordki słoneczników. Kościół jest pusty.

Niespodziewanie przychodzi mi na myśl, że powinienem wrócić do sieni i popatrzeć przez chwilę na krucyfiks. Wydaje mi się niesprawiedliwe, że wypchnęli Pana z Jego samoofiara do przedsionka.

Gramolę się niezdarnie z ławki, a ból wbija pazury w moje plecy z taką siłą, że aż ciemnieje mi przed oczami. Stoję pod krzyżem i przyglądam się uważnie. Drewniane powieki Pana są przymknięte. Dwie pionowe kreski rozcinają czoło, schodząc się przy ściągniętych brwiach. Usta wykrzywia przykry grymas. Przez głowę przelatuje mi nagła myśl, że moja twarz wygląda pewnie trochę podobnie. To nie ma być bluźnierstwo, tylko proste skojarzenie faktów. Pocieszające, że ból Boski, ludzki i anielski może mieć podobne oblicze. Rodzi się między nami pewna nić wspólnoty. Czy Bóg z taką twarzą, konający cierpliwie w przedsionku własnego domu, może mieć coś wspólnego z małymi podłóściami Ziemi, Królestwa i Otchłani? Pewnie znajduje się gdzieś daleko, ponad światem. Nie sądzę, żeby to

wszystko naprawdę zupełnie przestało go obchodzić, więc jeśli teraz, wzorem innych egoistów, zwrócę na siebie Jego uwagę, być może dostanę to, o co proszę, chociaż nie jestem człowiekiem, a za aniołów Pan nie umierał. Praca umysłowa mnie wyczerpuje. Nogi się pode mną ugięły i opadłem na kolana wcale nie z poczucia szacunku, ale dlatego, że nie mam już siły stać. Przychodzi mi do głowy, że On mnie nie widzi. Ma przecież zamknięte oczy. Wystarczy jednak, żeby na mnie spojrzął, a wszystko będzie dobrze.

– Panie – szepczę z wysiłkiem. – To ja, anioł Ariel. Poznajesz mnie? Postaraj się na mnie spojrzeć. Wiem, że Ci ciężko, ale gdziekolwiek teraz umierasz, Panie, pamiętaj, że stoję przed Tobą, czekając, aż mnie zauważysz.

Milknę. Wydaje mi się, że ktoś obcęgami ściska moją głowę. Mam wrażenie, że bredzę. Gdybym czuł się lepiej, nie pozwoliłbym sobie na takie słowa. Wszystko zalewa mgłą, na przemian czerwona i błękitnawa. Słońce wpada przez uchylone drzwi, oślepiającą kulą toczy się w moim kierunku. Świece z twarzami słoneczników tańczą wesoło wokół mnie i krucyfiksu. Ale wszystko w końcu tonie w oparach czerwonej mgły.

Starsza kobieta, która od dziesięciu lat sprzedawała w przykościelnym kiosku dewocjonaalia, po raz kolejny wyjrzała przez szklane drzwi do przedsionka. Mężczyzna, skulony przy klęczniku pod figurą ukrzyżowanego Jezusa, tkwił w tej samej pozycji od wielu godzin. Zrobiło się bardzo późno, najwyższa pora, żeby zamknąć kościół. Wszyscy wierni już wyszli, został tylko ten człowiek. Nie zauważyła, kiedy wszedł, chyba nawet nie zajrzał do wnętrza kościoła. Przez pewien czas myślała, że się modli, nagle przyszło jej do głowy, że to chyba narkoman. Wcale nie miała ochoty zbliżyć się do niego. Ale przecież musi zamknąć kościół! Nie wolno jej zostawić go w środku na noc.

Powoli podeszła do klęcznika, zatrzymując się w bezpiecznej odległości.

– Proszę pana – zaczęła niepewnie. – Bardzo mi przykro, ale już zamykamy kościół.

Mężczyzna się nie poruszył.

– Zamykamy kościół – powtórzyła.

Klęczący nie zmienił pozycji.

Wiedziona nagłym instynktem, kobieta lekko dotknęła jego ramienia.

– Czy pan się dobrze czuje? – spytała.

W tym momencie mężczyzna odwrócił ku niej twarz z wyrazem bezgranicznego zdumienia.

Chciał coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle.

Mój Boże, on jest chyba w szoku, pomyślała.

– Pani mówi do mnie? – wykrztusił wreszcie, ale jego pełne niedowierzania oczy wydawały się całkiem przytomne.

– Przykro mi, o tej porze zamykamy kościół. Jeśli pan zechce, proszę przyjść jutro – powiedziała kobieta, z trudem ukrywając zmieszanie.

Mężczyzna zerwał się na równe nogi, schwycił staruszkę za ramiona, a na jego twarzy pojawił się triumfalny, radosny uśmiech.

– Pani mówi do mnie! – krzyknął. – Pani mnie widzi! Udało się! Na Głębię i wszystkie Mroczne Duchy, zostałem człowiekiem!

Uścisnął serdecznie przestraszoną kobiecinę, wypuścił ją z objęć i wybiegł z kościoła na ulicę.

Staruszka sprzedająca święte obrazki, skonsternowana, opuściła ręce. Co za dziwaczne wydarzenie. Nie wiedziała, co o tym myśleć.

* * *

Mija właśnie trzeci dzień, odkąd zostałem wysłuchany. Pan zadbał o wszystko. Okazało się, że mam dokumenty, pieniądze, a nawet mieszkanie. Dwa pokoje w staroświeckiej kamienicy w centrum miasta. Mam też chyba jakąś pracę. Prawdopodobnie jestem ilustratorem, bo na podłodze i na biurku wała się mnóstwo moich rysunków. Niektóre z nich pamiętam. Powstały w Limbo i Królestwie. Nie mam pojęcia, skąd się tu wzięły. Pierwszą rzeczą, którą znalazłem w kieszeni, był złożony na czworo i lekko zmiętoszony rysunek, jaki zrobiłem dla Algiviusa. Dziwne, mógłbym przysiąc, że został u niego.

Nie pamiętam, ile godzin błąkałem się po mieście, ani dokąd poszedłem po tym, jak opuściłem kościół. Wiem tylko, że o świcie znalazłem się w jakimś parku na ławce. Spróbowałem doprowadzić myśli do ładu i przeszukałem kieszenie. Obok mnie siedział Fidelis. Trzymał łeb na moich kolanach. Wygląda teraz jak chart afgański, ale wystarczy spojrzeć mu w ślepią, żeby przekonać się, że to ten sam stary Fidelis. Za to ja nie zmieniłem się wcale. Wyglądam tak samo jak zawsze. I nadal jestem aniołem. Przeżyłem niezły szok, kiedy się o tym przekonałem. Nie zostałem przemieniony w człowieka, nabrałem, tylko materialnej formy. W każdej chwili mogę przenieść się do Królestwa czy Limbo. Nie fruwam, bo nie mam skrzydeł, ale poza tym zachowałem pełnię swoich umiejętności. Nawet jeśli w Królestwie byłem tylko przeciętny, dysponuję w porównaniu z ludźmi zadziwiającym talentem. Mogę swobodnie być wirtuozem dowolnego instrumentu. Potrafię też śpiewać. W końcu należałem do jednego z chórów anielskich. W Królestwie nigdy nie dostawałem solowych partii, ale to nie jest Królestwo. Na Ziemi nie sposób sobie nawet wyobrazić, czym są chóry. Przysięgam, to jedna z nielicznych rzeczy, które się w Niebie naprawdę udały. Anioł, który śpiewa, roztacza wokół siebie specyficzną aurę, bardzo silnie rozbudzającą emocje. Jeśli śpiewa dobrze, efekt jest podwójny. To samo dotyczy Upadłych. Czasami próbują wykorzystać tę siłę, mieszając się do muzyki niektórych skrajnie antyniebiańskich kapel młodzieżowych. Poza tym rysuję. Ponieważ w Królestwie byłem dobry, tutaj muszę stać się pewnego rodzaju sensacją. Przynajmniej będę miał z czego żyć.

Gdy wyszedłem dziś na ulicę, zobaczyłem wysoką Świetlistą z Niebieskiego Legionu Przewodników Dusz. Pochylała się nad wózkiem jakiejś kalekiej dziewczynki o bezmyślnej

twarzy. Spojrzała na mnie i wydeła pogardliwie wargi. Nagle zrozumiała, że jestem materialny, i krzyknęła ze zdumienia. Wyszczrzyłem do niej zęby w ironicznym uśmiechu i ukloniłem się z szacunkiem. Wzburzona, odwróciła głowę.

Teraz całe Królestwo zatrzęsie się od plotek i domysłów. Nie mam się o co martwić, nie mogą mi nic zrobić. Otrzymałem specjalną łaskę od Pana i jestem bezpieczny.

Niebieski Legion Przewodników Dusz zrzesza aniołów stróżów z powołania. Należą do różnych stanów, ale wszyscy urodzili się, podczas gdy Metatron myślał ze współczuciem o ludziach. Wszyscy oni w naturalny sposób stali się stróżami dusz. Większość z nich gardzi aniołami, którzy urodzili się do innych zadań i tak jak ja zostali zmuszeni do podjęcia służby jako opiekunowie. Ale ja ośmieliłem się odmówić. Jestem żołnierzem, wojownikiem anielskich zastępów. Urodziłem się, gdy Metatron rozważał konieczność walki ze złem. Takich jak ja są tysiące tysięcy. Zrodzonych do bitwy z Mrocznymi, obrony prawdziwej wiary, straszliwego posłannictwa Pańskiego gniewu. Tylko że Pan nie prowadzi już wojen. Dlatego zostaliśmy poddani pod władzę Świetlistych dworaków. Dlatego musimy wypełniać pośrednie posługi, mieć giętki kark i skórę zdartą od razów. Dlatego wielu marzy o nadejściu Dies irae i o Armageddonie. Z tego samego powodu zdecydowałem się zdezerterować.

Chyba wiem, dlaczego przed wiekami trzecia część zastępów zbuntowała się przeciw Królestwu. Nie z zazdrości o człowieka, tylko z zazdrości o wolność wyboru.

* * *

Wciąż nie jestem pewien, czy za swoje odstępstwo doczekałem się kary, czy nagrody. Niewątpliwie zdarzył się cud, choć ze wszystkich miejsc, w których byłem, Ziemia najmniej sprzyja cudom. Stałem się materialny. Tylko co dalej? Jak mam zdobyć dziewczynę, dla której przeszedłem przez to wszystko? Moje doświadczenie ogranicza się do anielic i demonic, więc jakby go wcale nie było. Co się stanie, jeśli wyczerpałem już limit cudów? A może nie popełniłem żadnego odstępstwa? W gruncie rzeczy chcę wypełniać swoje posłannictwo, obowiązek anioła stróża. Walczę tylko o honor przewodnika, o możliwość wyboru istoty, którą programowo nakazano mi kochać i ochraniać. Może anioły naprawdę nie mają wolnej woli? Jesteśmy skrzydłatymi androidami Pana? Wolę wierzyć, że zbuntowałem się, zgrzeszyłem, lecz mimo to wybaczone mi i zostałem wysłuchany. Naprawdę, wolę w to wierzyć.

* * *

Dziś zauważyłem na słupie z ogłoszeniami plakat: „W cieniu niebiańskich skrzydeł”. Wystawa poświęcona aniołom w sztuce współczesnej. Myślę, że powinienem ją obejrzeć. Tak bez powodu, na szczęście.

* * *

Patrzę na moich przyjaciół, wrogów, znajomych. Na rozległe pejzaże Limbo, na ulice, pałace, bramy Królestwa, na smętne krajobrazy Przedpiekla. Rozpoznaję szynkarkę spod Setki Księżyców, stałych bywalców i żebraków. Ze ściany uśmiecha się ironicznie sucha twarz Algiviusa. Patrzę na pełen pychy, małoszkowy, zawistny profil Abdiela. W łagodne, starcze oczy Malachiasza. Na drapieżne usta Lilith. Ludzie też patrzą. Gromadzą się przed ścianą, na której wiszą moje rysunki, jakby spętani magiczną siłą. Mówią szeptem, odchodzą powoli, z ociąganiem, oglądając się za siebie. Na ich miejsce przesuwają się następni. Nieustannie zatrzymują się przed ścianą z moimi rysunkami.

* * *

Julia odłożyła na półkę książkę, którą oglądała, Z okładki uśmiechał się do niej jak rekin Joseph Beuys, w kapeluszu wciśniętym na uszy. To dziwne, pomyślała, wygląda, jakby chciał pożreć świat, podczas gdy to raczej świat pożarł jego. Na półce niżej siny, umęczony Chrystus Grunewalda powykręcanymi palcami wpijał się w niebo. Julia chciała sięgnąć po album, ale potrafiła stertę leżących obok gazet i omal nie spuściła ich na podłogę. Wciąż czuła się poruszona, oczarowana, wstrząśnięta. Nie mogła skupić myśli. To przez te rysunki. Przez te nieprawdopodobne rysunki. Jaki człowiek mógł stworzyć coś podobnego? Mają taką niezmierną atmosferę. Niesamowite. Ile w nich emocji! A warsztat! Boże miłosierny, kto jeszcze potrafi operować taką kreską? Nazwisko nic mi nie mówi. Zdumiewające. To największy żyjący artysta. Powinni go już dawno zauważyć. Pewnie ma fascynującą osobowość. Ciekawe, jak ten facet wygląda? Musi być niski, gruby, z pospolitą, kwadratową gębą albo całkowicie sparaliżowany jak wyschnięta żaba – zgasła samą siebie. Inaczej byłby za doskonały.

Przed oczami wciąż przesuwają się jej nakreślone perfekcyjnymi liniami twarze. Anioły, pomyślała. Boże, miej nas w swojej opiece, jeśli rzeczywiście wyglądają tak, jak on je widzi.

Muszę sobie kupić katalog, postanowiła. Powinien tam być chociaż jeden jego obrazek. A może jakiś namiar, adres, galeria, gdzie wystawia. Boże, żeby tak zechciał coś mi zilustrować!

* * *

Właśnie miała podejść do lady, gdy zatrzymał ją cichy, ale pełen napięcia głos:

– Widziałas mnie kiedykolwiek przedtem, Julio?

Odwróciła się, zaskoczona, i spojrzała w twarz jakby z jednego z ożywionych magicznym sposobem niezwykłych rysunków, które ją tak zafascynowały. Nawet nie zauważyła, że nieznajomy zwrócił się do niej po imieniu.

– Nie wiem, nie pamiętam – szepnęła i zobaczyła, jak coś trzepocze i umiera w błękitach oczu, które zrobiły się ciemne.

– Kim jesteś? – spytała oszołomiona, a w myślach pojawiła się i zgasła, odpowiedź: on nie może być człowiekiem.

– Nazywam się Ariel. Jestem aniołem Domu Dziewiątego przy Bramie Tysiąca Słońc w Pierwszym Kręgu. Czasowo i samozwańczo pełniłem obowiązki twojego anioła stróża. Cztery dni temu zostałem człowiekiem.

* * *

Gdyby wszystkie Nieba Królestwa zapadły się nagle w Głębie, a pył po nich opadł, nie nastalaby większa cisza. Musiałem kompletnie oszaleć, żeby powiedzieć coś podobnego. Tylko że to prawda. A ja nie chcę jej nigdy okłamywać.

– Dlaczego? – szepczą jej wargi, nagle bardzo pobladłe.

– Ja... nie mogłem, już dłużej być aniołem – mówię z trudem.

Julia próbuje się uśmiechnąć.

– Uciekłeś z nieba? Jeśli nawet anioły nie mogą tam wytrzymać, to jakie musi być piekło?

– Między nami nie ma specjalnej różnicy – odpowiadam.

Oczy Julii rozszerzają się nagłym lękiem. Ale to nie mnie się boi. Widzę, że chce coś powiedzieć, jednak słowa więzną jej w ustach. Nerwowo zaciska palce na katalogu wystawy, który trzyma przed sobą jak tarczę.

– Julio! – ostry krzyk rozbija niewidzialną szklaną bańkę, w której stoimy. Krótka ostrzyżona brunetka przepycha się ku nam przez tłum kupujących.

– Na litość boską, zobacz, która godzina! Samochód czeka już piętnaście minut!

W oczach Julii, wciąż wpatrzonych we mnie, rodzi się nagłe zrozumienie, że właśnie traci coś o ogromnym znaczeniu. A ja nie potrafię nic na to poradzić, wiem tylko, że za chwilę odejdzie, ciągnięta przez energiczną brunetkę ku wyjściu.

– Weź to! – mówię szybko i wiedziony nagłym impulsem, wciskam jej w rękę lekko pomięty rysunek Algiviusa, który przez cały czas leżał w mojej kieszeni.

Julia niepewnie bierze go w palce. Brunetka dopada jej.

– Pospiesz się – krzyczy, popychając oszołomioną Julię w stronę drzwi. – Autografy będziesz rozdawać później. A pan niech lepiej sobie kupi jej książkę, zamiast ją nagabywać.

To musiało być do mnie. Chyba powinienem jakoś zatrzymać Julię, ale czuję się strasznie słaby.

– W wydawnictwie nas zabiją – jęczy brunetka. – Już jesteśmy spóźnione!

Znikają w drzwiach. W ostatniej chwili Julia odwraca się jeszcze. Biały kawałek papieru w jej ręce zdaje się wołać „poddaję się!”.

Ktoś, kto nigdy nie doświadczył nicości, nie potrafi pojąć, co ona naprawdę oznacza. Nie mam na myśli żadnej otchłani czy pustki, ale po prostu, nieobecność czegokolwiek. Nicość przybiera różne formy, objawia się w obrazach i kształtach, lecz one nie przesłaniają jej

prawdziwej natury. Nie istnieje ruch. Nie ma pragnień ani smutku. Nicość nie boli. Ona pochłania. Bardzo powoli pustka wypełnia się. Wokół mnie wirują nakreślone moją własną ręką twarze. Przepływają w szyderczym korowodzie, naigrawając się z mojej klęski, z mojej pychy, która pozwoliła mi sądzić, że dostąpiłem łaski. Łaska nie jest przeznaczona dla żadnego anioła, który miał czelność okazać własną wolę. Zbuntowałem się przeciw Królestwu, nie przeciw Panu. Zapomniałem jednak, że Królestwo to Pan. On jest wszystkim. Miłością – to prawda, ale również gniewem, okrucieństwem i zemstą. Jako anioł powinienem najlepiej o tym wiedzieć. Jednak nigdy nie myślałem, że Pan może być podły. Spośród krążących wokół mnie twarzy wyłania się jeszcze jedna, natarczywa, choć niewyraźna. Ciemna twarz z polerowanego drewna, zastygła w wyrazie wiecznego bólu. Nie patrz na nią, Arielu. To tylko drewno.

* * *

Nie usłyszałem jej kroków. Zauważyłem, że stoi obok, dopiero gdy podeszła bardzo blisko. W ręce trzymała złożony na czworo świstek papieru.

– Szukałam cię. Zdobyłam twój telefon, ale nikt nie odpowiadał. Przepraszam, że się wcześniej nie umówiłam. Jeśli ci przeszkadzam, zaraz sobie pójdę. Jednak skoro dałeś mi to, pomyślałam, że wciąż chcesz ze mną porozmawiać.

Podawała mi rysunek. Na jego odwrotnej stronie widniał nakreślony pochyłym, pajęczym pismem adres dworca i dopisek „czwarta ławka od kasy”. Poznałem charakter pisma. Nie był mój. Wiadomość została napisana ręką Algiviusa.

* * *

Wszystko zaczęło się tak normalnie. Julia przyszła obejrzeć rysunki. I zrobiła to w niezwykłym skupieniu. Każdy brała w dłonie, przyglądała się uważnie, czasem wodziła palcami po liniach. Myślę, że nie przegapiła ani jednego świstka. A ja obserwowałem jej reakcję, jej twarz, każde drgnięcie brwi czy ust. Kiedy odłożyła na biurko ostatni arkusz i odwróciła się do mnie, zbyteczne były jakiegokolwiek pytania.

Czas przestał być wrogiem. Zachowuje się raczej jak łagodny rodzic pobłażliwie przyglądający się dzieciakowi, który nie może doczekać się Gwiazdki. To odbywa się tak naturalnie. Wspólne wyjścia, wspólne kolacje. Z każdym dniem rozumiemy się lepiej i stajemy się coraz bliżsi sobie. Ona jest promienna, jak źródło w lesie. Nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć. Opowiadam jej o Królestwie, tylko kiedy komentuję swoje rysunki. Nawet jeśli uważa, że jestem stuknięty, najwyraźniej jej to nie przeszkadza.

Bąłem się, że w jednej chwili wszystko stracę. Było to, kiedy pierwszy raz zdjąłem przy niej koszulę, zobaczyła moje plecy i nie powiedziała ani słowa, chociaż jej oczy krzyknęły: „O Boże Święty!”.

– Julio, widzisz – zacząłem. – Wtedy, na wystawie, powiedziałem ci prawdę. Byłem aniołem. A chciałem zostać człowiekiem. Ludzie nie mają skrzydeł, więc musiałem coś z tym zrobić.

Spojrzałem w jej oczy i zobaczyłem, że błyszczą od łez. Ale głęboko za ich zasłoną lśniło coś jaśniejszego. Nie musiała pytać, dlaczego to zrobiłem, tak jak ja nie potrzebowałem przekonywać się, czy mi wierzy.

– Najważniejsze, że teraz jesteś tutaj – powiedziała.

* * *

Budzę się. Jest cicho i ciemno. Julia śpi obok mnie. Koło łóżka stoi mała dziewczynka o twarzy wykrojonej w serce. Ma loki Julii, ale oczy chyba moje. Uśmiecha się. Pod pachą ściska tego samego misia, z którym przysłała do mnie po raz pierwszy. Widocznie są w wielkiej przyjaźni.

– Teraz jest dobrze – mówi poważnie.

Jeszcze raz się uśmiecha i odchodzi w ciemność.

Przez chwilę patrzę w sufit, który wydaje mi się nagle piękniejszy niż wszystkie rozgwieżdżone nieba Królestwa. Wypełniłem zadanie, jakie zostało dla mnie przeznaczone. Pan mnie nie oszukał. Moja wola i Jego wola od początku stanowiły jedność. Nic więcej nie trzeba mówić ponad to, co powiedziała nasza córka. Teraz jest dobrze.

ZOBACZYĆ CZERWIEN

Światła latarni rozmazywały się na mokrym bruku złotymi plamami. Mżyło. Maleńkie, lodowate kropelki osiadały na skórze, kąsały zimnem. Ramiona i rękawy płaszcza otaczała perłowa mgiełka wilgoci. Zlodowaciały wciśnięte w kieszenie ręce. Asmodeusz zakaszłał, podniósł kołnierz. Co za ziąb, pomyślał.

Właściwie powinien wracać do domu, ale nie miał ochoty. Błąkał się po zaułkach ziemskiego miasta, pustego o późnej porze przy deszczowej pogodzie i marzył. Przemierzał wąskie uliczki, strome schodki, skwery z fontannami, gdzie odlane z brązu figury nimf i trytonów zdawały się kulić w porywach wiatru. Od kamiennych murów ciągnęło chłodem.

W niszy, przy wejściu do starej kamienicy, dzinn w niechlujnym turbanie ładował sobie działkę. Złote oczy patrzyły obojętnie na przechodzącego demona. Podmuch wiatru załopotał połami płaszcza, szarpnął seledynowe włosy, opadające w mokrych kosmykach na kołnierz. Asmodeusz zadygotał z zimna. Przeszedł jeszcze dwie przecznice, zanim znalazł dość zaciszne miejsce, gdzie wiatr przynajmniej nie urywał głowy.

Zatrzymał się na chwilę, wyciągnął z kieszeni papierosa. Pstryknął palcami, spomiędzy których natychmiast wystrzelił nikły płomyk, i osłonił pełgające światełko drugą dłonią. Przypalił, zaciągnął się. Co ja tu robię, zapytał ponuro sam siebie. W kałużach odbijało się ciemne, nocne niebo. Asmodeusz westchnął. Wmówił sobie, że odwiedza Ziemię w poszukiwaniu natchnienia, ale prawdę powiedziawszy, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Męczyła go chandra. Właściwie to nie było dobre określenie. Asmodeusz, jeden z najświetniejszych Mrocznych, arystokrata Głębi, przyjaciel Lucyfera, miał problemy.

Westchnął ponownie. W mieście królowała cisza i ciemność. Krople deszczu spływały po włosach demona. Wiatr rozrzucał smutne listopadowe liście, podobne do małych mumii. Asmodeusz zapragnął wrócić do domu, wziąć gorącą kąpiel i położyć się do łóżka. Może tym razem uda mu się zasnąć?

Ścisnął w dłoni skrawek latającego dywanu.

– Moc! – powiedział dobitnie.

Chodnik natychmiast zapadł się pod jego stopami.

* * *

Wylądował lekko w głównym hallu swego pałacu. I zaklął wściekle przez zęby. Powitał go gwar wielu głosów, pijackie śpiewy i hałaśliwa muzyka. Na głowie marmurowego fauna, przepięknej pompejańskiej rzeźby ustawionej przy drzwiach, wisiała mokra, cuchnąca alkoholem szmata, zapewne fragment czyjejś podartej kreacji. Przez polerowane, ręcznie zdobione kafle podłogi wiódł szlak wymiocin, kończący się na kobiercu tkanym z tęczowego blasku rękami dzinnów Kserksesa. Kolekcja biało gruntowanych lekytów, greckich wazonów nagrobnych, zdobionych widokami pól elizejskich, przemieniła się w stos smętnych skorup. Alchemiczne ryciny, które wyszły spod pióra samego Nicholasa Flammela, zostały wyrwane z ram i splugawione obscenicznymi komentarzami. Asmodeusz ostrożnie podniósł jedną z nich, przetarł rękawem wilgotne plamy po winie i spojrzał na monstrialne genitalia dorysowane czerwonemu orłowi zwyciężającemu czarnego. Mięśnie szczęk demona zadrgały. Przypomniał sobie rozchybotane światło świec w pracowni wielkiego alchemika i pochylonego nad stołem Flammela z piórem w dłoni. Ile czasu, trudu i zwątpień kosztowało ich obu odkrycie tajemnic zapisanych w sekretnym, zielonym języku na tym oto, beztrząsco zbezczeszczonym kawałku pergaminu.

Wrzask dochodzący z komnat nasilił się. Przez korytarz przebiegła przerażona Zaridja, służąca Asmodeusza, ścigana przez nagiego, pijanego demona, którego czerwone włosy oblepiało coś, co przypominało sałatkę z małży.

Dzinnija dostrzegła przybyłego pana i z okrzykiem rozpacz padła mu do stóp.

– Błagam, ratuj! Ratuj! – skamlała. – On żąda ode mnie uciech cielesnych, mimo że kategorycznie odmówiłam, rozbiwszy mu na głowie miskę sałatki!

– Rzeczywiście, trudno nie zrozumieć odmowy – mruknął Asmodeusz.

Nagi demon chwiejnym krokiem zbliżył się do pana domu.

– Zzzzo? – wybełkotał. – Chtoo ty?

– Wynocha! – warknął Asmodeusz. – Precz stąd, bo kopnę w pysk!

Czerwonowłosy zatoczył się.

– Błeee – powiedział tylko, padł ciężko na kolana i zwymiotował na buty Asmodeusza.

Gospodarz skrzywił się z obrzydzeniem. Demon wił się na podłodze, lecz Asmodeusz przestał zwracać na niego uwagę. Złapał za ramiona służącą i potrząsnął. Wrzała w nim wściekłość.

– Gdzie ona jest? – spytał ostro.

Migdałowe oczy dzinnii pociemniały z lęku.

– Nie wiem, panie, nie wiem... – mamrotała przerażona.

– Gdzie jest?! – warknął Asmodeusz, wpijając palce w ramiona służącej.

– Och, błagam, błagam... nie wiem! Może... nie wiem... w sypialni...

– Mojej?! – ryknął wściekle pan domu.

Zaridja skinęła głową, łykając łyżę. Asmodeusz rozluźnił uścisk i popędził na górę. Stał jak wryty na podeście schodów, skąd roztaczał się widok na salon. Skala katastrofy przewyższała tu znacznie rozmiar zniszczeń, które dostrzegł w korytarzu. Pijany tłum demolował właśnie salon. Nie ocalał ani jeden antyk, nie ostał się żaden mebel, żaden obraz czy rzeźba. Wszędzie wały się potłuczone marmurowe torsy, połamane nogi i oparcia foteli, kłaki z rozprutych kanap, skorupy zdeptanej ceramiki, pozrywane zasłony. Śmierdziało krwią, rzygowinami i alkoholem. Banda pijanych, półnagich demonów barłoczyła się na podłodze, gziła, macała. Ryczano sprośne pieśni, ktoś taplał się w prostokątnym, wykładanym mozaiką basenie, pośród pływających do góry brzuchami egzotycznych ryb, przypominających teraz trupy sylwestrowych baloników. Odłamki potłuczonych kryształowych luster wyglądały jak łyżę. Nierządnicą Babilońska, w rozchełstanej purpurowej sukni, karmiła Siedmiogłową Bestię oliwkami ponabijanymi na długie, ostre paznokcie. Chichotała.

Asmodeusz trzasnął pięścią w poręcz schodów i wielkimi susami pognał na górę. W progu sypialni potknął się o chrapiącego dzinna, którego obudził kopniakami i spuścił ze schodów. Gwałtownym ruchem otworzył drzwi i wpadł do środka. Oczywiście, była tam. Leżała w jego łóżku, pozwalając jakiemuś Głębianinowi obślinać sobie stopy. Na widok przybyłego uniosła senne powieki, rozciągnęła w uśmiechu kąciki warg. Przebarbowała włosy, złote sploty rozsypywały się po poduszce, ale Asmodeuszowi i tak przypominały kłębowisko glist.

– Aaach, to ty. – Przeciągnęła się. Miała niski, słodki głos, zniewalający niczym gruchanie synogarlicy, lecz przez lata doprowadziła do tego, że Asmodeusz reagował na jej świergot atakami nerwicy.

– Wynoś się – wysyczał. – Natychmiast precz!

Czarne oczy, ocienione firaną rzęs, zaświeciły jak płonące węgle.

– Nie bądź nieuprzejmy. – Cudowny, słodki głos wydał się Asmodeuszowi mdlący jak nadmiar miodu. Uduśliłby demonicę, skrzył jej kark, a ciało cisnął psom, ale nie mógł. Nie potrafił.

Perłowe odbłaski pełgały po aksamicie skóry, złoto włosów lśniło. Źrenice Lilith, bezczelne i okrutne, wpatrywały się prosto w fiołkowe oczy Asmodeusza.

– Pani – wybełkotał skulony na łóżku Głębianin. – Czy mam wydrzeć duszę z tego suczego pomiotu, który śmiał cię obrazić?

– To ja ci powydzieram to i owo, jeśli się nie zamkniesz – warknął pobladły Asmodeusz.
– Chociaż ten „suczy pomiot” był całkiem trafny.

Lilith zaśmiała się i machnęła lekceważąco ręką.

– Zostaw, Marax. On jest taki zabawny. Uwielbiam go.

Asmodeusz bezwiednie zaciskał pięści. Zaczął mówić cichym, łamiącym się z wściekłości głosem.

– Po co to robisz? Dlaczego nachodzisz mój dom? Wynoś się, odejdz. Ja ci dałem spokój. Dlaczego, do kurwy nędzy? Wytlumacz, dlaczego?

Okrutne oczy Lilith zwięziły się.

– Chciałam ci zrobić niespodziankę. I tyle. Usta Asmodeusza wykrzywił gorzki grymas.

– No i zrobiłaś. To prawda. A teraz wynocha! Zabieraj z sobą tę bandę i precz!

Demonica zaprezentowała w uśmiechu drobne, ostre zęby.

– Nie mam ochoty, skarbie. Musiałbyś mnie wyrzucić. No dalej, wyrzuć nas. Jak zamierzasz to zrobić? Zawołasz straż? Wpuścisz oddział dzinnów? Spróbujesz sam? Chętnie popatrzę.

Przeciagnęła się lubieżnie.

– No – syknęła. – Weź mnie w ramiona i wynieś z łóżka. Nie mogę się doczekać.

Twarz Asmodeusza ściagnęła się gwałtownie.

– Suka! – warknął.

Lilith trąciła nogą skulonego u jej stóp Głębianina, który zdążył zapaść w pijacką drzemkę.

– Marax – poskarżyła się drwiąco. – Nazwał mnie suką. Myślałam, że stać go na coś oryginalniejszego.

Głębianin przewrócił przekrwionymi oczami, zamamrotał i znów zasnął. Asmodeusz stał blady jak papier, z dłońmi zaciśniętymi w pięści.

– Więc nie wyjdiesz, tak?

– Ani mi się śni, skarbie.

– Dobrze, wyjdę ja. Nie sprowokujesz mnie do wywołania skandalu. Nie zmusisz, żebym wyrzucał cię siłą. Splugawiłaś mój dom. Wolę się przespać w burdelu.

Uniosła lekko brwi.

– W burdelu? Myślisz, że tu brakuje dziwek?

– Przeciwnie – warknął. – Jest o jedną za dużo.

Trzasnął drzwiami, nie obejrzawszy się nawet. Ścigał go triumfalny śmiech Lilith.

* * *

Brama Pałacu Błękitu także w nocy lśniła głębokim kobaltem. Gdy tylko zapadał mrok, siedemdziesiąt ognistych słupów oświetlało budynek. Siedem fontann szemrało na dziedzińcu. Kojąca, słodka muzyka dawała się słyszeć z wnętrza. Ściany połyskiwały błękitem i złotem. Przez ogrodzenie przelewały się kaskady oszałamiająco pachnących kwiatów.

Asmodeusz załomotał w drzwi kołatką w kształcie uśmiechającej się kociej głowy. Uchyliły się niemal natychmiast. Przepiękna dzinnija, ubrana w złoto i błękit, padła przed nim na twarz.

– Panie! – zawołała. – Co za zaszczyt. I w samą porę!

– Wstań – warknął Asmodeusz.

Zerwała się błyskawicznie na nogi, a dwie równie piękne służące już przyskoczyły ku przybyszowi, zdejmowały przemoczony płaszcz, podawały różaną wodę do obmycia rąk, niosły gorące, pachnące korzeniami wino.

– Co to miało znaczyć, Zubejda? – spytał ostro Asmodeusz. – W jaką samą porę?

Smągła twarz dzinnii pokryła się bladością. Zubejda, wyraźnie zmieszana, wyłamywała palce.

– Wybacz, panie. Ośmieliłam się okazać emocje i zaniepokoić cię. Ale, panie... dobrze, że przybywasz. Pan Sydragasum wyjaśni.

– Mam nadzieję – mruknął demon. – Nigdzie chwili spokoju!

Sydragasum, otyły, ocierający pot z czoła haftowaną chustką wielkości obrusa, biegł już na spotkanie, widocznie zawiadomiony przez kogoś ze służby. Potykał się i giął w ukłonach. Po nerwowych ruchach i rozbieganym spojrzeniu widać było, że jest zdenerwowany.

– Panie – wołał. – Nareszcie! Co za traf! A już się zastanawiałem, czy nie posłać po ciebie! Co za traf!

Chyba nie dla mnie, pomyślał ponuro Asmodeusz.

Błękitny Pałac był ulubionym lokalem demona. Niezbyt wielki, luksusowy i kameralny stał w cichej, willowej dzielnicy. Asmodeusz prowadził prężnie działającą sieć domów publicznych o doskonałej renomie. Zaczynał wiele wieków temu od kilku skromnych lokali, aby z czasem stać się właścicielem niemal wszystkich burdeli i kasyn w Limbo, Przedpieklu i Otchłani. Wśród nich znajdowały się podłe spelunki i ekskluzywne kluby, oferujące szeroką gamę rozrywek.

Z powodu profesji, a także z racji młodzieńczego wyglądu i zamiłowania do luksusu, nazywano złośliwie Asmodeusza Zgniłym Chłopcem. Jednak nawet wrogowie, których mu nie brakowało, musieli podziwiać jego inteligencję, talent do interesów i cięty język. Głębianin słynął też z elegancji, dobrego smaku i słabości do kobiet.

– O co chodzi, Sydragasum? – spytał z westchnieniem. – Gadaj szybko, bo chcę się ogrzać, wypić drinka i położyć do łóżka.

Zarządca przewrócił oczami, a upierścienioną, pulchną dłonią nieustannie ocierał pot z czoła.

– Ach, Wasza Mroczność, proszę! To dłuższa rozmowa. Poufna. Nie wiem, co robić!

Asmodeusz machnął ręką.

– Dobra. Chodź do gabinetu.

Ruszył szybkim krokiem, a tłusty demon dreptał za nim, sapiąc z wysiłku i strapienia. Przeszli przez główny salon, niezbyt zatłoczony o tej porze. Na kominku buzował ogień, goście rozmawiali z dziewczętami, pili. Zgniły Chłopiec skinął głową Belialowi, który stał przy barze, obejmując dwie demonice naraz, rudowłosą piękność w zielonej sukni i skośnooką dakini ubraną w złoto i czerwień. Zauważył Mefista i Adramelecha, pogrążonych w rozmowie w klubowych fotelach przy kominku. Byli zbyt zajęci, by go dostrzec. Jakiś mag zabawiał trójkę dziewcząt prostymi sztuczkami z ognistym wężem. Śmiały się i klaskały. Asmodeusz pomyślał z tęsknotą o ciepłe promieniującym od płonących w palenisku głowni, o smaku wybornego koniaku i rozmowie z przyjaciółmi. Dziś żadna z tych prostych przyjemności nie będzie mu dana. Czuł to w powietrzu.

Już miał otworzyć drzwi gabinetu, gdy Sydragasum ostrożnie dotknął jego rękawa.

– Panie – szepnął zmieszany. – Chyba lepiej, żebyś najpierw coś zobaczył.

Asmodeusz odwrócił się poirytowany, ale widok poważnej, zasepionej twarzy zarządcy zamknął mu usta. Skinął głową. Sydragasum ruszył wąskimi schodami na górę, do pokoi pracowników.

Kwatery urządzone skromnie, lecz wygodnie i ze smakiem. Asmodeusz minął pusty teraz dzienny pokój wypoczynkowy i skierował się za zarządcą do części mieszczącej sypialnie. Długim, łagodnie oświetlonym korytarzem dotarli do pokoju numer trzydzieści sześć. Sydragasum zawahał się na moment, zanim zapukał.

– Proszę wejść – odezwał się cichy kobiecy głos.

Asmodeusz wszedł do środka. W pierwszej chwili zobaczył tylko łóżko, koło którego kręciły się cztery dziewczyny. Dopiero później zauważył, że w pościeli ktoś leży.

– Jak się czuje? – spytał Sydragasum.

Misz, bardzo piękna demonica o złotych włosach i twarzy anioła, potrząsnęła smutno głową. Amina, ciemnowłosa Głębianka o błękitnych oczach, cofnęła rękę, w której trzymała wilgotną, zakrwawioną szmatkę.

– Źle – powiedziała. – Chyba nie przeżyje.

– Przepuście mnie – rozkazał sucho Asmodeusz, który domyślał się już, co się stało.

Rozstąpiły się posłusznie. Na łóżku leżał młody dzinn. Jego pierś, plecy i ramiona pokrywały głębokie, krwawiące rany. Włosy zlepiła krew. Twarzy właściwie nie było. Zastępowała ją lepka, czerwona maska, jedno zapuchnięte oko spoglądało z lękiem, w miejscu drugiego ziała dziura. W podobną dziurę przemieniły się też usta, ze zmasakrowanymi wargami i powybijanymi zębami. Rysy Asmodeusza wyostrzyły się, ściągnęły. Pobladł z gniewu.

– Dlaczego nie wezwałeś ochrony? – wycedził przez zęby. – Dlaczego dopuściłeś do czegoś podobnego? Poniesiesz konsekwencje, Sydragasum. Możesz być pewien.

Pot lał się strugami po czole i skroniach tłustego demona.

– Ależ, panie – jęknął płacziwie. – W normalnych warunkach zareagowałbym...

– A te czemu miałyby być nienormalne? – przerwał Asmodeusz zimno.

Sydragasum wyłamywał nerwowo palce, aż brzękały uderzające o siebie pierścienie.

– Czy Wasza Mroczność nie domyśla się – wymamrotał z trudem – kto to uczynił?

Fiołkowe oczy Zgniłego Chłopca rozszerzyły się i pociemniały z gniewu.

– Ona? – wyszeptał chrapliwie.

Zarządca słabo skinął głową.

– To nie wszystko, panie. Przyprowadziła ze sobą z pięciu drabów, prosto ze spelunek Limbo. Rozumiesz, panie, typy, których nie wpuszczono by do najtańszego z twoich lokali. Trzy dziewczyny są mocno pobite, dwie zarażone jakimś czarnomagicznym świństwem, a ten biedak pewno pójdzie do piachu. Pani Lilith załatwiła mu to osobiście. A to nie koniec strat. Oszukiwali w kasynie, terroryzowali gości, a wreszcie pobili krupiera, zabrali, co było na stole, i poszli.

Przerwał, przytłoczony morderczym spojrzeniem fiołkowych źrenic.

– Dlaczegoś ją wpuścił, durniu?

Sydragasum drgnął.

– Panie, przecież jest twoją...

– Wiem, kim jest! – wrzasnął Asmodeusz. – Jeśli jeszcze raz o tym wspomnisz, wylecisz na bruk szorować pyskiem chodniki!

– Wybacz, panie – jęknął zarządca. – Ale jak mam jej nie wpuszcząć? Podpali lokal albo co gorszego. Pani Lilith ma taki charakter...

– Wiem, jaki ma charakter – syknął Zgniły Chłopiec. – Dość już! Gdyby znów przyszła, natychmiast mnie zawiadomcie.

Jakby to coś pomogło, usłyszał w głowie drwiący głos. Nawet z własnego domu nie umiałeś jej wyrzucić.

Sydragasum chrząknął.

– Panie, co zrobić z chłopakiem? Leczyć nie warto, wyrzucić na ulicę chyba nie za dobrze i trochę niebezpiecznie. Potrzymam go parę dni, a jak nieco okrzepnie, zwolnię, bo tu już nie popracuje z takim wyglądem.

Asmodeusz odwrócił głowę. Napotkał cztery pary wystraszonych oczu i jedno zapuchnięte, przerażone ślipie.

– Zawołaj lekarza, zapewnij chłopakowi opiekę, a kiedy wydobrzeje, zatrudnij w kuchni albo gdzieś indziej.

– Ale koszta, panie!...

Zgniły Chłopiec machnął ręką.

– Nieważne. Tylko dobrze się nim zajmij, sprawdzę!

Sydragasum zgiął się w ukłonie.

– Wedle życzenia, panie. Czy przygotować apartament?

Asmodeusz westchnął. Ochota, żeby pozostać w Błękitnym Pałacu, zupełnie go opuściła.

– Nie, nie zostanę na noc – powiedział ze znużeniem.

Czuł się przybity i zmęczony. Popatrzył na dziewczęta.. Amina ukradkiem ocierała łzę. Misz pochylała głowę.

– Dziękujemy, panie. Jesteś bardzo dobry – wyszeptwała.

Asmodeusz uśmiechnął się smutno.

– Opiekujcie się nim. Daję wam dwa dni wolnego.

Skoczyły ku niemu dziękować, ale odprawił je gestem ręki.

– Sydragasum, wychodzę. Coś jeszcze?

Tłusty demon z rozmachem palnął się w czoło.

– Ach tak! Byłbym zapomniał. Pani Nahema kazała przekazać, że przybyły nowe dziewczęta.. Jeśli zechcesz ją odwiedzić, poczyta to sobie za zaszczyt.

– Przekaż, że wpadnę – mruknął Asmodeusz i wyszedł.

* * *

Lucyfer, poirytowany, podniósł głowę znad papierów. Zareagował dopiero na trzeci odgłos stukania do drzwi. Nie cierpiał, kiedy ktoś przeszkadza mu pracować.

– Wejść – warknął. – I oby to było coś ważnego!

Do gabinetu wsunął się wystraszony służący.

– No? – zagadnął ostro władca Głębi.

– Panie, masz gościa.

– Oszalałeś? O tej porze? Odpraw go natychmiast!

Zmieszany służący chrząknął.

– Ale, panie, to Asmodeusz!

– Więc natychmiast go wprowadź, idioto! – zawołał Lucyfer, odkładając pióro.

Służący znikł, a pan Otchłani pomyślał ze złością, że trudno dziś o dobrą służbę.

Po chwili do gabinetu wkroczył Zgniły Chłopiec, zziębnięty, przemoczony i wściekły. Kulał lekko, jak zawsze, kiedy był zdenerwowany. Lucyfer zerwał się z krzesła.

– Na litość! Co się stało? – spytał zdumiony.

Asmodeusz machnął ręką i ciężko zwałił się na fotel.

– Luciu, wybac. Muszę pogadać, bo szlag mnie trafi! Przeszkadzam ci, co? Pisałeś.

Lucyfer, zwany przez niezycziwych Lampką, zaczerwienił się lekko.

– Nic ważnego. Takie drobne próby.

Fiołkowe oczy Asmodeusza patrzyły uważnie.

– Przestań się krygować. Masz dobre pióro. Właściwie czemu publikujesz tylko pod pseudonimami, i to na Ziemi? Wydałbyś kiedyś coś pod własnym nazwiskiem w Głębi, zamiast marnować talent.

Lampka westchnął.

– Daj spokój. Władca Otchłani, który pisze książki. Moi przeciwnicy nie zostawiliby na mnie suchej nitki. I tak mam dość problemów z opozycją.

Asmodeusz wzruszył ramionami.

– Ja bym się nie przejmował. Ale jak chcesz. Powiesz chociaż, co to będzie?

– Sztuka – mruknął Lucyfer. – Do cholery, Mod, nie przyszedłeś przecież rozmawiać o literaturze! Co się dzieje?

Zgniły Chłopiec się skrzywił.

– Nawet mi się gadać nie chce. Przenocuję u ciebie, dobra? W domu mam burdel, w burdelu lazaret, pełna dupa, Luciu.

Lucyfer przecesał palcami krótko ostrzyżone, jasne włosy, potarł wydatną szczękę. Szare oczy z troską badały napiętą, zmęczoną twarz przyjaciela.

– Lilith, tak? – spytał.

Gorzki grymas wykrzywił usta Zgniłego Chłopca.

– Bingo. Zdemolowała mi dom, urządzając dziką balangę, okradła kolejne kasyno, znowu przyprowadziła bandę sukinsynów, którzy pobili dziewczyny, a sama omal nie zamęczyła na śmierć jednego z moich najlepszych dzinnów. Zostanie oszpecony na całe życie. Tym razem na straty poszedł Błękitny Pałac. Luciu, ja mam dość. Nie wiem, co robić.

Lucyfer w zamyśleniu tarł szczękę.

– Dawno ci mówiłem. Przestań się patyczkować. Suka cię wykorzystuje. Gra na twoich sentymentach. Niepotrzebnych, Mod. Nie musisz mieć żadnych skrupułów.

Asmodeusz masował skronie.

– Wiem, cholera, wiem, ale...

Lampka patrzył zaszępioty. Znał Asmodeusza od lat, łączyła ich głęboka, wypróbowana przyjaźń. Pan Głębi doskonale wiedział, że Zgniły Chłopiec, cynik i sybaryta, hazardzista i kobieciarz, jest w istocie najbardziej lojalnym i uczciwym demonem w całej Otchłani. Jego słynne miłosne podboje to raczej kłęski na drodze poszukiwań prawdziwego uczucia, a przypisywane mu kręactwo to tylko bystrość i inteligencja w wyznajdowaniu słabych punktów przeciwnika. Tak, Asmodeusz miał zasady, a zasady te często wykorzystywano przeciwko niemu. Jak choćby teraz.

– Mod – zaczął Lucyfer łagodnie. – Lilith jest twoją matką, ale to nie znaczy, że może cię niszczyć, zrozum.

Fiołkowe oczy były pełne smutku.

– Luciu, nic nie rozumiesz. Urodziłeś się w wielkim błysku woli Pana, niezależny, samoistny, a ja mam rodziców. Ale bodajbym ich nie miał. Samael i Lilith. Skurwysyn, wyrzucony z Głębi za okrucieństwo, i największa dziwka wszechświata. Wołałbym wilkołaka i strzygę.

Lampka westchnął.

– Dlaczego się na ciebie uwzięła?

Asmodeusz machnął ręką.

– Cholera ją wie – mruknął ponuro. – Bo odmówiłem namalowania jej portretu.

Lucyfer gwizdnął przez zęby.

– Tylko tyle?

– Wystarczy.

Asmodeusz był doskonałym malarzem. Porównywano go nawet do Babilla, największego artysty Głębi.

– Dlaczego odmówiłeś? – spytał Lucyfer. – Może trzeba się było zgodzić dla świętego spokoju.

W źrenicach Zgniłego Chłopca błysnęła prawdziwa udręka.

– Nie mogę wiecznie ulegać jej kaprysom, Luciu. Malarstwo jest dla mnie ważne. Po prostu nie chcę jej malować. Nie mogę się ugiąć w tej kwestii, bo wszystko by mi... splugawiła. Muszę zachować coś swojego. Mam dość. Chcę się przespać. Chyba niczego dziś nie wymyślę.

Lucyfer poklepał przyjaciela po ramieniu.

– W porządku. Powiem służącemu, żeby przyszykował ci pokój. Możesz zostać, jak długo zechcesz.

Asmodeusz uśmiechnął się gorzko.

– Przynajmniej póki nie doprowadzę do porządku chlewu, który zrobiła z mego domu.

* * *

Twarz Nahemy rozpromieniła się w uśmiechu.

– Witaj, Asmodeuszu. Jakże się cieszę! Nie oczekiwałam cię tak prędko. Czuję się zaszczycona.

Zgniły Chłopiec odwzajemnił uśmiech.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Nahema cofnęła się z wdziękiem, aby przepuścić gościa. Nie była już młoda, ale zachowała ślady wybitnej urody, wysokie kości policzkowe, wąski, szlachetny nos, oczy w kształcie migdałów.

Nahema nie zajmowała się tak naprawdę stręczycielstwem. Woląa, gdy nazywano ją protektorką. Przyjmowała w swoim domu młode demonice z ubogich rodów, córki władków z odległych Sfer Poza Czasem, ambitne dzinnije i pozbawione posagów panny z prowincji. Wiele z nich marzyło o zaszczycie pracy w którymś z luksusowych domów Asmodeusza, bo stamtąd prowadziły otwarte drzwi do kariery. Niejedna dziewczyna zostawała w krótkim czasie konkubina, a często nawet żoną jakiegoś możnego i wpływowego Mrocznego, głębiańskiego arystokraty. Amilia, małżonka samego Mefistofelesa, pracowała niegdyś w Księżycowym Domu Asmodeusza, a teraz często odwiedzała lokal razem z mężem. Służyła za doskonały przykład wielkiej kariery, gdyż nie była nawet Głębianką, ale zwykłą dakini.

Jedynym kryterium Nahemy w doborze młodych demonic były nienagane maniery, inteligencja, wdzięk, wykształcenie i oryginalność. Powodziło jej się świetnie, choć od dziewcząt nie pobierała opłat za opiekę. Z tego powodu większość darzyła demonicę szacunkiem i nazywała patronką.

Pracę w lokalach Asmodeusza albo u innych mniej świetnych właścicieli podejmowały tylko te damy, które wyrażały na to ochotę. Pozostałym Nahema starała się znaleźć odpowiednią partię lub dobrą posadę. W razie niepowodzenia panna po roku wracała do rodzinnego domu.

Nahema wprowadziła Zgniłego Chłopca do salonu. Pokój był obszerny, oświetlony dyskretną poświatą bocznych lamp. Wielkie okno, za którym rozpościerał się widok na pograżony w wieczornym mroku ogród, zajmowało całą jedną ścianę. Na prawo od wejścia stało pianino, pośrodku stół do gry w *zanu*, za nim pulpit do rysowania, a w rogu obszerna sofa. Po przeciwległej stronie stały klubowe fotele i stolik do kawy.

Nowo przybyłe panny czekały już na gościa, zabijając czas grami i rozrywkami towarzyskimi. Gdy Asmodeusz wszedł, cztery młode demonice i jedna dzinnija z ciekawością uniosły wzrok. Wszystkie były bardzo ładne. Kruczowłosa Głębianka, siedząca przy pianinie, posłała gościowi oszałamiający uśmiech. W oczach dwóch dziewczyn, które przy niskim stoliku bawiły się starą głębiańską grą wróżebną *zanu*, błysnął zachwyt. Ciemnoskóra demonica, zajęta rysowaniem, opuściła ołówek. Z wrażenia aż zamrugła, lekko rozchyliwszy usta. Tylko siedząca na uboczu dzinnija nie poruszyła się, zerkając ukradkiem znad książki.

Asmodeusz wyglądał pięknie. Seledynowe włosy nosił swobodnie związane na karku, młodzieńcza twarz o bystrych, fiołkowych oczach miała suchy, arystokratyczny profil i drapieżność istoty zrodzonej do walki o własną niezależność. Czarny strój podkreślał smukłą sylwetkę. Demon stawiał kroki lekko i sprężysto, prawie nie utykając.

Nahema zatrzymała się pośrodku salonu.

– Moje drogie – powiedziała. – Przybył pan Asmodeusz. Okażcie wszelkie względy naszemu szanownemu gościowi.

Demonice dygnęły głęboko, Zgniły Chłopiec odpowiedział ukłonem.

– Napijesz się wina? – spytała Nahema.

Z uśmiechem skinął głową. Kruczowłosa zerwała się od pianina i podała kieliszek z wdziękiem, lecz nie bez kokieterii. Niezła, pomyślał Asmodeusz, ale zbyt nachalna, za sztuczna. Z pewnością się przebije, lecz nie u mnie. Czarnula już popędziła z powrotem do instrumentu i bębniła w klawiaturę, gotowa wykazać talent. Zgniły Chłopiec pochwycił porozumiewawcze zerknięcie Nahemy. Nic z tego, słodka, zdawało się mówić.

Pionki do *zanu* stuknęły głucho, dziewczęta, zaśmiały się odrobinę zbyt głośno, a fiołkowe oczy demona spotkały się niespodziewanie z ciemną, głęboką zielenią spojrzenia siedzącej z boku dzinnii. Na wszystkie kręgi Otchłani, jaka ona była piękna! Asmodeusz poczuł, że tonie, nie może nabrać oddechu, a serce rusza do galopu po drodze wiodącej Mrok

wie dokąd. Patrzył na łagodny owal twarzy, prosty, szlachetny nos, usta o słodkim kształcie serca i skórę złotą niczym popołudniowe słońce. Dżinnija nie uśmiechała się, nie kokietowała. Czekala cicha, poważna, spokojna. To ona odwróciła wzrok, zapewne zmieszana zainteresowaniem okazywanym przez szanownego gościa, przesłoniła nieprawdopodobną zieleń oczu rzęsami czarnymi jak obsydian. Zdawało się, że bez emocji wraca do lektury, choć długie, smukłe palce trzymające książkę lekko drżały.

Zgniły Chłopiec odetchnął głęboko. Fiołkowe oczy nabrały dziwnie nieprzytomnego wyrazu, a serce nie zamierzało się uspokoić. Asmodeusz zakochiwał się nieraz, ale to, co się teraz zdarzyło, w niczym nie przypominało przyjemnego dreszczyku towarzyszącego zwykle początkom jego licznych romansów. Głęboki wstrząs, którego doznał, przywodził mu na myśl tylko jedno wydarzenie. Pierwsze spotkanie z Sarą. Nie bądź idiotą, nakazał sobie ostro, ale skojarzenie nie chciało zniknąć. Zgniły Chłopiec czuł się zbyt oszołomiony, żeby zauważyć zmianę na twarzy Nahemy. Demonica w zamyśleniu pocierała politurowany gzyms kredensu, a pionowa zmarszczka, która pojawiła się na jej czole, znamionowała zaniepokojenie.

– Spocznijmy, proszę – powiedziała, wskazując fotele.

Asmodeusz usłuchał, demonica przysiadła obok. Prawiła uprzejme grzeczności, na które nie zwracał uwagi.

Czas płynął, a Asmodeusz pił wino, zdawkowo odpowiadał Nahemie i z roztargnieniem słuchał świergotania dziewcząt. Dżinnija trwała pogrążona w lekturze.

Serce Zgniłego Chłopca wyprawiało nieprawdopodobne harce, aż w końcu zdecydował się zagadnąć panią domu.

– Kim jest ta samotna czytelniczka? – spytał, siląc się na obojętność.

Nahema upiła łyk wina.

– To Jashmin. Siedemnasta córka Angar Mereda, władcy dżinnów z północnej części Sahary.

Asmodeusz ze zdziwieniem uniósł brwi.

– Pochodzi z wolnych, niezależnych dżinnów, które wciąż upierają się mieszkać na Ziemi?

Demonica skinęła głową.

– Trochę ich jeszcze zostało.

Zgniły Chłopiec uśmiechnął się.

– Więc jest księżniczką, tak?

– W pewnym sensie.

– Musi się czuć bardzo samotna.

Ciemne oczy Nahemy bystro zerknęły na gościa.

– Z pewnością. Nie zna reguł rządzących naszym światem, obyczajów, koneksji. To róża z pustyni, dziwna i dzika. Nie wiem, czy coś dla niej znajdę.

– O to bym się nie martwił – rzekł Asmodeusz z przekonaniem. – Porozmawiam z nią chwilę. Ciekawi mnie.

Wstał, zanim Nahema zdążyła, odpowiedzieć.

– Co czytasz, pani? – spytał z uśmiechem.

Drgnęła.

– *Opowieści gwiazdy przewodniej* – odrzekła cicho.

– Wyborna klasyka. – Asmodeusz usadowił się obok. – Niektóre opowiadania to prawdziwe perły. Na przykład *Złoto nocy*. Albo *O śnie i smutku*.

– Znasz je, panie? – Ożywiła się. Z lekkim rumieńcem na twarzy wyglądała tak pięknie, że Asmodeusz zakochał się jeszcze bardziej.

– Oczywiście. Należą do moich ulubionych lektur.

Przyglądał się jej złotym paznokciom, ciemnym włosom o połysku miodu, głębokiej zieleni oczu, skórzastym skrzydłom lśniącym niczym mosiądz.

– Jesteś ifrytem, prawda? – spytał ze zdziwieniem.

Rumieniec na złotych policzkach pociemniał.

– W połowie, po matce.

Asmodeusz nachylił się blisko, błysnął w uśmiechu zębami.

– Pamiętasz historyjkę *O pustym dzbanie*?

W zielonych oczach zalśniło rozbawienie.

– To moja ulubiona. Przewrotna, mądra i zabawna.

Nahema upiła kolejny łyk wina. W zamyśleniu stuknęła palcem w blat stolika.

* * *

Zgniły Chłopiec płał się po domu z kąta w kąt, zły, zirytowany, opryskliwy. Obojętnie doglądał remontu w salonie i wszystkie pytania zbywał wzruszeniem ramion. Na nowe meble i antyki ledwo raczył spojrzeć. Długie godziny spędzał w pracowni, ale nie malował. Wreszcie, nad ranem, po czwartej nieprzespanej nocy, przywołał posłańca i nie bacząc na wczesną porę, kazał natychmiast zanieść list do pani Nahemy.

* * *

Światło było takie doskonałe. Łagodne i ciepłe, ślizgało się złotem po nienaganej sylwetce, po aksamicie skóry. Asmodeusz malował, całkowicie oderwany od świata, pogrążony w kosmosie kolorów i form. Nie usłyszał trzaśnięcia drzwi, odgłosu kroków. Zdołał tylko zobaczyć, jak twarz Jashmin blednie, a oczy ciemnieją z lęku.

– Co za słodka scena. Jestem wzruszona – odezwał się za jego plecami drwiący, niski głos przypominający gruchanie.

Odwrócił się błyskawicznie.

– A ciebie po co tu diabli przynieśli? – warknął.

Nienagannie wykrojone wargi Lilith krzywiły się w uśmiechu, ale źrenice ciskały gromy. Dawno nie widział matki tak wścieklej. Jashmin, przestraszona i zawstydzona, pospiesznie okręcała się fałdami draperii.

Głos Lilith stał się zimny i ostry jak sztylet.

– Nie chowaj się, śliczne zwierzątko. Chętnie zobaczę, kogo mój syn wybrał sobie na modelkę. Cóż to, Mod, zabrałeś się do portretowania dzikiej przyrody?

Asmodeusz zacisnął szczęki. Z chęcią skrzyłby Lilith kark. Nie znosił, kiedy nazywała go zdrobnieniem odpowiednim dla cyrkowej mały, nie zamierzał tolerować obraźliwych słów wobec Jashmin, ale nie chciał się zniżyć do wymysłów ani wyrzucania matki siłą.

– Przestań się ośmieszać i przejdź do rzeczy – powiedział ostro.

Nie podobał mu się nienawistny wzrok, jakim Lilith mierzyła Jashmin. Czuł, jak lodowaty palec niepokoju dźga go pod sercem.

Lilith parsknęła pogardliwie.

– Dobrze. Bardzo proszę. Chcę czterdzieści procent zysku z twoich kasyn. Płatne w gotówce, ostatniego dnia miesiąca.

Asmodeusz nie powstrzymał śmiechu.

– Oszalałaś? Z jakiej racji mam ci płacić?

Wzruszyła ramionami.

– Bez racji – syknęła jadownicę. – Bo tak. Płać albo pożałujesz. Powiedzmy, że masz u mnie dług, bo cię urodziłam i wychowałam.

Zgniły Chłopiec parsknął pogardliwie.

– Krokodyle wkładają więcej uczucia w opiekę nad młodymi, szanowna matko. Zagrzebują jaja w piasku.

Lilith wydeła karminowe wargi.

– Nie liczyłam, że docenisz poświęcenie i troskę. Ale przyszedł czas uregulowania rachunków. Nie będę dłużej pobłażliwa. Koniec wyrozumiałości. Żądam od ciebie należytej opieki.

– Bo twoje matczyne serce krwawi – zadrwił Asmodeusz.

Prychnęła jak kocica. Czarne oczy płonęły wściekle.

– Zapłacisz, syneczku. Zobaczysz. Przyniesiesz mi dwa razy tyle. Przynajmniej do tego się przydasz, nędzny kuternogo. Nigdy nie mogłam uwierzyć, że urodziłam takie gówienko jak ty. Będziesz płacił jak złoto, mały. Przekonasz się, że matka jest tylko jedna. I gorzko pożałujesz, że nie umiałeś okazać szacunku.

Asmodeusz zacisnął ze złości szczęki, ale postanowił nie dać się sprowokować.

– Nie będę wysłuchiwał idiotycznych pogroźek ani tym bardziej kretyńskich żądań – rzekł spokojnie. – Poszukaj lepiej dobrego psychiatry, bo we łbie ci się przewróciło.

– Jak chcesz – warknęła. – Ostrzegałam. Pilnuj siebie i tego słodkiego kwiatuszka, bo mogę ci popsuć sielankę.

Wytarł pędzle w szmatę. Zdenerwowanie spływało powoli. Matka wyraźnie oszalała. Wreszcie do tego doszło.

– Wynoś się – powiedział. – Skończ z tymi błazeństwami. Nie robią na mnie wrażenia. Jesteś żalosna.

– A ty głupi! – rzuciła.

Wyszła, szeleszcząc szkarłatną suknią, której tren ciągnął się po podłodze jak smuga świeżej krwi. Jashmin drżała.

– Nie przejmuj się – szepnął łagodnie. – Lilith jest szalona, ale nie zrobi nam krzywdy. Nie ma się czego bać.

Objął dziewczynę rękami umazanymi farbą. Palce zostawiały na skórze barwne smugi. Jashmin przywarła do niego mocno.

* * *

W klubie było tłoczno. Wrzawa rozsadzała uszy. Migwały zimne, niebieskie światła. Gnące się ekstatycznie tancerki wyglądały jak widma. Asmodeusz przepychał się do stolika ze szklanką w rękę. W bursztynowym płynie tańczyły kostki lodu.

– Trzymaj – powiedział, stawiając szklankę przed Samaelem.

Rudowłosy demon pociągnął długi łyk. Asmodeusz usiadł.

– Masz kłopoty z Lilith, powiadasz? – Zielone, nakrapiane złotem oczy Samaela były drwiąco zmrużone. – Nic oryginalnego, synu. Nie ty jeden.

Asmodeusz pochylił się nad stołem, żeby nie przekrzykiwać wściekłego huku muzyki.

– Posłuchaj, to poważna sprawa.

Samael rozwalił się wygodnie na krześle.

– Po co przychodzisz do mnie? Ja codziennie rano tańczę na rękach, z radości, że nie mam jej na karku. Spadaj stąd, Mod. Bawię się.

Zgniły Chłopiec z trudem powstrzymywał gniew.

– Do cholery, wysłuchaj mnie przynajmniej. Jesteś w końcu moim ojcem!

Demon roześmiał się szeroko i szczerze.

– No to co? Sam się martw o swoją prześliczną mamusię. Ja już nie muszę.

Asmodeusz przechylił się, chwycił Samaela za nadgarstek. Twarz wykrzywiła mu wściekłość.

– Zachowaj się chociaż raz godnie, dobra?

Rudowłosy demon pobladł.

– Godnie, mówisz? – warknął. – Tego słowa z pewnością mamusia cię nie nauczyła. Chcesz rady? Dam ci jedną. Z nią nie wygrasz. Ona nikogo nie kocha. Nie sposób ją zranić, przestraszyć, obłaskawić, przebłagać. To potwór. Żyłem z nią przez lata, więc wiem. Nie chcę słyszeć jej imienia, nie chcę patrzeć w tę podłą, śliczną twarzyczkę. Ja, demon, którego wyrzucili z piekła za okrucieństwo. Ryzy Hukaj, desperat i prześmiewca! Wiesz co? W

każdej minucie dziękuję losowi, że zostawiła mnie w spokoju. Nie pomogę ci, Mod. Nie sprowadzę sobie znów na łeb tego przekleństwa. Jest gorsza od zarazy, przysięgam. Cieszę się, jak cholera, że teraz zajmuje się tobą, bo przynajmniej mnie nie zadrecza.. Spotkałem ją na swoje zatracenie, kiedy łała krokodyle łyzy w nurty Flegetonu. Taka słodka, smutna, skrzywdzona piękność, która chciała tylko odrobiny zrozumienia. I zakochałem się z miejsca, biedny głupek. Nosilem tę żmiję na rękach, obsypywałem bogactwami, zaszczytami, adorowałem. Dałem jej w posiadanie prawdziwe królestwo i czterysta osiemdziesiąt szwadronów Głębian na wyłączne usługi. I uwierz mi, wkrótce nie pozostał ani jeden, z którym by się nie przespała. Uwielbiałem ją, zabijałem dla niej, w jej imieniu, dla jej kaprysu, a moje rogi obijały się o zenit kopuły niebieskiej. Omal mnie nie zniszczyła. Ale uciekłem. Tak, ja, Samael, po prostu zwałem. I tobie radzę to samo. Zanim cię pożre, Mod. A teraz spadaj. Idę poderwać jakiś towar.

Jednym haustem wypił zawartość szklanki. Stuknął pustym naczyniem o blat.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia? – warknął Asmodeusz.

Ryży Hultaj wycelował w niego palcem.

– Aż tyle, synu.

Wstał i zaczął się przepychać na parkiet. Czerwona czupryna górowała nad tłumem. Asmodeusz ze złością trzasnął szklanką o stół, aż szkło rozprysło mu się w dłoni. Nie zwracając uwagi na czerwone strużki płynące po palcach, wcisnął rękę do kieszeni i skierował się ku wyjściu.

* * *

Jashmin wstała, gdy wszedł do pokoju. Zauważył napięcie ściągające rysy twarzy, lekkie drżenie ust.

– Coś się stało, słońce? – spytał łagodnie.

Spuściła oczy. W palcach obracała zapisany kawałek papieru.

– Przyszedł list od pani Nahemy – szepnęła i urwała.

Z trudem odczytał ją pokornego zwrotu „panie”.

– Co pisze?

Nie ośmieliła się podnieść wzroku.

– Ojciec jest rad, że zechciałeś zwrócić uwagę na jedną z jego córek. Zgadza się mnie sprzedać. Prosi, abys podał cenę.

Asmodeusz potrząsnął głową.

– Nie kupię cię, Jashmin.

– Nie? – Zbielałe nagle wargi ledwo się poruszyły. Coś zabłysło i umarło w głębokiej zieleni oczu. Skóra dzinnii pokryła się popielatą szarością. – Nie?

– Zostaniesz ze mną, jeśli taka będzie twoja wola. Nie chcę cię kupować, niewolić, traktować jak przedmiot. Oczywiście, zapłacę twemu ojcu, ale jeśli sama tak postanowisz. Zostań ze mną, Jashmin. Jako partnerka, albo... żona.

Upuściła list i podbiegła z rozwartymi ramionami.

– Och, tak! Tak! Na zawsze!

Od dawna nie czuł się taki szczęśliwy. Nie rozumiał tylko, czemu zimny palec niepokoju znów zaczął go szturchać pod żebrami.

* * *

Oko nocy odezwało się natrętnie, terkotliwie. Asmodeusz wyciągnął z kieszeni kryształ.

– Tak? – spytał.

W polerowanej tafli pojawił się wizerunek Sydragasuma. Twarz demona, napuchnięta, sinofioletowa, wyglądała, jakby ktoś długo tłukł w nią kamieniem. Połamany nos zrobił się wielki jak kalafior, a w okolonych purpurowymi krwiakami oczach czaiło się przerażenie.

– Nieszczęście, panie – wybełkotał nosowo zarządca. – Błagam, przyjeźdź!

– Zaraz będę – rzucił prędko Zgniły Chłopiec, bez wdawania się w zbędne szczegóły.

Sytuacja wyglądała na poważną.

* * *

Sydragasum z jękiem przyłożył do skroni zimny kompres. Chustka momentalnie przesiąkła krwią. Palce demona przypominały teraz rozdęte do granic możliwości serdele. Paznokcie nabrały sinego odcienia.

– Wpadli tutaj – sepleniał przez rozkwaszone usta. – Mieli broń. Sterroryzowali nas wszystkich, kazali się zaprowadzić do sejfu. Było ich pewnie z dziesięciu. Od razu zabili ochroniarzy od Raguela i zażądali pieniędzy. Nie chciałem dać, więc zaczęli mnie bić. Nic nie powiedziałem, panie, a oni widać bali się tracić za dużo czasu, no to przywlekli dziewczyny. Bili je i gwałcili, żebym otworzył sejf. Kiedy jeden z naszych chłopaków, Sefer, rzucił się biedulom na ratunek, rozwalili mu łeb. Na Otchłań, panie! Krew była wszędzie, na ścianach, dywanie, meblach! Sefer drygał nogami, charczał, aż w końcu umarł. Dziewczyny wpadły w panikę. Piszczwały, płakały. Wtedy jeden złapał za włosy Mee, pamiętasz, panie, taką bystrą czarnulkę, co tak ładnie śpiewała. – Głos demona zaczął się łamać. – No i zabił ją. Strzelił prosto w usta, śmiał się i mówił obrzydliwe rzeczy. A to była taka dobra dziewczyna... ach, panie!

Po opuchniętych policzkach płynęły łzy. Asmodeusz słuchał bez słowa, z kamienną twarzą. Tylko mięśnie szczęk drgały miarowo. Sydragasum zasmarkał się, ostrożnie wydmuchiwał w chustkę krwawe skrzepy.

– Powiedział, że będzie zabijał następne. Ale już nie tak szybko. Powolutku, po kawałku. Złapał Misz i chciał jej wydłubać oko. Przysięgam, Wasza Mroczność, wcale nie żartował. No to otworzyłem sejf, panie... Niech mi Ciemność wybaczy! Nie mogłem dłużej patrzeć!

Głos Asmodeusza brzmiał spokojnie. Przerazająco spokojnie.

– Postąpiłeś słusznie, Sydragasum. Wiesz, kto was napadł?

Demon skinął głową.

– Tak, panie. Ten główny, najgorszy, który zabijał, nazywał się Marax. Zabrał pieniądze i powiedział, wybacz, panie, że następnym razem masz je przynieść w zębach pani Lilith albo nikt tu nie zostanie żywy.

– Marax, mówisz? – syknął Zgniły Chłopiec. Twarz mu się ściągnęła, wyglądała jak pysk drapieżnika. – Marax i Lilith. No dobrze.

Wstał gwałtownie, omal nie przewracając krzesła. Szybko ruszył ku wyjściu. Sydragasum odprowadzał go przerażonym wzrokiem zbitego psa.

– Dokąd idziesz, panie? – zaskamlał.

Asmodeusz odwrócił się. Fiołkowe oczy stały się niemal czarne.

– Zrobić porządek – wycedził.

* * *

Zaterkotało oko nocy. Asmodeusz odebrał.

– No? – rzucił ostro.

Smagła twarz Merkha, kapitana jego dzinnów, nie zdradzała uczuć.

– Mamy go. Tawerna Wdowi Smutek, w Limbo. Wchodzić?

– Poczekajcie na mnie. Zaraz będę – odrzekł Asmodeusz.

* * *

Drzwi, wywalone kopniakiem, wpadły do środka. W tawernie było prawie pusto, zabrakło nawet stałych bywalców, wystraszonych najazdem bandy Maraxa. Oszołomieni alkoholem, zaskoczeni zbóje zepchnęli z kolan rozchełstane dziwki i chwycili za broń. Za późno. Dżinny w zielonozłoty turbanach spadły na nich jak burza.

– Aszmo-daiiiii! – wibrował w powietrzu krzyk.

Błysnęły szerokie, krzywe szable. Ośmiu zbirów zbiło się w kupę, plecami do siebie, ale zieleń i złoto otoczyły ich ze wszystkich stron. Jeden złapał się za przerażony pysk, zalał krwią i runął pod nogi towarzyszy. Drugi padł ze stęknieniem, przytrzymując wypływające wnętrzności, kolejny zwałił się na kolana, tryskając fontanną krwi z rozrąbanej szyi. Mrugająca ze zdumienia głowa potoczyła się pomiędzy przewrócone stoły, po czym znieruchomiała. Sprawiedliwość Asmodeusza działała gwałtownie i bezwzględnie.

Zgniły Chłopiec, z głębiańskim pistoletem Abyssum vocat 45 w dłoni, potrząsał wywleczonym z komórki pod schodami karczmarzem.

– Gdzie jest Marax? – syknął wściekle.

Przerazony oberżysta zasłaniał się rękami.

– Nie bij, panie! Nie bij!

– Zabiję, jeśli nie odpowiesz! – wrzasnął Asmodeusz.

– Na górze! Na górze, panie! Łaski!

Cisnął karczmarza jak worek i wielkimi susami pognał po schodach. Kopnął drzwi do jedynej izby. Marax pospiesznie wciągał gacie. Wystraszona dziwka zbierała rozrzucone łachy.

– Precz! – warknął do niej Asmodeusz.

Półgoła, przyciskając do siebie kłęb kiecek i bielizny, uciekła w popłochu na dół. Wystarczyło jej jedno spojrzenie w fiołkową furię. Marax zamarł z troczkami w dłoniach, otworzył usta.

Asmodeusz pokręcił głową.

– Nie będzie żadnej gadki – powiedział i strzelił.

Siła uderzenia zbiła demona z nóg. Padł na plecy z rozkrzyżowanymi ramionami. Na piersi już rozkwitał mu wielki, szkarłatny kwiat. Rozszerzone granatowe oczy patrzyły z niedowierzaniem. Niebieskie włosy leżały rozrzucone wokół głowy niczym aureola namalowana przez daltonistę.

Nieładny grymas wykrzywił usta Asmodeusza. Abyssum vocat 45 ponownie plunął ogniem. Ciało na podłodze drgnęło, poderwane siłą uderzenia pocisku, i zamarło. Granatowe oczy zapatrzyły się w pustkę.

– Widzisz? – mruknął Zgniły Chłopiec. – Nie było żadnych zbędnych gadek. A nie chciałeś wierzyć.

Splunął pogardliwie na podłogę.

– Tyle możesz powtórzyć swojej pani – powiedział.

Marax nie słyszał. Patrzył w próżnię.

* * *

Asmodeusz zapadł głęboko w skórzany fotel Lucyfera.

– Lampka, co mam ci tłumaczyć. To poważne. I tyle.

Pan Głębi pociągnął łyk wybornego koniaku.

– Widzę, Mod. I wierzę.

Zgniły Chłopiec potarł policzek.

– Nie czułem niczego podobnego, odkąd spotkałem Sarę. Teraz otworzył się przede mną nowy świat. Sara była zbyt uległa, zbyt bierna. Czasem miałem wrażenie, że wszystko jej jedno, z kim się wiąże. A Jashmin... jest wyjątkowa. Cicha, łagodna, ale bystra, inteligentna, wie czego pragnie, ma swoje cele, marzenia, zasady. Dobrze mi z nią, Luciu. I chcę to zatrzymać na zawsze.

Lucyfer westchnął. Rzeczywiście, Zgniły Chłopiec zakochał się tak głęboko po raz pierwszy od nieszczęsnej historii z Sarą. Co prawda, Jashmin wydawała się Lampce trochę za cicha dla Asmodeusza, zbyt nieśmiała, za mało otwarta na kontakt ze światem, ale może to właśnie było przyjacielowi potrzebne. Ciepło, stabilizacja i święty spokój. Lucyfer nigdy nie bolał, że Asmodeuszowi nie udało się związać z Sarą, największą niespełnioną miłością jego życia. Anielica była wprawdzie śliczna jak obrazek, ale rozumem nie grzeszyła. W dodatku wydawała się władcy Głębi ospała i obojętna jak gęś. Była córką Raguela, głównego egzekutora Królestwa, którego Gabriel skazał na wygnanie z powodu dawnej zemsty. Raguel osiadł w Otchłani, gdzie założył doskonale prosperującą agencję ochroniarską i detektywistyczną, ale nigdy nie poczuł się Głębianinem i wiecznie wyrzekał na niesprawiedliwość, jaka go spotkała z rąk Gabrysia. Gdy Asmodeusz zakochał się do szaleństwa w jego córce, ten dziwny półanioł postanowił natychmiast wydać Sarę za mąż za skrzydlatego czystej krwi. Sama Sara wykazywała w tym względzie daleko posuniętą obojętność. Asmodeusz, tknięty zupełnie zwariowaną namiętnością, wyzywał na pojedynki kolejnych siedmiu mężów anielicy, których w uczciwy sposób uśmiercał. Po śmierci piątego do ręki dziewczyny zabrakło już chętnych i zdesperowany ojciec musiał ją wydać najpierw za jakiegoś zastraszonego anioła służebnego najniższej klasy, który zajmował się bodaj czuwaniem nad populacją dżdżownic w okolicach pewnego bajorka, a potem za zapijaczonego dezertera z armii, gotowego za flaszkę gorzałki poślubić parchatą owcę. I tych także Asmodeusz zabił w uczciwym, choć bardzo krótkim pojedynku. Mniej więcej w tym samym czasie Sarę ujrzał i pokochał Tobiasz, przyjaciel archanioła Rafała. Zapragnął pojąć ją za żonę, ale tak sprytnie, by uniknąć walki ze Zgniłym Chłopcem. Wtedy w sprawę wmieszał się Rafael, który namówił bezwolną Sarę, żeby oświadczyła Asmodeuszowi, że go nigdy nie zechce, a na znak pogardy ofiarowała mu w prezencie rybią wątrobę. Zdruzgotany demon dał za wygraną, a Tobiasz mógł bez problemów ożenić się z Sarą. I nie było czego żałować, skrzywił się na wspomnienie Lucyfer. Przez lata anielica roztyła się i zbrzydła, ale rozumu jej nie przybyło.

Asmodeusz, zamyślony, popijał koniak. Lampka szczerze cieszył się ze szczęścia przyjaciela, ale jakoś nie mógł wyzbyć się niepokoju.

– Jesteś pewien, że tego właśnie chcesz? – zapytał.

Zgniły Chłopiec spojrzał mu prosto w oczy.

– Tak. Całkowicie pewien.

Lampka rozłożył ręce.

– To wspaniale. Cieszę się razem z tobą. Ale uważaj na Lilith, dobra? Nie lekceważ jej.

Asmodeusz machnął ręką.

– Co mi zrobi? Przestraszyła się i uciekła z podkulonym ogonem do budy. Stamtąd może tylko szczekać. Miałeś rację. Trzeba było postępować z nią stanowczo od początku.

Lucyfer, zasepiony, pocierał szczękę.

– No, nie wiem. Jest niepoczytalna.

Zgniły Chłopiec potrząsnął seledynową czupryną i roześmiał się.

– Teraz ty zaczynasz? Przedtem ja miałem wątpliwości. Musisz zawsze wybierać przeciwną stronę barykady?

Lampka też się uśmiechnął, ale szare oczy pozostały chłodne i niespokojne jak listopadowe morze.

* * *

Dni Asmodeusza kołysały się łagodnie i szczęśliwie niczym sny o Atlantydzie. Godziny wykreślało drżące światło świec, łagodność i starożytne opowieści Wschodu. Czas pełen był cichych rozmów, czułości, poezji o blasku starego złota i zieleni oczu. Tej nieprawdopodobnej zieleni oczu, poza którą nic nie ośmielało się istnieć. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu Zgniły Chłopiec czuł się szczęśliwy. I jak każdej istocie w jego sytuacji zdawało mu się, że wieczność to uszanuje.

* * *

Lampka obudził się w środku nocy, tknięty niedobrym przeczuciem. Łomotanie do drzwi przemieniło je tylko w rzeczywistość. Lucyfer zerwał się z pościeli.

– Co się dzieje? – zawołał.

– Panie! – usłyszał głos służącego. – Pan Asmodeusz do ciebie.

– Natychmiast wpuść!

Sługa uchylił drzwi i do sypialni wpadł Zgniły Chłopiec. Dyszał ciężko. Na twarzy miał wyraz niepokoju pomieszanego z irytacją. Obrzucił sypialnię szybkim spojrzeniem, a niepokój parował gwałtownie, pozostawiając samą złość.

– Do cholery, Lampka! Co ty właściwie wyrabiasz?

– Mógłbym cię spytać o to samo. – Zimna dłoń powoli zaciskała się wokół serca władcy Głębi.

Szare oczy wpatrywały się w przyjaciela poważnie. Śmiertelnie poważnie.

– Co to za durne żarty! – sarknął Asmodeusz, ale i w jego źrenicach zapalił się nagły lęk.

– Nie powiesz, że mnie nie wzywałeś. Pilna sprawa, musimy się natychmiast zobaczyć, chodzi o dobro Głębi? Nie pamiętasz?

– Nie, Mod – powiedział Lucyfer wolno. – Z całą pewnością nie.

Skóra Asmodeusza przybrała momentalnie szary odcień papieru. W oczach otwarła się otchłań. Wargi, z których odpłynęła cała krew, poruszyły się z trudem.

– Więc ty nie?...

Lampka powoli pokręcił głową.

– Nie, Mod. – W głosie pana Głębi drgało wyczuwalne napięcie. – Ja cię nie wzywałem.

Pod Asmodeuszem ugięły się kolana. Zobaczył czarne i czerwone płatki tańczące w powietrzu.

– Muszę natychmiast wracać do domu! – krzyknął z rozpaczą. – Natychmiast!

– Idę z tobą! – zawołał Lucyfer, który za wszelką cenę nie chciał dopuścić, żeby Zgniły Chłopiec sam wszedł do swego domu.

Asmodeusz go nie usłyszał.

– Gdzie masz dywan? – zawołał, potrząsając przyjaciela za ramię. – Latający dywan, Lampka?!

– Nie masz swego? – zdumiał się Lucyfer.

Zgniły Chłopiec spojrzał nieprzytomnie. W fiolecie oczu lśniła groza.

– Przybiegłem pieszo. Wszystkie moje skrawki jak na złość się wyczerpały. Nie chciałem tracić czasu na budzenie stajennych i siodłanie smoka.

Lucyfera ogarnęło przerażenie.

– Dawać dywan! – ryknął do osłupiałych służących. – Szybko!

* * *

Wylądowali niemal równocześnie. Na podłodze, z twarzą zatopioną w kobiercu z tęczowego blasku, leżała nieprzytomna Zaridja.

– Jashmin! – krzyknął rozpaczliwie Asmodeusz i popędził na górę.

– Czeka! Nie wchodzi tam! – Lucyfer biegł za przyjacielem po schodach, starając się go zatrzymać.

Ale Zgniły Chłopiec już dopadł sypialni. Wbiegł do środka i zmarł. Rozpędzony Lucyfer wpadł na nieruchome plecy. Podniósł głowę i też zmarł.

Bezkrwiste, blade wargi Asmodeusza poruszyły się.

– Nie – powiedział cicho, ale wyraźnie, jakby to proste przeczenie miało moc zaklęcia odwracającego rzeczywistość.

– Nie – powtórzył głośnie. Nie przyjmie prawdy do wiadomości. Odrzuci ją, zaprzeczy jej i wszystko wróci do chwili, w której nikt nie zmusza go do rozumienia słowa rozpacz.

Lucyfer przełknął ślinę. Oddychał płytko, bał się nawet poruszyć. Na Mrok, myślał gorączkowo. To koniec! On oszaleje.

A Asmodeusz stał nieporuszony, nie wierząc, nie chcąc wierzyć, odrzucając.

W powietrzu, w pozie, jakby zrywała się do lotu, wisiała Jashmin. Sieć sznurów, rozpiętych między żyrandolem i słupami baldachimu nad łóżkiem, utrzymywała ją pod sufitem. Szeroko rozpięte złote skrzydła ifryta rzucały cień na pokój. Stopy, skrzepowane w kostkach, podciągnięto wysoko, żeby nadać ciału niemal poziomą pozycję. Wyprute wnętrzności zostały starannie udrapowane jak pęk czerwonych wstążek. Okaleczone ramiona rozkrzyżowano w geście szyderczego błogosławieństwa. Odrąbane dłonie leżały na podłodze, jedna na drugiej. Między palce ktoś wetknął wiecheć polnych kwiatów. Dwa podobne bukiety

sterczały szyderczo z kikutów. We włosach Jashmin miała pełno konfetti, jakieś listki, gałązki, drobne kwiatki. Na szczęście, już nie żyła. Wywrócone białkami oczy oglądały wieczność.

Podłoga i ściany schlapane były krwią. Na dywanie obok odciętych dłoni leżały pędzle Asmodeusza.

Zgniły Chłopiec zauważył je, upadł na kolana i zwymiotował. Trząśł nim spazmatyczny szloch. Skulił się, objął ramionami głowę. Palce kurczowo wpijały się we włosy, szarpały.

Lucyfer przyklęknął obok, bezradny. Bał się nawet dotknąć przyjaciela, żeby nie wywołać ataku szaleństwa.

Asmodeusz płakał i dygotał, drżącymi rękami macał nasiąknięty krwią dywan, rozmazywał czerwień po włosach i twarzy. Mamrotał.

– Mod? – szepnął przestraszony Lucyfer.

Nigdy nie sądził, że cokolwiek może doprowadzić przyjaciela do takiego stanu.

Asmodeusz odwrócił głowę. Lucyfer nie rozpoznałby tej wykrzywionej, oszalałej twarzy z odsłoniętymi w morderczym grymasie zębami. Patrzył na zwierzę żądne mordu.

– Zabiję – wycedził Asmodeusz. – Zabiję.

Porwał się, żeby wstać, wybiec, dopaść tę sukę, dziwkę, zmiję, szarpać, rozszarpać, zabić! Ale siły go zawiodły i opadł na podłogę. Lucyfer objął go wpół, przydusił, nie pozwolił się wyrwać.

– Nie, Mod! Zrozum! Ona na to czeka! Chce, żebyś przyszedł ją zabić. Sprowokowała cię. To podstęp! Pewnie przyjmuje gości, którzy zeznają, że rzuciłeś się na nią, żeby zabić, a jej pachołkowie już czekają z bronią. Załatwią cię, Mod, zabiją! – Nagle doznał olśnienia. – Nie możesz jej dać tej satysfakcji, co? Nie możesz, prawda? Nie dopuścisz, żeby wygrała! Co, Mod?

Oszalały, zakrwawiony, płaczący Asmodeusz kiwał monotonicznie głową.

– Nie dopuszczę – powtarzał. – Zabiję. Nie dopuszczę. Nie dam satysfakcji. Nie dopuszczę.

Ale uspokajał się powoli. Spojrzał na Lucyfera przytomniej. Lampka odwrócił wzrok. Nigdy nie widział w niczyich oczach takiego morza bólu, goryczy i rezygnacji.

– Na Mrok – wyszeptał Asmodeusz. – Z powodu portretu. Zwykłego portretu.

Lampka czuł się tak podle, że właściwie wolałby sam wisieć u sufitu zamiast Jashmin. Wyrzucał sobie, że niczemu nie zapobiegł, że nie ustanowił ochrony, nie wymógł na Asmodeuszu ostrożności. Zamknął oczy.

– Samael nie miał racji – wychrypiał niespodziewanie Zgniły Chłopiec. – Jest ktoś, kogo ona kocha. Ona sama. Tylko ona samą i jej wściekła próżność.

– Tak – zgodził się łagodnie Lampka. – Pewnie, że tak, Mod. Wyjdiesz stąd ze mną, dobra?

Asmodeusz nie usłyszał ani jednego słowa. Światło przygasło, nastąpiła dziwna szarość, która przemieniła się w czerni, a Zgniły Chłopiec stracił przytomność.

* * *

Tęskny, przejmujący klangor harpii przeszywał serce. Fale na Jeziorze Płomieni mieniły się czerwienią i złotem. W górze stało niebo nieskończone czernią.

Asmodeusz odwrócił się od okna.

– Proszę cię, Babillo – powiedział. – Nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

Malarz pokręcił głową.

– Mod, nigdy nie pracuję na zamówienie.

Asmodeusz nerwowo krążył po pracowni.

– To nie będzie zwykły obraz. To wielkie wyzwanie. Zrozum, wyzywam na pojedynek twój talent. Kunszt przeciwko prawdzie. Co ty na to?

Babillo w zamyśleniu przecesał gęste, srebrne włosy. Nie był już młody, ale jego spokojna, lwia twarz i barczysta sylwetka, sprawiały, że miał powodzenie u kobiet i uchodził za bardzo przystojnego. W srebrnych oczach po raz pierwszy, odkąd zaczęli rozmawiać, pojawił się błysk zaciekawienia.

– Mów – rzekł krótko.

Asmodeusz przysunął się blisko, pochylił. Ręce oparł na blacie stolika do rysowania.

– Pamiętasz, jak uczyłeś mnie malować? Kazałeś mi patrzeć i dostrzegać prawdę. Malowałem Jezioro Płomieni, do obrzydzenia, do znudzenia. I wciąż było źle. Nie podobało ci się. Miałem dość, chciałem rzucić malarstwo, zrezygnować. Wtedy zabrałeś mnie na brzeg i pokazałeś fale. Patrz, powiedziałeś. Nie możesz po prostu malować czerwieni. Musisz ją najpierw zobaczyć.

Babillo słuchał. Spod zmrużonych powiek obserwował dawnego ucznia. Dostrzegał bladość, sińce pod oczami, gorzkie zmarszczki w kącikach ust. Cień smutku na młodzieńczej twarzy. Dostrzegał prawdę.

– Mam dla ciebie zadanie, Babillo. Żebyś zobaczył modela, przejrzał na wylot, odczytał i pokazał. Wspaniałe zadanie! Bezlitosny sprawdzian kunsztu. – Asmodeusz rozłożył ręce. – I co? Bierzesz?

Malarz westchnął. Spojrzał w okno. Z przejmującym, smutnym krzykiem harpie krążyły nad przestworem zmiennej czerwieni.

– Dobrze – powiedział Babillo. – Zgadzam się.

* * *

Lilith wsunęła się do komnaty, zamienionej prowizorycznie na pracownię. Portret był niezwykle. Oddawał doskonale aksamit skóry, burzę złotych loków wokół głowy, cudowne

proporcje twarzy, żywe spojrzenie źrenic płonących jak dwa węgle, lekko rozchylone, zalotne usta, dłonie piękne jak kwiaty. Lilith kokieteryjnie przechyliła główkę.

– Mistrzu, co za wspaniałe dzieło! – zagruchała. – Ale pochlebiasz mi! Nie jestem aż tak piękna.

Malarz ukłonił się.

– Dokładnie tak, pani – odrzekł bez uśmiechu.

Lilith promieniała. Portret był niemal skończony, zostały jakieś drobiazgi. Kosmetyka, jak się wyraził Babillo. Jutro zostanie uroczyście odsłonięty podczas jej imieninowego przyjęcia. Nie miała pojęcia, od kogo dostała tak piękny i kosztowny prezent. Mistrz Babillo po prostu przyszedł do niej pewnego dnia i powiedział, że ktoś zamówił jej portret. Rzecz o tyle szczególna, że malarz nigdy nie przyjmował żadnych zleceń. Nie miała pojęcia, jak tajemniczy adorator namówił mistrza ani ile mu zapłacił. Wiedział tylko, że jest tego warta. Uwielbiała, gdy ją adorowano. Żyła po to, żeby być zdobywana i podziwiana. Teraz puchła z dumy. Prawdziwy Babillo, jedynie dla mnie, portret na zamówienie, śpiewała dusza demonicy. Przeglądała się w obrazie jak w lustrze i nie mogła ukryć zachwytu. Tak wyglądam! Dokładnie tak wyglądam! Na Mrok! Co za piękność! Skończona piękność. Dobrze, że to obraz. Nie zniosłabym istnienia drugiej równie cudownej istoty. Gdybym miała siostrę bliźniaczkę, zamordowałabym ją, myślała z zachwytem.

Zaśmiała się słodko. Złożyła ręce, zrobiła uroczą minkę.

– Ach, mistrzu, proszę, zdradź tajemnicę! Kto mi ofiarował tak cudowny prezent?

Babillo pozostał niewzruszony. Lilith zdawało się przez moment, że wykrzywił usta w ironicznym grymasie.

– Wybacz, pani. Tego powiedzieć nie mogę. Trzyma mnie umowa i słowo honoru. Wszystkiego dowiesz się jutro.

– Ach, dobrze już, dobrze! Jakiś ty nieugięty, panie! – zaświergotała. – Trudno. Postaram się powściągnąć ciekawość.

Posłała malarzowi uwodzicielskie spojrzenie spod rzęs, ale Babillo obojętnie wycierał pędzle.

– Do jutra więc i dobrej nocy – powiedziała, odchodząc, bo dziś nawet całkowity chłód malarza wobec jej wdzięków nie mógł popsuć Lilith humoru.

– Ano do jutra, rosiczko – mruknął do siebie Babillo, gdy drzwi się zamknęły.

* * *

Przyjęcie było wspaniałe. Sztuczne ognie szalały pod sklepieniem wielkiej sali balowej. Setki tancerek z precyzją automatów wykonywały skomplikowane układy choreograficzne. Połykacze ognia dokonywali cudów. Potrawy podawano tak znakomite i wykwintne, że zapewne mało który z gości, nawet sama Lilith, umiał wymówić ich nazwy.

Demonica zerkąła na przybyłe świetne osobistości Głębi. Pojawił się Moloch, obwieszony złotem, tłusty i nadęty. Żarł, oblizując tłuste palce. Obok siedział Tammuz, wyniosły i zadufany w sobie, który opowiadał podniesionym głosem o własnych sukcesach. U przeciwległego krańca stołu zasiadł Mefistofeles. Jego ostry, krogulczy profil kontrastował z łagodnym owalem twarzy małżonki, dakini Amilii. Lilith skinęła jej sztywno głową. Ślicznotka z rynsztoka, pomyślała złośliwie. Wielka mi piękność, myślałby kto. Ma brzydki nos. A te oczy! Paskudne. Nie to co ja! Posłała oszalamiający uśmiech Belzebubowi, który z kwaśną miną pogryzał kandyzowane owoce. Sukinsyn, skomentowała w duchu. Demonstruje swoją wyższość. A bał się nie przyjść, żeby nie podpaść. Bydlę. Książę Zepar i książę Gusjon byli już niezłe pijani. Nierządnicą Babilońska lepiła się do obu, śmiejąc się donośnie. Lilith skwitowała ją pogardliwym parsknięciem. Mała dziwka.

Buer i Marbas, Mroczni wysokiej krwi, siedzieli w milczeniu, jedli niewiele. Lilith z przyjemnością patrzyłaby, jak dławią się na śmierć pasztetem, w którym dziobali. Tak czy inaczej, oni także nie ośmielili się odrzucić zaproszenia.

Jednak drobne triumfy nad gośćmi mogły zaprzętać umysł demonicy zaledwie na chwilę. Nie miała czasu rozkoszować się własną pogardą. Nadchodził czas wielkiego odsłonięcia. Na znak Lilith olbrzymi, półnagi demon uderzył w gong. Niski, wibrujący dźwięk rozszedł się po sali. Lilith wstała. Obecni unieśli głowy, gwar zamarł.

– Mili goście – zaczęła. – Oto nadeszła kulminacyjna chwila dzisiejszej uroczystości. Odsłonimy prezent od tajemniczego, nieśmiałego przyjaciela, który postanowił nie ujawniać swojej tożsamości. Prezent, zaznaczam, nie byle jaki. Mój portret, namalowany przez mistrza Babillo na specjalne zamówienie. – Zawiesiła głos, tocząc po sali triumfalnym spojrzeniem. Z satysfakcją usłyszała poszum zdziwienia i niedowierzania. Potrząsnęła złotymi lokami i ciągnęła dalej: – Mam nadzieję, że darczyńca zechce się jednak ujawnić, aby przyjąć dowody wdzięczności. Zatem, odsłońmy dzieło. Mistrzu Babillo, proszę!

Zaklaskała w dłonie. Dwa piękne, młode dzinny wniosły sztalugi z obrazem. Blejtram zasłaniała kosztowna purpurowa tkanina, Babillo wysunął się z kąta, stanął obok ze skrzyżowanymi ramionami. Ponurą twarzą i barczystą sylwetką przypominał raczej kata niż artystę, ale podekscytowana Lilith nie zauważyła, niczego szczególnego. Ponownie zaklaskała. Dzinny odrzuciły zasłonę. Demonica nie patrzyła, na obraz, tylko na gości. Oczy jej płonęły, wargi wydał pogardliwy grymas. Tak jak oczekiwała, przez salę przebiegł szmer. Ale na twarzach zaproszonych zamiast zachwyty zobaczyła konsternację. Moloch wypuścił widelec, Tammuz urwał w pół słowa tyradę o własnej zaradności i inteligencji i rozwarł szeroko usta. Buer i Marbas pozwolili sobie na krótkie parsknięcia śmiechu. Cisza, która na moment zapadła, wypełniła się szeptami.

Lilith obróciła się powoli. Z płótna rozpiętego na blejtracie patrzył na nią potwór. Podobieństwo wciąż było uderzające, uwieczniono też niezwykłą piękność modelki. Nadal uroda Lilith rzucała na kolana. Ale alabastrowe czoło było siedliskiem podłych, brudnych

myśli, w czarnych, przepastnych oczach płonęły okrucieństwo, próżność i żądza, wydete pogardliwie usta znamionowały głupotę i małostkowość, w kącikach warg mieszkała lubieżność. Długie, smukłe palce zmieniły się w szpony gotowe rozszarpać żywcem, czerwone paznokcie wyglądały, jakby plamiła je krew. W otwartej dłoni, zamiast rozchylonej muszli perłopława, znalazło się oko, ociekające śluzem, z pękiem brutalnie wyrwanych nerwów.

Lilith z wysiłkiem przełknęła ślinę. Patrzyła na własną twarz. Tę prawdziwą. Gniew zaćmiewał jej wzrok czerwoną mgłą, więc obraz tonął w szkarłacie. Obróciła się do niewzruszonego Babillo.

– Kto? – wyszeptała ochryple.

Na nieskazitelne policzki wypęzły ceglaste plamy. Skóra nabrała odcienia błota. Z wściekłości Lilithomal nie straciła przytomności. Czowała słabość w nogach i zawrót głowy.

– Kto? – wycharczała stłumionym szeptem.

Babillo wzruszył ramionami.

Wtedy drzwi do komnaty otwały się. Do środka wkroczył nienagannie ubrany Asmodeusz. Utykał wyraźnie, ale szedł z wysoko podniesioną głową. W seledynowych, kunsztownie upiętych włosach połyskiwały klejnoty. Zatrzymał się pośrodku sali. Z drobnej, niewysokiej postaci demona biła siła i godność. Oczy o barwie fiołków spotkały się z czernią rozżarzonych węgla i wytrzymały.

Lilith i Asmodeusz mierzyli się wzrokiem. W sali panowała zupełna cisza. Umilkła muzyka, nawet tancerki zamarły.

Przez otwarte drzwi wsunął się Lucyfer z obstawą kilkunastu krzepkich strażników. Stał niedaleko wejścia, podparłszy się pod boki.

– Witaj, matko – powiedział dźwięcznie Asmodeusz. – Przyszedłem złożyć ci uszanowanie w dniu imienin.

Lilith sztywno skinęła głową.

– To uprzejmie, synu – odrzekła, ale w głosie synogarlicy drgał z trudem tłumiony gniew.

– Postanowiłem ofiarować ci coś specjalnego na specjalną okazję. Pamiętasz, prosiłaś mnie kiedyś o portret?

Pobladała jeszcze bardziej, zgrzytnęła zębami, lecz milczała. Asmodeusz rozłożył ręce.

– Odmówiłem wtedy. Nie czułem się na siłach namalować cię prawdziwie, odnaleźć i ukazać głębię twojej osobowości. Ale pamiętałem o prośbie. I znalazłem godniejszego zastępcę. Mistrz Babillo uczynił to w sposób doskonały. Cudownie perfekcyjny. Oto prawdziwa Lilith w całej krasie. Nieprawdaż?

Rozejrzał się z uśmiechem po sali. Część gości odwracała wzrok, ale wielu się śmiało, bardziej lub mniej dyskretnie.

Uśmiech Asmodeusza stał się zimny jak lodowiec.

– Chciałem ci zrobić niespodziankę. I jak? Jesteś zadowolona?

Lilith z trudem przełknęła ślinę. Zmusiła usta do uśmiechu.

– Dziękuję ci, synu – powiedziała obcym, świszczącym głosem. Ceglaste plamy płonęły na policzkach demonicy niczym lampiony, z wolna wpełzały na czoło, szyję i dekollet. – Nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś.

Zgniły Chłopiec złożył głęboki, szyderycki ukłon. Mięśnie zaciśniętych szczęk drgały.

– To naprawdę drobiazg w porównaniu z tym, co ty zrobiłaś dla mnie. Wybacz, ale obowiązki nie pozwalają mi zostać dłużej. Baw się dobrze. Mistrz Babillo wychodzi z nami.

Malarz niespiesznie przeszedł przez salę i zatrzymał się obok Lucyfera. Służący, posłany przez władcę Głębi, przyniósł właśnie z pracowni kuferek z farbami.

Asmodeusz ukłonił się ponownie i ruszył do wyjścia. Zatrzymał go głos Lilith, brzmiący jak wystrzał z bicia.

– Zadałeś sobie wiele trudu, Asmodeuszu. Docenię to.

Zgniły Chłopiec pokazał w uśmiechu drapieżne, zaciśnięte zęby.

– Cóż – wycedził. – W końcu matka jest tylko jedna.

Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

KOSZ NA ŚMIERCI

Gwałtowny podmuch wiatru uderzył w szyby drobinami kurzu i piasku. Zawirował gniewnie, zawrócił i ponownie załomotał w okna, aż jęknęły ramy. Na dworze zrobiło się ciemno. Adam słyszał, jak wichura się wzmaga, tłucze pięściami w parapety, coraz natarczywiej domagając się, żeby wpuścić ją do środka.

Rozległ się nagły trzask, tak donośny, że Adam aż drgnął. Panna Lu, która siedziała dotąd spokojnie na jego kolanach, zeskoczyła na podłogę i ruszyła pędem w głąb domu. Do pokoju wpadł lodowaty powiew, poderwał w górę kilka kartek papieru z blatu biurka. Okno! – pomyślał, zrywając się z fotela. Musiało się gdzieś otworzyć! Zimne powietrze, pachnące ozonem, wpadało przez szeroko otwarte drzwi balkonowe w salonie. Wiatr wydymał wąskie płócienne zasłony w półkoliście ułożonych oknach, nadając im wygląd starożytnych żaglowców.

Panna Lu stała pośrodku salonu, bursztynowymi oczami wpatrując się w skłębione na niebie chmury. Wydawała się przestraszona. Adam odetchnął z ulgą, że nie uciekła na dwór. Zamknął drzwi prowadzące na taras w chwili, gdy o szybę uderzyły pierwsze krople deszczu. Pomędzy chmurami przeskoczyła biała iskra błyskawicy. Panna Lu miauknęła i szmyrgnęła pod stół. Adam zamarł przy oknie, zafascynowany widokiem zbliżającej się burzy. Nie była zwyczajna. Zrozumiał to wraz z nadejściem pierwszego grzmotu i pierwszego zimnego jak lód dreszczu, który przeszedł mu po plecach. A potem zobaczył koty. Uciekały w panice, byle dalej od zbliżającej się nawałnicy. Brnęły przez rozległe, zielone pola traw, których żdźbła bezlitosny wiatr przyginał do samej ziemi. Jakiś wielki, bury kocur wpadł na taras i zaczął wściekle drapać pazurami w szybę. Adam byłby go nawet wpuścił, ale zanim zdążył otworzyć

okno, zwierzak zrezygnował z dobijania się i rzucił do dalszej ucieczki. Prerażona Panna Lu z miauknięciem wskoczyła na parapet. Chwycił ją w ramiona i mocno do siebie przycisnął. Zmroziło go absurdalne przecucie, że kotce grozi niebezpieczeństwo. W każdym razie nie chciał, żeby wyskoczyła przez okno, gdyby wichurze udało się je otworzyć. Wielkie, rzadkie krople deszczu tłukły w parapety z siłą ognia maszynowego. Po ziemi przesuwiał się jakiś cień. Adam podniósł głowę, spojrzął na niebo i zmartwił.

Na tle chmur kroczył olbrzym zbudowany z ciemności. Milcząc, miarowymi ruchami przesuwiał ponad dachami domów i koronami drzew trzymaną w rękach kosę, tak jakby ścinał powietrze. Wiatr rozwiewał jego pelerynę.

Był ogromny, większy niż jakakolwiek istota, jaką Adam widział lub potrafił sobie wyobrazić. Biła od niego groza. We wszystkich okolicznych domach zgasło nagle światło. Adam poczuł, jak jeżą mu się włosy na całym ciele, a po skórze ślizgają się ładunki elektryczne. Mocniej przycisnął do siebie sztywnego ze strachu kota.

Wyjąca wściekle wichura wyrwała w jednej chwili wszystkie futryny w pokoju. Potężna fala porwała za sobą Adama i Pannę Lu, którą wciąż kurczowo ścisnął w ramionach. Płynął w powietrzu, mając za plecami krocącego z kosą olbrzyma. Zagarnęła go potężna, mroczna moc. Niejasno zdawał sobie sprawę, czym towarzyszem podróży stał się mimo woli. Bał się, ale jego lęk mieszał się z fascynacją. Wydawało mu się, że przepływa w poprzek świata. Ogarniał wzrokiem ogromne przestrzenie, ale jednocześnie niektóre sceny obserwował wyraźnie, jakby w zbliżeniu. Widział ludzi zajętych zwykłymi sprawami, nieświadomych olbrzymiej istoty, która przepływa nad nimi. Na nich ogniskowała się uwaga chmurnego kolosa. Adam czuł tuż za sobą jego przytłaczającą obecność. Wydawało mu się, że patrzy jego oczami, oczami Mrocznego Krzyżowca.

W całkowitej ciszy przelatywali ponad tętniącymi życiem ulicami, wieżowcami, dworcami, szpitalami pełnymi konających i wszędzie tam olbrzym odnajdował tych, którzy go interesowali. Nagle w głowie Adama jak błysk światła przemknęła myśl: Oni wszyscy umierają albo umrą w najbliższym czasie! Obrazy przesuwwały się teraz prędko jak w kalejdoskopie. Widział miasta, wioski, zapadłe w głuszy osady, a jednocześnie zobaczył trzech mężczyzn w samochodzie, grupę tańczących aborygenów, dwie roześmiane młode kobiety. Kilkoro wychudłych Hindusów obmywało się w rzece. Mieli przepaski na biodrach, jakieś naszyjniki, kwiaty. To musi być rytualna kąpiel w Gangesie, przemknęło mu przez myśl. Mała dziewczynka w brudnej, kolorowej szatce stała po kolana w mulistej wodzie. Uśmiechała się. Adam w przeblysku nagłej pewności uświadomił sobie, że większość z tych ludzi zginie w mającej nastąpić za pół roku powodzi, a pozostali umrą wkrótce z powodu jakiejś epidemii. Wiedział o tym, bo musnęła go przelotna myśl Krzyżowca.

Zadrzał, jakby przeniknął go chłód. Panna Lu kurczowo zacisnęła pazurki na jego rękę, ale nawet tego nie poczuł. Pędzili, a za nimi gnały burzowe chmury. Wpadli znów do miasta. Zniżyli lot i przemykali ponad samymi dachami samochodów. Rozpoznał dzielnicę, w której

mieszkał. Cień milczącego kolosa sunął nad ulicą. Całkowicie zagarnął mały kiosk z gazetami, stojący przy skrzyżowaniu zaledwie dwie przecznice od jego mieszkania. Stary kioskarz zbladł, przycisnął ręce do piersi i osunął się ciężko na krzesło. On ma zawał! – pomyślał z przerażeniem Adam. Umiera! Chciał krzyknąć, poruszyć się, ale nie był w stanie. Mroczny Krzyżowiec pędził tymczasem prosto do jego mieszkania.

– Nie! – jęknął bezgłośnie Adam i coś ciężkiego miękko uderzyło go w brzuch.

– Rrru! – powiedziała Panna Lu, lądując na nim.

Poderwał się z łóżka tak gwałtownie, że omal nie stracił kotki na podłogę. Wczepiła się pazurkami w kołdrę, spoglądając na niego z wyrzutem w okrągłych żółtych oczach.

– O Jezu, co za sen! – Serce waliło mu w opętańczym tempie. Drżał, cały zlany potem. Popatrzył na kotkę z nieprzytomnym wyrazem twarzy. Głęboko odetchnął, przesuwając ręką po włosach.

– Cholerny koszmar, kiciu – stęknął.

Zamilkł na chwilę i w zamyśleniu stuknął paznokciem kciuka po zębach.

– Ale co za fantastyczna scena – dodał. – Aż żal, żeby się zmarnowała. Powinienem to koniecznie wykorzystać.

Podrapał się w brodę.

– Wiesz, co mam na myśli, kiciu? Dwie, trzy strony fenomenalnego nastroju.

– Mru – powiedziała Panna Lu ze zrozumieniem, zwijając się w kłębek na brzuchu Adama.

Tętno wróciło mu tymczasem do normy. W końcu to był tylko koszmarny sen. Całkowicie uspokojony założył ręce pod głowę i patrząc w sufit, zaczął się zastanawiać, do którego komiksu mógłby wmontować swoją upiorną, fascynującą wizję.

* * *

Cztery dni później, przy kiosku z gazetami, który widział we śnie, Adam doznał olśnienia. Nawet się nie zdziwił, kiedy nowy sprzedawca poinformował go, że poprzedni kioskarz zmarł nagle na zawał. Był zbyt pochłonięty wizją wspaniałej kariery i ogromnych pieniędzy, jakie zrobi na swoim nowym komiksie. Komiksie o facecie, który właśnie przed chwilą odszedł od lady z kolorowym magazynem w ręce. Wymarzony materiał na bohatera ruszył do budki tuż przed nim. Był wysoki i szczupły, ubrany na czarno. Adam gapił się na niego beczelnie. Nigdy przedtem nie widział człowieka tak bardzo pasującego do postaci z dobrego, ambitnego komiksu. Starał się zapamiętać jak najwięcej szczegółów jego sylwetki, rysy twarzy, gesty, sposób poruszania się.

Facet miał suchą, inteligentną twarz, bladą cerę, bardzo ciemne oczy, a na lewym policzku jakieś cienkie kreski, blizny czy może tatuaż. Adam wściekał się w duchu, że nie może dobrze mu się przyjrzeć. I tak wpatrywał się w gościa zbyt natarczywie. Tymczasem on spokojnie sięgnął po portfel. Adam pochylił się nieco do przodu, udając, że chce obejrzeć

czasopisma na ladzie. Na grzbietach obu rąk mężczyzny widniały maleńkie, bardzo misterne znaczki. Na palcu wskazującym tkwiła gruba srebrna obrączka, pokryta czymś w rodzaju pisma. Wnętrze prawej dłoni przecinała olbrzymia blizna w kształcie półksiężyca. Adam zauważył ją, kiedy facet przeliczał drobne. Ku jego niekłamanemu zachwytowi gość miał gęste, czarne jak węgiel włosy zaczesane do tyłu i splecione w gruby warkocz, sięgający między łopatki. Luźne, przycięte na wysokości szczęki kosmyki, wyraźnie zbyt krótkie, żeby dać się spleść, opadały mu na twarz. Miał na sobie zniszczoną skórzaną kurtkę, zwykły podkoszulek, wąskie spodnie i buty na grubej podeszwie.

Na pozór nie wyróżniał się niczym szczególnym, oprócz niecodziennej fryzury, która nie była przecież aż taka znów ekscentryczna. Jednak facet po prostu nie wyglądał zwyczajnie. Zdawał się nie pasować do rzeczywistości, jakby został przeniesiony z innego wymiaru. Powietrze wokół niego lekko falowało, a on sam roztaczał jakąś migotliwą poświatę, tak bladą, że prawie niewidoczną. Nie sprawiał wrażenia aktora z filmu SF, ani nawet pieprznietego amatora gier fabularnych, który chodzi na co dzień przebrany za ulubioną postać.

Adam nie był w stanie uchwycić, na czym polega różnica między nim a zwykłymi ludźmi. Najważniejsze, że było w nim coś, co sprawiało, że wydawał się nie z tego świata. Po namyśle Adam doszedł do wniosku, że nieznajomy właściwie nie do końca wygląda jak człowiek. Nawet gdyby był wypchany forszą, nie mógłby mieć dla Adama większej wartości. Wiedział, że na taką postać czekał od lat, a teraz szansa sama weszła mu w ręce! Wystarczy przerysować gościa, zmieniając mu strój na bardziej odłotowy, ale koniecznie czarny, umieścić go w odpowiednio mrocznym i nietypowym świetle, a potem zanieść do wydawnictwa. Historyjką, jaką stworzy o tym facecie, będzie godna jego wyglądu.

Czuł, że stanie się prawdziwym hitem. Wiedział o tym. Trzymał w ręku materiał na naprawdę kultowy komiks, a może, kto wie, nawet kultowy film. Oczami wyobraźni widział półki w księgarniach zapchane tysiącami rozchwytywanych w jednej chwili egzemplarzy, plakaty porozlepiane w mieście, sklepy pełne gadżetów i koszulek. Nowy bohater na miarę naszych czasów! Witaj, wielka kariero! Na początek wynajmie porządne mieszkanie i przestanie gnieździć się z farbami, papierami, komputerem i Panną Lu w ciasnym pokoju na poddaszu. A potem... zobaczymy. W każdym razie był pewny, że los zesłał mu, pod postacią ubranego na czarno faceta z warkoczem, wyjątkową szansę.

* * *

Minął mniej więcej tydzień, a jedyny sukces, którym Adam mógł się poszczycić, polegał na zapelnieniu wszystkich koszy na śmieci stertami zmiętych kartek papieru. Pracował bezustannie, robiąc przerwy tylko po to, żeby nakarmić Pannę Lu, domagającą się jedzenia natarczywym miauczeniem, lecz mimo to robota się nie kleiła. Lila, jego dziewczyna, i Zygzak, współwłaściciel ich własnej, dwuosobowej spółki graficznej, najlepszy przyjaciel,

jakiego kiedykolwiek miał, wykazywali teraz dla jego projektu znacznie mniej entuzjazmu i cierpliwości niż na początku. Lila obejrzała rysunki, stwierdziła, że są „niezłe”, a potem obrazila się, że nie ma dla niej czasu, Zygzak natomiast bez przerwy przyłaził i opowiadał w kółko o jakimś logo, które Adam miał rzekomo zrobić na zeszyty piątek. Czy w takich warunkach można było spokojnie pracować?

Spojrzał z obrzydzeniem na leżącą przed nim kartkę, zmiął ją w kulkę i cisnął na podłogę. Przez chwilę stukał końcem ołówka w blat stołu, usilnie próbując przypomnieć sobie, jak wyglądały spiętrzone nad czołem czarne włosy i jaki naprawdę był wyraz oczu pod ciemnymi kreskami brwi. Zaatakował kolejną kartkę, pewny, że tym razem zrozumiał, o co chodzi, a przynajmniej złapał ogólny wyraz. Skończył szkic i krytycznie przyjrzał się własnemu dziełu. Wygląda jak jakiś cholerny peda! – pomyślał ze złością. Jak postać z jakiegoś pieprzonego *Star Treka!* Wściekły, zgniótł kartkę i wrzucił do przepelnionego kosza. Wszystko, co narysował, wydawało mu się nijakie w porównaniu z oryginałem. Nie potrafił oddać niesamowitej aury, która otaczała tego przekłętego faceta z warkoczem. Z początku mężczyzna widziany przy kiosku miał być tylko inspiracją, materiałem do stworzenia własnej postaci, jeszcze lepszej od pierwowzoru. Jednak im dłużej nad tym pracował, tym gorsze osiągał efekty. Przez jego biurko przewinął się korowód głupich dupków z gębami buców, smutasów albo kretynów. Po dwóch dniach doszedł do wniosku, że rysowany facet musi być taki sam jak nieznajomy spod kiosku, bo inaczej nic z tego nie wyjdzie. Tajemnica tkwi w jego twarzy i naprawdę do diabła z tym, co gość powie, kiedy zobaczy swoją gębę na okładce komiksu! Adam będzie już miał pieniądze w kieszeni i zamówienia na dalsze części, a facet może się ugryźć w dupę!

W pierwszej wersji miał być tylko trochę podobny, na tyle, żeby złapać to niezwykle „coś”, które w nim siedziało. Po kolejnych czterdziestu rysunkach nabrał przekonania, że musi być identyczny. Tu zaczęły się schody. Nie potrafił w żaden sposób zrobić wiernego portretu mężczyzny w czerni. Męczył się, łamał ołówki, wycierał gumką dziury w papierze i zaścierał podłogę zgniecionymi kartkami papieru. To, co widział przed sobą na biurku, było żalosne. Najbardziej się wściekł, kiedy musiał wreszcie przyznać przed samym sobą, że nie umie go narysować. A przecież ma, do cholery, niemal fotograficzną pamięć! Nigdy nie zapomina twarzy!

Wziął w obie ręce kartkę ze swoim ostatnim szkicem, podniósł do oczu i przez dłuższy czas studiował w milczeniu.

– Ty skurwysynu – powiedział na głos, bardzo poważnie. – Ty pieprzony skurwysynu!

Ponury typ z fryzurą sierotki Marysi szczerzył do niego zęby z szyderczą satysfakcją. Na lewym policzku miał coś w rodzaju bohomazu wykonanego przez debilnego pięciolatka.

Adam starannie zgniótł kartkę i lekkim ruchem posłał ją w kierunku kosza. Podparł czoło dłońmi i ciężko westchnął. Czuł zmęczenie i rosnącą irytację. Gdy zamykał oczy, zaczynał widzieć tańczące, wykrzywione twarze z brudnymi kleksami na policzkach. Nie umiał

wytłumaczyć, dlaczego tatuaż tamtego faceta doprowadza go do szału. Nabrał obsesyjnego przekonania, że gdyby wiedział, co on przedstawia, zrobiłby ten rysunek bez trudu. Pozostawało tylko jedno wyjście, musi odszukać tego gościa i jeszcze raz dokładnie mu się przyjrzeć.

* * *

Bolały go nogi. Po kilku, a może kilkunastu godzinach błąkania się po ulicach nie był zdolny do odczuwania niczego więcej. Skręcił za róg i wyszedł prosto na osiedlowy sklepik. W tym momencie uświadomił sobie, jak bardzo jest głodny. Wstąpił do środka, żeby kupić coś do jedzenia.

Wysoki facet o lśniących włosach splecionych w warkocz wyjmował właśnie piwo ze sklepowej lodówki. Adam gwałtownie wciągnął powietrze. Mężczyzna odwrócił się płynnym, miękkim ruchem, obrzucił go obojętnym spojrzeniem i podszedł do kasy. Adam chwycił w pośpiechu jakąś bułkę i paczuszkę z najbliższej półki, rzucając się za nim niemal biegiem. Przy kasie facet z warkoczem, zwracając się do ekspedientki, odsłonił swój lewy profil, prezentując Adamowi upragniony tatuaż. Składał się z kilku prostych kresek i przypominał schematyczny rysunek jaszczurki. Długa, pionowa linia zakończona małym kółeczkiem stanowiła tułów i głowę, a dwie poprzeczne krótkie kreski – łapki gada. Adam poczuł się nagle nieswojo. Spuścił wzrok na ręce mężczyzny, ale tatuaże na grzbietach, dłoni były zbyt misterne, żeby mógł rozpoznać, co przedstawiają.

Długowłosa poprosił kasjerkę o paczkę papierosów. Miał niski, bardzo spokojny głos, który przywodził na myśl niesamowicie głębokie, podziemne jezioro o wiecznie gładkiej, czarnej tafli. Adam drgnął, gdy zdał sobie sprawę, że przez chwilę widział dokładnie to jezioro, zamiast obrazu kasjerki sięgającej po paczuszkę z jego koszyka. Mężczyzna z warkoczem zniknął tymczasem za drzwiami. Adam zapłacił za bułkę i paczuszkę, która okazała się zieloną herbatą. Trochę skonsternowany doszedł do wniosku, że odczuwa coś w rodzaju ulgi z powodu zniknięcia niedoszłego bohatera swojej obrazkowej historyjki. Nawet specjalnie nie żałował, że nie zdążył lepiej mu się przyjrzeć. Lśnienie ponad jego głową, które wziął w pierwszej chwili za odbłask światła z wnętrza lodówki, jakoś dziwnie zdawało się promieniować z jego twarzy. Nagle Adam przypomniał sobie obraz jeziora wśród skał i wstrząsnął nim dreszcz.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, kierując się ku domowi. Odgryzał właśnie kęs bułki, gdy kątem oka dostrzegł ciemną sylwetkę. Gwałtownie odwrócił głowę. Na ławce przy skwerku siedział ubrany na czarno mężczyzna i popijał piwo z puszki. Nogi pod Adamem trochę miękkły. Prawie mimowolnie ruszył w kierunku szczupłej postaci. Zawahał się na moment i wiedziony jakimś impulsem, usiadł na ławce stojącej dokładnie naprzeciw pijącego mężczyzny.

Czas jakby stanął. Czarnowłosa spokojnie sączył swoje piwo, a Adam żuł kolejne kawałki bułki. Patrzyli na siebie. W oczach nieznanego widać było lekkie rozbawienie. Adam, łykając nieszczęsną bułkę, której kęsy rosły mu w ustach, doskonale zdawał sobie sprawę, że nie może ani przestać jeść, ani oderwać wzroku od twarzy siedzącego naprzeciw mężczyzny. Na ustach nieznanego pojawił się odrobinę drwiący uśmiech. Mrugnął porozumiewawczo do Adama i jakby doszedłszy do wniosku, że wystarczy tej zabawy, spuścił wzrok na zwirowaną ścieżkę. Adam zakrztusił się bułką. Nieznajomy wstał, wyrzucił pustą puszkę do śmieci i bez pośpiechu odszedł.

Adam kaszlał jeszcze przez dłuższą chwilę, zanim zdołał złapać oddech. Był cały zlany potem. Odchylił głowę do tyłu i zaśmiał się niemal histerycznie. W stu procentach osiągnął cel swoich starań. Teraz, gdy tylko zamknął oczy, widział ze wszystkimi szczegółami twarz i sylwetkę dziwnego mężczyzny, tak jakby ten obraz utrwalił się mu pod powiekami niby na kliszy fotograficznej.

* * *

Rysował jak w transie. Strony, które powstawały, wydarzenia, jakie opisywał, spływały mu z palców, nie dotykając umysłu. Często budził się rano i przeglądając to, co stworzył poprzedniego wieczoru, miał wrażenie, że materiał nie wyszedł spod jego ręki. Niby rozpoznawał swój styl i swoją kreskę, ale nie pamiętał, żeby nad tym pracował. Jednak to, co zrobił, było rewelacyjne.

Każdego ranka z zapartym tchem śledził poczynania bohatera, który w niepojęty sposób sam się stwarzał i sam opowiadał o sobie. Pozostawał tylko jeden problem. Wciąż był bezimienny! Adam za nic nie potrafił wymyślić mu imienia. Kiedyś przyznał się do tego Lili przez telefon. Proponowała coś krótkiego i energicznego: Maks albo Zag, ale ją wyśmiał. Wiedział, że to imię musi być równie autentyczne i niezwykle, jak jego właściciel.

Komiks całkowicie wypełniał mu życie. Przestał wychodzić z domu, przez telefon rozmawiał monosylabami, karmił kota konserwami dla psów, a przyjaciół witał z tak ponurą miną, że wkrótce przestali go odwiedzać. Wierny pozostał tylko Zygzak. Nadal prowadził ich wspólną firmę i nadal dzielił się zyskami z Adamem. Nie było tego wiele, zwłaszcza że Zygzak pracował zupełnie sam. Adam miał z tego powodu lekkie wyrzuty sumienia i nawet spytał kiedyś przyjaciela, co stało się z logo, które miał zaprojektować. Zygzak tylko machnął ręką i powiedział, że sam je zrobił i oddał ponad dwa tygodnie temu.

Przez długi czas Adam nie chciał pokazać swoich rysunków Zygzakowi, ani nawet Lili, więc oboje czuli się jeszcze bardziej urażeni. Rysowanie profesjonalnych komiksów za prawdziwe pieniądze było sekretnym marzeniem całej trójki. Mieli mnóstwo pomysłów, ale znacznie mniej sukcesów. Gdzieś, w jakimś piśmie, pojawiały się czasami ich krótkie historyjki i to wszystko. Jednak Adam, Zygzak i Lila postanowili nie załamywać się i zawsze trzymać razem. Do tej pory nikt się nie wyłamał. Dlatego odstępstwo Adama sprawiało

pozostałym wielką przykrość. Szczególnie Lila czuła się odrażona i zaniechana. Widocznie Adam nie uważa jej za godną zaufania i intelektualnie dorównującą mu partnerkę.

Zygzak, patrząc na bladą twarz i rozgorączkowane oczy przyjaciela, trochę lepiej go rozumiał. Adama ogarnęła żądza zrobienia kariery! Wierzył, że wszyscy troje skorzystają na jego komiksie.

– Posłuchaj, Zyg – tłumaczył. – Jeśli to wydadzą, posypią się propozycje. Zobaczysz! Nie będziemy mieli czasu przepuścić zarobionej forsy! Omówimy wspólnie scenariusz i każdy dostanie do rysowania swoją część. Przecież siedzimy w tym razem!

W końcu Zygzak nie wytrzymał.

– Cholera jasna, Adam, gadasz o tym i gadasz, ale ani Lila, ani ja nie widzieliśmy niczego oprócz wstępnych szkiców. Jeśli nie chcesz pokazać rysunków, to powiedz przynajmniej, o czym one są!

Oczy Adama rozbliły.

– To... niesamowita historia! Zupełnie inna niż wszystkie dotychczasowe komiksy, nawet te najlepsze! Znacznie głębsza. Nowy wymiar komiksu!

– Przerysowałeś *Braci Karamazow*? – burknął sarkastycznie Zygzak, ale Adam, ogarnięty euforią, na szczęście tego nie dosłyszał.

– Opowieść o facecie, który jest, a jednocześnie nie jest człowiekiem. Żyje, ale fizycznie jest martwy. Przemierza galaktyki, zmienia światy, zna inne poziomy rzeczywistości, funkcjonuje w kilku wymiarach naraz! Widział rzeczy niedostępne innym istotom. Jest w jakimś sensie bogiem, chociaż nie stwarza, lecz niszczy. Jednakże nie jest wysłannikiem zła. Przeciwnie, ma szlachetną, choć bardzo złożoną naturę. Wypełnia zadanie, które przydzielił mu los, mimo że poczucie obowiązku kłóci się nieraz z emocjami. Bo on ulega emocjom! Współczuje. Lituje się. Wścieka. Potrafi kochać, potrafi czegoś pragnąć! Cierpi! Więcej, on ma poczucie humoru. Czasami nawet autoironiczne. Ale z drugiej strony nosi w sobie spokój i bezstronność śmierci, ponieważ jest martwy. Właśnie tak! Mój bohater nie żyje! Myślę, że jest czymś w rodzaju Anioła Zagłady!

– Rysujesz komiks o Aniele Zagłady, który nie żyje? – Zygzak patrzył na Adama z politowaniem.

– Dobra! – wrzasnął rozwścieczony Adam. – Zamknij się i łaskawie obejrzyj ten komiks! A potem wysłucham twoich świątłych uwag!

Zygzak zaczął oglądać komiks. Jego twarz z każdą kolejną kartką poważniała. Gdy ponownie podniósł wzrok na Adama, w jego oczach było coś podobnego do lęku.

– Boże, Adam! – zawołał, kiedy przejrzał wszystkie kartki. – Skąd ci to przychodzi do głowy?

Adam wzruszył ramionami.

– Po prostu przychodzi. Wydaje mi się, że jest niezłe.

– Nieźle? – zdumiał się Zygzak. – Człowieku, to jest genialne! Ty wcale nie przesadzasz, nawet jesteś za skromny. Myślę, że naprawdę zrobisz na tym karierę.

– Wszyscy zrobimy! Będziemy to ciągnąć razem!

Zygzak przecząco pokręcił głową.

– Nic z tego. Ja w to nie wchodzę. Nie umiem narysować czegoś takiego. To mnie przerasta.

– Nie wygłupiaj się. – Adam czuł się zawiedziony i oburzony zarazem. – Co ty pieprzysz? Nie podoba ci się?

Zygzak spojrzał na niego ze śmiertelną powagą.

– Posłuchaj uważnie. Podoba mi się tak, że nie mogę się pozbierać. To jest najwspanialsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem. Ale mnie do tego nie mieszaj. Bałbym się nawet czytać to sam w domu po zmroku, rozumiesz?

Adam milczał.

* * *

Nie widzieli się długo. Dziesięć, może dwanaście dni. Kiedy Adam zadzwonił do Zygzaka, prosząc, żeby natychmiast przyszedł, w jego głosie było tyle natarczywego podniecenia, że przyjaciel uległ. W mieszkaniu Adama zastał już Lilę. Gdy gospodarz wyjaśnił im, czego od nich oczekuje, na twarzach obojga pojawił się wyraz zdumienia i niepokoju. Zgodzili się jednak, bo co mieli zrobić?

* * *

– Siedzimy już ponad czterdzieści minut nad twoim sedesem. Nie wiem jak ty, ale ja znam przyjemniejsze sposoby inhalacji – odezwała się Lila z irytacją, chociaż w jej oczach zwróconych na Adama krył się tłumiony strach.

– Poczekaj jeszcze chwilę, zaraz się zacznie.

– Co się zacznie? Spuścisz wodę? Nasikasz tam? Posłuchaj, nie będę tu siedzieć ani minuty dłużej, jeśli natychmiast nie wyjaśnisz nam, o co ci chodzi!

Adam przeniósł wzrok z jej twarzy na Zygzaka. Wydawał się zakłopotany.

– W sedesie coś bełkocze – powiedział niepewnie.

– No jasne – mruknął Zygzak. – Gówna wystawiają operę.

Lila jęknęła i przewróciła oczami.

– No i stało się! Zwariował – obwieściła. – To przez ten pieprzony komiks!

– Daj spokój, Lila. – Adam patrzył na nią błagalnie. – Ja nie żartuję!

– Ja też! – warknęła.

– W rurach ci burczy – powiedział Zygzak. – Dom jest stary i kanalizacja też. Naćpałeś się czegoś, czy co?

– Niczego się nie naćpałem! To są słowa, a nie bulgotanie w rurach! – wybuchnęła.

Zygzak, osłupiały, gapił się na przyjaciela.

– Powiadasz, że słyszysz głosy przemawiające z sedesu? – zapytał z niedowierzaniem.

Adam w milczeniu kiwnął głową. Lila zerwała się z podłogi.

– No nie! Mam tego dość! Nie chcę uczestniczyć w tym obłądnie! To choroba psychiczna! Musisz się leczyć! Wszystko przez tą idiotyczną historyjkę dla niedorozwiniętych. Te bzdury padły mu na mózg!

– Nie mów tak – powiedział ponuro Zygzak, stając w obronie przyjaciela, – On narysował niesamowity komiks i...

– On ma po prostu niesamowicie nasrane w głowie – warknęła z furją.

– Zamknijcie się! – wrzasnął Adam, który cały czas w skupieniu nasłuchiwał odgłosów z muszli. – Zaczyna się! Słuchajcie!

Z sedesu dobył się głuchy, głęboki bulgot. Jękliwy, zawodzący głos zaczął bełkotać niezrozumiale.

– Apeiron! – powiedział w pewnym momencie sedes, bardzo wyraźnie, niskim, basowym tonem. – Appollyon! Abadon!

Lila pisnęła i opadła z powrotem na podłogę. Zygzak wpatrywał się w muszlę rozszerzonymi ze zdziwienia oczami. Miał głupkowato rozdziawione usta.

– Zawsze mówi to samo. – Głos Adama lekko się łamał. – Te same trzy słowa.

– Jak... jak długo to trwa? – spytał ochryple Zygzak.

– Od dwóch dni. Regularnie co cztery godziny...

– Abadon! – krzyknął sedes i zabulgotał. – Piołun! Piołun! Gwiazda Zagłady!

Adam zachłysnął się i zamilkł. Wszyscy wpatrywali się w sedes w napięciu.

– Jego imię. – Bełkotliwy głos w rurach był coraz mniej wyraźny. – Jego imię jest...
Daimon Frey!!!

Lila krzyknęła i na czworakach ruszyła do korytarza.

– Wypuście mnie! – zawodziła. – Chcę stąd wyjść!

Złapała za klamkę, szarpnęła i wypadła za drzwi mieszkania.

– Lila, poczekaj! – wrzasnął Zygzak i potykając się, wybiegł za nią.

Adam został sam. Spojrzał na białą, milczącą teraz muszlę.

– Tak się nazywa – powiedział na głos. – Daimon Frey.

* * *

Nieszczęście zdarzyło się tego wieczoru, kiedy skończył trzecią część komiksu o Daimonie Freyu. Dzwonek do drzwi zabrzmiał długo i natarczywie. Adam niechętnie oderwał się od ostatnich retuszy, żeby otworzyć. Za drzwiami jednak nikogo nie było. Na klatce schodowej paliło się mdłe światło.

Adam zatrząskiwiał właśnie drzwi, gdy Panna Lu przemknęła jak strzała pomiędzy jego nogami i pognęła po schodach w dół. Adam rzucił się za nią w pogoń. Na ostatnim podeście

schodów spostrzegł z przerażeniem, że drzwi wejściowe do budynku są szeroko otwarte. Mignął mu tylko ogon Panny Lu przeskakującej próg. Wybiegł na podwórze, puste i ciemne. Ani śladu uciekinierki.

Włóczył się po ulicach ponad dwie godziny. Wołał kotkę na przemian czule i z groźbą w głosie. Zaglądał do okienek piwnicznych, penetrował śmietniki, włożył we wszystkie ciasne i brudne kąty. Kotka jakby się pod ziemię zapadła. Zmartwiony i wściekły wrócił do mieszkania po latarkę. Starał się nie myśleć, co się stanie z jego ukochaną, rozpieszczoną kocicą, jeśli jej nie znajdzie. Ze wszystkich strasznych rzeczy, jakie groziły Pannie Lu, brak codziennego wołowego kotleta wydawał się najmniej niebezpieczny. Szukał właśnie latarki, gdy zadzwonił telefon.

– Adam? Widziałam go! Przysięgam, że go widziałam! – usłyszał przerażony głos Lili.

– Kogo, do cholery?! – warknął. Strata Panny Lu bolała go znacznie bardziej niż strata dziewczyny.

– Daimona Freya! Tego faceta z twojego komiksu!

– No to co?

Lila zamilkła na sekundę.

– Jak to co? Mówię ci, że widziałam przed chwilą faceta, którego wymyśliłeś! Identycznie ubranego, uczesanego i w ogóle! Ma tę samą twarz! Poznałam go! Zygzak też go widział. To jakaś halucynacja!

– Zygzak jest u ciebie? To dobrze.

– Dlaczego dobrze? Czy ty mnie słuchasz? Oboje widzieliśmy tego faceta!

– Daj mi go do telefonu! Chcę z nim pogadać.

Lila aż się zachłysnęła.

– Z Freyem?!?!

– Nie, idiotko! Z Zygzakiem! Możesz mi go dać? Gdzie on jest?

– A jak ci powiem, że w moim łóżku, to też będzie dobrze?

Adam się zirytował.

– Nie wygłupiaj się. Muszę z nim natychmiast porozmawiać!

– Nie wygłupiam się! Mam ciebie zwyczajnie dość! Dostycie gadających sedesów i bohaterów twoich debilnych komiksów, łączących mi pod oknami! Nie chcę cię więcej widzieć!

Wydawało mu się, że Lila płacze.

– Tylko nie rzucaj słuchawki! – krzyknął. – A niech to diabli!

W telefonie odezwał się przykry dźwięk przerwano połączenia. Adam wykręcił numer Lili. Usłyszał chrobot, a po nim głos Zygzaka, mówiący „halo”.

– Zygzak, słuchaj! – zawołał.

– Nie, to ty słuchaj! – przerwał mu Zygzak. – Lila mówi prawdę. Oboje widzieliśmy tego gościa, Freya. Stał na ulicy przed domem i gapił się w jej okno.

– Daj spokój! Ja też go widziałem, wiele razy. Kupuje gazety w kiosku na rogu i piwo w spożywczym. Wygląda tak malowniczo, że zrobiłem z niego postać do historyjki.

– Adam, czyś ty ocipiał?! – ryknął Zygzak. – Robisz komiks o facecie, który w najlepsze mieszka sobie na twojej ulicy?! Zdurniałeś do reszty! On cię poda do sądu jak nic!

– Zamknij się! Stało się coś strasznego!

– Co się mogło, do kurwy nędzy, stać gorszego? – Gorycz w głosie Zygzaka była aż nadto czytelna. – Mieliśmy przyzwoitą firmę, nadzieję na przyzwoitą forszę i przyzwoite marzenia. Wszystko diabli wzięli przez pieprzony komiks o gościu, który kupuje piwo w twoim osiedlowym sklepiku. Jak to dzieło nazwiesz? Supersąsiad?

– Zygzak, Panna Lu zginęła – wykrztusił Adam.

Zygzak zamilkł.

– O cholera – mruknął po chwili. – Przykro mi! Jak to się stało?

– Uciekła przez otwarte drzwi na ulicę. Pomożesz mi jej szukać?

Zygzak westchnął.

– Jasne. Zaraz u ciebie będę.

* * *

– Odbiło nam chyba – powiedział Zygzak, przewracając stertę pudeł za sklepem. – Całą noc szukamy jakiegoś kota!

– Wcale nie jakiegoś – szepnął Adam. – Panna Lu była wyjątkowa!

– Nie mów o niej jakby nie żyła! Za parę dni wróci, zobaczysz. Koty zawsze wracają.

– Aha – powiedział Adam bez specjalnej nadziei.

– Nic jej nie jest, czuję to! Chyba mi, cholera, ufasz?

– Chyba tak.

* * *

– Adam? – zagadnął go za jakiś czas, kiedy obaj mieli już serdecznie dość bezproduktywnego wołania „ci ci ci”.

– No?

– Jeśli chodzi o mnie i Lilę to... Ona to wszystko bardzo przeżywa. Wpadła prawie w histerię. Podejrzewała nawet, że wrzuciłeś jej jakieś świństwo do kawy, wiesz, jakiś halucynogen. Te bzdury wybiłem jej z głowy, ale ja też nie rozumiem tej... eee... historii z sedesem. Wszyscy byliśmy tacy zdenerwowani, że mogliśmy się przesłyszeć, to znaczy wyobrazić sobie, że coś słyszemy. A dzisiaj ten Frey spacerujący sobie pod domem Lili. Ona się bardzo przestraszyła. Jest na ciebie wściekła. Myśli, że już ci na niej nie zależy. Potrzebowała kogoś, przed kim mogłaby się wygadać. Z powodu tego... komiksu trochę się do siebie zbliżyliśmy.

– Jakiego rodzaju zbliżenie masz na myśli? – Adam nie mógł się powstrzymać od szczypty zjadliwości.

Mimo ciemności wydawało się, że Zygzak się czerwieni.

– Między nami nic nie zaszło – wypalił. – Ona... Myślę, że jeszcze możesz wszystko naprawić.

– A ja myślę, że nie chcę nic naprawiać – powiedział Adam ze znużeniem.

Przez chwilę milczeli.

– Jeszcze coś – bąknął Zygzak. – Lepiej zostaw ten pieprzony komiks. Już dawno chciałem ci to powiedzieć. Mamy inne, całkiem niezłe, a jak się postaramy, wymyślimy coś naprawdę ekstra.

Adam się najeżył.

– Odbiło ci? Jest naprawdę świetny!

– Jest genialny, ale lepiej rzuć go w diabły.

– Dlaczego? Coś ci się nie podoba?

– Chyba przynosi nam pecha.

– Tak myślisz?

– Aha.

– A jeśli jest odwrotnie?

Zygzak nie odpowiedział.

Nie znaleźli Panny Lu, chociaż szukali całą noc. Kiedy Zygzak drzemał w fotelu, Adam wydrukował pięćdziesiąt ulotek ze zdjęciem kotki i swoim adresem. Porozlepiali je w całej dzielnicy. Potem Zygzak poszedł do domu.

Czas mijał, a Panny Lu nie było. Adam powoli tracił nadzieję. Szczerze przyznawał, że brakuje mu kota znacznie bardziej niż Lili.

Gdy zadzwieczał dzwonek, Adam apatycznym ruchem sięgnął po słuchawkę.

– Pan dawał ogłoszenie, prawda? Zdaje się, że znalazłem zgubę. Głos w telefonie brzmiał spokojnie i głęboko. Adamowi zamigotało przed oczami podziemne jezioro z czarną taflą.

– Byłoby dobrze, gdyby pan przyszedł zaraz. Panna Lu bardzo się za panem stęskniła. Nalegała, żebym natychmiast zadzwonił.

Adam jak we śnie zapisał adres i stał przez chwilę ze słuchawką w dłoni, przy wtórce monotonnego buczenia sygnału.

* * *

– Wejdz, Adamie – powiedział wysoki, ubrany na czarno mężczyzna z włosami splecionymi w warkocz. – Czekamy na ciebie.

Panna Lu wygięła grzbiet i zaczęła energicznie ocierać się o nogi swojego pana. Mieszkanie na ostatnim piętrze kamienicy, stojącej kilka przecznic od domu Adama, było

zdecydowanie zbyt ogromne, żeby należeć do tego świata. Staroświecko urządzone pokoje, pełne dziwnych przedmiotów, zdawały się ciągnąć w nieskończoność.

Gospodarz wprowadził Adama do przestronnego saloniku, utrzymanego w tonie złota i zieleni.

– Napijesz się drinka? – spytał.

Adam bezmyślnie skinął głową. Frey zniknął w głębi domu.

Panna Lu, mruczając, wskoczyła na ogromny pluszowy fotel i zwinęła się w kłębek.

Adam podszedł do okna, odsunął ciężką kotarę i wyjrzał. Zobaczył bezdenną pustkę kosmosu, upstrzoną plamami gwiazd. Wzdrygnął się, wypuszczając z rąk zasłonę. Podszedł do drugiego okna.

– Nie radzę ci patrzeć. Jeszcze nie teraz. Tam widać świat trochę inny od tego, który znasz. Mógłbyś zemdleć albo zwariować. Zdarzały się już takie przypadki – powiedział uprzejmie Daimon.

Trzymał w rękach dwie szklanki z jakimś ciemnym, gęstym płynem. Z każdej sterczała słomka.

– To się nazywa Anielski Miód. Podobno powstaje z pyłku, który aniołowie zbierają z kwiatów w Raju, ale ja nie bardzo w to wierzę. Znam kilku aniołów i chociaż mają skrzydła, żaden z nich nie zachowuje się jak pszczoła. Według mnie pędzą go gdzieś w Limbo. Ale jest niezły. Spróbuj. W twojej rzeczywistości tego nie dostaniesz.

Adam wziął szklankę. Trunek miał ostry, ale przyjemny zapach.

– Legenda głosi, że smakuje jak słodycz niewinności – ciągnął Daimon. – W każdym razie tak go reklamują. To akurat bardzo dobry rocznik.

Adam pociągnął ostrożny łyk. Natychmiast mieszkanie zawiroowało mu przed oczami, a z oparcia sofy wyfrunęło stado tęczyowych motyli.

– W pierwszej chwili wydaje się mocne. Zapomniałem uprzedzić – powiedział Frey. – Chyba zapomniałem się też przedstawić. Naprawdę nazywam się Daimon Frey.

– Wiem – odparł machinalnie Adam. – Sedes mi powiedział.

Cień rozbawienia pojawił się na twarzy Daimona.

– Nie chciałem nikogo przestraszyć. Chodziło tylko o to, żeby zwrócić twoją uwagę. To miała być odrobina niesamowitości, a wyszło coś zbyt... hmm, trywialnego. Woda jest posłusznym posłańcem, ale nie planowałem sedesu jako przekaźnika. Z drugiej strony, z perspektywy obserwatora było to niesłychanie zabawne. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.

Wyciągnął do Adama rękę. Jej uścisk był bardzo silny i bardzo realny. Blizna po wewnętrznej stronie sprawiała wrażenie, że dłoń się uśmiecha.

Daimon usiadł w fotelu i zapalił papierosa. Panna Lu wskoczyła mu na kolana. Pogłaskał ją, a uszczęśliwiona kotka wygięła się w taki łuk, że niemal stanęła na głowie.

– Mru! – zaśpiewała słodko.

– Koty mnie lubią – powiedział Frey tonem usprawiedliwienia.

Żółte oczy Panny Lu rozbłysły z zachwytu.

– Dlaczego mnie tu sprowadziłeś? – spytał Adam, zbierając w sobie całą odwagę.

– Chciałeś odzyskać swojego kota – odrzekł mężczyzna w czerni szorstkim głosem.

Patrzył na Adama z dezaprobatą, jakby ten zadał szczególnie głupie pytanie. Źrenice Freya były o wiele głębsze niż pustka kosmosu za jego oknami. Adam starał się przeniknąć poza tę zasłonę, żeby zobaczyć prawdziwą naturę mężczyzny z warkoczem, ale nie był w stanie. Nie wiedział, czy istota, z którą rozmawia, jest dobra czy zła, podstępna czy przyjazna. Była przerażająco obca. Tej obcości Adam bał się najbardziej, chociaż instynktownie czuł, że jego strach irtuje Freya.

– Jesteś Aniołem Zagłady? – spytał, kiedy nie mógł już znieść przeciągającego się milczenia.

Daimon zastanowił się.

– Tak. W pewnym sensie.

Adam podszedł do niego, zmuszając się, żeby spojrzeć mu w oczy. Czuł emanującą z ciemnej postaci moc śmiertelnego spokoju.

– Powiedz, dlaczego ja?

– Zobaczyłeś mnie.

– Co z tego? Lila i Zygzak też cię widzieli. I ekspedientka w sklepie. I kioskarz.

Na wąskiej twarzy Freya pojawił się uśmiech. Machnął ręką.

– Widzieli ubranego na czarno faceta z warkoczem, ale tylko ty zobaczyłeś mnie naprawdę. Szukałeś mnie. Niejako sam mnie wybrałeś i przyzywałeś. Nie miałem na to wpływu.

– Do czego ci jestem potrzebny? – spytał Adam szeptem.

– Czemu się mnie boisz, Adamie? Przecież mnie znasz. Opowiedziałem ci o sobie poprzez komiks, który narysowałeś. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby przedstawić ci rzeczy, których umysł ludzki nie jest w stanie pojąć. Dzięki mnie dotknąłeś spraw i zjawisk spoza twojego świata. Zafascynowały cię. Zachwyciły, prawda?

Adam nabrał głęboko powietrza.

– Tak – przyznał.

– Wiesz o mnie bardzo dużo. Tyle, ile zdołałem ci przekazać. Wydawało mi się, że wystarczająco wiele, żebyś opanował głupi, instynktowny lęk przed nieznanym.

– Czego ode mnie chcesz? – powtórnie spytał Adam.

Frey zaciągnął się papierosem i milczał przez jakiś czas.

– Chciałbym, żebyś zajął moje miejsce – powiedział po chwili.

Adam zadrżał.

– Ja? To szaleństwo!

– Wcale nie. – Głos Freya znów przywodził na myśl podziemne jezioro. – Pomyśl, co masz do stracenia? To naprawdę nie jest najlepszy ze światów. Pokazałem ci, kim jestem i co robię. Niczego nie ukryłem, niczego nie upiększyłem. Wiesz, dlaczego mam ten tatuaż? – Dotknął policzka. – To salamandra. Przeprowadza mnie przez ogień. Mój zawód nie jest lekki.

Adam milczał. Frey pochylił się ku niemu. Czerwony ogień trzymanego w ręce papierosa zdawał się kreślić w powietrzu mistyczne znaki.

– Przejmij moje miejsce, Adamie. Przecież sam mnie wezwałeś. Jak widzisz, stawiam sprawę w możliwie uczciwy sposób.

Twarc Daimona nie była już bez wyrazu. Malowało się na niej napięcie.

– Czemu chcesz to zrobić? – Adama zdziwił własny silny głos.

W ciemnych oczach coś załśniło i zgasło.

– Jestem zmęczony. Śmiertelnie zmęczony. Wolałbym już odejść.

– Zmęczony? – powtórzył Adam.

Frey go zaskoczył. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Adamie, ja mam tysiące lat. Myślę, że to wystarczy.

– Co się z tobą stanie? Umrzesz?

Frey roześmiał się. Szczerze i serdecznie.

– Skąd! Przecież jestem od dawna martwy! Ty umrzesz, a ja zrobię sobie wolne! Powinienem wreszcie zająć się sobą i sprawami osobistymi. Jeśli się zgodzisz, naturalnie. Przez jakiś czas, pięćset czy nawet tysiąc lat, możemy pracować wspólnie, póki nie nabierzesz pewności siebie. W razie czego zawsze możesz liczyć na moją radę i pomoc. Wystarczy, że zgodzisz się przejąć moje stanowisko.

– Nie wolno ci mnie tknąć, jeśli nie będę chciał? – spytał podejrzliwie Adam.

Daimon potrząsnął głową.

– Nie. Musisz mnie sam zaprosić do swojego domu. Głośno i wyraźnie.

– A co z Panną Lu?

– Oczywiście będziesz mógł zabrać ją ze sobą.

Adam nabrał śmiałości. Było coś, o czym Daimon mu nie powiedział, a co pragnął wiedzieć.

– W jaki sposób zginąłeś?

Frey drgnął. Na moment przygryzł wargę.

– Wycofaj to pytanie. Nie ma nic wspólnego z tobą ani z moim aktualnym zajęciem.

– Obiecałeś mi uczciwość!

– Obiecałem względną uczciwość. To moja osobista sprawa i wystarczy, jak ci powiem, że komuś zależało, żeby trwało to możliwie długo i było nieprzyjemne. Ale to ciebie absolutnie nie dotyczy. Przysięgam, że twoja śmierć będzie szybka i miła.

– Chcesz się zemścić na tym kimś?

Frey patrzył na Adama spokojnie.

– Nie jestem mściwy. Ani sentymentalny. Ani rozgoryczony.

– A jednak ci zależy?

– Tak.

– Rozumiem. No dobra, ostatnie pytanie. Co z tego będę miał?

Na twarzy Daimona pojawił się dziwny, tęskny wyraz.

– Zobaczysz to, co ja. Dotkniesz tego, co ja. Dostaniesz wszystko, co narysowałeś, ale w rzeczywistości.

Adam skinął głową.

– Naprawdę chcesz się uczciwie zamienić?

– Tak.

– Odchodzisz z powodów osobistych?

– Tak.

– Zastanowię się.

Frey wstał.

– Wkrótce po ciebie przyjdę.

Zrobisz, co zechcesz.

* * *

Na odgłos pukania Panna Lu podbiegła do drzwi z ogonkiem sztywno uniesionym na znak radości. Adam otworzył drzwi.

– Na pewno nie możesz wejść, jeśli cię nie zaproszę? – spytał.

– Nie – odpowiedział wysoki mężczyzna w czerni.

Adam zamknął oczy i zaczął sobie przypominać, strona po stronie, swój ostatni komiks. Panna Lu ocierała się o nogi przybysza.

– Wejdz, Aniele Zagłady – powiedział Adam, cofając się do korytarza. – Miło mi cię powitać.

Mężczyzna w czerni uśmiechnął się.

SMUGA KRWI

Niebo Otchłani, czerwone i złote, zaczęło nabierać barwy intensywnej purpury. Nadchodził wieczór. Hazar podniósł głowę, spojrział na pasma obłoków. Przypominały smużki ciemnego dymu. Z pozoru nie zwiastowały deszczu, lecz Głębianin wiedział, że o tej porze roku pogoda robi się zmienna jak nastroje rozpieszczonej kobiety.

Czas poszukać noclegu, pomyślał. Szedł traktem handlowym, mijając pola wydarte puszczy rękami pracowitych osadników. Ściana lasu ograniczała ze wszystkich stron spłachetki rolnej ziemi, napierała oddziałami siewek i niskich krzaków. Nikt ich nie karczował, a pola, z takim mazołem oczyszczone z drzew, leżały odłogiem. Puszcza wszędzie upominała się o swoje prawa. Ubita setkami nóg droga w wielu miejscach zieleniła się świeżą trawą. Ruch na uczęszczanym niegdyś trakcie zamarł prawie zupełnie. Jeszcze niedawno ciągnęły tędy karawany kupieckie, a teraz trudno było spotkać na szlaku pojedynczego podróżnego.

Głębią wstrząsały nieustanne wojny. Co prawda Lucyferowi udało się wreszcie, po wielu krwawych potyczkach, ugruntować władzę w Otchłani, ale dawna arystokracja piekielna wciąż nie pogodziła się z tym stanem rzeczy. Część Głębian nadal uważała władcę za uzurpatora. Knuto spiski, wszczynano rewolty i pucze, zazwyczaj brutalnie tłumione przez zwolenników Lucyfera. Pomędzy starymi i nowymi arystokratami, a także w gronie nowo mianowanych Mrocznych, wybuchały nieustanne konflikty o nadania ziemskie. Spory o

grunty kończyły się zbrojnymi najazdami sąsiadów, a że możni dysponowali zwykle własnymi oddziałami lub środkami na ich zaciąg, przeradzały się w regularne wojny, ciągnące się miesiącami, a nawet latami. Lucyfer nie siedział na tronie na tyle pewnie, by siłą ukrócić spory i zaprowadzić porządek w państwie. Obawiał się, że wtedy większość zwolenników obróciłaby się przeciw niemu. A sił i środków na tłumienie rewolucji brakowało. Głębia pogrążyła się więc w chaosie. Krainy, które dotknęła pożoga wojenna, podupadały, część została niemal całkowicie zniszczona. Panował głód, szerzyły się choroby. Obawiano się nawet wybuchu zarazy. Zamierał handel, ziemia leżała odłogiem, zapasy rabowali żołnierze lub bandy grasantów. Nawet w rejonach, gdzie wojna nie dotarła, zrobiło się niebezpiecznie. Kupcy bali się podróżować, chłopci windowali ceny żywności, wszyscy gromadzili zapasy. Miasta wydawały się opustoszałe, bo nikt nie wyściubiał nosa z domu. Drogami wędrowali najemnicy w poszukiwaniu zajęcia. Weterani, dezertrzy, nędzarze, których bieda zmusiła do wypróbowania sił w żołnierskim rzemiośle.

Hazar miał już za sobą udział w dwóch poważnych wojnach. Zaciągnął się trzy lata temu do oddziałów Kymerisa, potężnego markiza, który postanowił mieczem rozwiązać spór z sąsiadem, możliwym o imieniu Haures. Po ośmiu miesiącach krwawych walk Mroczni, pod presją Lucyfera, zawarli ugodę. Kymeris rozpuścił znaczną część oddziałów, mocno przetrzebionych przez żołnierzy Hauresa, i zaczął tworzyć gwardię przyboczną z dzinnów. Hazar zaciągnął się wtedy do armii księcia Amdusjasa, podstępnie wyzutego z ziemi przez knowania markiza Andrasa. Wojna trwała prawie dwa lata. Zakończyła się zwycięstwem Amdusjasa, lecz nikomu nie przyniosła bogactwa ani chwały. Skarbiec księcia świecił pustkami, żadnych łupów nie udało się zdobyć, a sytuacja w Głębi była do tego stopnia zła, że żołnierze zgadzali się służyć za kilka miedziaków żołdu, albo zgoła za wikt i opierunek. Hazar zakończył służbę z czterema bliźniami, przebytą gorączką błotną i garścią drobniaków w kieszeni. Postanowił skierować się na południe, mając nadzieję że któryś z tamtejszych możnych, w obawie przed napaścią lub hordami głodnych desperatów z północy będzie chciał powołać najemników do obrony. Zdecydowanie dość miał już czynnej walki, a tutejsi możni i tak nie mieli czym płacić. Zresztą, chętnych do zaciągu było wielu, więc nic nie gwarantowało, że znajdzie zajęcie.

Po tym, czego napatrzył się na północy, południowe krainy wydawały mu się wcale dostatnie. Wiele zagonów leżało odłogiem, lecz na pozostałych, zwłaszcza położonych w pobliżu miast lub siedzib lokalnych władców, trwały prace polowe. Ofiarą grasantów padały najczęściej małe, odludne sioła, zaszyte gdzieś w głuszy.

Mijał właśnie taką opustoszałą wioskę. Z chałup pozostały tylko osmalone kikuty belek. Dwa ocalałe domy nosiły wyraźne ślady ognia. Nie mogły służyć za schronienie, bo w każdej chwili groziły zawaleniem, toteż nie zatrzymał się na pogorzeliisku.

Z dwojga złego wolał nocować w lesie niż na odkrytej przestrzeni. Szkielety wypalonych chałup przygłębiały go. Przyspieszył kroku, żeby przed zapadnięciem nocy znaleźć się w

puszczy i rozłożył obóz. Szlak ginał między wysokimi, ponurymi drzewami. Pod sklepieniem listowia panował wieczny półmrok. Hazar poprawił rzemień, podtrzymujący na plecach podróżny worek, i wkroczył w las. Natychmiast otoczył go zielony cień. Trakt przemienił się w porośniętą mchem ścieżkę. Pachniało wilgocią i zbutwiałymi liśćmi. Chylące się ku zachodowi słońce z trudem przebijało nieliczne promienie przez dach gałęzi i liści.

Szedł szybko. Wiedział, że musi zagłębić się w las, żeby znaleźć miejsce do spania. Rozglądał się za wykarczowaną przy drodze polaną, gdzie wędrujące karawany kupców zakładały prowizoryczne obozowiska. Zanim wypatrzył w gęstwinie krzywą wiatę z gałęzi i wypalony ślad ogniska, zrobiło się niemal zupełnie ciemno.

Przedarł się przez krzaki, rzucił na ziemię worek. Krytycznie przyjrzał się wiacie, która była na wpół rozwalonym, szalaszem, złożonym z pochyłej ściany wspartej na dwóch żerdziach. Właśnie rozglądał się za drewnem na opał, gdy z krzaków okalających polaną wychyłała drobna postać z naręczem chrustu. Na widok Hazara zamarła niczym przerażona mysz, która nie spodziewała się zastać kota w głównej jamce swojej norki. Była Głębianką, choć Hazar w pierwszej chwili wziął ją za strzygę albo gнома. Wyglądała bardzo młodo, z pewnością dopiero przekraczała granicę między dzieckiem a dziewczyną. Spod zlepionych brudem włosów wyzierała pociągła, blada twarz, wykrzywiona przerażeniem. Okolone podkówkami sińców, wystraszone oczy patrzyły czujnie, choć usta bezskutecznie starały się rozciągnąć w uśmiech. Głębianka upuściła patyki, zakołysała przeraźliwie chudymi biodrami. Spod łachmanów wyłoniły się cienkie jak słomki nogi.

– Hej, żołnierzu! – odezwała się piskliwie, krzywiąc twarz w grymasie, który miał być jednocześnie przymilny i zachęcający. – Zabawimy się?

– Chyba lalkami – parsknął Hazar.

W oczach dziewczyny zabłysła panika. Oblizła nerwowo wargi.

– Jestem bardzo doświadczona. Zobaczysz, nie pożałujesz – zaczęła terkotać.

Hazar obrzucił wzrokiem spadziste ramiona, wystające obojczyki, wychudłe biodra i patykowate nogi.

– Nie bój się – powiedział. – Nie zrobię ci krzywdy. Chcę tu tylko przenocować. Pozbieraj opał. Rozpalimy ognisko.

Dziewczyna zamilkła. Posłusznie przykucnęła, żeby podnieść rozsypane gałązki. Dłonie jej drżały. Co chwila rzucała na Hazara czujne, wylężnione spojrzenia.

Głębianin rozwiązywał rzemień, którymi umocował przy worku zrolowany koc.

– Jak ci na imię? – rzucił.

– Gmiel.

Przyniosła chrust i ułożyła w stos. Spojrzała na Hazara bezradnie.

– Nie umiesz zapalić? – spytał.

Potrząsnęła głową.

– To po co zbierałaś opał?

– Było mi zimno. Myślałam, że jakoś sobie poradzę. Miałam pocierać patykiem o patyk. Hazar przykucnął obok ogniska.

– Nie będzie trzeba. – W ciemności błysnęły odsłonięte w uśmiechu zęby.

Wymamrotał proste zaklęcie, pstryknął palcami. Nad stosem gałązek pojawiła się wąła smużka dymu.

– Mokre – wyjaśnił.

Ponownie pstryknął palcami. Strzeliły iskry, a po chwili płomyki zaczęły pełgać wśród patyków.

– O! – szepnęła z podziwem Gmiel. – Jesteś magiem!

Hazar potrząsnął głową.

– E tam, nie. Po prostu znam kilka prostych sztuczek.

Gmiel wyciągnęła w stronę ognia cienkie niczym u strzygi ręce. Gdyby mogła, chętnie ułożyłaby się w środku ogniska.

Hazar wstał, otrzepał kolana z igliwia.

– Trzeba pozbierać więcej drewna – powiedział. – Tego starczyło ledwie na rozpałkę.

Wstała posłusznie.

Kiedy Hazar wrócił z naręczem gałęzi, Gmiel łamała już przyniesione przez siebie patyki. Głębianin złożył opał koło ogniska. Wyciągnął z worka chleb i kawałek sera.

– Jesteś głodna? – spytał.

W ciemnych oczach dziewczyny zamigotało prawdziwe pożądanie. Łapczywie chwyciła odłamaną połówkę chleba i glonek sera. Rzuciła się na jedzenie, pakując do ust ogromne kęsy.

Hazar spokojnie żuł posiłek. Kiedy skończył, zachciało mu się pić. Wydobył z worka blaszany kubek i ruszył na poszukiwanie strumienia. Znalazł go opodał, gdyż kupieckie obozowiska zawsze rozbijano w pobliżu wody.

Gdy wrócił, zastał Gmiel wytrząsającą z worka okruchy chleba. Wydziobywała je niczym wygłodniała wrona.

– Przyszłaś z północy, prawda? – zagadnął.

Dziewczyna drgnęła.

– Tak, panie.

Głębianin uśmiechnął się. W świetle ogniska jego smągła twarz wydawała się złota. Włosy barwy mahoni miał zaplecione w niezliczone warkoczyki. Na końcu każdego dyndała kościana czaszeczka. Ozdoby grzechotały cicho, gdy poruszał głową.

– Mam na imię Hazar – powiedział. – I nie jestem żadnym panem. Ja też idę z północy.

Gmiel skuliła się przy ogniu. Przestała się trząść ze strachu, ale wyraz czujności nie schodził z trójkątnej, szcurzej twarzyczki. Nie byłaby ładna, nawet gdyby się umyła, uczesała i zamieniła łachmany na porządne ubranie. Mała, wystraszona mysz.

Hazar pogrzebał patykiem w płomieniach.

– Nie pochodzisz z miasta, prawda?

Potrząsnęła głową. Ciepło ogniska i posiłek, którym ją poczęstował, sprawiły, że poczuła się bezpieczniej, i skłoniły ją do zwierzeń. Bezwiednie oskubywała z igliwia przeznaczoną na opał gałązkę.

– Wychowałam się na wsi, w Drugim Kręgu. Pracowałam u bogatego gospodarza. Nie traktował mnie źle, choć roboty dawał dużo. Rodziców nie pamiętam. Zawsze byłam sierotą. Radziłam sobie, póki wojna nie zawędrowała w nasze strony. Pewnego dnia przyszli żołnierze. Domagali się jedzenia. Gospodarz nie chciał dać, więc go zabili. Zrabowali wszystko, potem podpalili chałupy. Ja uciekłam w las.

– Aha – mruknął Hazar sennie. – To się zdarza, kiedy najemca zalega z żołdem i nie zapewnia wikt.

Po długiej wędrówce bolały go nogi, ciepło rozleniwiło. Gmiel rzuciła mu złe, gniewne spojrzenie.

– Zalega z żołdem! – parsknęła. – A ty co? Jesteś żołnierzem, prawda? Pewnie nieraz rabowałeś chłopów.

Hazar ziewnął, owinał się kocem. Nie miał najmniejszej ochoty na żadne rozmowy..

– Wcale nie – burknął. – Ale i tak nie uwierzysz.

Zamknął oczy i szybko zapadł w sen.

Zbudził się błyskawicznie, gdy tylko poczuł, że czyjeś ostrożne palce grzebią w fałdach koca. Przez współprzymknięte powieki obserwował pochyloną nad nim postać Gmiel. Majaczyła jak czarny, płaski cień na tle nocy, bardziej wyczuwalna słuchem i dotykiem niż wzrokiem. Starła się zachowywać bardzo cicho. Wstrzymywała oddech, jej dłonie muskały kurtkę Hazara, penetrowały kieszenie. Dłoń Głębianina zacisnęła się na rękojeści noża. Poderwał się zwinnie, chwycił Gmiel za ramię. Ostrze dotknęło chudej szyi dziewczyny. Wydała cienki pisk przerażenia.

– Nie mam ani grosza – powiedział sucho. – Żadnych klejnotów ani cennych rzeczy. Nawet jedzenia. Wczoraj podzieliłem się z tobą wszystkim, co mi zostało. Nie ma mnie z czego okraść, Gmiel.

Cofnął ostrze i puścił jej ramię. Dyszała płytko.

– Wcale nie chciałam cię okraść. Było mi zimno. Próbowałam owinać się kawałkiem koca...

– Jasne! – warknął. – Akurat! Daruj sobie bajki, dobra? I nie rób tego więcej. Mógłbym cię zabić.

Odwrócił się plecami, naciągnął koc na głowę. Gmiel dołożyła do wygasającego ogniska, skuliła się w stercie suchych liści. Noc przechadzała się wśród gwiazd, wysoka i obojętna.

* * *

Hazar obudził się odrętwiały i zziębnięty. W powietrzu pachniało jesienią. Gmiel siedziała przy ognisku, dmuchając w żar. W dziennym świetle wyglądała na jeszcze bardziej chudą. Hazar, rozzłoszczony nocną próbą kradzieży, w milczeniu troczył koc do worka. Śledziło go spłoszone spojrzenie dziewczyny. Postanowił ją zignorować. Zarzucił worek na ramię. Gmiel zerwała się na równe nogi. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie wydobyła z siebie głosu. Zrobiła kilka niepewnych kroków w stronę gościńca. Widocznie bała się zostać sama. Hazar zauważył, że upuściła przy ognisku jakieś bure zawiniątko. Schylił się po nie. To była brudna lalka ze szmatek. Niemal zniknęła w dużej garści żołnierza. Wyglądała jak wytarty gałganek. Narysowana węglem twarz prawie się zatarła. Lalka wydała się Hazarowi równie brzydka i nędzna jak sama Gmiel. Zakłopotany, obracał ją w palcach. Dziewczyna zauważyła, że znalazł zabawkę.

– Proszę, oddaj – szepnęła, wyciągając ręce. – Nie rób jej krzywdy.

Mizerną twarzyczkę wykrzywił wyraz prawdziwej rozpacz. Hazar uświadomił sobie nagle, że chuda oszustka w łachmanach, która dzisiejszej nocy próbowała go okraść, jest właściwie jeszcze dzieckiem. Zrobiło mu się żal Gmiel. Podał jej lalkę. Szybko wyrwała mu z ręki kukielkę i przytuliła do siebie. Hazar uśmiechnął się.

– Widzisz, miałem rację. Zgadłem, że bawisz się lalkami.

Pociemniałe od smutku oczy Gmiel patrzyły błagalnie.

– Mogę iść z tobą, Hazar? Proszę. Boję się zostać sama.

Głębianin skrzywił się lekko.

– Proszę, Hazar – szepnęła. – Chociaż kawałek. Idziemy w tę samą stronę.

Westchnął.

– No dobra – powiedział. – Jeśli nie będziesz marudzić i opóźniać marszu. I tylko do pierwszego dużego miasta.

Gorliwie przytaknęła.

W drodze nie sprawiała kłopotu. Starła się dotrzymywać Hazarowi kroku, a żołnierz był nawet zadowolony, że ma się do kogo odezwać.

– Urodziłem się na północy, w Trzecim Kręgu – opowiadał Hazar. – Ale nie na wsi, jak ty, tylko w mieście, w hrabstwie Rauma, pana okolicznych ziem. Mój ojciec umarł, kiedy byłem bardzo mały, matka pracowała jako praczka. Żyliśmy ubogo, ale spokojnie. Wychowywała mnie cała ulica. Znałem wszystkich w dzielnicy, bawiłem się z miejscowymi dzieciakami. Nie zaznałem luksusów, ale źle mi nie było. Potem zaczęły się wojny. Przyszedł głód, za nim zaraza. Wybiła całe miasto. Matka zmarła, większość sąsiadów też. Zostałem sam, a że byłem młody i zdrowy, zaciągnąłem się do armii miejscowego Mrocznego. I tyle. Potem samo poszło. Nie umiałem nic innego, więc zrobił się ze mnie prawdziwy najemnik.

Gmiel podniosła na niego wzrok.

– To czego szukasz na południu? Tu nie ma wojny.

Wzruszył ramionami.

– Mam dość bijatyk. Chcę się zatrudnić u kogoś możnego do ochrony. A ty?

– Nie wiem – powiedziała szczerze. – Może wynajmę się gdzieś do pomocy w gospodarstwie.

Z twoim wyglądem i piszczelami na wierzchu, pomyślał Hazar, wątpię. Ale nie odezwał się.

– Pewnie widziałeś wiele krain? – zagadnęła. – Jak głęboko dotarłeś? Do Czwartego Kręgu?

– Piątego – mruknął. – Z markizem Kymerisem.

– Ojej! – westchnęła. – Aż na lodowe pustkowia?

– Aha.

– No i jak tam było? – dopytywała się zaciekawiona.

– Zimno.

Parsknęła.

– No wiesz! Tylko tyle? Jak one wyglądają? Naprawdę nie ma tam nic oprócz lodu, aż po horyzont?

Hazar przypomniał sobie nieskończone, szkliste tafle pustkowi. W świetle niskiego, głębiańskiego słońca wyglądały jak zamarznęta krew.

– Przypominają jeziora płomieni. Tyle że skute lodem.

– Och! – Oczy Gmiel zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. – To nad płomienistymi jeziorami też byłeś?

Skinał głową.

– Z armią księcia Amdusjasa. Walczyliśmy wtedy w Czwartym Kręgu. Pełno tam bagien i trzęsawisk.

Zamilkł. Ożyły przywołane rozmową wspomnienia. Smugi krwi ciągnące się niczym wstęgi w burym błocie. Trupy szklanym wzrokiem wpatrzone w niebo, powoli tonące w trzęsawiskach, podobne do dziwacznych pni z powykręcanyimi gałęziami ramion. Wychudłe twarze towarzyszy, z oczami płonącymi od błotnej gorączki. Smród rozkładu. Jedzenie, odzież, buty, wyposażenie, gnijące momentalnie, pokryte pleśnią, rozłazące się w palcach. I wszechobecne błoto.

Wzdrygnął się.

Gmiel wymachiwała beztróska znalezionym przy drodze kijem.

– I co? Widziałeś jeszcze coś ciekawego?

Twarz Hazara wykrzywił gorzki grymas.

– Dużo – powiedział. – Za dużo.

Gmiel nie zauważyła zmiany w tonie towarzysza.

– No, opowiadaj! – zażądała rozkapryszonym głosem. – Wciąż muszę cię ciągnąć za język! Mieszka tam ktoś na tych bagnach i lodowych pustyniach?

– Lodowe demony – burknął. – Paskudne i bardzo niemiłe. Nie ma o czym gadać.

Gmiel wzruszyła ramionami. Nie wydawała się usatysfakcjonowana.

– Dobra, jak chcesz – powiedziała urażonym tonem i przestała się odzywać.

* * *

Wędrowali przez las cały dzień, zatrzymując się tylko po to, żeby napić się wody. Gmiel wyszukiwała strumienie. Twierdziła, że zna okolice, i chyba mówiła prawdę. Hazar nie pytał, jakim cudem orientuje się w terenie, skoro wcześniej utrzymywała, że przywędrowała tu z północy i podąża coraz dalej na południe w poszukiwaniu zajęcia. Czuł, że Gmiel nie wyjawia całej prawdy, ale nie dbał o to. W końcu to jej sprawa. Byli przecież tylko przygodnymi towarzyszami podróży. Wkrótce ich drogi się rozejdą.

O zmierzchu, tak jak przewidywała, dotarli do dużej wioski. Hazar zatrzymał się na skraju lasu, zrzucił z ramienia worek. Gmiel spojrzała zdziwiona.

– Co robisz?

– Rozbijam obóz – wyjaśnił. – Nie ma sensu wchodzić do wioski. Czasy są niespokojne, nie zechcą przyjąć pod dach obcych. Zresztą, nie mamy czym zapłacić za jedzenie i nocleg.

– Tak myślisz? – Uśmiechnęła się chytrze.

Sięgnęła za pazuchę i wyjęła starannie zawiązaną chusteczkę. Rozsupłała zawiniątko. Płócienna szmatka kryła w sobie srebrną monetę.

– Starczy na kolację i nocleg dla dwojga podróżnych, co? – zagadnęła z dumą.

Hazar przygryzł wargę. Był głodny i zmęczony. Przez cały dzień zjedli tylko garść zebranych przy drodze jagód. Podejrzewał, że Gmiel ukradła monetę, ale było mu wszystko jedno. Miał szansę najeść się i wyspać w ciepłe. Skinął głową.

– Na pewno wystarczy – potwierdził.

Nieładną twarz dziewczyny rozjaśnił uśmiech.

– Chodź! Ja stawiam! We wsi jest gospoda. Całkiem przyzwoita. Kiedyś zatrzymywali się tu kupcy, dziś pewnie świeci pustkami. Ucieszą się na nasz widok.

Ruszyli do wioski. Karczma była niewielka, przytulna i ciepła. Gospodarz giął się w ukłonach, a na widok srebra rozpromienił się niczym lampa po przycięciu knotu. Zaprzestał pytań, za to postawił przed gośćmi miski z gorącą zupą, dzban wina i pieczeń. Tego wieczoru zjedli do syta, a do snu ułożyli się w cieplej, czystej pościeli.

Nazajutrz ruszyli w drogę z workiem Hazara pełnym chleba, sera i zimnego mięsa. Świat wydawał się miejscem przyjaznym, oferującym podróżnym różne możliwości. Słońce na złotym i czerwonym głębiańskim niebie toczyło się niczym dojrzałe jabłko. Pogoda się poprawiła. Wiatr pachniał nadchodzącą jesienią, ale nie niósł jeszcze w swych objęciach chłodu. Droga wiodła prosto ku lepszym czasom. Hazarowi dopisywał humor. Kiedy Gmiel nie zadawała pytań, okazała się miłą, niekłopotliwą towarzyszką. Gdy umyła się i ogarnęła, zaczęła przypominać porządną demonicę. Nie wyładniała, ale przynajmniej nie wyglądała jak strzyga. Uśmiech rozświetlał trójkątną twarz, w oczach płonęły wesołe błyski.

Opowiadali sobie śmieszne historie, śpiewali piosenki. Posiłek i sen przywróciły im siły, toteż szli szparko. Na nocleg musieli zatrzymać się w lesie, ale tym razem noc nie była zbyt chłodna, a obfita kolacja poprawiła nastrój. W południe, zgodnie z przewidywaniami Gmiel, dotarli do miasta. Leżało w obrębie ziem rycerza Furkasa, możnego, który nie cieszył się najlepszą sławą. Mówiono, że jest porywczy, tchórzliwy i sprzedajny, ale o podobne cechy nie było trudno także wśród innych władców Głębi. Furkas nie miał specjalnie dużego majątku ani wpływów, a że nie grzeszył też rozumem i zmysłem politycznym, Hazar wcale nie zamierzał starać się zaciągnąć do jego oddziałów. Ominąłby miasto, gdyby nie prośby Gmiel. Dziewczyna dowiedziała się w gospodzie, że właśnie odbywa się jarmark. Na samą wieść dostała rumieńców, a w drodze wciąż o tym paplała. Koniecznie chciała obejrzyć sklepiki i kramy, popatrzeć na stroje kupców, mieszczan i wieśniaków, za resztę miedziaków kupić słodyczy. Wisiała u rękawa Hazara, aż wreszcie się zgodził.

Wkroczyli w obręb murów przez nisko sklepioną bramę. Miasto nie robiło imponującego wrażenia. Było niewielkie. Ciasno stłoczone kamieniczki zdawały się pochyłać nad wąskimi ulicami. Jednak Gmiel musiało wydawać się prawdziwą metropolią. Ścisnęła rękę Hazara, rozglądając się wokół okrągłymi z zachwytu oczami. Dotarli na rynek, gdzie rzeczywiście odbywał się jarmark. Między skleconymi naprędce kramami tłoczyli się mieszczanie i wieśniacy. Przekupki wrzaskliwie zachwalały towary. Na straganach wystawiono na sprzedaż gliniane garnki, bele surowego płótna i kiepskiego sukna, potrzebne w gospodarstwie wyroby rzemiosła, ozdoby z miedzi i szkła, różne łakocie. Przeważały jednak produkty rolne, często sprzedawane bezpośrednio z drabiniastych wozów. Przyprzeżone do dyszli siwe lub płowe woły przeżuwały spokojnie, obojętne wobec wrzawy i ścisłu.

Dla Hazara był to kolejny prowincjonalny targ. Ale Gmiel wydawała się zachwycona. Z trudem namówił ją, żeby kupiła trochę zapasów na dalszą drogę. Wolą opychać się słodyczami i przymierzać sznury tandetnych koralików ze szkła. Zagadywała Hazara beztrąsko, twierdząc, że bez prowiantu też sobie poradzą. W końcu, wytargowawszy dwa twarde, słone serki, kawał chleba oraz trzy dorodne rzepy, machnął ręką i poszedł obejrzyć stragan z wyrobami żelaznymi. Pośród siekier, sierpów i noży znalazł wcale ładny sztylet. Badał właśnie kciukiem ostrze, gdy w tłumie wybuchło zamieszanie. Brzuchaty demon, popchnięty przez ciżbę, wpadł na plecy Hazara. Sztylet ześlizgnął się i rozciął mu skórę. Na klindze wykwitła czerwona smuga. Hazar poczuł nagły dreszcz. Zły znak, pomyślał. Skaleczony palec piekł. Tłum falował, tłoczył się, deptał po nogach, próbując rozstąpić się przed niewielkim orszakiem jeźdźców. Dwaj pacholki nie szczędzili pałek, żeby umożliwić swemu panu swobodne obejrzenie straganów. Młodzieniec, a właściwie chłopiec, dosiadający czarnego bojowego smoka, siedział w siodle z wyniosłą miną, rzucając wokół spojrzenia pełne wzgardy. Musiał być synem miejscowego rycerza. Nosił się z pańska, lecz jego strój był nieco przykrótki i wytarty. Bojowy smok miał ładną linię grzbietu, kształtną

głowę i silne łapy, ale dawno już przekroczył próg starości. Hazar popatrzył na chłopaka z niechęcią. Więcej pychy niż rozumu, pomyślał.

Chłopiec minął stoisko płatnerza i zatrzymał smoka przy kramie ze słodyczami. Wycelował palcem w stos placuszków i powiedział coś rozkazującym tonem. Hazar wzruszył ramionami.

– Dzieciuch – mruknął do siebie.

Odłożył sztylet, rozejrzał się za Gmiel. Kupili trochę prowiantu, najwyższa pora ruszać dalej. W końcu ile czasu można przymierzać korale? Przepchał się pod stragan z różnymi świecidełkami, ale Gmiel tam nie było. Poczł ukłucie dziwnego niepokoju. Podniósł głowę, omiół wzrokiem targowisko. Zdawało mu się, że widzi wąską, bladą twarzyczkę w tłumie mieszczan otaczających kram rymarza. Zdażył się tylko zastanowić, co może interesować dziewczynę na stercie jarzm, orczyków i smoczyczych rzędów, gdy nad placem targowym rozniósł się rozpaczliwy krzyk.

– Moja sakiewka! Złodzieje! Ukradli sakiewkę!

Demon w długim chałacie kupca gorączkowo macał się po brzuchu.

– Łapać złodzieja! – rozlegało się zewsząd.

Hazar zobaczył Gmiel nurkującą pod nogami kupujących. Nie miała szans. Wielka łapa jakiegoś wieśniaka zacisnęła się na chudym jak patyk ramieniu. Gmiel szarpała się niczym zając w sidłach. I mniej więcej tyle mogła zdziałać.

Hazar ruszył na ratunek właściwie bezwiednie. Już biegnąc, wiedział, że wplątuje się w niezłą aferę. Rozsądek krzyczał, żeby się opamiętał, ale pięści same torowały drogę, spadły niczym młot na głowy wieśniaka i okradzonego kupca. Trzaśnięty w skroń chłop zwałił się na stos uprzęży, puścił Gmiel.

– Wiejemy! – krzyknął Hazar.

Porwał dziewczynę wpół, przeskoczył stragan. Rzucił się w najbliższą uliczkę, wlokąc za sobą Gmiel, która nie nadążała przebierać nogami.

– Za nimi! Łapać złodziei! – usłyszał piskliwy głos młodzieńca na smoku.

Na szczęście wierzchowce utknęły w tłumie, a Hazar miał nadzieję, że w wąskich zaułkach miasta i tak na nic się nie zdadzą. Pędził, roztrącając nielicznych przechodniów, ale odgłosy pogoni wciąż słyszał za sobą. Wytrwale ciągnął Gmiel, przepychał się między ścianami kamienic, licząc, że uda się zgubić prześladowców, zaszyć się na kilka godzin w jakiejś szopie, piwnicy czy warsztacie, a przed zmrokiem po kryjomu opuścić miasto.

Kluczyli, skręcając w coraz inne zaułki, ale ścigający byli tuż-tuż. Mieli przewagę, bo znali miasto. Hazar powoli tracił nadzieję na ucieczkę. Prześladowcy ukazali się w wylocie uliczki. Kilku rozwścieczonych mieszczan, pachołkowie miejscy uzbrojeni w pałki. Skręcił momentalnie w najbliższą przecznicę. W ciągu kamieniczek mignęły mu rozwarte odrzwia bramy. Zawrócił błyskawicznie, wepchnął Gmiel do środka. Liczył, że uda im się przebiec na sąsiednią równoległą ulicę i zmylić pogoń. Sklepiony, łukowaty korytarz, w który wpadli,

kończył się drugimi wrotami. Hazar naparł na nie, ale nie ustąpiły. Były zamknięte na żelazna, sztabę.

Złowił przerażone spojrzenie Gmiel. Dziewczyna była chyba bliska omdlenia ze strachu. Z wściekłością kopnął bramę. Zadudniła, lecz nawet nie drgnęła.

– Tam są! – usłyszał z ulicy triumfalny wrzask.

Gdyby teraz zdecydowali się uciekać, wpadliby prosto w ręce ścigających. Hazarowi wystarczyło jedno spojrzenie, żeby stwierdzić, że pierwsza brama nie ma zasuw ani żadnej sztaby, którą można by ją podeprzeć. No to koniec, pomyślał. Znaleźli się w pułapce.

Gmiel stała sparaliżowana lękiem. Wyglądała jak zaszczute zwierzę. W palcach miętosila, skradzioną sakiewkę. Hazara ogarnęła nagła wściekłość. Dlaczego nie wyrzuciła dowodu winy? Z chciwości? Idiotka! Była blada jak śmierć, oddychała nerwowo. Chwiała się na nogach, dygocząc w spazmach strachu. Szczurzą twarzyczkę wykrzywiła panika. Wyglądała żałośnie, nędznie, brzydko.

– Dawaj! – warknął, wyciągając rękę.

Wyrwał dziewczynie sakiewkę. Właściwie sam nie wiedział, co chce zrobić. Cisnąć pieniądze w kąt, licząc, że nikt ich nie znajdzie? W wąskim, pustym korytarzu nie mógł się spodziewać cudu.

Przez bramę wpadło do środka czterech pachołków i dwóch najodważniejszych mieszczan. Spory tłumek pozostał na ulicy.

– Mamy złodziei! – ryknął ktoś triumfalnie.

Hazar stał z sakiewką w zaciśniętej dłoni.

– Nie ruszać się! – krzyknął jeden z pachołków.

Hazar nawet nie drgnął. Nie miał najmniejszych szans w walce z tyloma przeciwnikami.

– Ty też! – wrzasnął znów pachołek. – Nie rozumiesz?! Nie ruszaj się!

Żołnierz zrozumiał, że uwaga była skierowana do Gmiel. Powoli obrócił głowę, żeby na nią zerknąć. Bał się, że demonica pod wpływem paniki rzuci się na strażników albo zrobi inne głupstwo. Spojrzał na Gmiel i ze zdumienia rozchylił usta. Zamiast bystrej, wygadanej dziewczyny, w której towarzystwie podróżował przez ostatnie dni, stało obok niego bezmyślne, niedorozwinięte stworzenie, opóźnione na umyśle. Oczy patrzyły całkiem bezrozumnie, puste niczym lusterka. Przesuwały się po twarzach strażników i mieszczan bez lęku, bez śladu uczucia. Oblizwała wargi, rozciągnęła usta w głupkowanym uśmiechu. Zabułgotała coś, wybełkotała ciąg niespójnych sylab, nerwowo gestykułując. Z kącika warg Gmiel wyciekła struzka śliny. Przykucnęła przed osłupiałym strażnikiem, a potem wyskoczyła w górę, zaczęła klaskać i tańczyć. Nawet rysy jej twarzy dziwnie obwisły, opuchły.

Hazar przyglądał się tym popisom, równie zdumiony jak ścigający ich strażnicy, aż nagle zrozumiał, a wtedy poczuł w sercu ukłucie bólu. Udaje głupią, pomyślał. Udaje, żeby ją puścili. Zacisnął mocno palce na sakiewce.

– Co jej jest? – zapytał dowódca pachółków z jawnym obrzydzeniem.

– Durnowata – mruknął mieszczanin w zielonym płaszczu. – Opętana, znaczy. Lepiej zostawić taką w spokoju. Cholera wie, co w niej siedzi.

– Przecież ukradła. – Strażnik nie spuszczał oczu z Hazara i Gmiel.

– E tam, ukradła. – Zielony płaszcz nie miał wątpliwości. – Głupia taka? Ukradł ten przybłęda z czaszkami we włosach. Jeszcze ścisza w garści sakiewkę, złodziejskie nasienie. I uderzył Morga! Wszyscy widzieli. – Ściszył głos. – A z durną lepiej nie zadzierać. Urok rzuci, albo co inszego.

Pachołek splunął na ziemię.

– Dobra, brać go! A głupią zostawić.

Trzej strażnicy skoczyli na Hazara, wykręcili mu ręce, skrępowali.

– Mamy złodzieja! – krzyknął triumfalnie zielony płaszcz. Tłumek na ulicy podniósł radosną wrzawę.

Pachołkowie wypchnęli Hazara z bramy. Za nim kroczył dumnie dowódca z sakiewką w ręku. Gmiel podskakiwała i śliniła się, chichocząc.

* * *

Zawlekli winowajcę na rynek, przed oblicze panicza na smoku. Wokół tłoczyła się cizba gapiów, oczekująca wydarzeń, które rozproszą monotonię wiejskiego życia. Nie co dzień przecież sędzi się złodzieja. Po minie chłopaka było widać, jak bardzo chce się popisać władzą i pozycją. Oczy lśniły mu chciwie, a usta wykrzywił pogardliwy grymas.

Hazar stał spokojnie, chociaż miał czarne myśli. Panicz w przykrótkim fraczku ściągnął wodze smoka, zmuszając wierzchowca do efektownego zwrotu w miejscu.

Co za palant, mruknął w duchu Hazar. Z chęcią skreśliłby wąty kark chłopaka i patrzył, jak wodniste rybie oczy z wolna zachodzą mgłą.

Panicz gestem ręki uciszył szemrzący tłum.

– A więc mamy tu złodzieja schwytanego na gorącym uczynku! – wykrzyknął piskliwie.

Dał sobie chwilę, aby należycie doceniono mądrość jego słów, i wrzeszczał dalej:

– Oto dowód winy! – Wzniósł w górę rękę, demonstrując zgromadzonym otrzymany od dowódcy straży mieczek. – Kupcze Móg, czy rozpoznajesz swoją własność?

Mieszczanin w czarnym chałacie ponuro skinął głową.

– Jak stanowi prawo naszej baronii, złodziej musi ponieść surową karę! – oznajmił chłopak z dumą.

Hazar parsknął pogardliwie. Baronii? – pomyślał. Sam sobie przyznajesz tytuły, synu? Bał się, choć próbował zagłuszać strach złością. Wypatrywał w tłumie drobnej twarzyczki Gmiel, ale oczywiście nie znalazł.

– W świetle niepodważalnego, sprawiedliwego prawa Otchłani, ustanowionego przez ojca mego, miłościwego pana Furkasa, jeśli wartość ukradzionego przedmiotu przekroczy pięć

głębiańskich denarów, kat odetnie winowajcy prawą rękę. Jeśli zaś kwota okaże się niższa, złodzieja czeka, chłosta i pręgierz.

Hazar pobladł lekko. Okolica jest uboga, myślał gorączkowo. Ale pięć denarów to niewiele. Naprawdę niewiele. Przymknął powieki. Cokolwiek się wydarzy, nie będzie skamlał o litość ani udowadniał niewinności. To nie ma sensu. Oni już go przecież osądzili i skazali.

– Przeliczmy zawartość sakiewki! – zawołał chłopak, upojony własną potęgą.

Wytrząsnął monety na dłoń. Hazar z trudem przelknął ślinę. Serce biło mu szybko.

– Dwa szekle lucyferiańskie! – obwieścił panicz. – Jedna drachma i cztery miedziane grosze. To razem daje...

Zawiesił głos. Widać było, jak marszczy czoło, usilnie starając się przeliczyć pieniądze. Serce Hazara puściło się w cwał.

– Cztery denary, siedemdziesiąt sześć! – zawołał z tłumu otyły kupiec.

Paniczowi mina się wydłużyła.

– Doprawdy?

Mieszczanie kiwali głowami.

– No cóż. Zatem chłosta i pręgierz. – Młodzieniec na smoku uśmiechnął się złośliwie. Po raz pierwszy rybie oczy spotkały się ze wzrokiem Hazara. – Udało ci się, złodzieju. Może nauczysz się u nas uczciwości. Pięćdziesiąt batów i pręgierz do zmroku. Kara zostanie wykonana jutro, o poranku. Ktokolwiek przedtem zbliży się do skazańca, zapłaci grzywnę.

Hazar zacisnął szczęki. Źle, ale nie tragicznie. Niech zaraza weźmie te zwyczajowe głębiańskie prawa.

Młodzieniec rzucił sakiewkę właścicielowi. Wysłuchał kornych podziękowań i zmusił smoka do kolejnego efektownego piruetu.

– Ach! – Zmrużył oczy. – Byłbym zapomniał. Przyprawdźcie skazanego bliżej.

Strażnicy popchnęli Hazara, kolano jeźdźca niemal dotknęło twarzy żołnierza.

– Rozwiążcie mu ręce i przytrzymajcie – nakazał chłopak.

Ściągnął z palca duży sygnet, przemówił do niego czule i dmuchnął na kamień. Oko pierścienia rozjarzyło się niczym węgiel w ognisku. Panicz pochylił się w siodle, szarpnął Hazara za rękę. Miał nieprzyjemne, wilgotne palce. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Wodniste oczy młodzieńca lśniły jak szkło. Podniósł sygnet i przycisnął do grzbietu prawej dłoni Hazara. Żołnierz poczuł ostry, palący ból. Chłopak puścił jego rękę. Na ustach miał paskudny uśmiech.

Hazar spojrział na wypalony na skórze znak, zacisnął wściekle szczęki. Herb Furkasa. Jak niewolnemu. Jak bydłu.

– Na pamiętkę – syknął młodzian. – Każdy, kto to zobaczy cię z tym znakiem w granicach mojej baronii, będzie miał obowiązek cię zabić. Lepiej trzymaj się od nas z daleka, złodzieju.

Harar uśmiechnął się drapieżnie i splunął jeźdźcowi na but. Chłopak kopnął go w twarz. Żołnierz próbował zrobić unik, ale pachołkowie trzymali go mocno. Oszołomiony, potrząsnął głową. Czuł ciepłą strużkę krwi, spływającą z nosa.

– Wobec zatwardziałości i braku skruchy skazańca – usłyszał piskliwy głos – podwyższam karę do stu batów.

Bodajbyś zdechł, rybie ślipie, pomyślał Hazar.

* * *

Resztę dnia i noc przesiedział w lochu pod magistratem w zimnej, cuchnącej celi. Była tak mała, że nie mógł się nawet położyć. Rankiem zabrali go na rynek, gdzie stało podwyższenie z pręgierzem. Przyszło sporo gapiów, którzy drapali się w głowy i przestępowali z nogi na nogę. Nie byli agresywni. Raczej wydawali się zakłopotani. Oczywiście, ani śladu trójkątnej twarzy Gmiel.

Hazar zachowywał się bardzo spokojnie. Pozwolił się rozebrać i przywiązać do słupa. Pojawił się pachołek z batem. Rzemienie śmignęły w powietrzu. Hazar zacisnął zęby. Poczul na plecach smagnięcie gorąca, jakby uderzył go płomień. Nie krzyknął. Nie jest tak źle, pomyślał. Mylił się. Z każdym uderzeniem robiło się gorzej. Świat spowiła czerwona mgła, twarze gapiów rozmazywały się, zlewały. Niskie, głębiańskie słońce patrzyło mu nienawistnie w oczy, niczym ślepie bestii. Na deski podwyższenia padały krople krwi.

Nie pamiętał, kiedy kara się skończyła. Wisiał przywiązany do słupa, obojętny, a ślepie słońca przesuwano się powoli w czerwieni i złocie nieba. Oblizwał popękane wargi. Chciał pić. Mieszczanie przechodzili szybko obok pręgierza, często odwracali wzrok. Nie szydzili ze skazańca, nie obrzucali kamieniami. Nieruchomy, zakrwawiony, przestał być atrakcją. Przypominał o niedobrych rzeczach. Że czasy niespokojne. Że wojna blisko. Że do miasta zawita z czasem więcej takich jak on.

Wreszcie niebo pociemniało. Pachołek odwiązał Hazara. Żołnierz osunął się na deski. Nawet nie próbował rozetrzeć zdrętwiałych dłoni. W głowie mu szumiało, drewniany podest falował.

Podniósł wzrok, kiedy poczuł na ramieniu dotknięcie. Pochylał się nad nim starszy, nieznajomy Głębianin w długiej, ciemnej szacie.

– Możesz wstać, synu? Spróbuj.

Hazar skinął głową. Głębianin objął go, pomógł dźwignąć się na nogi. Kolana gięły się dziwnie, ale żołnierz utrzymał się na nogach.

– Chodź – powiedział nieznajomy. – Pomogę ci.

Hazar zrobił parę chwiejnych kroków, ciężko zszedł z podestu. Miał mdłości, a szum w głowie nie ustawał. Pozwolił się otoczyć ramieniem i poprowadzić ulicami. Był otepiały i obojętny. W końcu i tak nie miał się gdzie podziać. Głębianin w ciemnej szacie wprowadził go do sieni niewielkiej kamienicy. Otworzył drzwi i oczom Hazara ukazała się pracownia

maga. Pomyślał przelotnie, że nieznajomy może okazać się czarnoksiężnikiem, który chce prowadzić na nim czarnomagiczne eksperymenty, ale nie miał siły na sprzeciw.

– Wejdz – powiedział nieznajomy. – Możesz usiąść?

– Chyba tak – wymamrotał Hazar.

Głębianin pomógł mu usadowić się na zydlu. Nie był już młody, ale też nie wyglądał na zgrzybiałego starca. Odnosił się do Hazara przyjaźnie, a jego oczy miały szczery wyraz.

– Nazywam się Angar – powiedział. – Jestem medykiem i magiem. Zajmę się tobą, synu. Hazar patrzył na własne dłonie.

– Ja... nie mam pieniędzy – odpowiedział cicho.

Przez chwilę Angar wydawał się urażony.

– Wiem, oczywiście. Nawet gdybyś je miał, strażnicy by ci ukradli.

Hazar kołysał się na stołku, starając się zebrać myśli. Tymczasem medyk krzątał się po pracowni, podgrzewał w garnku wywar, gorzko pachnący ziołami. Przełał nieco do głębokiej miseczki, podał Hazarowi.

– Wypij, synu. Nie za dobre, ale pomoże ci.

Żołnierz zawahał się, w końcu upił łyk. Skrzywił się. Wywar smakował paskudnie.

– Do końca, synu. Inaczej dawka okaże się za mała.

Dawka czego, mętnie zastanowił się Hazar, lecz posłusznie wypił do dna. Angar czekał z założonymi rękami. Po chwili płyn rzeczywiście zaczął działać. Hazar poczuł senność, głowę miał dziwnie ciężką. Powoli mijał ból w poranionych plecach. Był gdzieś blisko, na wyciągnięcie ręki, krążył jednak obok; nie rwał, ale ćmił.

– Dobra – mruknął medyk. – Czas opatrzeć ci plecy.

Hazar starał się skupić wzrok na twarzy Angara.

– Czemu to robisz? – spytał.

Starszy Głębianin uśmiechnął się.

– Bo jesteś niewinny, synu. A ja mam dawny dług do spłacenia.

* * *

Ocknął się rankiem, obolały i rozpalony, ale w pełni trzeźwy. Leżał w łóżku, w niewielkiej izbie, urządzonej skromnie i z prostotą. Ledwo otworzył oczy, skrzypnęły drzwi.

– Obudziłeś się? – spytał Angar. – Jak się czujesz?

Hazar spróbował przekreścić się na bok, skrzywił się z bólu.

– Nic mi nie jest – skłamał.

Błękitne oczy Angara zabłysły.

– Ano, widzę – powiedział z uśmiechem.

Hazar przetarł twarz dłonią.

– Słuchaj – zaczął. – Nawet nie wiesz, jak jestem wdzięczny...

Medyk machnął ręką.

– Wiem – przerwał. – Nie mów o tym.

– Nie mam czym zapłacić.

– Nie chcę pieniędzy. Oddaję wreszcie coś, co gnębiło mnie od lat. – Stary Głębianin przysiadł na brzegu łóżka. – Dawny dług. Widzisz, i mnie kiedyś ktoś pomógł, gdy byłem w sytuacji podobnej do twojej. Nie żądał zapłaty, tylko... hm, zwrotu uczynku. Wreszcie mogę spłacić zobowiązanie. A poza tym, skazano cię niesłusznie. Pieniądze ukradła ta mała żebraczka.

Hazar poruszył się niespokojnie.

– Skąd wiesz? – zdumiał się.

Angar wzruszył ramionami.

– W końcu jestem magiem. Powiedziały mi karty, a potwierdziła kula.

– Aha... – wymamrotał Hazar.

Medyk wstał.

– Możesz u mnie zostać, dopóki nie wydobrzejesz. Nie martw się, nie zbiednieję. Prowadzę tu całkiem rentowną praktykę.

Żołnierz otworzył usta, oblizwał spierzchnięte wargi.

– Ale...

– Pić ci się chce! – przerwał Angar. – Zaraz przyniosę wina z ziołami. To cię wzmocni. Zaraz, jak ty masz na imię, synu?

– Hazar – odpowiedział lekko skołowany.

– Wcale ładnie – skomentował medyk, znikając za drzwiami.

* * *

Hazar spędził u Angara trzy dni i poczuł się na tyle dobrze, żeby pomyśleć o opuszczeniu gościnnego domu. Nie chciał siedzieć medykowi na głowie, chociaż ten wyraźnie cieszył się z towarzystwa. Rozmawiali wiele, lecz Hazarowi nie udało się dowiedzieć niczego na temat przeszłości gospodarza. Nie naciskał zresztą.

Czwartego dnia rano wstał, otworzył okno i tęsknie popatrzył na niebo ponad dachami kamienic. Z chęcią opuściłby miasto, z którym nie wiązały się szczególnie miłe wspomnienia.

Spojrzał na grzbiet prawej ręki. Wykreślony krwawymi bliznami herb Furkasa płonął na niej szyderczo.

– Cholerne znamię – warknął Hazar.

Chętnie odrąbałby sobie dłoń, byleby się go pozbyć. Przypomniawszy sobie wykrzywione w paskudnym uśmiechu usta chłopaka na smoku, i jego rybnie oczy. Ze złością trzasnął grzbietem ręki o kamienny narożnik kominka. Zabolało, a piętno oczywiście nie znikło. Hazar poczuł gwałtowną falę wściekłości. Na dupka w przykrótkim fraczku, na Gmiel, na siebie. Świat wydał mu się podły i niesprawiedliwy. Paskudny, niczym znak wypalony na skórze.

Uderzył ręką o kamień. Za Gmiel. I jeszcze raz. Za własną głupotę. Najwyżej połamię sobie łapę. I tak nikt się nie zmartwi. Zaciskał zęby, mięśnie szczęk drgały. Zamierzył się znowu.

– Co ty wyrabiasz, synu? – usłyszał za plecami głos Angara.

Głębokie błękitne oczy medyka patrzyły uważnie. Hazar się zmieszał, opuścił dłoń.

– Nie będę chodził z herbem Furkasa na ręce – powiedział z goryczą. – Nie jestem wołem, żeby mnie piętnować. Nie mam majątku ani tytułu, ale urodziłem się wolnym Głębianinem. Jedyne, o co muszę dbać, to mój cholerny honor. Więc dbam.

Uśmiech, który pojawił się na ustach medyka, był trochę smutny, a trochę zrezygnowany.

– Przypominasz mi kogoś, synu. Kogoś, kto wierzył w ideały, w godność i prawość. Wiesz, że na tych wartościach miała zostać zbudowana Głębia? Jako kraina wolności i sprawiedliwości. Państwo równych, dumnych, nieugiętych Głębian, dla których honor znaczy więcej niż życie, a życie jest tym, co warto poświęcić w obronie Otchłani i jej ideałów.

– Mówisz o przewrocie Lucyfera? – zdziwił się Hazar.

Angar westchnął.

– Synu, kiedy Jasność powzięła zamiar stworzenia świata, zapytała swoich potężnych, powołanych do życia w przedwiecznych czasach aniołów, czy chcą pomagać w wielkim dziele. Wielu odmówiło i dla nich pozostała Głębia, prywatny skrawek dawnego chaosu, który pragnęli zachować. Nie było to złe miejsce, ale nie wносиło też do planu Jasności niczego dobrego. Zawsze tak się dzieje, gdy brakuje odwagi, wyobraźni i męznego serca. Ci, których nazywacie dawną arystokracją, woleli zamknąć oczy i pogrążyć się w marazmie. Nie mieli pojęcia, co zrobić z darowaną im Głębią. Wiedzieli tylko, czego nie chcą. Idei. Rozwoju. Zmiany. Otchłań stała się wkrótce smutnym miejscem, Hazar. Ponurą piwnicą, w której pleśniały resztki dawnej świetności. Lucyfer – medyk znów się niewesoło uśmiechnął – przyniósł nam trochę światła. Odpryski Jasności, które w sobie zachował. Wielkie ideały, synu. I wielkie serce. Wizje piękne jak poranek w raju. Mrzonki, oczywiście. W końcu jesteśmy tylko demonami. Więc zamiast nowej Głębi, zbudowaliśmy stare piekło. Ale dobrze jest widzieć czasem światło w którymś z nas, synu.

Hazar z napięciem wpatrywał się w oczy Angara.

– Byłeś pośród tych, co wybrali Chaos, prawda? – spytał cicho.

Medyk położył palec na ustach.

– Ciiii. Nie wyciągaj fałszywych wniosków. Jestem tylko starym, dość kiepskim czarownikiem, który zbyt późno zrozumiał pewne błędy. Pokaż mi rękę, Hazar. No widzisz, tylko się pokaleczyłeś, a piętno nie zniknęło. Trzeba, mi było powiedzieć. Chodźmy do pracowni. Zrobimy z tym porządek.

Hazar bez słowa zszedł schodami na dół. Zrozumiał, że Angar nie powie nic więcej. Nie wiedział, czy stary medyk jest jednym z upadłych eonów, czy tylko zwykłym, prowincjonalnym uzdrowicielem, ale czuł, że dobrze w świecie należącym do Gmiel, syna Furkasa i dowódcy straży jest spotkać kogoś, w kim płonie iskra jasności.

Angar sięgnął na wysoką półkę i zdjął słoiczek z zieloną maścią.

– Trochę zapieczę – uprzedził Hazara – ale szybko się zagoi, a znamię zniknie bez śladu.

Drewnianą szpatułką zaczerpnął maści, posmarował dłoń żołnierza. Rzeczywiście, w pierwszej chwili zabolalo, lecz potem na skórze pozostało tylko wrażenie chłodu. Angar zabandażował rękę Hazara.

– Za trzy dni zdejmij opatrunek – polecił.

Hazar poważnie popatrzył staremu Głębianinowi w oczy.

– Jutro wyruszę w drogę – powiedział. – Dziękuję za wszystko. Zawsze będziesz miał we mnie przyjaciela, Angar.

Medyk uśmiechnął się.

– Spodziewałem się, że zechcesz niedługo odejść. Jeśli Mrok pozwoli, spotkamy się ponownie. A teraz chodź, napijemy się wina. W końcu do jutra mogę się jeszcze cieszyć twoim towarzystwem.

Hazar odwzajemnił uśmiech.

* * *

Po trzech dniach wędrówki trafił do Rax, dużego portowego miasta, pełnego dezertarów i najemników szukających zajęcia. Gmiel spotkał już pierwszego wieczoru. Żebrała na ulicy. Na jej widok gniewnie odwrócił głowę. Nie chciał nigdy więcej oglądać trójkątnej twarzyczki ani drobnej sylwetki dziewczyny. Nie przypuszczał, że spotkanie okaże się dla niego tak przykre. Myślał, że zdobył się już na obojętność. Tymczasem poczuł podchodzącą do gardła, dławiącą falę goryczy. Zdrada Gmiel bolała znacznie bardziej niż poranione plecy.

Dziewczyna dostrzegła go. Podbiegła, chwyciła za rękaw.

– Hazar! Nic ci nie jest? Puścili cię? Martwiłam się.

Wyrwał ramię z uścisku wątpliwych palców.

– Zbędna troska – warknął, nie zatrzymując się.

W oczach miała smutek.

– Proszę – szepnęła. – Nie odchodź. Porozmawiaj ze mną.

– O czym? O ukradzionej sakiewce czy o celi w magistrackim lochu?!

Wydłużył krok. Biegła za nim, próbując chwycić go za rękę.

– Bałam się – zawołała rozpaczliwie. – Po prostu się bałam!

Zatrzymał się, pobladły z wściekłości. Wycelował w nią oskarżycielski palec.

– Bałaś się?! Zwyczajnie mnie wystawiłaś! Mogłem stracić rękę, mogłem zdechnąć, a ty nawet nie raczyłaś się o mnie zatroszczyć! Dlaczego uciekłaś? Dlaczego było ci wszystko jedno, co się ze mną stanie? Zostawiłaś mnie, Gmiel. A teraz ja zostawiam ciebie. Na zawsze!

Oczy demonicy zaszkliły się łzami.

– Bałam się. Nie mogłam pokazywać się w mieście. Zrozum.

– Nie rozumiem – warknął.

Odwrócił się i odszedł, nie patrząc na nią.

– Hazar! – krzyknęła za nim. – Dlaczego?

Zatrzymał się znowu.

– Dlaczego co? – rzucił gniewnie.

Po białych policzkach dziewczyny toczyły się paciorki łez.

– Dlaczego to zrobiłeś? – wyszeptała. – Czemu nie powiedziałeś, że to ja? Czemu zabrałeś sakiewkę?

Na ustach żołnierza pojawił się brzydki, pogardliwy grymas.

– Bo nie przeżyłabyś kary, głupia. Rozumiesz?

Potrząsnęła głową.

– Nie? Trudno. – Wzruszył ramionami i skrzywił się, bo rany na plecach zabolaty.

Odwrócił się, żeby odejść. Znow złapała go za rękaw.

– Ale dlaczego dla mnie to zrobiłeś? Hazar, błagam, powiedz, dlaczego dla mnie?

Rysy Gmiel wykrzywiła rozpacz i jakieś nieokreślone, gwałtowne uczucie, jakby od odpowiedzi zależało jej życie.

– Myślałem... – zaczął i urwał.

Co myślał, do cholery? Że między nimi zrodziła się jakaś więź? Przyjaźń? Że dzięki niej oboje rozproszą samotność? Że było mu żal, że chciał okazać Gmiel, brzydkiej, niczyjej jak bezpański pies, trochę serdeczności? Chciał stanąć po jej stronie, bo o niego też nikt się nie troszczył? Za dużo oczekiwał. W końcu byli tylko przygodnymi towarzyszami podróży.

Wyszarpnął rękę z uścisku.

– Nieważne – burknął. – Pomyliłem się.

Tym razem nie pobiegła za nim. Twarz miała woskową, martwą. Łzy znaczyły policzki brudnymi smugami.

– Hazar! – zawołała jeszcze raz słabo.

Nie zatrzymał się. Szedł przed siebie, z rękami wbitymi w kieszenie i z gorzkim, zimnym ciężarem w sercu.

* * *

Zanim ponownie spotkał Gmiel, minęło pięć lat. Jechał z listami od księcia Eligosa do markiza Forneusa. W armii Eligosa służył od trzech lat. Powiodło mu się. Dorobił się bojowego smoka, własnych mieczy i niezłego trzosu oszczędności. Książę był rozumny, sprawiedliwy, dbał o swoich żołnierzy, a przy tym płacił przyzwoity żołd. Sytuacja w Głębi powoli się stabilizowała. Waśnie wygasaly. Ale Eligos nie zamierzał zmniejszać liczebności oddziałów. Był urodzonym dowódcą, kochał wojsko i nie wyobrażał sobie, że mógłby stać na czele nędznej garstki wojaków.

Hazar, dzięki bystrości i uczciwości, awansował szybko, zdobywając zaufanie księcia. Teraz wypełniał właśnie poufną, kurierską misję. Nie musiał się spieszyć. Miał podróżować w

zwykłym tempie, aby nie wzbudzać podejrzeń. Najważniejsze, żeby przesyłka dotarła do adresata.

Do Ers, niewielkiego miasta w zachodniej części Trzeciego Kręgu, przybył w południe. Ponieważ od czterech dni nocował pod gołym niebem, postanowił zatrzymać się w gospodzie, a w dalszą drogę ruszyć dopiero nazajutrz.

Zostawił smoka w stajni, zjadł ciepły posiłek i wybrał się na przechadzkę po mieście. Dotarł na nieduży plac targowy. Kupował właśnie głębiańskie owoce, zwane „jabłkami Ewy”, gdy zobaczył Gmiel. Wybierała rzepy na sąsiednim straganie. Przytyła trochę. Miała na sobie ciemną, prostą suknię mieszczeni, a mysie włosy podtrzymywał grzebień o sierpowatym kształcie. Towarzyszyła jej zażywna służąca z koszem przewieszonym przez ramię.

Hazar ucieszył się na widok Gmiel. Na drugi dzień po rozstaniu błąkał się długo po ulicach Rax, lecz nie zdołał jej odnaleźć. Trochę żałował, że dał się wówczas ponieść emocjom. Po latach złość całkiem mu przeszła. Ucieszył się, że Gmiel jakoś sobie poradziła. Nie chciałby jej spotkać w lazarecie dla żebraków albo w tanim burdelu.

Podszedł do obu demonie, uśmiechnął się szeroko.

– Hej, Gmiel. Nie spodziewałem się, że cię jeszcze zobaczę. Wyglądasz jak prawdziwa mieszczeni. Bardzo się cieszę, że ci się powiodło.

Odwróciła się, niby smagnięta batem. Trójkątna twarz skurczyła się, w oczach zapłonął strach i niechęć.

– Nie znam was, żołnierzu – powiedziała zimno. – Odejdźcie.

Hazar, zdumiony, cofnął się o krok. Rozłożył ręce.

– Daj spokój, Gmiel. Nie chowam urazy. Nie masz się czego bać. Chciałem się tylko przywitać.

– Pomyliliście się, żołnierzu. Nie znam was, już mówiłam. – Głos był ostry, zimny jak sopel lodu. Twarz napięta, ruchy sztywne.

– Gmiel. To ja, Hazard. Nie udawaj, że nie poznajesz.

Gruba służąca obrzuciła oboje podejrzliwym wzrokiem. Na policzkach Gmiel wykwitły dwie czerwone plamy.

– Nie poznaję, bo nie znam. I nie nazywam się Gmiel.

– Nie? – parsknął zirytowany. – Od kiedy?

Zaciśnięte, blade usta demonicy drgnęły.

– Od zawsze. Odejdźcie, żołnierzu, bo wezwę straż.

Poblądł, pochylił się nisko.

– I co mi zrobią? Wychłószczą?

Odwróciła wzrok.

– Odejdźcie, żołnierzu – syknęła. – Pomyliliście się.

– Z całą pewnością – warknął wściekle.

Grzmotnął pięścią w stragan, aż podskoczyły rzepy, i nie odwracając się, poszedł prosto do gospody. Stracił jakoś ochotę na przechadzkę po mieście.

* * *

Wieczór zrobił się późny, a Hazar siedział nadal w szynku nad dzbanem wina. Wypił sporo, jednak nie był pijany. Wpatrywał się ponuro w stół, we własne ręce, a złość nie chciała odejść. Przekonywał sam siebie po raz setny, że nie ma się czym przejmować, że niczego więcej nie powinien się po Gmiel spodziewać, ale musiał w końcu przyznać, że jest mu przykro. Potarł niewielką, okrągłą bliznę na grzbiecie dłoni. Cholernie przykro, to fakt.

Drzwi karczmy otworzyły się, do środka wszedł gnom w ubogim stroju. Rozejrzał się pospiesznie i podszedł prosto do siedzącego w kącie Hazara.

– Czego? – ofuknął go żołnierz.

– Nazywacie się Hazar, panie?

– A jeśli tak, to co?

Gnom nachylił się, zniżył głos do szeptu.

– Moja pani prosi do siebie. Chce porozmawiać.

– Twoja pani? – zapytał Hazar z przekąsem. – A jak ma na imię?

Służący oblizał wargi.

– Gmiel.

– Ach tak? No dobrze. – Hazar wstał. – Porozmawiam z twoją panią.

Wyszli w mrok. Minęli kilka przecznic. Gnom wprowadził Hazara do wąskiej kamieniczki. Sklep na parterze był o nocnej porze zamknięty na głucho. Hazar wdrapał się po stromych schodkach na górę. Służący wskazał mu drzwi do izby i oddalił się. Hazar wszedł bez pukania. Pośrodku skromnej sypialni stała Gmiel. Błada, z twarzą ściągniętą gniewem.

– Więc mnie znalazłeś, tak? – rzuciła wściekle.

– Specjalnie nie szukałem – warknął.

– Pewnie! – Zaśmiała się sucho. – Zbieg okoliczności.

– Jakbyś zgadła – powiedział.

Rozejrzał się po izbie. Proste sprzęty, łóżko, skrzynia. Niezbyt dostatnio, ale przyzwoicie.

– Czego chcesz? – syknęła.

W oczach miała lęk, drżały jej ręce. Wzruszył ramionami.

– Niczego. Chciałem się przywitać, pogratulować awansu życiowego.

Trójkątna twarz ściągnęła się jak maska.

– Jak widzisz, jestem teraz porządną mieszczańką. Mam męża, kupca sukienego. I dzieci, Hazar! Syna i córkę. I dom. Nie dam sobie tego odebrać!

– A kto miałby ci to odebrać, Gmiel? – zdziwił się.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Nie waż się więcej mówić do mnie Gmiel! Nazywam się Alija!

– Alija? – Parsknął. – Prześlicznie. Sama to wymyśliłaś?

– Nie przestraszysz mnie! Nie dam się szantażować! Mam za wiele do stracenia. Dach nad głową. Dostatek. Ubrania, o których kiedyś mogłam tylko marzyć. I dzieci! Moje dzieci. Ostrzegam, będę walczyć do ostatniego tchu, jak wilczyca!

– Raczej wściekła suka – mruknął. – Mam tylko nadzieję, że te dzieci nie są do ciebie podobne.

Zacisnęła pięści.

– Jestem kimś! Nareszcie coś znaczę! – krzyknęła rozpaczliwie.

Potrząsnął głową.

– Nigdy nie będziesz kimś, Gmiel.

Podeszła bliżej, zadarła do góry brodę.

– Nie przestraszysz mnie. Nie pozwolę, żeby moja przeszłość zniszczyła to, co mam. Mąż i sąsiedzi nigdy się nie dowiedzą o istnieniu brudnej żebraczki Gmiel!

Wzruszył ramionami.

– Jeśli nie przestaniesz wrzeszczeć, dowie się całe miasto. Z twoim mężem na czele, chyba że jest głuchy jak pień.

Parsknęła szyderczo.

– Nie bój się. Mój mąż wyjechał z towarem. Nie obawiaj się, że obje ci pysk, tchórz!

Uśmiechnął się krzywo.

– Jak ty nic nie rozumiesz, Gmiel.

– Właśnie, że rozumiem! – odparowała.

W czarnych oczach zabłysła wściekłość. Demonica sięgnęła za siebie, podniosła woreczek, leżący na wieku skrzyni, i podała go władcym gestem Hazarowi.

Żołnierz pobladł jak płótno. Twarz mu się skurczyła niczym pysk drapieżcy.

– Co to jest? – spytał łamiącym się z wściekłości głosem.

– Pieniądze! – warknęła. – I nie myśl, że dostaniesz coś jeszcze. Bierz i zjeżdżaj! Nie dam ani grosza więcej! Zabierzesz sakiewkę i znikniesz na zawsze z mojego życia.. Rozumiesz? To nie prośba, ale ostrzeżenie. Sakiewka w zamian za milczenie, Hazar. I żadnych układów więcej!

Hazar popatrzył na Gmiel. Cofnęła się odruchowo, bo oczy miał głębokie i straszne jak śmierć. Wyjął sakiewkę z jej palców, ścisnął mocno w dłoni i rzucił na podłogę. Monety rozsypały się z brzękiem. Demonica drgnęła. Pochylił się, przysunął wilczą twarz do jej twarzy tak blisko, że poczuła jego oddech.

Mówił cichym, zdławionym głosem, powoli i na pozór spokojnie:

– Posłuchaj, Gmiel. Zadałaś mi kiedyś pytanie. Wciąż nie potrafię na nie odpowiedzieć. Ale wiem jedno. Nie było warto.

Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Nie obejrzał się nawet.

Stała chwilę w bezruchu. Szczupła, trójkątna twarz majaczyła blado ponad kołnierzem ciemnej, pospolitej sukni. Sztywno podeszła do skrzyni, uklękła. Otworzyła wieko, a potem starannie układała na podłodze wyjęte z wnętrza, schludnie złożone ubrania. Wreszcie, z samego dna podniosła brudną, poszarzałą szmatkę. Lalka patrzyła poważnie narysowanymi węglem oczami. Gmiel ścisnęła zabawkę w palcach, skuliła się i pochyliła do przodu. Łkała rozpaczliwie, wsparta czołem o krawędź skrzyni. Łzy wsiąkały w postrzępioną spódnicę kukiełki.

Nad miastem przechadzała się noc, wysoka i obojętna.

ŻARNA NIEBIOS

„Wiedźcie, że nad każdym źdźbłem trawy stoi anioł i nakazuje mu „Rośnij!””

Umierał. Wiedział o tym. Z każdą chwilą stawał się coraz słabszy. Suka, pomyślał. Wynajęła świetnych skrytobójców. Nigdy by nie przypuszczał, że cios zatrutym nożem padnie z rąk małej żebraczki, szarpiącej go za płaszcz. Przetarcił jej kark, ale co z tego? Czuł jak trucizna pali mu wnętrzności, szumi gorączką w głowie. Nogi odmawiały posłuszeństwa, a świat rozmazywał się przed oczami i przekręcał pod dziwnym kątem.

- Och, Suka! - jęknął. Powoli opadł na kolana. Palce poszorowały po nierównych ceglach muru, ale nie znalazły żadnego oparcia. Z rozpaczą zdał sobie sprawę, że nie doniesie wiadomości.

- Panie, błagam, pomóż mi! - szepnął i zapadł w ciemność.

Zamknęła oczy. Dzięki temu nie musiała patrzeć na biały sufit i seledynowe ściany, na małą, sterylną salkę, do której ograniczał się teraz jej horyzont.

Pod powiekami zapiekły ją łzy. Wciąż jeszcze potrafiła płakać. To oznaczało, że szok nie minął do końca. Nadal czuła rozgoryczenie, złość i bezradność, ale to, co było naprawdę straszne, jeszcze do niej nie dotarło. Czaiło się na razie w kątach pokoju, w cieniu za drzwiami, czekając i dysząc jak wielkie, oszalałe zwierzę. Czasami czuła jego oddech na twarzy i wtedy rodziła się w niej ochota do krzyku, a raczej wycia, o tak, wycia, które

pozwoliłoby dopuścić do siebie prawdę, zrozumieć ją i nie zwariować. Milczała jednak, zaciskając zęby, rozpaczliwie broniąc się przed faktami. I ciągle przecież potrafiła płakać.

Nie potrafiła jednak przewrócić się na drugi bok, ani poruszyć nogami. Nie tak dawno, kilka tygodni, czy może dni temu, mogła jeszcze swobodnie poruszać nogami. Nie tak dawno, kilka tygodni, czy może dni temu, mogła jeszcze swobodnie ruszać rękami, ale już nie teraz. A przecież lekarze, wszyscy ci profesorowie i specjaliści o uspokajających, budzących zaufanie głosach zapewniali ją, że z czasem będzie lepiej. Padały same fachowe określenia, a ona wciąż nie umiała pojąć dlaczego ma cieszyć się z szansy, że resztę życia spędzi na wózku inwalidzkim. Nadal jest nadzieja, że nie będzie pani do skończenia świata leżeć w łóżku, jak wielka, bezwładna lalka. Przesadzimy panią na śliczny, chromowany fotelik na kółkach, dzięki któremu zmieni się pani w coś w rodzaju samochodu na baterię. To WSPANIALE, prawda?

Najboleśniejszy był dla niej sposób, w jaki nagle się zawalił jej prywatny świat. Jak można zostać całkowicie sparaliżowanym po wypadku w windzie? Przecież to niedorzeczne!

Nigdy nie lubiłam wind, pomyślała. Trzeba było słuchać intuicji. Wybuchnęła histerycznym chichotem, który przemienił się w szloch. Głos wewnętrzny, nakazujący włączyć pieszo na trzydzieste siódme piętro. O Boże!

Wtem usłyszała ciche skrzypnięcie i dziwny szmer. Otworzyła oczy. Na metalowym krześle przy łóżku siedział nieznajomy mężczyzna. Nie spodziewała się żadnych wizyt. Jej rodzice zmarli kilka lat temu, a starsze o kilkanaście lat rodzeństwo, siostra i brat, wpadali często zaraz po wypadku, ale mieli przecież własne rodziny, pracę... Przyjrzała się nieznajomemu. Nie wyglądał na lekarza, poza tym nie miał kitla. Siedział swobodnie, z nogami wyciągniętymi przed siebie i skrzyżowanymi w kostkach. Był wysoki, szczupły i kanciasty. Nosił wytarte jeansy, podkoszulek i wyświechtaną marynarkę. I jeszcze jedno. Miał lawendowe włosy.

Zaskoczona, wstrzymała oddech. Musiał coś usłyszeć - poruszenie. skrzypnięcie łóżka, bo na pociągłej twarzy pojawił się szeroki, szczery uśmiech. Wychylił się ku niej podciągając długie nogi pod krzesło.

- Wierzysz? - spytał.

- W co? - szepnęła zdeorientowana.

- No w Boga, anioły, diabły i takie tam... - zrobił nieokreślony ruch ręką.

O Boże, jęknęła w duchu. Jakiś trzepnięty kaznodzieja! Już miała odwrócić na bo głowę - jedyne, co mogła zrobić, żeby go zignorować, gdy jej wzrok spotkał się z bezmiarem turkusowej zieleni.

- Pytałem czy wierzysz? - powtórzył uprzejmie.

Te oczy nie należą do człowieka! - pomyślała w panice. Była w nich jakaś hipnotyczna siła i coś jeszcze, czego nie umiała określić. Szaleństwo?

Poczuła lęk.

- Daj spokój, Beryl. Chyba się mnie nie boisz?

Z trudem przełknęła ślinę.

- To pomyłka - szepnęła. - Ja nie nazywam się Beryl.

- Oczywiście, że tak! - wykrzyknął oburzony, celując w nią długim palcem. - Przecież widzisz! To twoje prawdziwe imię. Jeszcze go nie znasz. Ale jest ładne, co?

Nagle błysnęła jej w głowie myśl.

- Pan jest psychiatrą...? — zaczęła.

- Nuriel - przerwał. - Inaczej Burza Gradowa.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi...

- Tak się nazywam. Mniejsza o to - machnął ręką. - Pomóż sobie, Beryl. Odpowiedz mi, tylko szczerze, czy wierzysz w Boga?

- Czy to odpowiedni czas i miejsce na takie rozmowy? - zaczęła płaczliwie.

Nie dał jej skończyć. Zielone oczy płonęły.

- Pewnie, że tak! No dalej, dziewczyno, przecież to proste!

Przypomniała sobie windę, wypadek, operację.

- Matko Boska, czy ja wiem! - jęknęła.

Uśmiechnął się.

- W porządku. Matka Boska też może być. Daj mi rękę.

Zachnęła się.

- Niech pan ze mnie nie kpi! Jak niby mam to zrobić?

- Zwyczajnie - powiedział.

Wstał, podszedł do łóżka, wyciągając ku niej dłoń. Spojrzała w pochylającą się na nią twarz. Turkusowe oczy pełne były ciepła. Zobaczyła w nich łobuzerski błysk, ale głębiej chyba szczere współczucie. Przestała się bać.

Nawet jeśli mam uszkodzony mózg i wariuję, nawet jeśli zasnęłam, to piękny sen pomyślała. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. Była ciepła, silna, męska. Osunął się dwa kroki od łóżka, pociągając ją za sobą. Spuściła nogi na podłogę, podniosła się. Poczowała chłód posadzki. Poprowadził ją na środek pokoju i dopiero tam rozluźnił uchwyt.

- O mój Boże! - wykrzyknęła. - Święty Chryste, czy ja śnię?!

- Oczywiście, że nie - uśmiechnął się znowu. - Ty chodzisz.

Roześmiała się z radości, a potem spojrzała na niego, zmieszana i oszołomiona. Odgarnął do tyłu fioletowe, długie do ramion włosy. To naturalny kolor, przeszło jej przez myśl. Oczu także.

- Kim jesteś? - spytała.

- Już się przedstawiłem - powiedział. - Nazywam się Nuriel. Anioł Burzy Gradowej. Cieszę się, że cię poznałem. Jesteś śliczna, skarbie.

- Och - sapnęła speszona. To nie zabrzmiało zbyt mądrze, ale nadmiar wrażeń doprowadził ją niemal do osłupienia.

- Czemu się tak dziwisz? - wyszczerzył do niej zęby. - Myślisz, że anioł to już nie facet?

Rzeczywiście tak myślała. Mętne wyobrażenie o aniołach, jakie wyniosła z dawno zapomnianych lekcji religii, kolęd i świętych obrazków obracały się zawsze wokół spowitych w białe szaty, bezpłciowych, łagodnych stworzeń o złocistych lokach. Nuriel niewątpliwie nie był bezpłciowy, ani łagodny.

Wpatrywał się w nią niesamowitymi, turkusowymi oczami, w których lśniło coś niepokojąco zbliżonego do szaleństwa. Polubiła go, spodobał się jej, była przekonana, że nie ma zamiaru wyrządzić jej krzywdy, lecz mimo to musiała spuścić wzrok. Widocznie źle ją zrozumiał, bo wyraźnie spochmurniał i powiedział:

- Nie chciałem urazić twoich uczuć, Beryl. Po prostu jestem szczery. Otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, wyjaśnić, ale nie znalazła słów. Miała pustkę w głowie.

Wtem drzwi otworzyły się z trzaskiem. Do pokoju wpadł jakiś ubrany na ciemno nieznajomy.

- Nuriel! - wrzasnął ze zgrozą. - Coś ty narobił?! Przestraszona, cofnęła się, wpadając na anioła. Podtrzymał ją za łokieć. Poczowała na ramieniu silne palce, które rozluźniły się niechętnie.

- Świadczę dobre uczynki miłosierdzia i wiary - powiedział Nuriel z cieniem drwiny w głosie.

Przybyły zatrzymał się bezradnie pośrodku sali. Był nieco niższy od ogromnego Nuriela i miał nastroszoną czuprynę płowych jak piasek włosów.

- O rany! - jęknął. - Wskresiłeś ją?

Nuriel spojrział na niego z politowaniem.

- No co ty. Tego nie umiem. To zastrzeżona dziedzina pańska.

- Chwała na wysokościach chociaż za to - mruknął przybysz. - Ależ ty jesteś naprany!

Nuriel wzruszył ramionami.

Nieznajomy odwrócił się do dziewczyny, jakby dopiero teraz ją spostrzegł.

- Przepraszam — powiedział. Miał srebrne oczy, ale to nie zrobiło już na niej specjalnego wrażenia. - Wybacz, że cię zignorowałem i nie okazałem ci należytego szacunku.

Nazywam się Darkiel, służę przy Bramie Południowego Wiatru.

- Beryl - przedstawiła się odruchowo. Nowe imię stało się nagle zupełnie naturalne.

- Wybacz te wszystkie głupoty i uchybienia, jakich dopuścił się względem ciebie mój przyjaciel - ciągnął. - On... hm, nie czuje się najlepiej.

- Nie ma mowy o żadnych głupotach i uchybieniach - przerwała. - Powinnam mu raczej podziękować. Byłam tak przejęta, że zapomniałam.

- Cała przyjemność po mojej stronie - Nuriel posłał jej kolejny promienny uśmiech. Nigdy nie spotkała mężczyzny o tak zniewalającym uśmiechu.

Darkiel westchnął. Wyglądał na zatroskanego.

- Co teraz zrobimy? - zwrócił się do Nuriela.

- To zależy od życzenia damy. Masz może znajomych po tej stronie, skarbie? Po jakiej stronie? - spieszyła się Beryl.

- Po naszej, to znaczy drugiej - wyjaśnił lawendowy anioł.

- On ma na myśli to, co wy nazywacie zaświatami - powiedział ponuro Darkiel.

- Czy to znaczy, że umarłam? - spytała spokojnie. Ku swemu zdziwieniu nie czuła strachu ani żalu.

- Problem w tym, że nie jesteśmy pewni - srebrne oczy spoglądały na nią ze zmieszaniem.

- Prawdę mówiąc nic na to nie wskazuje. Nuriel po prostu przeciągnął cię na naszą stronę. Nie mam pojęcia w jaki sposób to zrobił. Ostatnio dzieją się bardzo różne, dziwne rzeczy.

Pradawny porządek świata...

- Wywrócił się do góry nogami - przerwał Nuriel niezbyt wesoło. - I nikt nie rozumie dlaczego. Może Pan ma już wreszcie dosyć. Strzeżcie się, kochani, myślę, że koniec czasów nadchodzi!

- Zamknąłbyś się lepiej - powiedział ze znużeniem Darkiel. - Jeszcze ktoś usłyszy co wygadujesz.

- No to co! - w głosie wyższego anioła nagle zadrgała nuta głębokiej gorczy. - Nikogo już nic nie obchodzi! Mogę powiedzieć cokolwiek. Mogę powiedzieć, że Pan ma nas wszystkich...

- Nuriel! — jęknął ze zgrozą Darkiel. Turkusowe oczy zabłyśły.

- Ale nie powiem, ponieważ w to nie wierzę. Nie bój się, nie zamierzam buntować się, ani bluźnić. — Na suchej twarzy pojawił się wilczy, ostry uśmiech. Nuriel wpatrywał się w pobladłego przyjaciela. - Ukręciłbym łeb każdemu, kto powiedziałaby coś takiego w mojej obecności, Darkielu.

On nie kłamie, pomyślała Beryl. Nuriel odwrócił się do niej.

- I co? Wiesz, kogo chcesz odwiedzić, dziewczyno?

- Tak - powiedziała śmiało. - Chcę się zobaczyć z rodzicami.

- Czy byli dobrymi ludźmi?

- Wspaniałymi - nagle poczuła jak bardzo za nimi tęskni. - Byli wyjątkowi. Cudowni. Tak bym chciała ich znowu zobaczyć. Chociaż przez chwilę.

- W porządku - powiedział. - Znajdziemy ich.

- Zastanów się, co obiecujesz - wtrącił Darkiel. W jego głosie dawało się słyszeć powątpiewanie. - W bałaganie, który powstał...

- Zamilknij, wsteczna duszo! - Nunel uniósł ostrzegawczo palec. - Myślisz negatywnie.

- Raczej trzeźwo - mruknął tamten z lekkim sarkazmem, ale na tyle cicho, żeby Nuriel nie usłyszał. Beryl starała się nie okazać jak bardzo zawiedziona jest obiekcjami Darkiela.

Spojrzała na obu aniołów, zastanawiając się jakie nici zależności ich łączą. Darkiel zwracał się do Nuriela bezpośrednio, ale z cieniem dystansu czy może szacunku, jak bardzo

zaprzyjaźniony podwładny. A Nuriel wydawał się promieniować potężną, w gruncie rzeczy dobroczynną energią, chociaż zachowywał się jakby był stuknięty.

- Nie przejmuj się - powiedział serdecznie, lekko ściskając jej rękę - jestem pewien, że znajdziemy twoich bliskich. Darkiel grzeszy czarnowidztwem.

Płowowłosy anioł uśmiechnął się kwaśno.

Beryl poczuła, że powinna powiedzieć coś znaczącego.

- Dziękuję, że chcecie mi pomóc - starała się, żeby jej słowa brzmiały jak skierowane do obu aniołów. - Jestem gotowa.

Nuriel obrzucił dziewczynę uważnym spojrzeniem i kąciki jego ust drgnęły.

- Nie chcę się wtrącać, skarbie, ale może lepiej ubierz się w coś stosowniejszego. W nocnej koszuli zmarzniesz, nie wspominając, że będziesz wyglądać cokolwiek dziwnie.

Beryl roześmiała się mimo woli, bo przyszło jej nagle do głowy, że ma przecież najbardziej anielski strój z nich wszystkich. Ubierając się, spróbowała wyobrazić sobie Nuriela spowitego w długą do ziemi, białą szatę, co rozbawiło ją jeszcze bardziej.

Wzrok Arioka badawczo prześlizgiwał się po sylwetce najpiękniejszej istoty, jaką kiedykolwiek stworzono. Lilith w niedbalej pozie spoczywała w łóżku, pojadając kandyzowane owoce. Matowy blask pełgał po jej złocistej skórze, a czarne ploty włosów okalały głowę niby zadziwiająca burzowa chmura. Matka demonów, pomyślał. Co za ironia! Ona nie wygląda jak matka. Raczej jak skarby tego świata.

- Jak to możliwe, że coś dzieje się za twoimi plecami, mój piękny? — odezwała się. Miała głęboki, słodki głos, zmatowiały leciutką chrypką. - Pozwalasz się wykorzystywać. Oni są w zмовie. Razjel, Michael, Asmodeusz, Azazel, Uriel i Beliel też! Nie widzisz, co się dzieje? Dogadali się. Wiesz jakie to może być niebezpieczne? Chcą narzucić swoją władzę wszystkim w Głębi i królestwie. Arioku, to pucz! Zdrada! Przecież nie pozwolisz, żeby grupka opierzonych chłystków dyrygowała tobą, prawdziwym księciem Otchłani! Dlaczego ignorujesz wieści moich informatorów? Dlaczego mnie nie posłuchasz?

Posłuchałbym, nawet gdybyś kazała mi skoczyć do Jeziora Płomieni, pomyślał, ale nie odezwał się. Lilith zmrużyła przepiękne, okrutne oczy.

- Chodzi mi tylko o twoje dobro. O nasze dobro, ukochany. Jestem przerażona. Spójrz, cała drzę. Lampka i jego świta zawsze mieli szalone aspiracje, a teraz, a teraz wyraźnie sprzymierzyli się z tym karierowiczem Gabrielem i jego bandą! Na Głębię, co za hańba! Chcą się podzielić władzą. Zrobią z nas niewolników! Nie! Zabiją nas. Nie pozwolą nam żyć. Jesteśmy dla nich zbyt wielkim zagrożeniem. Zgładzą nas podstępnie, jestem pewna. Szczególnie tobie grozi niebezpieczeństwo. Lampka wie, jaki jesteś popularny. Nienawidzi cię. Zazdrości. Błagam, Arioku, działaj! Póki nie jest za późno. Cała Otchłań pójdzie za tobą!

- Oh, Lilith - szepnął. - Nie wiesz, co robisz. Chcesz wywołać wojnę? Nie mamy dowodów.

- Zdobądź je! Spotkaj się chociaż z Sariem! Proszę! Nie lekceważ moich słów. Zrób to dla mnie. Spotkaj się z Sariem. Czeka w umówionym miejscu. On też jest zaniepokojony tym, co knują Lampka i Gabriel. Ukochany, ja błagam! Zanim będzie za późno!

W głębi duszy Ariok wiedział, że jest oszukiwany i wykorzystywany, ale jakie to miało znaczenie? Lilith przesłaniała wszystko. W jej obecności gasły gwiazdy, a słońce stawało się zardzewiałą blaszką.

- Dobrze - powiedział. - Spotkam się z Sariem.

Uśmiech Lilith był tak cudowny, że niemal sprawiał mu ból.

- Wiedziałaś, najdroższy! Byłam pewna, że postąpisz rozsądnie!

Ariok zrozumiał, że właśnie zgodził się na coś równoznacznego ze skokiem w Jezioro Płomieni, ale dziwnym trafem wcale nie potrafił się tym przejąć.

Nuciła niskim, melodyjnym głosem piosenkę bez słów. Z radości. O tak, miała powody do zadowolenia. Ariok nareszcie wyszedł. Wcale nie było łatwo go przekonać. Zachowawczy dureń! Odnajdzie Sariela, lecz wtedy czeka go ciekawa niespodzianka, podwójna, przy odrobinie szczęścia. Uśmiechnęła się złośliwie. Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem. Świetnie.

Zmyła z siebie olejek, pachnidło i makijaż. Posypała włosy popiołem. Ubrudziła twarz. Nie, stanowczo nie ma zamiaru jej kaleczyć. Co za dużo, to za głupio. Narzuciła na siebie surową, burą szatę. Włożyła rzemienne sandały. Wypróbowała w zwierciadle minę pełną skruchy i żalu. W głębokich, czarnych oczach pojawił się wyraz smutku i zagubienia. Przejrzała się jeszcze raz i aż zachichotała z uciechy. Wspaniale! Naciągnęła na głowę kaptur i wyszła.

Beryl czuła się oszołomiona. Stali na rogu dwóch wielkich, dobrze jej znanych ulic w samym centrum. Budynki, sklepy, samochody wyglądały dokładnie tak samo, jak zawsze, zmienili się tylko przechodnie. Ściślej mówiąc, niektórzy przechodnie. W ulicznym tłumie, przemieszane z ludźmi, śpieszyły gdzieś najdziwniejsze postaci, anioły o wielobarwnych włosach, pokraczne gnomy, wychudłe rozczochrane strzygi, demony o tępych pyskach i blade, wielkookie upiory. Małe chochliki o złośliwych twarzyczkach ciskały w siebie śmieciami z koszy, penetrowały torebki po słodczykach i chciwie zaciągały się wyrzuconymi niedopałkami.

Nuriel przysiadł na parapecie wystawowego okna magazynu z elegancką odzieżą dla pań. Wyglądał marnie. Pobladała twarz wydawała się śc4gnięta grymasem wielkiego zmęczenia, a intensywna zieleń oczu przygasła. Darkiel spoglądał na przyjaciela z niepokojem. Nuriel pochylił się, przesunął dłonią po twarzy. Beryl napotkała jego wzrok. Wtedy nabrała przekonania, że anioł jest poważnie chory. Już jakiś czas temu zauważyła, że źle się czuje. Jego ruchy stały się nerwowe, poruszał się tak, jakby walczył z oporem powietrza, wyraźnie

tracił siły. Wyrzucała sobie, że postąpiła brzydko i samolubnie nie zwracając na to uwagi. Od wielu godzin błąkali się po mieście odwiedzając miejsca, z którymi byli kiedyś związani jej rodzice. Zaliczyli dawny dom Beryl, pracownię architektoniczną ojca, ulubione budynki, które zaprojektował, które lubili razem z matką, sklepy, gdzie robili zakupy, teatr i kina, w których bywali, park gdzie czasem chodzili na spacer, a nawet mieszkanie jej brata. Nigdzie nie znaleźli żadnego śladu, żadnej „nici, po której można pójść dalej”, jak się wyraził Nuriel. W końcu dotarli na cmentarz. Między grobami snuło się kilka wylęknionych na ich widok dusz. Dwie przyszły sprawdzić, czy bliscy dbają o miejsca ich spoczynku. Darkiel wskazał jakiemuś zagubionemu chłopakowi którądy powinien iść, żeby trafić z powrotem do Pierwszego Nieba.

Przy grobie rodziców Beryl było cicho i pusto. Nuriel pstryknięciem palców zapalił dawno wygasły znicz, nakreślił na ścieżce kilka dziwnych znaków, zetknął dłonie czubkami palców na kształt daszka i uniósł na wysokość oczu.

- Zawołaj ich - polecił.

Jej głos zabrzmiał jakoś wątpo i słabo. Płomyk zamigotał i syknął. Beryl czekała w napięciu. Niepewność mieszała się z podekscytowaniem..

Proszę, przyjdźcie - zawołała w myślach. Znowu poczuła dojmującą tęsknotę za najbliższymi. W ciszy dawał się słyszeć tylko szelest liści i mamrotanie dusz, speszonych obecnością aniołów.

Nuriel, zawiedziony i zniechęcony, opuścił ręce.

- Nie usłyszeli nas - powiedział. - Nawet nie udało mi się ich zobaczyć.

- Spróbuj jeszcze raz - zaproponował Darkiel.

Fioletowowłosy anioł potrząsnął głową.

- To na nic. Jeśli nie przyszli do światła na grobie, muszą być bardzo daleko.

Beryl z całej siły usiłowała nie wyglądać na rozczarowaną.

- Może gdyby spytać Adriela... - bąknął niepewnie Darkiel.

- Zapomnij - mruknął Nuriel. - On jest tak zajęty, że chyba nie wie, jak się nazywa. Nie ma szansy, żeby pamiętał dokąd zabrał tych, których przeprowadził na drugą stronę.

- Jeśli nic nie da się zrobić, to może zrezygnujemy - szepnęła Beryl z wzrokiem wbitym w kamyki na ścieżce. Zmroziła ją myśl, że obaj aniołowie odejdą, zostawiając ją samą w tym dziwnym wymiarze, którego prawideł nie rozumiała. I co teraz zrobi, nie będąc ani martwą, ani żywą?

Ma wrócić do szpitala, czy raczej do własnego mieszkania, albo błąkać się po mieście niby jakiś kloszard-widmo? Zadrżała z lęku.

- Daj spokój dziewczyno! - zachnął się urażony Nuriel. - Nawet o tym nie myśl! Dałem słowo, że ich odnajdę, więc przestań się bać! Ja dotrzymuję obietnic. Jak możesz uważać, że pójdę sobie, zostawiając cię samą? Musiałbym być ostatnią świnią! Ja cię w to wpakowałem i

ja się tobą opiekuję. Jestem tutaj, żeby świadczyć dobre uczynki. Mogłabyś się zdobyć na odrobinę zaufania.

- Ja... już ci ufam - powiedziała.

Nuriel spojrział jej uważnie w oczy, zdobywając się na uśmiech.

- To w porządku.

- No więc co robimy? - odezwał się milczący dotąd Darkiel.

- Poszukamy najbliższej bramy i zabierzemy się do roboty w Królestwie - zdecydował Nuriel. - Chodźcie, moi drodzy. Tutaj już nic nie zwojujemy.

Najbliższa brama, wiodąca z Ziemi do Królestwa okazała się nadspodziewanie daleko. Nuriel tak wyraźnie opadał z sił, że musieli przystanąć. Darkiel i Beryl spoglądali na siebie bezradnie, a Nuriel nie ruszał się z parapetu. Nagle wysoko, jakby z samego nieba, odezwał się przeciągły, wibrujący ton. Spłynął na miasto, ostry i potężny, niby cień drapieżnego ptaka. Beryl zatkała uszy dłońmi, a Darkiel gwałtownie poderwał głowę. Dźwięk zaskoczył wszystkich mieszkańców drugiego wymiaru. Aniołowie, demony i strzygi zamarli, wpatrując się w niebo. Szalona pieśń trwała, za pierwszym tonem popłynęły następne. Nie słyszeli ich tylko ludzie, podążający naprzód z obojętnymi twarzami.

Nuriel wyciągnął rękę i wskazał na dach szklanego wieżowca po drugiej stronie ulicy. Stał tam ogromny, ubrany w fioletry anioł, który raz po raz dął w długą, złocistą fanfarę.

- To Izrafael - powiedział Darkiel, osłaniając dłonią oczy, żeby lepiej widzieć. - Jest szalony.

Potężna postać balansowała na samej krawędzi dachu, nie przerywając gry. Beryl poczuła ciarki, przebiegające po plecach. Melodia miała w sobie coś zniewalającego i destruktywnego zarazem.

- Dlaczego to robi? - zapytała wstrząśnięta. Darkiel wzruszył ramionami.

- Cholera go wie. Jest stuknięty. To archanioł - dodał, jakby to wszystko wyjaśniało. Muzyka urwała się nagle. Archanioł rozpostarł ramiona i zaśmiał się. Na dźwięk jego śmiechu obaj aniołowie i dziewczyna wzdrygnęli się. Izrafael jednym, płynnym ruchem odbił się od krawędzi dachu i skoczył w dół. Niemal dawał się słyszeć furkot złożonych lotek. W ostatniej chwili, prawie nad samą jezdnią, kilkoma prędkimi ruchami skrzydeł poderwał się w górę. W locie przyłożył trąbę do ust, wydobywając długi, przenikliwy skowyt, a potem zniknął pomiędzy chmurami.

- Fanfary Izrafaela ogłoszą koniec czasów - odezwał się Nuriel. - Myślicie, że ćwiczysz?

- Czy ty musisz ze wszystkiego kpić? - westchnął Darkiel.

- Rzecz w tym, że wcale nie kpię - ponuro, odpowiedział zapytany.

Wtem zza rogu wybiegła śliczna srebrno-zielona chimera. Zatrzymała się przed Nuriem. Na szyi miała obrózkę z dzwoneczkiem. Anioł wyciągnął rękę, żeby ją pogłaskać.

Wydała brzydki, przeciągły syk, szczerząc podwójny rząd ostrych kłów. Beryl cofnęła się instynktownie.

- To tylko kokieteria - odezwał się miękki głos za plecami całej trójki. Zaskoczeni, drgnęli. Dżinn w zielonej szacie i turbanie uklonił się grzecznie. Nie spostrzegli skąd się wziął. Miał piękną, smagłą twarz i złote paznokcie. Przysunął się do Nuriela. Poruszał się cicho jak kot.

- Jesteś w potrzebie, przyjacielu? - spytał.

Nuriel odsonił w uśmiechu zęby, ale jego oczy pozostały zimne niby listopadowe morze.

- To zależy od oferty - powiedział.

Darkiel jęknął i przewrócił oczami. Beryl nie mogła się połapać o co chodzi, lecz czuła rosnące napięcie. Dżinn jej się nie podobał. Pachniał ciężkimi, odurzającymi perfumami. Złote paznokcie miały końce ostre jak pazury.

- Biała Lilia czy Płynne Srebro? - zapytał.

- Gwiazda Blasku - powiedział Nuriel. - Najczystsza. Masz?

Żrenice dżinna rozszerzyły się ledwo dostrzegalnie.

- Jesteś Świetlistym?

- A ty biografem? Masz czy nie?

- Oczywiście, gołąbku. Ale to kosztowne upodobanie.

Nuriel roześmiał się. Jego twarz zrobiła się ostra, wyraz ust stwardniał.

- Myślisz, że łatwo mnie orznać? Obrazasz mnie.

- Staram się pomóc. Naparstek czy fiolka?

- Najpierw pokaż! - zażądał stanowczo anioł. Dżinn rozchylił poły płaszcza.

- Na litość Pańską - syknął Darkiel. - Chyba nie tutaj!

- Masz rację, skrzydlaty - dżinn skinął głową. Okręcił się szczerze opończą i z wdziękiem odwrócił. - Spotkamy się cztery przecznice dalej, na tyłach chińskiej restauracji. Powiedzmy, za trzy oddechy Salomona.

Gwizdnął na chimere, która wpędziła właśnie jakiegoś klnącego i wygrażającego pięściami chochlika do studzienki kanalizacyjnej, a potem zniknął za węglem.

- Przepłoszyłeś go - warknął oskarżycielsko Nuriel.

- Chyba ci odwaliło do reszty! - wrzasnął Darkiel z furją. - Co ty wyrabiasz? Widziałeś tamtą anielicę pod sklepem? Zauważyłeś, jak się gapiła? Oczywiście, że nie! Ale ja widziałem! Nie masz nawet resztek instynktu zachowawczego. Nie jesteś podrzędnym demonem, Nuriel Ktoś może cię rozpoznać, nie rozumiesz? Rzecz jasna nie masz zamiaru tam iść?

- Rzecz jasna, że mam. Zresztą nikt ci nie każe iść ze mną. Ja cię nie trzymam. Co ty myślisz? Że mnie to bawi?

- W porządku - mruknął Darkiel z rezygnacją. - Po prostu nie chcę, żebyś się tak głupio podkładał.

Beryl przenosiła wzrok z jednego anioła na drugiego. Pomyślała, że nie może przecież chodzić o to, co właśnie przyszło jej do głowy.

Nuriel pochylił się ku niej. Jego twarz znów nabrała wyrazu znużenia, skóra była niepokojąco szara.

- Nic się nie przejmuj, skarbie - powiedział. - Nic się nie stało.

- Kiedy miną te trzy oddechy Salomona? - spytała.

- Za jakieś dwadzieścia minut.

Spróbowała się uśmiechnąć.

- Chyba musiał być katatonikiem.

- Miał sławę niezłego maga. Lewitował, rozkazywał džinnom i takie tam..

- Rozkazywał też aniołom, niezbyt dobrze na tym wychodziły - wtrącił cierpko Darkiel. Kąciki ust Nuriela drgnęły.

- Tylko aniołom niskich chórów - powiedział chłodno.

Darkiel wydał wargi.

- Touche'!

- Poza tym rozcinał dzieci mieczem i przelewał z pustego w próżne, dokładnie jak my teraz - rzekła ostro Beryl, którą zaczęła irytować ich sprzeczka.

- Święta racja, moja piękna - przyznał Nuriel.

- Chcesz się spotkać z tym džinnem? - spytała.

Skinał głowę.

- No to idziemy.

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego - mruknął nie bez sarkazmu.

Darkiel wycelował w niego palec.

- Ostrzegałem cię, pamiętaj!

Lawendowłosy anioł wzruszył ramionami i wstał z parapetu.

Na zapleczu chińskiej knajpy było brudno i pachniało przypalonym olejem. Dżinn czekał na nich w jednym z wąskich zaułków. Jego chimera buszowała w śmietniku, wśród kartonowych pudeł. Co pewien czas dawał się stamtąd słyszeć pisk duszonego szczura.

- Masz Gwiazdę? - spytał Nuriel.

Dżinn przytaknął.

- Pokaż!

W smagłej dłoni błysnęła mała fiaszeczka z rżniętego kryształu, wypełniona bezbarwnym, fosforyzującym płynem. Anioł wyciągnął rękę. Flakonik błyskawicznie zniknął w rękawie zielonej szaty.

- Najpierw forsa! - warknął džinn.

Nuriel potrząsnął głową.

- Nie zapłacę, zanim nie spróbuję. Za kogo ty mnie masz?

Dżinn obrzucił go złym spojrzeniem, ale ponownie wyciągnął buteleczkę i odkręcił korek. Pochylił ją ostrożnie, wypuszczając maleńką kropelkę na kciuk anioła. Nuriel powąchał płyn, a następnie polizał palec. Poczł znajomy, gorzkawy smak.

- Najczystsza - zapewnił go džinn.

- Może być - powiedział. - Ile?

- Sześć szekli - rzucił sprzedawca.

Nunel uśmiechnął się drwiąco.

- Daję dwa i ani grosza więcej.

- Rozum cię opuścił, skrzydlaty?! Powiedziałaś dwa szkle?!

- Zamiast się wydzierać, spójrz jakie - Nuriel niedbałym ruchem sięgnął do kieszeni spodni. W jego dłoni pojawiły się dwa metalowe krążki, pokryte na wpół zatartymi znakami i pajęczyną ornamentu.

Dżinn rozdziawił usta. Łypnął chciwie na pieniądze, wysuwając błyskawicznie zdobną złotymi paznokciami rękę. Piękną twarz wykrzywił grymas pożądania.

- Nie tak szybko! - syknął Nuriel. - Dawaj flakon!

Buteleczka znalazła się natychmiast w dłoni anioła, a monety znikły w fałdach zielonej szaty.

- Obyś ujrzał siedem rajszych bram i dziewięć ogrodów rozkoszy - wymamrotał džinn, zginając się w pokłonie i pośpiesznie znikając w zaułku.

- O to się nie martw - mruknął Nuriel. Spojrzał na przyjaciół. Beryl miała niepewną, zmiesznaną minę, a Darkiel wyglądał ponuro.

- Za Królestwo i wszystkich skrzydlatych - powiedział, unosząc fioletową jakby spełniał toast. Z kieszeni marynarki wyciągnął misternie rzeźbiony nożyk i wbił ostrze głęboko w przedramię. Kątem oka zauważył, że dziewczyna wzdrygnęła się. Schował nożyk, przechylił flaszeczkę i wylał trzy krople na skaleczenie.

Już w momencie, gdy upuszczał pierwszą, poczuł, że coś nie jest w porządku.

Pałący ból w jednej chwili objął całą rękę, a Nuriel odniósł wrażenie, że zderzył się z rozpędzonym Rydwanem. Potem świat wykonał kilka gwałtownych fikołków, a bruk uderzył go w twarz. Wokół zrobiło się ciemno. Jak przez mgłę słyszał stłumione głosy i krzyki.

Darkiel przyskoczył do leżącego przyjaciela.

- Cholerny sukinsyn! - jęknął. - Sprzedał mu jakieś pieprzone, czarnomagiczne świństwo! Musiał podmienić fiołki! Przecież mógł go zabić!

Beryl ukłękła obok płowego anioła.

- Boże, co się stało? — szepnęła w popłochu.

Darkiel obrócił ku niej wykrzywioną przestraczem i złością twarz.

- Załadował sobie podróbkę, ot co! A przecież mu mówiłem!

Chwyił nieprzytomnego przyjaciela pod ramiona, próbując podźwignąć go do pozycji siedzącej. Dziewczyna pospieszyła z pomocą. Oparli go o ścianę najbliższego budynku, między pojemnikami na śmieci. Głowa anioła opadła na prawe ramię, lawendowa czupryna zakryła twarz.

- Nuriel! - Darkiel odgarnął fioletowe włosy. - Nuriel, słyszysz mnie?

- Acha - szepnął, odrobinę rozchylając powieki.

- Wiesz, co to było? Coś ty wziął, na pierze Metatrona?!

- Nie wiem - powiedział z trudem. - Jest... czarne... jak cholera.

- No i dograłeś się! - jęknął Darkiel. - Wiedziałem, że to jakieś świństwo rodem z Głębi. Czarna magia! Mógł cię szlag trafić! Kupować na ulicy! Przecież to trzeba być kretyńcem! Nie znasz jakichś bezpiecznych, pewnych źródeł? No pięknie, tylko spójrz na siebie! Leżysz naćpany w śmietniku! Anioł z twoją pozycją! Nuriel, ty się powinieneś leczyć!

- Pieprzysz jak stara ciotka - szepnął Nuriel i zemdłał.

Blady jak płótno Darkiel spojrzał na Beryl. Dziewczyna wydawała się zszokowana.

- Jest tu w pobliżu jakiś kościół? - spytał.

- Nie wiem, chyba nie - usta Beryl poruszyły się niemal bezgłośnie.

- Musimy znaleźć dla niego odtrutkę. Na początek wystarczy nawet woda święcona.

Przypomnij sobie, dziewczyno!

- Jest jeden, ale dobry kawałek drogi stąd.

- W porządku, zaprowadź mnie.

- Chyba nie chcesz go tak zostawić! - krzyknęła przerażona.

- Nie mam wyjścia. Sam nie trafię. Musisz zaprowadzić mnie do kościoła. Pospiesz się!

Tutaj mu chyba nic nie grozi.

- No dobrze - zgodziła się po chwili wahania. Zrobiła kilka kroków i zatrzymała się, oglądając na skuloną pod ścianą postać. Darkiel pociągnął ją za rękę.

- Nie możemy zostawić go samego w tym stanie! — jęknęła.

- Musimy - powiedział stanowczo. - Pospiesz się, kochanie. On potrzebuje pomocy.

- Masz rację - skinęła głową. - Dostaniemy się do głównej ulicy, a potem pierwsza w lewo.

Pobiegli. Tym razem już się nie obejrzała.

Czuł się fatalnie. Miał zawroty głowy i mdłości. Lewa ręka zupełnie zdrętwiała, choć jednocześnie bolała jak wszyscy diabli. Ostrożnie podciągnął rękaw.

Ranka od noża napuchła i rozjątrzyła się. Męczyło go pragnienie. Oblizwał spierzchnięte wargi.

A to skurwysyn, pomyślał o dzinnie. Podmienił flakoniki. Nawet nie miał siły go skłąć. Spróbował wstać, ale to zadanie okazało się niewykonalne. Z wielkim trudem dźwignął się na czworaki, poczołgał się w stronę najbliższej uliczki, lawirując między pojemnikami na

śmiesi. Było mu strasznie niedobrze. Znów spróbował wstać, czepiając się wysokiego blaszanego kosza, ale pośliznął się na czymś i upadł, boleśnie przygniatając sobie rękę. Dwa pojemniki przewróciły się z brzękiem, który odezwał się tysięcznym echem w jego udreżonej głowie. Nuriel zaklął. Dźwignął się na kolana, a potem ostrożnie podniósł się z klęczek. Tym razem udało mu się utrzymać na nogach, choć przed oczami zawirowały czarne płatki. Zrobił kilka chwiejnych kroków i zamarł. W otwierającym się przed nim wylocie wąskiej uliczki leżał w kałuży krwi potężnie zbudowany anioł. Wydawał się martwy. Nuriel zbliżył się powoli i przyklęknął przy leżącym, którego twarz wykrzywiały grymas cierpienia. Nuriel nie znał go lub nie potrafił rozpoznać. Pochylił się nisko, szukając oznak życia. Wtem potężna dłoń wystrzeliła do przodu, a żelazne palce zwały się na jego nadgarstku. Nuriel szarpnął się, ale za późno. Uścisk na przegubie stał się jeszcze silniejszy. Poczł potężną moc promieniującą od nieznanego. Ogarniała go, utrudniając oddech, sprawiając ból. To archanioł! Pomyślał ze zdumieniem. On umiera!

- Jesteś... Świetlistym - usłyszał urywany, ochryply szept. - Ćpun... Hańba! Trudno... słuchaj. Znajdź Gabriela. Musisz. Natychmiast. Gabriela. Rozumiesz?

- Tak - szepnęła. Potężna moc archanioła dodawała mu sił, rozjaśniała umysł, niwelując skutki zażytej mikstury.

- Suka... Suka wie. Dużo, ale nie wszystko. Poszczuła Srogiego Lwa... tak, poszczuła go. Chce, żebyśmy się wszyscy pozagryzali. On mnie nie zabił... Suka zabiła... Powtórz. Suka zabiła piątego z szeregu! Powtórz! -

- Rozumiem. Zabiła piątego z szeregu.

- Tak - szept przeszedł w chrapliwy świst. - Mamy, przeciek... Plan A zagrożony. Suka domyśla się... Podwójny przeciek! Dlatego umieram... rozumiesz? Powtórz! - Potrząsnął Nuriem tak mocno, że anioł niemal jęknął. - Powtórz!

- Plan A zagrożony. Podwójny przeciek - powiedział Nuriel. Był bły jak wapno i drżał. Twarz umierającego drgała z wysiłku.

- Powiedz Gabrielowi... jeden z naszych... Suka uwodzi... i zabija. Piąty z szeregu... Suka... szcjuje...

Słowa zamieniły się w bełkot. Z ust i nosa leżącego popłynęła krew. Piąty z szeregu umarł z bolesnym przekonaniem, że nie zdążył przekazać wiadomości do końca.

- Daleko jeszcze? — zapytał zdyszany Darkiel.

- Kilka ulic - Beryl też brakło tchu.

Kościół, którego szukali okazał się, niestety, na głucho zamknięty. Teraz próbowali znaleźć w pobliżu inny. Po pewnym czasie musieli jednak zwolnić kroku.

- Jesteś pewien, że nic mu nie będzie?

Srebrne oczy spojrzwały na Beryl poważnie.

- Przeżył spory wstrząs, ale jeśli nie zginął od razu, to wyjdzie „z tego.

- Nigdy nie przypuszczałam, że anioły... - zawahała się.

- Ćpają? Jeszcze jak! Ostatnio to stało się nagminne. Od kilku setek lat dzieje się coś niedobrego, Beryl. Tak jakby porządek świata stopniowo się załamywał. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, nie rozumiem dlaczego tak jest. Nikt nie rozumie, ale wszyscy czują. Kiedyś przenikała nas Jasność, była zawsze blisko, dodawała siłę, kierowała nami, leczyła, podtrzymywała na duchu. A teraz Ona... przygasła. Właściwie chyba zgasła zupełnie. Nie mamy już kontaktu z Panem, Beryl. Nie potrafimy Go odnaleźć. Nie pytaj dlaczego. Nie mam pojęcia. Niektórzy aniołowie po prostu czują ten brak, ale inni cierpią bez Jasności. Muszą szukać zastępczych środków. Większość zwraca się ku Królowej, chociaż jej cudowne, pełne miłości światło również jest niedostępne. Pozostaje moc zgromadzona w miejscach, które odwiedzała na Ziemi, błogosławione źródła, przedmioty. To daje na jakiś czas namiastkę Jasności. Ale, jak się okazało, uzależnia. I oczywiście jest surowo zakazane. Góra potępia nawet zwykle nadużycie wody święconej. Trudno się dziwić, prawda? Wyobraź sobie blaknące się po Ziemi i Królestwie rzesze napranych aniołów. Największą kasę zbija na tym Głębia. Podobno łąkę na handlu trzyma sam Asmodeusz. To bardzo prawdopodobne. Zdarzają się też takie oszukańcze kanale, jak ten zielony dżinn. Po tylu latach brania Nuriel mógłby przestać być taki naiwny.

Beryl słuchała uważnie. Darkiel spostrzegł, że jej twarz z każdą chwilą robi się coraz bardziej smutna.

- Czy Nuriel może mieć z tego powodu kłopoty? - spytała ostrożnie.

Darkiel zastanowił się przez moment.

- Nuriel... On jest Świetlistym. To znaczy należy do dobrze urodzonych. Ma naprawdę wysoką pozycję, ale nigdy się nie wywyższa, nie tak jak reszta. Świetliści to w większości zadufani w sobie, bezduszni dranie. Nuriel jest inny, sama widziałas. Nie pasuje do nich. Zgrywa twardziela, ale naprawdę to nadwrażliwiec o złotym sercu. Dla niego to musi być szczególnie trudne.

Spojrzał jej w oczy.

- Gdyby dał się przyłapać, miałby przed sobą ciężkie przejścia - powiedział.

- A ty? - odważyła się spytać. - Też bierzesz?

Potrząsnął głową.

- Nie. Urodziłem się w Pierwszym Kręgu, służę tylko przy Bramie Południowego Wiatru, nigdy nie byłem wyżej niż w Czwartym Niebie. Jestem nikim. Na swoje szczęście nie znajdowałem się należycie blisko, żeby Jasność odcisnęła na mnie piętno.

- Darkiel - szepnęła - co powinno być w tej buteleczce? Uśmiechnął się smutno.

- Woda z Lourdes - powiedział.

Skęcili za róg. Pierwszy zatrzymał się anioł, tak gwałtownie, że Beryl niemal na niego wpadła. Spojrzała w głąb uliczki i również zamarła.

Stojący naprzeciw mężczyzna nie był wysoki, przy Darkielu wydawał się wręcz niski. Ciemne, długie włosy nosił związane na karku w węzeł. Smagłą twarz zdobiła hiszpańska

bródka. Otaczała go gęsta, mroczna energia. Kiedy się odezwał, jego głos przywodził na myśl echo w podziemnym korytarzu.

- Kto was tu przysłał?

- Nikt - odpowiedział Darkiel, przesuwając się tak, żeby zasłonić sobą dziewczynę.

Nieznajomy odsłonił w uśmiechu białe, drapieżne zęby.

- W takim razie lepiej było siedzieć w domu i klepać paciorki. Teraz nie wystarczy wam czasu nawet na to.

Szare oczy lustrowały ich obojętnie. On nas zabije, pomyślała Beryl. Czarnowłosa wyciągnął zza pasa sztylet, lśniący jak sople lodu. Darkiel zacisnął dłonie w pięści, szykując się do desperackiego ataku.

Uciekaj - miał właśnie szepnąć dziewczynie, gdy usłyszał odgłos szybkich kroków. Zza przeciwległego węgła wyłoniły się nagle dwie postaci.

Nieznajomy obrócił gwałtownie, warknął jakieś przekleństwo i rzucił się w najbliższą przecznice.

- Zatrzymaj go! - usłyszeli okrzyk.

W tej samej chwili minął ich w biegu potężny, rudowłosa anioł w skórzanej kurtce i ciężkich buciorach.

- Michael - szepnął oszołomiony Darkiel. Beryl przyglądała się drugiemu wybawcy, który podchodził do nich wolnym krokiem. Miał szczupłą sylwetkę, proste, lśniące jak antracyt włosy, równo przycięte na wysokości szczęki. Nosił czarny, skórzany płaszcz, wąskie spodnie w barwie czerwonego wina i buty na grubej podeszwie. Na szczupłej, suchej twarzy o nieco jaśniejszej cerze malował się władczy wyraz. Zielone oczy zdawały się bezdenne. Pod wpływem wzroku przybysza Beryl poczuła zawrót głowy.

- Przeżyliście paskudną przygodę - powiedział. - Czy którekolwiek z was wie kim był ten Mroczny?

Darkiel zgiął się w niezgrabnym ukłonie.

- Nie znam go, wasza Jasność. Pytał czy ktoś nas tu przysłał. Racz przyjąć wyrazy wdzięczności za ocalenie.

- Nie zrobiłem niczego specjalnego. Michael przynajmniej kawałek sobie pobiegnie. Idźcie w pokoju i nie zwracajcie sobie głowy. Być może będę musiał mu pomóc.

Odwrócił się, żeby odejść, gdy Darkiel padł nagle na kolana.

- Panie! - zawołał błagalnie. Wysłuchaj mojej prośby! Suchą twarz wykrzywił grymas irytacji.

- Wstań! Nie jesteśmy w Królestwie. Nie znoszę tych służalczych ceremoniałów. Jak się nazywasz?

Darkiel. Służę przy Bramie Południowego Wiatru.

- Wobec tego dlaczego cię tam nie ma?

Darkiel zmieszał się.

- Mój przyjaciel... zapadł na zdrowiu. Miał gwałtowny atak zatrucia czarną magią.
Błagam, pomóż mi.

- Kupił lewą działkę? Co za przykrość. Nie rozumiem tylko, co ja mam z tym wspólnego?

- To Nuriel, anioł Burzy Gradowej - powiedział cicho Darkiel.

- Nuriel? Mam dzisiaj wieczór niespodzianek. Dlaczego myślisz, że to coś zmienia?

Może przynajmniej raz poniesie konsekwencje tego, co robi!

- Pomóż mu - krzyknęła rozpaczliwie Beryl. - Proszę! Kimkolwiek jesteś. W zielonych oczach zabłysło zainteresowanie.

- Gabriel - przedstawił się. Dziewczyna mimowolnie otworzyła ze zdziwienia usta.

Archanioł uśmiechnął się.

- Myślisz, że powinienem ratować mu tyłek, zakładając, że Michael sam sobie poradzi?

Może i tak. Żebym nie zapomniał, że zajmuję się również miłosierdziem. Zaprowadźcie mnie do niego.

Nie uszu nawet połowy drogi, gdy spostrzegli wysoką, kanciastą sylwetkę z fioletową plamą czupryny.

— Jak miło cię widzieć na nogach! - cierpko powitał go Gabriel. - Sam się pozbierałeś? Tym razem dograłeś się, Nuriel. Przyjmij do wiadomości, że jestem wkurzony!

Na ściągniętej twarzy anioła malowało się napięcie.

- Gabrielu, z całym szacunkiem, to nie jest najlepszy moment, żeby mnie opieprzać!

- powiedział. - Piąty z szeregu nie żyje. Byłem przy jego śmierci.

Gabriel drgnął. Sand! - pomyślał. Piąty z siedmiu archaniołów, stojących przed Tronem Pańskim. Michael miał rację. Zbyt późno zaczęliśmy go szukać.

Spojrzał na Nuriela.

- Mów! - rzucił prędko.

- Powiedział, że suka poszczuła Srogiego Lwa przeciwko nam. Domyśla się prawdy. To ona go zabiła. Plan A zagrożony. Jest przeciek. Podwójny! Wspomniał coś o jednym z naszych, ale nie zdążył skończyć. Majaczył. Nic z tego nie rozumiem.

- To i lepiej dla ciebie - mruknął Gabriel. Przesunął ręką po twarzy. Był wstrząśnięty. Myśl idioto - nakazał sobie. Srogi Lew? Ariok. No tak. Michael goni Arioka. Cholerna suka Lilith zabiła Sariela! Dlaczego? Żebyśmy nabrali przekonania, że zrobił to Ariok. Mieliśmy spotkać tu Arioka, a potem znaleźć ciało piątego z szeregu. Wszystko wskazywałoby na to, że Ariok go zabił. W takim razie Srogi Lew musiałby dać głowę pod topór. Po jakiego diabła Lilith zależy na śmierci Arioka? Knuje coś, to pewne. Święta Jasności! Jeszcze ten przeciek! Ktoś z Mrocznych puścił farbę, to było w sumie do przewidzenia. A kto z naszych? Jeśli przeciek jest podwójny... siedzimy na bombie. Skąd ta Suka wie o planie A? Myśl, myśl, Gabrielu, bo inaczej Królestwo runie Ci na głowę!

Podniósł wzrok i napotkał trzy pełne napięcia spojrzenia.

- Jesteś pewien, że powtórzyłeś wszystko? - zwrócił się do Nuriela.

Anioł skinął głową.

- Tak. Nic więcej nie zdążył powiedzieć.

- Chyba powinienem pójść w ślady Sariela - szepnął Gabriel. - Miałbym przynajmniej spokój. Darkiel! Natychmiast wracaj na posterunek przy Bramie. Nuriel! Zabierz dziewczynę i nie opuszczaj Terenu Królestwa. Możesz mi być potrzebny. Gdybyś coś sobie przypomniał albo zauważył, bezzwłocznie mi zamelduj.

Sięgnął do kieszeni płaszcza.

- Masz - podał Nurielowi płaski kryształ z wyrytym wewnątrz okiem. - To Oko Dnia. Dzięki niemu będziesz wiedział gdzie jestem. Chyba nie muszę wam mówić, że nigdy mnie tu nie widzieliście?

Wszyscy troje potrząsnęli głowami.

- Panowie, sytuacja jest poważna - powiedział Gabriel. - Jeśli macie jakieś pomysły, podzielcie się łaskawie z pozostałymi.

Zapadło głucho milczenie. Gabriel przesuwiał wzrok po twarzach zebranych.

Przy najdalszym końcu stołu ustawionego w podkowę siedział Rafael, wierny, wypróbowany przyjaciel, archanioł uzdrowień o kasztanowych, lekko falujących włosach i oczach ciepłych jak jesienne słońce. Wydawał się zafrasowany. Miał nerwowo rękaw skromnej szaty. Spośród zgromadzonych tylko on, Tammuz i Uriel ubierali się zgodnie z tradycją. Rafael miał szczery, łagodny charakter. Często zbyt łagodny, skostatował Gabriel.

Obok siedział Fanuel, archanioł pokuty. Jego młodzieńcza, ascetyczna twarz nie nosiła śladów surowości. W orzechowych oczach widniało raczej uduchowanie. Włosy koloru miodu nosił krótko obcięte. Gabriel nie znał go dobrze i z tej racji nie bardzo mu ufał. Archanioł zdawał się bardzo mało wiedzieć o regułach, rządzących Królestwem, wobec czego mógł się okazać niebezpieczny. To idealista, pomyślał Gabriel. Najchętniej wykluczyłby go ze spisku, ale Fanuel należał do siedmiu archaniołów Tronu, więc byłoby to niewykonalne.

Miejsce Sariela stało puste. Księżę Zastępów, Michael, najserdeczniejszy przyjaciel Gabriela, podpierał brodę potężną pięścią. Jego śmiała, przystojna twarz okolona bujnymi kędziorami w kolorze szafranu, była zasepiona. Spojrzenie niebieskich oczu na chwilę zatrzymało się na Gabrielu, usta skrzywiły się w grymasie irytacji. Widocznie Michael wciąż wyrzucał sobie, że nie zdołał dopaść Arioka.

Obok Michaela siedział Uriel, najbardziej podobny do obiegowego wizerunku archanioła. Regent Słońca miał sylwetkę atlety, złote loki, błękitne oczy, i dumne usposobienie. Gabriel musiał jednak przyznać, że Uriel jest bardzo odpowiedzialny i lojalny.

Chudy, kostyczny Razjel, Pan Tajemnic, Księżę Magów, swoim zwyczajem znalazł sobie miejsce nieco na uboczu. Ubierał się na błękitno, a czarne, gęste włosy spletał, podobnie jak Izrafael, w długi sięgający końca pleców warkocz. Oczy Razjela miały lodowy kolor akwamaryny. Gabriel bardzo go lubił za nieprzeciętną inteligencję i sarkastyczne poczucie

humoru. Razjel był indywidualistą. Nie znosił celebry, nie pragnął władzy, kolekcjonował cenne księgi, zajmował się magią i literaturą.

Po drugiej stronie stołu zgromadzili się Mroczni. Wyniosły, opryskliwy Belzebub, zwany Władcą Much, któremu złośliwi przeciwnicy nadali przydomek „Lep”. Elegancki, obojętny Azazel o fiołkowych włosach i oczach, miłośnik polowań, najlepszy skrytobójca, jaki się kiedykolwiek narodził. Mocny, zwalisty Belial, najrozsądniejszy z Mrocznych, który miewał, niestety, ataki szału, poprzedzane długimi okresami depresji. Włosy koloni wiśni zwyczajem moźnych z Głębi wiązał na karku w węzeł. Drobnny, smukły, piękny i zepsuty Asmodeusz, właściciel wszystkich domów gry i burdeli w Limbo, Przedpieklu i Otchłani, stukał wypielegnowanym palcem w blat stołu. W seledynowych, misternie zaplecionych włosach połyskiwały drogie kamienie. Asmodeusz był urodzonym intrygantem, kobieciarzem i utracjuszem. Nigdy jednak nie pozwalał sobie na zbędne ryzyko. Gabriel, chcąc nie chcąc, musiał podziwiać jego talent do interesów i zjadliwy język. Cieszył się w duchu, że upodobania Asmodeusza do luksusu i rozrywek przewyższają jego żądzę władzy.

Z chłopięcą niemal twarzą Asmodeusza kontrastował ostry, jastrzębi profil Mefistofelesa. To inteligentny taktyk, ocenił Gabriel, chociaż zbyt poddaje się emocjom. Na rogu siedział Tammuz, głupi, próżny, zadufany w sobie, lecz posiadający liczne grono popleczników. W końcu spojrzenie Gabriela zatrzymało się na siedzącym naprzeciw, najpotężniejszym Mrocznym. Lucyfer, Niosący Światło, pogardliwie nazywany przez wrogów Lampką, miał mocną szczękę, krótko ostrzyżone, jasne jak piasek włosy i oczy w barwie granitu, pełne zimnego blasku. Ubierał się na czarno, starannie, ale bez zbytku. Zmierzyli się wzrokiem. Przystojna twarz Lucyfera była ponura i napięta.

- Jeśli dobrze zrozumiałem - odezwał się - z tego, co zdążył powiedzieć Sariel wynika, że jeden z was, miii Panowie Świetliści, jest, że się tak wyrażę, Judaszem. Przy okazji, kondolencje z powodu nagłego zgonu piątego z szeregu. Musiało mu być ciężko odchodzić, mając do przekazania taką hiobową wieść.

- Nie mamy pewności, co miał na myśli Sariel, wspominając o jednym z NASZYCH. lecz to, co dotyczyło WAS nie budzi najmniejszych wątpliwości - przerwał Gabriel z naciskiem.

- Uważasz, że przeciek powstał z naszej strony? — warknął zaczepnie Belzebub.

- Wcale nie uważam. Ja wiem. Razjelu, zechciej przybliżyć panom garść faktów.

Zapadło ponure milczenie. Wywiad Razjela uchodził zawsze za przynajmniej równie dobry, jak Azazela. Książę Tajemnic założył nogę na nogę i odezwał się spokojnie:

- Umierając, Sariel wspominał o podwójnym przecieku oraz o zagrożeniu ze strony Lilith i jej sprzymierzeńców. Jasno i wyraźnie stwierdził, że zginął na rozkaz Suki. Lilith próbowała zrobić Arioka w morderstwo Sariela i tym samym zmusić nas do pozbycia się go, sugerując, że Srogi Lew wie coś o naszym.. hmm, sprzysiężeniu. Nie mamy pewności dlaczego Lilith zależało na śmierci Arioka. Osobiście uważam, że chciała spreparować fałszywy dowód zdrady. obecnych tutaj Mrocznych, sugerując ich potajemne konszachty z jednym z

najpotężniejszych Książąt otchłani, wyłączonym z udziału w koalicji. Sariela musiała usunąć, gdyż w jakiś sposób dowiedział się o jej związku z Ariokiem, oraz, co najważniejsze, o tym, że Lilith ma jakieś informacje na temat naszego, podyktowanego wyższą koniecznością przymierza.

- W porządku - wtrącił Mefisto - ale co to ma wspólnego z nami?

- Zdobądź się na chwilę cierpliwości — rzekł Razjel uprzejmie. — Zaraz wyjaśnię. Otóż, w zaistniałej sytuacji pytania o Arioka i Sariela schodzą na dalszy plan wobec najważniejszej kwestii. Skąd, na szczyble drabiny Jakubowej, ta Suka w ogóle wie cokolwiek o koalicji?

- Diabli wiedzą - burknął Michael.

- Mylisz się, Michasiu. Nie wiedzą, chociaż walnie się do tego przyczynili. Jakiś czas temu Tammuz i Belzebub bawili w nowo otwartym, luksusowym burdelu Asmodeusza w towarzystwie dwóch ślicznych, głupiutkich, roztrzepanych dżiniji. Jedna ma na imię Dżamila i błękitną skórę, a druga Zulejka i nosi Gwiazdę Południa wprawioną w pępek. Nasi drodzy Mroczni, nie przejmując się zbyt obecnymi paniąkami, żywo rozprawiali o istotnych kwestiach, omawianych na ostatnim posiedzeniu koalicji. Niestety, obie panie okazały się fanatycznymi szpiegami Suki. Swoją drogą, na twoim miejscu, Asmodeuszu, starannie dobierałbym personel.

Zawrzało. Większość obecnych podniosła się z miejsc i zaczęła krzyczeć. Tylko purpurowy na twarzy Tammuz i popatrujący spode łba Lep zachowali milczenie, nie ośmieliwszy sprzeciwić się faktom.

- Dość tego! - ryknął gromkim głosem Lucyfer. - Zło już się stało. Przyznaję, jest nie do naprawienia. Razjelu, czy masz jakieś dowody na poparcie swoich słów?

- Oczywiście - rzekł swobodnie archanioł. - Chętnie je przedstawię, ale czy nie wystarczy spojrzeć na twarze waszych przyjaciół, Tammuza i Belzebuba?

Lucyfer musiał z niechęcią przyznać, że wystarczy. Zresztą nie miał najmniejszych wątpliwości, że Razjel jest w posiadaniu bardzo poważnych dowodów obciążających, skoro pozwolił sobie na tak ostre wystąpienie.

- Nie możemy puścić płazem równie poważnej wpadki - odezwał się Uriel. - Nawet jeśli wynika z wrodzonej głupoty i braku odpowiedzialności. Po jednej mogą się pojawić następne. Mroczni skrzywili się.

- Z uwagi na dobro koalicji, proszę, żebyśmy sami mogli zbadać tę sprawę i ukarać winnych - powiedział Lucyfer z miną, jakby połykał żabę.

- Z jakiej racji? - warknął Uriel.

- Z wyższej racji - odezwał się Gabriel ze znużeniem. - W porządku, Luciu. Bawcie się tym sami. Jakies sprzeciwy?

Archaniołowie milczeli.

- Czynie powinniśmy w takim razie przedyskutować potrzeby wprowadzenia planu A?

- zapytał niespodziewanie Mefistofeles.

- Nie! - krzyknęli równocześnie Rafael i Michał.

- Dlaczego? - Lampka oblizał wargi. - Proponuję głosowanie...

- Nie ma mowy! Po śmierci Sariela jest nas za mało! - przytomnie zaproponował Rafael. - Zanim nie uzupełnimy składu żadne głosowanie nie wchodzi w grę!

- Lepiej zastanówmy się co z Ariokiem - wtrącił Michał.

- Racja - poparł go Gabriel. - Nie możemy po prostu go zignorować.

- Nie sądzicie, panowie - odezwał się uprzejmie Azazel, zajęty dotąd czyszczeniem paznokci - że Arioka mógłby spotkać drobny wypadek, absolutnie losowy, nie mający nic wspólnego z nami...

- Na pewno me przedtem, nim wyciągniemy z niego wszystko, co wie - rzekł Gabriel

- W takim razie może potem? - zaproponował Belial.

- To, co stanie się z Ariokiem potem, jest waszą sprawą - powiedział Gabriel.

- Chodzi również o to, żeby przestał stanowić zagrożenie w sposób dyskretny. Jego popelnicy są silni, a nam, jak na razie, nie potrzeba wojny - wtrącił Razjel.

- O to się me martw - rzekł Belial, spoglądając znacząco na Azazela, który wyszczerzył w uśmiechu zęby. - Umówmy się z Ariokiem w jakimś neutralnym miejscu, na przykład na Ziemi, pod pretekstem, że chcemy go wciągnąć do spisku. Potem zobaczymy.

- Myślisz, że będzie na tyle głupi, żeby się zgodzić? - spytał Michael.

- Na pewno. Lilith go przekona. Chce poznać prawdę o nas, nawet za cenę pułapki.

- W którą wpadnie ktoś inny - mruknął Razjel.

- Dobry pomysł - zgodził się Uriel. - Chociaż pojmanie Arioka może okazać się niełatwe. a nawet niebezpieczne. Uchodzi za niezłego zabijakę.

- Wchodzę w to - rzekł natychmiast Michael. - Z naszej strony pójdę ja i Gabriel. W porządku, Dżibril?

Gabriel skinął głową i uśmiechnął się lekko, słysząc przezwisko, którym ochrzciły go dżinny, a Michael używał w przyływie braterskich uczuć.

- Od nas będę ja i Belial - zawyrokował Lucyfer.

- A ja poczekam w pobliżu - mruknął Azazel. - Na wszelki wypadek.

- Pozwól sobie towarzyszyć - wtrącił Razjel - również na wszelki wypadek.

- Chyba o czymś zapomnieliśmy - powiedział Mefistofeles. - Co z Lilith? Nie możemy jej tknąć. Trzy czwarte Wszechświata, które uwiodła lub aktualnie uwodzi zwróci się przeciwko nam.

- Niech Gabriel się tym zajmie - odezwał się zjadliwie Asmodeusz. - Zawsze miał podejście do kobiet.

Natychmiast powiało chłodem.

- Przy okazji - ciągnął niezrażony Książę Hazardu. - Zawsze chciałem cię spytać, Dżibril, czy kiedy przekazywałaś Niewieście wiadomość, powiedziałaś Jej wszystko, o ofercie, krzyżu i tak dalej?

Wszyscy archaniołowie zbledli. Belial przełknął nerwowo ślinę, a Lucyfer nie potrafił ukryć złości. Asmodeusz ze słodkim uśmiechem czekał na odpowiedź.

Zanim Gabriel zdążył się odezwać, ozwał się uprzejmy, zimny głos Razjela. Uśmiech na jego twarzy wyglądał jak cięcie brzytwy.

- Zapominasz, zdaje się, że była to Dobra Nowina.

Lodowe oczy w kolorze akwamaryny patrzyły tak, że Asmodeusz się zmieszał. Właściwie pożałował głupiego tekstu już w momencie, gdy go wypowiadał.

- Nie pozwolę, żeby w mojej obecności obrażano Królową! - syknął złowrogo Michael, szary jak wyprane płótno. W jego źrenicach błysnęło szaleństwo. Wszyscy wiedzieli, że Książę Zastępów ma porywczy charakter i ciężką rękę.

- Ktoś zapłaci za tę zniewagę! - Uriel zerwał się z miejsca. - Słono zapłaci!

- Spokojnie, panowie - wolno powiedział Belial. - Przysięgam, że nikt nie miał zamiaru uchybić czci Niewiasty. Szanujemy Ją. Uwaga Asmodeusza była obraźliwa i nie-Michael walnął pięścią w stół.

- Dostrzeże jej niestosowność, zbierając zęby z podłogi!

- Uspokójcie się, proszę! - Rafael zamachał rozpaczliwie rękami. - Zapominacie, że Królowa nie pochwała rozlewu krwi. W żadnym wypadku!

Nie gorączkuj się, Michasiu - powiedział Gabriel. - Jemu chodziło o mnie, nie o Królową.

- Wybacz, Dżibril - rzekł Lucyfer. - Wybaczcie wszyscy. Przepraszam ich! - syknął wściekle do Asmodeusza.

- Przykro mi - wymamrotał winowajca. - Nie chciałem wywoływać tej burzy. Może przyjmiecie darmowe zaproszenie na otwarcie nowego klubu gier w Przedpieklu? Będą najlepsze trunki i najpiękniejsze dziewczyny w Otchłani.

- Chętnie przyjmę tylko zaproszenie na twój pogrzeb! - warknął Michael.

- A sprawa Lilith wciąż nierozwiązana - mruknął Azazel.

- Zajmę się nią - Gabriel uśmiechnął się krzywo. - Inaczej Asmodeusz gotów uznać, że moja reputacja jest przesadzona.

Kiedy opuścili już położone na skraju Limbo tajne kasyno Asmodeusza, w którym spotkali się tym razem i dla bezpieczeństwa pojedynczo lub parami rozchodzili się do swoich spraw, do Gabriela przysunął się Rafael. Szli przez chwilę milcząc, gdy archanioł uzdrowień odezwał się:

- Skazaliśmy Arioka na śmierć, Gabrielu. W sumie to zbrodnia.

Zielone oczy spoczęły na twarzy Rafaela.

- Zrównałem z ziemią Sodomę i Gomorę, obaliłem mury Jerycha, prowadziłem do boju Zastępy, w Dniu Końca wyleję na Ziemię rzekę krwi. Czemu miałbym się przejmować jednym Ariokiem?

- Ponieważ jesteś aniołem Pańskim. Ostatnio zdajesz się o tym zapominać.

Usta Gabriela wykrzywił przykry grymas.

- Czy nie byłem nim, kiedy obracałem w proch Gomoreę?

Rafael zamilkł.

Gabriel zrzucił z głowy kaptur. W tawernie było szaro od dymu, śmierdziało potem i skwaśniałym winem. Na kominku płonął suty ogień. W ciemnym kącie izby także płonęła czerwona jak rozżarzona głownia - ruda, kędzierzawa czupryna. Dochodził stamtąd gwar, śmiechy, trzaskanie kuflami i dźwięki pijackich piosenek. Gabriel wyteżył wzrok. Nie ma wątpliwości, tych włosów nie da się z niczym pomylić. Podszedł do długiego, zbitego z surowych bierwion stołu, przysunął sobie zydel.

- Witaj, Samaelu - powiedział, spoglądając w oczy równie zielone jak jego własne, nakrapiane drobinami płynnego złota.

- Gabrysiu! Co za niespodzianka! Napij się.

Gabriel uniósł ciężki kielich, upił ostrożny łyk. Wino było wyśmienite.

Miał nadzieję, że Samael nadal gardzi trucizną jako sposobem likwidowania kłopotów.

- Co u ciebie? Wciąż na garnuszku u Szefa? Bez obrazy, kiedyś sądziłem, że stać na niezależność.

Gabriel uśmiechnął się.

- Mam jej teraz więcej, niż bym chciał, Samaelu.

Potężny, atletyczny archanioł zepchnął z kolan śliczną demoniczkę.

- Koniec zabawy, moi mili! - zwrócił się do pijanych towarzyszy i dziewcząt. - spadajcie! Odwiedził mnie dawny przyjaciel, chcemy pogadać w spokoju. No już! - zaklaskał w dłonie. Towarzystwo rozeszło się niechętnie, ale posłusznie.

Gabriel sączył wino.

- Wybacz, nie zrozumiałem, co masz na myśli? - Zielone oczy Samaela lśniły - Wypadłem z kursu. Przestałem kontestować, teraz poznaję uroki życia. Polityka mnie już nie bawi.

- Nie chodzi mi o politykę - powiedział Gabriel swobodnym tonem - tylko o twą śliczną, wszeteczną zoneczkę, tę sukę Lilith.

Opalona twarz Samaela jakby trochę pobladła.

- O Lilith? - powtórzył. - Skąd pewność, że to mnie zainteresuje?

Gabriel odsłonił w uśmiechu duże, równe zęby.

- Nie zapominaj, że jestem między innymi aniołem zemsty.

- Nie wejdę z tobą w żaden układ, zanim nie dowiem się prawdy. Całej prawdy, Dzibril

- Na twoim miejscu nie byłbym taki pewny, że chcę ją znać.

- To pierwszy warunek jakiegokolwiek współpracy.

Gabriel wzruszył ramionami.

- Twoje ryzyko, przyjacielu.

Za oknami zapadał zmierzch, deszcz rozpadał się na dobre. Bywalcy tawerny, jeden po drugim, łądownali pod stołem, chrapiąc. Samael słuchał.

Gdy głos Gabriela umilkł, upadły archanioł w zamyśleniu stuknął paznokciem o brzeg kieliszka.

- No, cóż - mruknął. - Polityka chyba znowu zaczęła mnie bawić.

Zdenerwowany, spocony sekretarz zginał się raz po raz w ukłonach przed Najwyższym Sędzią, jednym z ośmiu Filarów Sprawiedliwości, Azbugą,

- Racz wybaczyć, panie - mamrotał. - Jakaś moźnie odziana Świetlista pragnie mówić z tobą. Odprawiłem ją, lecz nalega. Twierdzi, że to sprawa najwyższej wagi. Mówi, że z desperacji gotowa jest wdrzeć się siłą.

Azbuga słyszał z surowości, wytrwałości i maniackiego wręcz konserwatyzmu.

Nigdy nie puszczał płazem nawet najmniejszych uchybień. Podlegali mu śledczy, wywiadowcy, prokuratorzy i kaci. Gdyby odprawił Świetlistą, mógłby mimowolnie przymknąć oko na jakiś występek, który odkryła. Poczucie obowiązku kazało mu zająć się tą sprawą.

- Wprowadź ją - polecił.

Sekretarz wycofał się, wciąż zgięty w pół.

Anielica ubrana była skromnie, z wielkim poszanowaniem tradycji i wyraźnym podkreśleniem wysokiej pozycji rodowej. Była przy tym bardzo piękna.

Azbuga taksował ją ostrym, beznamiętnym spojrzeniem. Odrzuciła zasłonę z twarzy, a Najwyższy Sędzia zachwiał się, jakby trafił go piorun.

- Lilith! - wyszeptał. - Matka demonów!

Nabrał powierza w płuca i ryknął z całą mocą:

- Precz, dziwko Otchłani! Wynoś się stąd, Mroczna Wywłoko! Precz z tego pałacu, precz z Królestwa, które kala samo twoje imię! Podła! Nieczysta! Wszeteczna!

Lilith uśmiechnęła się słodko.

- Wszeteczna, ale użyteczna - powiedział cudowny, lekko schrypnięty głos. - Przynoszę ci wieści, które powinny cię zainteresować. Najwyżsi dostojnicy Królestwa, najpiękniejsi archaniołowie, dzierżący pełnię władzy z wyroków Pana, siedmiu stojących przed Tronem, są nikczemnymi zdrajcami. Bratają się z samą śmietanką Mrocznych, wchodzą w układy z Lucyferem i jego bandą. Prym wiodą oczywiście Gabriel, Michael i Razjel. Spotykają się w sekretnych miejscach, najczęściej w kasynach i domach rozpusty tego zwyrodniałego Asmodeusza. Szykują przewrót, krwawą rewolucję, jakiej świat dotąd nie znał. Co ty na to, panie sędzio?

Azbugę zatkało.

- Skąd mam wiedzieć, że to nie podła potwarz? — wyjąkał wreszcie. Promienny uśmiech Lilith rozświetlił całą komnatę.

- Będziesz mógł sprawdzić moje informacje na własne oczy. Mają się spotkać w starym kościele, gdzieś na Ziemi. Nie jesteś ciekawy, gdzie dokładnie?

Azbuga był bardzo ciekawy.

Nuriel przedzierał się przez tłum, rozgarniając przechodzących silnymi ruchami ramiion. Klęli, ale się rozstępowali. Anioł próbował przebić się na schody gmachu sądu. Wyrzucał sobie, że zabrał Beryl na Plac Niebiański, gdzie zawsze łatwo się zgubić. Tak stało się i tym razem. Rozdzielił ich strumień pieszych, podążających do Pałacu Gryfów. Nuriel miał nadzieję, że z wysokości schodów dostrzeże dziewczynę. Przelecieć nad Placem nie mógł, chociaż w zdenerwowaniu rozważał i tę ewentualność, gdyż fruwanie na terenie Królestwa jest surowo zakazane. Pachołkowie straży skrzydlatej dorwaliby go i odprowadzili poza obręb murów, a wtedy żegnaj, Beryl! Nigdy by jej nie odnalazł. Wdrapał się na schody i odetchnął z ulgą. Zobaczył dziewczynę kurczowo przyczepioną do złotego obelisku, upamiętniającego słynny atak Rydwanów w Bitwie o Trzecie Niebo. Mądra dziewczynka! - pomyślał. Nie ruszaj się stąd. Zbiegając pędem po schodach, wpadł z całym impetem na wychodzącą z gmachu sądu, zawołaną Świetlistą. Potknęła się i niemal upadła. Podtrzymał ją w ostatniej chwili.

- Przepraszam - zawołał ze skrucą. - Tak mi przykro. Nic ci nie jest, pani?

Świetlista pochyliła głowę. Jej głos brzmiał oszałamiająco słodko.

- Zupełnie nic. Nie żywię urazy.

Schyliła się, żeby otrzepać kraj sukni.

- Pozwól, że pomogę - zaofiarował się Nuriel, przyklękając.

- Nie trzeba! - rzuciła ostro. Znacznie za ostro. Chciała odwrócić twarz, ale nie zdążyła.

Nuriel spojrział w bezdennie czarne oczy.

- Nie nagabuj mnie, bo wezwę straż! - warknęła nieznajoma. Jej obcasy spieszenie zastukały na stopniach schodów.

Zaskoczony, przez chwilę stał w bezruchu, a potem pobiegł w dół.

- Nareszcie jesteś! - jęknęła Beryl, odrywając się od obelisku i zarzucając mu ręce na szyję.

- Beryl - szepnął Nuriel - widziałem Lilith! Wychodziła w przebraniu z budynku sądu. Musimy natychmiast zawiadomić Gabriela.

Gabriel krążył po pustym wnętrzu kościoła, nerwowo wylamując palce wypielegnowanych dłoni. Czuł, że coś poszło niezgodnie z planem. Więcej, był o tym przekonany. Zaczął bezwiednie bawić się potężnym pierścieniem mocy z wyrytą na nim pieczęcią, który zawsze nosił przy sobie. To podsunęło mu nagłą, niezbyt przyjemną myśl. Skrytobójca, który zabił Sariela na rozkaz Suki, mógł, korzystając z tego, że archanioł stracił przytomność, odcisnąć jego pieczęć na dowolnym dokumencie, co oznacza, że każdy papier

sygnowany przez piątego z szeregu traci wiarygodność. Prawdopodobnie Lilith rzeczywiście miała zamiar skłócić Mrocznych i Świetlistych przy pomocy sfalszowanego raportu nieżyjącego Sariela. Gabriel westchnął.

- Nie przejmuj się tak, Dżibril - Michael lekko klepnął go w plecy. - Jesteśmy tak zabezpieczeni, że tym razem Srogi Lew nie zdąży nawet zaryczeć, zanim znajdzie się w klatce. Wtedy wyrwanie zębów Suce stanie się tylko kwestią czasu.

- Łatwo ci mówić, Michasiu. Jesteś żołnierzem, a ja, chcąc nie chcąc, muszę babrać się w polityce.

Michael roześmiał się.

- Bardziej chcąc, niż nie chcąc, przyznaj się!

Gabriel również zdobył się na uśmiech.

- Czasem się boję, że po prostu mam to we krwi.

Obaj zamilkli, gdy wrota zazgrzytały, a do środka pospiesznie wszedł Lampka.

- Ariok idzie! — syknął z napięciem. - Wszyscy na stanowiska!

Po chwili kościół wydawał się tak cichy i pusty, jakby nikt go nie odwiedzał od lat.

Nuriel drżącymi palcami wyjął kryształ i spojrzał w głąb. Wryte w kamieniu oko drgnęło, obracając się coraz szybciej wokół własnej osi. Powierzchnia kryształu zmatowiała, powlekając się mleczną mgłą. Nagle pojawił się na niej wyraźny obraz: wstępujący do ciemnej nawy Ariok i ukryte w mroku cztery sylwetki, w których Nuriel rozpoznał Gabriela, Michała, Lucyfera i Beliala. Scena zniknęła równie nagle, jak się pojawiła, zastąpiona inną. Na jej widok anioł jęknął. Wąską uliczką pędził w dół Filar Sprawiedliwości, należący do chów Sił.

Sędzia Azbuga, w najpotężniejszej bojowej postaci — świetlistej kuli.

- O rany! - jęknął Nuriel. - Chyba nie zdążymy!

Porwał Beryl za rękę i wpadł jak burza do najbliższej bramy, prowadzącej na Ziemię.

Ariok zatrzymał się niepewnie po kilku krokach. Za blisko wejścia, zdąży uciec - pomyślał zastygł w oczekiwaniu Gabriel. Miał nadzieję, że Razjel wraz z Azazelem cicho i sprawnie zajmą się żołnierzami, których Srogi Lew przyprowadził ze sobą.

Ariok ruszył do przodu, rozglądając się nerwowo. Teraz! - przemknęło przez myśli Gabriela, gdy nagle kątem oka dostrzegł upiorny blask, jakim niespodziewanie rozjarzyły się witrażowe okna. Na zewnątrz są Rydwany lub Siły, zrozumiał w popłochu. Skąd się tu wzięły?

- Bierzcie go i chodu! — krzyknął rozpaczliwie. — Przez wejście do zakrystii!

Dwoma susami dopadł drzwi i zaryglował je. To, co działo się w kościele przypominało rycinę z księgi szalonego alchemika. W strumieniach lejącego się z okien, wielobarwnego światła kotłowały się na posadzce cztery nadprzyrodzone istoty - Trzy Mroczne i jedna

Świetlista. Groteskowe cienie tańczyły na ścianach, na przemian wydobywając lub pogrążając w ciemności twarze świętych, spoglądających z obrazów w niemym zdumieniu oraz złote torsy i głowy rzeźbionych aniołów, których usta zdawały się otwierać do krzyku. Ariok walczył jak lew. Powaliła go dopiero uderzeniem w szczękę mordercza pięść Michaela. Belial natychmiast poprawił z drugiej strony i koalicja zwyciężyła.

Wszystko to nie trwało dłużej niż mgnienie oka. Coś z ogromną siłą uderzyło w drzwi, które jęknęły i zadrżały.

- Zabierzcie go! Szybko! - Gabriel rozpaczliwie zamachał rękami. Zwycięzcy błyskawicznie powlekli Arioka ku tylnemu wyjściu.

Abzuga toczył się z impetem prosto do kościoła. Gniew dodawał mu sił, wzmagał prędkość. W znacznej odległości za nim pozostało kilku zaufanych Rydwanów i Sił, których zabrał ze sobą, żeby mieć świadków lub, w razie potrzeby, sprzymierzeńców.

Nuriel i Beryl, niosąc przed sobą Oko Dnia niby fosforyzujący kompas i dysząc z wysiłku, wyłonili się zza muru świątyni. Jedno spojrzenie pozwoliło Nurielowi ocenić sytuację. Spóźnili się! Abzuga niemal dopadał wrót budynku. Położenie archaniołów, znajdujących się w towarzystwie trzech Księżąt Głębi we wnętrzu kościoła było rozpaczliwe. Filar Sprawiedliwości oskarży ich o zdradę i skaże na śmierć w świetle Prawa. Nikt nie znajdzie żadnego wytłumaczenia ani usprawiedliwienia. Tajny Plan A, cokolwiek oznacza, zostanie zdemaskowany.

Nuriel służył wiele lat pod rozkazami Gabriela podczas pradawnej wojny z Mrocznymi. Przeżyli razem dobre i złe chwile, a archanioł zawsze okazywał się godnym szacunku dowódcą i oddanym przyjacielem. Miał też wiele sympatii dla szczerego, odważnego Michaela. Lecz nie samo poczucie lojalności względem przełożonych, ale wspomnienie wykrzywionej z wysiłku i męki twarzy Sariela kazało mu podjąć szaleńczą decyzję.

- Nie wejdiesz tam! - krzyknął, zastępując drogę ognistej kuli.

- Precz z drogi, nędzniku! - ryknął płomień.

Nuriel nie ludził się, że może zatrzymać rozpędzonego Abzugę. Liczył tylko, że nierówna walka da archaniołom szansę ucieczki. Usłyszał przeraźliwy, histeryczny krzyk Beryl. Zdążył jeszcze przybrać bojową postać Burzy Gradowej, gdy poczuł straszliwe, zwałające z nóg uderzenie, kiedy Najwyższy Sędzia, jeden z ośmiu Filarów sprawiedliwości wpadł na niego.

Drzwi wyłamały się z trzaskiem. Przez szczelinę wdarł się tak silny blask, że Gabriel musiał zmruzzyć oczy.

- Co to ma znaczyć? - usłyszał ryk Abzugi. Siła wygasił płomień, przybierając zwykłą postać. Gabriel wyszedł z kościoła. Bruk i chodnik zbryzgane były krwią. Za plecami Abzugi zobaczył dziewczynę, klęczącą przy rozciągniętym nieruchomo na ziemi ciele anioła. Fioletowe włosy leżącego tonęły w kałuży krwi.

- Pytałem, co to znaczy! - w głosie Najwyższego Sędziego wciąż dawała się słyszeć wściekłość. - Jakim prawem ten parszywy robak ośmielił się zagrozić mi drogę?!

- Wybacz - powiedział sucho Gabriel, z trudem powstrzymując się, żeby nie skoczyć Sile do gardła. Miał ochotę rozwalić jego tępą czaszkę o brukowe kamienie. - Poprosiłem mego najlepszego żołnierza, żeby objął straż przy drzwiach i nie wpuszczał nikogo. Spełnił swój obowiązek. Aż do końca.

- Zezwoliłeś zatem swemu słudze podnieść rękę na godniejszych od siebie? - warknął Azbuga.

Gabriel zacisnął szczęki. Nigdy nie był tak blisko wybuchu. Wziął głęboki oddech, żeby się opanować.

- Zdaje się, że nie zrozumiałeś, szanowny sędzio - odezwał się spokojny, chłodny głos. - Cherubin Gabriel poprosił przyjaciela o ważną przysługę, którą ten, jak przystało na żołnierza, wypełnił najlepiej jak potrafił.

Archanioł odetchnął z ulgą. Razjel zjawił się w samą porę. Pan Magów mierzył Azbugę zimnym, nieprzejednanym spojrzeniem. Rydwany i Siły, które sędzia przyprowadził ze sobą zbliżyli się właśnie. Większość zdążyła już przybrać normalną postać. Gabriel rozpoznał w nich kilku wyższych urzędników Pałacu Sprawiedliwości.

- Żaden z was me odpowiedział mi, co się naprawdę wydarzyło - Azbuga stał chmurny i gniewny.

- Przypominam ci, panie, że zwracasz się do archaniołów, stojących przed Tronem, Książąt Blasku. W swoim wzburzeniu zapomniałeś o właściwych formach.

- Grozisz mi? - syknął sędzia. Chciał dodać „zdrajco”, ale ugryzł się w język. Uśmiech Razjela przypominał sztylet.

- Ależ skąd, pragnę tylko uniknąć zbędnych nieporozumień.

- Chcę wejść do środka - warknął Azbuga. - Za waszą zgodą, panowie - dodał z szyderczym ukłonem.

- Bardzo proszę - powiedział Gabriel. - Razjelu, zechciej towarzyszyć Filarowi Sprawiedliwości.

Siła dumnym krokiem wszedł do kościoła. Za nim podążył Raziel! oraz świta Azbugi. Wnętrze było zupełnie puste. Na widok rozwartych szeroko drzwi do zakrystii sędziego krew zalała z wściekłości. Czuł, że został wystawiony do wiatru ale nie miał na to żadnych dowodów, niczego, co mogłoby posłużyć oskarżeniu. Obecność dwóch archaniołów w kościele była bardziej niż naturalna. Po trzech Mrocznych i Michaelu nie pozostał żaden ślad.

- Czy każeś przeszukać kościół, panie? - zapytał Raziel z tak jawną drwiną, aż zazgrzytał zębami.

- Nie uważam tego za konieczne - rzekł wyniośle, przekonany, że choćby szukał do Dnia Sądu i tak nic by nie znalazł. Jednak kręcił się jeszcze jakiś czas po kościele, dla zachowania twarzy.

Gabriel zbliżył się do leżącego Nuriela. Wydawało mu się, że anioł jeszcze żyje, choć jego skóra przybrała kolor popiołu. Klęcząca obok Beryl podniosła głowę. W jej oczach było tyle oskarżenia i bólu, że Gabriel musiał spuścić wzrok.

Azbuga majestatycznie wytoczył się z budynku.

- Wszystko bardzo pięknie, stojący przed Tronem, ale ja wciąż nie wiem dlaczego Jego Jasność Gabriel ustanowił straż przed drzwiami tego domu Pańskiego. Czyżby tak bardzo się bał, że ktoś przeszkodzi mu w modlitwie?

Gabriel zignorował zawartą w zapytaniu ironię.

- Mylisz się, szlachetny sędzio — rzekł — w tym miejscu zastawiliśmy pułapkę na Lilith, wszetecznice, oby jej imię było przeklęte na wieki. Twoje przybycie skutecznie udaremniło.

Brwi Azbugi uniosły się w górę.

- Kogo masz na myśli, panie, mówiąc „my”?

- Razjela, Michaela i mnie. Księżę Zastępów rzucił się w pogoń za Suką, gdy blask Rydwanów ją spłoszył.

- Dlatego tylne wyjście pozostało otwarte - dodał bezczelnie Razjel. Azbuga milczał.

- Lilith zabiła archanioła Sariela, piątego z Siedmiu. Ośmieliła się także ukradzioną mu pieczęcią sfalszować raporty, donoszące o rzekomej zdradzie niektórych wysokich dostojników - powiedział Gabriel.

- Skąd wiecie, że były to dowody fałszywe? - wtrącił Azbuga.

Razjel wrzucił ramionami.

- Na liście znajdowały się nazwiska kilku urzędników Pałacu Sprawiedliwości. Również twoje, Filarze Sądownictwa. Sam widzisz, że to nędzna mistyfikacja.

Azbuga wyglądał, jakby gwałtownie uszło z niego powietrze. Razjel wspomniawszy nagle dwie ładne dzinnije, Dżamilę i Zulejkę, które okazały się iście fanatycznymi podwładnymi Lilith. Zastanowił się jakich sztuczek użyła Suka, żeby je tak zniewolić. Musiał zastosować bardzo ciężkie zaklęcia, żeby przełamać ich opór i dowiedzieć się prawdy. A jednak warto dogłębnie studiować wiedzę tajemną, pomyślał. Dzięki temu nie dość, że obie dzinnije nie doznały żadnej krzywdy, to w dodatku nie pamiętają absolutnie nic z całego przesłuchania, łącznie z faktem, że miało miejsce. W ten sposób Lilith nie wie, że została zdemaskowana.

- Chyba wszystkie kwestie znalazły rozwiązanie, prawda? - usłyszał. Wyrwawszy się z zamyślenia napotkał błagalny wzrok Gabriela, który zdawał się mówić „zabierz ich stąd!”

- Nie ma sensu dłużej tracić czasu - rzekł. - Wracajmy do Królestwa, sędzio i drodzy panowie. Jeśli pozostały jakieś niejasności, wytłumaczę je po drodze.

Azbuga, nie mogąc znaleźć żadnego sensownego powodu, żeby zostać dłużej, zgodził się niechętnie.

Kiedy odeszli, Gabriel przyskoczył do Nuriela. Życie jeszcze się w nim tliło, chociaż każda z ran z pozoru wyglądała na śmiertelną. Archanioł przyklęknął, lewą rękę położył sobie na sercu, a dwoma palcami prawej dotknął klatki piersiowej konającego.

- W imię Świętego Majestatu - szepnął - nakazuję ci pozostać wśród żywych!

Wypowiedział w myślach najpotężniejszą formułę jednego z tajnych, prawdziwych imion Pana. Poczul wstrząs, powieki Nuriela zadrgały, a Gabriel zobaczył przed oczami fajerwerki czerwonych błysków. Gdy wstał, zrobiło mu się słabo. Oddał aniołowi Burzy Gradowej tyle własnej energii, ile był w stanie.

- Zabierzmy go do środka - powiedział do klęczącej wciąż Beryl, wskazując ręką kościół.

Dźwignął Nuriela z chodnika i wniósł do wnętrza, a dziewczyna rozesłała pospiesznie przed ołtarzem dywan z zakrystii i kilka starych, nadgryzionych przez mole orna-

- Zginał, broniąc waszej cholery tajmicy — powiedziała z goryczą. - Nie wierzę, że było warto.

- Wcale nie zginał - mruknął Gabriel. - Bóg Uzdrawia!

- Jak możesz być taki cyniczny! - krzyknęła.

- Bądź cicho, wołam Rafała! Bóg Uzdrawia!!! - wrzasnął ponownie, o wiele głośniej.

Odpowiedziała mu cisza.

- Ogłuchli, czy co! - syknął z wściekłością. Spojrzał na Beryl z napięciem. - To stary kościół. Odprawiają tu zaledwie kilka mszy w roku. Chciałem odwołać się do hostii, o przedmiotu, który stanie się Świętym Ciałem Pańskim, ale tabernakulum jest puste. Czuję to. Nawet woda święcona wyschła. Nie ma tu nic, czego mógłbym użyć jako leku, chociaż to dom modlitw, więc będzie tu bezpieczniejszy niż na dworze. Jeśli ci na nim zależy, pomóż mi przywołać Rafała. On się zajmuje uzdrowieniami.

Krzyknęli oboje, tak głośno, aż zadzwoniły witraże.

- Co się stało? - jęknął przestraszony Rafał, lądując niespodziewanie tuż przed nimi.

- Gdzieś ty się podziewał? - warknął ze złością Gabriel. - Sprawić ci aparat słuchowy? Rafael dostrzegł Nuriela.

- O rany - syknął - kiepsko z nim!

- Tyle sam widzę. Możesz coś zrobić?

- Błagam - szepnęła Beryl. Po twarzy ciekły jej łzy.

Rafał wzruszył ramionami.

- Spróbuję.

Stał przed Nuriel, rozłożył ramiona i zamknął oczy.

- Pan jest życiem i siłą - powiedział łagodnie. - Pan jest radością i miłosierdziem. Jego słowo jest wieczne, Jego dobro uzdrawia. Zostań z nami, aniele Burzy Gradowej. Twój czas jeszcze się nie wypełnił.

Spomiędzy rozwartych dłoni archanioła spłynął złoty blask, który otoczył leżącego Nuriela połyskliwym kokonem.

- Uratuj go, Panie - szepnął bezgłośnie Gabriel. - Zasłużył na lepszą śmierć.

Złoty kokon coraz szczelniej otulał ciało rannego, jakby wchłaniany do wnętrza. Po chwili znikł zupełnie. Rafael pochylił się nad nieprzytomnym aniołem.

- Powinien z tego wyjść - powiedział. - Ale to długo potrwa.

Fanuel wszedł do swego gabinetu, znużony opadł na fotel. Sięgnął po pierwszą ze stosu książek, leżących na biurku, przerzucił kilka kartek. Zamknął tom z trzaskiem, odsuwając od siebie. Ostatnio nie miał ochoty na lekturę. Męczyły go niespokojne myśli i dylematy, których nie miał nigdy przedtem. Pochylił głowę, uciskając skronie dłońmi. Skrucha, pomyślał, jest cudownym lekarstwem duszy. Ale wewnątrz czuł jakiś niesmak, gorzką truciznę fałszu, sprawiającą, że tracił czystość myśli i pewność sądów. Już nie potrafił ocenić, jakie pobudki są szczerze, a jakie oszukańcze. Prawdę mówiąc, niczego już nie potrafił trzeźwo ocenić. Do jego uporządkowanego świata wdarł się ból i chaos.

Usłyszawszy szelest uniósł głowę. Jego orzechowe oczy spotkały się z głębią nakrapianej złotem zieleni.

- Samael! - wyjąkał przestraszony. - Nie wolno ci tu wchodzić! Nie wolno ci przebywać w Królestwie! Jesteś... wygnańcem.

Czerwone jak płomień kędziory Samaela zdawały się świecić w mrocznej komnacie, Ryży Hultaj, Księżę Banitów, uśmiechnął się, odsłaniając duże, drapieżne zęby.

— Zgadza się — przytaknął — ale zamiast mnie wyrzucać, wysłuchaj lepiej, co mam ci do powiedzenia. Dla własnego dobra, Fanuelu.

Lilith miała powody do zadowolenia. Nawet jeśli Azbuga nie zdoła dorwać Gabriela i reszty bandy, skłóci ich pojmanie Arioka albo sfalszowane listy Sariela, z których wyniknie, że nikt nie ma czystego sumienia. Uczestnicy spisku zaczną się zreć między sobą, aż zniszczą się zupełnie, a ona wreszcie odkryje prawdę. Co też oni mogą knuć? Nowy bunt? Nie, to bez sensu. Konserwatyści i świątobliwe trepy w rodzaju Fanuela nigdy nie poprą puczu pod przywództwem Gabriela, a jest ich w Królestwie przeważająca ilość. Z drugiej strony Księżęta Otchłani sprzymierzą się z samym Panem, żeby osłabić pozycję znieawidzonego Lampki, który dorwał się do koryta razem ze swoimi kolesiami tylko dlatego, że w zamierzonych czasach odważył się zaszurać Szeferowi. Zresztą i tak przegrał. Świątobliwi nakopali mu do dupy. Więc o co chodzi? Sfigowana wojna? Ale po co, na Głębie?

Lilith uśmiechnęła się. No nic. Niedługo i tak się dowie. A przy okazji pozbędzie się większości silnych przeciwników i wkroczy na wymiecione podwórko władzy. Może da się coś jeszcze wygrać, podburzając do zemsty popleczników Arioka. O własne bezpieczeństwo nie musiała się bać. Wiedziała doskonale, że Srogi Lew, choćby go kroili na plasterki, nie wspomni ani słowem o jej udziale w sprawie. Z pewnością weźmie na siebie zabójstwo Sariela. Nie ma to, jak prawdziwa, babska magia. Teraz pozostało jej tylko do końca okręcić wokół palca tego głupiego trepa Fanuela. Jak łatwo dał się nabrać na skruszoną minkę i udawanie skromnisi. Pouczał ją i nawracał, pieprząc takie niedorzeczności, aż miała ochotę parsknąć śmiechem. Ta dojna krówka przyniesie jej podwójną korzyść. Gdy go zupełnie

omota, skłoni go pewnie do wyjawienia prawdy o spisku, co oszczędzi jej wiele zachodu, a po upadku Gabrysia i Lampki, dzięki sprytniej manipulacji jego słabą psychiką, powolutku doprowadzi ją do objęcia władzy. Niech mrok błogosławi głupotę i naiwność Fanuela! Lilith poprawiła na sobie pokutną szatę, żeby wyglądała bardziej zalotnie, roztała na twarzy nieco sadzy i już była gotowa do wyjścia.

- Witaj, moja piękna żono - powiedział niskim, złowrogim głosem Samael, wyłaniając się z cienia za regałem. - A może wolisz, żebym cię nazwał piękną dziwką? Od kiedy to udajesz świątobliwą neofitkę?

- Nie twój interes! Wynoś się stąd, parszywe ścierwo!

- Czy tak nawrócona małżonka wita ukochanego męża? Wypadasz z roli, skarbie.

- Męża? - warknęła z furją. - Twoje rogi objają się o sufit Kopuły Niebieskiej. Nigdy nie zapomnę, jak klęczałeś przede mną, błagając ze łzami w oczach, żebym do ciebie wróciła, a moich sześciu aktualnych kochanków płakało ze śmiechu, podsłuchując za ścianą, ty ryza świni!

- Masz rację - głos Samaela stał się lodowaty i dźwięczny. Ja także tego nie zapomnę. Cóż to, twój archanielski kochanek się spóźnia?

- Kochanek? Obrażasz mnie. Nie tknęłabym tego ochłapu dwumetrowym kijem. Najparszywszy niewolnik jest lepszy od niego! Znalazłam sobie rozrywkę, słuchając jego tępej, namaszczonej gadaniny. Bawi mnie i tyle. A teraz precz stąd, szmato, bo wezwę kilku osiłków, którzy cię przerobią na karmę dla psów. Jesteś banitą, drogi mężu. Może zgarnę nagrodę za twój głowę, a potem napluję na twój grób.

Drzwi gabinetu otworzyły się bezszelestnie.

- A ja jej we wszystkim wierzyłem - wyszeptał pobladły Fanuel - We wszystkim.

- Nie przejmuj się - powiedział Samael. - Nie ty jeden.

Lilith osłupiała na moment, jakby trafił ją piorun. Niespodziewanie przyskoczyła do Samaela z wściekłym wrzaskiem oszalałej pantery. Śmignęły pazury, a rudowłosy anioł poderwał ręce do twarzy. Lilith wypadła przez drzwi, znikła na klatce schodowej. Nikt jej nie gonił.

Samael odjął dłoń od policzka, na którym widniały cztery krwawe pręgi.

- Chciała mi wydrapać oczy - powiedział ponuro. - Ale mam uroczą żonę, niech ją diabli. Fanuel siedział przy biurku z twarzą ukrytą w dłoniach.

Nuriel otworzył oczy. Ujrzał oszałamiającą roślinność rajszych ogrodów. Pomiedzy ciężkimi od jabłek gałęziami mignął łeb jednoroźca. Purpurowo-złote gryfy podrywały się do lotu. Na zielonej murawie u stóp kwitnącego drzewa ułożył się do snu mały, smukły smok.

- Obudził się - usłyszał znajomy głos Gabriela.

- Chwała Bogu - powiedziała z ulgą Beryl.

- Gdzie ja jestem? - musiał pokonać niesamowity opór, żeby poruszyć ustami. Widoczna z dziwnej perspektywy twarz archanioła przesłoniła część bajecznego krajobrazu.

- O nic się nie martw. Zapewniam wam całkowite bezpieczeństwo i najlepszą opiekę, na jaką mnie stać. Umieściłem was w Piątym Pałacu Księżyca. Należy do mnie.

Gabriel wyprostował się, a leżący w ogromnym łożu Nuriel znów mógł swobodnie patrzeć na rajski fresk na suficie.

Po kilku ciężkich dniach Nuriel, dzięki wytrwałej opiece Rafaela i Razjela, poczuł się o wiele lepiej. Chociaż przez długi czas nie mógł opuścić łóżka, a rekonwalescencja była długa i żmudna, spędzali z Beryl miłe, beztrudne dni w pałacu Gabriela. Dziewczyna zdążyła szczerze polubić archaniołów. W wolnych chwilach Razjel uczył ją prostych sztuczek magicznych w rodzaju przemiany miedzi w złoto lub rozkazywania dzinnom, a gospodarz opowiadał dowcipne historyjki z Królestwa i Otchłani, z których zaśmiewała się do łez, albo prezentował jej fascynującą kolekcję antyków i dzieł sztuki. Czasami wpadał Michael, jak zwykle serdeczny i pełen energii.

- Moi drodzy - powiedział pewnego ranka Gabriel - zawdzięczamy wam wiele. Prawdę mówiąc, uratowaliście nas wszystkich, a przy okazji znacznie więcej. Winniśmy wam wyjaśnienia w imię czego narażaliście życie. Muszę was ostrzec, że to potężna, niebezpieczna tajemnica. Jej ciężar przygniata na zawsze. Czy chcecie ją poznać? Decyzja należy do was.

Nuriel spojrział w oczy Beryl. Wyczytał z nich jednoznaczną odpowiedź.

- Zaryzykujemy - rzekł, a dziewczyna skinęła głową.

Gabriel otworzył przed nimi drzwi dużej, bogato urządzonej komnaty. Nuriel drgnął zaskoczony, ujrawszy wewnątrz Lucyfera i Asmodeusza. Na parapecie okiennym siedział Razjel, a Rafael na ich widok wstał z niskiej sofy w rogu.

- Pewnie dziwi was nasza obecność tutaj - powiedział Lampka, pokazując w uśmiechu rząd ostrych zębów - ale to właśnie pierwsza część naszej małej tajemnicy.

- Ta lepsza - dodał Asmodeusz, unosząc w górę palec.

- Druga naprawdę zwała z nóg - ciągnął Lucyfer. - Gabrielu, bądź łaskaw wyjaśnić swoim gościom w czym rzecz.

Archanioł wziął głęboki oddech. Jego twarz była poważna.

- Pan odszedł od nas.

- Co?!!! - Pod Nuriem ugięły się kolana.

- Nie ma Go. Po prostu opuścił Królestwo, a wraz z nim Królowa, większość świętych, patriarchowie i prorocy. Zniknęli też wszyscy serafini, a nawet Metatron.

- Więc nie rodzą się nowe anioły? - szepnął wstrząśnięty Nuriel. Oszołomiona Beryl milczała.

- Ależ rodzą się - rzekł Razjel. - Tam, gdzie Metatron obecnie przebywa. Błękitne oczy anioła zwięzły się, jakby nagle coś do niego dotarło.

- Czyste, nieskalane, pełne blasku anioły... Takie, jak my byliśmy na początku...

- To zmusiło nas do zawiązania koalicji. - Lampka poprawił się na krześle. - Nie powiem, żeby któraś ze stron wpadła z tego powodu w zachwyty.

- Staramy się za wszelką cenę ukryć zniknięcie Pana i utrzymać dawny porządek.

- Oficjalnie Głębia i Królestwo nadal pozostają w jawnym konflikcie, chociaż na najwyższym szczeblu z konieczności staliśmy się sprzymierzeńcami. - Gabriel obracał na palcu pierścień z pieczęcią.

- Dlaczego? - niezbyt mądrze spytała Beryl, która wciąż nie mogła dojść do siebie.

- Kotku - Asmodeusz pochylił się ku niej - żaden z nas nie utrzymałby się trzy sekundy na stołku, gdyby to się rozniosło. Nasza władza została niejako sygnowana przez Pana. W obecnej sytuacji każdy mógłby uważać się za godniejszego jej sprawowania. Setki możliwych i słabych, świątobliwych i hultajów, aniołów i demonów natychmiast wystąpiłyby przeciwko nam, a następnie przeciw sobie nawzajem.

- Potraficie sobie wyobrazić, do czego by to doprowadziło? - wtrącił sucho Razjel. - Apokalipsa wyglądałaby przy tym jak kinderbal.

- Nie mamy pojęcia, gdzie jest Pan - oczy Gabriela pociemniały od troski. - Nie umiemy się z Nim skontaktować, nie możemy Go odnaleźć. Boska moc, tchnięta w świat, powoli się wyczerpuje. W Zaświatach panuje potworny chaos. Klasyfikujemy dusze według indywidualnych ksiąg uczynków, choć, prawdę powiedziawszy, nie mamy do tego prawa. Jedynym, który bezpośrednio uczestniczył przy zniknięciu i pozostał wśród nas jest Książę Serafinów, Serafiel, ale on oszalał. Twierdzi, że Pan nakazał mu zostać, aby przekazywać nam swoją wolę. Czasem powie coś sensownego, chociaż najczęściej bredzi od rzeczy. Jednak bierzemy pod uwagę jego słowa, bo a nuż mówi prawdę? Niczego nie możemy być pewni.

- Wszyscy Serafini są trzepnięci - Lampka wzruszył ramionami. - Stoją za blisko czystej Chwały Pańskiej.

- Są jeszcze wizyty Królowej na Ziemi - odezwał się milczący dotąd Rafał. - Ponoć objawia się ludziom, głosząc posłanie miłosierdzia, nadziei i pokuty. Opromienia swoją mocą źródła, miejsca, wizerunki...

- O czym z pewnością doskonale wiesz, aniele Burzy Gradowej - nie omieszkał złośliwie dodać Asmodeusz.

- To tylko pogłoski! - zawołał Gabriel z udawką w głosie. - Niesprawdzone doniesienia dzieci i pastuszków! Nie wolno nam wierzyć w nie bezkrytycznie!

- Gabrielu - spytał wolno Nuriel - co to jest plan A?

Archanioł zmieszał się, odwrócił głowę, unikając jego wzroku.

- Awaryjny projekt na wypadek gdybyśmy zostali zdemaskowani, albo cokolwiek innego się rypnęło - uprzejmie wyjaśnił Lucyfer.

Na ustach Asmodeusza pojawił się brzydki uśmiezek.

- Mówiąc prościej, mieliśmy sfingować Apokalipsę. Sąd, Dies Irae i tak dalej...

- Nie!!! - jęknął zdruzgotany Nuriel. - Nie ośmielilibyście się tego zrobić!

- To był tylko projekt - szepnął Rafał. - Nie braliśmy go naprawdę pod uwagę...

- Jak to nie! - krzyknął Lucyfer. - To nasza najlepsza tajna broń!

Archaniołowie w milczeniu wpatrywali się w posadzkę.

- Kto mógłby... kto miałby czelność zagrać Pana? - wykrztusił Nuriel.

- Michael - odparł słodko Asmodeusz. - Z racji pewnego podobieństwa do Szefa. W końcu jego imię znaczy „Któż jest jak Bóg”.

- A Syna? - szepnęła przerażona Beryl.

Niosący Światło wyszczerzył zęby.

- Syn jest Światłością. Jak typujesz?

- To straszne! - Nuriel patrzył na nich ze zgrozą - Nie mogę uwierzyć! To jakiś koszmar.

- Co miał wam dać ten plan A? - zapytała Beryl.

- Przewagę opartą na strachu i zaskoczeniu - wyjaśnił Asmodeusz. - Zdążylibyśmy załatwić większość przeciwników, zanim zorientowaliby się, że to blef. Razem dysponujemy naprawdę potężną siłą. Nasza Apokalipsa wypadłaby pewnie niewiele gorzej, niż prawdziwa.

- Nie chcę tego słuchać! - krzyknął Nuriel, zakrywając twarz dłońmi. Gabriel wzruszył ramionami.

- Przecież ostrzegałem. Chodźcie, chcę wam pokazać wszystko do końca.

Beryl pociągnęła Nuriela za rękaw. Spojrzał na nią. Jego oczy przypominały dwie puste dziury.

- Lepiej rzeczywiście stąd wyjdźmy - powiedziała. Nuriel posłuchał jej bez sprzeciwu.

- Nie przejmuj się tak! - rzucił mu na pożegnanie Asmodeusz. - W sumie to tylko polityka.

Gabriel wypchnął ich za drzwi.

Stali w pustej komnacie z podwyższeniem pośrodku. Na podłodze siedziała najbardziej przerażająca i obca istota, jaką Beryl potrafiła sobie wyobrazić. Miała trzy pary cienkich jak pergamin skrzydeł. Bił od niej żar i potężny blask, który jednak nie oślepił, ani nie ogrzewał. Ciało wydawało się zbudowane z czegoś, co nieustannie drgało, wybuchając i przygasając jak płomień.

- To Serafiel - powiedział Gabriel - Wódz Chóru Serafinów.

Serafiel obrócił ku nim obłą, wydłużoną głowę. Olbrzymie oczy wpatrywały się w przybyszów beznamiętnie. Beryl pomyślała, że zaraz zemdleje albo, co gorsza, zwymiotuje. Nawet Gabriel czuł się nieswojo.

Wtem odezwał się przejmujący, świszczący szept, przywodzący na myśl trzask głowni na palenisku.

- Rydwany się toczą i toczą się słowa. Co większą ma siłę - czy miecz, czy rozmowa?

Gabriel spojrział znacząco. Głowa Serafiela pochyliła się w lewo. Rozłożył górną parę skrzydeł.

- Uważają, że jestem wariatem - znów ten straszny, świszczący szept. - To śmieszne.

Anioły są pozbawione rozumu. Ale ty wiesz, prawda?

Beryl stwierdziła z przerażeniem, że Serafin zwraca się do niej.

- Nie! - wykrztusiła.

- Oczywiście, że wiesz. Ludzkie szczenię. Co za marność! Garść popiołu, a Pan tak o was zabiega. Zbliź się! Niech ci się przyjrzę.

Ku własnemu osłupieniu Beryl stwierdziła, że jej nogi się poruszają. Nie była w stanie zatrzymać się: ani wykrztusić słowa. Gabriel i Nuriel stali bez ruchu, jak zakłęci.

- Zegar bije. Czas jest powodem lęku. Powiedz im, Beryl. Przekaż im prawdę o miłości, poszukiwaniu i gmeraniu się w błocie. Wszak jesteś ludzkim szczenięciem! Teraz uciekaj, jeśli się boisz.

- Muszę stąd wyjść! - krzyknęła, rzucając się do drzwi. Nuriel wybiegł za nią.

- Nie wiem, co robić - powiedział. - Nie wiem nawet, co tak naprawdę czuję.

- Tobie trudniej to przyjąć. U nas, na Ziemi, Pan zawsze jest niewidzialny. Ale przybywa, kiedy rzeczywiście się tego pragnie. Po prostu każe nam wierzyć bez dowodów. Może to próba dla was aniołów, żebyście też potrafili uwierzyć Mu na słowo?

Uśmiechnął się.

- Mądra dziewczynka. Leczysz lepiej niż Rafael. Gabriel obiecał odnaleźć twoich rodziców. Wiem, że się z tego wywiąże. - Zawahał się. - Czy kiedy już spotkasz bliskich, pozwolisz, że... będę się nadal tobą opiekował?

- Och, Nuriel! O co ty pytasz? Poszłabym za tobą do pyska samego Lewiatana.

Turkusowe oczy zalsniły.

- To dobrze - powiedział. - To bardzo dobrze!

Razjel wsunął się cicho do komnaty tronowej.

- Odprawiłem bezpiecznie Lampkę i Zgniętego Chłopca.

Gabriel skinął głową. Popatrzył na mamroczącego coś niezrozumiale, podśpiewującego Serafiela. Znów bezwiednie bawił się pierścieniem.

- Nie masz zamiaru go usunąć - powiedział Razjel.

- Nie. Jest lojalny i rozsądny. Szybko otrząśnie się z szoku. Zresztą musimy mieć kogoś na miejsce Sariela.

- Przecież to ćpun.

Gabriel westchnął.

- Coś się wykombinuje. Rafael go uzdrowi.

Książę Magów przysunął się bliżej.

- Rafael ma obiekcje co do etycznej strony naszego postępowania. Twierdzi, że wybór mniejszego zła nie przestaje być złem sam w sobie.

Gabriel wzruszył ramionami.

- Ma rację, ale co z tego?

- Myślisz, że Pan odsunął się od nas? Na to wygląda.

Błękitne oczy Razjela zwięzły się nieco.

- A jeśli jest odwrotnie? Jeśli tomy, swoim postępowaniem, odsunęliśmy się od Niego? Nie jesteśmy już tacy, jak na początku. Zmieniliśmy się. Spójrz, o co zabiegamy, Gabrielu. O władzę, wpływy, wojny, bogactwa.

- Zawsze walczyliśmy o władzę i wpływy.

- Ale dla idei, nie dla korzyści. Ci, którzy wybrali korzyść mieszkają teraz w Otchłani.

- Nie różnimy się od nich zbytnio.

- To prawda. Może Pan zaaranżował swoje zniknięcie, żeby zmusić nas do zgody z Mrocznymi?

Gabriel poczuł narastający gniew. Spojrzał w spokojną, nieprzeniknioną twarz Pana Tajemnic. Co ty tak naprawdę wiesz, Razjelu? Jakie sekrety ukrywasz w swoich księgach? Fala rozpaczy i leku zalała go niespodziewanie.

- To tylko jałowe domysły, Razjelu! - krzyknął. - Nie mamy pojęcia gdzie Pan przebywa i jakie są Jego plany! Przestał się z nami dzielić swoimi pomysłami. Być może odszedł definitywnie i nic Go już nie obchodzi! Nie mamy nawet pewności czy wciąż jeszcze istnieje!

Serafiel przerwał swój monotony śpiew. W ciszy, która zapadła, jego świszczący szept brzmiał głośniejsz od krzyku.

- ON tu zawsze jest. Gabrielu. Patrzy na was.

WIEŻA ZAPALEK

Saturnin westchnął. Obracając w palcach kawałek pergaminu, opatrzony urzędowymi pieczęciami, pełen suchych, kategorycznych stwierdzeń, doszedł do wniosku, że przykrości to zwierzęta stadne. Nie dość, że trafił na pechowego klienta, to jeszcze przydzielili mu nowego zmiennika! Przywołał w pamięci obraz pulchnej, pogodnej twarzy Amiela, który zastępował go, odkąd Saturnin zaczął pracować. Przez ten czas zdążyli się polubić. Amiel odznaczał się łagodnym usposobieniem i unikał konfliktów, więc współpraca gładko omijała rafa. Dlaczego musieli wycofać akurat jego? Imię nowego zastępcy nic Saturninowi nie mówiło. Wydawało się równie bezduszne, jak schludne, wyraźne litery, którymi je zapisano. Westchnął ponownie.

Klient spał. Saturnin przyglądał mu się z niechęcią. Jasne, krótko ostrzyżone włosy, kwadratowa szczęka, mocna sylwetka. Wyglądał jak okaz zdrowia. Nic nie wskazywało na to, że niedawno ledwie uszedł z życiem z poważnego wypadku samochodowego. Wypadku, który okazał się zbyt poważny dla poprzednika Saturnina. Zginął w obronie klienta. Bardzo chwalebnie, ale teraz nie ma go wśród żywych, a Saturnin odziedziczył po nim robotę. Klienci z odzysku zawsze uchodzili za pechowych. Wiadomo było, że mają talent do ściągania kłopotów. Niektóre z nich kończyły się śmiercią. Jak dotąd dopisywało mu szczęście. Co prawda do tej pory ochraniał zaledwie dwóch ludzi, więc wciąż, uchodził za nowicjusza. Nowe, trudniejsze zadanie mogło oznaczać rodzaj awansu, ale równie dobrze wskazywać na obojętność urzędników. Wiele razy zdarzało się, że zieloni jak szczypior nowicjusze zaraz po szkole dostawali robotę, która przerastała ich możliwości. W większości

przypadków kończyło się to tragicznie, dowodząc tylko, że tam, w górze, ktoś najwyraźniej nie zadał sobie trudu, aby pomyśleć.

Saturnin z rozrzewnieniem wspominał swego ostatniego klienta. Był porządnym człowiekiem, kochającym mężem oddanym rodzinie. Wojnę przeżył spokojnie, na tyłach, z powodu bardzo słabego wzroku. Nigdy nie dał się zwariować pogoni za pieniędzmi i wygórowanym ambicjom. Miał pogodny charakter i, co Saturnin uważał za wyjątkowe w dzisiejszych czasach, przez całe życie nigdy nie zdradził żony. Odszedł w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat, w pewne słoneczne popołudnie, bujając się na werandzie swojego domu, który roił się wprost od wnuków i prawnuków. Do ostatniej chwili zachował trzeźwy umysł i pogodę ducha, choć trzeba przyznać, że pod koniec życia stał się nieco uciążliwy, wtrącając się do wszystkiego i do znudzenia powtarzając wciąż te same opowiastki z czasów młodości. Ale przecież nikt nie jest doskonały.

Saturnin, który musiał czekać całe dziewięćdziesiąt cztery lata, trzy miesiące i dwa dni, żeby z nim porozmawiać, przywitał go z prawdziwą radością. Czas, jaki minął, zanim zjawił się psychopompos od Adriela, anioła dobrej śmierci, upłynął im na wspomnieniach i wyjaśnieniach. Pożegnali się bardzo serdecznie, a Saturnin obiecał odwiedzić swego podopiecznego i zostać na dłuższą pogawędkę, kto bowiem może lepiej znać człowieka niż jego anioł stróż? Dotrzymywał przyrzeczenia i kiedy tylko pozwalały mu obowiązki, wpadał do Ogrodu Edeńskiego w Trzecim Niebie, gdzie były klient, jako porządny facet, otrzymał należną kwaterę.

Pierwsza klientka także nie sprawiała zbytnich problemów. Przeżyła tylko jeden kryzys małżeński i miała nieco kłopotów z dorastającym synem. Dbała o dom, lubiła zajęcia gospodarskie, a główną jej wadą była skłonność do plotek. W sumie normalka. Ale ten! Saturnin obrzucił śpiącego ponurym spojrzeniem. Bywalec knajp, miłośnik hucznych imprez, utrzymuje przygodne kontakty z kilkoma tuzinami kobiet, zawsze skory do rozróby, wynajmuje się jako ochroniarz przy podejrzanym interesach. Trudny materiał. W dodatku etyka zawodowa nakazuje go kochać. Ładnie wdepnąłeś, Saturninie, nie ma co!

Jeszcze raz przebiegł wzrokiem urzędowy pergamin. Jutro zgłoszę się po zmiennika, pomyślał. Ciekawe, jakiego dostałem? Oby tylko nie okazał się zgrzybiałym starcem. Zmiennicy, zastępujący stróżów przez przepisowe siedem dni w miesiącu lub w razie choroby i nagłych wypadków, nie rekrutowali się z dwóch specjalnie szkolonych chórów aniołów służebnych, do których należeli wszyscy zawodowi opiekunowie, urodzeni i z powołania przeznaczeni do wykonywania swojej profesji. Stanowili zbieraninę emerytów, rencistów, zdegradowanych urzędników oraz żołnierzy, dla których zabrakło akurat miejsca w służbie czynnej. Prawdziwi stróże uważali zastępców za gorszych od siebie, wytykając im, często niestety słusznie, brak zaangażowania lub umiejętności. Ze swojej strony zmiennicy nie pozostawali dłużni, nazywając stróżów najbardziej wstecznymi, pospolitymi i zakłamanym dupkami w Królestwie.

Saturnin złożył pismo, wepchnął je do kieszeni w tunice, zastanawiając się, czy nowy zastępca równie mało przypadnie mu do gustu, co nowy klient.

– Eee... Gamerin, jak sądzę? – zdołał wybąkać, z całej duszy modląc się, żeby odpowiedź brzmiała „nie”. W życiu nie widział anioła, z którym chciałby mieć mniej do czynienia. Zapytany był średniego wzrostu, szczupły, ale dobrze zbudowany. Gęste, grube włosy o barwie ciemnego miodu sięgały mu prawie do ramion. W twarzy o wydatnych kościach policzkowych i lekko wklęsłych policzkach lśniły przymrużone, przenikliwe oczy, szare jak krzemień. Spiczastą brodę szpeciła długa blizna. Nieznajomy miał na sobie regulaminową, sięgającą przed kolana tunikę stróża, ale nie zadał sobie trudu włożenia pod spód przepisowej bluzy z trzema paskami przy mankietach. Z rękawów tuniki wystawały żylaste, muskularne ramiona. Zamiast wąskich spodni w kolorze bluzy i lekkich butów ze sznurowanymi cholewkami nosił zniszczone spodnie w panterkę i czarne wojskowe buciory. Miał tylko jedno skrzydło, prawe. Na szyi dyndał mu pęk dziwacznych talizmanów, podejrzenie kojarzących się z czarną magią. Były żołnierz, z powodu kalectwa wycofany ze służby, pomyślał Saturnin w popłochu. Najgorszy zmiennik, jaki może się trafić przyzwoitemu aniołowi. Bardzo się starał zachować uprzejmy wyraz twarzy, ale bezwiednie przybrał minę domowego psiaka stojącego oko w oko z wkurzonym lwem.

– Możesz mi mówić Drago – powiedział weteran. – Wszyscy mnie tak nazywają. – Zrobił gest, jakby chciał podać Saturninowi rękę, ale stróż stał sztywno jak słup.

– Miło cię poznać, Drago – wymamrotał w końcu, zdumiewając się własną dwulicowością. – Mam nadzieję, że nasza współpraca będzie owocna.

– Okaże się. – Drago odsłonił w uśmiechu duże, mocne zęby. – Zaczynamy od zaraz?

– Tak, to znaczy... dzisiaj przez cały dzień zostanę z tobą, żeby... hmm, przyuczyć cię do obowiązków.

– Przyuczyć – mruknął żołnierz. – No dobra.

Opuścili refektarz Trzeciego Domu przy Drugim Kręgu, minęli internat i kwatery stróżów, miejsca, w których Saturnin spędził całe dzieciństwo i wczesną młodość, przeszli obok Zielonej Wieży, wbrew nazwie przysadzistego budynku, gdzie znajdowała się skromna izdebka, przeznaczona na prywatny użytek Saturnina w dniach wolnych od służby. Drago rozglądał się ciekawie. Z rękami w kieszeniach tuniki szedł obok sztywnego ze zdenerwowania stróża. Bez trudu dotrzymywał mu kroku, chociaż mocno utykał na lewą nogę.

– Mieszkałeś tutaj? – zagadnął, wskazując szerokim gestem zabudowania Trzeciego Domu.

– Nadal mieszkam – odparł Saturnin. – Mam kwaterę w Zielonej Wieży.

– Smętnie tu trochę – ocenił weteran z uśmiechem, który wydał się drugiemu aniołowi krzywy. – Gorzej niż w koszarach.

Saturnin poczuł się urażony. Jakim prawem ten żołdak wygłasza lekceważące sądy o przyzwoitej, wzorowo prowadzonej stacji aniołów służebnych? Dom Trzeci przy Drugim Kręgu był jedynym miejscem, do którego czuł się naprawdę przynależny.

– To spokojna i doskonale prowadzona jednostka, gdzie każdy pilnuje swoich obowiązków, zamiast trwonić czas na rzeczy zbędne – powiedział sucho.

– Jak na przykład uprzejmość – mruknął Gamerin i przestał się odzywać.

Najbliższą bramą przedostali się na Ziemię. Szli pieszo, bo Saturnin nie wiedział, jak Drago, ze swoim jedynym skrzydłem, radzi sobie z fruwaniem.

Przeciskali się przez tłum ludzi, aniołów i różnych stworów z Głębi lub Limbo, podążając ruchliwymi ulicami do mieszkania klienta.

– Hej, żołnierzu! – zawołał za ich plecami ochryply kobiecy głos.

Drago odwrócił się błyskawicznie. Saturnin zatrzymał się, spoglądając niepewnie za siebie. Kiedy jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem wysokiej, wyzywająco ubranej demonicy, poczuł, że oblewa się głupim, młodzieńczym rumieńcem. Wszeteczna istota zwróciła się do Gamerina, nie zaszczyciwszy młodszego anioła niczym więcej prócz przelotnego wejrzenia.

– Co robisz w tym idiotycznym ubranku, Drago? Przebrałeś się, czy co?

– Nie z własnej woli, skarbie. – Wzruszył ramionami.

Zrobiła współczującą minę.

– Mój ty biedaku, odstawili cię na boczny tor! Tym razem pewnie porządnie oberwałś. Na co ci przyszło! Stróż. Cholera, widzę, że straciłeś skrzydło!

Wyszczrzył zęby.

– Ale kaleką nie jestem!

– Nie wątpię – mruknęła, rzucając mu zalotne spojrzenie. – Zaprosisz mnie na drinka?

– Nie da rady, jestem na służbie.

Roześmiała się głośno.

– Ja też, Drago. Ja też! No to lecę.

– Nie zapomnij o mnie, skarbie.

– Nigdy, żołnierzu, *adios*.

Posłała mu całusa i odeszła, kołysząc biodrami. Saturnin był pewien, że cała ulica się na nich gapi. Ze wstydu poczerwieniał jeszcze bardziej. Miał tylko nadzieję, że incydentu nie zauważył nikt znajomy. Przeklęty żołdak gotów mu popsuć dobrą opinię. Tylko degenerat jest zdolny do podobnych bezceństw.

– To kelnerka z baru Pod Gorejącym Krzakiem – wyjaśnił Drago, bo powleczonej purpurą twarz Saturnina miała wyraz niemej grozy. – Wbrew pozorom porządna dziewczyna.

Porządna dziewczyna! – pomyślał Saturnin. Niech go Głębią pochłonie, razem z jego normami moralnymi.

Drago poczuł, że ogarnia go złość. Przyjął bardzo boleśnie druzgoczącą decyzję odwołania ze służby, ale podchodził do nowej, nudnej roboty z możliwie otwartym sercem, a ten nadęty dupek wyraźnie uważa go za jakiegoś śmiecia.

– Co jest, synu? – warknął złośliwie. – Tak ci się spodobało, że straciłeś mowę?

Malinowy na twarzy Saturnin milczał.

* * *

Drago uznał, że klient jest całkiem niezły. Stanowiło to drobną pociechę w całej tej beznadziejnej skądinąd sprawie.

– Czy wiesz, jak wypełniać zadania stróża? – spytał Saturnin.

– Poniekąd – odpowiedział zgodnie z prawdą. Usta młodszego anioła wykrzywiły się w grymasie, który ewidentnie znaczył „byłem tego pewny”.

– Otrzymałeś chyba należyte przeszkolenie? – drążył uparcie.

Drago nie mógł powstrzymać uśmiechu. Przez kilka stuleci służby otrzymywał różne gruntowne przeszkolenia. Biedny stróż prawdopodobnie dostałby mdłości ze strachu, gdyby się o nich dowiedział.

– Chodzi o to, że należy pilnować tego gościa, żeby się nie potknął i nie zrobił sobie krzywdy – rzekł. – A gdyby, broń Panie, tak się stało, trzeba, pomóc mu wstać i otrzepać spodnie.

– No cóż – burknął Saturnin. – Ja mam o swojej pracy trochę lepsze mniemanie, ale jak chcesz. Rozumiem, że muszę zacząć wszystko od początku?

– Odpuść sobie jednak opis stworzenia świata. Zająłby ci zbyt wiele czasu.

Saturnin spojrzał na niego z wyrzutem.

– W kieszeni masz szklaną kulę i klucz, zgadza się?

Drago skinął głową.

– To standardowe wyposażenie. Żaden anioł nie zdoła nieustannie czuwać przy kliencie, dlatego czasem wolno mu śledzić jego poczynania w szklanej kuli. Jeśli stróż podejrzewa, że dzieje się coś złego, otwiera specjalnie dostrojonym kluczem właściwy wymiar i natychmiast znajduje się przy kliencie.

– To po diabła leźliśmy przez całe Królestwo, żeby się tutaj dostać? – przerwał Drago.

Saturnin obrzucił go druzgocącym spojrzeniem.

– Kluczem można się posłużyć tylko w razie niebezpieczeństwa. Stróż korzystający z tej metody ryzykuje, że nie zdąży zapobiec nieszczęściu. Dlatego wskazane jest spędzać z klientem możliwie najwięcej czasu. Kuli wolno używać jedynie w ostateczności. W naszym zawodzie największe znaczenie ma jednak profilaktyka i intuicja. Stróż powinien przeczuwać niebezpieczeństwa i pokusy grożące podopiecznemu, żeby skutecznie im zapobiegać.

– Stawianie kabały też mieści się w zakresie profilaktyki? – zapytał Drago na pozór niewinnie. W kącikach szarych oczu pojawił się błysk rozbawienia.

– W żadnym wypadku. Wróżenie z kart należy do zakazanych praktyk magicznych.

– A szklana kula nie? – zainteresował się były żołnierz.

Saturnin starał się nie zwracać uwagi na zawartą w pytaniu ironię.

– Kula jest poświęcona – powiedział z naciskiem.

– To wszystko wyjaśnia – rzekł Drago, mrużąc roześmiane, pełne szyderstwa oczy.

Saturnin doszedł do wniosku, że zmiennik uśmiecha się jak rekin. Dostawał gęziej skórki na myśl o spędzeniu całego dnia w jego towarzystwie. Komu przyszło do głowy odwoływać starego, poczciwego Amiela?

– Będziesz mnie zastępował przez siedem dni w miesiącu oraz w przypadku, gdybym zachorował lub z innej przyczyny okazał się niezdalny do służby – ciągnął. – Masz jakieś pytania?

– Czy wróżenie z fusów także nie wchodzi w grę?

Saturnin westchnął. Zapowiadał się ciężki okres.

* * *

Od samego początku miał złe przecucia. Klient kilka godzin spędził w barze, ostro popijając i obmacując panienki, a teraz wracał do domu przez ponure zaułki, gdzie nawet Kuba Rozpruwacz czułby się nieswojo.

Saturninowi zimny pot spływał po karku. Czuł przez skórę, że to nie może się dobrze skończyć. Nawet się nie zdziwił, gdy od pogrążonej w mroku ściany odkleiły się trzy postacie, zastępując klientowi drogę. Ich stróże wyglądali równie podejrzanie, jak oni sami. Saturnin dostrzegł dwóch aniołów, drobnego, chuderlawego starowinę o kaprawych oczkach oraz dużego blondyna w niechlujnej tunice i poplamionych spodniach, który z obojętną miną dłuwał w zębach wykałaczką. Na widok trzeciego pod Saturninem ugięły się kolana. Był to rosły dzinn z wyzywającym wyrazem twarzy i pięściami jak bochny chleba.

Zawieszony na piersi amulet z charakterystycznym odciskiem pieczęci świadczył, że należy do drużyny Raguela. Raguel był niegdyś wysokim rangą aniołem, szefem służb wewnętrznych Królestwa. Wykonywał wyroki anielskiego sądu na najbardziej wpływowych dostojnikach Nieba. Uczestniczył w spisku przeciw Gabrielowi, co doprowadziło do wygnania go z Królestwa, jakoby za niedokładne wypełnienie rozkazu Pana. Jednak po dwudziestu jeden dniach Gabriel powrócił w wielkim stylu, Raguel zaś został zdegradowany i oficjalnie uznany za demona. Cudem unikając kary, w ostatnim momencie opuścił Niebo, lecz nie został ciepło przyjęty w Otchłani, zwłaszcza, że uporczywie obstawał przy swojej niewinności. Część Głębian widziała w nim po prostu szpiega. Rozgoryczony Raguel założył więc w Przedpieklu agencję ochroniarską, oferującą usługi adeptom czarnej magii, którzy wyrzekli się Królestwa. Firma prosperowała nieźle, ale były archanioł nie odczuwał z tego powodu zadowolenia, nieustannie powołując się na krzywdę, jakiej doznał, i twierdząc, że jest ofiarą matactw Gabriela. Wokół tego skandalu narosło wiele plotek i niejasności, lecz kto

ośmieliłby się otwarcie oskarżać najpotężniejszego z aniołów? W każdym razie Raguel prowadził firmę dla odszczepieńców, zgrzytając zębami i opluwając Gabriela jadem przy każdej okazji. Pracownicy Raguela uchodzili za bezwzględnych wrogów Królestwa, Saturnin więc miał słuszne powody do obaw.

Trzech groźnie wyglądających facetów okrążyło klienta. Dwaj aniołowie cofnęli się pod ścianę, dając do zrozumienia, że nie mają zamiaru interweniować.

Saturnin poczuł, jak ogarnia go strach zmieszany z wściekłością. Przecież ich obowiązkiem jest próbować nie dopuścić do starcia! Dżinn śmiał się złośliwie, wyraźnie gotów udzielić pomocy wielkiemu drabowi, który był pewnie jego klientem.

– Chodź no tu, aniołku – warknął. – Z rozkoszą rozmażę cię po bruku.

Stary, wychudły anioł w przydługiej tunice, ni z tego, ni z owego rozplakał się.

– Ja tego nie chciałem – chlpał. – Pamiętaj, że nie mam z tym nic wspólnego!

Saturnin chętnie poczęstowałby go kopniakiem. Zgodnie z nakazem obowiązku wysunął się przed klienta, żeby go sobą zasłonić.

Podopieczny Saturnina, w miarę jak trzeźwiał, przybierał coraz bardziej niewesołą minę.

– Widzieliście bohatera? – Dżinn zaśmiał się gardłowo. – Honorowy aniołek zamieni się w kupę flaków.

Popchnął swojego podopiecznego, ogromnego faceta o wyglądzie przygłupa, szepcząc mu w ucho: „No dalej, stary! Na co czekasz?”. Drab rzucił się w stronę Saturninowego klienta. Ten zrobił skuteczny unik, skuteczny tylko dlatego, że Saturnin go odepchnął. Pięść chybiła o włos, ale trafiła anioła w brodę. Saturnin runął na ziemię. Posypał się na niego grad ciosów. Do ostatka próbował chronić klienta, lecz wtedy do akcji wkroczył dżinn, kopniakami zmuszając go do wycofania się z walki.

Kaprawy anioł płakał, smarkając w kraciatą chustkę, i z bezpiecznej odległości obserwował zajście. Drugi anioł nie zachowywał nawet pozorów zainteresowania.

Tymczasem klient Saturnina, zaprawiony w podobnych bojach, radził sobie o wiele lepiej od anioła. Wymachując pięściami, ruszył do desperackiej szarży, celnym ciosem posłał jednego z napastników na ziemię i pędem rzucił się w boczną uliczkę. Saturnin, korzystając z chwilowej nieuwagi dżinna, zaniepokojonego losem swojego podopiecznego, zerwał się na równe nogi i, kulejąc, pognął za nim. Nigdy w życiu tak prędko nie uciekał. Obolały i oszołomiony słyszał przed sobą zdyszany oddech klienta. Na szczęście ścigał ich tylko szyderycy rechot dżinna.

Cudem uszedłem z życiem, pomyślał Saturnin, z wysiłkiem chwytając powietrze. Chyba ktoś mnie przeklął. Z rozbitego nosa ciekła krew, a w prawym boku coś kłuło przy każdym oddechu. Czuł, jak puchnie mu szczęką.

Klient zatrzymał się wreszcie. Ciężko dyszał. Miał podbite oko, ale poza tym wyszedł z natarcia obronną ręką. Saturninowi szumiało w uszach. Spoglądał na klienta z niechętnym

podziwem, wspominając stare, przysłowie, że szczęściarze mają pechowych aniołów stróżów. Nie ma co, pomyślał z goryczą. Trafiła ci się emocjonująca robota, Saturnin.

* * *

– Poproszę aktualną książeczkę cnót – powiedział urzędnik do spraw uzdrowień.

Saturnin podał mu oprawny w skórę zeszytek. Urzędnik przejrzał go skrupulatnie, strona po stronie.

– Czy masz zaświadczenie ubezpieczeniowe opatrzone ważną pieczęcią?

Anioł wyjął z kieszeni złożony na czworo pergamin.

– Pieczęć wygląda na nieaktualną – burknął biurokrata.

– To niemożliwe! – zaprotestował zrozpaczony stróż. – Niedawno przydzielono mi nowego klienta, więc musiałem wyrobić nowy komplet papierów. Dopełniłem starannie wszelkich formalności!

– Co to znaczy „niedawno” – spytał podejrzliwie urzędnik.

– Trzy miesiące temu.

– Taak, ale pieczęć jest przestarzała.

– Nie wiem dlaczego! Papiery są nowe!

– Nie są nowe. Mają już trzy miesiące. No cóż, w drodze wyjątku postaram się uznać je za aktualne. Co ci dolega?

– Zostałem pobity. Mam rozbity nos i chyba pęknięte żebra...

– Nie zajmujemy się patologią społeczną.

– To był wypadek przy pracy! Mam stosowne zaświadczenie!

– Proszę pokazać!

Saturnin wy dobył z kieszeni kolejny świstek.

– Taak. Wygląda, że jest w porządku. Czy twoja choroba jest zakaźna?

– Słucham? – wykrztusił oszołomiony anioł.

– Czy jesteś zakaźnie chory?

– Przecież powiedziałem, że zostałem pobity! Pobicie jest zakaźne tylko na meczach piłkarskich!

– O tym, co ci się stało, zadecyduje jeden z patronów chorób ogólnych. Jeśli dojdzie do wniosku, że nie może cię uzdrowić, da ci skierowanie do specjalisty. Kategorycznie twierdzisz, że nie jesteś chory zakaźnie, więc w grę wchodzi święty Jan Boży, święty Kamil, święta Katarzyna genueńska, święty Roch lub święty Leonard. W tej chwili najmniej obsadzony jest... niech sprawdzę... święty Roch. Może cię przyjąć za cztery tygodnie.

– To jakiś absurd! – jęknął Saturnin. – Chyba mam złamane żebro i nos! Powinien mnie obejrzyć jakiś patron od urazów!

– Bez pośrednictwa któregoś z patronów od chorób ogólnych wykluczone! Zresztą patriarcha Adam w tym miesiącu wyrobił już przepisową normę uzdrowień, a szczególnie

patron od chorób nosa u nas nie przyjmuje. Najwyżej może przyjąć cię święty Błażej od gardła albo święta Otylia od uszu. Wolne terminy mamy za cztery do sześciu miesięcy.

– Czy jakikolwiek specjalista jest wolny teraz?

– Niech sprawdzę... święta Genowefa od duru brzuszego i święty Maurycy od podagry, ale i tak bez pośrednictwa ogólnego patrona od chorób...

– W porządku, rozumiem.

– Chcesz się zapisać do świętego Rocha? Będziesz wtedy należał do grona jego podopiecznych w razie choroby w przyszłości. Może cię przyjąć za... cztery tygodnie i dwa dni. Zgadzasz się?

– Nie! – warknął rozżalony Saturnin. – Za cztery tygodnie przyda mi się tylko święty Bartłomiej, patron grabarzy!

– Więc po co było tak długo zawracać mi głowę? – zirytował się urzędnik. – Inni czekają! Następny proszę! – zawołał, całkowicie ignorując nieszczęsnego Saturnina, który nerwowo upychał po kieszeniach niepotrzebne już papiery. Jeden upadł na podłogę, anioł schylił się po niego, krzywiąc się boleśnie. Kłucie w boku było coraz bardziej dokuczliwe. Podniesiony świstek okazał się orzeczeniem o wypadku przy pracy. Saturnin przypomniał sobie z goryczą swoje zeznania przed komisją do spraw nieszczęśliwych wypadków, agentem ubezpieczeniowym Sitaela i przedstawicielami Niebieskiego Legionu Przewodników Dusz, który zrzeszał oba chóry aniołów stróżów. Po pięciu godzinach oczekiwania na wyniki usłyszał, że komisja nie stwierdziła większych uchybień z jego strony.

– Dobrze, ale co to, oznacza dla mnie? – spytał.

– Nie zostaniesz, pociągnięty do odpowiedzialności – padła odpowiedź.

* * *

Drago właśnie się przebierał, kiedy wpadł spóźniony Saturnin, który już dawno powinien go zmienić. Wyglądał fatalnie.

– Co ci się stało, synu? – zdumiał się były żołnierz. – Przejechał po tobie Rydwan?

– Wypadek przy pracy – wymamrotał anioł, niewyraźnie z powodu spuchniętego nosa. – Nie powiedzieli ci w dyspozytorni?

Drago potrząsnął głową.

– Dostałem pisemko, że jesteś chwilowo niedysponowany, ale nie miałem pojęcia, że ktoś ci tak dokopał. Wdałeś się w jakąś rozróbę? Zaczynam mieć o tobie lepsze mniemanie, opiekunie zbłąkanych dusz.

– Bronilem klienta – jęknął Saturnin. – Robiłem, co do mnie należy.

– Ano, widzę – mruknął żołnierz.

Saturninowi nagle zakręciło się w głowie. Usiadł ciężko w fotelu, zakaszłał i złapał się za bok.

– Niedobrze z tobą – powiedział Drago z niekłamaną troską. – Nie jesteś przyzwyczajony do podobnych przykrości. Ktoś powinien cię obejrzeć. – W szarych, zmrużonych oczach pojawiło się szczere zaniepokojenie, które zastąpiło niedawną kpinę. Saturnin uniósł głowę i pierwszy raz uważnie spojrzął na partnera.

Drago Gamerin stał przed nim, ściskając w garści ściągniętą przed chwilą zgrzebną tunikę stróża. Jego szczupłe, muskularne ciało pokrywały blizny, niektóre cienkie i ledwo widoczne, inne szerokie i nieregularne. Kilka z pewnością stanowiło ślady po strasznych, niemal śmiertelnych ranach.

W twarzy starszego anioła nie było śladu wcześniejszej ironii, a Saturnin z pewnym zmieszaniem zauważył, że Drago zmartwił się jego rozbitym nosem i bolącymi zębami.

– Potrzebny ci lekarz – powiedział Drago, odwracając się w poszukiwaniu cywilnego podkoszulka. Wtedy Saturnin zobaczył ogromną, wciąż jeszcze świeżą szramę po utraconym skrzydle i jeszcze coś, co sprawiło, że ze zdumieniem wybałuszył oczy. Na prawej łopatce Drago miał wytatuowany wizerunek uskrzydłonego miecza, wbitego między dwie wykaligrafowane najstarszym anielskim pismem litery S G: Synowie Gehenny. To znaczyło, że Gamerin należał do specjalnej, elitarniej jednostki w Szeregach Zastępów, słynnego Komanda Szeol, które jako jedyne skutecznie walczyło z przerażającymi Harab Serapel, Krukami Śmierci, doborowym oddziałem morderców z Głębi.

Za paskiem od spodni tkwił na plecach anioła wciśnięty płaski poręczny pistolet, cały grawerowany w ochronne zaklęcia i symbole. Saturnin nigdy go nie widział z bliska, ale wiedział, że mordercza, niezawodna broń zawiera dziewięć pocisków odlanych z legendarnego srebra alchemików, opatrzonych tajemnym znakiem, zwanym „życzeniem śmierci”. Przed takimi kulami nie chroniła żadna magia.

Drago wciągnął nieco wygnieciony czarny podkoszulek i obrócił się ku Saturninowi.

– O co chodzi? – spytał, napotkawszy jego oszołomiony wzrok.

– Jesteś Synem Gehenny? Walczyłeś z Krukami Śmierci?

Drago westchnął.

– Tak. Byłem w Komandzie Szeol. Pracę stróża przydzielili mi w ramach terapii po ostatnim... hm, wypadku podczas akcji.

– Jesteś bohaterem Królestwa! Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Na szczupłej twarzy anioła pojawił się uśmiech, chyba trochę smutny.

– Nie pytałeś mnie, co robiłem przedtem. Zresztą to nieważne.

Saturnin poczuł wyrzuty sumienia. Od samego początku Drago tylko go denerwował. Prawdę powiedziawszy, uprzedził się do niego bez żadnego powodu, chociaż Gamerin, jak na byłego komandosa, odnosił się do swego zmiennika z wyjątkową cierpliwością.

– Nieźle oberwałeś. Dlaczego nie poszedłeś do lekarza?

– Poszedłem! – Twarz Saturnina przybrała nieszczęśliwy wyraz. – Ale równie dobrze mogłem nie iść!

I nagle, zanim się spostrzegł, zaczął opowiadać poznaczonemu bliznami żołnierzowi, jak podle potraktowano go w Urzędzie Uzdrawień i na komisji do spraw wypadków. Drago słuchał uważnie, robiąc sobie skręta z popularnej wśród wojskowych mieszanki mirry i kadzidła. Sprawnie radził sobie ze zwijaniem bibułki, choć, co Saturnin spostrzegł ze zdziwieniem i odrobiną wstydu, miał dwa sztywne palce u prawej ręki. Wcześniej stróż nie zwrócił na to uwagi, co świadczyło, jak mało obchodził go nowy zmiennik. W tym momencie zrozumiał, że Gamerin zapłacił słońną cenę za przynależność do elitarnej jednostki Szeol.

– Zaprowadzę cię do kogoś, kto ci pomoże – powiedział Drago, kiedy Saturnin skończył swoje żale. – Zbieraj się, idziemy.

– Nie ma mowy! – zaprotestował stróż. – Nie wolno mi opuszczać posterunku!

Drago skrzywił się.

– Daj spokój, stary. Jest ciemna noc. Klient chrapie, aż się trzęsą szyby. Chyba nie wierzysz, że przyjdzie zmora, żeby wypić jego krew?

Rzeczywiście, była późna noc. Drago już dawno powinien pójść do domu. Jednak został, bo żal mu się zrobiło obitego, praworządnego aniołka, który dopiero co skończył szkołę i miał takie marne pojęcie, na czym polega życie.

– Nie mogę – szepnął Saturnin. Rozbolała go głowa, czuł się fatalnie i marzył o tym, żeby się położyć. – Stróż pod żadnym pozorem nie powinien zaniedbywać obowiązków...

Drago spojrzał w udreżone, orzechowe oczy.

– W porządku – powiedział. – Sprowadzę kogoś, kto nas zastąpi. Wrócił za niecałą godzinę. Towarzyszył mu rosły, ciemnolicy Skrzydlaty o mahoniowych włosach zaplecionych w mnóstwo warkoczyków. Na końcu każdego dyndała misterna, elegancka czaszeczka. Nieznajomy życzliwie uśmiechał się do Saturnina. Z całą pewnością był Głębianinem. Na szyi nosił charakterystyczny emblemat z odciskiem pieczęci. Saturnin poczuł przyływ paniki. Odciągnął Gamerina w głąb kuchni, podczas gdy nowo przybyły rozglądał się ciekawie po mieszkaniu.

– On jest demonem! – jęknął. – W dodatku od Raguela!

– No to co? – Drago wzruszył ramionami. – Przynajmniej ma stosowne przeszkolenie. Dobrze go znam. Hazar to porządny gość, a poza tym winien mi jest przysługę.

Bezceremonialnie wypchnął Saturnina za drzwi. Hazar pomachał im na pożegnanie i oświadczył, żeby się o nic nie martwili. Wychodząc, stróż kątem oka dostrzegł, że demon zaczął wyrysowywać pentagram na podłodze salonu. Zanim zdążył zaprotestować, Drago zatrzęsął drzwiami.

* * *

– Nie dość, że przez ciebie opuściłem posterunek, a moim klientem zajmuje się demon, to teraz zmuszasz mnie, żebym zszedł do Głębi.

Saturninowi chciało się płakać. Przez chwilę żałował, że rosły dzinn nie zatłukł go na śmierć. W swoich najgorszych koszmarach nie podejrzewał, że jego noga przestąpi kiedykolwiek przeklęty próg Otchłani.

– Nie histeryzuj, to dla twojego dobra. – Drago uspokajająco klepnął go w plecy, a Saturnin potknął się, prawie tracąc równowagę. Nie przypuszczał, że były komandos jest taki silny.

– Weszliśmy zaledwie do Pierwszego Kręgu – ciągnął. – To prawie to samo, co Limbo. Bywasz przecież czasem w Limbo, mam rację?

Saturnin nie przyznał się, że Limbo odwiedził z konieczności może trzy albo cztery razy w życiu. Drago z pewnością uznałby go za świętoszkowatego dewota, a przecież stróże są po prostu tak wychowani. Na samą myśl o Głębi Saturnina ogarniała groza.

Wreszcie stanęli przed furtką niedużego, nieco zaniedbanego domu. Drago przedstawił się kołatce w kształcie wilczego pyska, a ona odrzekła skrzypiącym głosem, że „pan serdecznie wita i oczekuje z radością”. Furtka otworzyła się sama. Dopiero, na widok gospodarza Saturnin zrozumiał, dokąd Drago go przyprowadził. Dom należał do Algiviusa, najpotężniejszego maga w całej Otchłani. Algivius był niegdyś człowiekiem. Całe życie poświęcił zgłębianiu tajemnic magii i alchemii, ale dopiero po śmierci rozwinął swój talent. Z jego zdaniem i umiejętnościami liczyli się najsilniejsi Mroczni, arystokraci i władcy Głębi. Ponoć łączyła go również przyjaźń z niektórymi archaniołami, a na pewno z Razjelem, Panem Tajemnic i Księciem Magów.

Algivius rozpromienił się na widok Gamerina, uradowany z tej niespodziewanej wizyty. Wprowadził ich do pracowni, pełnej bulgoczących retort, wirujących w powietrzu fantomów i zapisanych pergaminów.

– Marnie cię poskładali, Drago – powiedział, krytycznie przyglądając się przyjacielowi. – Ja bym to zrobił lepiej.

– Tym razem nie mieli łatwo. – Komandos pokazał w szerokim uśmiechu mocne, duże zęby. – Mumiasz się napracował. To niezły chirurg, robił co mógł. Ważne, że się ruszam.

– Teraz już za późno – mruknął Algivius. – Nawet ja nie jestem cudotwórcą. Jak sobie radzisz z jednym skrzydłem?

– Nie jest tak źle. Wiesz, trochę podfruwam. W ostateczności mogę zamówić u Canfiela latający dywan. Ale nie o mnie chodzi. Algiviusie, mój partner paskudnie oberwał. Możesz się tym zająć?

– Jasne. Zawsze do usług.

Saturnin, niepewnie stojący w kącie pracowni, nie bez zdziwienia usłyszał, jak Drago nazywa go partnerem. Z całą pewnością źle go do tej pory oceniał. Komandos miał więcej przyzwoitości i szlachetności niż niejeden stróż.

– Obejrzę twoją aurę – zwrócił się do Saturnina alchemik. – Nie trzęś się tak. Przyszedeś z Drago, więc nie zmienię cię w żabę. Chociaż przyznam, że generalnie lubię żaby.

Przymknął oczy, a po chwili gwizdnął przez zęby.

– Masz pęknięte dwa żebra i złamaną przegrodę nosową, chłopcze. Jesteś porządnie poobijany. Widzę uszkodzony staw kolanowy i brzydkie krwiaki na biodrze i po bokach. Drago rozsądnie zrobił, że cię tu przyprowadził. Odrobina magii i zaraz poczujesz się lepiej. Nie rób takiej miny, miałem na myśli białą magię. Swoją drogą, co ci się, u diabła, stało? Myślałem, że stróże są do bólu porządni.

– To był wypadek – powiedział Drago przeciągle, mrugnawszy porozumiewawczo.

Algivius się uśmiechnął. Zrobił kilka dziwnych ruchów rękami i ulepił z powietrza rozedrganą, świetlistą kulę. Pchnął ją w kierunku Saturnina, który poczuł nagle przyjemne ciepło. Mag wepchnął mu w dłoń kubek z parującym płynem.

– Wypij to, synu. Dam ci buteleczkę z kroplami. Będziesz łykał trzy dziennie. Nie są aż tak wstrętne.

Saturnin nagle zrobił się senny. Zaciążyły mu ręce i nogi, ale to było miłe uczucie. Algivius odholował go na sofę. Stróż zamknął oczy. Ogarnęło go błogie poczucie spokoju. Głosy przyjaciół dobiegały coraz cichsze i przytłumione. Drago wsunął ręce w kieszenie. W półmroku pracowni jego twarz sprawiała wrażenie mizernej.

– Nie powinienesz tak cholernie się przejmować – odezwał się do niego alchemik. – Prawie się załamałeś.

Usta anioła drgnęły.

– Mylisz się.

– Aha! Chciałbym. – Przenikliwe oczy maga wpatrywały się w komandosa. Gamerin spuścił wzrok.

– Drago – powiedział alchemik wolno. – To jeszcze nie koniec. Oni sobie o tobie przypomną. Wrócisz.

Anioł zadrżał nerwowo.

– Gadasz tak, żeby mnie pocieszyć. Nie mogę się oszukiwać. Jestem kaleką. Jestem skończony.

– Znasz mnie. Czy kiedykolwiek powiedziałem coś ot tak sobie? Rozumiesz, chodzi o moją reputację.

W szarych oczach pojawił się błysk szaleńczej nadziei.

– Serio?

– Jak najbardziej. Nie powiem, żebym się z tego cieszył. Tym razem możesz trafić tam, gdzie będzie bardzo gorąco. Widzę poważne kłopoty.

Drago przyskoczył do niego, zaciskając mu ręce na ramionach.

– Algivius, ty sukinsynu, chyba cię kocham!

– Puść mnie! – jęknął mag. – Niech cię Głębia, Drago! Połamiesz mi kości!

* * *

Od wizyty w domu Algiviusa minął prawie rok. W tym czasie Saturnin zaczął pomalutku pojmować, że świat wygląda inaczej, niż wbijali mu w głowę wykładowcy z Zielonej Wieży. Po raz pierwszy w życiu zrozumiał też, co to znaczy mieć przyjaciela. Drago stał się dla niego przewodnikiem po zadziwiających meandrach rzeczywistości. Ale zła godzina w końcu przypomniała sobie o Saturninie, zasnuwając horyzont paskudną mgiełką, niezadowolenia. Praca z klientem nie przynosiła satysfakcji ani zadowalających rezultatów. Chociaż stróż dokładał wszelkich starań, nie był w stanie sprowadzić go na prawdziwie dobrą drogę. Klient puszczał mimo uszu umoralniające podszepty, których nie szczędził mu niezmordowany opiekun. Jego sumienie zdawało się w ogóle nie produkować takiego towaru, jak wyrzuty lub wątpliwości, przyjmując za dobrą monetę wszystko, co wygodne dla właściciela. Klient miał co prawda zasady i specyficzny kodeks honorowy, ale był on, według Saturnina, nie do przyjęcia. Sny, w które anioł misternie wplatał różne przestrogi i wskazówki, nikły, wyparte przez proste, sympatyczne wizje roznegliżowanych pańienek. Nie pomogły usilne modły do Gabriela, Archanioła Objawień. Widocznie miał na głowie ważniejsze problemy. Hulaszczy tryb życia klienta spędzał Saturninowi sen z powiek, doprowadzając go do narastającej frustracji, a nawet stanów depresyjnych.

Drago również przeżywał ciężki okres. Przepowiednia Algiviusa nie sprawdzała się, a nadzieja topniała w sercu anioła jak sople lodu na słońcu. Zrobił się drażliwy, wściekał z byle powodu, to znów popadał w przygnębienie. Jego stan psychiczny znacznie się pogorszył, gdy spotkał przypadkiem kumpli z dawnej jednostki. Stracił resztki pogody ducha, stał się opryskliwy, parę razy wdał się w bijatyki z jakimiś podejrzanymi typami z Głębi. Krążył, utykając, po knajpach w Limbo, z nieodłącznym skretem w kąciку ust i z takim wyrazem twarzy, że wokół niego z miejsca robiło się pusto. Do poważniejszych scysji między nim i Saturninem nie doszło jednak aż do incydentu z Ananiaszem.

* * *

Zmęczony, zniechęcony Saturnin zamykał właśnie drzwi do swojego pokoju w Zielonej Wieży, gdy kątem oka dostrzegł w niszy okiennej jakąś skuloną postać. Już miał przejść obok, nie zwróciwszy uwagi, kiedy żalosne stworzenie poruszyło się i anioł rozpoznał w nim Ananiasza, młodszego o dwie klasy kolegę ze szkoły stróżów. Na widok jego twarzy Saturnin doznał wstrząsu. Ananiasza pamiętał jako miłego, wesołego blondynka, a teraz spoglądał na niego nieszczęśliwy, wychudły upiór z podkrążonymi oczami i drżącymi dłońmi. Przyciśnięty przez Saturnina wyjąkał, połykając łzy, że pierwszy klient, którego dostał po skończeniu szkoły, w tej chwili nastolatek, należy do gangu ulicznego, zaczął kraść w wieku pięciu lat, od dwóch bierze twarde narkotyki, a ostatnio uczestniczył w zbiorowym gwałcie. Nieszczęsny Ananiasz o całe zło obwiniał siebie, w czym utwierdził go właśnie dawny profesor, znany fanatyk i służbista, do którego w swojej niewinności poszedł po radę.

Saturnin wymamrotał jakieś nieudolne słowa pociechy, a potem po prostu uciekł, z sercem przepelnionym goryczą, i rozżaleniem. Zapłakana, szczurza twarzyczka Ananiasza prześladowała go niczym ból zęba. Tego dnia straszliwie pokłócił się z Drago. Żaden potem nie pamiętał, o co poszło. W każdym razie Saturnin przyczepił się o jakąś drobnostkę, a Drago rzucił z pasją:

– Jesteś upierdliwy jak sen o siedmiu krowach!

I tak się wszystko zaczęło. W końcu Gamerin powiedział stróżowi, że jest świętoszkowatym, bezmózgim, dupawym zgniłkiem, trzęsącym portkami ze strachu, żeby jego pieprzony klient nie zakrzusił się krakersem, a Saturnin wyrzeszczał, że Drago to prymitywny trep, dyszący żądzą, mordy, niegodny miana anioła, smętny bohater, popisujący się w okolicznych szynkach, który w dodatku został kaleką, na skutek pijackiej rozróby w burdelu.

Wtedy nerwy Gamerina nie wytrzymały. Cisnął Saturninem o ścianę i już miał jednym ciosem zmiażdżyć mu nos, ale w ostatniej chwili grzmotnął pięścią w mur, tuż obok twarzy anioła, zdzierając sobie skórę z kostek. Na kredowobiałych policzkach wystąpiły mu czerwone plamy. Wyszedł bez słowa, trzasnąwszy drzwiami. Saturnin tępo przypatrywał się krwawej smudze, jaką zostawiła na ścianie pięść przyjaciela.

* * *

– Spóźniłeś się, dupku! – warknął Drago, mierząc Saturnina zimnymi, zmrużonymi oczami. – Według przepisów nie wolno zastępcy pracować dłużej niż dziesięć godzin dziennie. Kochasz przepisy, co? Jeśli potracą mi z renty nadgodziny, wypcham ci dziurę w tyłku piórami ze skrzydeł.

Sytuacja przedstawiała się w ten sposób od ponad trzech tygodni. Saturnin właśnie otwierał usta, żeby powiedzieć coś zjadliwego, kiedy niespodziewanie dla siebie samego rozpląkał się. Stał na środku pokoju, chlipiąc jak dzieciak, bo nie potrafił już znaleźć sensu we wszystkim, co go otaczało.

Drago poczuł, że uchodzi z niego cała złość.

Widział przed sobą roztrzęsionego małolata, którego przerosło zbyt trudne zadanie. W tej chwili pojął, do jakiego stopnia Saturnin nie radzi sobie z rozbieżnością między teorią a praktyką i jak bardzo jest samotny ze swoim problemem.

– Wiesz co? – powiedział. – Pieprzyć wszystko! Chodź, chcę ci coś pokazać.

* * *

Widok ze wzgórza był oszalamiający. Niemal pod ich stopami rozpościerała się najpiękniejsza dzielnica Szóstego Nieba, Hajot Hakados. Kruche, nierzeczywiste kopuły i wieże jaśniały na tle obłoków jak delikatna akwaforta. Koronkowe pałace, podobne do piętrowych tortów weselnych albo serwisów z chińskiej porcelany, zdawały się szyć

wśród chmur. Ogrody, przy których Raj przypominał miejski skwerek, spływały kaskadami po zboczach gór. Miasto nie miało końca. Białe, błękitne i złote ażury rozplywały się na horyzoncie w perlową poświatę.

Siedzieli na trawie gęstej jak dywan, na skraju malowniczej skarpy porosłej lasem, który wydawał się utkany na kształt kosztownego gobelinu. Egzaltowane, mdlejące kwiaty roztaczały wokół niepokojąco słodką woń. Przed chwilą wychynął z zarośli mleczno-biały jednorożec. Skręcony koralowy róg połyskiwał niby egzotyczna muszla, a wilgotne, aksamitne oko spojrzelo na nich bez lęku. Zwierzę znikło w gęstwinie, zanim Saturnin zdążył mrugnąć.

Siedział obok przyjaciela, oniemiały z zachwytu. Nigdy nie był tak wysoko. Kilka razy odwiedził Czwarte Niebo z jego potężnymi gmachami publicznymi, które wydawały mu się wtedy szczytem elegancji, ale bladły zupełnie w porównaniu z widokiem, jaki się przed nim roztaczał. Przez moment zastanowił się, jak wyjątkową pozycję musiał zajmować Drago, skoro bez słowa wpuszczono go na teren, gdzie wznosiły się rezydencje najpotężniejszych Świetlistych, arystokratów dzierżących w dłoniach pełnię niebieskiej władzy.

– Spójrz – powiedział komandos, wyciągając rękę. – To jest Królestwo. Myślisz, że zachwieje się w posiadach, jeśli nie zdołasz nakłonić swojego klienta, żeby poszedł na roraty?

– Jeśli zaczniemy lekceważyć obowiązki, nie tylko się zachwieje, ale rozleci na kawałki. Wszyscy mają wszystko w dupie, Drago. Ja się staram robić, co do mnie należy, ale nie widzę w tym sensu.

– Według ciebie nikomu w Królestwie nie zależy na robocie? Masz klapki na oczach, Saturnin. Życie to nie podręcznik. Rzecz w tym, żeby odróżniać to, co mówi instrukcja, od tego, co jest naprawdę słuszne. Gdybym postępował ściśle według zasad, jakich mnie nauczono, zginąłbym w pierwszej akcji. Wy, stróże, macie skłonności do popadania w manię naprawy świata na siłę. Przystań przerabiać tego nieszczęsnego klienta na świętego śledziennika! Dlaczego tak się go czepiasz? Facet jest całkiem w porządku, uwierz mi.

– W porządku? – zachłysnął się Saturnin. – To ćma barowa, męt bez przyzwoitości. Nie modli się, nie myśli o Panu, nie martwi się o nieśmiertelną duszę, nie czyta Pisma, nie przyjmuje sakramentów...

Szare, zmrużone oczy przypatrywały się aniołowi uważnie.

– Nie żywi się korzonkami, nie mieszka w lepiance na pustyni, nie widać, żeby miał aureolę. Na miskę wystygłej soczewicy, Saturnin, ty go nie znosisz! Kogo ty chcesz z niego zrobić? Męczennika? Na twoim miejscu zastanawiałbym się raczej, czy postępuje zgodnie z Pismem, a nie, czyje czyta.

– Chcę, żeby robił jedno i drugie! Chcę, żeby był doskonały, żeby świecił przykładem, żeby...

Drago westchnął.

– Słyszałeś o wieży zapalek? – spytał.

Saturnin w milczeniu bawił się znalezionym w trawie patykiem.

– Opowiedział mi o niej Algivius, kiedy byłem trochę młodszy od ciebie. Musiałem dostać od losu kilka przykrych kopniaków w tyłek, żeby zrozumieć, o co mu chodziło. Realizowanie ambicji przypomina budowanie wieży z zapalek. Nie jest ważne, co chcesz zrobić, ale o to, żeby ci się udało. Wystarczy położyć o jedną zapalną za dużo i wszystko diabli biorą. Zrozum, nie ma znaczenia, jak jest wysoka. Ważne, żeby wszyscy wiedzieli, że to wieża, a nie kupa rozsypanych patyków.

– Uważasz, że źle wypełniam obowiązki? – zachnął się Saturnin.

– Uważam – cierpliwie wyjaśniał Drago – że więcej myślisz o obowiązkach niż o kliencie, a to najlepsza droga, żeby stać się dewotem i formalistą. Opuść trochę, zejź z piedestału. Pozwól sobie na życie, Saturnin. Nadgorliwość bywa gorsza niż Lewiatan.

– Co ty wiesz o życiu! Nie jesteś nauczycielem!

– Nie. Jestem zabójcą.

Zapadła ciężka cisza. Saturnin przełknął ślinę, wpatrując się w trawę między swoimi butami.

– Dlaczego to robisz? – spytał cicho. – Przecież nie jesteś zły.

Drago wzruszył ramionami. Jego wzrok błędził daleko, wśród złocistych odbłasków i chmur.

– Dla Królestwa. Potrzebują nas tak samo jak stróżów. – Uśmiechnął się blade. – Widzisz, ja też staram się, jak mogę. Akurat to potrafię robić najlepiej. Mam ideały jeszcze głębsze niż twoje, co? Nie wspominaj o tym nikomu. Naraziłbym się na kpiny. Niewinność stracona dla dobra Królestwa. Algivius by się uśmieł.

Twarz anioła ściągnęła się. Podniósł mały kamyk i rzucił w stronę urwiska. Ręce mu drżały. Po raz pierwszy Saturninowi przyszło do głowy, że Drago Gamerin oddał Królestwu znacznie więcej, niż on kiedykolwiek by zdołał.

– Brakuje ci tego? – zapytał.

– Tak. Wszystko bym oddał, żeby wrócić do oddziału. Sprzedałbym za to duszę.

Patrząc w zamglone, tęskne oczy przyjaciela, gotów był mu uwierzyć.

* * *

Wnętrze klubu zasnuwał dym, gęsty jak pierze z poduszki. Saturnina powoli ogarniało zmęczenie. Czuł się senny. Ostatnio mało sypiał, bo klient złapał melodię do balangowania. Całe noce spędzał w podejrzanych lokalach. Właśnie próbował poderwać jakąś pannę, stawiając jej drinki i prezentując garnitur nienaganych, odsłoniętych w uśmiechu zębów. Przy drugim końcu kontuaru Drago robił mniej więcej to samo z jakąś śmiałą anielicą o ekstrawaganckiej fryzurze i w podkasanej zbyt wysoko tunice. Saturnin nie mógł mu mieć tego za złe, bo Drago zjawił się tutaj całkiem prywatnie. Właściwie stróż ucieszył się, kiedy przyjaciel zaproponował, że tej nocy będzie mu towarzyszył, bo ma ochotę przypomnieć

sobie ziemski sposób na rozrywki. Męczyły go jakieś niejasne przeczucia, bezsensowne na pozór ataki niepokoju, wołał więc mieć przy sobie pomocną dłoń, na wszelki wypadek. Nie zauważył, kiedy jakiś chłopak podszedł do klienta. Miał rozbiegane oczy. Chociaż uśmiechał się sympatycznie, Saturnin poczuł zimny dreszcz przebiegający po krzyżu. Nie było przy nim stróża, ale otaczał go słabo dostrzegalny cień, jakby załamanie czy zgęstnienie światła.

Drago, tknięty nagłym przecuciem, uniósł głowę, żeby przyjrzeć się chłopcu. W pierwszej chwili nie potrafił uchwycić, co tutaj nie gra. Kiedy wreszcie zrozumiał, zrobiło się za późno. W przytłumionym blasku lamp dostrzegł błysk stali.

Żrenice klienta rozszerzyły się w zdumieniu. Dziewczyna ze świstem wstrzymała oddech.

Ponad głowę chłopaka Saturnin zobaczył wyłaniającą się nagle obłąkaną twarz, wykrzywioną nieludzkim grymasem. Dzieciak jest opętany! – zdążył pomyśleć, rzucając się naprzód, żeby osłonić klienta. Demon zaryczał wściekle, wypuszczając z ust kłęb smrodliwego dymu.

Z zadziwiającą szybkością Drago wyciągnął zza paska pistolet, spychając z linii strzału anielicę, która właśnie nabierała tchu do krzyku. Zaklął, stwierdziwszy, że ryzyko postrzelenia kogoś postronnego jest zbyt wielkie. Przy barze kłębił się tłum.

Przez ułamek sekundy Saturnin stał przed demonem, sparaliżowany strachem. Zrób coś! Krzyczał głos w jego głowie. Demon, wciąż sycząc, pochylił się ku niemu. Oszałamane oczy wpiły się w źrenice anioła. Zabije mnie, pomyślał Saturnin. To koniec. Palce jego dłoni bezwiednie trafiły do kieszeni, zacisnęły się na czymś chłodnym i okrągłym. Drago pędził jak błyskawica, roztrącając gości przy kontuarze. W garści ścisnął rękojeść krótkiego, szerokiego noża, opatrzonego formułami pięciu błogosławieństw. W umiejętnych rękach była to straszliwa broń.

Przekrwione ślepie demona załśniły. Rzucił się do ataku, lecz w tym momencie Saturnin wyrzwał go z całej siły szklaną kulą między oczy. Demon zawył jak strzyga, kiedy święcony przedmiot huknął go w czoło. Wytracony z równowagi siłą własnego ciosu, anioł zachwiał się. Wtedy pazurzasta łapa uderzyła go w głowę, a Saturnin zdziwił się, dlaczego wszystkie światła nagle zgasły. Nóż trzymany w ręku chłopaka świsnął w powietrzu.

W tym momencie Drago wbił z rozmachem sztylet w bok demona. Ten odwrócił się z rykiem, wyłaniając się w całości z ciała chłopca. Zamachnął się, Drago targnął głową i cios trafił go w ramię, zamiast strzaskać mu czaszkę. Wyszarpnął dłoń.

Nóż chłopaka rozpruł rękaw klienta, kalecząc lekko skórę.

Gamerin, padając na kolana, wepchnął ostrze w brzuch demona. Stwór grzmotnął go w plecy, ale komandos zawisł na nożu, z całą mocą szarpnąwszy rękojeść w dół. Demon zacharczał.

Zdychaj, sukinsynu! – wrzasnął w myślach Drago. Krew z poszarpanego barku płamiła mu ubranie. Cuchnąca posoką, buchająca z brzucha demona, parzyła palce.

Chłopak, mrugając powiekami, wpatrywał się z niedowierzaniem w nóż, który wciąż trzymał w rękach.

Demon, waląc na oślep łapami, zwałił się na podłogę, przygniatając nieprzytomnego Saturnina. Drago błyskawicznie odciągnął przyjaciela na bok, bo ciało demona już zaczynało dymić. Po chwili stanęło w płomieniach. Nóż, wypuszczony z dłoni nastolatka, z brzękiem upadł na podłogę.

– Niech ktoś zawiadomi żandarmów ze straży anielskiej Gabriela – powiedział ochryple Gamerin. Siedział na posadzce, obok Saturnina, który poruszył się z jękiem.

Szczałki demona rozsypywały się na popiół.

* * *

– Mieliśmy szczęście – oznajmił Drago, przywitawszy się ciepło z Saturninem. – Demony tego rodzaju są niepoczytalne. Mają mnóstwo siły i kompletnie nasrane w głowie. Żeby było śmieszniej, ścigamy je zarówno my, jak i Głębianie. Wiesz, że jesteś czymś w rodzaju bohatera? Wszyscy stróże gadają o twojej „godnej naśladownictwa, wzorowej postawie”. Swoją drogą, gratulacje za numer ze szklaną kulą. Przynajmniej na coś się przydała.

Saturnin poruszył się z trudem. Był blady, a głowę owijał mu bandaż.

– Dostałem pochwałę na piśmie. Tam też wspominali o godnej naśladownictwa postawie. Niedługo wbiję się w dumę i zacznę opowiadać, że osobiście ubiłem samego Behemota.

– Zawsze zaczynaj od słów: „Został mi ostatni nabój” albo „Ścisnąłem w dłoni kikut złamanego noża”... To buduje nastrój.

– Ty tak robisz?

Drago roześmiał się.

– Nie, ja zaczynam od „Postaw mi drinka, a potem spadaj. Nie mam czasu z tobą gadać. Zadanie specjalne, rozumiesz?”. Lekarz powiedział, że nic ci nie będzie. Mało brakowało, a ten szurnięty stwór rozwaliby ci głowę.

– Czuję się nieźle. Niedługo wracam do pracy. Jak twoje ramię?

– W porządku. Ledwie mnie drasnął.

– Gdyby nie ty, zostałyby ze mnie same flaki i kupka pierza.

– Daj spokój. – Drago machnął ręką. – Prawdę rzekłszy, nie popisałem się. Powinienem go zauważyć dużo wcześniej...

Rozejrzał się po skromnej kwaterze Saturnina.

– Mieszkasz jak asceta. Powieś sobie jakieś obrazki.

– Z gołymi panienkami?

– Skoro ci serce dyktuje... Ja stawiałbym na widoki Hajot Hakados pędzla Labadiela.

– Podobno pozwolili ci zmienić klienta.

Saturnin wzruszył ramionami.

– Aha. Ale ja nie chcę.

– A to dobre! Polubiłeś go, czy jak? Pewnie na skutek tego palnięcia w głowę.

Stróż przyglądał się przyjacielowi uważnie. W szarych oczach pojawiały się i gasły niezwykle błyski, gesty stały się płynne, kroki sprężyste, tak że niemal nie było widać utykania. Mówił z ożywieniem.

– Drago? – zagadnął Saturnin. – Coś ty taki radosny?

Gamerin pospiesznie odwrócił wzrok.

– Świętuję kolejnego demona do kolekcji.

– Daj spokój, mnie możesz powiedzieć. I tak się domyślam.

Drago spojrział na niego poważnie, choć twarz mu promieniała.

– Wracam do oddziału. Powołali wszystkich starych chłopaków, tych najlepszych z najlepszych. Podobno szykuje się zadanie tysiąclecia. Coś się musiało stać, chyba niezemska afera.. Nic konkretnego nie wiem.

Saturnin poczuł ucisk w gardle. Wiedział, ile to znaczy dla Drago, ale nie potrafił się z nim cieszyć.

– Właściwie przyszedłem się pożegnać – powiedział Gamerin. On też jakoś posmutniał. – Szczerze mówiąc, będzie mi ciebie brakowało. Jak na stróża, fajny gość z ciebie. Kiedy wrócę, zabiorę cię na rajd po knajpach Limbo.

Jeżeli wrócisz, pomyślał Saturnin.

– Jeżeli wrócę – dodał Drago, jakby czytał w jego myślach.

– Nie gadaj takich rzeczy! – zachnął się stróż.

– Bez obaw. – Komandos się uśmiechnął. – Poradzę sobie. W końcu nie jestem kaleką. Coś ci przyniosłem, trzymaj. – Ściągnął z szyi łańcuszek z podłużnym wisiorkiem. Błysnął, wysuwając się spod koszuli. Płaski, złoty przedmiot dotknął palców Saturnina, który nie patrząc, wiedział już, co to jest. Uścisk w gardle stał się nie do zniesienia, a pod powiekami dziwnie zapiekło. Na łańcuszku dyndał uskrzydłony miecz, wbity pomiędzy litery S i G. Kształtem przypominał stylizowaną postać anioła.

– Jest bardzo skuteczny. Wypróbowałem – powiedział Drago.

– Nie mogę go wziąć – wyszeptał Saturnin, modląc się, żeby głos mu się nie załamał. – Jest ci potrzebny!

– Daj spokój. Kto będzie pilnował twojego tyłka, kiedy mnie zabraknie? Mną się nie przejmuj. Mam inne amulety. – Wyszczrzył zęby, potrząsnąwszy pękiem różnych wisiorków. – Jestem cholernie przesądny. A w razie czego i tak muszę liczyć na własne siły. Kawalek blaszki mi nie pomoże. No bierz. Chcę, żebyś go zatrzymał.

– Uważaj na siebie – szepnął Saturnin. – I nie daj się, stary.

– Nigdy – usłyszał w odpowiedzi.

Sucha, silna dłoń potrząsnęła jego ręką.

– Odezwę się, kiedy wrócę – powiedział jeszcze Drago, wychodząc. – Niech cię gwiazdy strzegą, opiekunie zbłąkanych dusz.

Drzwi się zamknęły. Saturnin przymknął oczy, starając się jak najwierniej odtworzyć w pamięci szczupłą, jasnowłosą postać przyjaciela, którego mógł już nigdy więcej nie zobaczyć.

* * *

Błady, wymizerowany Ananiasz patrzył na Saturnina z psim przywiązaniem. Szeroko rozwarte źrenice były pełne podziwu. – I co z tym twoim klientem? – zagadnął starszy anioł. Usta Ananiasza wykrzywiły się boleśnie.

– Został dealerem. Ja tego nie zniosę. Nie mam pojęcia, co robić.

– Po prostu swoją robotę – powiedział Saturnin. – Zamiast mu wciskać górnolotne bzdury z podręcznika, postaraj się go poznać, krok po kroku. Może nie jest taki zły. Spróbuj do niego dotrzeć tak, żeby cię zrozumiał. Ale nic na siłę. Nie jesteś Panem, żebyś umiał stworzyć go na nowo. Po prostu go chronisz. Nie możesz czuć się za niego całkowicie odpowiedzialny. Wykonuj swoje zadanie najlepiej, jak umiesz. Słyszałeś kiedyś o wieży zapalek?

W zaczerwienionych od płaczu oczach zadrgała wątła iskierka nadziei.

GRINGO

Płomyki świec drgały nerwowo, niepewne światło rozlewało się po pokoju złotawą kałużą. Wosk płakał czerwonymi i czarnymi łzami, kreda zgrzytała po deskach podłogi, a dłoń kreśląca magiczne znaki trzęsła się tak bardzo, że wyrysowywany pentagram przypominał rozdeptaną rozgwiadę.

Na białą kredową linię pacnęła kropelka potu. Miguel odgarnął z czoła mokre włosy. Palce miał zeszywniałe, pozbawione czucia, jakby wystrugane z drewna. W skroniach czuł huk tętna, podobny do łoskotu wodospadu. Serce jakimś niewiadomym sposobem wypełzło pomiędzy żeber i próbowało wepchnąć się do przetyku. Po grzbiecie raz po raz przebiegały dreszcze.

Miguel Diaz nigdy w życiu bardziej się nie bał. Ale leż sprawa była poważna. Bardzo poważna. Nie chodziło przecież o przywołanie któregoś loa czy pradawnego bożka. Klęczący na podłodze młody mężczyzna bazgrał kredą po wypastowanych deskach nie po to, żeby zwrócić uwagę pomniejszej magicznej istoty. Pragnął zawezwać diabła.

Osobiście, personalnie, wprost z samego piekła.

Oczywiście, miał ku temu istotne powody. Kierowała nim rozpacz, desperacja i głębokie poczucie krzywdy.

- El Señor - szepnął pobladłymi ustami, kiedy koślawy pentagram był już ukończony - błagam, przybądź! Z radością oddam ci duszę, jeśli zechcesz mnie teraz wysłuchać. Ty, który niepodzielnie władasz na Ziemi, przybądź na korne wołanie swego od tej chwili gorliwego sługi! Pan niech sobie rządzi w Niebie, ale ty, Książę Świata bądź łaskaw zstąpić... eee... to znaczy wyniść z podziemi...

Urwał wystraszony. Jak mógł się tak paskudnie pomylić! Oczywiście, że El Señor znikąd nie zstąpi, bo piekło znajduje się przecież gdzieś w dole, w Otchłani. To te okropne stare

nawyki. I po co wspomniał o Niebie? Święta Panienko z Gwadelupy, diabeł gotów się jeszcze obrazić!

Kłęczał skulony, drżący, obok tajemnych znaków, których ostre kąty przywodziły na myśl wyszczerzone kły. Sięgnął po starą, zniszczoną księgę w skórzanej oprawie i uważnie przejrzał rysunki. Wszystko się zgadzało. Na pożółkłych, kruchych stronicach został zawarty starożytny rytuał przyzywania Złego. Symbole i zaklęcia w nieznanym języku starannie skopiował z ryciny. Teraz pozostało już tylko czekać.

Czułby się nieco lepiej, gdyby wiedział, co właściwie napisał. Zadygotał ze zgrozy na samą myśl, że to mogą być jakieś inwektywy albo szyderstwa na temat prawdziwego władcy świata. W końcu ukradł tę książkę, podobnie jak święconą krede, z gabinetu ojca Chryzostoma. Duchowny opowiadał zawsze bardzo barwnie o diable, przytaczał różne straszne, całkowicie prawdziwe historie o nieszczęśnikach ulegających jego podszeptom, z pewnością wiedział o nim bardzo dużo, znacznie więcej niż zwykły człowiek, ale czy można się spodziewać, że zakonnik będzie miał na półce w swojej bibliotece pozycję traktującą El Señora z należytym szacunkiem?

Miguel co chwila zerkał nerwowo na pentagram.

Powinien się już pojawić, pomyślał z rozpaczą. Może nie przybędzie, bo coś źle przerysowałem? Carramba, a może trzeba było wypowiedzieć te zaklęcia na głos? Teraz już za późno, zresztą i tak nie umiem ich odcyfrować.

Usiadł, skrzyżowawszy nogi, podpierając brodę pięścią. Czekał. Ale szyderczy głosik w głowie podpowiadał mu, że i tak wszystko na nic. El Señor się nie pokaże, choćby Miguel siedział tu do przyszłej Wielkanocy. Coś pomylił, coś zrobił źle albo po prostu persona tak znaczna jak diabeł nie chce sobie zawracać głowy zwykłym chłopakiem, który w dodatku jest półkrwi góralem.

Westchnął ciężko.

A wszystko zdawało się już tak dobrze układać.

Wreszcie jego życie zaczęło wkraczać na właściwe tory. I nagle wszystko szlag trafił. Jakby los wziął się na niego, specjalnie przeciwstawił misternie układanym planom siły, z którymi Miguel nie miał możliwości ani mocy walczyć. Nie mógł nic zrobić, tylko patrzeć, jak wszystko, co z trudem osiągnął, rozlatuje się w cholerę. Katastrofy, która wybuchła z siłą wulkanu, nie dało się przecież przewidzieć.

A teraz w rozpaczy zwrócił się ku temu, którego mrocznych matactw obawiał się przez całe życie. Ale i on zawiódł.

Świece skwierczały, czas płynął, a El Señor nie nadchodził. Zmęczonemu czekaniem Miguelowi zaczęły opadać powieki. Senność pokonała w końcu gorzycz porażki i młody Metys zasnął na podłodze obok krzywego pentagramu.

* * *

Bładziutki przedświt zabarwił głęboką niebieskość nocy świetlistą szarawą smugą. Porządnie już podpity Forfax wysączył ze szklanki resztkę tequila. O brzasku zwykle popadał w melancholijny nastrój. Nocne lokale, dziewczyny, zabawa i hektolitry alkoholu zagłuszały tęsknotę, ale na krótko. Teraz, samotny w swoim hotelowym apartamencie, musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Najchętniej natychmiast rzuciłby to wszystko w choin c i wrócił do domu.

Co ja tu robię? - myślał, stukając brzegiem szklanki o zęby.

Było to pytanie czysto retoryczne, bo nawet po pijaku doskonale pamiętał, że akurat do ojczyzny za nic wracać nie może.

Całkiem pewną ręką sięgnął po butelkę i nalał sobie ponad połowę szklanki. Nie obawiał się, że straci przytomność albo obudzi się w południe z gigantycznym kacem. Takie przypadłości po prostu go nie dotyczyły. Na razie tequila pomagała. I jedynie to się liczyło.

W głębi duszy doskonale wiedział, że gdy tylko minie szara godzina, nostalgia zniknie. Zawsze w końcu potrafił jakoś odpędzić to uczucie i na dobrą sprawę nie stanowiło ono problemu. Rzecz w tym, że Forfax preraźliwie się nudził. Po prostu konał z nudy.

Bywało, że modlił się o jakiegokolwiek wydarzenie. Wybuch wulkanu, tsunami, wojnę, cokolwiek, co przełamałoby nieznośną monotonię. Tymczasem co rano wydarzało się jedynie wielkie, puste nic.

Prawdopodobnie, gdyby nie stan nieprzerwanego psychicznego wyczekiwania na cokolwiek, Forfax nie wyczułby słabiutkiego pulsowania pentagramu. Ale tego cichego, samotnego poranka delikatne drgania nie zniknęły wśród licznych zakłóceń generowanych przez wielką metropolię i dotarły prosto do celu. Nie przesłoniły ich nieskończone senne koszmary, mroczne myśli, złe intencje lub nieszczerze modlitwy. Starożytny rytuał zachował moc, mimo że odprawiał go laik i ignorant.

Forfax drgnął, przymknął powieki, żeby lepiej wyłapać sygnał. Powoli na jego usta wypływał radosny uśmiech.

Nie, z pewnością się nie mylił! Gdzieś tutaj ktoś nieudolnie próbował przywołać diabła.

Sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął małe okrągłe lusterko. Chuchnął na srebrną taflę, a ona natychmiast zamglila się, zaświeciła perłowym blaskiem. Spod warstwy bladego oparu powoli wypływał obraz.

Jasna cholera! Super! Namierzył drania. Inwokator, młody Metys, siedział obok paskudnie pokraccznego pentagramu, w środku okręgu wyznaczonego przez czerwone i czarne ogarki. Głowa mu się kiwała, wyraźnie przysypiał. Pewnie odprawił rytuał o północy, ale wtedy Forfax nic nie poczuł, bo jadł właśnie obiad w towarzystwie uroczych dam.

A teraz musiał się pospieszyć. Wkrótce świece się do palą i przejście szlag trafi.

Odstawił szklanekę na stół. Nie było już powodu, żeby szukać pocieszenia w drinkach. Szykowała się prze cięż wspaniała zabawa. Niesamowity ubaw, na który tak długo czekał. Z

trzaskiem pojawi się w samym śródku wykreślonej krzywo, rozplaskanej meduzy, wystraszy nieszczęśnika na śmierć, a potem zobaczy, co jeszcze uda się ugrać. Tak czy inaczej, zapewni sobie niezłą rozrywkę. Rytuał był co prawda przeprowadzony z błędami, a magiczne znaki narysowane niezbyt starannie, więc przekroczenie pentagramu mogło się okazać niezbyt przyjemne, ale niech tam! Przecież czasem trzeba się poświęcić.

Wstał, rozpostarł ramiona.

- Moc! - zawołał radośnie.

Ostatnimi laty Forfax do niczego nie miał szczęścia. Chociaż był całkiem niegłupim, sympatycznym demonem, ciągle wplątywał się w jakieś niemiłe afery. A to podpadł Mefistofelesowi, a to znów bezwiednie pokrzyżował szyki Beliala. Wszystko przez jedną wyjątkowo feralną cechę. Otóż Forfax zawsze musiał coś przedobrzyć. Nie potrafił wyczuć, kiedy lepiej sobie odpuścić. Z początku zwykle sprawy szły znakomicie, aż wreszcie gdzieś przekraczał niewidzialną granicę i przedsięwzięcie kończyło się katastrofą.

Ale nigdy jeszcze nie było tak źle jak teraz. Parę przysług, które ochoczo wyświadczył pewnemu sympatycznemu Głębianinowi imieniem Azus, sprowadziło na głowę nieszczęsnego Forfaksa prawdziwy kataklizm. W końcu skąd miał wiedzieć, że nieświadomie wziął udział w spisku przeciwko Lucyferowi i Asmodeuszowi? Zrobił tylko to, o co go grzecznie poproszono, za godziwą, zresztą, opłatą. Sprzedał kilka nieistotnych z pozoru informacji, ułatwił jakieś kontakty, przechował kilka starannie zapakowanych przedmiotów. A po jakimś miesiącu siedział już w lochach na samym dnie Pandemonium oskarżony o zdradę stanu.

I zadawał sobie pełne gorczy pytanie. Jak, kurwa, mogło do tego dojść?

Potem odbył się wyjątkowo przykry proces, wielogodzinne przesłuchania i wizje lokalne, z których Forfax wyszedł bogatszy o wiele cennych, lecz niemiłych doświadczeń. Na koniec odbył okropną rozmowę z Asmodeuszem, podczas której Zgniły Chłopiec kilkakrotnie nazwał go kretynem, zakałą Głębi i demonem o inteligencji mniejszej niż ta, którą szczycą się dżdżownice, a potem wyrzucił na zbity łeb, pozbawiając całego majątku i prawa pokazywania się we wszystkich kręgach Otchłani oraz na całym terytorium Limbo. W dodatku dosadnie wyjaśniając, co czeka wygnańca, który nie posłucha jego uprzejmej prośby.

Zdruzgotanemu Forfaksowi nie pozostało nic innego, tylko sromotnie wylądować na Ziemi. Od kilku lat plątał się pośród ludzi, samotny i zgorzkniały. Na miejsce swego wygnania wybrał Amerykę Łacińską, bo tu wciąż kwitła głęboka, nieco naiwna wiara w czary i diabły, nadprzyrodzone moce, duchy i dawne bóstwa. Ziemia aż promieniowała magią, pomagając uczciwemu demonowi utrzymać dobrą kondycję i tajemne umiejętności. Dzięki temu żył na dość przyzwoitym poziomie, nie narzekając na brak pieniędzy.

Ale, jakkolwiek by patrzeć, Głębia to jednak nie była.

Chociaż Forfax i tak dziękował losowi, że przez własną głupotę nie stracił życia. I wciąż miał cichutką nadzieję na powrót do domu. Kiedyś w końcu Zgniły Chłopiec mu wybaczy.

Nie może w nieskończoność wściekać się na mało znaczącego, Bogu ducha winnego demona, który przecież nie zrobił w sumie nic złego.

Sam Forfax wcale nie był pamiętliwy. Miał raczej pogodny charakter i wyjątkową łatwość nawiązywania znajomości.

Spadając w snopie czerwonych iskier z sufitu wprost w środek pentagramu Miguela, zastanawiał się, czy młody Metys okaże się zabawny, a przygoda potrwa dłużej niż jedno diabelskie entree.

* * *

Gdyby Miguel nie widział tego wejścia na własne oczy, nigdy by nie uwierzył, że stoi przed nim sam El Señor, diabeł we własnej postaci.

Ocknął się, kiedy z wściekłym łoskotem rozsunał się sufit, a pokój zalało upiorne czerwone światło. Przez sekundę myślał, że nadal śni, ale zaraz przerażony po rwał się na kolana i odruchowo przeżegnał, zanim zdążył pojąć niestosowność swego zachowania. Wtedy z góry spłynął wodospad iskier, ostro zaśmierdziało spalenizną. W dziurze ziejącej w suficie zamajaczyła jakaś postać.

El Señor nadchodził!

Diaz pisnął ze zgrozy, skulił się na podłodze. Za-krztusił się oddechem, w skroniach załomotały mu werble, serce podskoczyło do szaleńczego galopu. Skamieniały ze strachu patrzył, jak pośrodku pentagramu ląduje z hukiem diabeł.

* * *

Forfax grzmotnął ciężko o deski podłogi. Zaklął paskudnie, krzywiąc się z bólu. Faktycznie, przejście przebiegło wyjątkowo nieprzyjemnie. Było mu mdło, w głowie huląca karuzela. Z trudem przełknął lepka ślinę, walcząc z atakiem torsji. Nie wyglądałoby najlepiej, gdyby teraz porzygał się przed inwokantem.

Odetchnął głęboko i poczuł się nieco lepiej. Niedbałym ruchem dłoni zamknął rozdziawiony sufit. W końcu nie przybył tu demolować chałupki tego biednego Metysa. Zawsze trzeba znać umiar w zabawie.

Otrzeptał wymięte spodnie, obciągnął poły marynarki. Zauważył na kieszeni paskudną plamę po czerwonym martini, ale postanowił ją zignorować. Przybrał nieco wyniosłą minę, na wargi przywołał uśmiezek i spojrzał prosto w twarz Metysa.

Chłopak klęczał na podłodze z rozdziawionymi ustami. Ciemne oczy rozszerzyły się pod wpływem zdumienia. Wydawał się kompletnie oszołomiony.

- No co się tak gapisz? - spytał wesoło Forfax. - Wzywałeś mnie, to jestem. Zdziwiony? Od razu widać, że nie myślisz pozytywnie. Dobrze nastawienie to połowa sukcesu.

Diaz nawet nie drgnął. Zamarł w głębokim szoku. Doskonale wiedział, jak powinien wyglądać diabeł. El Señor miał rogi, czerwoną skórę, hiszpańską bródkę, ogon i rozdwojone kopyta. Tymczasem przed nim stał cuchnący tequilą, wyraźnie wczorajszy, jasnowłosy gringo

Gdyby nie czarne ślady wypalone w deskach pod logi i świeża szrama na suficie, byłby przekonany, że padł ofiarą halucynacji, a dziwny cudzoziemiec zjawił się w domu zwyczajnie, przez drzwi, kiedy Miguel przy śnął.

Nie mógł oderwać oczu od niezwykłego gościa. Przybysz był dość wysoki, barczysty, miał na sobie biały płócienny garnitur i zamszowe buty. Wyglądał całkiem sympatycznie. W przystojnej, pociągłej twarzy uśmiechały się nieprawdopodobnie zielone, fosforyzujące oczy. Nos był chyba kiedyś złamany, policzki pokrywał jedno dniowy zarost.

Domniemany diabeł postąpił dwa kroki do przodu, zupełnie nie zważając na nakreślone święconą kredą li nie, i wyciągnął rękę.

- Nazywam się Forfax. Demon Trzeciego Kręgu Odchłani. Możesz do mnie mówić Henry. Rozumiesz, na ziemskie okazje. Przyzwyczaiłem się. Nie przejmuj się, że nie uchodzi. W końcu Faust też nazywał Mefistofelesa Mef. Przyznał się kiedyś po pijaku, w takiej jednej fajnej knajpce w Limbo. A tyś co za jeden? Masz jakieś imię?

Miguel gapił się na wyciągniętą dłoń jak zahipnotyzowany. Nie potrafił wykrztusić ani słowa.

Święta Panienko! - powtarzał w myślach. El Señor to gringo!

Forfax, odrobinę zmieszany, opuścił rękę.

- Dobra - mruknął. - Za bardzo rozmowny to ty nic jesteś. Czekaaj, sam się domyślę.

Przymknął oczy, żeby lepiej skupić myśli.

- Diaz! - oświadczył triumfalnie. - Miguel Diaz, co? Metys powoli skinął głową.

- Tak - wykrztusił ochryple. Uśmiech demona pogłębił się.

- No, znaczy umiesz jednak mówić. W porządku Diaz. Teraz powiedz, czego ode mnie chcesz? Żony kumpla? Pieniądzy? Sławy? Nie krępuj się, gadaj. W końcu po to mnie wezwałeś, prawda? No, więc czego pragniesz?

Miguel wyprostował plecy, spojrzał wprost w oszałamiającą zieloność oczu diabła.

- Sprawiedliwości - powiedział twardo. Gringo drgnął zaskoczony.

- Hej, chłopie! - Potrząsnął głową. - Nie jestem pewien, czy z tym akurat do mnie. Ale dobra, wal śmiało. Zobaczmy, co da się zrobić.

I nagle, jakby przerwała się jakaś tama, z ust Miguel niepowstrzymaną falą zaczęły się wylewać słowa. Gorzka, smutna, przewidywalna historia życia zwykłego chłopaka, który miał niefart urodzić się półkrwi górale.

* * *

Z dzieciństwa Miguel zapamiętał jedynie nędzę. Jego ojciec, kiedy przywędrował do miasta, nie miał nic i ni czego nie umiał, nawet nakreślić liter swojego, skądinąd krótkiego, nazwiska. W rodzinnej wiosce był rybakiem a co niby miał łowić w stolicy? Chyba trupy płynące rzeką. Matka pochodziła z gór, z plemienia, którego nazwy nawet nie dało się wymówić. Skórę miała czerwoną jak terakota, na głowie tkwiący nieustannie kretyński melonik. Przez życie kroczyła obojętnie, nieustannie pogrążona w łagodnym półśnie pod łaskawymi skrzydłami odwiecznej bogini imieniem Mama Koka. Czasami Miguel nie był pewien, czy matka w ogóle rozumie, co się wokół niej dzieje. Los obdarzyłby chłopaka jakąś nieprzebraną liczbą braci, gdyby nie to, że większość z nich umarła we wczesnym dzieciństwie. I tak zostało czterech oraz jedna siostra, opóźniona w rozwoju Maria Lucia.

Miguel nie pamiętał, kiedy zrodziło się w nim głębokie postanowienie, że tak żyć nie będzie, że wyrwie się spod panowania beznadziejności, biedy i łaskawej Mamy Koki. Z pewnością wcześniej, ledwo zaczął cokolwiek rozumieć. I równie szybko pojął, że jedyna droga ucieczki wiedzie przez szkółkę dla biedaków, prowadzoną przez zasuszonego jak śliwka ojca Benedykta. Już po kilku miesiącach ten oddany ludziom, dobrotliwy staruszek pojął, że trafił mu się do oszlifowania wartościowy kamień. Miguel dosłownie pożałował wiedzę. Uczył się tak gorliwie, że czasem bał się, iż eksploduje mu głowa. W krótkim czasie odbiegał od reszty uczniów tak znacznie, że sędziwy nauczyciel przygotował dla niego indywidualny tok nauczania.

Uciekał z domu, godzinami przesiadywał w kościele, słuchając kazań, wcale nie z religijnej gorliwości, ale po to, żeby nauczyć się mówić tak pięknie i uczenie jak duchowni.

W marzeniach widział się w roli oficera, urzędnika lub nawet księdza. Prawdę mówiąc, było mu wszystko jedno. Byle wspiąć się choć trochę w górę.

Doskonale wiedział, że brak mu dostatecznej odwagi, żeby postawić na karierę w mafii narkotykowej, handlu żywym towarem, pornografii czy zwykłej gangsterce. Nie uśmiechała mu się pozycja szefa przestępczej organizacji. Za dużo stresu. Chciał coś spokojniejszego, pewnego. Nie marzył też, jak rówieśnicy, że kiedyś zostanie torreadorem, sutenerem bądź szulerem. Wcale nie dlatego, że dręczyły go jakieś moralne opory. Po prostu to u niego były bezpieczne zajęcia. Pozostawała więc tylko droga kościelno-naukowa. I jej poświęcił się bez reszty.

Ponieważ nie pracował ani nie pomagał ojcu przy dorywczych robotach, w domu patrzono na niego niechętnie. Jako darmozjad często nie dostawał nic do jedzenia czasami rozżłoszczona matka wyrzucała go wieczorem na ulicę, żeby spał pod gołym niebem. Jej terakotowa twarz marszczyła się wtedy z gniewu, przypominając popękany garnek.

A Miguel dalej uczył się, jakby go diabli opętali I wreszcie doczekał się nagrody za swoje wysiłki. Wzruszony postawą ulubieńca, stary ojciec Benedykt wkręcił go do przyzwoitej

szkoły z internatem, powołując się na litość Boską i wszystkie swoje dawne znajomości. Wyżebrał dla wychowanka zwolnienie z czesnego i utrzymywał go przez cały okres nauki ze swoich skromniutkich dochodów.

Młody Metys czuł się wśród bogatszych kolegów nil swojo. Wstydział się indiańskiego pochodzenia, ubóstwa braku obycia i prostackiego akcentu. Przez kilka lat pobytu w szkole nie znalazł żadnych przyjaciół. Za to nauczył się wielu pożytecznych rzeczy. Na przykład jak być elastycznym, żeby ugiąć się, a nie złamać. Szkolnych kolegów traktował z całkowitą obojętnością. Uchodził za samotnika. Decydował się być uczynnym, tylko kiedy wiedział, że przyniesie to wymierne korzyści. Nauczycielom prezentował zawsze uśmiechniętą, układną, uprzedzająco grzeczną, wręcz służalczą twarz. Wciąż osiągał doskonałe wyniki, bo dobrze rozumiał, że to jego jedyna przepustka do lepszego świata. Choć mogła się okazać niewystarczająca.

Szybko spostrzegł, że w kontaktach z większością przełożonych zamiast szczeroci lepiej sprawdza się hipokryzja, pochlebstwa i unizoność. Dorastał więc, ugruntowując pozycję bystrego, lojalnego, pokornego prymusa, a przy okazji znalazł się na dobrej drodze, żeby stać się prawdziwą kanalią. Dziwił się tylko, że nikt nie nakłania go do przywdziania zakonnej sukienki, ale właściwie było mu to na rękę. W końcu księdzem zdecydowałby się zostać tylko w ostateczności. To zajęcie dawało za mało możliwości na przyszłość.

Szkołę ukończył z doskonałym świadectwem i ku swojemu szczęściu otrzymał widoki na dobrą posadę. Dyrektor szkoły, ojciec Chryzostom, polecił go ponoć na pracownika sekretariatu w miejskim urzędzie.

Miguel popłakał się z radości, po raz pierwszy od lat pozwalając sobie na jakieś szczerze uczucie. Czuł się, jakby chwycił za nogi nie tylko Pana Boga, ale całą Tróję.

I właśnie wtedy, gdy wszystko zaczynało dobrze iść, wybuchła rewolucja.

Tak z dnia na dzień, z niczego. Niby jakiś potwór z bagien, z dżungli wypełził charyzmatyczny przywódca ludowy, już wtedy zwany przez zwolenników El Presidente, i poprowadził oddziały zbuntowanej biedoty przeciw panującej juncie. Z jakichś magicznych przyczyn natychmiast wojsko i policja stanęły po stronie rewolucjonistów, szybko obalono rząd, ówczesnego bogobojnego, konserwatywnie nastawionego dyktatora, wyższych urzędników. Posypały się głowy, polało trochę krwi, ale nadspodziewanie szybko wszystko przyszło. W atmosferze ogólnej fiesty El Presidente objął władze. Ludzie tańczyli na ulicach, obsypywali kwiatami zwycięskie oddziały, upijali się do nieprzytomności i bawili całymi dniami. Kraj ogarnęła istna euforia.

Ktokolwiek spojrział w surowe, śniade, piękne jak rzeźba w granicie oblicze nowego przywódcy, wiedział, że oto nadszedł zbawca, mąż opatrnościowy, który za pewni tutaj raj na Ziemi. Miłość do El Presidente przeradzała się w jakiś zbiorowy fanatyzm. Kobiety płakały na jego widok, modliły się niczym do samego Chrystusa, niektóre mdlały z zachwytu. Mężczyźni z obłędem w oczach ryczeli patriotyczne i społeczne hasła, powtarzane po

wspaniałym zwycięzcy, gromadzili się pod pałacem prezydenckim, gotowi w tej chwili iść tam, gdzie im rozkaże.

A Miguel siedział w starym, rozklekotanym domku, który zapisał mu w testamencie dawny mentor, ojciec Benedykt, i trząsał się ze strachu.

Bo parszywy, wredny pech chciał, że El Presidente był nieprzejednanym komunistą i od razu, z marszu, zawzięcie zabrał się za tępienie religii. Każdej. Poczynając od katolickich misji, kościołów i szkół, a na obrzędach voodoo kończąc. Dostało się też ludowym kultom prekolumbijskich bogów i nawet zwykłym zabobonom. Wszystko, co miało jakiś duchowy wymiar, nowy dyktator postanowił brutalnie wykreślić. I zabierał się do tego z wielką gorliwością.

Zaś oczyszczająca fala prezydenckiej, komunistycznej nienawiści spokojnie mogła też splukać biednego karierowicza Diaza, od dzieciństwa związanego z kościelnymi instytucjami.

A Bóg wyraźnie nie zamierzał nic przedsięwziąć w tej kwestii.

Dlatego w desperacji zamiast do Pana, królującego niefrasobliwie w Niebie Stwórcy, którego widocznie El Presidente ze wszystkimi swymi świętokradczymi zamysłami po prostu nie obchodził, zwrócił się do diabła, rzeczywistego władcy świata i ludzi, kusiciela, amatora dusz, znawcy spraw ziemskich i grzesznych charakterów swoich poddanych. No bo w końcu czy może tak być, żeby tyle wysiłku i wyrzeczeń poszło teraz na marne?

- To niesprawiedliwe! - wyszeptał nieszczęsny Miguel z pasją, patrząc prosto w twarz demonicznego gringo. - Po prostu niesprawiedliwe! Nie godzi się. Wezwałem cię, żebyś coś z tym zrobił, Señor.

Czarne oczy miał pełne rozpacz, ale też i głębokiego, strasznego uporu górala.

Forfax podrapał się w policzek. Coś tam niby słyszał o rewolucji, ale nie zwrócił na nią szczególnej uwagi. Podczas całej afery bawił na Karaibach, wrócił, kiedy już się utrząsało. O spadek poziomu mocy się nie obawiał, bo ziemia tu zbyt głęboko nasiąkała magią i pradawnymi rytuałami, żeby jakiś dyktator zdołał zaburzyć jej potencjał. A naiwną wiarę i zabobon z ludzkich umysłów wyrugować jeszcze trudniej. Skoro więc nie miał się o co martwić, postanowił nie zawracać sobie głowy. W końcu po awanturze ze spiskiem przeciw Lucyferowi przyrzekł sobie solennie, że nigdy już nie tknie polityki.

- No i co ja mam niby dla ciebie zrobić? - spytał, rozkładając bezradnie ręce. - Obalić tego całego Presidente?

Sorry, nie mam tyle czasu ani możliwości. Przeceniasz mnie, chłopie.

Miguel zacisnął pięści.

- Co mnie obchodzi jakiś tam prezydent! - wybuchnął. - Chcę wreszcie do czegoś dojść, osiągnąć pozycję! Pracowałem na to całe pieprzone życie! Nie mogę teraz zostać wyrzutkiem, ściganym zbiegiem albo w najlepszym razie znów nędzarzem w jakiejś górskiej wiosce! Potrzebuję pieniędzy i stanowiska! Wszystko jedno u kogo, nawet u samego diabła, bez obrazy, Señor!

Forfax rozpromienił się.

- No, teraz rozumiem. Czemuś od razu tak nie zaczął? Tyle pewnie mogę dla ciebie zrobić. Forsa i pozycja, tak? W porządku, popracujemy nad tym. Masz kawałek gazety?

Zbity z tropu Miguel tylko skinął głową.

Demon zatarł ręce.

Coś mu w duchu podpowiadało, że z tej znajomości i może wyniknąć niezły ubaw przez wiele tygodni. Sama myśl, że będzie miał jakieś zajęcie, cel, choćby banalny, żeby rano wstać z łóżka, poprawiała Głębianinowi humor. Czemu się nie zabawić w nowego Mefista i nie wywindować tego indiańskiego karierowicza na salony komunistycznego dyktatora? Co za pociągająca, przewrotna gra. Pigmalion i Machiavelli w jednym. To zaczynało całkiem ładnie wyglądać.

Diaz stał obok, mnąc nerwowo gazetę, z której spoglądał wizjonerskim wzrokiem granitowy El Presidente.

Forfax wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Podrzyj papier na kawałki i patrz - nakazał.

Metys posłusznie poszarpał gazetę.

Uśmiech na ustach demona pogłębił się, zielone oczy załśniły. Uwielbiał tę robotę.

-Uważaj! - Zrobił kolisty ruch ręką, pstryknąwszy palcami.

Miguel stęknął z zaskoczenia i podziwu. W dłoniach trzymał autentyczne studolarówki. Cały plik. Nigdy w życiu nie widział tylu pieniędzy.

Głębianin zaśmiał się i klepnął chłopaka w plecy. Był bardzo dumny ze sztuczki z diabelskimi banknotami. Naprawdę miło było wyprodukować doskonale fałszywki prostym pstryknięciem palcami.

-Chciałeś forsy, proszę, oto forsa. Kup sobie jakieś porządne ubranie. Nie zapomnij o butach. - Zerknął na znoszone trzewiki Miguela. - No, nie gap się tak. To na początek. Potem postaramy się o więcej.

-Dziękuję, El Señor - wyszeptał chłopak łamiącym się ze wzruszenia głosem. - Ale czy... czy nie powinienem podpisać cyrografu?

Forfax z trudem powstrzymał się od parsknięcia śmiechem.

Skąd ludziom się wzięło to głupie przekonanie, że Głębianie rzucają się na dusze jak Eskimosi na foki, pomyślał rozbawiony. Po cholere nam taki kłopot?

Nie chciał jednak urazić prostodusznego Metysa, który z pełną przejęcia miną wpatrywał się w swego diabelskiego wybawcę.

- Zaraz, zaraz. - Wygrzebał z kieszeni świstek, na którym wczorajszego wieczoru ponętna Mulatka nabazgrała szminką numer telefonu. - Proszę, podpisz się tutaj.

Miguel zbladł nieco na widok czerwonych cyfr, lecz dzielnie sięgnął do paska po scyzoryk, gotów naciąć skórę i krwią przypieczętować pakt z nieczystą siłą. Jedną Forfax przytrzymał go za nadgarstek.

-Daj spokój, chłopie - burknął urażony. - Nie masz jakiegoś ołówka? Nie będziemy się przecież bawić w podobne barbarzyństwa.

Po chwili nerwowych poszukiwań Diaz znalazł wreszcie długopis i nakreślił podpis. Demon starannie złożył papiera.

-Załatwione - uśmiechnął się. - No, Miguelito! Ani się obejrzysz, jak wejdiesz na salony. Zobaczysz. Trzymaj się mnie, a wszystko dobrze się skończy. Na razie, Lecę się przespać, bo padam z nóg. Wpadnę jutro.

Niedbałym ruchem rozdziawił sufit, wpuszczając do pokoiku strumień złotawego porannego światła.

-Moc! - powiedział dobitnie i zniknął, pozostawiając nowo mianowanego potępieńca z plikiem używanych dolarów i oczami rozszerzonymi oszołomieniem.

Następne tygodnie były dla Miguela jak szalony, lecz bardzo piękny sen. El Señor zabrał się ostro do pracy. Ciągał swego podopiecznego po wszystkich możliwych kabaretach, nocnych klubach i burdelach. Oczadziały od nadmiaru wrażeń Diaz oglądał korowody striptizerek, pił wiadrami kolorowe drinki, brał w ramiona istne oddziały dziewcząt, tańczył do upadłego i całe noce rznął w karty. Kiedy kończyła się kasa, Forfax robił sztuczkę z pieniędzmi z gazety albo szedł grać do kasyna.

- Z tym nigdy nie wolno przesadzić - mawiał do swego podopiecznego, zgarniając pokaźne wygrane. – Nie wolno wziąć na raz za dużej sumy ani zbyt często wygrywać. Inaczej zapamiętają cię jako szulera lub krętacza i będziesz miał przesrane. Dobra, teraz czas na walki psów.

Miguel szedł więc pokornie do szopy starego Paco albo do magazynów przy porcie przyglądać się, jak oszalałe, wściekłe zwierzaki zagryzają się na oczach rozentuzjasmowanych widzów. Czasem robiło mu się niedobrze i marzył tylko, żeby uciec z tego cuchnącego krwią i potem cyrku, ale demon kładł mu wtedy ciężką łapę na karku.

- Siedź, Miguelito - syczał do ucha. - Ja też nie znoszę tego barbarzyństwa. Poświęć się łaskawie dla sprawy. Tu przychodzą sami wpływowi ludzie. Musisz ich poznać, jeśli chcesz się wkłęcić na samą górę.

Więc poznawał. Dziesiątki różnych twarzy spotykanych w burdelach, domach gry, spelunach i klubach porno, mnóstwo paskudnych typów, do których Forfax wdzięcznie szczyrzył zęby w serdecznym uśmiechu. Padały wypowiedane szeptem nazwiska i profesje.

Alfredo, pośrednik narkotykowy, raczej lojalny, ale w granicach rozsądku. Dupy za ciebie nie nadstawi. Santos, gangster, trzyma w kieszeni pół miasta, pozuje na dobrego wujka, ale to bezwzględny facet. Scipione, pierze brudne pieniądze. Niebezpieczny gość, ponoć zamieszany w nielegalne interesy jakiejś szychy na samej górze. Indio, wyśmienity nożownik, hitman na zlecenie. Uczciwy, o ile można tak powiedzieć. Alejandro, tajniak, szuja, jakich mało. Od lat w bezpiecu, zna się na rzeczy jak mało kto. Uważaj na niego, chłopie, bo jest gorszy niż żmija. Zapamiętaj tę gębę...

I tak co noc. Aż Forfax uznał, że młody Metys został w półświatku rozpoznany i zapamiętany jako swój. Teraz mógł wkroczyć o szczebel wyżej, do prawdziwej elity.

Wtedy przyszedł czas na eleganckie lokale i kluby, gdzie lał się firmowy importowany alkohol, a dziewczyny były tak piękne, że musiały pochodzić z Europy albo z arystokratycznych domów lub wręcz z samego Nieba. Paliły cieniutkie, wonne papierosy, mówiły o Paryżu, Madrycie i literaturze, a ich śmiech brzmiał jak stukot pereł rozsypanych po mahoniowym blacie baru.

Wszystkie miały oszałamiająco jasną skórę, oczy świętych rozpusznic i każda z nich w końcu nazywała Miguela „słodkim”.

Forfax czuł się tam jak u siebie w piekle, ale Metys wciąż był skrepowany i niepewny. Łypał wkoło ślepiami wystraszonej krowy, siadał na samym brzeżku fotela i nie był w stanie wykrztusić słowa w obecności kobiety.

- Więcej luzu, stary - powtarzał demon, stukając kostkami lodu w szklance z drinkiem. - Przecież tu właśnie chciałeś się dostać, prawda? Popatrz na tego faceta przy stoliku w rogu. Siedzi między trzema laskami, widzisz? To minister skarbu. Łajdak pierwszej wody. Nie gap się jak lama na kaktus. Dyskretnie.

Nobliwy, siwiejący dżentelmen widocznie pochwycił spojrzenie Miguela, bo wyczekująco uniósł wzrok. Forfax pozdrowił go skinieniem głowy i szerokim uśmiechem aligatora. Minister w odpowiedzi również wyszczerzył zęby i wrócił do klepania uda najbliższej siedzącej dziewczyny.

Demon zaciągnął się cygarem.

- Może i dobrze się stało - mruknął. - Zobaczył cię i teraz będzie traktował jak bywalca. Tu nie przychodzą byle szcurki, Miguelito. Ale musisz nabrać trochę pewności siebie, chłopie. Siedzisz sztywny jak figura z jasełek. Powczuwasz się, przynajmniej spróbuj.

- Spróbuję, Señor - wyjąkał Diaz.

Atmosfera klubu przytłaczała go. Te mahonie, kryształ, piękne kobiety. Wcale nie był już pewien, czy to naprawdę kariera dla niego.

Forfax skrzywił się z dezaprobatą.

- Nie nazywaj mnie w kółko „Señor”. Tutaj jestem Henry. Rozumiesz? Po prostu Henry.

- Tak, Señor.

Głębianin machnął z irytacją ręką.

- Staram się zostać twoim kumplem, Diaz. Nie jakimś pieprzonym nauczycielem. Może byś to docenił, co? Kiedy wyskakujesz z tym „Señorem”, czuję się stary jak matka ziemia. OK, mam pewnie parę tysięcy lat, ale z wyglądu nie jestem wiele starszy od ciebie. A ty robisz ze mnie dziada. No nic. Przeżyję. Słuchaj, mam pomysł. Działacze młodzieżowi, Miguelito. To coś akurat dla ciebie. Otrząskales się trochę, zobaczyłeś to i owo, chyba niedługo poznam cię z Pepe i Chudziwą. Chłopaki są w twoim wieku, może złapiecie kontakt. Dobrze, żebyście się zaprzyjaźnili. - Zamyślony podparł brodę pięścią. - Tak. Bojówki

młodzieżowe to świetny pomysł, bracie. Tą drogą dojdiesz do celu. Tylko się postaraj, dobra?

- Tak, Señor Henry - wymamrotał Miguel.

Forfax westchnął z rezygnacją. Polubił chłopaka, ale nie spodziewał się, że będzie aż tak ciężko.

* * *

Pomysł demona okazał się objawieniem. Pepe i Chudy byli zwykłymi chłopakami, podobnie jak Diaz pochodzącymi z biedoty i chcącymi za wszelką cenę zapewnić sobie lepsze życie. Po raz pierwszy Miguel spotkał na swej drodze bratnie dusze. Przywódcy młodzieżówki dobrze znali i szanowali Forfaksa, więc chętnie przyjęli do paczki jego protegowanego. Pepe był smukły, gadatliwy i wesoły. Chudy wyglądał trochę na Mulata i wykazywał raczej flegmatyczny temperament. Oprócz tej dwójki był jeszcze Jose, stuprocentowy góral. Miał skóry koloru miedzi, włosy sztywne i czarne jak końska grzywa, a w jego żyłach nie płynęła nawet kropelka hiszpańskiej krwi. Mimo to wcale nie dręczyły go kompleksy, przeciwnie, zdawał się być dumny ze swego pochodzenia.

-Ja tam z gór jestem - mawiał zawsze, wzruszając ramionami, jeśli Pepe i Chudy za dużo gadali o hiszpańskich obszarńnikach i wyzysku społecznym.

Kiedy chłopcy uznali, że Miguel to równy facet, prze stali mieć przed nim sekrety. Szybko wyszło na jaw, że zarówno Chudy, jak i Jose mają w głębokim poważaniu ideały ludowej rewolucji, sprawiedliwość społeczną i nierówny podział dóbr. Obaj młodzieńcy nie ukrywali przed swym nowym kolegą, że, podobnie jak on, liczą na dobre stanowiska i kupę kasy. Tylko Pepe wydawał się naprawdę zaangażowany albo przynajmniej udawał.

-Bogaci mają wszystko, a biedacy nic - perorował dobitnie. - Trzeba siłą zabrać forszę kapitalistom, żaka łom naszej pięknej ziemi, i rozdać ludowi.

-Jasne, Pepito - chichotał Chudy. - Ja chętnie wystąpię w imieniu ludu, jak już będą coś rozdawać.

-Ja też! - zaśmiewał się Miguelito.

Pepe z irytacją machał ręką.

-Jesteście jednostki nieświadome społecznie - burczał gniewnie, ale za chwilę też zanosił się śmiechem.

Diaz bardzo polubił towarzyszy z młodzieżówki. Razem z nimi układał teksty przemówień, czytał Marksa i Lenina, drukował ulotki i brał z kasy organizacji tyle, ile tylko dało się wydusić.

Wreszcie wszystko szło jak z płatka.

Forfax odwiedzał ich często, pomagał szlifować trudniejsze teksty, czasem nawet stawał dla zabawy przy prasie drukarskiej. Zawsze przynosił dobrą whisky i kubańskie cygara. Kiedyś Miguel z czystej ciekawości zapytał, czemu tolerują obok siebie gringo z obmierzłej kapitalistycznej Ameryki i czy kontakty z cudzoziemcem nie zaszkodzą im w oczach partii, ale Pepe tylko popukał się w głowę.

-Bracie, co ty pieprzysz? Jaki znowu gringo? Przecież to nasz człowiek, wielki działacz i wywrotowiec z samej Francji! Ojczyzny rewolucji społecznej!

Chudy popatrzył na Diaza jakimiś rozmazanymi, maślanymi oczami.

-Z Francji może i przyjechał - zgodził się z kumplem. - Ale to hiszpański bojownik, prawdziwy komunista, walczył z reżimem Franco. Nie obrażaj go tym „gringo”, Miguelito. Co ci do łba strzeliło?

Miguel chciał zapytać, w jaki sposób Henry Forfax, który wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat, mógł działać w antyfrankistowskiej partyzantce, ale ugryzł się w język. Widocznie w grę wchodziły diabelskie sztuczki, a on nie miał zamiaru demaskować swego dobroczyńcy.

Nie minęło wiele czasu i Diaz został formalnym członkiem partii. Upił się wtedy do nieprzytomności razem z nowymi towarzyszami. Wraz z nimi świętował także Forfax, który na bani śpiewał Marsyliankę i cytował Milтона. Demon, choćby nie wiadomo ile wypił nigdy nie zalewał się w trupa, czego o młodych członkach komunistycznej partii nie dało się, niestety, powiedzieć.

Następnego dnia na straszym kacu Miguel dowiedział się, że ma jechać na prowincję wygłaszać mowę do ludu. Pod wpływem paniki natychmiast przetrzeźwiał i do wieczora chodził jak struty.

Do apartamentu demona przywłókł się przed północą, bezradny i nieszczęśliwy.

-Nie potrafię! - jęknął zdruzgotany, rozkładając rozpaczliwie ręce. - Nie chcę nic wygłaszać! Nie umiem słowa wykrztusić, kiedy tak się na mnie gapia! To katastrofa, Señor Henry!

-Spoko. - Forfax siedział w głębokim fotelu, opierając nogi o blat biurka. - Nie przejmuj się tak. Pojada z tobą.

-I co z tego? Nawet gdybyś wlaźł ze mną na mównicę i trzymał mnie za rączkę jak dzieciaka, nie dam rady. Señor!

Głębianin zaciągnął się cygarem.

- Wyluzuj, chłopie. Ile razy mam ci powtarzać? Nie gorączkuj się. Wszystkim się zajmę. Wejdiesz tam, otworzysz usta i siuu... słowa popłyną same. Słyszałeś chyba o opętaniach, co? Po prostu wniknę bezboleśnie do twojego umysłu i załatwię to za ciebie. Zobaczysz, będziesz mówił językami, Miguelito. Jak prawdziwy komunistyczny prorok. Ja mam gadane, przekonasz się.

Diaz popatrzył z powątpiewaniem w zmrużone zielone oczy gringo. Do tej pory demon nigdy go nie zawiódł, ale teraz kto wie? W końcu to przecież diabeł. Pomysł z opętaniem nie za bardzo przypadł mu do gustu.

- No co masz taką minę? - zaśmiał się Forfax. – Nie bój się, wyjdę, kiedy tylko wiesz się skończy. Zaufaj mi, bracie. Gdybym chciał cię naprawdę opętać, zrobiłbym to już tysiąc razy. Zresztą po co? Wcale mi nie spieszy, żeby obnosić się z twoją góralską gębą. Wyglądam tak samo od paru tysięcy lat i nie mam ochoty nic zmieniać.

Miguel przygryzł wargę. Gringo mówił prawdę. I tyle już dla niego zrobił. Po co miałby się trudzić, gdyby nie był prawdziwym przyjacielem? Przecież Diaz nijak nie potrafiłby go zmusić do wypełnienia obietnicy opieczętowanej cyrografem.

I ta nieszczęsna mowa. Bez pomocy Forfaksa z pewnością wystąpienie skończy się katastrofą.

- Dobra - zgodził się z westchnieniem. – Będziesz za mnie gadał.

Demon mrugnął porozumiewawczo, unosząc do góry kciuk.

- Dobra decyzja, tak trzymać. Nie pożałujesz, Diaz. Przysięgam.

* * *

Serce Miguela trzepotało niczym ćma w obliczu świe-1 y, kiedy wkraczał na mównicę. Wydawało mu się, że to schody wiodące na szafot. W gardle czuł ucisk, w głowie pustkę. Zerknął na niedbale opartego o pień pobliskie go drzewa gringo.

Pomóż mi, Święta Panienko, modlił się w duchu. Żeby ten demon tylko wiedział, co robi.

Na głównym placu miasteczka, przed mównicą, zgromadziła się garstka ciekawych. Kilka kobiet we wściekle kolorowych chustach, z nieodłącznymi melonikami na głowach i policzkami wypchanymi podarunkiem Mamy Koki, jakiś stary Indianin, gromadka brudnych dzieciaków oraz podpity gaucho. Maluchy chichotały, trącały się łokciami w oczekiwaniu na rozrywkę. Prawie goły chłopiec szurał dla zabicia czasu stopami, wznecając kłęby pyłu z klepiska, w które zamieniła się ziemia na placu. Tuż pod mównicą czochrał się nie wiarygodnie chudy żółty pies. W upale brzęczały roje much.

Diaz widział to wszystko niezwykle wyraźnie, oddzielnie postrzegając każdy szczegół. Powinien już zacząć, otworzyć usta, ale nie mógł. W milczeniu przelykał gęstą, lepką ślinę.

W końcu na widok Metyski, która oderwawszy się od grupki kobiet, wzruszając ramionami i mrużąc pod nosem, poczłapała do domu, zebrał się na odwagę.

- Towarzysze! - zaczął cienkim, ochrypłym od tummy głosem.

A potem stał się cud. Istną kaskadą popłynęły mądre, żarliwe, głębokie słowa o ucisku, niesprawiedliwości i o prawie każdego człowieka, choćby nie wiadomo jak ubożego, do

godności i szczęścia. Miguel mówił jak natchniony, prawdziwie, z serca, poruszające Ludzie słuchali niczym zahipnotyzowani, każde słowo trafiało wprost do ich duszy, wstrząsało jestestwem. To były proste, przejmujące, doskonale zrozumiałe prawdy, wypowiedane bez nadęcia, sztuczności czy fałszu.

Słuchaczy przybywało. Ciągnęli z domów, ulic, sklepików i targowisk, porwani niezwykłą siłą. Wkrótce zapelnili cały plac i okoliczne zaułki. Tłoczyli się na okalających rynek murach, niektórzy wdrapali się nawet na drzewa i dachy. Na wszystkich twarzach malował się wyraz zdumienia, zachwytu i szczerego uwielbienia. Tylko pewien gringo oparty o pień drzewa chlebowego wyglądał, jakby drzemał na stojąco.

Gdy Diaz skończył mówić, oszalały, podekscytowany tłum, wiwatując, ściągnął go z mównicy i na ramionach poniósł do tawerny. Miguelito został bohaterem ludowym.

A Forfax odemknął powieki, uśmiechając się triumfalnie. Nawet się nie spodziewał, że zabawa z opętaniem przyniesie mu tyle frajdy.

- To koniecznie trzeba będzie powtórzyć - mruknął do siebie, sięgając po papierosa.

I powtórzył. Tak skutecznie, że przed upływem pół roku Miguel Diaz stał się ulubieńcem ludu. W gazetach i na plakatach pojawiły się zdjęcia przystojnego Metysa, wszędzie cytowano jego błyskotliwe riposty, celne analizy, porywające, proste przemówienia. Diaz piętnował bezduszną biurokrację, oburzał się na wszechwładzę urzędników, gromił podziały rasowe i narodowościowe, opowiadał się za powszechną edukacją i ubezpieczeniami społecznymi, płakał nad nędzą, beznadziejnością, zacofaniem i wyzyskiem ciężko pracujących, zwykłych ludzi, na każdym kroku podkreślając, że sam z pochodzenia jest góralem z biednej, prostej rodziny i brakuje mu zarówno obycia, jak i wykształcenia. Za to wszystko uwielbiano go, szanowano i doceniano.

Nie wiadomo kiedy u boku granitowego, niezłomne go, posągowego El Presidente wyrósł urzekający, głęboko ludzki, pochylający się z troską nad wyzyskiem, niesprawiedliwością i nędzą nowy komunistyczny święty.

Wielki plazmowy telewizor szumiał cicho, głos był przykręcony niemal do zera. Na ekranie Miguel Diaz z natchnioną, wykrzywioną rozpaczą twarzą rozwodził się nad niesprawiedliwością społeczną, bijąc się w piersi i przyznając, że nawet w łonie partii zdarzają się wypaczenia i wiele jeszcze trzeba zrobić, choć droga niewątpliwie jest słuszna i świetlana. El Presidente czyni, co w jego mocy, żeby poprawić sytuację w państwie, ale przecież urodził się tylko człowiekiem. Choć Miguel wie, że sytuacja stała się straszna, nie do zniesienia, że natychmiast trzeba zacząć działać, apeluje o cierpliwość. Błaga o odrobinę cierpliwości towarzyszy, braci w niedoli, z rozpaczą w sercu, bo rozumie przecież, jak im ciężko. Ale wie też, że musi ich o to poprosić. El Presidente pracuje dniami i nocami, nie sypia, słańia się z wysiłku, żeby doprowadzić sprawę do ładu, pomóc każdemu cierpiące mu biedakowi w tym kraju. Potrzebne mu wsparcie, lojalność, wdzięczność i miłość swego ludu,

aby mógł wy pełnić to przytłaczające zadanie ponad siły. Tak, miłość i zaufanie są tu najważniejsze!

Smukły, śniady palec nacisnął guzik pilota i Miguel zamilkł. Gestykulował teraz na ekranie, otwierając i zamykając usta, niczym ryba wyjęta z wody, nagle śmieszny, jak postać z niemego kina.

El Presidente uniósł głowę i spojrzał prosto w szare, nieruchome oczy Pereza, szefa bezpieczeństwa.

-Co o tym sądzisz? - spytał, ruchem podbródka wskazując telewizor.

Perez nieznacznie wzruszył ramionami.

-Mały skurwiel ze wszystkich sił stara się nie podpaść. To zwykły chłystek z nizin, któremu nagle się powiodło. Sam zdaje się być przerażony swoim nagłym wyniesieniem. Nie ma złych zamiarów, ale zdecydowanie stał się zbyt popularny. Proponuję to ukrócić, señor presidente.

Dyktator w milczeniu stuknął palcami po poręczy skórzanego fotela.

-Kim jest ten biały, o tam, obok Diaza? Zawsze się koło niego kręci?

Perez zmrużył oczy, żeby lepiej dostrzec zamazaną, ukrytą w tłumie twarz Forfaksa.

-To zwykły gringo, señor presidente – powiedział lekceważąco. - Nie ma żadnych powiązań agenturalnych, ani z jakimkolwiek wywiadem, ani z wielkim biznesem. Zwykła szumowina, pewnie rozbitek życiowy.

Ciemne oczy dyktatora zwięzły się niebezpiecznie.

-Tak - syknął. - Z pewnością rozbitek. Z bardzo daleka.

* * *

Kiedy drzwi wyleciały z hukiem, przyjaciele porwali się od stołu, przekonani, że zaczyna się trzęsienie ziemi. I faktycznie, deski podłogi załomotały, ale pod butami wbiegających do pokoju żołnierzy. Rozprysnęli się niczym karaluchy. Czarni, brzęczący oporządzeniem, identyczni dzięki hełmom na głowach, przypominali roboty. Nie minęła sekunda, gdy młodzieżowi działacze zostali osaczeni. Nikt się nie poruszał. Na chłopców i Forfaksa gapily się tylko martwe, cyklopie ślepie automatów.

Wszystkiego się mogli spodziewać, ale nie tego. Nic brygady interwencyjnej.

Świat chyba wywinął koziołka i zawisł do góry noga mi, aż wszystko się poprzestawiało. A El Presidente zwariował. Innego wytłumaczenia nie potrafili znaleźć.

Miguel i Jose rozdziawili ze zdumienia usta, niezdolni wypowiedzieć ani słowa. Tylko Pepe wyciągnął uspokajająco ręce, mamrocząc coś o towarzyszach, lojalności i okropnym nieporozumieniu.

Wtedy do pomieszczenia wkroczył wysoki, postawny oficer. Wsunąwszy podbródek, stanął na środku pokoju, spoglądając na aresztantów wzrokiem głodnej kobry.

Forfaksowi scena z wojskiem w tle wydała się nagle nieprzyjemnie znajoma. Przez króciutką chwilę demon doznał uczucia wyjątkowo przykrego, dręczącego déjà vu, ale szybko zrozumiał, co się naprawdę dzieje. Zamarł ze szklanką whisky w dłoni, a po krzyżu przebiegały mu drobne zimne dreszcze. W mgnieniu oka ocenił sytuację. Nie miał wątpliwości. Znowu się to stało. Przedobrzył.

Dlaczego? - pomyślał z rozpaczą. Przecież tak, kurwa, uważałem!

Teraz na analizie było zdecydowanie za późno. Na razie należało się zająć ratowaniem tyłka. Trzeba tylko wyczuć właściwy moment i zwiewać. Trudno. I tym razem się nie udało.

Starał się nie rzucać w oczy, możliwie nie poruszać, jakby aresztowanie wcale go nie dotyczyło. Na razie, milcząc, obserwował rozwój wydarzeń, czekając na sposobną do ucieczki chwilę.

Za to chłopcom wreszcie rozwiązały się języki, więc chóralnym krzykiem zaczęli zapewniać oficera o swojej niewinności. Jeden z żołnierzy uciszył właśnie wyjaśnienia Pepe, trzasnąwszy go kolbą w splot słoneczny, gdy Forfax ośmielił się sięgnąć do kieszeni. Namacał maleńki zwitek.

Przykro mi, Miguelito, pomyślał, spojrzawszy przelotnie w wykrzywioną niedowierzaniem, bladą jak wapno twarz Metysa. Nie mogę ci w niczym pomóc. Żegnaj, stary.

Prawie niedostrzegalnym ruchem palców strzepnął papierek na podłogę, nakrył podeszwą buta.

- Moc! - szepnął niemal bezgłośnie.

Ale żaden wstrząs nie nastąpił. Naskrobany na świstku mikroskopijny pentagram nie otworzył przejścia. Forfaksowi lodowaty pot wystąpił na skronie. Nie rozumiał, co się dzieje. Nic z tego, cholera, nie rozumiał!

- Zabrać wywrotowców! - usłyszał ostry jak trzask pistoletowego zamka rozkaz oficera.

Ogarnęła go wysoka, gorąca fala paniki. Mocniej przydepnął papierek.

- Moc! - powtórzył nieco głośniej.

Nic się nie wydarzyło. Jose pomagał wstać dławiącemu się, rżącemu Pepe, Chudy trzął się jak w ataku febry, a Miguel gapił się z napięciem w zielone oczy swego opiekuna. Ale Forfax nawet o nim nie pomyślał. Rozpaczliwie kombinował, co teraz zrobić.

Chusteczka! - doznał olśnienia.

Ostrożnym ruchem sięgnął do kolejnej kieszeni marynarki. Palce mu drżały, gdy wyciągał ozdobiony monogramem kawałek płótna. W lamówkę i hafcik były wplecione nici z latającego dywanu. Za mało, żeby ewakuował się na bezpieczną odległość, ale przynajmniej opuści ten cholerny pokój.

Ścisnął w dłoni szmatkę.

- Moc! - szepnął.

I jęknął z rozpacz, ponieważ także tym razem przejście się nie otworzyło.

To koniec, zrozumiał.

Bo modelowy przykład bezwzględnego oficera po litycznego zwrócił właśnie na niego zimne niczym więzienny prysznic źrenice.

- Pilnujcie tego gringo - warknął. - To szpieg! Forfax zatrzęsł się ze strachu. Wciąż jeszcze nie wyszedł z szoku, że jego magia okazała się bezużyteczna

-Wcale nie! - wrzasnął. - Jestem obywatelem Głębi! To znaczy Unii Europejskiej! Albo Stanów Zjednoczonych! Będzie skandal międzynarodowy! NATO się o mnie upomni! I Lucyfer też! Zobaczycie! Nie możecie mnie aresztować!

-Możemy - uśmiechnął się paskudnie oficer. - Zabrać go! To rozkaz samego El Presidente!

Ale Forfax nie słuchał. Cofał się przed żołnierzami, składając palce do magicznych zaklęć i wydzierając się w coraz większej panice.

- Rzucę na was klątwę! Rozszarpię was piekielne psy! Krew wam zgnije w żyłach i pękną oczy! Kobiety będą wyśmiewać wasze żalose, małe, sflaczałe chocho! Jestem diabłem, słyszycie?! Agła! Agła! Agła! Erzła! Erzła! Erzła! Kurwa, dlaczego to nie działa?!

Tego właśnie nie mógł zrozumieć. Stało się coś strasznego. Jakaś mroczna siła wysłała wszystkie zdolności magiczne Forfaksa. Był teraz tylko przerażonym, bezbronnym gringo.

Rzucał właśnie zaklęcie siedmiu piekielnych węzłów, gdy w powietrzu świsnęła kolba automatu. W głowie demona wybuchła nagle kometa, a potem zapadła głęboka, bezgwiazdka noc.

* * *

Ocknął się, kiedy kilogram tłuczonego szkła w jego czaszce zaczął się niebezpiecznie przesypywać od czoła ku potylicy. Było mu niedobrze, w skroniach czuł nieznośny ucisk, w ustach metaliczny posmak krwi. Niechętnie otworzył oczy.

Przez chwilę zdawało mu się, że znów siedzi w lochach pod Pandemonium. Ale upiorny pomarańczowy poblask wpadający przez malutkie, zakratowane okienko nie bił od tafli Jeziora Płomieni. To była tylko sodowa latarnia.

Leżał na betonowej podłodze pod odrapaną ścianą aresztu. Kiedy spróbował się podnieść, szczątki komety znów zatańczyły w głowie, aż jęknął z bólu.

-Chyba dochodzi do siebie - usłyszał stłumiony głos Pepe. - Dzięki Świętej Paniencie. Już myślałem, że go ukatrupili.

-Nie martw się - burknął Jose. - Wszystkich nas ukatrupią. Zobaczysz.

-Nie kracz! - warknął Pepe, przysuwając się do Forfaksa. - Hej, gringo? Słyszysz mnie?

Demon zdołał unieść się lekko na łokciach.

-Macie wodę? - wychrypiał.

Jego głos przypominał odgłos stuletniego silnika. Skulony w kącie Jose wzruszył ramionami.

-Skąd. Gościnność naszego El Presidente tak daleko nie sięga.

Forfax jęknął znów, przymykając oczy. Dawno nic czuł się tak okropnie.

Dlaczego Asmodeusz mnie nie zabił? - pomyślał z żalem. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Jestem za głupi, żeby żyć. Znowu wszystko spieprzyłem.

Kiedy znów rozkleił powieki, zobaczył nad sobą gniewną twarz Miguela.

-Czemu nic nie zrobiłeś? - zapytał oskarżycielsko Metys. - Przecież jesteś El Señor! Władca świata. Dlaczego ich nie pozabijałeś?

-Bo jestem pacyfistą - warknął demon.

Złość przywróciła mu odrobinę sił. Prychnął pogardliwie, bo rysy Miguela zastygły w wyrazie niedowierzania.

- Naprawdę? - bąknął niedoszły karierowicz.

Forfax uniósł się na łokciach.

-Na niby! Co ty sobie wyobrażasz? Że stałem tani, gapiąc się jak Indianin na kokę? Cały czas próbowałem ratować nasze tyłki. Nie udało się! Nic nie mogłem zrobić! Nie wiem, co się stało. Moja magia nie zadziałała. Nie pytaj dlaczego. Chyba ktoś mnie przeklął. A teraz się zamknij. Muszę pomyśleć.

Diaz zacisnął usta.

-Wcześniej trzeba było myśleć! To wszystko przez ciebie i te zaszrane mowy! Prosił cię ktoś, żebym się stał bohaterem ludowym? Co?!

Demon aż usiadł. Zielone oczy płonęły wściekłością.

-Tak! Ty! Ty sam! Nie pamiętasz już?! Podpisałeś cyrograf, draniu! Chciałeś forsy i pozycji. A ja ci to wszystko dałem! Przy mnie żyłeś jak król! Nigdy nie miałeś tak dobrze. Dbałem o ciebie, jakbyś był cholernym Beniaminem! Chodziłem jak koło zgniłego jaja. Pretensje zachowaj dla siebie, dupku!

Miguel spuścił wzrok.

-Przepraszam - mruknął. - Masz rację. Poniosło mnie. Po prostu się boję. Nie wiem, co teraz. To jakiś cholerny koszmar.

-No - stęknął Forfax.

Chudy, Pepe i Jose słuchali z rozdziawionymi ustami.

-Całkiem im odbiło - skwitował Chudzina, kręcąc głową. - Co wy kombinujecie? Jaka magia, carramba! Nie czas się bawić w zabobony.

-Zamknij się! - warknęli jednocześnie demon i Miguel.

Pepe otworzył usta, żeby coś dodać, ale w tej samej chwili szczęknął zamek w drzwiach. Więźniowie struchleli. Bali się nawet drgnąć. W smudze światła padającej z korytarza postać strażnika wydawała się nienaturalnie ogromna, straszna.

- Ty, gringo! Wylaż!

Słowa spadły na obolałą głowę demona niczym lawina. Przez moment nie rozumiał, co oznaczają. Oszołomiony gapił się na żołnierza.

Miguel i Pepe natychmiast odsunęli się w odległy kąt, żeby pokazać, że nic ich nie łączy ze szpiegiem.

-Wstawaj! - Strażnik wkroczył do celi, która natychmiast zrobiła się jakaś mała, duszna i przerażająca. - Szybko, sukinsynu. Bo się zdenerwuję.

Forfax tak bardzo nie chciał, żeby żołnierz się zdenerwował, że mimo osłabienia i zawrotów głowy natychmiast zerwał się na nogi. Nawet się nie spostrzegł, kiedy został wypchnięty na korytarz i powleczony gdzieś w nieznana, złowrogą przyszłość.

* * *

Podróż pamiętał potem jak koszmary sen. Popychano go, wsadzano do samochodu, wieziono pustymi szerokimi ulicami. Auto zatrzymywało się, mijalo jakieś posterunki, wszędzie kłębili się żołnierze, psy szczerzyły białe, zaślinione kły.

To się nie dzieje naprawdę, powtarzał sobie.

Ale choć usilnie starał się zbudzić, przerażające majaki nie chciały się rozwiać, nawet w różowiejącym powoli blasku świtu.

- Możesz wyjść, Perez - powiedział dyktator.

Szef bezpieczeństwa zawahał się z dłonią opartą na klamce.

- Senor presidente, czy to na pewno dobry pomysł? Ciemnowłosy mężczyzna zmierzył go zimnym spojrzeniem.

-To rozkaz, Perez. Zrozumiałeś? Jeśli dowiem się, że zostawiłeś przy kamerach czy podsłuchach choć jednego człowieka, zostaniesz osądzony jak za zdradę stanu. Nikt nie ma prawa wiedzieć, o czym będę rozmawiał z tym gringo. Czy to jasne?

Tak, señor. - Perez znał dobrze ten zaciekle wyraz na twarzy przełożonego.

I musiałby oszaleć, żeby bąknąć choćby słówko sprzeciwu. Zamknął starannie drzwi, a potem odruchowo rozluźnił kołnierzyk koszuli. Czasami El Presidente przerażał nawet jego.

Rozparty w wielkim skórzanym fotelu, siedzący za mahoniowym biurkiem wielkości lotniska dyktator przyglądał się Forfaksowi z drwiącym uśmiechem na ustach. Na sam widok tego grymasu krzepła krew w żyłach demona. Nie wyglądało to dobrze. Prawdę mówiąc, wyglądało jak gówno. Już w chwili gdy otworzyły się drzwi gabinetu prezydenta,

Forfax zachłysnął się potężną magiczną aurą. Promieniowała od postaci dyktatora, ciężka i mroczna niczym zbyt mocne perfumy. Tylko że tu nie chodziło o coś tak przyziemnego jak czary. Potęga El Presidente dosłownie dławiała biednego Głębianina.

Z pewnością takiego poziomu mocy nie mógł wygenerować zwykły człowiek. Żaden człowiek, zrozumiał Forfax i o mało nie zemdlął ze strachu.

Znowu wdepnął w coś śmierdzącego. Ale tym razem miał małe szanse, żeby się wywinąć.

Piękna smągła twarz dyktatora pozostawała nieruchoma niczym rzeźba. Tylko na wargach wciąż pełgał ten wredny uśmieszek, paskudny jak wijący się robak.

- Usiądź, drogi przyjacielu. - Ruchem dłoni wskazał demonowi krzesło. - Sądzę, że nie jesteś obywatelem mojego pięknego, dynamicznie rozwijającego się kraju, prawda? Zechcesz się przedstawić i podać swoją narodowość, bardzo proszę?

Głos brzmiał uprzejmie i gładko niczym lodowa tafla, ale Forfax czuł, że pod spodem kryje się pokład wrzącej lawy. Z trudem przełknął ślinę. W ustach mu zaschło, w głowie rozciągała się pusta, jałowa równina nieskażona śladem żadnej myśli. Nie miał pojęcia, co powiedzieć ani jak zgrabnie skłamać, żeby uratować łeb. Stracił cały swój czar i urok. Gdzieś pod czaszką kołatało się tylko, że chyba nie powinien przedstawiać się jako obywatel Stanów Zjednoczonych, bo komunistyczny prezydent pewnie nie lubi ojczyzny kapitalistów i wolnego rynku.

Gapił się na posągowe oblicze dyktatora. Wydało mu się nagle dziwnie pozbawione życia, niczym twarz manekina. Potężna moc magiczna biła od niego niby gorąco od termalnego źródła. Przenikliwie oczy patrzyły bystro, bezlitośnie.

Coś ty za jeden, draniu? - rozpaczliwie starał się odgadnąć Forfax, ale na pustym stepie umysłu tylko wiatr zawodził żałośnie.

-Jestem... eee... obywatelem Unii Europejskiej - wykrztusił wreszcie.

El Presidente splótł palce.

-Ach, Unii Europejskiej - powtórzył łagodnie, unosząc odrobinę czarne brwi. - No proszę. Kto by pomyślał. A jakiego konkretnie kraju, szanowny gościu?

-No, Niemiec - rzucił na pałę demon, który dzięki sztuczce z gazetą zaopatrywał się zarówno w pieniądze, jak i dowolną ilość paszportów.

Niemcy wydały mu się bezpieczne, odpowiednio stateczne, ale też lewicujące i niewykazujące szczególnej miłości do Północnej Ameryki. Znał w razie potrzeby większość języków świata, gdyż, jak znaczna część mieszkańców Głębi, miał naturalne zdolności lingwistyczne. W tej chwili potrafił posługiwać się językiem Goethego, jakby urodził się w Berlinie.

-Niemiec? - powtórzył znów smągłolicy potwór i nagle wybuchnął śmiechem. - Pochodzisz z kraju doktora Fausta? A to dopiero! A ja byłbym w stanie się zakładać, że w pewnym sensie jesteśmy sąsiadami.

Forfax zdębiał. Podświadomie czuł, że coś się tu jakoś okropnie nie zgadza, zmierza w stronę totalnej katastrofy, ale postanowił dalej strugać jarząbka.

-To znaczy - wybąkał - że pan jest na przykład Francuzem, señor presidente?

-Na przykład nie - warknął dyktator. - A ty doskonale wiesz, kim naprawdę jestem. Kim obaj jesteście, gnido z samego rysztoła piekieł.

Demon zadrżał.

Tymczasem wysoki, postawny, ciemnowłosy mężczyzna wstał z fotela, natychmiast napelniając gabinet potężną magiczną wibracją. Zdawał się ogromny jak kolos, górował nad nieszczęsnym Forfaksem, całym krajem, Ameryką Środkową, a kto wie, może i światem, a z każdą chwilą wydawał się jeszcze większy. Jego mroczny, głęboki cień spowijał planetę całunem mocy.

Skrzydlatym całunem.

Głębianin krzyknął, zasłonił twarz dłońmi. El Presidente stał nad nim w całej potędze swej prawdziwej postaci. Od smągłego niczym topione złoto oblicza bił nieznośny blask. Oczy, pozbawione tęczówek i białek, świeciły czerwono, przypominając dwa oprawne w szlachetny metal karbunkuły. Włosy czarną strugą spływały z głowy, a każdy drżał w wibrującym magią powietrzu, jakby był żywy. Trzy pary skrzydeł poruszały się nieustannie, zerkając na przerażonego demona niezliczonymi rzędami gniewnych, płomiennych ślepi.

Złocista, mocarna dłoń wyciągnęła się, długi palec zakończony szkarłatnym szponem zastylł wycelowany wprost w pierś Forfaksa.

Głębianin zadygotał ze zgrozy. Po stokroć by wolał, żeby to była zwykła, pocziwa lufa karabinu.

O kurwa, kurwa, kurwa! To cherubin! - kołatało mu w głowie, równo w rytm szcękających ze strachu zębów. Na tron Lucyfera! Cherubin!

-I co? - zadudnił głos przypominający huragan w swej szczytowej formie. - Poznajesz mnie, nędzny robaku z Głębi?

Forfax drżał pod spojrzeniem krwawych oczu anioła.

- Takkk... - wykrztusił. - ...Kerubim!

Przemieniony w płomienny posąg dyktator pochylił się ku niemu.

-Zaiste cherubin. Rikbiel, Pan Ognistego Okręgu, Wicher Boży, Podpora Tronu! Aktualnie prezydent tego parszywego, brudnego państwka. Ale wkrótce faktyczny władca świata. Dotarło?

-Oczywiście! - jęknął Forfax. - Władca świata. Tak. Zdecydowanie tak. Rozumiem.

Rikbiel potrząsnął głową, aż zaśpiewały niczym struny harfy falujące wokół jego głowy żywe włosy.

-Jasne, że nic nie rozumiesz. Pozwól, że ci wyjaśnię. Nie dlatego, żebym cię choć trochę cenił, gnido z Otchłani. Po prostu mam kaprys pochwalić się swoim geniuszem. I wykrzyzczyć prawdę o obrzydliwym spisku tego śmiecia, zgniłka, szumowiny Gabriela! Wiesz, że uczy-

niono go nominalnym cherubinem? Tak jak tego drugiego z hałustry, Rafała. Śmieszne, co? Bękart ze skażoną krwią. Mały, wstrętny, brudny archaniołek. A teraz patrzcie go, cherubin, regent Królestwa! Mniejsza o to! -Machnął ręką. - Wiesz, czemu tutaj osiadłem? Dlaczego stąd postanowiłem poprowadzić moją, że się tak wyrażę, świecką krucjatę?

Czerwone oczy płonęły, rysy wykrzywiały gniew, zaciśnięte pięści przypominały kowalskie młoty.

Głębianin tylko potrząsnął głową.

Nie miał wątpliwości, że Rikbiel jest pokrecony jak szczur z kanalizacji. Czysty, stuprocentowy świr.

- Odpowiadaj, kiedy pytam! - zawył huragan.

Forfax omal się nie przewrócił, uderzony w pierś strumieniem mocy.

-Bo tutaj ziemia aż wibruje od magii, a ludzie wierzą głęboko, naiwnie i szczerze - wykrzyknął szybko, przyciskając dłonie do obolałego mostka.

-Wiara! - Twarz Rikbiela zapłonęła żywą czerwienią, wściekłość zmieniła ją w upiorną maskę. - Poświęciłem jej tysiące lat mego życia! Nieskończone dni i noce, wypełnione jedynie obowiązkiem, lojalnością i poświęceniem! Nie wspominaj przy mnie o wierze, bo rozedrę cię na strzępy, śmieciu z Otchłani! To proch na wietrze! Fałszywe złoto! Śmieeeeerrr!

Gniew cheruba wypełnił gabinet niczym siłą uderzeniowa eksplozji. Forfax w jednej chwili oślepl. Kurczowo przycisnął dłonie do uszu, bo ryk wibrującej mocy rozrywał bębenki. Serce mu stanęło, krew popłynęła odwrotnie, kości skruszały.

- Przestaaaań! - ryczał do Rikbiela, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Kiedy anioł wreszcie zamilkł, ogłuszony, półślepy Forfax opadł na miękki dywan. Męczyły go torsje, w skroniach huczało, bolał każdy mięsień i ścięgno.

Cherubin przygryzł wargę, rubinowe oczy patrzyły w przestrzeń, oglądając rozległe, dalekie pejzaże szaleństwa.

-Wiara, powiedziałaś - ciągnął, jakby nic się nie wydarzyło. - Jeśli coś nie jest warte nawet jednego uderzenia tętna, to ona właśnie. Narkotyk dla głupców. Pozywka tępych umysłów. Służyłem wiernie od chwili, gdy w jednym wielkim rozbłysku powstał kosmos. Wieki i wieki wieków, demonie. A jaką otrzymałem nagrodę? Garść jałowego popiołu!

Forfax znów poderwał dłonie do uszu, bo anioł bez wiedzy podniósł głos.

-On odszedł, rozumiesz? - Cherubin z niedowierzaniem potrząsnął głową. - Porzucił Biały Tron, opuścił Królestwo i odszedł, pozostawiając legiony oddanych sług, zastępy, które wielbiły Go i nigdy nie zawiodły. Dlaczego, Głębianinie? Czemu postąpił tak podle, tak okrutnie? Jak mógł! Porzucił mnie! Podporę Tronu! Cheruba czystej krwi! Najpierw oddał pod dowództwo tej wrednej bandy archaniołków, a potem opuścił! Pogardził oddaniem moim i moich towarzyszy! Upokorzył nas! Istoty zrodzone u samego zarania świata, niemal Mu równe! I tak po prostu zniknął!

Pstryknął palcami.

- A te anielskie gnidy utrzymują całą aferę w tajemnicy! Gdyby nie przypadek, nigdy bym nie wpadł na trop prawdy. Służyłbym dalej, oszukany, nieświadomy, upokorzony! Co za hańba!

Skulony na podłodze demon zerknął na wyniosłą postać anioła. Cherub zdecydowanie bredził. W dodatku wyglądał jak chory, z wykrzywioną dziko twarzą, płonącymi ślepiami i włosami tańczącymi wokół głowy. Zwariowany, opętany manią wielkości, zawiedziony czub.

Źle się to wszystko przedstawiało.

-Zaraz - ośmielił się ostrożnie zapytać Forfax. -Twierdzisz, że Pan odszedł?

-Tak! Opuścił Biały Tron! Jego duch już nie przenika Królestwa. Wszystko zamiera. A archaniołowie próbują dalej utrzymać się na stołkach i ukryć ten druzgoczący fakt przed resztą Skrzydlatych. Ale nadejdzie dla nich sromotny koniec! Zemszczę się. Na nich i Tym, którego już nie ma, bo podle zdezerterował! Urządę nowe Królestwo! Tu, na Ziemi! Krainę Ciała, Krwi i Potu! Wspaniały, czysto materialistyczny, przesiąknięty głębokim humanizmem, komunistyczny świat ogólnej równości, sprawiedliwości społecznej i oświaty! Bez otumaniającego oparu religii, bez duchowych bredni. Bez bzdur o duszy, indywidualności i cechach osobowych. Cesarstwo Materii, gdzie każdy będzie myślał to samo, wyznawał to samo, mówił to samo. Świat idealnie identycznych klas społecznych, skupionych w jedną całość, tożsamy z sobą, złożonych ze świadomych elementów wielkiego systemu. Precz z duszami! Niech żyje idea! Wszyscy, absolutnie wszyscy otrzymają taki sam przydział dóbr, wiedzy i talentów. Będą równi niczym ziarna piasku. Wolni od zabobonów, od tak zwanej osobowości, światli, świadomi, jednomyślni. Koniec z niesprawiedliwością na wszelkich poziomach. Żadna ludzka istota nie będzie pod jakimkolwiek względem gorsza ani lepsza od innej! Nastanie równość totalna! Wspaniały, na wskroś przemyślany, doskonały raj na Ziemi! Królestwo człowieka! Wybrałem na początek tę pękającą od ciemnoty, przesadną, pełną duchowości ziemię, bo jeśli zdołam wyrugować wiarę z umysłów i serc tutejszych ludzi zdołam ją wyrugować wszędzie!

To wariat, pomyślał Forfax w popłochu. Tak, zdecydowanie wariat.

-Co za koszmar, na litość Pańską! - jęknął szczerze nim zdążył ugryźć się w język.

Rikbiel obrócił na niego pałające wściekłością ślepie.

- Nie wspominaj tego imienia! - zawył.

Machnął dłonią, a Forfax, porwany nieznaną siłą, pofrunął w powietrzu i grzmotnął plecami o ścianę.

- Tępaku! - ryczał cherubin. - Zapłacisz za zuchwalstwo!

Demon chciał wyjaśnić, że nic złego nie miał na myśli, że tak mu się tylko wyrwało, ale nie zdążył. Poleciał w przód, wpadając na biurko prezydenta. Kant blatu wbił mu się w

żołądek, wyciskając z płuc oddech. Prawa dłoń wiedziona magiczną siłą, sama wsunęła się do szuflady.

-Nie! - zawył demon, ale nic więcej nie mógł zrobić, ponieważ kompletnie stracił kontrolę nad ciałem.

Wtedy szuflada się zatrzasnęła. Forfax wrzasnął aż omal nie pękły szyby.

-Moja potęga nie zna granic! - warknął Rikbiel. – Od razu cię przejrzałem. Zablokowałem twoje nędzne umiejętności, żebyś mi nie uszedł. A teraz czas skończyć tę farsę. Jutro rano ty i twoi towarzysze zostanieie rozstrzelani. W ramach walki z zabobonem. Żegnaj, Głębianinie. Już po tobie.

Forfax, skulony na dywanie, pojękiwał cicho, przyciskając do piersi obolałą rękę.

- Palce mi połamał, pieprzony cherubin! - stęknął Bóg raczy wiedzieć który raz. - Bodaj go zaraza pokręciła, zasranego świra.

W celi panowało ciężkie, pełne napięcia milczenie. Chłopcy gapili się na Forfaksa z niepokojem. Jeśli El Presidente tak bezceremonialnie obszedł się z obywatelem Unii, to co może ich czekać? A jeśli gringo to naprawdę szpieg?

Na samą myśl działaczom młodzieżowym cierpła skóra.

Demon też nie był skłonny do rozmów. Nie przekazał chłopakom ponurej nowiny. I tak zesrają się ze strachu, jak już dojdzie co do czego.

Ciekawe, czy można zabić mieszkańca Głębi ze zwykłej, ludzkiej broni? - przyszło mu do głowy. Może kule nie będą na niego działały?

Ale zaraz porzucił tę złudną nadzieję. El Presidente już niewątpliwie zadba, żeby jedyny świadek jego szaleństwa na pewno był martwy.

Westchnął ciężko. W tak fatalnej sytuacji nie znalazł ule od czasu, kiedy siedział w lochach Pandemonium.

Wtedy też było krucho, a jakoś się wywinąłem, pomyślał. Może i tym razem zdarzy się cud?

Miguelito poruszył się nerwowo.

- Słyszycie? - syknął. - Na zewnątrz. Jakieś hałasy i kroki.

-Pewnie żołnierze łążą po dziedzińcu. - Jose wrzucił ramionami. Tylko on zachowywał spokojną obojętność, wrodzoną góralom.

-Nie, to coś innego - zdołał powiedzieć Diaz, gdy nagle na kratkach okiennych zacisnęły się odziane w czarne rękawice dłonie.

Więźniowie krzyknęli ze strachu i zaskoczenia.

A kraty zatrzęsły się, wygięły i wyleciały z framugi razem z potężnym kawałem muru. Do środka posypał się gruz i rdzawy ceglany pył. Przez powstały otwór wlał się do celi żółty blask sodówki. W tym świetle komandos, dalej dzierzący w dłoniach wyrwaną kratę, wydawał się ogromny jak posąg. Zgniół ją jednym ruchem i odrzucił na bruk kłęb

pokręconych prętów. Potem grzmotnął pięścią w ścianę. Znów poleciały cegły, dziura zrobiła się na chłopa wysoka.

Aresztanci wydali kolejny chóralny wrzask. Potwór gołymi rękami demolujący mury to było za dużo na ich nerwy.

- Święty Panie Jezu i Ty, Panienko z Gwadelupy! - jęknął Jose. - Widzieliście?!

Gapili się z rozdziawionymi ustami na kolejne ciemne sylwetki, które zdawały się wyciekać ze środka nocy. Na dziedzińcu wyskakiwali też zaniepokojeni hałasem żołnierze dyktatora. Zaszczekały automaty. A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Rozległy się okrzyki bólu, ktoś padł na ziemię. Ale na dziwacznych komandosach broń maszynowa nie zdawała się robić wrażenia. Nacierali, jakby przeciwnicy strzelali w nich grochem. Właśnie jeden przemknął tuż obok rozwalonej celi, długimi susami dopadł prażącego rozpaczliwie z automatu strażnika więziennego, złapał za kark i skrzył, jakby zabijał kurczaka. Kręgosłup tylko chrupnął, ciało zwisło bezwładnie. Komandos cisnął martwego przeciwnika na ziemię, obrócił się i otworzył ogień do grupki nadbiegających żołnierzy.

Wcale się nie krył. Przeciwnie, lał prosto na lecące ku niemu pociski.

I nie upadał.

-Ja śnię - wymamrotał Pepito. - Powiedźcie, że nie zwariowałem!

-To amfetamina - stwierdził Chudy. - Są pewnie nagrzmoceni amfą.

-I przez to kuloodporni? - burknął trzeźwo jak zwykle Jose.

Tylko Forfax milczał. Ten oddział specjalny wydawał mu się dziwnie znajomy. Gdzieś już widział takie bluzy i hełmy. I z pewnością nie u Amerykanów.

- O Matko! - stęknął Miguel, kiedy potężny czarny żołnierz schwycił kolejnego strażnika i po prostu rozdarł na pół. Trysnęła posoka, wnętrzności wylały się na kamienie. Wrzask konającego utonął w odgłosie kanonady. Żołnierz jednym ruchem odrzucił ciało na dobre pięć metrów, rozejrzał się spokojnie za następnym celem. Nie wyglądał na ogarniętego jakimś bojowym szałem. Po prostu niszczył. Nieważne, czy gołymi rękami I czy za pomocą broni palnej.

I kompletnie niczego się nie bał. Jakby to były jakieś cholerne ćwiczenia.

Forfax zadrżał. Zaczął się już domyślać, kim mogli być nieludzcy wybawcy, ale nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Bo w takim razie wcale nie miałby się z czego cieszyć.

Kałuże krwi połyskiwały rdzawo w świetle sodówek, a cały straszliwy spektakl wyglądał nierealnie, niczym popisy widmowych gladiatorów z głębin przeszłości.

Więźniowie, stłoczeni przy dziurze w ścianie, mieli doskonały widok na jatkę dokonywaną w całkowitym milczeniu przez zdumiewających komandosów. Wszystko razem przypominało kiepską grę komputerową. Z koszar wylewali się ludzie dyktatora, a kilkunastu czarnych herosów rozwalalo ich na strzepy. Dosłownie. Nieoczekiwani zbawcy wydawali się nieśmiertelni. Wcale nic przypominali ludzi. Raczej lwy rozrywające dawnych chrześcijan.

Poruszali się z takim samym naturalnym wdziękiem dzikich bestii. I zabijali z równą obojętnością.

W krótkim czasie żołnierze reżimu się skończyli, z drzwi koszar nikt już nie wybiegał.

Czarni bohaterowie stali pośrodku dziedzińca, czekając, jakby rozczarowani. Na ziemi leżały tylko ciała ich przeciwników. Żaden czarny komandos nie zginął.

Wtem jeden z nich obrócił się błyskawicznym ruchem, doskoczył do najbliższego trupa i ciosem pięści zamienił jego głowę w pęknięty melon.

- Dość! - rozległ się ostry okrzyk. - Wyluzuj, Kola!

Kola, przebiegło przez myśl Forfaksa. Coś mi się kojarzy. Zaraz, po jakimu on się odezwał?

Zerknął na wysokiego żołnierza, który właśnie ściągał hełm, i zadrżał. Komandos, doskonale widoczny w świetle latarni, miał niebieskie włosy i oczy o barwie czystego kobaltu. Na szczupłej, pięknej twarzy przeoranej poprzeczną blizną zastygł wyraz kompletnego szaleństwa. W dodatku żołnierz śmiał się. Chichotał upiornie, widocznie nie mogąc się powstrzymać. Na kilometry cuchnął magią. Z rozmachem kopnął kolejnego trupa, aż but zagłębił się we wnętrzościach.

-Mięsko, chłopaki! Mięsko! Nie chcecie się porzucić? Bo ja się nudzę, na przykład.

-Kola, prosiłem! - warknął stojący nieco na uboczu barczysty żołnierz, prawdopodobnie dowódca.

Wtedy Forfax rozpoznał twarz i mundur szaleńca.

Kolazonta! - zrozumiał w nagłym przebłysku. Na wszystkie głębiańskie dziwki, mam teraz na głowie Aniołów Szału. Zdaje się, że z rynsztoka wpadłem w gnojówkę. To nawet nie jest zwykła interwencja. Przysłałiby operacyjnych. Komando Szeol! To pieprzeni Aniołowie Szału we własnych szurniętych postaciach. Używana do najtajniejszych, najtrudniejszych akcji, najbardziej okrutna jednostka specjalna Królestwa. Po ich przejściu nie zostają nawet zgliszcza. Na Płomienne Jezioro! Jestem trupem!

-Po jakimu oni mówią? - stęknął poblady, wystraszony Miguel.

-Henochiańskim - szepnął odruchowo demon. - Językiem Sfer Niebiańskich.

Tymczasem upiorni, złani krwią żołnierze zbliżyli się do poharatanej ściany. Przywodzili na myśl posągi odlane z płynnej miedzi. Większość pozdejmowała hełmy. Zalśniły czerwone, pomarańczowe, wiśniowe włosy, splecione w warkocze, spiętrzone w wysokie czuby, dziwacznie wystrzyżone. Przypominali teraz oddział zwariowanych punków. Czarne drelichy nie miały żadnych dystynkcji. Na prawym ramieniu połyskiwał tylko maleńki emblemat przedstawiający kosę skrzyżowaną z hejnałową trąbką. Pieczęć Apokalipsy.

- Kto oberwał? - spytał dowódca.

On także zdjął hełm. Błysnęły rubinowe jak u albinosa oczy. Forfax wciągnął powietrze przez zęby. Przed sobą miał samego Ksopgiela, szefa wszystkich Aniołów Szału. Jeśli pofatygował się na akcję osobiście, sprawa była śmierdząca.

- Wszyscy - zachichotał młody skrzydlaty z blizną na czole i maleńkimi źrenicami ćpuna.
- Jak zwykle szefie.

Jego bluza była podziurawiona niczym durszlak. Po dobnie jak drelichy kolegów. Z dziur wyciekała powoli gęsta, bardzo ciemna krew przypominająca smołę.

Ksopgiel westchnął.

- Parszywa robota. W domu was połatają. Patrzcie, niby tylko ludzie, a jednak gryzą. Sukinsynki, jeszcze niedawno nikt by się nie ośmielił pokaleczyć skrzydlatego. Dobra, róbcie swoje.

Ruchem podbródka wskazał wystraszonych, drżących aresztantów.

Zabije nas! - pomyślał Forfax. Lepiej już być nic może, cholera. Wolałbym chyba rozstrzelanie.

Tymczasem dowódca Szaleńców ciężkim wzrokiem obrzucił struchlałych więźniów.

- Wyłażcie - odezwał się całkiem przyzwoitym hiszpańskim. - Wybuchła rewolucja ludowa. Rząd i prezydent zostali obaleni. Możecie iść do domów. Pan Miguel Diaz zostanie z nami.

- Po co? - kwiknął spłoszony Miguelito.

-Ludzie chcą pana zobaczyć. Jest pan bohaterem. To zobowiązuje - powiedział surowo Ksopgiel.

Forfax starał się cofnąć w cień, przylepić do ściany. Gdyby mógł, chciałby stać się niewidzialny. Może nie zauważą, kim jest, i pozwolą mu spokojnie odejść. Nadzieja była słabiutka niczym płomyk ogarka, ale zawsze. Postanowił się jeszcze nie poddawać.

-Jak ja, kurwa, nienawidzę rewolucji - mruknął niemal bezwiednie, cofając się o kolejny krok.

I znów zadziałała straszna, prześladowająca go od dzieciństwa klątwa. Przedobrzył.

-A ten czego się tak chowa w kącie? - zagadnął po henochiańsku skrzydlaty o wiśniowych włosach. - Pokaż się, koleś, co z tobą?

Sięgnął w ciemność i lepką, unurzaną w czerwieni dłonią wywlókł demona na podwórze.

Przez chwilę panowała cisza. Aniołowie patrzyli po sobie, wyraźnie zaskoczeni.

Pierwszy zareagował kobaltowy Kolazonta. Chwyił Forfaksa pod brodę, przyciągnął do światła. I zagwizdał z podziwu.

- O, ja chrzanię! - zachichotał, wyszczerzając zęby w wariackim, odjechanym uśmiechu, od którego demonowi zrobiło się słabo. - Głębianin! Prawdziwy! Uratowaliśmy dupę pieprzonemu chłoptasiowi z Otchłani! Niespodzianka, panowie! Mamy tu przebierańca. Mały skurwysynek z Dołu postanowił odgrywać człowieka.

Transwestyta czy co? Lubisz się stroić w nieswoje cius/ ki, gnojku?

Jego oczy o maleńkich jak ziarna maku źrenicach uciekały na boki niczym rozklekotane deski w szopie starego Paco. Kolazonta jechał trawą z Fatimy tak po tęźnie, że Forfaksowi zakręciło się w głowie.

-No! - Ksopgiel też uśmiechał się wilczo. - Co za numer, panowie! Demon! Ocaliliśmy, kurwa, demona!

Forfaksowi trzęsły się kolana. Z całej gadki wyło wił tylko jedno słowo, którego uczepił się rozpaczliwie „Ocaliliśmy”. Tak się chyba nie mówi o kimś, kogo chce się zaraz rozwalić.

-Dobra! - Ksopgiel zatarł ręce. - Zabierajcie Miguelita, resztę dupków puszczajcie wolno, a z tym smarkiem z Głębi sam sobie pogadam. Ruchy, panowie. To nie wycieczka szkolna. Kto tam za bardzo krwawi, niech golnie trochę wody z Lourdes. Harbona ma bukłaczek. Chodź, koleś. Pora coś wyjaśnić.

Przerażony Forfax powłókł się posłusznie za dowódcą Aniołów Szału. W końcu co mógł innego zrobić? Przynajmniej oddalał się od tego cholernego świra o niebieskich włosach.

* * *

Kiedy już wyjaśnił szósty raz wszystko, co tylko mogło się nadawać do wyjaśnienia, Ksopgiel westchnął.

-No pięknie - warknął. - Wyłazi się z takiej Głębi czy spod innego wilgotnego kamienia, robi burdel, że proszę siadać, a potem wujek Gabriel musi ratować dupę, tak?

-Nie - wyjąkał Forfax. - To znaczy tak. Ja... dziękuję. I przepraszam. To się nie powtórzy, przysięgam.

Czerwone oczy szefa Aniołów Szału patrzyły chłodno.

-No, myślę! Bo też wylecisz stąd w podskokach, koleś. I nigdy więcej nie wejdiesz nawet do latynoskiej knajpy. Już nie dla ciebie salsa, tortille i inne fandango. Rozumiesz? A na karnawał to się wybierz lepiej do Wenecji. Tam się będziesz mógł przebierać do woli. Jasne?

Demon skwapliwie kiwnął głową.

Usta Ksopgiela wykrzywiły się w uśmiechu.

-Przestań się trząść, synu. Wujek Gabrys i cała reszta szych z Królestwa wcale się na ciebie nie gniewa. W sumie wyświadczyłeś nam przysługę. Nie wiedzieliśmy, że ten dupek Rikbiel bryka sobie w najlepsze na Ziemi. Szukaliśmy go raczej w Strefach Poza Czasem. Tu, na Ziemi, to taki mandzur, że każda szumowina znajdzie kątek dla siebie. Nawet cherubin, w dupę kopany. Kiedy się na ciebie wściekł, podniósł poziom mocy tak znacząco, że go namierzaliśmy. I trach. Żałosny koniec pana prezydenta. Boję się, chłopcze, że ze względów dydaktycznych będziesz musiał dobrze się przyjrzeć, jak kończą tacy, co zdradzają Królestwo. I nie umieją trzymać ozora za zębami. Chodź. Pójdziemy dopilnować, żeby dokonała się sprawiedliwość.

Klepnął demona w plecy, omal nie obalając go na kolana.

* * *

W celi cuchnęło krwią i potem. Forfaksowi z miejsca zrobiło się niedobrze. Nie chciał patrzeć na leżącego na podłodze cherubina. Niedoszły pan świata pojękiwał cicho. Otaczali go milczący, obojętni Aniołowie Szału. Kolazonta żuł miarowo liście koki.

Skąd on je nagle wytrzasnął? - zdziwił się Forfax, gotów zainteresować się wszystkim, żeby choć na chwila oderwać myśli od tego, co nieuchronnie miało się wydarzyć.

- Cherubinie Rikbiel - odezwał się Ksopgiel sucho - za zdradę Królestwa zostajesz skazany na śmierć. Wykonać.

Zaklekotały miarowo krótkie automatyczne karabiny typu Plaga 12, zwane popularnie Miotaczami Gniewu. Ciało cherubina poderwało się w górę, zatańczyło do mrocznej muzyki wystrzałów. Gęsta, ciemna krew zbryzgała twarze i ubrania komandosów.

El Presidente już się nie ruszał, a karabiny wciąż terkotały.

Wkrótce Rikbiel przypominał bryłę surowego mięsa Bardzo poszarpanego mięsa. W końcu Aniołowie Szału przestali strzelać.

Kolazonta podszedł, trącił trupa czubkiem buta.

- No proszę. Słuszny gniew ludu obrócił się przeciw tyranowi. Jakie to budujące. Rewolucja, przyjaciele! Oto kwadratowe koło postępu! Hurra i tak dalej. Myślicie, że ścierwo naprawdę nie żyje? Znałem pewnego cherubina, który nie miał ani jednego skrzydła, wszystkie flaki na wierzchu, a i tak zatłukł takiego młodziaka z Szeolu, co za blisko podszedł. Trzeba uważać z tymi śmieciami. Lepiej rozwałę mu łeb, co? Jakoś się nie ubawiłem jeszcze.

Forfax nie wytrzymał, padł na kolana i zwymiotował Miał serdecznie dość polityki, sprawiedliwości i całego Królestwa.

Kiedy doszedł trochę do siebie, zobaczył pochylającego się ku niemu Ksopgiela.

-Rusz się, koleś. Czas, żebyś się zmywał. I tak źle się stało, że wlałeś w to całe gówno.

Poprowadził Głębianina do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie lśnił fioletowym blaskiem nakreślony na podłodze pentagram.

-Pamiętaj, co tutaj oglądałeś. Tak skończy każdy, kto podpadnie Królestwu. A teraz zabieraj dupę. Nie chcę cię widzieć w tym rejonie świata nawet za czterysta lat, jasne?

Demon przytaknął.

- A Diaz? - ośmielił się zapytać. - Co z nim?

-Już ty się nie martw - warknął anioł. - Jest w dobrych rękach. Teraz my zajmiemy się jego karierą. Skutecznie. Będzie chodził jak mu zagramy. Został wybawiony z rąk złego ducha i jest nam dozgonnie wdzięczny. No, spadaj już.

Obrócił się plecami do demona i odszedł bez słowa pożegnania.

- Dziękuję - szepnął Forfax. - Już znikam.

Wkroczył w świetlisty pentagram. Ksopgiel nawet się za nim nie obejrzał.

* * *

Storczyki wyglądały na tle ciemnej zieleni jak skrawki kolorowych batików. Morze miało kojący kolor turkusów, na niebie pyszniło się olśniewające wakacyjne słońce.

Małeńka skośnooka kelnerczka kręciła się wśród stolików z tacą pełną kolorowych drinków.

Przystojny blondyn sięgnął po szklankę stojącą na blacie. Dłoń drżała nieznacznie, paznokcie były zupełnie sine.

Tajlandia, pomyślał. Też niezłe miejsce. Wierzą tu w wiele demonów.

Upił łyk mocnej whisky. Nie czuł się tego popołudnia najlepiej. Męczyły go przykre wspomnienia i nieokreślony niepokój. Jeszcze nie doszedł do siebie po tym, jak wytrąciły go z równowagi poranne wiadomości. W migawkach ze świata zobaczył, że Miguel Diaz, nowy, niemal jednogłośnie wybrany prezydent, w płomiennym ex pose zapewnia, że przywróci w swoim kraju tradycyjne wartości i nie spocznie, póki nie wprowadzi państwa na drogę reform i demokracji.

Niby nic, a przecież budziło pod sercem nieprzyjemne klucie.

Polityka, pomyślał, to jeden wielki syf.

Od tej pory, postanowił solennie, nigdy już nie dać, wkręcić w polityczne rozgrywki.

Znajdzie sobie coś spokojnego, przyjemnego. Narkotyki odpadają, porno kluby i handel żywym towarem też. Paskudna, niebezpieczna robota, w dodatku Forfax wcale nie popierał takiego barbarzyństwa. Może kasyna? Ludzie tutaj uwielbiają grać, to urodzeni hazardziści. Zakładają się o wszystko. Nawet która godzina przypadnie po trzeciej. Sam Asmodeusz robi w kasynach. Co niebezpiecznego może spotkać zmyślnego, inteligentnego demona w takim miłym, niemal legalnym biznesie? Karty, ruleta, choćby i bingo. Byle się kręciło.

Ten szczupły, sympatyczny Taj, którego spotkał wczoraj w barze, wydawał się materiałem na ciekawego znajomego. Nie mówił o jakimś klubie, który ma na oku, ale brakuje mu gotówki na inwestycję? Chyba coś takiego wspominał.

Taak, niewykluczone, że powinien zainteresować się pomysłem z kasynami. Pobawić się, trochę zarobić.

Ale oczywiście żadnej polityki.

Grunt, żeby się nie nudzić i nie tracić życia na zachowawcze siedzenie na tyłku.

- Prawda? - zapytał turkusowych fal i niebieskiego, leniwego nieba.

Podniósł do góry szklaneczkę, światło zalsniło niczym małeńka żarówka w bursztynowym płynie. A serdeczne wakacyjne tajskie słońce mrugnęło do niego porozumiewawczo.

*Opowieści zasłyszane – spisane ku rozrywce i nauce przez anielicę Zoe z dworu
Jaśniejszej Mądrością Pani Pistis Sophii – Dawczyni Wiedzy i Talentu.*

BEZNOGI TANCERZ

Powiadają, że w czasach przed Stworzeniem był pośród sylfów tancerz, którego kunszt nie miał sobie równych we wszystkich wszechświatach. Telto, Matka Demonów, dowiedziawszy się o tym, sprowadziła go do swego pałacu, aby zabawić oczy jego popisami. Jednakże po niedługim czasie tancerz zateęsknił za Podniebną Krainą oraz bliskimi, z którymi zmuszony był się rozstać, i potajemnie opuścił dominium Telto. Matka Demonów, wpadłszy w wielki gniew, rozkazała pojmać uciekiniera i odrąbać mu nogi, aby przed nikim innym nie zatańczył ten, kto ośmielił się wzgardzić jej łaskami. Sława tancerza nie zgasła jednak. Przeciwnie, nawet w odległych, dominiach chwalono i podziwiano jego sztukę. Telto, sądząc, że jej rozkaz nie został wykonany, posłała siepaczy, aby zgładzili sylfa i ostatecznie rozwiązali upokarzającą sytuację. Ku swemu zdziwieniu ujrzeli oni leżącego w łożu kalekę, ruchami dłoni ożywiającego papierową lalkę w stroju tancerza. Nim zginął pod ciosami mieczy, miał ponoć rzec: „Zabierzcie moje życie, skoro niczego więcej nie potraficie mi zabrać”.

*Opowieści zasłyszane i spisane ku rozrywce
i nauce przez anielicę Zoe z dworu Jaśniejszej
Mądrością Pani Pistis Sophii – Dawczyni
Wiedzy i Talentu*

Jaldabaot był zadowolony. Ogromna kryształowa szyba w Komnacie Blasku rozjarzyła się i przygasła, ukazując nowy obraz – rozległą przestrzeń, w której dominowały nagie, ostre niby brzeszczoty skały. Ponad ich grzbietami lśniła lustrzana tafla bladego nieba. Krajobraz miał w sobie podniosłą czystość przywodzącą na myśl potęgę chórów niebiańskich.

Na tle monumentalnych wzniesień trudno było z początku zauważyć ogromną liczbę poruszających się postaci, ubranych w popielate i bure tuniki aniołów służebnych. To ich morderczy wysiłek przyczynił się do wypiętrzenia szczytów, ale Jaldabaot nie zaprzętał sobie tym głowy. Rozpierała go duma. Lubił sobie uświadamiać, że Architektem, co prawda, jest Pan, lecz nadzór nad budową spoczywa w jego rękach.

Co za piękny świat, myślał, smukłymi palcami muskając piętrzące się na biurku mapy i plany. Tak, z całą pewnością był zadowolony, gdyż potęga, którą dysponował, nie miała równych wśród powołanych do tej pory do życia..

* * *

– To miejsce doprowadza mnie do szału – powiedział Daimon Frey. – Kiedy ostatni raz miałeś na sobie czystą koszulę? Mam wrażenie, że śmierdzą, moje łachy cuchną zgnilizną, a miecz pokrywa brudny nalot. Niedługo zapomnę, do czego służy. Według niektórych pewnie do dłubania w zębach. Zdajesz sobie sprawę, jak długo już tutaj tkwimy?

– Czwarty rok według rachuby Królestwa – mruknął Kamael.

Miał szczupłą, inteligentną twarz i słynne z piękności oczy o barwie czystego nieba. Długie, sięgające do linii szczęki kasztanowe włosy zaczesywał do tyłu.

– Jego wspaniały, nowy świat! – Daimon ścisnął palcami skronie. – On oszalał. Uważa, się za Stwórcę. Wkrótce udławi się własnym dostojeństwem. Żałosny, próżny demiurg. Słyszałeś, że kazał się nazywać Prawicą Pana? Według mnie „proteza” brzmiałaby trafniej. Pozbył się nas z Królestwa, bo trzęsie się ze strachu. Dwanaście tysięcy Aniołów Zniszczenia, nadzorujących usypywanie gór, kopanie rowów pod rzeki, osuszanie bagien i całą resztę tych beznadziejnych, prostackich robót hydraulicznych. Kiedy to się skończy, każe nam wytyczać grządki pod nasionka, zobaczysz!

Kamael westchnął. To, co powiedział Frey, było prawdą, ale nie pozostawało nic innego, jak zacisnąć zęby i przetrwać.

Daimon wysączył ostatnie krople wina z trzymanego w rękę kielicha i nachylił się, żeby sięgnąć po stojący w cieniu za głazem dzban.

– Hej! – krzyknął swym ochrypłym i niemal bezdźwięcznym głosem, który przypominał plusk kamieni wrzucanych do podziemnego jeziora. – Dzbanek jest pusty! Czy mi się zdaje, czy rzeczywiście widzę dno?!

Od grupy pracujących najbliżej natychmiast oderwała się mała, przerażona anielica, przechylona pod ciężarem pokaźnej konwi.

– Racz wybaczyć, panie – jęknęła płacząco. – Racz wybaczyć.

W jej oczach błysnęły łzy. Zaczęła niezgrabnie napełniać dzbanek. Odprawił ją ruchem ręki.

– Sam to zrobię – powiedział ze znużeniem. – Inaczej niechybnie mnie oblejesz.

Ukloniła się i uciekła. Wino miało cierpki smak i zdecydowanie należało do gatunku popularnie zwanego cienkuszem. Skrzywił się, odprowadzając wzrokiem pospiesznie drepzczącą anielicę.

– Jak myślisz, czy Jaldabaot specjalnie powybierał dla nas najbrzydsze służące, żeby nie stwarzać niepotrzebnych pokus? – Dopiero teraz na drapieżnej twarzy Daimona pojawił się uśmiech.

Kamael miał przed sobą ostry profil przyjaciela. Nie po raz pierwszy przeszło mu przez myśl, że nie chciałby zmierzyć się z nim w otwartej walce.

Daimon spokojnie sączył wino. Czarne włosy, odrzucone do tyłu, sięgały połowy pleców. W pociągłej twarzy płonęły głęboko osadzone, ciemne oczy. Ich spojrzenie, a także gardłowy głos, który czasem przechodził w nieprzyjemną chrypkę, potrafiło wywołać ciarki na plecach najbardziej pewnych siebie.

Wielu, w tym sam Kamael, podziwiała Daimona, lecz równie liczni bali się go i nienawidzili. Nie bez słuszności, gdyż trzymające kielich silne, żyłaste dłonie należały do najlepszego szermierza w Królestwie. Jego pochodzenie także mogło stać się źródłem zawiści, bo Daimon był aniołem krwi – czystej, niebezpiecznej i potężnej, jak Miecz, któremu służył.

Rycerze Miecza stanowili elitę. Pełnili funkcje oficerów nad dwunastoma tysiącami Aniołów Zniszczenia, zwanymi Szarańczą, ponieważ po ich przejściu pozostawała tylko goła ziemia, bez jednego źdźbła trawy. Dowodził nimi Kamael, a ich największą świętością był Miecz, którym u zarania Przedwieczny rozdzielił ostatecznie Światło od Mroku. Wtedy zostali stworzeni pierwsi, najpotężniejsi aniołowie, zmuszeni natychmiast dokonać wyboru, czy opowiadają się po stronie Ładu, czy Chaosu. Wielu wybrało Ciemność. Wkrótce wybuchła wojna, a po pierwszych krwawych, lecz nierozstrzygniętych potyczkach Pan stworzył swych najlepszych wojowników, Aniołów Miecza, i posłał ich do boju na czele Szarańczy. Posłał w sam środek szaleństwa i masakry. Zmusili armię Ciemności do cofnięcia się poza granice czasu, ale zręby nowego świata stanęły na miejscu zbryzganym ich krwią. W Królestwie szeptało, że to ona nadała czerwoną barwę planecie Mars, a zakopane głęboko w ziemi żelazo, pochodzące z ich porzuconych na pobojuwiskach zbroi i oręża, na zawsze zostało naznaczone krwawymi plamami, które ludzie nazwą potem rdzą.

Niektórzy przeżyli. I tych właśnie demiurg Jaldabaot skierował do nadzorowania robót ziemnych w powstającym na nowo świecie, mającym jakoby szczególne znaczenie w boskim planie Stworzenia.

Daimon wzniosł w górę kielich.

– Za Marszałka Murarzy i jego niezrównany talent twórczy!

Wypili szydery toast. Ich spojrzenia spotkały się na moment.

To trwa o wiele za długo, pomyślał Kamael, widząc cień goryczy ostatnio wciąż obecny w kącikach ust przyjaciela. Moim najlepszym oficerom puszczają nerwy. Nawet Daimon jest u kresu sił. Cóż, otrzymaliśmy wspaniałą nagrodę za wierną służbę!

Frey odgarnął z czoła opadające kosmyki. Z nieba lał się żar, zmuszał do mrużenia powiek. Na rozpościerającej się przed nim rozległej równinie wyżłobione były nieregularne wykopy, przypominające liszaje.

Mdli mnie od tego widoku, pomyślał. Stuknął paznokciem o brzeg kielicha. Może lepiej, żebym się upił? Chociaż upijanie się takim winem jest zbrodnią przeciw dobremu smakowi.

– Spójrz tam! – zawołał nagle Kamael, wskazując palcem poruszający się na horyzoncie punkt.

Frey przesłonił ręką oczy.

– Zwiadowca?

– Pędzi, jakby go demony ścigały.

Daimon skierował na dowódcę spojrzenie, w którym błysnęła iskierka zainteresowania.

– Myślisz, że Pan wysłuchał naszych modłów?

– Mam nadzieję, że nie – odparł ponuro Kamael.

* * *

– Tak – mruknął Daimon. – Nie mam wątpliwości, że Pan nas wysłuchał.

Kłęczał na szczycie wzgórza z dłońmi opartymi o ziemię.

– Zastanówcie się, o co prosicie, bo przy odrobinie pecha możecie to otrzymać – odezwał się cierpko Kamael.

– Więc lepiej nie proście o nic – dokończył Frey.

Wódz Aniołów Miecza pochylił się w siodle.

– Mocne?

– Jak sama zaraza. Lepiej tu podejść i sprawdzić.

Kamael zsiadł z konia i przyklęknął obok Daimona. Kiedy położył rękę na ziemi, twarz ściągnęła mu się w nieładnym grymasie. Poderwał się, gwałtownie potrząsając dłonią.

– Jak ty to wytrzymujesz?

Daimon posłał mu krzywy uśmiech.

– Rozumiesz, rutyna.

Wstał, otrzepał ręce i wskoczył na siodło. Jego koń miał sierść równie czarną jak włosy pana. Nazywał się Piołun. Jak wszystkie konie kawalerii należał do boskich Zwierząt i jak wszystkie Zwierzęta był kompletnie szalony. Odzywał się rzadko, a mówił najczęściej zagadkami. Lecz Daimon nauczył się bezgranicznie mu ufać, po tym jak Piołun wielokrotnie uratował mu życie. Oprócz rumaków do Zwierząt zaliczali się Chajot, Wieloocy, Bestie, Istoty i potwory jak Lewiatan czy Behemot, lecz kontakt z nimi zawsze był utrudniony, bo

zachowywali się nieprzewidywalnie i zdaniem większości aniołów mówili od rzeczy. Jednakże rumaki, jako najrozsądniejsze z nich, powszechnie służyły za wierzchowce.

– Dawno obserwujesz te wibracje? – spytał Kamael.

Zwiadowca, który przyprowadził ich na wzgórze, potrząsnął głową.

– Zawiadomiłem was, panie, gdy tylko je wyczułem, ale nie wiem, jak długo trwają, bo pracujący tu aniołowie służebni niczego nie zgłaszali.

Daimon wykrzywił usta.

– No pewnie – rzucił gorzko.

Piołun przestąpił z nogi na nogę. Niespodziewanie usłyszeli jego głos, wprost w umyśle, jak zimne dotknięcie stali. To nie było przyjemne uczucie.

– W głębokich dolinach zbiera się cień. Ma barwę nocy, lecz pachnie jak krew. Nazywają go śmiercią, ale nie mają racji. Śmierć przy nim jest pełnią życia.

– Zgadza się z nim – powiedział Daimon. – To nie są żadne lokalne manifestacje ciemności. Chyba ktoś chce nam złożyć wizytę.

Kamael pobladł.

– Myślisz, że to... – Zawiesił głos.

– Czuleś te wibracje? Poparzyły mi ręce.

Spojrzeni na siebie. Niewiele zostało do powiedzenia.

– Cóż, Daimon – westchnął Kamael. – Chyba pojedziesz do Królestwa wcześniej, niż się spodziewałeś.

* * *

Niech czeka, zdecydował Jaldabaot. To dobrze mu zrobi. Nieco zegnije ten swój hardy kark. Będzie musiał połknąć upokorzenie, zrozumieć, gdzie jego miejsce. Za kogo oni się uważają, ci Aniołowie Miecza? Banda butnych młokosów. Żadnego szacunku, żadnej pokory. W sumie to pospolici mordercy.

Od dawna byli mu solą w oku. Stworzeni, a nie zrodzeni. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Pan ofiarował im aż tak wysoką pozycję, tak świetne pochodzenie. Stworzył ich osobiście, na długo po tym, jak nadał słowom Metatrona moc powoływania do życia wciąż nowych zastępów aniołów.

A właściwie dlaczego Metatron? Aniołowie niskich kręgów, te rzesze ptactwa niebieskiego, nazywają go po cichu przyjacielem Pana. Czy to tylko brak szacunku, czy może już świętokradztwo?

Jaldabaot tysiące razy tłumaczył sobie, że Metatron otrzymał łaskę stwarzania niższych aniołów, bo on sam ma zbyt wiele obowiązków przy budowie Ziemi, lecz poczucie krzywdy jątrzyło się jak zbyt głęboko wbita drzazga. Pozostawała przecież jeszcze jedna zniewaga – archaniołowie. Tego Jaldabaot zupełnie nie potrafił pojąć. Aniołów Miecza Pan stworzył do boju z potrzeby chwili, ale po co Mu archaniołowie? Bezczelne, nieopierzone kogutki!

Agresywne dzieci, które bawią się w prawdziwych dostojników! Na litość Pana, są przedostatnim z chórów! Trzeba będzie utrzyć im nosa. Trzymają z tymi rycerzami, tymi krwawymi gnojkami od Miecza. Frey jest z nich najgorszy. Awanturnik. Mroczna, zatwardziała, dusza. Niech czeka. Wytrę sobie buty jego dumą. Niech czeka.

* * *

Daimon czekał. Z truciem powstrzymywał się, żeby nie krążyć nerwowo po korytarzu. Mijały godziny, dzień miał się ku końcowi. Wieczór rozbryzgał czerwone słoneczne plamy na posadzkach Domu Archontów.

* * *

Jaldabaot omawiał wzory na nowe arrasy w refektarzu. Nie mógł się zdecydować, wybierał długo. Niech czeka.

* * *

Daimon starał się nie patrzeć wyczekująco na drzwi. Czubkiem miecza grzebał w szczelinie między marmurowymi płytami podłogi.

* * *

Jaldabaot oglądał hafty na swojej nowej szacie. Podobały mu się, ale robił wiele uwag i poprawek. Zgromadzeni w sali audiencyjnej archaniołowie zaczęli zdradzać oznaki zmęczenia. Stali tu od rana i Jaldabaot miał nadzieję, że któryś zemdleje. Niestety, rozczarowali go. Trudno, jest jeszcze ten Frey. Niech czeka. Teraz trzeba się zająć przebudową altany w Ogrodzie Różanym. Przecież to pilne!

* * *

– Wielki Archont, Budowniczy Wszechświatów, Eon Eonów, Prawica Pana, Zwierzchnik Wszystkich Chórów, Księżę Księżąt Niebieskich, Jaśniejący Mocą i Sprawiedliwością Jaldabaot, Pan Siedmiu Wysokości przyjmie teraz Daimona Freya, Rycerza Miecza! – obwieścił herold.

Daimon ruszył do drzwi.

– Ależ, panie – wymamrotał wartownik. – To sala audiencyjna. Nie możesz tam wchodzić z bronią u boku!

Na twarzy Freya pojawił się wyjątkowo paskudny uśmiech.

– Jestem Aniołem Miecza – powiedział. – Nie lubię się z nim rozstawać. Jeśli ci to nie odpowiada, odbierz mi go.

Wartownik przepuścił Daimona bez słowa.

* * *

– Powtórz jeszcze raz to, co powiedziałaś. Nie słuchałem cię zbyt uważnie.

Daimon po raz trzeci tego wieczoru zaczął streszczać sytuację, która zmusiła go do odwiedzenia Wielkiego Domu Archontów. Twarz miał kamienną, ale głos nabrął chrapliwego, nieprzyjemnego brzmienia.

– Zwiadowca odkrył źródło niezwykle silnych wibracji. W ciągu paru godzin w tym samym rejonie znaleziono pięć podobnych źródeł. Moc, która z nich płynie, jest bardzo potężna. Pochodzi z samego serca Mroku, nie z jego manifestacji. Podejrzewamy, że niebawem nastąpi w tej okolicy atak Cienia. Osobisty. W jego własnej postaci, nie poprzez któregoś z podległych demonów. Wyjaśniam na wypadek, gdybyś nie słuchał zbyt uważnie... Prawico Pana.

Jaldabaot, dotychczas stojący do niego plecami, obrócił się.

Wszystkich zgromadzonych w sali audiencyjnej od początku zaskakiwał kontrast pomiędzy obydwoma aniołami, teraz, gdy stali naprzeciw, widoczny jeszcze wyraźniej.

Daimon ubrał się starannie, lecz bez przesady – tak jak lubili się nosić Aniołowie Miecza. Miał na sobie białą koszulę z cienkiego, delikatnego materiału, ukrytą pod krótkim, sięgającym talii kaftanem z czarnej skóry, wąskie czarne spodnie i długie buty, zapinane na niesamowitą liczbę klamerek. U boku nosił miecz i sztylet. Włosy związał luźno na karku, pozostawiając wolno dwa pasma, opadające aż na pierś. Na palcu prawej ręki widniała jedyna ozdoba, pierścień z czarnego kamienia z wyrytą pieczęcią, symbolem znaczenia, pozycji i pochodzenia. Wysoki i smukły, niemal dorównywał Jaldabaotowi wzrostem.

Wielki Archont był piękny. Jego proporcjonalna, doskonała twarz przypominała posąg z marmuru. Ceremonialne szaty oślepiały bielą, pokryte mieniącymi się, skomplikowanymi haftami i aplikacjami z bezcennych, przejrzystych jak sama Jasność klejnotów. Sztynny kołnierz płaszcza otaczał kunsztownie ufryzowaną głowę. Włosy Jaldabaota lśniły niczym srebro, podobnie jak cudowne, zimne oczy o przenikliwym spojrzeniu. Wąskie, niemal porcelanowe dłonie demiurga zdobiły pierścienie z białego złota i brylantów. Ilekroć się poruszył, dawał się słyszeć suchy szelest kosztownych tkanin.

– Twierdzisz więc, że Ziemia, ognisko nowego życia, które spodobało się Panu rozniecić, zostanie zaatakowana przez Antykreatora, przez Jego Cień, rzucony w czasach przed czasem na otchłanie Niebytu. Mam przez to rozumieć, że ten, którego nazywamy Odwiecznym Wrogiem i Siewcą Wiatru, powrócił z Czeluści tylko teraz i właśnie po to, żeby naprzykrzać się Rycerzom Miecza?

Daimon poczuł, jak ogarnia go fala ślepej wściekłości. Powoli zaczynał rozumieć, że ten szalony despota zlekceważy niebezpieczeństwo jedynie dlatego, żeby go upokorzyć. Mimowolnie zacisnął pięści.

Jaldabaot spoglądał na niego z triumfalnym uśmiechem na ustach.

– Wyjaśnij mi, skąd masz pewność, że wibracje pochodzą od Antykreatora?

– Czuję jego obecność. – Głos Daimona wciąż brzmiał niemal spokojnie.

– Ach tak? – Jaldabaot uniósł brwi z wyrazem udanego zdziwienia. – Udało ci się po prostu wyczuć? Czy to jakaś sztuczka magiczna?

Twarz Daimona ściągnęła się. Poblądł, a w oczach zapłonął mu złowrogi ogień.

– Zapominasz, Wielki Archoncie, że kilka razy miałem okazję widzieć go z bliska.

– Interesujące. Z bardzo bliska?

– Z tak bliska, jak ty nigdy byś się nie ośmielił. Na wyciągnięcie miecza.

Cisza w sali stała się prawie namacalna.

Nagle Jaldabaot roześmiał się.

– Twoja bezczelność, rycerzu – powiedział – znacznie przewyższa odwagę. Powtórz głośno, przed wszystkimi, prośbę, z którą tu przybyłeś.

Przez chwilę zdawało się, że Anioł Miecza skoczy Jaldabaotowi do gardła. Opanował się jednak.

– Przyjechałem po pomoc – odezwał się chrapliwie. – Po oddziały, które pozwolą nam stoczyć względnie równą walkę z potęgą Cienia.

Demiurg znów odwrócił się do niego tyłem, a Daimon usłyszał śpiewny szelest drogocennego jedwabiu.

Już prawie po wszystkim, to niemal koniec, powtarzał sobie. Za chwilę stąd wyjdę. Spokojnie i powoli.

Jedwab nadal śpiewał, posadzka lekko się kołysała, a kostki zaciśniętych pięści Daimona były białe jak papier. Głos Wielkiego Archonta, dochodzący jakby z oddali, nie budził zdziwienia ani specjalnych emocji.

– Nie dostrzegam potrzeby przegrupowania żadnych oddziałów. Wasze siły są aż nadto wystarczające. Nie mam zamiaru powołać pod broń choćby jednego żołnierza tylko dlatego, że kilku oficerów Miecza popadło w bezpodstawną panikę. Posiłki są potrzebne przy budowie gwiazd i planet. Radzę nauczyć się panować nad własnymi słabościami. Możesz to powtórzyć swemu dowódcy.

– Co do słowa – warknął Daimon.

– Aha, jeszcze jedno. Na przyszłość nie będę tolerował żadnej niesubordynacji. Mam na myśli opuszczenie przez ciebie posterunku bez wyraźnego nakazu. Następnym razem poniesiesz zasłużoną karę.

Anioł Miecza posłał mu przeciągłe spojrzenie.

– Nie będzie żadnego następnego razu. Zapewniam cię.

Ma wilcze oczy, pomyślał Jaldabaot. Za chwilę rzuci się gryźć. Cóż, wilczku, zdaje się, że powyrywałem ci kły.

– Możesz odejść. – Niedbale machnął ręką. – I tak zająłeś mi zbyt wiele czasu.

Daimon skłonił się sztywno, ceremonialnie. Jego twarz wydawała, się zupełnie bez wyrazu, lecz nie wiadomo jakim sposobem w każdym gościu anioła kryło się więcej pogardy niż w jakimkolwiek ostentacyjnym nietakcie.

Jaldabaot nie raczył się odkłonić ani nawet spojrzeć na odchodzącego.

* * *

– Widzieliście, jak go potraktował? Jak śmiecia! – Głos Lucyfera drżał z oburzenia.

– Nie lepiej obszedł się z nami – mruknął Razjel.

– Bezczelny dupek! – wrzasnął poirytowany Michael, potrząsając szafranowymi lokami.

– Zmusił nas do stania cały dzień w swojej pieprzonej sali tronowej za karę, że mu podskakujemy. Niby małe anielecia w kącie!

– Problem w tym, że musimy go słuchać.

– Kto powiedział, że musimy? – Lucyfer walnął pięścią w stół.

Gabriel bawił się pierścieniem z pieczęcią.

– Uważacie, że sytuacja dojrzała do działania? – spytał.

Rafał poruszył się nerwowo, już otworzył usta, ale się nie odezwał. Archaniołowie trwali w ponurym milczeniu.

– Zastępy z pewnością pójdą za nami – powiedział wreszcie Michał. – Ręczę za to.

– Wiem, Michasiu – westchnął Gabriel. – Ale co z rzeszą aniołów służebnych, urzędników dworu, starą arystokracją, gwardią pałacową i wszystkimi pozostałymi. Wola Jaldabaota jest dla nich równoznaczna z wolą samego Pana.

– Wszędzie narasta niezadowolenie. – Razjel wzruszył ramionami.

– Aniołowie Miecza też za nami pójdą. Zwłaszcza po tym, co się stało wczoraj – dodał Lucyfer.

– Jeśli którykolwiek z nich zostanie przy życiu – mruknął milcząco do tej pory Samael.

– Nie mogę uwierzyć! – wykrzyknął Rafał. Na jego twarzy malowała się udręka. – Czy my rzeczywiście rozważamy możliwość buntu?

Samael się skrzywił.

– Ależ skąd. Omawiamy plan pikniku w Ogrodzie Różanym.

– Do rzeczy, panowie – powiedział sucho Gabriel. – Co proponujecie?

– Przygotowywać się powolutku i zwracać na siebie jak najmniej uwagi – rzekł Razjel. – Panowanie Jaldabaota lada chwila się rypnie. Wtedy zgrabnie zajmiemy jego miejsce.

– No to na co czekamy? Do dzieła! – Michał uśmiechnął się radośnie.

– Nie możemy teraz zacząć – przerwał Gabriel – bo sprawimy wrażenie, że występujemy przeciw Panu! Chyba nikt tego nie chce?

– W żadnym wypadku! – zawołał Lucyfer, wyraźnie poruszony. – Przeciw Panu?! Nigdy! To nie wchodzi w grę!

Zapadła cisza. Przerwał ją kpiący głos Samaela.

– Pogadaliśmy sobie, panowie. Ponarzekaliśmy. Jak zwykle. Chodźmy już do domu, dobra? Nogi mnie boją.

– Pan obsadził Jaldabaota na stanowisku Wielkiego Archonta. Widocznie miał swoje powody, chociaż ciężko mi zrozumieć jakie.

– Więc zasuważ i spytaj Go o to, Gabrysiu – warknął Samael.

– Więcej szacunku – syknął Michał. – Za chwilę przegniesz pałę i...

– Wiem, pozbieram zęby z podłogi.

– Zamknijcie się! – Głos Razjela zabrzmiał jak trzask bicia. – Zachowujecie się jak szczeniaki. Przypominam, że rozmawiamy o władzy w Królestwie, a nie o praniu się po pyskach. Wychodzi na to, że czekamy na wyraźny znak Pana. Znak, że Jaldabaot utracił łaskę w Jego oczach.

– Tak. – Gabriel nerwowo obracał na palcu pierścień. – Bez tego nic nie zdziałamy.

* * *

– Odmówił?! – W głosie Kamaela słyhać było niedowierzenie pomieszanego z wściekłością. – To niemożliwe! Wy tłumaczyłeś mu wszystko jak trzeba?

Daimon spojrzał na niego, a w oczach miał coś takiego, że dowódca Aniołów Miecza zamilkł.

– Tak – odpowiedział wolno. – Trzy razy. Kazał nam pracować nad słabościami.

Kamael dzielnie starał się nie pokazać po sobie, że jest załamany.

– No nic. Ewakuujemy z zagrożonego terenu wszystkich, którzy nie są niezbędni, wzmocnimy posterunki, skrzyknijemy chłopaków i...

– Przygotujemy się na śmierć – dokończył Frey.

* * *

Nikt nie zapamiętał imion dwóch aniołów, którzy zginęli pierwsi. Po prostu nagle ziemia i niebo pękły, przedzielone pionową szczeliną, która rozszerzyła się, tworząc wrota zdolne przepuścić jednocześnie pięćdziesięciu jeźdźców. Fala mrocznej energii wylała się na równinę, pochłaniając pracujących przy wykopach robotników. Umierali ogłuszeni, zatruci, zdławieni, z sercami przepelnionymi strachem, jakiego nie doświadczyli nigdy dotąd. Wszystko to trwało nie dłużej niż mgnienie. Potem przez bramę przestąpiły nieprzebrane szeregi dziwnych kreatur, podobnych do kłębow ciemności, na pozór niezgrabnych, lecz przeraźliwie skutecznych. Rycerze Cienia płynęli ławą. Były ich dziesiątki, setki i setki tysięcy, widocznych w przejściu między światami. Wylewali się przez otwarte wrota, powoli jak połyskliwa rzeka, magmy. Powietrze, naładowane potężną, złowrogą mocą, drżało. Stojący na wzgórzu Aniołowie Miecza poczuli dobrze znane symptomy obecności Cienia – ucisk w klatkach piersiowych, szum w uszach i mdłości.

– Antykreator! – szepnął Kamael.

Jofiel wyciągnął rękę.

– Patrzcie! Jest tam.

Rzeczywiście, daleko, widoczny przez szczelinę między światami, drgał gęsty, wibrujący Cień.

– Niech Pan błogosławi wszystkie bramy Królestwa. – Kamael wypowiedział prastarą formułę.

– Niech Miecz prowadzi i zwycięża. – odrzekli.

– Zajmijcie stanowiska.

Zawrócili rumaki i uformowali szyk. Za ich plecami czekało w ciszy dwanaście tysięcy doborowej jazdy Królestwa. Bukraniony ich koni, wymodelowane w kształt lwich głów, połyskiwały matowo.

Daimon wysunął się na czoło prawego, a Jofiel lewego skrzydła. Kamael zajął miejsce w centrum.

– Do boju, Szarańczo! – krzyknął.

Witaj, niebycie, pomyślał Daimon.

Nie mieli żadnych szans. W obliczu potęgi wroga stanowili garstkę desperatów. Może utrzymaliby się przez jakiś czas, gdyby od razu zablokowali wlot otwierającego się przejścia, ale wtedy fala trujących wyziewów pozabijałaby ich natychmiast.

Wyszarpnął miecz, unosząc go wysoko nad głowę. Stał schwytała słoneczny promień, który zatańczył na ostrzu i zgasł.

– Za mną! – zawołał ochryple.

Spiął konia i nie oglądając się, runął w dół wzgórza.

* * *

Wpadli w połyskliwą, stalową rzekę. Zakotłowało się. Żelazo wystąpiło przeciw żelazu, i rozpoczął się krwawy taniec. Szarańcza wbiła się klinem w bok czarnej kolumny, próbując przeciąć ją na pół i opanować bramę. Miecze rycerzy Królestwa wyrębały głęboką szczerbę w cizbie żołnierzy Mroku niby przesiekę w gęstym, ciemnym lesie. Rumaki parły naprzód, tratując i miażdżąc strąconych z siodła jeźdźców. Ziemia spłynęła krwią i dziwną, lepką posoką rycerzy Cienia. Ich szeregi rozluźniły się nieco, wpuszczając rozpędzoną jazdę Królestwa do środka kolumny.

Źle, pomyślał Daimon. Chcą nas otoczyć.

– Okrążają nas! – wrzasnął, próbując zwinąć prawe skrzydło i uderzyć nim w tworzącą się mackę złożoną z oddziałów żołnierzy Ciemności.

Wtem ich szyki rozstały się, wypływając niekształtne, zakute w żelazo bestie, które zionęły płomieniami wprost w walczących aniołów. Pod ich osłoną wojsko Chaosu przystąpiło do kolejnego ataku.

Dym zasnuł pole bitwy. Wszędzie rozlegały się rozpaczliwe krzyki, kwik koni i szczęk oręża. Wydawało się, że wystarczy chwila, aby armia Mroku rozniosła formacje Królestwa, ale aniołowie postanowili drogo sprzedać swoje życie. Miażdżeni, cięci i tratowani wciąż nie dawali się rozproszyć i wybić jak rzeźne bydło. Szarańcza zbierała krwawe żniwo, więc wkrótce rumaki deptały po trupach. Lecz z bramy wylewały się coraz to nowe szeregi brzydkich, pokracznych, morderczych żołnierzy. Pomiot Chaosu. Synowie Cienia. Z wolna doborowa kawaleria Królestwa poczęła słabnąć i umierać. Jeźdźcy walili się w błoto, powstałe pod końskimi kopytami z pyłu i krwi. Ich pancerze, żółte jak siarka, czerwone jak ogień, granatowe jak dym, wyglądały niczym konfetti rozsypane na strudze smoły.

Daimon walczył w samym środku bitwy, siejąc popłoch w szeregach Mroku. Ci, którzy ośmielali się do niego zbliżyć, jechali po śmierć. Musiał zerwać z głowy hełm trafiony ognistą śliną jednego z potworów Chaosu, włosy miał więc skłębione i pozlepiane krwią. Wyglądał jak upiór – z bladą twarzą i okrwawionym mieczem, niezmordowanie zagłębiającym się w ciałach wrogów, którzy padali, nie zdążywszy nawet skrzyżować z nim oręża. Ale w końcu i on zaczął słabnąć. Pot zalewał mu oczy, ramiona mdlały, a potężniejsze z każdą chwilą tchnienie Antykreatora wysysało siły, zaćmiewało wzrok, mąciło myśli. Niemal mechanicznie podrywał i opuszczał miecz, ogłuszony bitewnym wrzaskiem i szczękiem broni.

Nagle powietrze rozdarł potworny ryk. Daimon poczuł podmuch smrodliwego gorąca i ujrzał tuż przed sobą rozwartą paszczę ognistej bestii. Ciął ją skośnie przez pysk. Zawyla, strzykając płomienną śliną. Ścisnął wierzchowca kolanami, Piołun wykonał ciasny piruet i stanął dęba. Daimon uniósł się w strzemionach i potężnym pchnięciem wbił miecz w wytrzeszczone, zdumione oko potwora. Płomień osmalił aniołowi twarz, wypalił w ziemi spory lej. Bestią wstrząsnął dreszcz, z wizgiem zwała się w błoto, omal nie podcinając Piołunowi nóg. Uzbrojone w pazury łapy darły ziemię, a koń Daimona tańczył między nimi, usiłując uniknąć ciosu. Frey pochylał się w siodle, żeby rozpruć brzuch zdychającego potwora i nagle poczuł, jak po żebrach prześlizguje się coś zimnego i gorącego zarazem: ostrze topora rozdarło mu bok. Wyprostował się, ciął przeciwnika szeroko przez klatkę piersiową. Tamten zachwiał się i zwisł w siodle swego opancerzonego rumaka, a Daimon w ostatniej chwili uchylił się przed zabójczym ciosem w głowę, zadany przez kolejnego czarnego rycerza. Piołun błyskawicznie targnął łbem, miażdżąc zębami twarz przeciwnika, który zalał się krwią i zwałił na ziemię.

Tracę refleks, pomyślał Daimon. Niedługo będą mnie mieli.

Czubek czyjegoś miecza rozdarł mu rękaw, głęboko kalecząc przedramię.

– Czy jest coś piękniejszego niż dachy Hajot Hakados fioletowiejące z nadejściem wieczoru? – usłyszał jakiś głos i zrozumiał, że Piołun się z nim żegna.

– Spotkamy się w niebycie, stary – szepnął, rozcinając niemal na pół wyrosłego jak spod ziemi wielkoluda w hełmie z kitą.

Sytuacja przedstawiała się rozpaczliwie. Rycerze Miecza z niedobitkami Szarańczy próbowali przedostać się w kierunku wrót z desperacką nadzieją, że uda się je zablokować. Z rozdziawionej na kształt ust dziury we wszechświecie wciąż wylewali się jednak nowi czarni żołnierze, lecz już nie tak gwałtownie, tylko w sile pozwalającej wyrównać zadane przez Szarańczy straty. Przewaga Mroku okazała się tak duża, że można było sobie pozwolić na niespieszne dokończenie dzieła zniszczenia.

Wtem Piołun obrócił się gwałtownie, tratując podnoszącego się z ziemi jeźdźca, którego jego pan przed chwilą strącił z siodła, a Daimon przez sekundę spojrział w paszczę otwartych wrót. To, co ujrzał, wstrząsnęło nim. Rzesze żołnierzy Mroku, którzy właśnie zadawali im śmierć, stanowiły zaledwie forpoczty całej armii. Jej trzon czekał nienaruszony! W świetle Cienia stały gotowe do boju oddziały, a ich końca nie było widać po horyzont. Stawić im czoło mogłyby tylko wszystkie Zastępy Pańskie, miriady aniołów rozproszonych po całym kosmosie, aby wytyczać trajektorie gwiazd i planet. Nawet jeśli przybędą posiłki, armia, którą uda się skrzyknąć w porę, nie wystarczy, żeby pokonać Cień. Zagrożone jest więc nie tylko nowe dzieło Pana, ale istnienie samego Królestwa.

Daimona ogarnęły żal i wściekłość na wspomnienie wyniosłej gęby Jaldabaota. Możliwość upokorzenia mnie będzie kosztowała drożej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać, pomyślał. Z goryczą przypomniał sobie udzielone przed bitwą rozkazy Kamaela. Starajcie się zepchnąć ich na bok i zastawić bramę. Jest wąska, broniąc jej, mamy jakąś szansę. Zepchnąć ich! Imponujący pomysł. Gdyby istniał jakiś sposób, żeby zamknąć to pieprzone wejście!

Olśnienie przyszło nagle, gdzieś między pchnięciem miecza a unikiem. Sposób był szalony i właściwie nie miał prawa się powieść, ale obudził w nim odrobinę nadziei.

– Wynieś mnie stąd, Piołun! – wrzasnął w samo ucho wierzchowca, rzucając się na koński kark, bo tam, gdzie przed chwilą znajdowała się jego głowa, przeleciał potężny młot. Koń zadrobił w miejscu nogami.

– Ruszaj się, cholerna chabeto! Może zdążymy!

– Zaraza na twoją duszę, Daimon! – wycharczał rumak. – Jest szalona!

Wydał z siebie długi, przeciągły wizg i stanął dęba. Anioł Miecza zachwiał się w siodle, ale nie upadł, uczepiwszy się kurczowo grzywy. Potężne kopyta znalazły się niespodziewanie tuż przed twarzą najbliższego rycerza Cienia i Daimon ujrzał w jego oczach paniczny strach, przez krótką chwilę, zanim podkowy Piołuna roztrzaskały mu czaszkę.

– W górę! – krzyknął do konia, siekąc mieczem na prawo i lewo, żeby wywalczyć dla niego trochę miejsca.

I nagle stało się coś niespodziewanego. Potężny rumak, stęknąwszy, odbił się od ziemi, zawisł w powietrzu, i runął na karki i ramiona walczących, na hełmy i wzniesione miecze rycerzy Mroku, tratując ich niby łąn młodego zboża.

Ci, którzy ujrzeni ten widok, zamierali w przerażeniu, pewni, że spotkali samą śmierć. Z wyszczerzonego pyska rumaka toczyła się piana. Zarówno, on, jak i siedzący na nim rycerz

sprawiali wrażenie, jakby zostali, odlani z połyskującego rdzawo metalu, bo cali schlapani byli zastygającą krwią.

– Do Królestwa, Piołun! – wychrypiął Daimon. – Do Szóstego Nieba!

Z trudem utrzymywał się na siodle. W uszach słyszał monotony szum, a wszystko, na co patrzył, podbarwiał się na czerwono, rozmywało i krzywiło. Poczł nagłe szarpnięcie i ujrzał pustkę kosmosu, wypełnioną gwiazdami, które natychmiast rozmazały się w złociste smugi. Wiatr uderzył go w twarz, rozwał włosy. Zrozumiał, że się udało. Piołun pędził do Królestwa.

* * *

Dija, młoda służebna ze świty Matki Rachel, przerwała śpiew. Między znajomy świergot ptaków i szelest liści wdarł się obcy dźwięk, jak gdyby tętent. Narastał, lecz Dija nie potrafiła rozpoznać jego źródła. Łodygi kwiatów zgięły się jakby w nagłym podmuchu wiatru, a anielica poczuła wilgotne krople spadające na dłonie i twarz. Były czerwone. Dija z krzykiem odrzuciła śpiewnik, rozmazując szkarłatne smugi na włosach i policzkach. Jej piękna twarz wykrzywiła się w grymasie paniki i obrzydzenia. Urodziła się przecież w Szóstym Niebie. Nigdy nie widziała, krwi.

Po ziemi przesunął się cień, więc podniosła głowę i krzyk zamarł na jej ustach. Podniebnym szlakiem pędził jeździec. Długie włosy powiewały za nim niczym czarny sztandar. Jego twarz była maską szaleństwa i rozpacz. W dłoni ścisnął nagi miecz. Wyglądał jak burzowa chmura na tle błękitu Szóstego Nieba, gdzie nigdy nie spada ani kropla deszczu.

Dija zasłoniła ręką oczy i padła na miękki dywan szmaragdowej trawy.

* * *

– Muszę zejść niżej, na ziemię. – Głos Piołuna łamał się z wysiłku.

Poruszanie się podniebnymi szlakami pozwalało rozwijać zawrotne prędkości, ale było bardzo męczące. W Królestwie obowiązywał ścisły zakaz ich używania, z uwagi na zamieszanie wywołane obecnością w powietrzu wielu aniołów naraz, lecz tym ograniczeniem Daimon postanowił się nie przejmować. Kilka razy żandarmi Jaldabaota próbowali go zatrzymać, rozpierzchali się jednak, ustępując mu z drogi, gdy stawało się jasne, że nie ma zamiaru zwolnić.

– W porządku, schodź! – zawołał, pełen złych przeczuć, bo gościńce Królestwa zawsze były bardzo zatłoczone. W tej sytuacji wydawało się bezpieczniej przejechać na przełaj przez Ogrody.

Runęli w dół, tratując nienaganną murawę, równając z ziemią klomby róż i lilii, roztrzając spacerujących. Przejechali przez grupę muzykujących aniołów i anielic, rozganiając ich niby stadko białych kuropatw. Daimonowi mignął przed oczami roztrzaskany kopytami Piołuna klawikord. Podniosły się okrzyki trwogi i bólu, lecz nie miał czasu zwracać

na nie uwagi. Za zakrętem ścieżki wpadli wprost na kilku Aniołów Lata, w których pieczy znajdowały się Ogrody Królestwa.

– Z drogi! – ryknął Daimon.

Zaskoczeni ogrodnicy bezładną, pierzastą kupą wzbili się w powietrze. W przelocie dostrzegł czyjąś przerażoną twarz, coś miękko uderzyło go w bok, usłyszał jęk.

– Do Pałacu Cudownych Przedmiotów – nakazał koniowi, nie obejrzawszy się nawet.

Pałac, a raczej obszerna kaplica, mieścił w sobie Boskie Narzędzia – Kielnię i Cyrkiel, którym Pan wytyczył wszechświat, oraz Klucz do wymiarów, za pomocą którego otwierał kolejne rzeczywistości. Ten właśnie Klucz wydawał się Daimonowi jedyną szansą ocalenia Królestwa.

Piołun zarył kopytami w żwir ścieżki przed samym frontem białego, ażurowego niczym tort z cukru pawilonu. Opuścił nisko łeb, dyszał z wysiłku. Daimon zsunął się z jego grzbietu. Kiedy dotknął stopami ziemi, zakręciło mu się w głowie. Musiał schwycić się łęku, żeby nie upaść. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest poraniony. Lewy bok, nogawkę spodni i but pokrywała lepka, krzepnącą krew.

Nie wolno mi teraz zemdleć, pomyślał, i najszybciej jak potrafił pobiegł chwiejnie w kierunku wejścia do budynku.

Natychmiast zastąpiło mu drogę dwóch strażników z toporami u boków.

– Wpuście mnie! – wychrypiał. – Królestwo jest w niebezpieczeństwie!

– Precz! – warknął wyższy. – Kalasz swoją obecnością święty przybytek!

Daimona ogarnęła furia. Tam giną jego przyjaciele, jego bracia, a tych dwóch tępych sukinsynów ośmiela się stać mu na drodze?

– Albo mnie wpuście, albo przemodeluję wasze głupie pyski! – wrzasnął wściekle.

Sięgnęli po broń, ale nawet nie zdążyli jej wyjąć. Daimon trzasnął jednego w twarz rękojęścią miecza, drugiego powalił na ziemię kopniakiem, wyrwał mu topór z za pasa i rąbnął w głowę obuchem. Wszystko to trwało nie dłużej niż westchnienie.

Wpadł do chłodnego, cichego wnętrza. Powietrze zdawało się gęstsze niż na zewnątrz, wibrowało wyczuwalnie potężną mocą. Ściany lśniły złotawym poblaskiem. Pośrodku pomieszczenia stały trzy kryształowe szkatuły zawierające święte przedmioty. Dotknął misternie rzeźbionego wieka, przez które można było dostrzec zarys złotego Klucza.

– Wybacz mi, Panie – szepnął.

Oslaniając twarz zgiętym ramieniem, z całej siły uderzył w szkatułę rękojęścią miecza. Ozwał się śpiewny jęk, a odłamki kryształu z trzaskiem rozsypały się na posadzce.

Złoty Klucz, którego dotykała do tej pory jedynie ręka Pana, leżał na szkarłatnej poduszeczce, połyskując oleście. Pokrywały go pajęczce ornamenty, tak delikatne, że ledwie widoczne. Daimonowi wydało się, że drzemie w nim potężne, złowróźbne życie.

Wyciągnął rękę, wstrzymując oddech. Drżące palce dotknęły metalu, zacisnęły się na nim. Wyjął Klucz ze szkatuły. Był zaskakująco ciężki. Nagle poczuł, że Klucz się poruszył,

jakby nie był przedmiotem, ale żywym zwierzęciem, może małą jaszczurką. Niemal w tym samym momencie rozjarzył się białym blaskiem. Anioł Miecza krzyknął. Targnął nim ból. Odruchowo rozwarł palce, lecz nie upuścił magicznego przedmiotu. Pozwolił mu leżeć na otwartej dłoni, która płonęła, a fale bólu obejmowały szybko całe ramię niby języki ognia Mżące suchą szczapę. Zacisnął zęby. Wszystko w nim krzyczało, żeby wypuścić Klucz z ręki, ale wiedział, że nie wolno mu tego zrobić. W końcu biały blask przygasł i znikł zupełnie. Klucz stał się znowu martwym kawałkiem metalu. Na wewnętrznej stronie dłoni anioła ziała ogromna, półksiężycowata rana, przypominająca rozdziawione w szyderczym uśmiechu usta.

Daimon, pomagając sobie zębami, odpruł złoty sznureczek, obszywający szkarłatną poduszczkę, i zawiesił sobie Klucz na szyi.

Jasne światło słońca na zewnątrz niemal go oślepiło. Podciągnął się na siodło, wyjął miecz z pochwy i przerzucił do lewej ręki.

– Wracamy, Piołun – powiedział.

Koń bez słowa zerwał się do biegu. Gnał jak wichler.

* * *

Bitwa wciąż trwała. Przybyłe z Królestwa oddziały w pewnej chwili zdawały się zdobywać przewagę, ale teraz były konsekwentnie spychane w tył i popychane przez czarne mrowie żołnierzy Cienia.

– Cofnijcie się! Odwrót! – Daimon na próżno starał się przekrzyczeć bitewny zgiełk.

Rąbał mieczem z całą siłą, na jaką mógł się zdobyć, próbując wyciąć sobie drogę do pierwszej linii. Rozbijał czarne hełmy, rozcinał pancerze i kubraki niby worki pakuł. Każdemu ciosowi towarzyszył jęk lub wrzask bólu.

Nagle dostrzegł jasną plamę twarzy Kamaela, poszarzałą i poznaczoną cętkami krwi. W duchu podziękował Panu, że przyjaciel wciąż jeszcze żyje.

– Dalej! – krzyknął do konia, który utknął na chwilę w kłębowisku ciał i żelaza. – Musimy zostawić wszystkich naszych za sobą!

– Jak powiedział żebrak na widok darmowej garkuchni – warknął Piołun, posłusznie pracując naprzód.

Przed oczami Daimona zaczęły przeskakiwać czarne i złote iskry. Długo tak nie wytrzymam, myślał. Jego dłoń pulsowała nieprzerwanym, tęnym bólem. Miecz zadawał ciosy coraz wolniej. Czuł, że kilka razy drasnęło go jakieś ostrze.

– Cofnąć się! – krzyczał do każdego napotkanego anioła.

Wreszcie stwierdził, że otacza go jednolite morze czarnych hełmów. Zerwał z szyi Klucz, wyciągnął rękę i przekreślił go w powietrzu.

– Czeluść – powiedział. – Bezdenna Czeluść poza czasem i wymiarami.

Ziemia zatrzęsała się i rozstała. W miejscu, gdzie przed momentem były wrota Antykreatora, otworzył się lej. Cień i jego armia zapadli się weń w jednej chwili. Lej

rozszerzał się, wciągając nacierających na oddziały Królestwa żołnierzy Siewcy Wiatru. Ziemia uciekała spod kopyt oszalałych, kwiczących ze strachu rumaków. W niebo wzbił się chóralny krzyk rozpacz. Zastępy Antykreatora ginęły w Czeluści. Kilku aniołów, którzy nie zdążyli wycofać się w porę, ześlizgnęło się do środka leja. Pustka przybliżyła się błyskawicznie. Daimon balansował na skraju Czeluści ze lśniącem Kluczem w dłoni. Zginąłby, gdyby nie Piołun. Kiedy ziemia, na której stali, zaczęła się osuwać w bezdenną szczelinę, koń wykonał rozpaczliwy zwrot i odskoczył w tył, na pewniejszy grunt.

Daimon przekręcił Klucz w powietrzu.

– Dość – wymamrotał z trudem.

Czarne błyski przed oczami rozplynęły się we mgle. Ostatnim wysiłkiem woli spojrzął na pole bitwy. Rozpościerała się przed nim znajoma, pokryta liszajami wykopów równina. Antykreator wraz ze swą armią zniknął.

Za plecami miał ziemię zaścieloną trupami. Słyszał jęki i przekleństwa rannych. Oddziały Królestwa ścigały nielicznych ocalałych żołnierzy Mroku.

Daimon upuścił Klucz, zakołysał się w siodle i ciężko zwałił z konia.

* * *

– Jest świętokradcą i mordercą! – wrzasnął Jaldabaot.

– Jednak niewątpliwie uratował Królestwo – powiedział ze znużeniem Wielki Archont Jao, sekretarz demiurga.

– Tylko Pan może decydować o losach Królestwa! Tylko On może wybawić je lub zgubić, zgodnie ze Swoją wolą!

– W takim razie wybawił je jego rękami.

– Bronisz mordercy, Jao? Trzy niewinne dusze, trzech czystych aniołów zginęło z tych jego bohaterskich rąk! Dwóch zatratował w Ogradach, a jednego z zimną krwią zaszlachtował toporem, gdy bronił świętego przybytku przed zbezczeszczeniem.

Jao westchnął.

– Po prostu uważam, że skazanie go na śmierć nie jest najlepszym pomysłem... politycznym. Całe Królestwo, wszystkie Zastępy, uważa go za bohatera.

Jaldabaot spiorunował go wzrokiem.

– Więc wykażę im błąd w rozumowaniu! Zaślepienie i niewłaściwy ogląd sprawy. Jak śmiesz mówić o jakiejś polityce! Tu chodzi o zasady! O świętokradcę, którego brudny dotyk zbrukał najczystsza świętość!

– Jeśli już musisz go zgładzić, zrób to szybko i cicho, po krótkim, cichym procesie...

– Proponujesz mi postępki godny skrytobójcy? Nigdy! Wszyscy obejrzą tę egzekucję! Wszyscy, od samych Książąt Sarim począwszy, a skończywszy na najmarniejszym z aniołów służebnych. A ten zbrodniarz, ten obrazoburca, publicznie się przed nimi pokaja!

Jao miał ochotę jęknąć.

* * *

Mdle ogniki pochodni pełgają, Na ścianach rodzą się i umierają fantastyczne cienie. Gdzieś bardzo daleko słycać kapanie wody. A może to krew?

– Jesteś mordercą! Podłym, bezlitosnym zbrodniarzem! Pozbawiłeś życia niewinne istoty! Wiesz, czym jest życie? Bezcennym darem Pana! A ty splugawiłeś ten dar. Więcej! Zbezczęściłeś świętość! Odważyłeś się sięgnąć po to, co należy do samej Jasności! Krwawą ręką! Tak, krwawą ręką! Teraz ta krew krzyczy! Woła do mnie, do wszystkich. Jesteś potworem. Twoja dusza to wiadro pomyj. Grzeszysz! Nawet teraz grzeszysz pychą i zatwardziałością serca. Ukorz się, dopóki nie jest za późno! Pokajaj się! Błagaj o przebaczenie! Na kolana, zbrodniarzu! Powiedziałem, na kolana!

Nigdy! Nigdy, choćby przyszło mu tu zdechnąć. Nie ukorzy się przed tą bladą gębą szaleńca, przed tymi dłońmi, nerwowo drgającymi jak porcelanowe bibeloty, dłońmi, które nigdy nie trzymały miecza, które nigdy nie dotkną słowa „honor”.

Lekkie, białe machnięcie, zgrzyt. Krwawy sukinsyn! Kazał poluzować łańcuchy. A nogi nie chcą go utrzymać, gną się. Kolana zaraz uderzą o brudną kamienną posadzkę.

Chwyił ciężkie ogniwa kajdan, podciągnął się na pokaleczonych dłoniach. Zachowaj dla maluczkich swoje tanie sztuczki. Nie ujrzysz Anioła Miecza na kolanach przed tobą, Protezo Pana!

– Przyznaj, kim jesteś! Wyznaj swoje zbrodnie! – syczy wielki, biały nietoperz o srebrnych włosach i oczach. – Odpowiadaj!

Poranione usta więźnia obnażają w uśmiechu zęby.

– Jestem wiernym rycerzem Pana – szepcze. – A ty, Wielki Archoncie?

Pan Siedmiu Wysokości odskakuje, jakby nadepnął na węża.

Wilcze oczy świecą nieugiętym, złowrogim blaskiem.

* * *

W lochach śmierdzi pleśnią i mdlącym odorem spalenizny. Jao czuje narastające obrzydzenie – do Jaldabaota, do całej tej sprawy, do swojej funkcji. Gdyby ktoś mu to zaproponował, zrzekłby się władzy, choćby natychmiast.

Jaldabaot nerwowo skubie rękaw. Widzi sekretarza, w srebrnych oczach tańczą iskierki lęku.

– To demon – mówi. – Ma przeklętą duszę.

Jao ze świstem wciąga powietrze.

– Oszalałeś?! Zabijesz go!

– To demon! – powtarza Wielki Archont. – Ani śladu skruchy! Po wszystkich tych zbrodniach...

– Na litość Pańską, każ go natychmiast rozkuć! Chcesz dokonać egzekucji na trupie?!
Kazałeś postawić na nogi całe Królestwo!

Jaldabaot, skonsternowany, rozkłada ręce. Jego kosztowną białą szatę pokrywają rdzawe plamy.

– Jao, jestem przerażony...

– Ja też! – wrzeszczy sekretarz. – Wyjdź stąd, przebierz się i zostaw całą resztę mnie!

* * *

Najpierw wszystkie dźwięki zaczęły z wolna cichnąć, a potem zewsząd usłyszał dzwoniące ciszy. Z trudem rozkleił powieki. Jedno oko miał tak zapuchnięte, że właściwie nic na nie nie widział.

– Witaj, Rycerzu Miecza – rozległ się ledwo słyszalny szept. – Rany, jak kiepsko wyglądasz!

Spoza krat obserwowała go brzydka, inteligentna twarz.

– Duma – powiedział, ledwie poruszając wargami. Przez ostatnich parę godzin nauczył się eliminować wszystkie zbędne ruchy. – Kopę lat! Przyszedłeś pogawędzić?

Przykucnięty przed drzwiami Anioł Śmiertelnej Ciszy, w nieodłącznych czerwieniach i czerniach, uśmiechnął się, pokazując krótkie, ostre kły.

– Wpadłem popatrzeć, jak sobie radzisz. Powiadają, że nawet nie krzyknąłeś. To prawda? Nie zrozum mnie źle, pytam z czystej ciekawości.

Daimon zdobył się na krzywy uśmiech.

– Jak myślisz?

– Jakoś trudno mi było uwierzyć, ale chyba zmienię zdanie – zaszemrał Duma. – Nie przepadam za sobą, Daimon, ale właściwie przyszedłem powiedzieć ci coś, co moim zdaniem masz prawo wiedzieć. Nikt nie chce wykonać na tobie wyroku. Białaczka się wściekła, pozdejmował ze stanowisk większość urzędników sądowych i więziennych. W końcu proponował nawet tę fuchę mnie, Afowi i Chemie. Kupa śmiechu, co?

– Jestem pod wrażeniem. Bliźniaki wciąż mają do mnie żal?

– No chyba! – szepnął Duma. – Po tym, jak obileś ich płazem na środku Niebiańskiego Placu? Co oni ci właściwie zrobili?

– Mieli fałszywe informacje. Twierdzili, że Aniołowie Miecza to żądne krwi sukinsyny. Wyprowadziłem ich z błędu. Ale nawet ich nie drasnąłem...

– Byli sini – mruknął czarno-czerwony anioł.

– Nie chcieli się zemścić?

– No co ty? W ten sposób? Nawet oni mają krzywą honoru.

Daimon przymknął powieki.

– Męczę cię, co? – zaszeptał widmowy głos. – Trzymasz się resztkami sił. Żegnaj, Aniele Miecza. Może się kiedyś spotkamy... po drugiej stronie.

– Do zobaczenia w niebycie – powiedział Daimon, nie otwierając oczu.

* * *

– Nikt tego nie zrobi. Nie możesz wziąć pierwszego lepszego siepacza. On jest aniołem krwi, arystokratą.

– Musimy kogoś znaleźć! – Jaldabaot ciskał się po komnacie. – To zaczyna zakrawać na bunt!

Jao milczał znacząco.

– Myślę, że jest taki ktoś – odezwał się rozlewnym, modulowanym głosem archont Astafajos, władca pierwszego elementu.

– No to mów! – krzyknął demiurg, zwany Prawicą Pana.

– Raguel. Młody, bardzo obowiązkowy. Rozkaz to dla niego świętość. Jest kapitanem bursy w Drugim Niebie. To archanioł.

Jaldabaot rozpromienił się.

– Cudownie! Widzisz, Jao, jakie to proste? Chcieć znaczy móc. W dodatku archanioł. Prawdziwy policzek dla tych butnych szczeniaków z bandy Gabriela. Pokażemy im młodzieńca świecącego przykładem, który szanuje tradycje i zna swoje miejsce. Natychmiast go przyprowadźcie.

* * *

Raguel nerwowo przełknął ślinę. Ten koszmar odbywa się naprawdę, pomyślał. Wielki Archont przechadzał się po komnacie z rękami założonymi do tyłu.

– Twoje zdolności i przykładowa postawa zostały zauważone – rzekł. – Nie myśl, że młody wiek wyklucza odpowiedzialne stanowisko. Umiemy dostrzegać diamenty w błocie. Niniejszym otrzymujesz awans. Zostałeś mianowany egzekutorem. Będziesz wykonywał wyroki boskiego sądu na wysokich dostojnikach niebiańskich. Zacznieś od pokazowej egzekucji obrzydłego świętokradcy i zbrodniarza, niejakiego Daimona Freya.

– Tak jest, Wasza Jasność – wymamrotał Raguel, przekonany, że wszystkie nieba Królestwa kolejno spadają mu na głowę.

Jaldabaot obrócił się na pięcie tak gwałtownie, aż zafurkotały poły płaszcza.

– Cóż to? Nie dziękujesz?

Archanioł przykląkł na jedno kolano, spuszczać głowę, żeby Wielki Archont nie mógł dostrzec wyrazu jego twarzy.

– Jestem niewypowiedzianie wdzięczny, Wasza Jasność. Nie zasługuję na tę łaskę.

Jaldabaot zatarł ręce.

– Doskonale! – zawołał. – A teraz idź przygotować się do nowej roli. I pamiętaj! Wszystko musi być zorganizowane w perfekcyjny sposób. To rozkaz!

– Tak jest – szepnął zdruzgotany Raguel.

* * *

Nie przewrócę się. Nawet się, kurwa, nie potknę, powtarzał sobie dobitnie, żeby rozkaz dotarł do płaczących się nóg. Panie, jakżeż to daleko!

Szafot sterczał jak pokryta błękitnym i złotym suknem wyspa pośrodku ogromnego Niebiańskiego Placu. Wokół niego rozpościerało się morze głów i skrzydeł – nieprzebrane rzesze aniołów. Szpaler prowadzący od wrót Pałacu Sprawiedliwości wydawał się przez to wąski. Po obu jego stronach stał co pięćdziesiąt kroków żandarm w ceremonialnym stroju.

Tuż przy samym podejście Jaldabaot ustawił naprzeciw siebie dwie milczące, trwające w bezruchu grupy – archaniołów i Rycerzy Miecza, którzy umknęli śmierci podczas niedawnej rzezi.

Za szafotem wznosiły się trybuny, gdzie zasiadała Rada Wielkich Archontów, Księżęta Sarim, w tym tytularny zwierzchnik Miecza, księżę Soket Hezi, z bardzo kwaśną miną, oraz wysocy dostojnicy dworscy.

Blask słońca oślepił Daimona, którego oczy przywykły do ciemności, więc mimo że wyteżał wzrok, widział na trybunach tylko zamazane plamy.

– Czas iść – powiedział jeden z czterech eskortujących go strażników i lekko popchnął w plecy.

* * *

Jaldabaot spoglądał z wyżyn trybuny na plac z miną wyniosłą i srogą, nie dając po sobie poznać zadowolenia. Ceremonia wyglądała imponująco. Napawał się triumfem nad wrogami. Napawał się władzą. Zerknął na siedzącego daleko po lewej stronie Metatrona. Jego twarz była spokojna i właściwie pozbawiona wyrazu, choć zdawała się emanować wielką dobrocią. Ulubiony anioł Pana pokornie przyjął przyznane mu przez demiurga niezbyt szaczone miejsce, nawet nie usiłując protestować. Wielki Archont uznał, że niepotrzebnie się go obawiał. Tuż obok brata siedział zacięty i chmurny Sandalfon, rzucający co pewien czas pełne niechęci spojrzenia w stronę Jaldabaota, lecz demiurg nie zamierzał się nim przejmować.

Wtem Jao delikatnie dotknął jego rękawa.

– Spójrz na Rycerzy Miecza – szepnął.

Jaldabaot wychylił się lekko.

– Co to ma znaczyć? – syknął.

Stali z odkrytymi głowami i włosami szarymi od popiołu. Na policzkach mieli grube kreski namalowane krwią.

– Żałoba – powiedział sucho Jao. – Oni noszą żałobę.

Jaldabaot zatrzęsł się ze złości. Odebrał Rycerzom Miecza broń, każąc zastąpić ją paradnymi mieczykami, więc nie spodziewał się z ich strony żadnych ekscesów. To nic,

uspokoił się, błaha demonstracja. Nie są w stanie odwrócić biegu wydarzeń. Nie są w stanie sprzeciwić się mojej władzy.

* * *

Daimon ze wszystkich sił starał się nie potknąć. Wyglądał strasznie w porwanym, zakrwawionym ubraniu, z bladą i pokaleczoną twarzą i zmierzwionymi włosami. Gdy się pojawił w drzwiach Pałacu Sprawiedliwości, przez tłum przebiegł szmer podobny do westchnienia. Jego opłakany wygląd nie budził jednak litości, lecz raczej lęk i szacunek, gdyż w każdym sztywnym kroku, w każdej próbie utrzymania wysoko uniesionej głowy było więcej godności niż w wystudiuowanych pozach całej Rady Archontów. Zgromadzone na placu rzesze pokornych, pracowitych aniołów służebnych niemal namacalnie czuły pogardę i gniew, jakie kierował ku nim skazaniec, i były gotowe ugiąć karki przed jego błękitną krwią, jego nienawiścią i niszczącym szaleństwem, którym w chwili Stworzenia nazaczył go Pan, aby ustanowić go wojownikiem Miecza Swojego gniewu. W oczach Daimona wyglądali jak bydło i czuli się jak bydło, przyglądające się schwytanemu lampartowi. I wysławiali Pana za nieskończoną dobroć, dzięki której mogli pracować w trudzie i znoju bez piętna morderczej wściekłości, bez sztyletu mieszkającego na dnie serca.

Daimon zrównał się ze stojącymi niemal przy samych stopniach szafotu Rycerzami Miecza. Jego spojrzenie na chwilę skrzyżowało się ze wzrokiem Kamaela, którego twarz była szara jak płótno. Kreski, namalowane krwią na policzkach, krzyczały to, czego nie mogły wypowiedzieć zaciśnięte usta. Kamael nie dał żadnego znaku, nie wyrzekł ani słowa, lecz nagle szereg nieruchomych i milczących Aniołów Miecza załamał się, gdy wszyscy równocześnie uklękli, prezentując broń – te paradne złote mieczyki, które rozkazał im wydać Jaldabaot. Promienie słońca tańczyły na bezużytecznych klingach, kiedy doborowi rycerze Królestwa zegnali najlepszego spośród nich.

Daimon wspiął się na szafot. Tak wiele razy stawał naprzeciw śmierci, że właściwie przestał się jej bać. Niemal przestał.

Tłum przypominał z lotu ptaka wiosenny klomb, na którym dopiero zaczynały kiełkować i kwitnąć najwcześniejsze rośliny, gdyż kolorowe szaty wyższych rangą aniołów rozmywały się wśród popielatych i burych tunik ptactwa niebieskiego. Odczuł ulgę, że udało mu się bez pomocy pokonać schody. Ktoś mógłby pomyśleć, że stracił siły ze strachu, a on po prostu był bardzo zmęczony. Niebiański Plac nigdy nie wydawał mu się tak szeroki. Zdawał sobie sprawę, że w środku, w nim huczy ból, niby rój zdenerwowanych os. To powinno znacznie bardziej go obchodzić, ale było mu obojętne. Wszystko wokół wyglądało, jakby zostało wycięte z kartonu. Nie sposób przejmować się dwuwymiarową dekoracją.

Na stopniach schodów i surowych deskach podestu czyjaś ręka wykreśliła cieniutki, falisty wzór, jakby ciągnący się za nim drobny szew. Krwawie, pomyślał. Jaldabaotowi chyba

udało się mnie zabić i bez tego żalnego przedstawienia. Spojrzał w stronę łoża dostojników, lecz dostrzegł tylko zamazane kontury.

Pozbawić życia anioła krwi wcale nie jest łatwo, powtarzał sobie pobladły, dygoczący Raguel. To musi być cios prosto w serce. Jeden cios w samo serce. Onyksowa rękojeść długiego, pokrytego magicznymi inskrypcjami sztyletu ślizgała się w jego spoconej dłoni. Trzymał ją, jakby była łbem węża. Nigdy, przez całe swoje krótkie, nawykłe do posłuszeństwa życie, nie czuł się tak nieszczęśliwy. Z trudem próbował przełykać ślinę w suchych jak wiór ustach. To on wyglądał jak skazaniec, i przez chwilę zgromadzonym wokół szafotu wydawało się, że prawda przedstawia się odwrotnie, że czarnowłosy anioł przyszedł po życie egzekutora, a może także życie wszystkich obecnych.

Raguel spojrzał na smukłą, nieruchomą postać Daimona. W serce? – pomyślał w popłochu. Na litość Pańską, czy on je w ogóle ma?

Frey odetchnął głębiej. Dziwne oszołomienie powoli mijało. Dopiero teraz dostrzegł Raguela. W oczach na chwilę zapłonął mu wilczy blask.

– Hej, Raguel – powiedział niskim, bezdźwięcznym tonem. – Ładny awansik, co?

Archanioł drgnął. Przypomniał sobie o ciężących na nim obowiązkach.

– Przywiązać go! – rozkazał oczekującym pachołkom. Jego głos brzmiał piskliwie i niepewnie.

Daimon przymknął powieki, dał się popchnąć w kierunku stojącego pośrodku podestu dziwnego rusztowania z belek. Pozwolił przykuć sobie ręce, choć pod czaszką eksplodował mu snop iskier, kiedy zgrzytnęły kawałki złamanej kości.

Herold monotonnym głosem odczytywał listę jego zbrodni. Przynajmniej uratowałem Królestwo, pomyślał z goryczą. Umrę jako bohater. Ból zaczął przypominać o sobie coraz natarczywiej. Zachowywał się jak tancerz, próbujący wciąż nowe kroki, jakby ciało Daimona było sceną, na której trzeba wystąpić przed wymagającą publicznością.

Anioł Miecza zacisnął zęby. Skończę wreszcie! – warknął w myślach do herolda. Ten zaczął jednak odczytywać tytuły Jaldabaota, więc Daimon skonstatował z ironią, że to jeszcze jakiś czas potrwa.

Wtem pojawiła się przed nim blada, przerażona twarz Raguela.

– Wybacz mi – usłyszał szept.

– Co?! – Z pewnym trudem uniósł głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. – Daruj sobie, dobra?

To nie był moment na okazywanie współczucia.

– Proszę, wybacz... Ja tylko wykonuję rozkaz...

Gdyby zostało mu więcej siły, Daimon wpadłby w szal. W jego nieugiętych, szyderczo zmrużonych źrenicach Raguel dostrzegł własne odbicie – obraz słabego, podłego chłopca, który zawsze będzie drżał z lęku przed kimś potężniejszym. Zadygotał na myśl, że drapieżna,

piękna twarz anioła, którego za chwilę zabije, pozostanie na zawsze, niczym piętno, odcisnięta w jego pamięci.

Ostry, drwiący uśmiech rozciągnął wargi Daimona.

– Jesteś nikiem – powiedział. – Pyłem na wietrze. Spójrz na nich, na Rycerzy Miecza, archaniele. Są nieśmiertelni. Ich krew nie umiera.

Raguel postąpił dwa kroki w tył. Zobaczymy, pomyślał tępo, wypatrując znaku od Jaldabaota. Już za chwilę.

Witaj, niebycie, powiedział do siebie Daimon. Prawie się nie bał, ale jednocześnie wcale nie pragnął umierać. Nie pociągał go niewzruszony spokój i majestat śmierci. Przypomniawsobie cierpki smak wina, które przyniosła mu brzydka służąca. Kamaela, wachlującego się pergaminem z rozkazami Jaldabaota, kpiącego, że tylko do tego może się to przydać. Piołuna tratującego lilie w Rajskim Ogrodzie. Anielicę Amerit, która zbyt głośno się śmiała, ale tak pięknie grała na harfie... Witaj, niebycie.

Jaldabaot, biały i elegancki jak ozdoba z pianki, wychyliwszy się z trybun, dał znak.

Raguel zamachnął się sztyletem i uderzył.

Świat cofnął się gwałtownie, malejąc do rozmiarów szpilki. Ból był przeraźliwie ostry, ale bardzo odległy. Czynność tak prosta, jak nabranie oddechu, stała się nagle zdumiewająco skomplikowana. Czarno-czerwona cisza, przenikliwa niczym szept anioła Dumy, śpiewała w uszach. Z wolna wszystko zaczęło gasnąć. Witaj, niebycie!

Raguel wyszarpnął ostrze. Ciało Daimona zadrgało i znieruchomiało. Rozsypane włosy okryły go jak całun.

Archaniołowie patrzyli na siebie w milczeniu. Niektórzy bezwiednie zaciskali pięści. Twarz Razjela ściągnęła się tak, że przypominała maskę. Gabriel nerwowo bawił się pierścieniem.

Kamael przesunął dłonią po czole i policzkach. Jego usta tworzyły zaciśniętą, prostą kreskę.

Nagle niebo pękło. Błękitne światło, które zalało plac, wduszało oddechy z powrotem do płuc, oślepiało, powalało na kolana, na twarz. Wszyscy, aniołowie służebni, żołnierze i dostojnicy, czołgali się w pyle. I wszyscy słuchali.

Tylko Metatron klęczał z uniesionymi w górę rękami i spojrzeniem promieniejącym nieopisanym szczęściem.

Błękitny wir porwał Daimona, wyszarpnął z ciemności. Wypełnił go oślepiającym bólem, potęgą zmuszającą do krzyku. Cisnął między nieskończone przestrzenie, pokazując dokładnie, czym są życie, śmierć i dzieło Stworzenia. Ogarnął go, zniszczył, stworzył, zniszczył i znów odbudował. A potem przemówił, chociaż Daimon był pewien, że nie używał słów.

ANIELE MIECZA, STWORZONY Z GNIEWU, PRZYNALEŻNY CHAOSOWI – BEZCZELNY, DUMNY, LECZ, PRYZNAJĘ, ODWAŻNY – OTO MIANUJĘ CIĘ

NISZCZYCIELEM – ABADONNĄ, BURZYCIELEM STAREGO PORZĄDKU, TAŃCZĄCYM NA ZGLISZCZACH I ANIOŁEM Z KLUCZEM DO CZELUŚCI, BO OŚMIELIŁEŚ SIĘ PO NIEGO SIĘGNAĆ TAK BEZCEREMONIALNIE. PRZEKONAŁEŚ SIĘ PRZECIEŻ, ŻE TO TWOJE POWOŁANIE. A TERAZ WRACAJ, ŻEBY MI SŁUŻYĆ. TWÓJ CZAS SIĘ JESZCZE NIE WYPEŁNIŁ.

I oszołomiony, półprzytomny Daimon z hukiem spadł na deski szafotu. Dźwignął się na czworaki, potrząsając głową, żeby odzyskać ostrość widzenia. Zdawał sobie sprawę, że przed chwilą słyszał nie tyle Głos Pana, ile własne myśli, lecz z pewnością dobrze pojął sens Jego przekazu. Umarł i został wskrzeszony. Z nosa ciekła mu krew, a rozdzierający ból w klatce piersiowej przekonywał, że sztylet Raguela nie chybił. Przycisnął ręce do rany i spróbował wstać. Chciał jak najprędzej zejść z tego przeklętego podestu. Minął skulonego, płaczącego archanioła, niechcący potracił nogą sztylet z onyksową rękojeścią i czerwono lśniącem ostrzem.

Czuł się bardzo słaby i chory. Plac przybliżał się i oddalał, budowle wyprawiały niezwykle podskoki.

Z ziemi niemrawo podnosili się aniołowie, pustymi oczami przyglądali się sobie nawzajem. Nagle ktoś krzyknął, wyciągając rękę w stronę szafotu.

Daimon dzielnie pokonał pierwszy schodek.

Niemal wszystkie głowy obracały się już w jego stronę.

Nowo mianowany Niszczyciel chwiejnie i niezwykle powoli zmagął się ze schodami. Ręce wciąż przyciskał do piersi, jak gdyby niósł tam coś niesłychanie cennego. Na ostatnim stopniu potknął się i pełnym gracji, nienaturalnym ruchem zgiął w pół niby w ukłonie.

Kamael i Razjel skoczyli ku niemu równocześnie, lecz jakoś dziwnie niezgrabnie. Daimon skierował na nich olbrzymie, bezdenne źrenice, w których odbijała się kosmiczna pustka. Były to oczy starsze niż czas.

– Pomóżcie mu! – krzyknął archanioł do otepiałych ze zdziwienia żandarmów.

Żaden się nie poruszył, a Daimon na ułamek sekundy zastygł w miejscu i upadł na bok, między buty żołnierzy.

* * *

Spróbował się poruszyć, ale to wywołało tylko dalekie echo jakiegoś dźwięku, który przypominał jęk.

– Chyba odzyskuje przytomność – usłyszał pełen napięcia głos Kamaela. – Daimonie, to ja, Kamael. Poznajesz mnie? Żyjesz?

– Nie – szepnął, mimo woli przywołując na twarz cień uśmiechu.

– Słyszysz mnie? – teraz pytał Razjel.

– Aha.

– Widzisz?

Ostrożnie rozchylił powieki. Nad sobą zobaczył nieco rozmazane profile przyjaciół.

– Tak – potwierdził.

– Chwała Jasności – westchnął z ulgą Kamael. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie szaleństwo ogarnęło Królestwo z twojego powodu!

– Cieszę się, że was widzę – szepnął Daimon. Spróbował zaczerpnąć głębszego oddechu, ale powietrze eksplodowało białym płomieniem.

Razjel pochylił się ku niemu.

– Boli cię? – spytał z lekkim niedowierzaniem.

– Zaraza! Daj mu spokój, Razjel! – wrzasnął poirytowany Kamael. – Widzisz przecież!

Razjel spojrział na niego wymownie.

– Założyłem mu potrójne, wiązane zaklęcie uśmierzające. Nie powinien nic czuć. Poza tym jest...

Przerwał, bo Kamael spiorunował go wzrokiem. Daimon wyczuwał powstałe nagle napięcie.

– Czym jestem? – spytał cicho.

– Trupem – powiedział sucho archanioł. – W gruncie rzeczy, ty nie żyjesz, Daimon. Czujesz, myślisz, oddychasz, twoje serce bije, lecz mimo to nie ma w tobie życia w takim sensie jak przedtem. Nie rozumiem, jak to możliwe. Nie pytaj mnie. Pan cię wskrzesił, a moja wiedza jest niczym w obliczu Jego mocy. Cieszę się tylko, że odzyskałem przyjaciela.

– Ja też – rzekł poważnie Kamael. – Uratowałeś Królestwo, zachowywałeś się tak, że wszyscy pojęli, co znaczy honor dla Rycerza Miecza. Jestem dumny, że należałeś do mojej formacji.

– Należałem?

Kamael rozłożył ręce.

– Pan wyznaczył ci inne zadanie. Od tego czasu stoisz ponad nami. Masz prawo dowodzić wszystkimi Aniołami Zniszczenia, nie tylko Szarańczą. Przekonasz się, że dysponujesz mocami, o których my nawet nie marzymy. Otrzymałeś Klucz do Czeluści i prawo burzenia światów. Wciąż jestem twoim przyjacielem, Daimonie, lecz teraz nie ośmieliłbym się wydawać ci rozkazów.

Frey na chwilę przymknął oczy. Nie potrafił zebrać myśli. To, co usłyszał, wstrząsnęło nim. Jestem żywym trupem, powtarzał sobie. Co za szaleństwo!

Przecież czuję się tak samo jak zawsze.

– Co mówią w Królestwie? – spytał z wysiłkiem.

Twarz Kamaela spochmurniała. Zanim zdążył się odezwać, głos zabrał Razjel.

– Różnie. Większość uważa cię za bohatera, a twoje wskrzeszenie za cud. Dwór uznaje twoją pozycję, stałeś się teraz wybrańcem Pana, kimś ważnym, choć niebezpiecznym. Przyszedł tu nawet nasz książę Soket Hezi, ale nie wpuściliśmy go, bo byłeś nieprzytomny i

tylko by przeszkadzał. Są jednak tacy, którzy przeklinają twoje imię, robią z ciebie demona. Wielu się ciebie boi. Nazywają cię upiorem.

– Mogłeś mu tego oszczędzić – sarknął Kamael. – I śmiesz twierdzić, że jesteś urodzonym dyplomata.

– Lepiej, żeby dowiedział się od nas niż od nich – uciął archanioł.

Daimon słuchał ich, jakby mówili o kimś obcym.

– Ja się prawie nie zmieniłem – powiedział wolno.

– Wiem. – Razjel skinał głową. Jego głos zabrzmiał wyjątkowo łagodnie. – Problem w tym, co myślą inni.

Daimonowi nagle świat zawirował przed oczami. Ból i ucisk w klatce piersiowej nasiliły się.

– Dużo... czasu minęło?

– Trochę – niechętnie przyznał Razjel. – Parę dni. Nie więcej niż dwa tygodnie.

Daimon nie miał siły się zdziwić.

– A... Proteza Pana? Jaldabaot...

Kamael machnął ręką.

– Nim nie masz się co przejmować. Sytuacja lekko się zmieniła.

Daimon patrzył na przyjaciół pytająco. Razjel wzruszył ramionami.

– Rozumiesz, mały pucz. Upragniony znak od Pana i zgadnij, kto wkracza na scenę?

– Gabrys – dokończył dowódca Aniołów Miecza. – Za starym demiurgiem prawie nikt się nie opowiedział, tak ewidentnie popadł w niełaskę. Smutne, co?

Daimon zdobył się na blady uśmiech.

– To co tu jeszcze robicie?

– Kochamy cię! – Kamael wyszczerzył zęby. – Spełniamy obowiązek względem miłosierdzia i przyjaźni. Nie bój się, nie zapomną o nas. Teraz nastąpi pajdokracja! Pod naszymi rządami Królestwo stanie się wreszcie normalne. No dobrze, prawie normalne. Przysięgam, że postaramy się lepiej niż Jaldabaot.

– I nikt nie będzie skazywał na śmierć bohaterów wojennych. – Razjel się uśmiechnął.

– Nie wątpię – mruknął Daimon, nie bez sarkazmu, chociaż nie wątpił w szczerą intencję przyjaciół. Władza polityczna wydawała mu się zawsze kąskiem raczej zgniłym niż kuszącym. W sumie jednak wierzył, że zmiana wyjdzie Królestwu na dobre. Jaldabaot był szaleńcem, a archaniołowie mieli całkiem rozsądne poglądy. Ucieszył się w duchu, lecz zabrakło mu siły, żeby to okazać. Z każdą chwilą czuł się gorzej i mówienie sprawiało mu ogromną trudność.

– Powiedźcie mi... – zaczął, ale Razjel podetknął mu pod usta kubek z gorącym, gorzko pachnącym płynem.

– Nie jesteś teraz całkiem zwyczajny, Daimon – powiedział. – Twoje rany goją się paskudnie i bardzo powoli. Nie reagujesz na zaklęcia uśmierzające ani uzdrawiające.

Faszeruję cię bardzo potężną magią, używając całego mego kunsztu i wiedzy. Uszanuj te wysiłki, co? Wypij to świństwo, odpocznij, spróbuj zasnąć i przestań wreszcie gadać, dobra?

* * *

Jaldabaot w milczeniu spoglądał na plany i mapy zawałające biurko. Precyzyjne rysunki tańczyły mu przed oczami, składając szydercze ukłony. Kosztowne, wyszywane szaty szeleściły melodyjnie przy każdym ruchu. Ale Jaldabaot tego nie słyszał. Uporczywie i natrętnie powracało w jego głowie wypowiedziane pokaleczonymi wargami zdanie; nieugięta deklaracja lojalności. Jestem wiernym rycerzem Pana, A ty, Jaldabaocie? A ty?

Wielki Archont, Władca Siedmiu Wysokości, przekładając smukłymi palcami zapisane pergaminy, nie był w stanie odpowiedzieć sam sobie, w którym momencie przestał być wiernym rycerzem Pana.

SPIS TREŚCI

Światło w tunelu
Dopuszczalne straty
Sól na pastwiskach niebieskich
Zobaczyć czerwień
Kosz na śmieci
Smuga krwi
Żarna niebios
Wieża zapalek
Gringo
Beznogi tancerz